

STEFAN KRZYWOSZEWSKI

DŁUGIE ŻYCIE

WSPOMNIENIA

TOM PIERWSZY

WARSZAWA 1947

KSIĘGARNIA „BIBLIOTEKA POLSKA” SP. Z O. O.

B P
W

W. Rogalski

DŁUGIE ŻYCIE
WSPOMNIENIA



Pia Górską

STEFAN KRZYWOSZEWSKI

STEFAN KRZYWOSZEWSKI

DŁUGIE ŻYCIE

WSPOMNIENIA

TOM PIERWSZY

Kolekcja
Emila Kornasła

WARSZAWA 1947

księgarnia „BIBLIOTEKA POLSKA” SP. Z O. O.

PIERWSZE
WYDANIE
1947

WSZELKIE PRAWA
ZASTRZEŻONE

ZAKŁADY
GRAFICZNE
POD ZARZĄDEM
PAŃSTWOWYM
W TORUNIU
UL. RABIAŃSKA 15/17
E 13908



CM KEK

317063

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 45/2012/CM

...visse, scrisse, amò...

*Z epitafium na grobowcu
Henryka Beyle'a (Stendhal'a)
znajdującym się na cmentarzu
Montmartre w Paryżu*

P R Z E D M O W A

Cechą lat późniejszych jest, że mózg i wyobraźnia szukają wytchnienia, że już nie kłębią się w nich plany i nadzieje nowych osiągnięć, lecz raczej — jamią się w pamięci dawne przeżycia.

Młodość żyje przyszłością, wiek dojrzały swoją teraźniejszością, starość — wspomnieniami.

Że w ciągu długiego żywota, na wozie i pod wozem, byłem świadkiem faktów i wydarzeń, którymi znaczyła się historia, że znałem wielu ludzi, których nazwiska były z tymi faktami i wydarzeniami związane, i że w polskim życiu literackim i artystycznym brałem czynny udział, — z dawien dawna przeznaczałem swój okres schyłkowy na wspominki.

Tkwiła w tym postanowieniu nieco samolubna chęć przeżywania raz jeszcze minionych lat.

Bo kochałem życie i wszystkie jego radości. Nie poddawałem się jego kaprysom, zarodom, ciosom. Kochałem piękno przyrody, literaturę, sztukę, muzykę, kochałem naderoszystko Ojczyznę, najbliższą rodzinę, niezależność i swoją pracę.

Po cudzej woli skakać nie umiałem. Swojej prawdy szukałem nie w programach politycznych i społecznych, lecz we własnym sumieniu.

Naczelną wartością wszelkich pamiętników jest ich subiektywna szczerść.

Operowałem materiałem nie ostyglým i w znacznej mierze przez uczoną analizę jeszcze nieustalonym. Nie mogę pretendować do nieomylności.

Moje wspomnienia wydają mi się nieskoordynowanym filmem, obejmującym kompleks przeżyć, zainteresowań i upodobań człowieka, którego młodość spłynęła w marazmie popowstaniowym b. Królestwa i w wielkich stolicach europejskich, wiek dojrzały — w zamęcie poprzedzającym wojnę światową i w burzliwym jej przebiegu, w dwudziestoleciu radosnych i uciążliwych poczynañ Odrodzonej Rzeczypospolitej. Ostatnie lata wreszcie — w piekle

nałokrutniejszej tragedii, jaka była przeznaczona Polsce i Polakom.

Jakże daleką jest *ma* wczesna młodość, kiedy niebo wydawało mi się tak bliskim ziemi, a przyszłość jarzyła się mirażem tryumfów i szczęśliwości. Ile przeobrażeń i przewrotów, wzlotów i upadków! *Aż* wreszcie męki, dla których nie starczyło łez!

Panie! Bądź nam miłościw!

Nigdy, Ojczyzno moja, Polak nie kochał Cię namiętniej, jak w tych straszliwych czasach!

Stefan Krzywoszewski.

Dziad mój, Dominik Krzywoszewski, wychowaniec Uniwersytetu Wileńskiego, był za czasów Królestwa Kongresowego wybitnym w Warszawie mecenasem. Wsławił się zwłaszcza obroną pułkownika Krzyżanowskiego przed Sądem Sejmowym. Aleksander Kraushar, znany historyk, ofiarował mi drukowany egzemplarz tej obrony, znaleziony w papierach po sen. Nowosilcowie, z tegoż odręcznymi adnotacjami na marginesach.

Gdy wybuchła rewolucja listopadowa, dziadek należał do Stronnictwa Patriotycznego i w salach Redutowych płomienne mowy wygłaszał. Mimo to zarówno Adam ks. Czartoryski, jak Ksawery ks. Lubecki darzyli go zaufaniem. Gromadząc materiały do mego dramatu p. t.: „Walka”, znalazłem w wydawnictwach Akademii Krakowskiej protokół z narady, jaka odbyła się w dniu 3-cim grudnia 1830 r., a w toku której ks. Czartoryski, na wniosek ks. Lubeckiego, powierzył memu dziadkowi inwentaryzację pałacu Belwederskiego oraz organizację poczt w całym kraju.

Babka moja, z domu Magdalena Keller, pochodziła ze spolszczonej rodziny niemieckiej. Jej bracia stryjeczni brali czynny udział w rewolucji berlińskiej 1848 r., wdarli się do Moabitu, aby uwolnić Mierosławskiego.

Nie mogę się tedy pochwalić nieskazitelną czystością rasy słowiańskiej, zwłaszcza, że i babka moja ze strony macierzystej Tekla Egersdorfówna, była córką Kacpra Egersdorfa, obywatela z pod Lublina. Rodzina Egersdorfów osiadła tam za czasów Saskich.¹⁾

Po upadku Rewolucji Listopadowej dziadek coraz więcej jął przebywać w Drwalewie, rozległym swym podówczas majątku pod Grójcem. Wreszcie całkiem do Drwalewa się przeniósł. I on,

¹⁾ Na akcie ślubnym mej prababki figurują podpisy Staszica i generała Madalińskiego, jako świadków.

i babka, i kilkoro innych członków rodziny pochowani są w kryptach tamtejszego kościoła.¹⁾

Za swych studenckich czasów w Wilnie dziadek był przewodniczącym tamtejszego Koła Prawników. Tak się złożyło, że akurat w sto lat później, gdy w końcu 1915 r. wskrzeszony został Uniwersytet polski w Warszawie, mój syn również został obrany przewodniczącym akademickiego Koła Prawników.

Ojciec mój, Władysław, ożenił się naprzód z Jasińską, córką głośnego w Warszawie chirurga, Jakuba Jasińskiego. Miał z nią dwóch synów: Ksawerego i Władysława. Po śmierci pierwszej żony, ojciec ożenił się z moją matką, Stefanią Homicką, córką oficera armii polskiej, która w r. 1812-tym pod dowództwem ks. Józefa Poniatowskiego uczestniczyła w kampanii rosyjskiej Napoleona. Feliks Homicki pod Możajskiem, na polu bitwy, otrzymał krzyż Legii Honorowej.

Był to żołnierz burzliwego charakteru, uwodziciel, pojedynkował się wiele razy. Babkę, która *primo voto* poślubiła zamożnego obywatela ziemi lubelskiej, Gołębiowskiego i kilkoro dzieci z nim miała, mężowi wykradł, wielkie larum niecąc. Uzyskał unieważnienie małżeństwa, ożenił się i miał z nią dwie córki. Po Rewolucji Listopadowej sprawował urząd Komisarza Wydziału Administracji i Oświecenia w Województwie Lubelskim. Zostawił zbiór wierszy: przelewało się w nich od kwilenia słowików, szeptów strumieni, słodkich woni kwiatów i czułych westchnień do ukochanej. Uczucia były tkliwe, rymy nieosobliwe.

Urodziłem się w dniu 11 czerwca 1866 r. w Snochowicach, pod Kielcami. Miałem zaledwie parę miesięcy, kiedy rodzice przenieśli się do Łęcina, pod Jędrzejów.

W Snochowicach rodzice przeżyli powstanie 1863 r. Ojciec parokrotnie stawał przed sądem wojennym w Kielcach, siedział pół roku w tamtejszym więzieniu. Kozacy, znalazłszy we dworze ukrytych powstańców, bez sądu chcieli go rozstrzelać.

Kiedy matka opowiadała o przeżyciach powstaniowych, ojciec najczęściej milczał; niekiedy podrażniony, wychodził z pokoju. Lecz gdy odwiedzali go dawni sąsiedzi i przyjaciele, rozmowa zwykle w końcu zahaczała o powstanie. Zostało mi w pamięci, że ojciec żywił głęboki kult dla Traugutta, niechęć — do Mierosławskiego,

¹⁾ Piękny portret dziadka, malowany przez Kokulara, znajduje się w posiadaniu innego jego wnuka, a mego kuzyna, generała dr. Witolda Hordyńskiego.

sympatię — dla Langiewicza. Matka później mi opowiadała, że był świadkiem egzekucji Traugutta w Warszawie. Przechorował ją.

Kiedyśmy zamieszkali w Warszawie, ojciec parę razy na tydzień spotykał się ze starym bankierem, Szymonem Rozenem, ojcem głośnego później malarza batalisty, Jana, z którym znowu ja byłem w przyjaźni. Szymon Rozen brał także udział w powstaniu. W częstych i długich rozmowach, które prowadzili, głównym tematem były wspomnienia.

Brat Ksawery, mimo wczesnego wieku, przesiedział cały rok w Cytadeli Warszawskiej.

Dopiero w 1915 r., po ustąpieniu Rosjan z Warszawy, Kraushar odnalazł nazwisko mego ojca w pozostawionych archiwach żandarmerii, jako jednego z delegatów Rządu Narodowego.

Ogród snochowski schodził do szosy, prowadzącej z Kielc do Małogoszczy. W okresie powstania szlak ten był ruchliwy: zdarzało się, że rankiem wpadali do dworu zgłodniaли i przemęczeni powstańcy. Trzeba było ich nakarmić, często dać świeżą bieliznę, ciepłą odzież. Kładli się spać w stodołach, pikiety nagle czyniły alarm, że idą Moskale. Nie zawsze można było wszystkich odnaleźć w sianie i słomie, rozbudzić i w porę wyprawić. W ostatniej chwili, gdy przednie straże moskiewskie zbliżały się do wsi, skrywano maruderów w spiżarni, na strychu, w stertach. Czasem żołdacy odnajdywali biedaków, zakuwali w żelaza. Podpalona sterta płonęła. Parę budynków gospodarskich tym trybem poszło z dymem.

Najgorsze jednak były niespodziane rewizje nocne. Dwór pogrążony we śnie, nagle tętent koni, Kozacy otaczają domostwo. Uderzenia kolb do drzwi, chrapliwe krzyki. Wpada tłuszcza brodata do pokojów, z karabinami i szaszkami w rękach. Moje maleńkie siostry drą się wniebogłosy. Służba oniemiała z przerażenia...

...Od szosy coraz częstszy, głuchy turkot armat i jaszczków z amunicją, powózek z prowiantami. — Punkt kulminacyjny powstania: bitwa pod Małogoszczą, parę kilometrów zaledwie od Snochowic! Langiewicz w nierównej walce z wielokroć potężniejszą armią Czengierego... Groźny huk dział, przytłumione oddaleniem salwy karabinów, wieczorem — łuny pożarów... Przy samotnym krzyżu za wsią matka modliła się z garstką domowników...

W tych opowieściach uosobieniem grozy i okrucieństwa był generał Czengier, który na całym południu Królestwa siłami rosyjskimi dowodził. Niesforne i krnąbrne dzieci straszono jego imieniem. W snach gorączkowych jawił się nam, jako nieubłagany potwór, krwi i mąk ludzkich niesyty. Matka była u niego w Kiel-

cach, gdy uwięziono ojca. Czengiery przyjął ją zimno i surowo. Carat ocenił jego zasługi, darząc rozległymi majoratami ze skonfiskowanych Polakom majątków.

W Łścinie spędziłem ośm pierwszych lat mego życia. Znałem wiele majątków, nieporównanie wspanialszych, do dziś dnia jednak wydaje mi się, że Łścin posiadał urok jedyny. Cóż z tego, że niski dwór, gontem kryty, w ziemię wrastał ze starości, że ganek był ciasny, pokoje mroczne. Obszerny ogród ściągał się aż do łąki, zamykała go aleja sędziwych lip. Najwspanialsza z nich, bardzo rozłożysta, stanowiła tuż przy dworze ulubioną w dni upalne altanę. Jakże słodka była jej woń, jak bujne i rozśpiewane życie w jej gęstym listowiu! Drobne ptactwo wychowywało tam swe pisklęta. tysiące pszczoł zwierzały się ze swych frasunków i radości. Wtórowały im owady niezliczonych kształtów. W jej cieniu spożywaaliśmy w pogodne dni letnie wszystkie posiłki.

Na skraju wsi, którą od dworskich zabudowań oddzielał szeroki trakt i piaszczyste nieużytki, stała kaplica, bardzo wiekowa. Jakoby Stanisław Orzechowski, wielki pisarz Złotego Wieku, nie bacząc na swój stan duchowny, w niej brał ślub z Magdaleną Chełmską. Stromy spadek ku łąkom i rzece był porośnięty leszczyną i dzikimi malinami. Tu tkwiły resztki grobów arjańskich. Wykopano z nich trochę monet i garnków bez osobliwszej wartości. W dżdżyste dni letnie czałem się nieraz w tych gąszczach w daremnej nadziei, że ujrzę na łąkach planetnika, spuszczonego się z chmur na niewidzialnym sznurze. Gdy prażył skwar, na miedzach, wśród łąnów pszenicy, wypatrywaliśmy nie bez lęku Południc, które miały wygrzewać się w słońcu. Podczas żniw zbieraliśmy na rżyskach kłoski, jesienią szukaliśmy w lesie grzybów i rydzów. Raz przebiegł nam blisko przez drogę wilk.

Życie na wsi w tych czasach (1870—74) było zgaszone i leniwe. Zniesienie pańszczyzny wywołało głęboki wstrząs w stanie posiadania ziemian. Majątki były nadmiernie obdłużone, gospodarka przestarzała, dotkliwie dawał się odczuwać brak komunikacji. W Królestwie istniały tylko cztery linie kolejowe: Warszawsko-Wiedeńska i Bydgoska na Zachód, Warszawsko-Petersburska i Terespol-ska na Wschód. Koleje: Nadwiślańska, Fabryczno-Łódzka i Iwan-grodzko-Dąbrowska zbudowane zostały później. Szos było mało, trakty i drogi boczne okropne. Łścin oddalony był od najbliższych stacji kolejowych (Myszków lub Zawiercie) o 10 mil, po fatalnych

drogach. Spotykało się starsze osoby, które w ogóle kolei żelaznej nigdy nie widziały, i bardzo sobie to chwaliły, poczytując ów rodzaj lokomocji za wymysł szatana. Na wsi nikt się nigdy nie spieszył. Dalsza wyprawa końmi, z długimi popasami i wielokrotnymi noclegami w znajomych dworach, posiadała swoisty powab.

Podróż do Warszawy, która dziś trwa 4 do 5 godzin, zajmowała dobę, niekiedy więcej. Gdy rodzice przenieśli się do stolicy, wielokrotnie całą drogę z Warszawy do Kielc odbywałem pocztową „kurjerką”. Z Kielc dostawałem się do Jasionny pojazdem, który po mnie przysyłano. Ach ta „kurjerka”! Wnętrze ciasne, ławy wąskie, niewygodne. W chłodne noce, kiedy okna szczelnie zamykano, zaduch panował nieznośny. Pasażerowie nierzadko podlegali chorobie morskiej. Opowiadano anegdotę o przytomności umysłu żyda, któremu miejsce przypadło obok zażywnego szlachcica. Ten zasnął szybko i mocno, kupca zmorzyło złe powietrze. Walczył długo z mdłościami, bronił się bohatersko, aż wreszcie tym gwałtowniejszym ładunkiem w chrapiącego obok sąsiada wystrzelił. Nikt tego nie widział, wszyscy pasażerowie spali. Wczesnym rankiem budzi się szlachcic. Cóż mu nie pachnie pod nosem. Bekiesza splugawiona. Zwraca się podejrzliwie do żyda:

— Co to ma znaczyć?

Ów uśmiecha się przymilnie.

— Pan dziedzic chorował! Czego tam nie było! Przyjemnie było patrzeć! I nawet bez przebudzenia! Tylko winszować!...

Zimą w sąsiedztwa jeździliśmy karetą na saniach. Leżało się w niej jak w karawanie żydowskim. Gdy odwiedzaliśmy moją matkę chrześną, panią Natalię Dobiecką w Łopusznie (matkę znanego później działacza politycznego, Eustachego Dobieckiego), pp. Olszowskich w Mieronicach lub krewnych matki, Zarębskich w Podłężu, wycieczka obliczana bywała na parę dni.

...Po wojnie francusko-niemieckiej (1870-71) na Zachodzie napływ nowej energii wyładowywał się na szerszym świecie we wspaniałym rozwoju wynalazków, postępów technicznych i bogactw. W Królestwie Kongresowym życie nadal płynęło nurtem wąskim i opieszałym. Skrwawione w powstaniu skrzydła wstrzymywały się od górniejszych wzlotów.

W monotonii cichego i nudnego żywota, ludzie na wsi mało troszczyli się o swoją doczesność. Szlagon, ożeniwszy się, rzadkim gościem bywał na jarmarkach, stawał się przedwcześnie piernikiem. Mężatka, po trzydziestce, zaniedbywała się w stroju i kształtach, niechała gorset, przyzwyczajała stopy do wygodnych pantofli. Hi-

giena we dworach była nieszczególna, kanalizacja nieznana. Wannę drewnianą uważano za zbytek: zazwyczaj przechowywano w niej świeżo złowione ryby.

Od tego czasu mózg ludzki wydarł przyrodzie wielki kompleks tajemnic. Stworzył cuda: telefon, fonograf, samochód, samolot, statki podwodne, radio, niezliczone, nieprawdopodobnie skomplikowane maszyny! Ale człowiek pozostał taki sam, jakim był w epoce Dżingis-Chana i Atylli.

.....

Ojciec począł w Łścinie budować nowy, piętrowy dwór. Miejsce obrał świetne: wśród starych drzew, na szkarpie, z której otwierał się widok na łąki i rzekę. Dom był pod dachem, gdy w późny wieczór jesienny wybuchł pożar. Spaliśmy już. Zbudziły nas krzyki, zawodzenia kobiet i żalosne uderzenia dzwonu. W oknach zaświeciła złowroga jasność. Poprzez szyby widać było ciemne sylwety kręcących się bezładnie ludzi, służba folwarczna i nadbiegli ze wsi chłopcy wiązali się w długi sznur, od studni aż do palącego się budynku. Z rąk do rąk wędrowały cebry i konwie z wodą, wracały puste. Kobiety zawodziły płaczliwie, dzieci darły się wniebogłosy. Wiatr niósł tumany iskier; obawiano się, że stary dwór również się zajmie. Wynoszono gorączkowo meble, dywany, obrazy. Nowy gmach wypełniony zbożem, palił się jak świeca, ojciec zdawał sobie sprawę z bezskuteczności ratunku. Po paru godzinach napięcie ognia poczęło słabnąć. Matka zabrała nas z powrotem do mieszkania.

.....

W pół roku później czekał nas smutek o wiele większy. Ojciec zmuszony był sprzedać Łścin i przenieść się do Warszawy. Szczególnie dotkliwym było mi rozstanie ze Staśkiem, synem karbowego Kajetana, nieodłącznym towarzyszem zabaw. Żal łagodziła perspektywa pierwszej w życiu podróży koleją. Opuściwszy wczesnym rankiem Łścin, wieczorem zajechaliśmy do Pilicy; tam przenocowaliśmy u kuzynki matki, Fediuszkowej. Nazajutrz rano dotarliśmy do Myszkowa. Po godzinnym oczekiwaniu, na widnokręgu zamajaczył ciemny dym. Zajęczał gwałtownie dzwon stacyjny, pociąg, skrzypiąc boleśnie, zatrzymał się przed peronem. Oszalał nas ruch podróżnych, bieganie służby kolejowej, gwar i pośpiech. Zgro-

zę i lęk budził barczysty i brodaty żandarm, posępnie czuwający na peronie nad bezpieczeństwem caratu. Znów (trzykrotny jęk dzwonu, okrzyki pożegnalne... Przypomniało mi się, że nie pożegnałem się z Frankiem, naszym stangretem. Chciałem wyskoczyć z wagonu, matka chwyciła mnie za rękę. Pociąg zgrzytnął łańcuchami i ruszył.

Myśl, że Franek, o tyle szczęśliwszy! będzie wracał końmi do domu, przejmowała mię gorąco. Zacząłem cicho płakać. Matka objęła mię ramieniem. W pobladłych jej oczach szklily się łzy.

W Warszawie czekała mię nauka. Pierwsze cztery klasy odbyłem w szkole prywatnej Pankiewicza. Potem rodzice przenieśli mnie do rządowej Szkoły Realnej, która mieściła się przy ulicy Jezuickiej, obok kościoła Pijarów.

Z kraju rolniczego Królestwo Kongresowe przekształcało się w kraj przemysłowy. Potrzeby wewnętrznego spożycia rosły, koniunktury wywozowe do Cesarstwa rozwijały się pomyślnie. Wysadzane z majątków rodziny szlacheckie osiedlały się po miastach, kształciły synów na lekarzy, adwokatów, inżynierów i kupców. Ideowo sprzyjał temu ruchowi kierunek pozytywistyczny, który ogarnął szersze warstwy inteligencji. Po długich i uciążliwych konwentylach rodzinnych, ojciec wybrał dla mnie karierę handlową.

Mnie już od trzeciej klasy dręczyły aspiracje literackie. Podniecała je — mimowolnie — matka, bardzo odcytana, zarówno w literaturze polskiej, jak francuskiej.

Lata, spędzone w Szkole Realnej (1878—81) zostawiły mi złe wspomnienia. Polityka rusyfikacyjna wytrącała z równowagi zarówno nauczycieli, jak młodzież. Na korytarzach szkolnych nie wolno było mówić po polsku. Nie stosowaliśmy się do tego zakazu, mimo szpiegujących pedlów, którzy włóczyli się nawet po mieszkaniach uczniów, szukając zakazanych druków.

Zagraniczne wydania Mickiewicza, Słowackiego, ich epigonów, ukrywano na dnie szaf i kufrów. Wypożyczano je sobie, urywki najbardziej przez cenzurę znienawidzone przepisywano z zapalem, uczyliśmy się ich na pamięć. Prześladowanie wzmacniało opór, hartowało wolę.

Po ukończeniu rządowej Szkoły Realnej przez dziesiątki lat w snach podgorączkowych wracał mi koszmar egzaminów.

Piotr Górecki, pierwszy dyrektor Polskiej Agencji Telegraficznej, opowiadał mi następujące zdarzenie, datujące z roku 1903-go, więc z czasów późniejszych. Do Piotrkowa miał przybyć z odczytem na powodzian Henryk Sienkiewicz. Miejskowa młodzież gim-

nazjalna była silnie poruszona zapowiedzią przyjazdu twórcy „Trylogii”. Gdy zbliżała się pora nadejścia pociągu, spora garść studentów wymknęła się z gmachu szkolnego. Dworzec kolejowy zaroił się od mundurków, w klasach było pusto. Nazajutrz inspektor wzywa Góreckiego. Ten zeznaje bez ogródek, że opuścił lekcję, by pobiec na dworzec.

— A czy ja nie uprzedzałem, że zabronione?, — woła ze złością „pedagog”.

— Owszem, pan inspektor uprzedzał.

— Jednak poszedłeś!

— Chciałem zobaczyć Sienkiewicza.

Wzburzony dygnitarz wziął się za boki.

— Tak kto u ciebie ważnieje, „pan Sienkiewicz”, ili inspektor gimnazji?

— Pan Sienkiewicz.

— Czterdzieści ośm godzin karceru!

W ten sposób metodą pogładową wpajano w młodzież przekonanie, że opór władzy bywa bohaterstwem, kara — prześladowaniem.

Jakże niepodobną była ówczesna Warszawa (1874—1881) do dzisiejszej! Od strony zachodniej, śródmieście kończyło się w Alejach Jerozolimskich. Dzisiejsza Aleja Trzeciego Maja zbiegała dość silnym spadkiem ku Wiśle: była głębokim, licho zabrukowanym traktem z wysokimi ścieżkami wśród zdziczałych krzaków po obu bokach. Nie było bezpiecznie chodzić tymi szlakami późniejszym wieczorem. Komunikację z Saską Kępą utrzymywały chybotałe łodzie, zazwyczaj nadmiernie wypełnione. Świeżo wytknięta ulica Włodzimierska (późniejsza ul. Czackiego), była niezabudowana. W tym miejscu, gdzie wznosił się potem gmach Banku Handlowego, pamiętam drewniany cyrk, w którym piękna pani Salomońska budziła podziw swą mistrzowską „wyższą szkołą jazdy”. Bagatela była tak od śródmieścia odległą, że rodzice Alfreda Konara wyprowadzali się tam z miasta na letnie mieszkanie. Gdzie dziś budynki Szpitala Dzieciątka Jezus, mieścił się folwark Świętokrzyski. Wiosną urządzaliśmy majówki, by na jego obszernych murawach grać swobodnie w palanta. Z pod nóg pomykały zające lub zrywały się kuropatwy. Jedyna linia konnego tramwaju łączyła dworzec Warszawsko-Wiedeński z Petersburskim. Gdzie dziś Park Ujazdowski plac był pusty, nędzną trawą porośły, dołami wyżłobiony. Letnią porą stanowił ulubione miejsce wywczasów dla t. zw. mętów miej-

skich. W Święta Wielkanocne wypełniały go karuzele, strzelnice i naprędce sklecone budy, w których przepowiadano przyszłość, a kobieta z brodą, za niewygórowaną opłatą, pozwalała szczypać się w łydkę.

Od czwartej klasy, w każdą prawie sobotę, pod wieczór, wystawałem cierpliwie przed zamkniętymi drzwiami teatru Rozmaitości lub Wielkiego. Gdy woźni otwierali je, ścigaliśmy się po kamiennych schodach, kto pierwszej zdąży zająć dogodniejsze miejsce. Paradyz i galeria były nienumerowane. Że w tym wyścigu nie łamano sobie rąk i nóg, były to już osobliwe łaski Thalii i Melpomeny. Modrzejewską pamiętam tylko z występów gościnnych. Łączyła niepospolitą, cokolwiek majestatyczną urodę z głęboką uczuciowością i niewolącym czarem kobiecym. W mężu, hr. Chłapowskim, znalazła wykształconego doradcę. Talent Modrzejewskiej przetapiał wszystko, co tkwiło w roli, na kruszec szlachetny. Ojciec mój zarzucał jej, że była za chuda i za bolesciwa. Po „Damie Kameliowej” mówiono, że Modrzejewska „elle a le phtisque de l'emploi”.

Bakałowiczową widziałem tylko jeden raz na scenie. Grała z Popielką rolę chłopca w jednoaktowym wodewilu „Grzeszki babuni”. Obie były przez publiczność uwielbiane. Wraz z „Grzeszkami”, grano inny wodewil: „Piosnkę wujaszka”. Niesłychany tryumf święcili w niej Aloizy Żółkowski i Szymanowski. Kiedyś, po latach, wpadł mi w ręce egzemplarz tej jednoaktówki. Cóż za naiwność i prostota, ile łatwiej bawiono się przed laty!

Cenzura usuwała pilnie z repertuaru wszystkie utwory, mogące treścią podniecić uczucia patriotyczne lub rozważania społeczne.

Popielkę pamiętam dokładnie. Szczególnie utkwiły mi w pamięci jej role w „Helenie de la Seiglière”, w „Wielkim człowieku do małych interesów” i w „Ślubach Panieńskich”. Posiadała niezrównany wdzięk i urok, łączyła filuterny dowcip z delikatnym sentymentem. Jej śmiech porywał salę, jej łzy wzruszały. Niestety, ówczesne role „naiwne”, które zmuszona była stale odtwarzać, zarówno w sztukach cudzoziemskich jak oryginalnych, powtarzały się dość szablonowo. Pod względem gry aktorskiej przedstawienia w Rozmaitościach bywały wyborne, współzawodniczyły z najpierwszymi scenami Zachodu. Teatr nasz posiadał nie tylko znakomitych protagonistów do ról głównych, lecz także wyśmienitych artystów do ról drugorzędnych. Reżyseria szwankowała, dekoracje i wystawa bywały skromne i bez polotu. Dopiero gościnne występy zespołu meiningeńskiego wywołały żywszą w tej mierze staranność.

Opróżnione przez Modrzejewską stanowisko bohaterki dramatycznej usiłowała zająć Derynżanka. Miała niewątpliwy talent, lecz brakło jej wdzięku, — tego wdzięku, który w teatrze niekiedy i poniekąd zastępuje talent, a bez którego talent nie rozgrzewa widzów. Derynżanka cieszyła się większym powodzeniem u krytyki, niż u publiczności. Wyszedszy za męża, opuściła scenę i Warszawę.

Na krótsze ferie wyjeżdżałem do stryjostwa Bolesławów do Drwalewa. Tam też odbył się ślub mojej młodszej siostry z Ludwikiem Łaszczem, synem jednego z bardziej szanowanych obywateli z sąsiedztwa.

Stryj Bolesław, najmłodszy z rodzeństwa, faworyzowany był przez babkę i w spadku otrzymał główny majątek. Ożenił się w sąsiedztwie i bogato z panną Anielą Chudzyńską. Życie w Drwalewie było dostatnie, niekiedy huczne. Sąsiedztwa — liczne i zamożne. Gdy mieli przybyć goście, dziewczęta folwarczne od wczesnego ranka goniły kury, kaczki i indyki. Kucharz, zachęcony sutą miarką okowity, nadziewał nieszczęsne ptaki na rożny! Nedorostki kuchenne kręciły zawzięcie i z namaszczeniem banie z lodami. Stryj wyjmował z biurka klucz od piwnicy, i poprzedzany przez starego służącego Karola, który niósł przed nim uroczyście mosiężny świecznik, szedł wybierać wina i starkę. Koło południa poczynali zajeżdżać przed taras karety, powozy i bryczki na resorach. Szlachta lubowała się w rasowych koniach, wytwornych pojazdach i zaprzęgach. Gdy wszystko było dociągnięte „na ostatni guzik”, szczęśliwy posiadacz jechał do Warszawy z wańtuchami, natkanymi wełną, na jarmark wiosenny, wyścigi i zielony karnawał. W Alejach Ujazdowskich swą czwórka nieraz palmę pierwszeństwa osiągał, — wawrzynów jeszcze wtedy nie udzielano.

Trzaskanie z biczów, tubalne okrzyki i śmiechy, serdeczne powitania! Świetniejsze zaprzęgi musiały parę razy dokoła trawnika objeżdżać. Stryj i goście lustrowali je wytrawnym wzrokiem znawców, wypowiadali uwagi, rubasznym dowcipem przysolone. Stryjenka prowadziła panie do swej gotowalni, potem do buduaru. Sala balowa była mało przytulna; niechętnie w niej pozostawano, chyba, że były tańce. Panowie przechodzili od razu do wielkiej jadalni, w której stół już od rana był pieczołowicie nakryty. Mniejszy stół przy oknie — zastawiony bywał zakąskami i butelkami. Że zawsze ktoś się spóźniał, panie w buduarze skracaly oczekiwania wymianą najświeższych wiadomości sąsiedzkich, panowie od niechcenia zabierali się do kieliszków. W większe uroczystości

szedł w kolejkę duży kielich kryształowy, pięknie rznęty, który dziadek otrzymał w podarku od przyjaciół myśliwych. Niewyszukany rym świadczył o szczerości uczuć: „Niechaj ten, co dobrze łyka, pije zdrowie Dominika”. Gwar rósł, śmiechy buchały, jak grzmoty. Szły sprośne anegdoty, stare i nowe, wszystkie naiwne i prostackie. Wyrzekano na suszę, lub na deszcz, na niskie ceny i zepsucie służby folwarcznej, na niegodziwość łapowników z powiatu. Gdy rozmowa schodziła na konie i zaprzęgi, często rozpoczynały się handle. Celował w nich Michał Daszewski z Brzumina nad Wisłą, szlachcic wesół, zadzierzysty i o wyobraźni tak lotnej, że nigdy nie można było wiedzieć, czy mówi prawdę, czy też daje upust fantazji. Handle miały charakter specyficznie zamienny. W grę wchodziły konie, pojazdy i uprzęże, liberia stangretów, broń i przybory myśliwskie — okazy bydła rasowego, na dodatek — nawet szlachetniejsze ptactwo domowe. Rozgorzałe temperamenty ponosiły jednych, frantowski spryt i krztyna chciwości podniecały innych. Z wielką uciechą opowiadano o młodym szlachcicu, nie-najbardziej rozgarniętym, który przyjechał nowiuteńką bryczką, zaprzężoną w parę doskonałych kasztanów. W toku dłuższych a pospiesznych transakcji, mocno zakrapianych starką, jako równowartość całego zaprzęgu, pozostał mu bat autentycznie angielski, *made in London*. Gospodarz musiał odsyłać go swojemi końmi do domu. Stary pan Łaszcz stronił od tej zabawy, wołał paniom dotrzymywać towarzystwa.

Wreszcie Karol, w białych rękawiczkach i uroczystym surducie, oznajmiał, że podano do stołu

Stryjenka Aniela, impulsywna i trochę arystokratyzująca, należała do rzędu kobiet niezrozumianych. Myła się w wodzie ciepłej i perfumowanej, którą w srebrnej miednicy podawano jej do łóżka mahoniowego, w stylu Pierwszego Cesarstwa. Przepadała za cukierkami od Anczewskiego i za romansami Feuillet'a i Ohnet'a „Pan de Camors” był jej ideałem. Podejrzewałem, że pod poduszkami chowała fascynujące „Tajemnice Paryża” Eug. Sue lub swywolne powiastki Pawła de Kocka, które uchodziły za gorszące. Dziś znudziłyby podlotka.

Rodzice mego szwagra, Ludwika Łaszcz, mieszkali w Staniszewicach, pod Górą Kalwarią, Pan Łaszcz brał czynny udział w powstaniu, opłacił go dłuższym pobytem na Syberii. Żonaty był z Francuzką.

W Staniszewicach zetknąłem się po raz pierwszy z Julianem Fałatem. Przybył do Warszawy z Monachium, gdzie się zaprzyja-

źnił z Edmundem Łaszczem, młodszym bratem mego szwagra. Ten zaprosił go na wakacje do Staniszewic. Fałat był w tym czasie malarzem początkującym i mało znanym.

Na początku jesieni odbyła się w Staniszewicach mała domowa „polówka”. Wziął w niej udział i Fałat. Stanęliśmy linią w niskich krzakach. Kilkunastu chłopaków, pod przewodem dwóch gajowych, pędziło na nas nieliczną zwierzynę. W jednym miocie przypadło mi stanowisko obok Fałata. O pareset kroków przede mną, wzdłuż naganki, szorował zając. Nagle skręcił w stronę Fałata. Ten przyłożył fuzję do ramienia, zamarł w bezruchu. Lecz wydało mu się i to niedostatecznym. Przyklęknął. Zając sunął prosto na niego. Gruchnął jeden strzał, drugi. Fałat porywa się z ziemi, biegnie jak szalony. Zając dostał mocno po zadnich skokach, ale kuśtykając i przeraźliwie kniaziąc, umykał, Fałat za nim. Któryś z myśliwych drze się: Nie wolno schodzić ze stanowiska! Fałat nie słyszy, goni po krzakach upartego kota. Dopadł go wreszcie, niesie tryumfalnie.

— Taj że on byłby ucik! Mój pierwszy zając!

Tego dnia zawarłem z Fałatem, o kilkanaście lat odemnie starszym, przyjaźń, która przetrwała aż do jego śmierci, to jest blisko pięćdziesiąt lat

Inne było pożycie u mego brata w Jasionnie. Folwark ten, należący do Łęcina, Ksawery otrzymał, kiedy ożenił się z panną Julią Winnicką. Ojciec mojej bratowej w niedalekim sąsiedztwie dzierżawił kilka majątków, należących do majoratu gen. Czengierego. Młoda para wybudowała na piaszczystym wzgórzu w Jasionnie skromny dwór, założyła dokoła park, parę rozległych sadów.

Gdy ustanowiono sądy gminne, Ksawery został powołany z wyboru na sędziego w Jędrzejówce. Sprawował przy tym inne obowiązki obywatelskie. Administracją majątku zajmował się rzadca, ogrodem i gospodarstwem domowym — bratowa. Ksawery i Julka stanowili zachwycającą parę małżeńską. Dla niego żona była najpiękniejszą i jedyną kobietą, jaką bliżej znał i kochał, dla niej on był jedynym mężczyzną, najmądrzejszym i najszlachetniejszym. Ich wzajemna miłość promieniowała pogodnym, spokojnym szczęściem. Ksawery zwykł był kłaść się rychło spać, bo wstawał wcześnie. Jeśli my, młodzi, przeciągaliśmy wieczór, Ksawery niecierpliwił się w małżeńskiej sypialni na piętrze, czekając na żonę. Nawet kiedy miał siedemdziesiąt lat, stale powtarzała się ta sama scena. Przychodziła pokojówka i meldowała dyskretnie, że pan prosi starszą panią... Julka, już koło sześćdziesiątki, rumieniła się

jak podlotek. A jeśli zameżne córki uśmiechały się nazbyt dwuznacznie, oburzała się na ich zepsucie — i biegła szybko po stromych schodach na piętro.

Jasność umysłu i ludzkość charakteru Ksawerego sprawiała, że cieszył się powszechnym uznaniem: szanowali go sąsiedzi, mieli doń zaufanie chłopci, wierzyli w jego sprawiedliwość żydzi. Każdego ranka przed wyjazdem do Jędrzejowa na sądy, przy ganku wyczekiwało kilku gospodarzy, szukających rady lub pomocy. Kompetencje lekarskie Julki i jej domowa apteczka ściągały kobiety wiejskie nie tylko z Jasionny, ale i ze wsi okolicznych.

Podczas pierwszego śniadania, które w lecie spożywaliśmy na ganku, zjawiał się niezawodnie pachciarz Lejba, rosły żyd z długą siwą brodą i życzliwie uśmiechniętymi oczami.

Kłaniał się z szacunkiem, stawał w przystojnej odległości i milczał. Ksawery pytał.

— Cóż tam słyhać, Lejba?

Jasiński minister informacji rozpoczynał raport. Jakim sposobem wiedział zawsze i dokładnie o wszystkim, co się działo w okolicznych dworach, było to nieodgadnioną tajemnicą. W sprawach, dotyczących kupna, sprzedaży i cen, Lejba solidaryzował się zawsze ze zdaniem Ksawerego, nigdy — ze zdaniem pana Aleksandra, rządcy, ten bowiem mądrość pachciarza lekceważył, a uczciwości nie dowierzał.

Teść Ksawerego, Tomasz Winnicki, mieszkał w Niegosławicach, o dwie mile od Jasionny. Był to stary szlachcic wysokiego wzrostu, barczysty i krzepki. Oczy miał niebieskie, gęstą czuprynę i sute wąsy — nieskazitelnie białe. Uchodził za tyrana, bo ciągle huczał i gdzieś komuś soczystym słownikiem wymyślał. Kochał się w koniach, hodował araby wielkiej urody. Goście nie mogli mu sprawić większej przyjemności, jak prosząc o zaprezentowanie stadniny. Stajenni przeprowadzali przed gankiem wspaniałe rumaki, stary szlachcic promieniał dumą. A gdy w białym kitlu i słomianym kapeluszu jechał czwórka zaprzęzoną w lejce, — stangret w białej kierezji i czerwonej rogatywce z pawim piórem, — na jarmark do Jędrzejowa lub Wodzisławia, czy też poprostu na nabożeństwo świąteczne do Nawarzyc, po drodze chłopci i żydzi zatrzymywali się z podziwem.

— Pan Winnicki z Niegosławic!

Raz w słoneczną niedzielę czerwcową, wybraliśmy się w dwa pojazdy z Jasionny do państwa Winnickich na obiad. Tegoż ranka trzeci z rzędu syn, płowowłosy dryblas ogromnego wzrostu, już pod

wąsem, przywrócił z Kielc niemiłą wiadomość, że po raz trzeci bezapelacyjnie, obciął się na egzaminach z czwartej klasy i że wskutek tego gimnazjum pożegnało go ostatecznie.

Cały dwór niegosławicki, nie wyłączając służby, był zwarzony. Pan Tomasz zamknął się z nieborakiem w gabinecie, krzyki rozgniewanego ojca słyhać było we wszystkich pokojach, nawet w ogrodzie. Okrągła jak dynia, pani Winnicka lamentowała żalostnie. Wreszcie drzwi od gabinetu otworzyły się z trzaskiem, pan Winnicki z wielkim fukiem wołał na służącego, by salon odemknął i meble z dywana usunął. Zrozumieliśmy ponure znaczenie tych rozkazów. Pani Winnicka zaczęła mdleć, służbie wszystko leciało z rąk. A stary pan zdjął ze ściany dyscyplinę, kazał krnąbrnemu synowi iść do salonu. Ksawery wziął mnie pod ramię i wyprowadził do ogrodu. Niebawem usłyszeliśmy niesamowity ryk delikwenta, lapidarne okrzyki starego pana, spazmatyczne zawroscenie pani Winnickiej, tudzież ciche szlochy dziewczyn pokojowych, nie mogących pohamować współczucia dla przystojnego panicza. Ksawery tak się wzburzył, że kazał zaprzęgać. Pani Winnicka zamknęła się w sypialni, pan Winnicki — w gabinecie. Przed ganek zajeżdżają nasze pojazdy. Pan Winnicki, bardzo urażony, nie chce się żegnać! Julka, w potrzebie stanowcza, rozprawiła się krótko z Ksawerem, odesłała konie do stajni. Zasiadliśmy do obiadu. Delikwent odmawiał przyjęcia. Pan Winnicki przez lokaja kazał mu stawić się natychmiast. Julka pobiegła za lokajem. Po chwili wróciła z bratem, który usiadł na szarym końcu, nie patrząc na nikogo. Przez cały czas obiadu nie podniósł oczu i nie wymówił słowa. Ale jadł za dwóch. Czuł się skrzywdzonym i głodnym. Do dzisiejszego dnia pamiętam menu tego smętnego obiadu: rosół z kluskami francuskimi, sztuka mięsa w sosie chrzanowym, polędwica z mizerią i lody...

W Niegosławicach polowałem wielokrotnie z chartami na zające. Pan Winnicki, mimo późnego wieku, trzymał się w siodle dziarsko i sadił przez rowy i opłotki bez wahania. Lecz gonitwa za tracącym dech zającem nie sprawiała mi uciechy. Wolałem iść z dubeltówką w pole lub na łąki. W Jasionnie znalazłem do tych włóczęg wybornego towarzysza. Był nim sędziwy już, lecz niezmordowany klusownik, pan Stachurski, który mieszkał, wraz z siostrą i pieskiem, kątem u jednego z gospodarzy. Pan Stachurski był wysoki i chudy, chodził równo i spokojnie, lecz takie kroki stawiał, że niełatwo było dotrzymać mu placu. Panna Stachurska, niewiele od brata młodsza, dzieliła z nim ciasną izbę; na noc koło łóżka

zawieszała płachtę, by skromności dziewiczej na szwank nie narażać. Pochodzili ze szlachty zagrodowej, z pod Dobrzynia. Z tego powodu pan Stachurski, lubo ubogi, jak szczur kościelny, o chłopach nie odzywał się inaczej, jak „chamy”. We wsi mówiono, jakoby z moskalami w Powstaniu wojował. Gdy go pytano, czy to prawda, milczał. Strażnicy ziemscy byli na niego zawzięci, nachodzili chałupę w dzień i w nocy, szukając broni. Czasem udało im się pochwycić nędzną fuzyjczykę. W tydzień później pan Stachurski już miał nową pojedynkę, drutem lub szpagatem umocowaną. Na pozór wydawała się niebezpieczniejszą dla strzelającego, niż dla zwierzyny. On jednak do zająca, cóż dopiero do kozła, nie chybił.

Wczesny ranek wrześniey. Wschodzące słońce czerwieni szyby okien, niebo w bladych seledynach, dwór pogrążony we śnie. Stachurski w wytartej, poplamionej kurcie, wysokich butach i czapce nieokreślonej barwy i kształtu, czeka cierpliwie pod oknami. W rękach ukochana pojedynka własnej produkcji, na plecach torba borsucza, prawie doszczętnie ołysiała.

— Czas, paniczu! Po rosie kury będą dosiadywać.

Gospodyni z wieczora jeszcze przygotowała kromki chleba z mięsem i serem. W torbie manierka z wódką. Ruszamy rażno przez ogród w rżyska. W duszy taka ochota, że chciałoby się skakać i śpiewać. Jedna tylko obawa: żeby nie pudłować. Pan Stachurski bardzo nie lubił zmarnowanego prochu i śrutu, znał ich cenę. Sam do kuropatw strzelał niechętnie: mięsa mało. Chyba, że we dworze zamówili.

W zimie co innego, powiada, — podjedziesz sankami, wyrznieś do stada w śniegu, od jednego strzału zostanie pięć — sześć kur.

Jako biegły już w obowiązujących obyczajach myśliwskich, strofowałem starego.

— Wstyd, panie Stachurski! W zimie — do siedzących kuropatw! Któż to widział!

Stachurski spoglądał na mnie wyblakłymi oczami, uśmiechał się pocziwie. Paniczowi łatwo mówić!

W tych wędrówkach towarzyszył nam stale Medor, wierny i nieodstępny „piesek” starego kłusownika. Był to kundel nieprawdopodobnie chudy i „pażerny”. Pan Stachurski upatrywał w nim skarby najcenniejszych zalet. W istocie rzeczy Medor ploszył kuropatwy bez opamiętania, zaś na te, które padły, rzucał się z taką żarłocznością, że trzeba mu było je kijem z zębów wydzierać.

Hejże, stary panie Stachurski! Oddawna już pola elizejskie depcesz, czekając na mnie i pewno się niecierpliwisz. Niezadługo się zamelduję, tylko na co my tam będziemy polować?...

Jesienią 1881 r. wstąpiłem na pierwszy kurs Warszawskiej Szkoły Handlowej im. Leopolda Kronenberga.

Zadaniem tej Szkoły, w myśl ówczesnych ideałów pozytywistycznych, miało być kształcenie i obywatelskie urabianie przyszłych działaczy i pracowników na polach bankowości i handlu.

Władze zaborcze bały się jak ognia uczelni polskich o wyższym poziomie. Kronenberg z trudem uzyskał koncesję na szkołę zawodową o trzech kursach, z rosyjskim językiem wykładowym. W rzeczywistości był to wyższy zakład naukowy, o programie wszechstronnym, ze szczególnym uwzględnieniem przedmiotów, dla zawodu kupieckiego potrzebnych i pożytecznych. Te wykładali tak znakomici fachowcy, jak Karol Deike, Eugeniusz Zieliński i inni...

Szkoła im. Kronenberga była poniekąd paradoksem anormalnych stosunków, jakie wywołuje sztuczne hamowanie przyrodzonego rozwoju. Lwią część wykładów obejmowały przedmioty, mało lub nic nie mające wspólnego z finansami i handlem. Literaturę polską wyładał Roman Pleniewicz, rosyjską — Bałaszewski. Profesorowie języków francuskiego i niemieckiego (Delacroix i Kubicki) znaczną część swych wykładów literaturom Francji i Niemiec poświęcali. Aeropag profesorski składał się z najwybitniejszych naukowców stołecznych, b. profesorów i docentów pogrzebanej żywcem Szkoły Głównej. W rosyjskim Uniwersytecie Warszawskim miejsca dla nich nie stało. Umieli wszystko — prócz języka, w którym mieli wykladać. Więc wykładali po polsku.

Byli to, prócz powyżej wymienionych, Korzon, Smoleński, Witold Wróblewski, Słóarski, Gosiewski, Milicer, Michał Szymanowski, Dickstein, Ignacy Chrzanowski (później)...

Gdy do Szkoły przybywał na wizytację nieproszony gość z kuratorium (zwykle inspektor Hornberg), profesorowie, uprzedzeni przez pedlów, zaczynali szkaradnie kaleczyć mowę Puszkina. Trzeba było sporej wytrzymałości, żeby tę torturę wytrzymać. Raz lub dwa razy na rok odwiedzał Szkołę sam kurator Witte, stary zasuszony Niemiec, który w swym granatowym fraku i czarnym halstuku wyglądał jak ptak źle wypchany, gdzieś na wysokiej szafie zapomniany i nigdy nie odkurzany. Siadał wraz z dziekanem Przystańskim uroczyście koło katedry i z lekka zasypiał. Po kwadransie budził się, wstawał, składał ukłon profesorowi, który prowadził

wykład, — i, nie powiedziawszy słowa, unosił swą dostojną obecność.

Raz trafił na lekcję Korzona. Okropny akcent rosyjski profesora obrzydził panu kuratorowi drzemkę. Skrócił więc pobyt i tak spieszenie się ulotnił, że zacny Korzon tego nie zauważył. Walił dalej swój wykład w języku, który w jego przekonaniu był rosyjskim, a w którym połowa słów była polskich, zaś akcent złośliwym trafem nigdy nie padał na właściwą samogłoskę. Z ław odzywały się życzliwe głosy:

— Panie profesorze! Już go nie ma!

Uczony historyk milkł, jego krótkowzroczne oczy rozjaśniały się łagodnym uśmiechem.

Szkoła im. Kronenberga, w swym programie szeroko rozbudowana, pozwalała słuchaczom koncentrować wysiłki w kierunkach, odpowiadających indywidualnym zdolnościom i upodobaniom. Większość młodzieży studiowała z zapalem nauki, związane z zawodem handlowym. Stworzyli później wysoko cenione kadry pracowników gospodarczych, zajęli bardzo wybitne stanowiska. Lecz nie brakło słuchaczy, którzy większe znaczenie przywiązywali do wykładów, luźny mających związek ze światem interesów.

Upodobania literackie zbliżyły mnie w Szkole im. Kronenberga do Alfreda Konara, który, aczkolwiek o parę lat ode mnie starszy, znalazł się ze mną na tym samym kursie. I do Antoniego Mieszkowskiego, późniejszego sekretarza redakcji „Kuriera Codziennego”, wojowniczego krytyka teatralnego. Konar już wtedy zaczynał pisywać nowele, na razie w języku francuskim. Stosunek mój z nim był dość dziwny. Żyliśmy w przyjaźni przez kilka dziesiątków lat, nie będąc w stanie nigdy wyrównać dzielących nas różnic w poglądach na życie, ludzi i świat. Umysłowość Konara była związana z dominującymi prądami epoki, z pozytywizmem filozoficznym, liberalizmem politycznym, realizmem w literaturze. Z przyrodzenia był pesymistą. W człowieku dopatrywał się przeważnie instynktów i skłonności niskich, każda siła wydawała mu się źródłem złego. Irracjonalne pierwiastki w duszy ludzkiej uważał za szarlatanerię, nienawidził barbarzyństwa, grubości obyczajów, złych form towarzyskich. Był stuprocentowym pacyfistą, — w uczuciach abstrakcyjnych podejrzewał zawsze spekulację na popularność. Znał dobrze współczesną literaturę francuską, był ożywiony i dowcipny, ładnie grał na fortepianie, chętnie śpiewał miłym barytonem. Obaj wtedy, pod wpływem Buckle'a, Draper'a, Spencer'a i Taine'a, ży-

wiliśmy jednakową wiarę w rozwój i postęp kultury, a przez kulturę — ludzkości.

Konar, jako powieściopisarz, stał się utalentowanym historiografem życia małego i ludzi małych, pochłoniętych troskami powszednimi i sprawami osobistymi. W jego przekonaniu zadaniem pisarza było odtwarzanie prawdy życiowej, widzianej przez pryzmat indywidualności autora.

Pozytywizm i hasła pracy organicznej podejmowały walkę z popowstaniowym marazmem gnuśności, upadku ducha i zacofania. Głoszono, że niema tak złej sytuacji, w której naród nie mógłby znaleźć dróg do rozwoju, rysowały się kontury zabiegów ugodowych. Lecz społeczeństwo bało się jak ognia, aby kompromis nie poprowadził do rezygnacji. Wśród młodzieży krążyły zaczątki buntu. Rzucano hasła pracy nad uświadomieniem ludu. Organizował się socjalizm. Proces Waryńskiego (1883) miał rzucić postrach. Nic z tego! W 1892 r. pod przewodnictwem Bolesława Limanowskiego w Paryżu, zawiązała się Polska Partia Socjalistyczna. Uczucia patriotyczne warstw burżuazyjnych znalazły swój wyraz organizacyjny w Stronnictwie Narodowo-Demokratycznym.

W teatrach warszawskich pozostali jeszcze na czołowych posterunkach Żółkowski i Królikowski, obaj już wiekiem nachyleni. Królikowski był artystą wysokiej klasy, posiadał siłę ekspresji i giestu niezrównaną. Żółkowski zgrywał się w ostatnich latach swego życia ponad miarę. Gdy publiczność reagowała powściągliwiej, podchodził do rampy i zaczynał łypać rybimi oczami, dopóki wybuchu śmiechu nie wywołał. Wybaczano ulubieńcowi wszystko. Z młodszych artystów wyróżniali się Szymanowski i Tatarkiewicz, nieco później — Ładnowski. Miejsce Derynżanki w dramacie zajęła Marcellówna. W komedii współczesnej współzawodniczyły ze sobą Wisnowska i Czakówna, obie młode i urocze. Paradyz i galerie dzieliły się na dwa obozy: każdy walczył bohatersko i zgiełkliwe o honor swojej gwiazdy. Nie brałem udziału w tych bezkrwawych walkach, sympatie moje jednak były po stronie Wisnowskiej. Jej subtelny talent, niepokojący czar modrych oczu i wdzięczna postać mąciły młodą wyobraźnię. Nie przeczuwałem, jaką rolę w kilka lat później odegra w moim życiu.

Grywano sztuki przeważnie polskie i francuskie. Cenzura była niemiłosierna. Twórczość polska mogła się imać niemal wyłącznie tematów obyczajowych; najistotniejszych zagadnień, które nurtowały zbiorową duszę polską, nie wolno było tknąć. Nazwisko Słowac-

kiego pozostawało na indeksie: twórca „Mazepy” i „Balladyny” figurował na afiszach pod literami J. S. Ze współczesnych pisarzy polskich prym w teatrze trzymali Bliziński, Fredro syn, Narzyski, Sarnecki, Świętochowski, Zalewski, Lubowski, Przybylski, Gawalewicz, Karczewski.

W 1883 r. otrzymałem dyplom. Rodzina postanowiła wysłać mnie na uzupełnienie studiów do Antwerpii. Tamtejszy Wyższy Instytut Handlowy, na poziomie uniwersyteckim, cieszył się wysokim uznaniem.

Wakacje spędziłem jak zwykle w Jasionnie. Ksawery przejął w tych czasach od teścia dzierżawę jednego z majątków czengierowskich, — Łączyn, tuż pod Jędrzejowem. Urodzaje były pomyślne, humory doskonałe. Z niedalekich Motkowic przyjeżdżała do Jasionny często pani Konstantowa Górską, która z pięciorgiem dzieci różnego wieku letnie miesiące na wsi zwykła była spędzać.

Z domu księżniczka Galicyńna, pochodziła ze starożytniej rodziny bojarów rosyjskich, której jedna odrośl przyjęła religię katolicką. Księżęta Galicynowie piastowali w Rosji najwyższe stanowiska. Jednego z nich, właściciela wielkich majątków na Krymie, łączyły tak bliskie stosunki z dworem, że zarówno Aleksander III, jak Mikołaj II przybywali do niego chętnie w gościnę.

Pani Górską była katoliczką i patriotką polską.

Najstarsza jej córka poślubiła Kazimierza hr. Sobańskiego. Niezwykle inteligentna i uzdolniona, czytała wiele dobrych książek, odznaczała się żywością umysłu. Drukowałem w „Świecie” parę jej zajmujących nowel.

Pani Konstantowa Górską przyjeżdżała do Jasionny w dwa powozy, z całą dzieciarnią i sztabem różnojęzycznych guwernantek. W Motkowicach tryb życia był wielkopański.

W październiku 1883 r., pod opieką Tomasza Łaszcza, młodszego brata mego szwagra, a który odbywał studia w Liège, wyjechałem do Antwerpii.

A N T W E R P I A I G D A Ń S K

Serce skakało niespokojnie, gdy wysiadłem z wagonu w Antwerpii. Pierwszy raz w życiu znalazłem się w obcym mieście, własnym siłom zostawiony. Zameldowałem się w kancelarii Instytutu. Przyjęto mnie bez wstępnych egzaminów, udzielono informacji o wolnych kwaterach w dzielnicy studenckiej. Tegoż dnia znalazłem locum, które składało się z dwóch szczupłych pokojów. Ulica była cicha, dom miał trzy okna frontu. Gospodyni, flamandka, piąte przez dziesiąte rozumiejąca po francusku, mieszkała w schludnej suterynie. Głównym i najbardziej reprezentatywnym współlokatorem był aptekarz wojskowy, znakomity Don Żuan i doświadczony wytwórca w trybie domowym likieru anyżkowego. Celował również w przyprawie sałaty, przy czym domagał się zawsze od gospodyni świeżego masła zamiast oliwy. Gospodyni uważała to żądanie za osobistą urazę. Na tym tle powstawały spory, które oficera — farmaceutę przejmowały zwątpieniem w czystość ludzkich intencji oraz gorczyczą. Zresztą był to człowiek bliźnim życzliwy, apetyt posiadał zadziwiający, po francusku, jako walończyk, mówił doskonale.

Wyższy Instytut Handlowy w Antwerpii, w hierarchii uczelni tego zakresu, zajmował podówczas na kontynencie pierwsze miejsce. Wyższe szkoły handlowe w ogóle nie były wtedy liczne. Świat kupiecki wierzył tylko w wyrobienie praktyczne. Muszę przyznać, że w ciągu mego długiego życia nikt nigdy nie był ciekaw spojrzeć na moje chlubne dyplomy. Instytut Antwerpski był w Belgii zrównany w prawach z uniwersytetami. Zadaniem jego było nie tyle kształcenie i urabianie funkcjonariuszów handlowych, jak — sił kierowniczych. Studenci składali się przeważnie z synów znaczniejszych bankierów i negocjantów różnych krajów. Niemcy, Holandia, Francja, Włochy, Rumunia, kraje skandynawskie, Bułgaria i Hiszpania były szczerze reprezentowane. Nie brakło japończyków, brazylijczyków i argentyńczyków. Z Polaków zastałem w Antwerpii zdolnego i dowcipnego Władysława Wieniawskiego, syna Jordana, który w kilka

lat później miał przedwcześnie zakończyć życie i Bronisława Goldfedera, późniejszego szefa wielkiego domu bankowego.

W Antwerpii nauczyłem się żyć samodzielnie. Zetknąłem się bezpośrednio z kulturą Zachodu, z jawnym i pełnym nurtem życia politycznego i społecznego. Uzupełniłem moją znajomość literatury francuskiej, dawniejszej i nowej. Lubilem samotne włóczęgi wzdłuż wspaniałych doków, zapchanych transatlantykami i żaglowcami całego świata. Wycieczki do Brukseli, Ostendy, Gandawy, Liège... Cuda sztuki flamandzkiej! Każdy tydzień niósł nowe wrażenia...

O Gioventu, Primavera Della Vital

W drugim roku pobytu, kiedy już sprawowałem wysoką godność prezesa Stowarzyszenia Studentów-Cudzoziemców, brałem udział w komersie, który odbywał się w jednej z wielkich *brasseries* antwerpskich. Paru kolegów belgów, skorych do awantury, a podnieconych sutą kolejką *schiedam'u* wywołało spór z kelnerami. Ktoś kogoś szturchnął, powstał krzyk i rwetes. Nadbiegł dyrektor zakładu, wszczęła się gwałtowna kłótnia. Nieoczekiwanie wtrąciło do niej swoje trzy grosze małe, ładne stworzonko, które w kącie sali rozweselało dwóch starszych panów. Z własnej, nieprzymuszonej woli dziewczyna wzięła udział tak gorący w obronie cnoty i honoru studentckiego, że policjant, który się zjawił, ku niej przede wszystkim surową indagację skierował. Panienska miała wiele do powiedzenia, ale czyniła to w języku angielskim. Policjant nie rozumiał, prosił zapalczywą angieleczkę do komisariatu. Ona przeraziła się. Okrągłe, ciemne oczy zmieniły nagle wyraz: było w nich zdumienie i trwoga. Odsunąłem przedstawiciela władzy, oświadczając:

— Ta pani jest ze mną!

Podaliśmy jej ramię i opuściliśmy z godnością niegościnniej lokal. Angieleczka wyłuszczała mi po drodze z wielką żywością swój pogląd na istotę zatargu. Niestety; wypowiadała się w dialekcie przedmieść londyńskich, który nie miał nic wspólnego z klasyczną angielszczyzną profesorów instytutowych. Jeden wyraz francuski przewijał się często w jej opowiadaniu: „*Cochons!*” „*Cochons*” był kelnerzy, dyrektor piwiarni, policjant i dwaj stateczni towarzysze panienski, którzy nie stanęli w jej obronie.

Mżył lekki, lecz wytrwały i chłodny deszcz antwerpski. Panienska spytała, czy mieszkam daleko. Gdy wymieniałem ulicę, zapropono-

wała, żeby wziąć dorożkę. Żal jej było kapelusza, który osłaniał wicherzącą się kasztanową czuprynę. Byłem cokolwiek zakłopotany, bo moja gospodyni, zarejestrowana w kancelarii Instytutu, wymówiła sobie odwiedzin niewieście. Lecz zaledwie dorożkarz ruszył, niecierpliwe dziewczę już połączyło swe pełne czerwone wargi z moimi. Usta jej miały smak i woń czarnych porzeczek. Wszystko inne wydało mi się odrazu nieważne. Tak zaczęła się moja bliska i radosna znajomość z Gussy, artystką londyńskiego zespołu baletowego, który przybył na gościnne występy do jednego z music-hall'ów antwerpskich.

O moja słodka Gussy! Ileż upajających chwil zawdzięcza ci mój okres studencki! Zjawiała się koło północy, stawiała pośrodku ulicy i gwizdała. Pewnej nocy spałem tak mocno, że gwizdania nie usłyszałem.

Obudził mnie brzęk rozbitej szyby. To Gussy bombardowała moje okna gorącymi kasztanami, które wiecznie z sobą nosiła. Niecierpliwość jej wzbierała w oparach *whisky and soda* (dużo *whisky*, mało wody)...

Jeśli inne zobowiązania nie pozwalały jej przyjść, nazajutrz rano przysyłała wyznania swych tęsknot, kreślone w pośpiechu na kartkach, jakie znalazły się pod ręką. Nie łatwo było je odcyfrować, zrozumieć — jeszcze trudniej. Powtarzały się wielokrotnie dwa magiczne słowa: *my darling!* Żadne z nas nie miało dwudziestu lat! Wiatr bił falami chłodnego deszczu w szyby, w moich pokojach kwitła wiosna. Gdy szary brzask ostrzegał o zbliżającym się dniu, Gussy wyskakiwała z wysokiego łóża, ubierała się spiesźnie i cicho, poczym jak kot zsuwała się po schodach. Gospodyni udawała, że o niczym nie wie, lubo czujne jej ucho słyszało najlżejszy szmer w sieni. Czasem, gdy podawała mi ranną kawę, na ustach zażywej flamandki błakał się zagadkowy uśmieszek.

Zaniepokoił się tą sielanką mój przyjaciel i sąsiad z pierwszego piętra, oficer — farmaceuta. Gdyśmy raz wieczorem po obiedzie zostali sami przy stole, wystąpił z morałami. Uczynił to w tonie tak serdecznym, że niepodobna było się gniewać:

— Korzystaj pan z młodości, ale nie rujnuj sobie zdrowia.

Zaprowadził mnie przed lustro. Istotnie, wyglądałem jak flak. Cóż jednak warte były przyrzeczenia! Zapominałem o nich, gdy zjawiała się Gussy.

Nadszedł maj, zbliżały się ostateczne egzaminy. Pewnego wieczora posłaniec przyniósł mi trzy róże i kartę, bez koperty, z nakreślonymi ołówkiem trzema wyrazami:

— Good bye, darling. Gussy.
Zespół baletowy wrócił do Anglii...

W 1885 r. w Antwerpii odbywała się Międzynarodowa Wystawa Powszechna. Rząd belgijski i bogate miasto uczyniło olbrzymi wysiłek, by ściągnąć przybyszów z całego świata. W moim życiu wystawa była ważnym etapem: zadebiutowałem, jako korespondent warszawskiego „Słowa”. Z uroczystości wystawowych dwie tylko zostały mi w pamięci. Na jednej z nich widziałem zbliża Leopolda II, ówczesnego króla Belgów, który Kongo dla swego kraju — wbrew opinii większości narodu — wyhandlował. Rację miał król. Był to wtedy starszy pan, z długą, starannie utrzymaną brodą, o twarzy uprzejmej i martwej. Druga, — to był festival na cześć Liszta. Gdy wprowadzono sędziwego mistrza na estradę, hall koncertowy zatrzęsł się od oklasków i krzyków. On kłaniał się z godnością i lekkim uśmiechem, widocznie nawykły do hucznych owacji. Głowę zdobiły długie, białosrebrne włosy, twarz, bardzo wyrazistą szpeciły ogromne brodawki. Czarne oczy świeciły ogniem. Odziany był w długi czarny surdut, — który można było także uważać za krótką sutannę. Do fortepianu nie zasiadł. Zajął miejsce na estradzie w honorowym fotelu i oparłszy głowę na rękę, przysłuchiwał się wspomniałemu wykonaniu swoich utworów.

... W ciepłe popołudnie sierpniowe jechałem powozem z Jędrzejowa do Jasiony. W tym cichym zaścianku było mi zawsze najlepiej. Konie, czując bliskość stajni, przynaglały kłusa. Wpadliśmy w aleję parkową, matka stała na ganku. Obok niej niskiego wzrostu staruszek, w czarnych spodniach z szerokim czerwonym lampasem i w płóciennym letnim mundurze generalskim. Zbiegła się cała rodzina. Matka przedstawiła mi staruszkowi.

— Mój syn.

Zaś mnie objaśniła.

— Generał Czengiery.

Więc to był ów słynny wódz rosyjski, zwycięzca Langiewicza i Czachowskiego! Najazdy kozaków na dwory polskie, ciężki turkot armat na szosie, ponure śpiewy przeciągających pułków!... I złowieszczy huk dział w dzień bitwy pod Małogoszczą, ojciec w więzieniu kieleckim! Wszystkim kierował ten mały człowieczek o chwiejnych nogach i białych bokobrodach, wgłębiony ciężko w fotel trzciniowy, — obok matki, tak wzruszonej moim przyjazdem, że zapomniała o gościu...

Czengiery już nie był wtedy w służbie czynnej. Przyjechał do Polski, by osobiście sprawdzić, co się w jego majoratach działo. Może parła go także ciekawość do tych stron, które przed dwudziestu kilku laty były terenem jego powodzeń wojennych, epopeją jego męskiego wieku, źródłem zaszczytów i łask carskich. W Jasionie spotkał się z moją matką, która również żyła wciąż jeszcze wspomnieniami z Powstania, — lecz z przeciwnej strony frontu. Dla niej czasy powstania, to był najdramatyczniejszy okres jej młodości, najsilniejsze wzruszenia i bóle. Entuzjazm patriotyczny, codzienne niebezpieczeństwa, klęski i rozpacz! Ruina majątkowa!

Długim opowiadaniom dwojga starych ludzi przysłuchiwał się niekiedy świadek owych lat pamiętnych, Tomasz Winnicki, b. szef sztabu przy Kurowskim, potem — przy Jeziorańskim. Matka, ufna w swój wiek i powagę, mówiła bez osłonek o swoich przygodach i uczuciach. Czengiery, łamaną polszczyzną, której nauczył się w „kraju przywiślańskim”, miesząc wyrazy rosyjskie i francuskie, tłumaczył swoje zarządzenia, przebieg walk, trudności, niepokoje... W tym oświetleniu obraz nabierał fascynującej pełni i barw.

Półroczny pobyt w Gdańsku (druga połowa 1885 r.) był smętny. Praktyka biurowa — monotonna i nudna. Szef firmy Otto & Co był zacnym grubasem, który poza biurem rżał nieustannie dobrodusznym śmiechem. W biurze nadymał się jak indor i bulgotał. Dla mnie był serdeczny, zapraszał na niedzielne obiady rodzinne do Wrzeszcza, gdzie posiadał ładną willę z ogrodem. Mówił wcale nieźle po polsku; co rok, późną jesienią, odwiedzał zaprzyjaźnione dwory polskie, w których nabywał partie zboża i drzewa. Chwalił „polnischen Bigos”, „polnische Flaki” i „polnische Starka”, w stosunkach handlowych odznaczał się wzorową rzetelnością.

Współzycie Niemców z Polakami w Gdańsku nie było w owych czasach złe, lubo hakatyzm już zaczynał szczyrzyć zęby. Miasto chlubiło się zamożnością i ładem. Większe firmy kupieckie oceniały należycie pożytek dobrych stosunków z Polską. Hamburg rósł w oczach, odbierając innym portom niemieckim coraz znacniejszą część obrotów. Szczecin uzyskał względy sfer rządowych, stawał się groźnym współzawodnikiem. Dobrobyt Gdańska opierał się na stosunkach gospodarczych z Polską.

W Warszawie miałem odbywać dalszą praktykę handlową w banku H. Wawelberga. Założyciel tego potężnego instytutu finansowego, Henryk Wawelberg, był już w wieku sędziwym. Ster interesów spoczywał w doświadczonych rękach mecenasa Stanisława Rotwanda, jego zięcia, znanego działacza społecznego i politycznego. Syn założyciela, Hipolit Wawelberg, stał na czele filii petersburskiej, a prowadził ją tak wyśmienicie, że filia osiągała większe obroty i zyski, niż macierz warszawska. Później dom bankowy Wawelberga przedzierzgnął się w Bank Zachodni.

W 1886 r. biura banku nie posiadały jeszcze własnego gmachu, lecz mieściły się w domu Neprosa, przy placu Teatralnym. Wprędce zorjentowałem się, że porzucenie firmy Otto dla firmy H. Wawelberg było dla mnie transakcją stryjka, który zamienił siekierkę na kijek. Posadzono mię na wysokim krześle przed biurkiem i poleccono prowadzić kontrolę wypłacanych czeków. Robota była odpowiedzialna, mechaniczna i beznadziejnie nudna.

W licznym zespole urzędników, rdzennych Polaków było zaledwie paru. Moim bezpośrednim zwierzchnikiem był Hirszbant, brat Napoleona Hirszbanta, adwokata, który przerzucił się do literatury, jako Cezary Jellenta. Najlepszym jego dowcipem był ów pseudonim.

Stary Wawelberg, mimo że nie trudził się już interesami, dzień cały spędzał w banku, który był jego ukochanym dziełem. Głównym i namiętnym jego zajęciem było podpatrywanie, czy urzędnicy nie palą papierosów. Zyskowna operacja giełdowa nie sprawiała mu takiej przyjemności, jak schwytanie winowajcy na gorącym uczynku. W długim ciemno-granatowym surducie, sięgającym do kolan, — oczy jastrzębie, białe włosy zawsze rozwiane, — przemyskał wśród interesantów, tłoczących się do balustrady i węszył, czy który z urzędników nie zaciągał się pokryjomu papierosem.

O jego żywotności świadczył fakt, że mając blisko 80 lat nauczył się języka francuskiego. Chętnie się nim posługiwał, wymową przypominał łudząco balzakowskiego barona Nucingen.

...Nic tak nie zatruwa życia, jak praca, która nie interesuje! Nic nie czyni życia równie wypełnionym i radosnym, jak praca, którą się kocha! Mnie wabiła literatura, teatr, dziennikarstwo. Rodzina życzliwie traktowała te upodobania, powtarzając sobie pocichu wzorem pana Prudhomme'a: — „*C'est toujours mieux que 'daller au café'*“, Nikomu z moich bliskich do głowy nie przychodziło, abym z takich upodobań chciał budować karierę życiową. Pan Julian Wieniawski mógł pisać swoje dowcipne i mądre „Listy ze Wsi“, mógł wystawiać pogodne komedie w teatrze: stanowisko w społeczeństwie zapewniało mu dyrektorstwo poważnej instytucji kredytowej i posiadanie wybornie zagospodarowanego majątku ziemskiego. Pan Kraszewski żył wprawdzie z literatury, Bóg wszakże świadkiem, ile co rok książek musiał wyczynić, żeby na utrzymanie zarobić. Pan Sienkiewicz zgoła wyjątkowe sukcesy święcił, pan baron Józef Weyssenhoff z Samokłesk wśród arystokratyzującej młodzieży rej wodził, zabawiając się fuzyjką, karcietami i Warszulkami. Bliziński, Sarnecki, Narzyski grosze za swe sztuki otrzymywali. Literatura stawiała się dopiero zawodem.

Wydawcy, dyrekcje teatrów i handlarze sztuki natomiast już się skarżyli, że pisząca i artystyczna młodzież idealizmu się wyrzekła i talenty chciała spieniężać...

Był jeszcze jeden zawód, który mię nęcił: praca na roli. Przez całe życie tęskniłem za własnym kawałkiem ziemi. Kiedy z Jasionny w konnych przejażdżkach zbaczałem do Łęcina, serce zawsze ścisnęło się z żalu. Zaś gdy pewnego razu nie ujrzałem rozłożystej lipy przed starym dworem, z trudem powstrzymałem łzy.

Atawistyczne ciążenie do roli wytwarza psychikę i umysłowość odmienną od psychiki semickiej, która zazwyczaj bywa nawskroś urbanistyczną. Pachciarz Lejba z Jasionny kupił sobie włókę ziemi i próbował synów zaprząć do roli. Wykoleił chłopaków, którzy w Pińczowie czy Jędrzejowie byliby może stali się zabiegliwymi faktorami lub rzemieślnikami. Zniechęcony, tak mi tłumaczył istotę tych zawiłych spraw:

— Polak, gospodarując na wsi, będzie w porę orał i bronował, a gdy gleba dostatecznie spulchnie, przyjdzie z ziarnem, zasieje. Wróci do domu i czeka cierpliwie, aż zboże wejdzie i dojrzeje.

A Żyd? Jeśli zasieje, to już na drugi dzień dłubie palcami w ziemi, żeby sprawdzić, czy ziarno kiełkuje. Jeśli nie kiełkuje, mozoli się, martwi, w nocy spać nie może. Nazajutrz znów biegnie w ziemi dłubać...

— Proszę wielmożnego pana, konkludował jasiński filozof, rola, to nie jest proceder żydowski. A handel nie jest dla panów polskich. W handlu niema spokoju, niema spoczynku. Trzeba ciągle szukać, zabiegać, pilnować. Nie można czekać z założonymi rękami na deszcz lub pogodę, — na zmiłowanie Boże.

W tych sentencjach było sporo prawdy. Żydzi wywodzą się z ruchliwego ghetta miejskiego, my — z sennych dworów i dworów, organicznie z życiem przyrody sprzęgniętych.

Nie idzie zatem jednak, aby zdolności kupieckie żydów przetrwały analogiczne zdolności polaków. Żydzi tylko bywają pracowitsi i niepodzielnie oddani swoim przedsiębiorstwom. Znałem również — nielicznych co prawda — ziemian pochodzenia semickiego, rozkochanych bez reszty w swojej pracy na wsi, i którzy tak się ze społeczeństwem polskim związali, że przejęli nawet jego przywary.

Stan zdrowia ojca stawał się beznadziejny. Pierwszy raz z bliska spojrzałem w oczy śmierci. Uczymy się żyć, zbyt mało obcujemy z myślą o śmierci. A nie byłoby większej męki, jak żyć tym samym życiem — wiecznie.

Ojciec umierał nieprzytomnie. Świadomość odzyskał dopiero na kilka chwil przed ostateczną agonią. Jego umęczone oczy spoczęły na mnie dłużej, jak gdyby chciał unieść z sobą pamięć moich rysów. Tego spojrzenia nie zapomniałem i nie zapomnę.

Tylko pięć czy sześć miesięcy spędziłem w banku Wawelberga. Szwagier mego stryja, Władysław Chudzyński, który włożył znaczny kapitał do wielkiej fabryki wyrobów drzewnych, zaproponował mi, abym wstąpił do administracji tej fabryki w charakterze przedstawiciela jego interesów. Warunki były korzystne. Rozpocząłem życie samodzielne.

Królestwo Kongresowe i Warszawa przeżywały w tych latach okres *prosperity*, lubo ziemianie i wówczas narzekali na niskie ceny produktów rolnych, przemysłowcy i kupcy — na brak kredytu, bankierzy — na niewypłacalność dłużników. Węgiel i hutnictwo w Zagłębiu Dąbrowskim, przemysł włókienniczy w okręgu łódzkim i białostockim, nie mogły nadażyć zamówieniom, napływającym z Cesarstwa. Fabryki i warsztaty rzemieślnicze w Warszawie rozrastały się, nadmiar inteligencji polskiej zabierały koleje syberyjskie i środkowo-azjatyckie. Warszawa w 1887 r. liczyła

420 tys. mieszkańców, w roku 1914-ym — 885 tys. Liczba robotników fabrycznych i kopalnianych dochodziła w Królestwie do 250 tys. Tworzyły się mocne kadry przemysłowców, w znacznej mierze pochodzenia niemieckiego, lecz spolszczonych, lub szybko polszczyjących się, i tworzących nader użyteczny czynnik społeczny.

Ogół polski w dalszym ciągu pozostawał odgradzony od żywiołu rosyjskiego. W zamożniejszych rodzinach większość młodzieży usuwała się od służby wojskowej. Oficer-Rosjanin nie był przyjmowany w domach polskich: własny syn, gdy nosił znienawidzony mundur, nie był dopuszczany na większe zebrania towarzyskie. Klub Myśliwski czynił wyjątek dla nielicznych dygnitarzy rosyjskich, pochodzących z rodzin bojarskich. Częstka arystokratów polskich nie umiała oprzeć się urokowi tytułów dworskich. Być może, iż zniewalały ich także względy utylitarne: wielkie fortuny potrzebowały wielkich stosunków.

Sensacją było pojawienie się w Krakowie anonimowej książki o „Towarzystwie Warszawskim”, w której kompromisowość pewnych kół warszawskich została dotkliwie rozpatrzona. Autorem jej był Antoni Zaleski, redaktor „Słowa”, przyjaciel Sienkiewicza i ks. Chelmskiego, zwany poufale „Antalkiem”. Mimo usilnych zabiegów policji, książka przechodziła z rąk do rąk.¹⁾

Szczególną popularnością cieszył się hr. August Potocki, zwany potocznie „hrabią Guciem”. Łatwy w obejściu, uśmiechnięty, — dosadny w soczystych dowcipach i powiedzonkach, przy tym po wielkopańsku hojny, — tym jeszcze jednał sobie sympatię, że uparcie stronił od „Zamku”, żadnych dworskich rang nie piastował. Dziedzic pięknej Jabłonny, trybem życia — od złej strony — naśladował swobodę obyczajów księcia Józefa, bez jego bohaterstwa i zasług. „Hrabia Gucio” lubił ładne i dostępne kobiety, szlachetne wino, dobre polowanie i hazard. Otaczał się gronem ludzi wesółych i dowcipnych, bez względu na ich pochodzenie i stanowisko towarzyskie. Tak samo, jak książę Józef, nie potrafił gospodarować ogromną fortuną, którą w spadku otrzymał. Jabłonna, Nieporęt, piękny pałac w Warszawie, Zator w Galicji, olbrzymie leśne przestrzenie Berezyny — winny były nieść ogromne do-

¹⁾ Zaleskiemu pomagał podobno w zebraniu materiałów Lucjan Wrotnowski, popularny prezes Tow. Zachęty Sztuk Pięknych i jedna z pań z wyższego towarzystwa polskiego, która bywała na Zamku. Żandarmi pochwycili raz parę kartek rękopisu i rozpoznali na niej poprawki, dokonane ręką Wrotnowskiego. General Brock, szef żandarmerii, próbował go zaskoczyć niespodziewanym pytaniem i zniewolić do zeznania. Lecz Wrotnowski nie dał się chwycić w pułapkę.

chody; „hrabia Gucio” stale bywał w kłopotach. Komornik — niezadkim bywał w pałacu na Krakowskim Przedmieściu gościem. Gospodarz przyjmował go z żartobliwą nonszalancją, czasem szklanką szampana częstował.

W poważnych kołach obywatelskich surowo odzywano się o utracjuszkowskich fantazjach i swobodnym życiu młodego magnata. Ale gdy w dzień wyścigów konnych w Alejach Ujazdowskich ukazywał się jego potężny brek, w cztery folbluty zaprzężony, wszystkie oczy biegły za wspaniałym pojazdem, przechodnie uśmiechali się pobłaźliwie:

— Hrabia Gucio!

On trzymał mocno lejce w doświadczonych rękach, skinieniem głowy odpowiadał na ukłony. Obok niego siwobrody, kulawy Tykiel, dał w długą, prostą trąbę, która przypominała instrumenty staroegipskie z „Aidy”. Przeróżne dźwięki budziły powszechną uciechę. Dalsze miejsca zajmowali zwykle Gustaw i Roman bar. Taubowie, Witold Kaszowski, stary pan Rzewuski, zwany przez przyjaciół „Psiajuchą”, syn jego Stanisław, Józef Komierowski, Czesław Hornowski, Kazimierz Dobiecki, czasem Franciszek Kostrzewski. „Damy i nie damy”, oraz „takie osoby”, paradyjące w wynajętych powozach, witały czarującymi uśmiechami wycylindrowany „kwiat młodzieży”, „błędnych rycerzy salonów”. Dzienniki brukowe wymieniały nazajutrz co piękniejsze zaprzęgi i toalety.

„Hrabia Gucio” królował złotej młodzieży warszawskiej, jego oficjalną przyjaciółkę (wtedy jeszcze nie był żonaty), panią M., promowano na królowę stołecznego półświatka. Była powabna, zawsze świetnie ubrana i ogromnie dystygowana. Józef Komierowski zabrał mię raz do niej na tańce. Zajmowała przy ulicy Chmielnej apartament, urządzonej dostatnio i bez smaku. Damy, które u niej bywały, starały się uwydatniać maniery nieskazitelnie salonowe, atmosfera była cięższa, niż na przyjęciach u niejednej ze starszych miłosiernych hrabin. Tańce wlokły się ślimaczo. Humory ożywiały się dopiero przy kolacji, kiedy zaczęły strzelać butelki, a hrabia Gucio puszczał wodze swoim dosadnym conceptom.

W wiele lat później wystawiałem w Teatrze Letnim lekką komedię p. t.: „Pan Minister”. Tytułową rolę objął Stefan Jaracz. Po którejś z ostatnich prób poszedłem z uroczą artystką, która miała grać jedną z głównych ról niewieścich, i z Jaraczem na obiad. Oboje wybierali się do Jabłonny. Zaproponowałem, że ich odwiozę samochodem.

Gdyśmy przejeżdżali koło Buchnika, Jaracz wskazał kierunek, w którym on i jego towarzysza nabyli niewielkie tereny.

— Czy redaktor wie, spytał Jaracz, w jaki sposób ten kawał ziemi oderwał się od Jabłonny?

Nie wiedziałem.

Jaracz spojrzał z lekkim uśmiechem na koleżankę.

— Pozwolisz?

I nie czekając na odpowiedź, mówił:

— Pani M. dręczyła przez dłuższy czas hrabiego Gucia, żeby jej wykroił z Jabłonny — mały choćby folwarczek. Hrabia nie chciał spadku po ks. Józefie uszczuplać. Spór przewlekał się i zastrzał. Pewnego wieczora jawi się hrabia Gucio u swej przyjaciółki, po sutszej libacji. Pani M. przyjmuje go w penjoarze bardzo sugestywnym, wieje od niej wszakże chłód. — Postanowiłam, że nie zbliżysz się do mnie, póki mi nie dasz kawałka ziemi w Jabłannie. Sprzeczką, gniew, targi. Aż wreszcie nie nawykły do oporu Celadon przyrzeka folwarczek i uzyskuje nagrodę.

Nazajutrz stawia się u rejenta, zamawia akt darowizny. Słowo się rzekło, kobyła stoi u płotu. W parę dni później rejent zaprasza do aktu panią M. Ta spieszy na wezwanie w towarzystwie przyjaciółki. Zasiadły obie w ceratowych fotelach, rejent przymknął drzwi, rozpoczyna czytanie dokumentu. I nagle pada z jego ust nazwa folwarku.

— Zadupie!

Piękna dama o mało nie zemdląła. „Przyjaciółka” ledwie pohamowała radość...

Uroczą artystkę, która towarzyszyła Jaraczowi, w rok czy dwa później, została żoną jedyne go syna hr. Augusta Potockiego, panią na całej Jabłannie. ¹⁾

Wśród wytwornych paniczów, którzy otaczali „hrabiego Gucia”, było wiele postaci, godnych pióra polskiego Balzac’a. Gdy

¹⁾ Hr. Gucio nie bywał na przyjęciach u Marii Andrejewny Hurkowej. Tym więcej ją to drażniło, że paru w. książąt, którzy poznali go zagranicą, utrzymywało z nim stosunki towarzyskie. Jeden z nich, w przejeździe latem przez Warszawę, przy powitaniu spytał:

— Co słyhać w Warszawie?

Potocki uśmiechnął się swobodnie i odrzekł po niemiecku:

— *Die Gurkenzeit dauert zu lange.*

W książce zrozumiał grę słów i tak się nią ubawił, że wróciwszy do Petersburga, po dworskich salonach dowcip polskiego arystokraty obnosił. Zaskodziło to Hurce i jego wstrętnej babie więcej, niż pracowite memoriały.

pojawił się w druku „Podfilipski”, można było mniemać, że to zadanie spełni Weyssenhoff. Odtworzył wybornie snobizm intelektualny i obyczajowy Klubu Myśliwskiego; domyślano się, że do charakterystyki głównego bohatera tej powieści posłużył mu, jako model, Konstanty Skarżyński. Lecz Weyssenhoff, zerwawszy z Klubem, w swych następnych powieściach poniechał sferę, którą znał z bliska i dokładnie. Warszawskie epigony paryskich Rastignac’ów, Rubempré’ów, du Tillet’ów i de Marsay’ów utraciły znakomitego historiografa. Pochodzili oni z rodzin wielkoszlacheckich; tracili odziedziczone fortuny. Życie nocne Warszawy i wielkich stolic europejskich, słynne kluby karciane i domy gry, kulisy salonów i teatrów, — nie miały dla nich tajemnic.

Nie potrafili tylko pracować.

W trzydzieści lat później hr. Ksawery Orłowski powołany został przez Min. Spraw Zagranicznych na stanowisko uwierzytelnionego posła Rzeczypospolitej Polskiej w Buenos Aires.

Nowy dygnitarz, wyszedłszy z gabinetu ministra, kierował się ku wyjściu. Na schodach czekał młody urzędnik ministerstwa, który równocześnie został mianowany sekretarzem poselstwa w Argentynie. Młodzieniec był podniecony nadmiarem gorliwego zapału.

— Panie hrabio, zawołał, jakże szczęśliwy jestem, że będę mógł z panem pracować.

Hr. Orłowski uśmiechnął się.

— Łaskawy panie, ja nie będę z panem pracował. Nigdy nie pracowałem i nie myślę zmieniać trybu życia... Pracować będzie pan.

...Dotkliwy brak życia publicznego sprawiał, że większe assemble warszawskie, szczególnie publiczne bale i rauty, — budziły powszechne zainteresowanie. Fakt, że na arystokratyczne zaślubiny panowie z Galicji przybyli w kontuszach, komentowany był jako zdarzenie polityczne.

Zebrania salonowe mało mię nęciły, lubo stosunki rodzinne do nich zmuszały. Czułem się nieporównanie lepiej w swobodnym towarzystwie początkujących literatów i artystów. Stanisław Lenc, Alfred Konar, Stanisław Wolski, Jan Woydyga, nieco później Mieczysław Frenkiel, Wincenty Kosiakiewicz, redaktor „Przeglądu Filozoficznego” Weryho...

Lenc niedawno wrócił z Monachium. Więcej wówczas był znany jako karykaturzysta, niż jako malarz. Konar drukował nowele i dramaty, zabierał się do pisania „Sióstr Malinowskich”.

Stanisław Wolski zdumiewał młodzieńczym temperamentem malar skim. Woydyga, artysta-rzeźbiarz — pracowitością. Frenkiel zjawiał się ze Lwowa — po śmierci Żółkowskiego — na gościnne występy; wkrótce potem został zaangażowany do zespołu teatru Rozmaitości. Kosiakiewicz przybył do Warszawy z Miechowa, gdzie pełnił obowiązki dozorczy tunelu kolejowego. Tam napisał pierwsze nowele i nadesłał je do Warszawy. Rewelacja! Djonizy Henkiel, redaktor „Biblioteki Warszawskiej”, krytyk wnikliwy, znalazł w nich krasę wiosennych kwiatów łąkowych: prostotę bez prostactwa, uczuciowość bez sentymentalizmu.

Kosiakiewicz z dnia na dzień pozyskał rozgłos, nieomal — sławę. Miał dwadzieścia parę lat, okazały brzuch, ruchy niedźwiedzia, naiwność prowincjonała. Entuzjazm duchowy wyładowywał w nieskończonych dyskusjach, pragnienie gasił wodą z sokiem malinowym.

Powodzenie odurzyło go. Nie wiedział jeszcze, że w Polsce jest ono równie kapryśnym, jak klimat i kobiety. Pogodnemu grubasowi z Miechowa wydało się, że świat był piękny, ludzie dobrzy, i że tak już będzie ciągle. Rzucił posadę, osiedlił się w stolicy. Mile widziany z początku, jako przelotny gość, rychło zaczął budzić krytyczne zastrzeżenia. Twórczości jego zarzucano łatwiznę, wytykano braki głębszej kultury. On sam o tych brakach wiedział, pożerał książki, uczył się obcych języków. Dwa tomy nowel i powieść „Przy budowie kolei”, były dorobkiem tego okresu.

Zmagał się z przeciwnościami, aż wreszcie zetknął się z Piltzem. Ten ze zwykłą mu bystrością ocenił jego talent, ułatwił wyjazd zagranicę. Pod kierownictwem Piltza Kosiakiewicz stał się wybornym dziennikarzem.

...W najpopularniejszym wydawnictwie codziennym stolicy, w „Kurierze Warszawskim” nastąpiła częściowa zmiana właścicieli. „Kurier Warszawski” był własnością spółki, do której należeli Wacław Szymanowski, naczelny redaktor, i firma księgarska Gebethner i Wolff. Szymanowski nie był twórcą „Kuriera”. Założył go w r. 1821 Bruno Kiciński. Pierwszy rozwój zapewnił pismu Ludwik Dmuszewski i Karol Kucz. Tym jednak, czym stał się „Kurier” dla Warszawy, zwłaszcza w latach powojennych, uczynił go niewątpliwie Wacław Szymanowski, redaktor śmiały, rzutki i utalentowany. On zrobił z tego pisma dziennik o nowoczesnym rozmachu, skupił w redakcji wybitne siły, zorganizował

obsługę telegraficzną i sztab korespondentów w większych stolicach europejskich.

Firmę Gebethner i Wolff reprezentowali Gustaw Gebethner i Robert Wolff. Byli to księgarze wytrawni i zabiegliwi, wysoce uspołecznieni; zdobyli w handlu wydawniczym stanowisko przodujące. Ich własnością było najwpływowwsze wtedy czasopismo literackie — „Tygodnik Ilustrowany”, którego redaktorem był Jenike. Z „Tygodnikiem Ilustrowanym” współzawodniczyły „Kłosy”, redagowane przez Adama Pługa. Wydawcą ich był Franciszek Salezy Lewental, który również rozwinął szeroką i ruchliwą działalność wydawniczą.

Gdy Wacław Szymanowski uczuł się zmęczony długoletnią pracą, w redakcji „Kuriera” zastąpił go zięć, Tadeusz Czapelski, dziennikarz z powołania.

Między firmą Gebethner i Wolff a Wacławem Szymanowskim wynikły nieporozumienia. Czapelski rozszedł się z żoną.¹⁾

Z chwilowych komplikacji skorzystał Lewental i nabył od Gebethnera i Wolffa ich udziały w „Kurierze”. (1887 r.) Główni współpracownicy, z Tadeuszem Czapelskim na czele, zbuntowali się. A były między nimi takie tuzy, jak Bolesław Prus, na którego „Kroniki Tygodniowe” czekała niecierpliwie Warszawa i cały kraj, był Władysław Bogusławski, Jowisz krytyki teatralnej i literackiej, major Olędzki, wytrawny statysta, dla którego polityka światowa nie miała tajemnic i który wciąż przepowiadał kataklizmy, mające spaść na niesłuchającą jego rad i wskazówek Europę...

Firma Gebethner i Wolff założyła „Kurier Codzienny”. Cała secesja redakcyjna „Kuriera Warszawskiego” przeniosła się do tego pisma.

Zdawało się, że czytelnicy pójdą w jej ślady. Czapelski na głowie stawał, by „Kurier Codzienny” uczynić zajmującym i w układzie podobnym do „Kuriera Warszawskiego”.

Okazało się wszakże, iż Lewental znał lepiej konserwatyzm prenumeratorów. Niedzielne kroniki w „Kurierze Warszawskim” objął Sabowski (Skiba). Większość czytelników była przeświadczona, że w dalszym ciągu czyta prozę Bolesława Prusa. Krytykę teatralną powierzono Kazimierzowi Zalewskiemu, doskonałemu znawcy sceny. „Kurierowi Warszawskiemu” ubyla na razie pewna liczba prenumeratorów. Potrafił kryzys przetrzymać. Nieza-

¹⁾ W kilka lat potem pani Czapelska wyszła za mąż za adwokata Franc. Olszewskiego, który okazał się wyśmienitym redaktorem i przez szereg lat kierował losami „Kuriera Warszawskiego”.

chwianej wierności dotrzymali nieboszczycy: nekrologi i w owych czasach nie zawiodły.

Czapelski przyjaźnił się z moim bratem Władysławem. Zaproponował, abym pisał dla „Kuriera Codziennego” małe felietony z życia stolicy. W redakcji zbliżyłem się z Antonim Mieszkowskim, kolegą ze Szkoły im. Kronenberga. Zaopiekował się mną Włodzimierz Stebelski, poeta („Roman Zero”) dziś zapomniany. Niestety! pił nałogowo, szamotał się w ciągłych kłopotach pieniężnych. Stanisław Lenc narysował mi kiedyś w redakcji, na skrawku papieru, jego portrecik. Gdy skończył, Stebelski odebrał mu ołówek i taki podpis ułożył:

Ten, którego tu przedstawił
nasz Lenc
przeszedł w życiu szczyt rozkoszy
i nędz.
Wszystko poszło mu na marne
A więc.
Niechaj za to żyje, kwitnie,
nasz Lenc.

W „Kurierze Codziennym” Stebelski drukował wierszyki, w których, na wzór Heinego, łączył delikatne uczucie z ironicznym uśmiechem.

Pewnego ranka redakcję wstrząsnęła tragiczna wiadomość: w przystępie *delirium tremens* Stebelski powiesił się na haku od firanki w swym pokoiku przy ul. Niecałej.

Czapelski był duszą redakcji „Kuriera Codziennego”. Major Olędzki — niewyczerpaną skarbnicą humoru... Czapelski pochodził ze Lwowa i za Lwowem tęsknił. Danem mu było w kilka lat później wrócić do rodzinnego miasta. Ożenił się tam po raz wtóry i na spokojnym stanowisku bibliotekarza w Ossolineum doczekał się podeszłego wieku. Kto i kiedy mianował Olędzkiego majorem, tego nikt nie dociekał. Podejrzewano Sienkiewicza. Po szóstym lub ósmym kieliszku koniaku major improwizował opowieści o swych wyczynach studenckich w Niemczech, oraz rycerskich w Powstaniu. Opowiadał, jak w Heidelbergu na czele garstki studentów, po sutym komersie, latarnie wyrывał z bruku.

Czapelski z życzliwym zaciekawieniem przerywa:

— Z korzeniami?

Olędzki w ferworze krasomówczym:

— Z korzeniami!

W zimie chodziliśmy w kompanii redakcyjnej do „Andzi” Czuleńskiej (córka jej poślubiła tenorzystę opery, Fileborna) lub

do „Wiktora”. Restauracja Czuleńskiej mieściła się na 1-yim piętrze przy zbiegu ulic Niecałej i Wierzbowej. Sienkiewicz, gdy przebywał w Warszawie, chętnie tam ze swymi przyjaciółmi wieczory spędzał. Restauracja „Wiktora” mieściła się naprzeciw hotelu Europejskiego, gdzie dziś hotel Bristol. Latem siadywaliśmy u Brajbisza na Placu Teatralnym, ponieważ knajpa ta posiadała mały ogródek, a słynęła z pieczeni wołowej z różną i ze znakomitego pilznera. U Czuleńskiej i u Brajbisza usługiwały dziewczęta. Czapelski podobno nie był całkiem nieczuły na wdzięk jednej z tych panienek. Wadą jej była porywczą zazdrość: redaktor od czasu do czasu musiał zniknąć z widowni na parę dni, by nie eksponować oblicza, przeoranego pazurkami drapieżnego kocięcia.

Podejście Czapelskiego do dziennikarstwa było dostosowane do smaku ówczesnych czytelników. Kładł wielki nacisk na sprężystą reporterię, lubował się w dowcipie felietonowym paryskiego Scholl’a i wiedeńskiego Saphira. Rozmiałowany szczerze w swym rzemiośle, Czapelski był życzliwym i uczynnym towarzyszem pracy. Młodszym kolegom chętnie służył radą, starszym, jeśli znaleźli się w potrzebie, pomocą, lubo sam w dochodach i wydatkach nie potrafił nigdy dobrać do równowagi.

Na redakcyjne, skromne sympozjony przychodził czasem Bolesław Prus, cichy, spokojny, przez ciemne okulary jasno na świat patrzący. Kochaliśmy go wszyscy. Nie brał w nich udziału Władysław Bogusławski, nadto uroczysty, by się w swobodnej gawędzie lubował. Był nieznanym dziś fenomenem krytyka, który teatr nie tylko miłował, lecz i nie potrafił bezeń żyć. Nie był wieczora, żeby choć na chwilę nie wpadł na jakieś przedstawienie. Zjawiali się na redakcyjnych konwenktach często Adam Breza, Stanisław Lenc, — a także dwaj popularni komediopisarze, starszy — Edward Lubowski i młodszy — Zygmunt Przybylski, którzy wiecznie z sobą koty darli i wzajem sobie figle, nieraz bolesne, płatali. Również i Marian Gawalewicz, literat wszechstronny i kulturalny, człowiek gładki, uśmiechnięty i przymilny.

Lubowski, jako autor dramatyczny, doznał rzetelnych powodzeń. Technika jego była wzorowana na francuzach, lecz zagadnienia i charakter były lokalne. „Bawidełko” z Marcellówną i „Jacuś” z Wolskim osiągnęły znaczną liczbę przedstawień. Wznawiano je parokrotnie. Dziś obie sztuki przestarzały się: słabsze wino nie wytrzyma próby czasu. Natomiast komedia „Wicek i Wacek” Przybylskiego do dziś dnia zachowała siłę przyciągającą, mimo bardzo naiwnej faktury.

Lubowski był człowiekiem wykształconym, literatem wyższego pokroju. Prócz sztuk teatralnych, pisał powieści, krytyki, felietony. Z usposobienia był czarnowidzem i śledziennikiem. Pesymizm wydawał mu się mądrością, optymizm — płytkością umysłu. W towarzystwie bywał często nieznośny; w istocie jednak był to człowiek prawy, o głębszym poczuciu godności. Przybylski był dzieckiem teatru, poza teatrem świata nie znał i nie widział. Mówiono o nim, że sylabizować uczył się na afiszach, i że jedyną jego lekturą były krytyki i wzmianki teatralne w dziennikach. Obaj komediopisarze w ostatnich latach życia zaznali kłopotów i goryczy. Lubowski więcej, bo późniejszego doczekał się wieku. Jeśli nie szedł do teatru, spędzał wieczory w Resursie Kupieckiej. Z biegiem czasu coraz ścieśniał swe wydatki. Starsi koledzy klubowi pytali o powody. Wyznał, że w toku wojny światowej stracił wszystkie oszczędności.

Wszczęta starania, by wznowiono mu jedną ze sztuk. Mimo, że kierownictwo teatrów miejskich było już w rękach polskich, zabiegi nie odniosły skutku. Lubowski przestał bywać w Resursie, zapadł na zdrowiu. Postanowiłem sprawdzić, w jakich znajduje się warunkach, czy nie potrzebuje pomocy.

Ponury dzień zimowy, — deszcz, śnieg i błoto, — wczesny zmierzch, opustoszałe ulice. Lubowski mieszkał od kilkudziesięciu lat na Daniłowiczowskiej, w domu „pod Królami”. Z niemałym trudem odnalazłem jego mieszkanie, z większym jeszcze — dostałem się do wnętrza. Po długim kołataniu, Lubowski, w zniszczonym szlafroku, narzuconym na nocną koszulę, sam mi drzwi otworzył. Musiał mieć wtedy z górą siedemdziesiąt lat. Był wychudły i żółty. Pokój, do którego mię wprowadził, umeblowany był staroświecko i ubogo. Zaduch był okropny. Lubowski bał się „cugów” i okien nie pozwalał otwierać.

Starego pisarza trawił chorobliwy niepokój. Z poza binokli, które wciąż poprawiał, oczy patrzyły mętnie. Czuł się w nich lęk, nawiedzający wielu ludzi, gdy śmierć się zbliża. Skarżył się, że na chwilę nie może zostać sam, bo ciągle ktoś włóczy się po jego mieszkaniu.

— A ja tylko ciszy pragnę! Niczego więcej nie chcę, tylko ciszy...

Był napół przytomny, dręczyły go zjawy, mówił dużo i bezładnie, wyganiał natrętne upiory. Na stole paliła się mała lampka naftowa, pokój tonął w półmroku. Próbowałem dowiedzieć się, czy nie dokucza mu brak środków. Nie zrozumiał — może nie chciał

zrozumieć. Opowiadał o intrygach, które mu zamknęły dostęp do redakcji i do teatru. Jego niepokój w końcu zaczął się i mnie udzielać. Gdy zamilkł, wstałem, zacząłem się żegnać. Usadził mię z powrotem w fotelu, i znów biegał, ale już mało mówiąc. Nagle krzyknął. Zerwałem się z fotela.

— Co się stało?

— Nic, nic. Ciągłe to samo! Nie dają spokoju!

Pożegnałem się. Lubowski uściskał mię, widocznie wzruszony. Na ulicy drobny, uparty deszcz zamieniał resztki śniegu w błoto. Płomyki latarń gazowych migotały bladym światłem...

...Dochodziłem właśnie do pełnoletności, gdy zaprzyjaźniłem się z uroczą, młodziutką aktoreczką, która z zespołem prowincjonalnym przybyła na lato do jednego z „Ogródków” warszawskich. Talent jej zapisał się później chlubnie w kronikach teatru: Zofia Czaplińska!

„Ogródki” miały sporo dobrych stron. Artystom teatrów rządowych zapewniały należyty wypoczynek, publiczność utrzymywały w nieprzerwanym napięciu zainteresowań teatralnych. Dawały możliwość początkującym artystom zaprezentowania się stolicy, niejeden autor debiutował w ich repertuarze.

Sezon się kończył, teatry rządowe otwierały swe podwoje, moja przyjaciółka miała wrócić do Poznania. Pewnego dnia prosiła:

— Czy nie mógłby pan wystarać się dla mnie w redakcji o dwa krzesła do Rozmaitości? Umówiłam się z Gabryelą Zapolską. Przyjechała na parę dni do Warszawy.

Gabryela Zapolska! Byłem gorącym wielbicielem jej wyjątkowego talentu. Każda jej powieść wywoływała wzburzenie. W tym czasie wybierała się do Paryża, by doskonalić się w sztuce aktorskiej: marzyła o sukcesach zagranicznych. Lecz z właściwą sobie trzeźwością dostrzegła w porę, że owe marzenia były płonne i poczęła dla teatru pisać. Zajęła wśród komediopisarzy polskich jedno z miejsc naczelnych; wśród kobiet, piszących dla teatru — pierwsze miejsce w świecie.

Wieczorem stawilem się w teatrze. Dręczył mię niepokój natury finansowej. Były to ostatnie dni miesiąca...

Przedstawienie wcześniej się skończyło.

— Co robimy z resztą wieczoru? pyta Zapolska. Jestem głodna, musi mię pan nakarmić. Do Wodewilu, dobrze?

Zapolska miała dobry apetyt, lubiła kawior i wykwintne potrawy. Nie można było się ludzić: moje zasoby nie mogły wystarczyć. Jak wybrnąć z tej impasy?...

Na sali pojawił się Konstanty Skarżyński z Heleną Hermanówną, którą wkrótce miał poślubić. Odetchnąłem. Odsiecz była zapewniona.

Od tego wieczora datował się mój dobry, koleżeński stosunek z Zapolską. W „Świecie” drukowałem jej zakazaną dawniej w Kongresówce powieść „Zaszumi las”. Gdy Rozmaitości wystawiały jej nową sztukę, obarczała mię nieraz skomplikowanymi poruczeniami. Nienawidziła krytyków. Miałem w zbiorach swoich garść jej listów, które stanowiły dość znamienity dokument dla naszych stosunków literackich.

...Konstanty Skarżyński na wstępie swej towarzyskiej kariery stracił całą schedę. Nabral za to doświadczenia. Często i dłużej przebywając w wielkich stolicach zachodnio-europejskich, przejął się ich zewnętrzną kulturą. Formę brał za treść. Ożenił się z piękną śpiewaczką, Heleną Hermanówną, która z baletu przeszedłszy do opery, kreowała w Warszawie rolę Bizetowskiej Carmeny. Galli Marié śpiewała lepiej, nie posiadała jednak ani w połowie tego czaru i żaru gitany hiszpańskiej, co „Hermanka”.

Matka Heleny Hermanówny nie znosiła zięcia, posadzała go o najgorsze względem niej zamysły. Namiętnością babiny były kury rasowe, które hodowała w swych dwóch ciasnych pokojach i kuchence. Rządca pałacu Czetwertyńskich skarżył się, że ten zaimprovizowany kurnik psuje powietrze. „Dobry Kocio” (tak nazywali Skarżyńskiego klubowi przyjaciele) groził teściowej, że ją wysiedli na prowincję. Pewnego dnia, kiedy pani Hermanowa wyszła na miasto, najpiękniejszy kogut, Red-Island, poufale zwany Matuzalem, wypadł przez okno z drugiego piętra na bruk. Starsza pani była niepokojona. Spotkaliśmy ją ze Stanisławem Lencem na ulicy. Jęła uzalać się na swą niepowetowaną stratę. Lenc pyta poważnie:

— Czy pani nie zauważyła w Matuzalu skłonności do samobójstwa?

— Ani — ani, proszę pana! Było mu tak dobrze na świecie! Kur miał pięć.

— Więc wypadek?

Jejmość ściszyła głos.

— Ja wiem, kto go zamordował!

Rozplakała się rzewnie.

— Ja już i swego życia nie jestem pewna!...

— A co pani z Matuzalem zrobiła?

Pani Hermanowa westchnęła.

— Upiekłam go. Był nawet cokolwiek twardy.

Skarzyński kupił później ładną posiadłość w Chaville, pod Paryżem, i tam na stałe się przeniósł. Warszawa nie wystarczała kulturalnym wymaganiom Podfilipskiego.

W życiu towarzyskim Warszawy wyróżniał się salon artystyczny państwa Grossmanów, współwłaścicieli największej w Polsce, a może i Rosji, firmy fortepianowej. Spółnikiem był Juliusz Herman. Ludwik Grossman, bardzo muzyczny, (jego operę, „Ducha Wojewody”, wystawił nie bez powodzenia Teatr Wielki), posiadał rozległe stosunki z artystami całego świata. Którykolwiek z nich przyjeżdżał do Warszawy, a przyjeżdżało ich wtedy wielu, z wizytą do państwa Grossman spieszył. Tam otrzymywał informacje, wskazówki, przestrogi. W obszernych apartamentach przy ul. Mazowieckiej zbierała się „Cała Warszawa”: artyści, literaci, bogata burżuazja, po trochu i arystokracja. Gospodarstwo byli gościnni. W albumie, który z tych czasów do września 1939 r. przechowywał się w rodzinie, a który stanowił wartościowy zbiór autografów, Julian Wieniawski (Jordan), tak scharakteryzował te przyjęcia:

Z cudnej tonów harmonii salon Wasz słynie,
Czy to, gdy sam gospodarz siądzie przy pianinie,
I wzniosłszy wzrok pod sufit, zadumany srodze,
Bujnej swojej fantazji wolne puści wodze,
Czy też, — gdy słynnych piewców zabrzmia dźwięczne głosy
Pieśnią, co zda się płynąć pod same niebiosy,
Lub wreszcie, gdy z pod smyczków grad pasaży padnie,
....Harmonja królowała tu u Was wszechwładnie....¹⁾

Słynnym był z tego okresu raut, na którym spotkały się Sarah Bernhard i Helena Modrzejewska. Sarah, jadąc ze swą trupą do Rosji, czy też z Rosji wracając, zatrzymała się w Warszawie na parę przedstawień. Modrzejewska, wtedy już hr. Chłapowska, miała wkrótce rozpocząć dłuższą serię gościnnych występów. Grały obie przeważnie ten sam repertuar: „Damę Kameliową”, „Frou-Frou”, „Adriannę Lecouvreur”, „Księżnę Jerzową”.

¹⁾ Jordan brał udział w Powstaniu 1863 r. jako naczelnik rewolucyjny okręgu konieckiego. W pamiętnikach, które pozostawił, sporo jest materiału, dotyczącego tej epoki.

Nigdy zapewne, przedtem i potem, w salonach państwa Grossman nie było tak tłoczno, jak owego wieczora. Modrzejewska wraz z mężem przybyła nieco wcześniej. Starsze hrabiny były zachwycone jej salonową oglądą. Kiwały głowami ze zdumieniem.

— *Mais elle est très bien! Tout à fait bien!*

Na Sarę Bernhard czekano dłużej, grała bowiem tego wieczora. Ludwik Grossman biegał nerwowo po pokojach, zaglądał do klatki schodowej. Pani Grossmanowa nie tała niepokoju. Wreszcie zrobił się rejwach. — Przyjechała! Weszła w szkarłatnym płaszczu, pewna siebie. Wspaniałe, mądre jej oczy odszukały natychmiast Modrzejewską. Ta podniosła się bez pośpiechu. Przepelniony salon zastygł w napięciu ciekawości. Gospodarz rzucił głośno dwa sławne nazwiska, — Modrzejewska postąpiła parę kroków, wyciągnęła rękę. Dwie królowe teatru, — obie już w latach dojrzałych — przywitały się uprzejmie i z godnością. Modrzejewska wskazała Sarze fotel obok swego, Sarah usiadła. Tłum gości zwarł się w ciasnym półkołu. Wszyscy byli ciekawi, o czym dwie sławy światowe będą mówić. Mówiły o pogodzie, o trudach podróży i o męczących owacjach. Gospodarz po chwili przerwał wynurzenia, poszeptał z Sarą, — zwrócił się do Modrzejewskiej.

— Pani Sara Bernhard nie słyszała nigdy mowy polskiej w interpretacji artystycznej. Czyby pani nie chciała zadeklamować cośkolwiek po polsku?

Po krótkich certacjach, Modrzejewska dobrotliwie wyraziła zgodę. Gwar uciszył się. Wielka artystka zaczęła recytować bajkę o gołąbkach z „Adrianny Lecouvreur”.

Sara słuchała w doskonałym skupieniu, dziękowała z przesadnym zachwytem. Gdy przeszła do bufetu na kieliszek szampana, Józef Komierowski, który znał ją z Paryża, pytał, ze zwykłym mu wesołym uśmiechem. — Podobał się pani nasz język?

W pięknych oczach Sary przemknął ledwie dostrzegalny uśmiech paryskiego gamena.

— Bardzo. Zupełnie, jak gdyby kto gryzł szkło.

Modrzejewska reprezentowała w teatrze idealizm, Sarah Bernhard — realizm. Ten ostatni był bliższy memu pokoleniu. Sprawiał, że każda postać, odtwarzana przez znakomitą artystkę francuską, nabierała głębszych cech indywidualnych. Modrzejewska była nieznana w ekspresji uczucia i w szlachetnej dystynkcji. W repertuarze klasycznym czasem górowała. We współczesnym — silniejsze wrażenie wywierała Sarah Bernhard.

WIELKI DRAMAT MOJEJ MŁODOŚCI

W „Rozmaitościach” warszawskich, jak już wspomniałem, ulubienicami publiczności były Czakówna i Wisnowska. Pierwsza — grywała role naiwnych panienek z dworów szlacheckich i ze sfery mieszczańskiej. Druga — upodobaniami i ambicjami sięgała wyżej. W „Pięknej” Świętochowskiego odniosła pamiętny sukces.

W Czakównie kochał się Stanisław Lenc. W kołach teatralnych uważano go za jej narzeczonego; on sam wszakże w tej sprawie zachowywał dyskretną rezerwę. U Czakówny bywałem z Len-cem dość często. Wisnowskiej, która interesowała mnie znacznie silniej, osobiście nie znałem.

Kolega ze Szkoły Kronenberga, Stefan Niewiarowski zaprosił raz zimą 1889 r. grono bliższych przyjaciół na kolację. Gdyśmy się zebrali, oznajmił, że spotka nas niespodzianka.

Kolacja się spóźniała, zgromadzonych poczynął dręczyć niepokój, czy wogóle dostaniemy co jeść. Konar grał na fortepianie i śpiewał, rozmowa się wlokła, czas się dłużył.

W tym zabrzęczał gwałtownie dzwonek w przedpokoju i do salonu wpadła spieszenie matka młodego gospodarza, p. Niewiarowska, bardzo ceniona artystka starszego pokolenia. Za nią — w długiej rotundzie, podbitej puszystym białym futrem, — Maria Wisnowska. Byliśmy zachwyceni. Ona uśmiechała się radośnie. Z naszego towarzystwa, prócz Stefana Niewiarowskiego, znał ją bliżej tylko Antoni Mieszkowski, który, jako sekretarz redakcji „Kuriera Codz.” i „wzmiankarz” teatralny, za kulisami czuł się jak w domu. Zasiadliśmy wnet do kolacji. Niewiarowska i Wisnowska grały owego wieczora i były równie zgłodniałe, jak my, atmosfera szybko się podniosła. Wisnowska była w doskonałym humorze. Podniecały ją gorące spojrzenia młodych chłopców, rozmowa pieniła się, jak potok górski. Po kolacji wróciliśmy do salonu. Konar ponownie zasiadł przy fortepianie, Wisnowska zaśpiewała kilka pastorałek francuskich. Później chciała tańczyć. Partnerów było dość, mnie wzruszenie plątało nogi, gubiłem takt. Wisnowska

śmiała się jak szalona, moi przyjaciele ryczeli. Zabawa była piorunująca, lecz krótka. Wisnowska nagle spojrzała na zegar, przeraziła się, poprosiła o futro, i już jej nie było. Niewiarowski, ku rozpaczy matki, wybiegł bez kapelusza i paltota, żeby sprowadzić dorożkę.

Odtąd coraz częściej chodziłem do teatru, jeśli Wisnowska występowała. W łoży parterowej przy scenie, z lewej strony, siadywał zwykle generał Palicyn, prezes Teatrów Rządowych, starszy brodac z martwej twarzy i przygasłych oczach. W pierwszym rzędzie krzeseł uwagę zwracał młody i brzydki porucznik huzarów grodzieńskich.

Minęło kilka miesięcy. W ciepłe i wiosną pachnące popołudnie zaszedłem do bardzo wziętej podówczas cukierni w Ogrodzie Saskim. Przy jednym ze stolików siedziała Wisnowska z Konarem. Ukłoniłem się z daleka. Po chwili zbliżył się do mnie Konar.

— Wisnowska prosi, żebyś się do nas przysiadł.

Odczułem podświadomy niepokój, prawie lęk. Lecz poszedłem za Konarem, zająłem miejsce przy stoliku.

Z przebiegu tego spotkania pozostał mi w pamięci jeden szczegół. W pewnej chwili przechodził koło nas młodzieniec słusznego wzrostu, w czarnej utrudzonej pelerynie. Na głowie miał miękki kapelusz o szerokich brzegach, z pod których sypały się nieprawdopodobnie obfite kędziory żółtych włosów. Ukłonił się Wisnowskiej. Spytałem, kim był ów Absalon?

— Młody pianista, odrzekła, który niedawno dawał koncert, zresztą bez większego powodzenia.

Zatrzymała się na sekundę, wreszcie przypomniała sobie nazwisko.

— Paderewski.

Odtąd częściej widywałem Wisnowską. Bywałem u niej, odprowadzałem niekiedy z teatru do domu, to znów — z domu do teatru. Wisnowska zajmowała mieszkanie parterowe przy ul. Złotej pod Nr 3-cim. Z sieni były dwa wejścia. Jedne drzwi prowadziły do przedpokoju, drugie — do pokoju, który był sypialnią artystki.

Z dnia na dzień życie moje jęło sprzęgać się coraz ściślej z życiem Wisnowskiej. Wchodziłem w zawiły labirynt jej zainteresowań, radości, trosk i zabiegów, — jak dziecko, które idzie w wodę, nieświadome jej głębin i wirów, i niepamiętne, że nie potrafi pływać.

W tym samym okresie nastąpiła pomyślna zmiana w moich warunkach materialnych. Nie zaprzestając dorywczego współpracownictwa w „Kurierze Codziennym” i nie wyrzekając się aspiracji literackich, założyłem samodzielną spółkę handlową. W interesach nowej firmy odbyłem pierwszą podróż po większych miastach Rosji, od Bałtyku do morza Czarnego, od Dźwiny i Dniestru aż do Wołgi.

Wisnowska wprędce tak pochłonęła moje myśli i uczucia, że cały wolny od zajęć czas jej oddawałem, zaniedbując stosunki rodzinne, towarzyskie i redakcyjne. Spotykałem się z nią prawie codziennie, załatwiałem jej sprawy, wpadałem wieczorem do teatru, kiedy grała. W kołach aktorskich zarejestrowano, że byłem zakochany. Brzeziński¹⁾, Gawalewicz i Czapelski nie szczędzili przyjacielskich przestróg.

— Pilnuj się! Bardzo niebezpieczna!

Gawalewicz, który uchodził, a zwłaszcza uważał się za wysoce doświadczonego znawcę duszy kobiecej, dorzucał tajemniczo:

— I skomplikowana!

Powtarzałem niekiedy Wisnowskiej te przestrogi.

— Jeśli pan się mnie boi, niech pan ucieka, póki czas.

Tyle było rozmowy między nami o moich uczuciach. Miałem 23 lata, strategia zdobywania kobiet była mi obca. Rzemiosło Don Juana wogóle wydawało mi się zresztą zawsze podejrzaną wartością: czyż nie opiera się zazwyczaj na lekkomyślności lub głupocie kobiety, na nieuczciwości mężczyzny?

„Wisnowska, chwilowo poważniona z Kazimierzem Zalewskim, pragnęła spotkać się z nim na gruncie neutralnym. Prosiła, bym towarzyszył jej „na wody” do Ogrodu Saskiego, który wtedy był letnim salonem Warszawy. Bujniej pleniły się tam plotki, niż kwiaty. W „alei westchnień” czuliły się rozkochane pary, z tych westchnień niejedno urodziło się dziecko.

Wiosną i wczesnym latem, w porze porannej, zbierało się w Ogrodzie „lepsze towarzystwo” stolicy, by sfatygowane żołądki i podrażnione wątroby płukać wodami różnych źródeł zagranicznych i krajowych. Licznie reprezentowany bywał świat finansowy. Niemłody już Jakób Janasz, w nieprawdopodobnie kusym żakietku i spodniach w kratkę, z olbrzymią różą w butonierce, przecha-dzał się ze swym szwagrem, Aleksandrem Goldstandem. Miecz-

¹⁾ Dr. Jan Brzeziński, b. asystent Charcot'a w Paryżu, późniejszy redaktor naczelny „Kuriera Warszawskiego”.

sław Epstein, zwany z powodu nieforemnych ust *krzyvoustym*, lub też — na przekór łysinie — *kędzierzawym*, trzymał się skwapliwie starszych hrabiów z Klubu Myśliwskiego. Mały, okrągły i stale rozradowany Bernard Handke nie odstępował znacznie od niego wyższej małżonki. Osobną grupę stanowili Kazimierz Dobiecki¹⁾ i Franciszek Kostrzewski, pierwszorzędni smakosze i brzuchacze, oraz Edward Lubowski, od rana skrzywiony, zaaferowany i żółty. Damy, cnoty warowne, przeważnie wieku statecznego, komentowały nowiny, zasłyszane poprzedniego wieczora. Leopold Lewandowski, z brodą świeżutko uczernioną, rznął bez miłosierdzia swoje siarczyste mazury. Bardzo sarmacki mazurzysta był z pochodzenia Żydem.

Kazimierz Zalewski, że się cokolwiek puszył, nazywany „ojcem komedii polskiej”, towarzyszył nieodstępnie matce (Zygmunt Przybylski, autor „Wicka i Wacka” mianował ją tejże komedii polskiej babką).

Onego ranka nie doszło z Zalewskim do porozumienia i rozejmu. Dołączył się do nas Edward Lubowski i poszliśmy razem na kawę.

W połowie lata Wisnowska wyjechała na dłuższy urlop zagranicę. Nie mówiła, gdzie się wybierała i z kim. Ambicja nie pozwoliła mi pytać. Juliusz Herman²⁾ zapraszał, bym u niego kilka tygodni spędził. Nabył ładny majątek, Piasecznicę, pod Sochaczewem, siedział już u niego Michał Wywiórski, ze mną wybrał się Stanisław Lenc. Później na czas krótszy, pojawili się Julian Fałat i Leon Wyczółkowski. Polowaliśmy w okolicznych majątkach na kuropatwy.

Stanisław Lenc był jednym z trzech braci, „rodem z Elektorralnej”. Wszyscy trzej odznaczali się brakiem urody i zdolnościami. Stanisław był bardzo utalentowanym malarzem i wybornym karykaturzystą, stosunki warszawskie znał jak mało kto.

¹⁾ Kazimierz Dobiecki w dziedzinie kulinarnej nie lubił zawodów. Gdy obiad mu nie smakował, a i kawa czarna okazała się lurą, całując w rękę gospodynię, mówił:

— Obiadek się udał, bo i kawka pod psem.

Innym razem, pytany o kolację, którą spożył poprzedniego wieczora w domu znajomym, zwięźle wyraził swą opinię.

— Wszystko było zimne, prócz szampana.

²⁾ Juliusz Herman, prezes Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, miłośnik malarstwa i muzyki.

W jego sztuce tkwiły wpływy monachijskie i holenderskie. Spędzając często wakacje w Scheveningen, Lenc rozkochał się we Franciszku Halsie. Było to uczucie ze wszech miar usprawiedliwione. Wrodzona skłonność karykaturzysty do uwydatniania rysów charakterystycznych sprawiała, że wartość portretów Lenca w znacznej mierze uzależnioną bywała od modeli. Mocne w wyrazie głowy męskie malował świetnie, kobiece słabiej.

Wisnowska wróciła do Warszawy z końcem września. Że nie napisała z drogi ani razu, czułem się dotknięty. Ona to spostrzegła i stała się tak miłą, że moje zamiary odwetowe stajały, niczym kwietniowy śnieg w słońcu.

Na wstępie nowego sezonu Wisnowska pochłonięta była sprawami teatralnymi. Kilka wieczorów zajął jej Palicyn. Zapraszała autorów, krytyków i redaktorów, to znów kolegów i koleżanki. Wprzęgnięty zostałem do tajemniczego mechanizmu, który reguluje obłudne życie teatru. W jej garderobie teatralnej i w saloniku przy ul. Złotej często zaczęły się pojawiać kosztowne kwiaty. Marynia, pokojówka Wisnowskiej i wielu jej sekretów powiernica, wygadała się, że kwiaty nadsyłał bezimiennie jakiś „oficer od huzarów”.

Pewnego popołudnia, gdy Marynia otworzyła mi drzwi, w przedpokoju spostrzegłem dwa wielkie płaszcze oficerskie i szable. Marynia szepnęła:

— Jest pan Jelec, z drugim oficerem!

Rotmistrza huzarów Jelca znałem z widzenia. Bywał na polskich balach publicznych. Przeczucie mówiło mi, że jego towarzyszem musiał być oficer, którego widywałem w Rozmaitościach. Cofnąłem się, wróciłem do domu. W dwie godziny później zostałem wezwany listownie na Złotą.

Wisnowska była podrażniona. — Dlaczego pan nie wszedł do salonu? —

— Nie chciałem spotkać się z oficerami!

Odrzekła:

— Jestem aktorką, muszę utrzymywać różne znajomości.

Nie uznawałem tej potrzeby, pierwszy raz wywiązała się między nami sprzeczka. Widząc, że mnie nie przekona, Wisnowska zmieniła ton.

— Myślałam, że pan jest moim przyjacielem!

Zacząła mówić o trudnościach swego życia. Skończyło się tak, że musiałem ją przeproszać.

— A ten drugi oficer? spytałem.

Ona, jak zwykle, przez chwilę szukała nazwiska w pamięci.

— Barteniew.

Wisnowska była wzrostu średniego, — który, według określenia Balzac’a, pozwala z „kobiety czynić rozkoszną igraszkę, porywać ją w ramiona, rzucać, znów podnosić i nieść bez wysiłku”. Owal jej twarzy był doskonały, usta nieco szerokie, o pełnych wargach, włosy popielate. Największy urok tkwił w oczach, o barwie i blasku akwamaryny, gdy były pogodne, a które ciemniały w podnieceniu. Ręce miała zgrabne, choć niemałe, o długich cienkich palcach, — ruchy miękkie i żywe. Jej stroje cechował indywidualny dobry smak. Kochała się w muzyce.

A Barteniew?

Był to żółtawy blondyn wzrostu średniego, mocno zbudowany, twarz o wydatnych kościach policzkowych, oczy osadzone głęboko, nieco skośne. Gdy więcej wypił, stawały się białe. Któraś z jego antenatek musiała zgrzeszyć z tatarskim księciem. W duszy stepowej Barteniewa szalały burze nieokiełznanych namiętności, fantastyczne kaprysy, dzika porywczność. Przytem — maniery gwardyjskie, francuszczyzna poprawna. Ojciec posiadał majątki w gubernii Tambowskiej, stryjowie i ciotki piastowali jakoby godności dworskie.

Barteniew, jak wielu Rosjan, przy koniaku lub szampanie lubił mędrkować. Błąkał się chętnie w gąszczach odwiecznych tajemnic, beznadziejny mistycyzm rosyjski był mu przewodnikiem. Stale dochodził do wniosku, że człowiek po to tylko żyje, żeby umrzeć.

Grał nieźle na fortepianie i gardlanym tenorem nucił desperacką piosenkę, której refren brzmiał:

— A to i trawa nie rosti!....

...Wisnowską absorbowwały trzy zagadnienia: miłość, sztuka i śmierć. Flirt ze śmiercią był dość modną zabawą u schyłku ubiegłego stulecia, okresu wielkiego znużenia psychicznego, natrętniej analizy i anarchii filozoficznej. Flirt ten pociągnął sporo ofiar. Aktorska wyobraźnia Wisnowskiej lubowała się w truciznach, sztyletach i rewolwerach. Nosila stale pierścioneł, w którym mieściła się kurara.

Było to na kilka dni przed Bożym Narodzeniem, siedziałem w saloniku na Złotej. Za szybami okien prószył śnieg, zapadał wczesny zmierzch. Rozmowa się nie kleiła. Wisnowska usiadła

przy pianinie i w roztargnieniu przesuwiała palcami po klawiszach. Barteniew miał przyjść nazajutrz z wizytą, Wisnowska chciała, abym był obecny. Odmówiłem. Ją to drażniło, ja byłem rozżalony. Nagle odwróciła się do mnie i nieco szydlwym tonem zapytała.

— Pan może jest zazdrosny?

— Nie mam do tego uprawnień.

— Zazdrosnym bywa się w ten sam sposób, jak — blondynem lub garbatym. Z przyrodzenia.

Dotknęła klawiszów, odnalazła jakiś motyw Szopena. Tak minęło parę minut. Wreszcie ciszej rzekła.

— Ja nie chcę, żeby pan był smutny.

Wstała, pochyliła się, ręce oparła na moich ramionach, oczy utkwiała w moich. Powoli zbliżyła usta. Pachniały, jak jej włosy, wanilią. Jak długo trwał ten pierwszy pocałunek?...

Następnego dnia poznałem Barteniewa. Wydał mi się obcy i płytki. Wisnowska powiedziała mi później, że również mu się nie podobałem.

Wigilię spędziłem u Wisnowskiej. Dysonansem była obecność Myszugi, słynnego wówczas tenorzysty. W kołach teatralnych krążyła wersja, jakoby zamierzał rozwieść się z żoną, by Wisnowską poślubić.

Myszuga z pochodzenia był Rusinem, po polsku mówił z silnym akcentem lwowskim. Nie żywiliśmy do siebie sympatii.

Stosunek Wisnowskiej do mnie zacieśniał się, o swoim życiu jednak mówiła mało. Ja wziąłem sobie za regułę nigdy nie pytać; ona była temu rada. Doświadczenia życiowe wyrobiły w niej daleko posuniętą podejrzliwość i nieufność. Ale w oczach jej błakał się częściej lekko drwiący uśmiech, którym osłaniała wzruszenie i czułość.

W końcu stycznia Wisnowska wyjechała na gościnne występy do Łodzi. Przybyłem tam pierwszego lutego, w przeddzień jej imienin. W Grand Hotelu znalazłem numer w pobliżu jej pokoju. Była zadowolona z mego przyjazdu, Marynia, która nieodstępnie jej towarzyszyła, aż zapiała z uciechy. W ciągu popołudnia Wisnowska niewiele miała dla mnie czasu. W teatrze odbywała się dodatkowa próba. Wieczorem kilku wpływowych autochtonów zaprosiło ją na kolację; uprzedziła ich o moim przybyciu. Teatr był wypełniony, przyjęcie gorące, po każdym akcie kwiaty. Po przedstawieniu odwoziłem Wisnowską do hotelu, przytuliła się do mnie w dorożce. Wielbiciele lokalni czekali przed Grand Hotelem.

Było ich trzech: dwóch młodych baronów Heinzlów i trzeci, którego nazwiska nie pamiętam. Towarzyszył im dyrektor teatru, bodaj Michał Wołowski. Dyrektorzy w teatrze łódzkim mieniali się tak często, że pamiętać trudno.

Starego Heinzla, ojca współbiesiadników, znałem. Było to barczyste i ciężkie niemczysko; wyglądał raczej na majstra fabrycznego, niż na potentata przemysłowego. Lecz dość było zamienić z nim parę zdań, by ocenić jego doświadczenie w interesach i szybkość decyzji. Po polsku mówił lichy, synowie za to mówili lepiej po polsku, niż po niemiecku. Kosztem znacznych ofiar pieniężnych, ojciec wyjednał dla siebie i dla nich w Petersburgu tytuł baronowski.

Młodzi milionerzy obiecywali sobie prawdopodobnie zabawę inną i lepszą, niż tę, która ich spotkała. Wisnowska nie znosiła dwuznacznych dowcipów, nienawidziła tłustych anegdot. Ich nudziły dyskusje na temat sztuki i teatru. Kolacja dłużyła się. Skróciłem nudę, płacąc rachunek. Współbiesiadnicy łatwo pogodzili się z losem, Wisnowska podziękowała mi spojrzeniem.

Poszliśmy na górę w milczeniu. Wisnowska zdawała się ważyć decyzję. W korytarzu uśmiechnęła się, przesłała dłonią od ust pocałunek i zniknęła w drzwiach.

Poszedłem do swego pokoju. Noc była księżycowa, miasto pod śniegiem. Nie zapaliłem światła: pokój wypełniała biała mroźność. Dzwonki sanek na ulicy zwolna milkły, hotel zasypiał. Minęło pół godziny, może godzina. Podświadoma siła trzymała mnie w fotelu. Nagle wydało mi się, że usłyszałem lunatyczne, ściszone kroki w korytarzu, serce zabiło młotem. Jeszcze sekunda, — drzwi uchyliły się. To była ona, w białym, przejrzystym peniuarze. Uśmiech jej miał wyraz prawie bolesny. Położyła palec na ustach, zamknęła drzwi, przekręciła klucz. Już tkwiła w mych objęciach.

Byłem oszalały szczęściem i radością życia. Ona chętnie ulegała moim porywom, lecz nie traciła nigdy samoopanowania, zdawała się zawsze analizować moje i swoje odczucia. W chwilach przepastnego upojenia jej szeroko rozwarte źrenice wpatrywały się uparcie w moje oczy, na jej ustach jawił się zagadkowy uśmiech, w którym mieściła się radość z rozkoszy własnej i duma z mojego szczęścia.

Raz, żartem, opowiedziałem jej końcową scenę z erotycznej powieści Goncourt'a — „La Faustin”. Sławna aktorka paryska

klęczy u łoża umierającego kochanka. Twarz młodego lorda wykrzywia się w skurczach agonii, „La Faustin”, półprzytomna z rozpaczy, bezwiednie naśladuje drgnienia twarzy konającego. Aktorka podświadomie zwyciężyła kochankę. Młody lord podniósł powieki, dostrzegł jej grymasy, i cichym głosem rzucił służbie rozkaz:

— Take off this women!

— Usuniecie tę kobietę!

...Wisnowska zamyśliła się.

— Psychika aktorki jest skomplikowana, ludzie z innego świata nie rozumieją nas. Zaś ty, chwała Bogu, nie jesteś lordem.

... Nie popełniam niedyskrecji. Dramat Wisnowskiej i Barteniewa w perspektywie pięciu blisko dziesiątków lat utracił cechy sensacji i drażliwości. Z osób, bezpośrednio wmieszanych, prawdopodobnie ja jeden — wówczas najmłodszy, — pozostałem przy życiu. Publiczny przebieg procesu Barteniewa odsłonił prawdę; wobec służby i dozorczy domu nic ukryć się nie da.

... Barteniew bywał na Złotej rzadko, kwiaty przysyłał często. Za kulisami niechętnie już patrzono na przyjaźń Wisnowskiej z generałem Palicynem. Ale był to prezes Teatrów. Barteniew natomiast był tylko oficerem pułku gwardyjskiego. Józef Kotarbiński, człowiek dobry i lojalny, który żywił dla Wisnowskiej szczerą sympatię, namawiał mię gorąco, bym nakłonił ją do zaniechania tej znajomości. Gdym spróbował, Wisnowska śmiała się przekornie.

— Miałabym prawo mniemać, że już nie powinienes mieć powodów do zazdrości!...

Czas biegł nieprawdopodobnie szybko. Nie widywali mię krewni, przyjaciele, znajomi. Poza zajęciami zawodowymi, byłem jedynie i całkowicie pochłonięty codziennymi spotkaniami z Wisnowską, jej sprawami i kaprysami.

Czapelski i Antoni Mieszkowski próbowali trzeźwić mię plotkami, które o Wisnowskiej krążyły. Nie chciałem słuchać. Odpowiadałem aforyzmami balzackowskiego Lucjana de Rubempré o cynizmie dziennikarzy.

Nadeszła wiosna, Barteniew usilnie zapraszał Wisnowską na wieczorną wycieczkę do Wilanowa. Zapewniał, że nikt obcy nie dostrzeże jej, ona uzależniła swą zgodę od mego uczestnictwa. Że projekt nęcił ją, musiałem przyjąć zaproszenie.

O zmierzchu przyjechałem zamkniętą kareta na Złotą. Wisnowskiej towarzyszyła kuzynka, która posiadała jej całkowite zaufanie, Barteniew miał czekać w restauracji wilanowskiej. Mieściła się ona w tej samej ruderze, co i obecnie.

Był ciepły wieczór majowy, jeden z tych, kiedy duszę ludzką koi nieopamiętana błogość i wszystko wydaje się prostym i łatwym. Aby uchronić Wisnowską od niepożądanych spotkań, Barteniew polecił urządzić wejście do restauracji przez okno, po deskach, nakrytych dywanem. Nie trudno odgadnąć... jakie zaciekawienie wywołały te tajemnicze przygotowania w najbliższym sąsiedztwie. Do zarezerwowanej dla nas sali obsługa restauracyjna nie miała wstępu. Ordynansi pułkowi odbierali półmiski u drzwi.

Ledwieśmy zasiedli do stołu, za oknami rozległ się tętent koni i brzęk szabel. Twarz Barteniewa promieniała radością.

Nagle uderzyła w nas gwałtowna burza dźwięków. Grzmiała orkiestra huzarów grodzieńskich. Teraz już wszyscy mieszkańcy wilanowscy, starzy, młodzi i drobna dziatwa, tłumnie pędzili w stronę restauracji!...

Wisnowska, w pierwszym momencie przerażona, śmiała się teraz jasnym, perlistym śmiechem, któremu zarówno w teatrze jak w życiu nikt oprzeć się nie potrafił.

— Tak pan sobie wyobraził cichą i dyskretną kolację!...

Barteniew rżał z uciechy. Byliśmy młodzi, kipiący ochotą życia. W szklankach pienił się złocisty szampan, w naszych skroniach — wiosna.

Wisnowska naogół piła rzadko i umiarkowanie. Tego wieczora uległa namowom i prośbom Barteniewa. Była rozbawiona i podniecona. Barteniew pożerał ją zachwyconym wzrokiem, gasząc pożar wewnętrzny szklankami chłodnego wina. Wzmacniał je suto koniakiem.

Gdyśmy skończyli jeść, zaproponował:

— Noc taka piękna. Nad łąką wiślaną księżyc w pełni!

Wisnowska była tym powiadomieniem olśniona.

— Musi być cudownie! ,

— Pójdzie pani?

— Oczywiście!

Sprzeciwiłem się.

— O tej porze park jest zamknięty.

Barteniew nie uznawał tego rodzaju trudności.

— Każemy otworzyć. Park jest od tego, żeby był dostępny.

I już nie dyskutując, wysłał na zwiady ordynansa. W skośnych jego oczach migotały niepokojące ogniki.

Kobieta wobec mężczyzny, który się w niej kocha, zawsze bywa zalotną. W aktorce chęć podobania się wiąże się jeszcze z jej zawodem. Być może, iż Wisnowska chciała również i mnie podrażnić. Leżało to w kapryśnej przekorze jej charakteru.

Barteniew chwycił ją za ramię, pobiegli w stronę parku. Przyspieszyliśmy z kuzynką kroku, lecz za kościołem straciliśmy ich z oczu. Ukąsiło mię podejrzenie, że Barteniew z góry plan eskapady ukartował.

Aleje parku były mroczne, powietrze nasycone wonią bzów i jaśminów, światłość księżyca słała się po trawnikach i czubach drzew. Od wody niósł się namiętny rechot żab, w gąszczach darły się słowiki. Usiedliśmy z kuzynką na ławce. Ona była stropiona, ja — do głębi wzburzony. Minuty wydawały się godzinami.

Wreszcie u wylotu alei pojawiły się dwa cienie. Barteniew i Wisnowska dostrzegli nas zdaleka, zwolnili kroku, kończąc ściszoną rozmowę. Nastrój kolacyjny pierzchnął bezpowrotnie. Wisnowska matowym głosem żądała, byśmy wracali do miasta. Pod oknami restauracji huczały w dalszym ciągu trąby, bębny i piszczałki. Barteniew kazał przerwać hałaśliwy koncert, podochoceni wódką muzykańci umilkli. Zajechała karetą, Wisnowska była zamysłona i roztargniona. Pożegnaliśmy się z Barteniewem spiesźnie i chłodno, karetą potoczyła się drogą królewską w stronę Warszawy. Odwiozłem panie i pierwszy raz od trzech miesięcy wróciłem wprost do swego mieszkania.

Nazajutrz przed południem przyniesiono mi duży pęk konwalii. Bez kartki, bez żadnego zlecenia. Łatwo było domyślić się, od kogo pochodziły. Gdy pod wieczór zjawiłem się u Wisnowskiej, była już w stroju domowym. Tego wieczora nie grała. Kolację spożyliśmy we dwoje w saloniku, przylegającym do sypialni.

W pewnym momencie wziąłem Wisnowską za rękę i spytałem.

— Dlaczego nie chcesz wyjść za mnie?

— Nigdy mi nie proponowałeś.

— Lękałem się, że będziesz ze mnie drwiła.

Patrzyła na mnie rozbawionymi oczyma, tkwiła w nich mgielka czułości. Byłem od niej o sześć lat młodszy!...

W toku długiej rozprawy Wisnowska starała się dowieść, że aktorka, rozmiłowana w swej sztuce, nie powinna wychodzić za mąż. Związek małżeński, z wszystkimi jego konsekwencjami, czy-

ni z aktorki złą żonę, albo zaniedbałą artystkę. Teatr wymaga całkowitego oddania się, nie znosi podziału... W znacznym stopniu miała słuszność.

Ów wieczór, który przeciągnął się do zapóźnionego ranka, był jednym z najrozkoszniejszych, bo żar namiętności splótł się z głębokim wzruszeniem. W pewnej chwili Wisnowska nieoczekiwanie rzekła.

— Są dwa rodzaje kobiet: matki i kochanki. Niekiedy miłość kochanki łączy się z czułością matki. Ja umiem być tylko kochanką!

Wisnowska otrzymała od Barteniewa list, w którym pisał, że za wyprawę do Wilanowa z orkiestrą pułkową ukarany został aresztem domowym. Korzystając ze sposobności, błagałem Wisnowską, by odsunęła się od awanturnika. Lecz z nią było tak, że im więcej słyszała przestróg, tym silniej reagował i krzepł jej upór.

W parę tygodni później, acz z wielką niechęcią, zniewolony się widziałem do odwetu za kolację wilanowską. Zaprosiłem to samo towarzystwo do Sielanki. Barteniew prosił mię o pozwolenie sprowadzenia chóru cyganów moskiewskich, który bawił w Warszawie. Jęklive ich pieśni zmąciły nastrój i tak już sztuczny i naprężony. Tego wieczora jeszcze wyraźniej zdałem sobie sprawę, że między Wisnowską a Barteniewem toczyła się gra coraz gwałtowniejsza.

Na powrotnej drodze z Sielanki, Barteniew zatrzymał karete przed cerkiewką, która szpeciła Aleje Ujazdowskie, — na dzisiejszym Rozdrożu. Wyskoczył z karety i dość bezładnie jął prosić Wisnowską, by wstąpiła do cerkiewki. Ona po chwili wahania zgodziła się.

Gdy wróciła, twarz jej była biała, oczy nieprzytomne, ledwie trzymała się na nogach. Barteniew, bardzo pomieszany, objaśniał:

— Pani Marii zrobiło się słabo.

Potwierdziła skinieniem głowy. Barteniew pożegnał się raptownie, my pojechaliśmy na Złotą. Wysiadając, szepnęła mi:

— Wróć!

Odwiozłem kuzynkę i powróciłem. Wisnowska spoczywała na szezlongu, bardzo wyczerpana. Cichym głosem skarżyła się.

— Tam, w cerkwi, na katafalku leżał huzar, który wczoraj odebrał sobie życie. Było ciemno. Nagle wydało mi się, że to leży Barteniew.

— W tym celu tam cię zaprowadził!

Wisnowska nie słyszała moich słów. Podniosła się jak w hypnozie, podeszła do okna. Odsunęła portierę, krzyknęła. Gdybym jej nie podtrzymał, byłaby upadła. Trzęsła się, jak w febrze.

— Naprzeciwko... w bramie... człowiek z krwawą twarzą!

Nie widziałem nikogo. Zanim ją z powrotem na szezlong. Na toalecie stał zawsze flakon z amoniakiem. Podsunąłem, odechnęła głębiej, nie odmykając źrenic. Rozwarła je dopiero po chwili, rozglądając się ze zdziwieniem po sypialni. Zmusiła się do nikłego uśmiechu...

W pół godziny później, gdy już usypiała, wyszedłem na ulicę. Od dłuższego czasu żyłem w ciągłych niepokojach i rozdrażnieniu, tego wieczora każdy mój nerw zdawał się dygotać, w skroniach hulał gorący wicher. Pora była późna, ulice puste. Szedłem Marszałkowską, potem skręciłem w Erywańską, dzisiejszą Kredytową. Niebo, ciemnymi chmurami powleczone, zaczynało od strony Wisły błędnąć. Jak gdyby obcą siłą tknięty, zwróciłem oczy na wnękę niedalekiej bramy. Serce zamarło w piersiach. Człowiek z krwawą twarzą! Biegłem, jak szalony... Jakiś wóz zaturkotał na kocich łbach bruku. Zatrzymałem się, powiodłem osłupiałym wzrokiem. Byłem na Tamce, blisko rzeki.

W dwa dni później, w godzinach rannych, przed oknami mieszkania Wisnowskiej rozległy się dźwięki Szopenowskiego marsza żałobnego. Ciągnął wojskowy kondukt pogrzebowy, z orkiestrą huzarów grodzieńskich na czele. Przez ul. Złotą nigdy takich konduktów nie kierowano, widoczna była inicjatywa Barteniewa, który szedł za trumną. Patrzył chciwie w parterowe okna domu Nr 3, rozgrywka prowadzona była już w otwarte karty. Wisnowska mówiła ze zwykłym, na poły smutnym, na poły drwiącym uśmiechem:

— Barteniew, to moja śmierć!

Nikt z bliskich nie brał tych słów poważnie.

...Nad ranem, po nocy burzliwej, Wisnowska pochyliła się nademną. Czarna, pajęczynowa koszula, która podkreślała kararyjską biel jej ciała, była w strzępach, czerwone, nabrzmiałe wargi muskały moje usta, jak skrzydła motyle. Oczy płonęły ciemnym blaskiem.

Powietrze sypialni przesycone było wonią róż i miłosnego szału.

— Wiesz, — mówiła cicho, — jak chciałabym umierać? Żeby tu było jeszcze więcej róż... wszędzie róże!.. żeby szampan pieniał się w szklankach... i żeby przez ścianę Barcewicz grał na skrzypcach pieśni włoskie, rosyjskie... Taka muzyka, co szarpie trzewia... i obłędne pocałunki, bezmiar rozkoszy, poza którym nie ma już nic, tylko śmierć!..

Daremnie próbowałem uchwycić jej wargi. Usuwała je, przymykała znowu, uśmiechała się kusząco...

— Chciałbyś tak umrzeć?

— Pocóż umierać, gdy tyle przed nami? Jesteśmy młodzi!

— Dlatego właśnie. Trzeba umierać w pięknie, więc młodo!

Jej oczy nagle zgasły, głowa opadła na poduszki obok mojej. Myśli odbiegły daleko...

Czerwiec był upalny. Matka Wisnowskiej wyjechała na letnie mieszkanie pod Młociny.

Barteniewa od pewnego czasu nie spotykałem, domyślałem się wszakże, iż Wisnowska komunikowała się z nim dalej. W rozmowach unikaliśmy jego nazwiska, tym natrętniej jawił się między nami jego cień.

Co wieczór, po przedstawieniu, odwoziłem Wisnowską do domu. Odtwarzała w tym czasie w teatrze Letnim (teatr Rozmaitości wtedy odbudowywano po pożarze) główną rolę w efektownym melodramacie włoskim Giacosa „Żywy posąg”. Barteniew był w teatrze co wieczór, rozmowy z nim unikałem.

Jednego z ostatnich dni czerwcowych Barteniew zbliżył się do mnie, proponując, byśmy wyszli razem do ogrodu na papierosa. Płatał się, w pierwszej chwili sądziłem, że był po sutszej libacji. Tak przecież nie było. Jego mózg dręczyła niemijająca gorączka. Począł zwierzać się, że życie dokuczyło mu. Jeśli mają być same zawody i cierpienia, to takie życie wogóle jest oszustwem. Prawdy szukać trzeba w śmierci.

Słuchałem tych znanych mi już wywodów w milczeniu i bez współczucia. Barteniew rzucił papierosa i nagle zapytał:

— Et vous, êtes vous heureux?

Wpił się we mnie mętym, tętym wzrokiem, jak gdyby chciał wyczytać przyznanie. Miał odpowiedzi, podałem mu papierosnicę. Wziął papierosa, zapalił, niespodziewanie głos jego zmiażdżył, spojrzenie złagodniało. Wahał się przez parę sekund, wreszcie rzekł po rosyjsku.

— Stiepan Władysławowicz, jabym bardzo pragnął, żeby pan był mi życzliwy. Bądźmy przyjaciółmi, dobrze?

Zaskoczony tą nagłą propozycją, w dalszym ciągu milczałem. On, niezrażony, po krótkiej przerwie rzekł:

— Ja pragnąłbym mieć od pana pamiątkę, i żeby pan miał pamiątkę odemnie. Chce pan, zamienimy zegarki?...

Wyjął z kieszeni duży złoty chronometr na ciężkim łańcuchu i podał.

Odpowiedziałem, siląc się na uprzejmość.

— Nie mogę rozstać się z moim zegarkiem. Stanowi pamiątkę po dziadku.

Barteniew spochmurniał, schował swój chronometr.

— *Re n t r o n s a u s p e c t a c l e.*

Gdyśmy się w korytarzu żegnali, ni stąd ni zowąd zaopiniował po rosyjsku, raczej do siebie, niż do mnie.

— Swojej sud'bie nie ujdiesz! ¹⁾

Nie zobaczyłem go odtąd, aż w ośm miesięcy później, — z daleka — na ławie oskarżonych.

W sobotę, dn. 29 czerwca (1890) Wisnowska przysłała Marynię z prośbą, bym przyszedł na wczesny obiad. Gdy się zjawił w południe, oznajmiła.

— Chcę skorzystać z wolnych dwu dni, pojedę do matki. Wrócę jutro wieczorem lub w poniedziałek rano.

— Przysłać ci karetę?

— Już zamówiłam. Chodź. Siądziemy do stołu, jak para małżonków.

W uśmiechu jej była tkliwość, brakło wesołości. Pozostałem w mieszkaniu na Złotej do trzeciej. Wróciłem o szóstej, kiedy już przed bramą oczekiwała karetka. Wisnowska była ciemno ubrana. Zdziwił mnie duży i gęsty woal przy kapeluszu.

— Na drodze będzie kurz! objaśniła.

Pożegnaliśmy się jak żegnają się bliscy sobie ludzie, którzy mają rychło spotkać się znowu. Oba wieczory spędziłem w zawarcu domowym, odrabiając zaległe prace. W poniedziałek o siódmej z rana obudził mnie służący.

— Przynieśli pilny list z redakcji.

Adres na kopercie nakreślony był w pośpiechu ołówkiem. Wyjąłem kartkę.

¹⁾ Swemu losowi nie ujdiesz!

— „W tej chwili otrzymałem wiadomość o zabójstwie Wisnowskiej w domu przy ul. Nowogrodzkiej Nr 14. Czapelski”.

Przeczytałem raz i drugi. Trudno mi było zebrać myśli. Nie mogłem uwierzyć, aby wiadomość była prawdziwą.

Narzuciłem szybko ubranie, służący sprowadził dorożkę. Jechała tak wolno, że na rogu Alei Jerozolimskiej wyskoczyłem i pobiegłem piechotą. Przed bramą domu przy ul. Nowogrodzkiej rozprawiało kilka jejmości i paru przechodniów. Perorował stróż. Zapytałem.

— Co się stało?

— Zabili jedną panią z teatru.

— Kto zabił?

— Oficer.

...Nie dotarłem do wnętrza tragicznej garsoniery. Policja wzbraniała dostępu. Do domu wróciłem pół przytomny. Lipcowy ranek kąpał się w złotych promieniach słońca, ulice roiły się od przechodniów. Życie toczyło się dalszym trybem...

Moje — nagle się przerwało. Nie mogłem się pogodzić z myślą, że jej nigdy już nie zobaczę. Odczuwałem straszliwą pustkę, żal, ból. Z trudem wstrzymywałem się od krzyku.

Zamknąłem się w mieszkaniu, kazałem zapuścić rolety. Wieczorem wyjechałem do Jasionny.

Po co, sam dobrze nie wiedziałem. Czyż człowiek może uciec od swego cierpienia? Wciąż i nieustępliwie wracała myśl: jak ona mogła tam pójść? Co ją skłoniło? Z dobrej woli, czy pod terrorem pogroźek?

Nie zostawiła dla mnie jednego słowa! Nic!

Żyć dalej z tą raną w sercu? Z tą męką?...

...Wczesnym rankiem znalazłem się na peronie cichej stacji jędrzejowskiej. Wynajęta dorożka powiozła mnie do Jasionny. Na polach, które przecinała wstęga szosy, rozpoczynano wczesne w tym roku żniwa. Słychać było rażny brzęk kos, dziewczyny, wiążące garście żyta w snopy, zawodziły swawolne piosenki.

We dworze jasińskim zastałem Edwarda Winnickiego. Braterstwo wyjechali do Galicji odwiedzić córkę, która kształciła się w jednym z tamtejszych klasztorów. Zabrali ją na parę tygodni do Zakopanego. Brat uprosił szwagra, by podczas jego nieobecności doglądał gospodarstwa.

Mój wygląd przeraził Edwarda. W kilku słowach powiadomiłem go, co mnie przygnało. Nie pytał więcej, uspokajał, — i nie

odstępował na krok. Gdy szedłem piechotą w pole lub do lasu, czy jechałem konno na łąki, nieodmiennie mi towarzyszył.

...A potem wróciłem do Warszawy, pogrążyłem się w pracy i czas zwolna przyćmiewał ból. Czas, lekarz najniezawodniejszy.

Na cmentarzu powązkowskim, przy grobie Wisnowskiej, w pobliżu katakumb, spotykałem stale klęczącą postać kobiecą w ciężkiej żałobie. Gęsty welon zasłaniał jej twarz.

Składałem ukłon z daleka, nie zamieniliśmy nigdy słowa.

Przewód sądowy ¹⁾ ustalił, że w poniedziałek, dn. 1 lipca 1890 r. przed 6 z rana do mieszkania rotmistrza pułku huzarów grodzieńskich Lichaczewa wszedł kornet Aleksander Barteniew. Zerwał szlify i głuchym głosem oświadczył.

— Oto moje szlify.

Lichaczew patrzył nań zdziwionym wzrokiem, nie rozumiejąc, co ten gest miał znaczyć.

— Zabiłem Wisnowską.

Opowiadanie Barteniewa było chaotyczne, twarz blada, alkoholem i nadmiarem wzruszeń wymęczona. Że uparcie obstawał przy swym zeznaniu, Lichaczew wydelegował adiutanta, korneta hr. Kapnistą, aby sprawdził, co się istotnie stało. Hr. Kapnist pojechał na ul. Złotą Nr 3. Tam dowiedział się od służącej, że matka Wisnowskiej bawi na letnim mieszkaniu we wsi Potok, pod Młocinami, że młoda pani pojechała tam poprzedniego dnia, pod wieczór. Miała wrócić w nocy, lecz nie wróciła. Gdy Kapnist przyjechał z tą wiadomością do koszar, Lichaczew dodał mu sztabrotmistrza Jelca i wysłał obu na ul. Nowogrodzką. Przy pomocy rewirowego i stróża otworzyli drzwi mieszkania, które przed paru tygodniami odnajdował w tym domu Barteniew. Składało się ono ze sporego korytarzyka i pokoju, w którym okno było szczelnie zasłonięte. Wschodnie tkaniny zdobiły ściany, podłogę okrywał puszysty dywan. Umeblowanie stanowiła niska otomana, inkrustowany stolik i pufy. Na otomanie leżała obnażona, martwa Maria Wisnowska.

Na stoliku, obok niedopitej butelki z szampanem, i drugiej — z portierem — stały dwie flaszeczki. Jedna zawierała opium, druga — chloroform. Obie pochodziły z apteki pułkowej. Leżała przy nich kartka papieru, zapisana ołówkiem. Pismo było Wisnowskiej.

¹⁾ „Zabójstwo Marii Wisnowskiej” (dokładne sprawozdanie sądowe) opracował Marian Łodyga, Warszawa, drukarnia Kupiecka, Elektoralna N8.1890.

— „Człowiek ten postępuje sprawiedliwie. Zabija mnie. Ostatnie pożegnanie ukochanej i świętej Matce i Aleksandrowi ¹⁾. Żal mi życia i teatru. Matko ty biedna, nieszczęśliwa! Nie proszę o przebaczenie, gdyż umieram z własnej woli. Matko! My się jeszcze zobaczymy tam, w górze, czuję to w ostatniej chwili. Nie igra się z miłością”!

Na podłodze leżało czterdzieści kawałków ołówkiem zapisanego papieru. W większej części — przez Wisnowską, w mniejszej — przez Barteniewa. Barteniew utrzymywał w swych zeznaniach, że swoje kartki podarła z własnej woli Wisnowska, on — swoje.

Jelec i Kapnist wrócili do koszar, złożyli raport. Lichaczew kazał zawiadomić władze. Jakoby, wychodząc z pokoju, w którym pozostał Barteniew, położył na stole nabity rewolwer... Barteniew nie skorzystał zeń i został przewieziony do więzienia. W toku śledztwa twierdził, że Wisnowską poznał w lutym 1889 r. Wywarła na nim wielkie wrażenie. Złożył wizytę, przysyłał na scenę kwiaty. Na tym kończyło się przez dłuższy czas. Częstsze odwiedziny Barteniewa nastąpiły pod koniec r. 1889. Rozpoczęła się tragiczna gra miłości i śmierci. Proponował małżeństwo. Wisnowska nie traktowała tych oświadczeń poważnie. Na Boże Narodzenie Barteniew wyjechał do rodziców, rzekomo aby uzyskać zezwolenie ojca na ślub. Gdy powrócił, wyznał, że nawet nie mówił o tych projektach, gdyż nabrał przekonania, iż nigdy nie otrzymałby zgody.

Sędziemu śledczemu, a później przed trybunałem, Barteniew oświadczył, że już w pierwszej połowie kwietnia 1890 r. został kochankiem Wisnowskiej. Przeczyły temu stanowczo zeznania najważniejszych świadków. Myszuga na dwadzieścia cztery godziny przed zabójstwem, mówił z Wisnowską o tych plotkach. Przysięgała na życie matki, że były kłamstwem.

Barteniew prawdopodobnie przechwalał się po pijanemu wobec kolegów, i potem licha ambicja kazała mu upierać się przy kłamstwie.

Wisnowska była tak dalece aktorką, że w jej wyobraźni teatr i życie stapiały się w jedno. Na scenie tworzyła życie, z życia robiła teatr.

Prokurator, na podstawie zeznań generała Palicyna, wywodził, że Wisnowska tytułem pensji i dodatków pobierała z górą czte-

¹⁾ Barteniewowi....

ry tysiące rubli rocznie. Prócz tego miała dochody z występów na prowincji. Barteniew otrzymywał od ojca rentę w kwocie trzech tysięcy rubli rocznie. Nie wystarczała mu, robił długi. Względy materialne w tym konflikcie nie mogły wchodzić w rachubę.

Co skłoniło zatem Wisnowską, że zgodziła się na schadzke?

Wyobraźnia jej szukała efektownego rozwiązania. Nęciły ją trudności i niebezpieczeństwa. Skłonność do hazardu była dominującą cechą jej usposobienia.

W młodym bojarze okrucieństwo kojarzyło się z tchórzostwem, szalała zawiedziona namiętność i zazdrość.

Prokurator zapytał eksperta prof. Troickiego, czy psychiczne impulsy mogą pchnąć człowieka do zbrodni?

Ekspert odpowiedział:

— Niezaspokojona miłość często wywołuje gwałtowne, nieopanowane reakcje.¹⁾

W dzienniku, który znaleziono w biurku Wisnowskiej, stan jej umysłowości wyrażał się w takich aforyzmach:

— Nie urodzić się, to pierwszy stopień do szczęścia. Jeśli ktoś nieszczęsnym przypadkiem znalazł się na ziemi, jedno winno go pocieszyć: że wróci do stanu pierwotnego.

— Jakże chciałabym umrzeć, ubrana w bieli, w różowym pokoju, wśród kwiatów, przy dźwiękach cichej muzyki.

— Warto być bogiem albo niczym.

Barteniew czekał w garsonierze z rachunkiem. Płacić albo umrzeć! Może jedno i drugie. W pokoiku o zasłoniętym szczelnie oknie, wśród wschodnich tkanin i dywanów, w dusznej atmosferze nocy lipcowej, odurzającego zapachu kwiatów i ćmiącej woni chloroformu, — godziny wlokły się bez końca. Szampan, zmieszany z porterem, ciążył w mózgach. Z zewnątrz nie dochodził żaden głos. Na stoliku leżał rewolwer, obok stała trucizna. Cóż pisała Wisnowska w tych kartkach, które znaleziono podarte na dywanie?

— „Zasadzka. Mam umrzeć. Ten człowiek jest sprawiedliwością. Boję się, drzę. Matce moja ostatnia myśl, — i Sztuce. Boże. Wyratuj mnie. Wyratuj. Wciągnęli mię. To była zasadzka. Wisnowska”.

¹⁾ Objaśnienie interesujące z uwagi, że teorie Freuda nie były jeszcze wtedy znane.

— „Ten człowiek groził mi swoją śmiercią. Przyszedł. Żywa mi wyjść nie da”.

W kartkach Barteniewa, jak również w jego listach, które znaleziono u Wisnowskiej, powtarzał się refren.

— Jeśli nie będziesz moją, wyłącznie moją, nie pozostanie mi nic innego, jak umrzeć.

Za zasłoniętym oknem rodził się w radosnej świeżości porannej słoneczny dzień letni. W mrocznej garsonierze koszmarna noc trzymała za gardła. Dalsze życie wydawało się niepodobieństwem.

Wisnowska nalała do szklanki opium. Wypiła połowę, oddała szklankę. Barteniew umoczył usta. Ona zwilżyła chustkę chloroformem.

— Kończmy!

Położyła chustkę na twarzy. Barteniew objął ją lewym ramieniem, prawą ręką sięgnął po rewolwer, przyłożył lufę do piersi. Padł strzał, przygłuszony bezpośrednim zetknięciem z ciałem. Wisnowska nie wydała okrzyku. Znieruchomiała. Twarz jej nie uległa zmianie, na ustach pozostał cień lekkiego, drwiącego uśmiechu.

...Sąd uznał, że Barteniew zabił Wisnowską wbrew jej woli. Wyrok był surowy: ośm lat ciężkich robót, utrata praw, dożywotnie osiedlenie na Syberii.

W rok później łaska cesarska zmieniła ciężkie roboty na służbę żołnierską na Kaukazie. Podobno i ta kara nie trwała długo. Barteniew wrócił do swego majątku w gub. Tambowskiej.

W grudniu 1932 r. dzienniki warszawskie zamieściły wiadomość, która wywołała sensację. W stołecznym schronisku najstraszliwszej nędzy, — w tzw. „Cyrku”, — zmarł niemłody już Rosjanin, włóczęga bezdomny, z wszelkich środków do życia wyzuty. W swej ojczyźnie był jakoby niegdyś bogatym posiadaczem włości. Wywłaszczyli go bolszewicy. Uciekając przed ich prześladowaniami, oparł się w Warszawie.

Nazywał się Aleksander Barteniew. Utrzymywano, że to właśnie on był hulastycznym oficerem huzarów gwardii, bohaterem tragedii, która w noc lipcową 1890 r. rozegrała się przy ul. Nowogrodzkiej.

Czy poniosły go do Warszawy wspomnienia młodości, przeżyć beztroskich i tragicznych? Przed śmiercią może błąkał się po ulicy Żłotej, zaglądał w parterowe okno, tuż przy bramie...

Może przeżywał jeszcze raz dramat swojej młodości...

WARSZAWA W OSTATNIM DZIESIĄTKU LAT UBIEGŁEGO WIEKU

Królestwo Kongresowe pod względem gospodarczym przechodziło okres pomyślności. Rolnictwo podnosiło się z popowstaniowego upadku. Przemysł zdobywał rynki rosyjskie. Gromadziły się wielkie fortuny. Nowi bogacze nie wywozili zdobytych kapitałów zagranicę, wkupywali się we względy społeczeństwa wysokimi nieraz ofiarami na cele publiczne. Dorobkiem kulturalnym z owych czasów żyliśmy w niemalym stopniu później, gdy Polska odzyskała niepodległość.

Doktryny pozytywistyczne chwiały się, ujawniał się nawrót do uczuć religijnych. Potężna indywidualność papieża Leona XIII, której najistotniejszym wyrazem była encyklika „*Rerum Novarum*”, wywarła silny wpływ na umysły. Intelktualizm polski tej doby lubował się w pesymizmie Schopenhauera, w błyskotliwych dygresjach Maksa Nordau’a, w zawilej romantyce filozoficznej Nietzschego. Przekładano na język polski Brandesa, który jedno lato spędził u pp. Brzezińskich w Pawłowicach. Spotkałem się z nim kilka razy. Rezultatem tego pobytu była dość blada książka o Polsce. Młodzież wczytywała się w Dostojewskiego, Lwa Tołstoja czytali wszyscy. W wewnętrznych stosunkach Królestwa powstało nowe zagadnienie, które miało z czasem nabrać ogromnej wagi: sprawa żydowska. Komisja petersburska, której przewodniczył hr. Pahlen, wprowadziła w Cesarstwie dla Żydów strefy osiedlenia. Wielkie ich masy zostały w ten sposób skierowane na ziemię dawnej Rzeczypospolitej.

Był to pomysł, którego nie powstydziłby się Machiavelli.

Wobec zaniku życia publicznego, osobliwszego znaczenia nabierały prywatne zebrania towarzyskie. W salonach sędziwego p. Ludwika Górskiego gromadzili się przedstawiciele ziemiaństwa, w apartamentach ks. Tadeusza Lubomirskiego — reprezentanci organizacji rolniczych i miejskich, na piątkowych męskich zebraniach u dra Karola Benniego — intelektualizm stołeczny. U pp. Edw. Leów i Ludw. Grossmanów — artyści i literaci. W ten sposób

życie, sztucznie w swym rozwoju powstrzymywane, pozbawione organów normalnych, żłobiło sobie łożyska, w których kształtowała się opinia publiczna.

Powierzchniowym obserwatorom stolica Polski, skora do zabaw i dowcipkująca, wydawała się lekkomyślną i bezduszną „Warszawką”. Nie doceniali jej głębszych, utajonych nurtów.

Po wstąpieniu na tron Mikołaja II, życie polityczne w Królestwie zaczęło się otrząsać z marazmu. Uwydatniały się trzy zasadnicze kierunki: „Polityka Realna”, Demokracja Narodowa i radykalizm społeczny, który swój najpełniejszy wyraz znalazł w Polskiej Partii Socjalistycznej.

Obóz zachowawczy w partii Polityki Realnej skupiał przedstawicieli wielkiej własności ziemskiej, wielkiego przemysłu i wielkich finansów. Do ugrupowania tego przyłączył się także szczupły, ale wartościowy odłam inteligencji, wyłoniony z pośród dawnych pozytywistów. Należeli doń między innymi prof. Ignacy Baranowski, Mściśław Godlewski, Antoni Zaleski, Ludwik Straszewicz, ks. Zygmunt Chełmicki, Ludomir Grendyszyński, Tadeusz Smarzewski, Adam Zakrzewski, Antoni Donimirski... Duszą tego obozu stał się Erazm Piltz, b. redaktor warszawskich „*Nowin*” później petersburskiego „*Kraju*”, którego był, wraz z Włodzimierzem Spasowiczem, głównym założycielem. Realisci chlubili się trzeźwym poczuciem rzeczywistości, głosili, że nie ma w życiu narodu tak złej sytuacji, która usprawiedliwiałaby gnuśność i bezczynność. Możliwość polepszenia bytu widzieli w uzyskaniu samorządu i w ulgach dla polskiego szkolnictwa. Program autonomiczny wysunęli dopiero po wybuchu wojny światowej, kiedy Polska domagała się już niepodległości.

Ugodowcy zaślepieni byli potęgą Caratu i nie wierzyli w cuda. Erazm Piltz, w przystępie gorętszego uniesienia, wyznał mi raz, że gdyby rewolucja w Polsce miała w jego oczach choćby nikłe szanse powodzenia, bez wahania stanąłby w jej szeregach.

Przeciwstawiały się tej ideologii stanowczo dwa coraz szerzej rozbudowujące się stronnictwa: Narodowa Demokracja i Polska Partia Socjalistyczna. Obie były wszechpolskimi, ogarniały swym zasięgiem wszystkie trzy zabory. Kierownictwo Narodowej Demokracji objęli: Roman Dmowski, Zygmunt Balicki i Jan Popławski. Umieeli trafić do uczuć szerszych warstw narodu, przez szereg lat urabiali ich psychikę i pojęcia, wytworzyli specjalną mentalność, która wybiegała daleko poza organizacyjne kadry. Zwłaszcza, gdy wysunęli hasła wojującego antysemityzmu.

Polska Partia Socjalistyczna formalnie zawiązała się w 1892 r. w Paryżu. Jednym z najczynniejszych jej członków już wtedy był Józef Piłsudski. PPS pierwsza wystąpiła z programem niepodległości, „wszechpolacy” poszli za jej przykładem. Grupy zachowawcze łamały ręce nad szaleństwem „stronnictw skrajnych”, które podjęły walkę bez pardonu z marazmem bierności i rezygnacji. Jak daleko sięgał ten marazm nawet w Galicji, świadczy anegdota, którą opowiadał Ignacy Rosner. Gdy w umysłowości młodszych pokoleń galicyjskich, pod wpływem Demokracji Narodowej z jednej strony, a socjalistów — z drugiej, zaczęły się ujawniać prekursorskie fermenty „Młodej Polski”, ktoś w obecności Juliana Dunajewskiego, byłego c. k. ministra i polityka doświadczonego, ośmielił się skostatować:

— Ekscelencjo! Polska się rusza!

Starzec odparł ponuro:

— Owszem... Jak trup, którego toczą robaki.

PPS wyprowadzała w Łodzi tłumy robotnicze do ulicznej walki z policją i wojskiem już w r. 1892.

Nagły rozkwit przemysłu rozbudził ze stałej dotychczasowej drzemki giełdę warszawską.

Akcje zakładów przemysłowych, które niedawno zdawały się gonić ostatnim tchem, nagle i szybko stały się przedmiotem zawrotnych spekulacji. W latach 1892—3 akcje fabryk żelaznych Lilpop Rau i Löwenstein, których nominalna wartość wynosiła 500 rubli, spadły do 50—60 rubli za sztukę. Posiadacze uważali je przez dłuższy czas za makulaturę. Raptem kurs „Lilpopów” zaczął skakać w górę nieprzypadkowo. W 1898 r. płacono za sztukę po 3300 rubli. Bankierzy i spekulanci zgarnęli milionowe fortuny, cała Warszawa grała na giełdzie. Panie i panowie z high-life’u, mieszczaństwo, aktorzy, kelnerzy, pokojówki. Zakochane pary w tajemnicze noce księżycowe wymieniały szeptem zwierzenia o horoskopach „Lilpopów”, „Rudzkich” lub „Bałtyków”. Przed przybytkiem Złotego Cielca przy ul. Królewskiej gromadziły się w południowych godzinach wszystkie stany, chciwość zrównała szczyble społeczne i towarzyskie. Banki kupowały tej orgii, lombardując akcje łatwo i drogo lecz po wysokich kursach. W pierwszorzędnym restauracjach szampan lał się od rana, ktoś gdzieś czasem palnął sobie w łeb, gra szła dalej.Pamiętam rysunek Franciszka Kostrzewskiego w „Kurierze Świątecznym”, przedstawiający wytwornego

starszego brzuchacza, na stopniach schodków, prowadzących do słynnej restauracji Stępkowskiego przy Placu Teatralnym. Obdarty żebrak wyciąga rękę.

— Jaśnie panie, jestem głodny! Błagam o grosik.

— I ty śmiesz narzekać! Ja dałbym chętnie trzy ruble, żeby być głodnym!

Polka — pierwszą kochanką Mikołaja II-go.

Mikołaj II, jako następca tronu, ujawniał w stosunku do kobiet, uporczywą obojętność. Daremne były zabiegi ofiarnych dam dworu, gotowych dla dobra dynastii do najdalej idących poświęceń. Wielcy książęta, sceptycznie do pań „z towarzystwa” usposobieni, prowadzili melancholijnego samotnika na widowiska baletowe. Sztuka taneczna cieszyła się nad Newą wysokim uznaniem, niemniejszym — jej nadobne przedstawicielki.

Ulubienicą publiczności petersburskiej była wtedy młodziutka Matylda Krzesińska, córka słynnego mazurzysty warszawskiego. Figurkę miała foremną, taniec jej był nacechowany doskonałą techniką, w najtrudniejszych ruchach i skokach z twarzy nie znikał przyjemny uśmiech. Wielcy książęta, dygnitarze wojskowi i cywilni taką właśnie sztukę cenili. W ciszy swego petersburskiego gabinetu Diagilew, reformator baletu, już snuł rewolucyjne dla sztuki choreograficzne plany, które miał zrealizować w parę lat później, przy współudziale Baksta i Niżyńskiego, Strawińskiego i Skriabina.

Do Gatchyny nadbiegła radosna wiadomość: stroniący od kobiet następca tronu zainteresował się żywiej Krzesińską. Aleksander III wybrał się osobiście do Teatru Marińskiego, by zobaczyć czarodziejkę. Gdy wrócił, oświadczył poufnie zaciekawionej Marii Teodorównie.

— Kola ma dobry gust!

Krzesińska nie zalewała się łzami, jak kiedyś pani Walewska, gdy ją przynaglano do uległości wobec Napoleona, lubo i ta legenda została mocno zachwiana.

Dwór odetchnął. Rodziców szczęśliwego kochanka wprędce zaczął ogarniać niepokój, czy lekarstwo nie stało się niebezpieczniejszym od choroby. Obawy okazały się płonne: Krzesińska była rozsądna i opanowana, Mikołaj — posłuszny i bez polotu. Gdy ojciec wytłómaczył mu, że interes dynastii i państwa wymaga, aby

wstąpił jak najrychlej w odpowiednie związki małżeńskie, nie protestował. Wysłany przez Aleksandra III do Darmstadtu, zakochał się, jak mu polecono, w przystojnej księżniczce Alicji Heskiej, wnuczce królowej Wiktorii.

...Preludium erotyczne z polską tancerką skończyło się, jak się zaczęło: bez głębszych wstrząśnień uczuciowych. Matyldą Krzesińską zajęli się skwapliwie krewniacy „naślednika”. Jej pałac na Kamiennie-Ostrowskim Prospekcie uchodził za siedzibę zaczarowanej księżniczki. Podczas przewrotu październikowego w 1917 r. w tym właśnie pałacu umieścił się sztab Lenina i Trockiego. Z wspaniałych apartamentów carskiej miłośnicy biegły twarde rozkazy wodzów rewolucji. Historia lubuje się w takich kontrastach.

Poznałem osobiście Krzesińską w Warszawie. Jeżdżąc z Petersburga za granicę, zatrzymywała się chętnie w rodzinnym mieście. Przyjaźniła się bliżej z Marią Rutkowską, wówczas primaballeriną naszej opery.

Na Krzesińskiej znać było obyczaje dworskie. Dla wszystkich jednakowo grzeczna, bardzo dyskretna, unikała tematów drażliwych, rozmawiała najchętniej i taktownie o tańcu i o pogodzie.

W poglądach na sztukę taneczną trzymała się koncepcji, jakie reprezentował w połowie 18-go wieku słynny Vestris, ulubiony baletmistrz Ludwika XV. Sedno tej sztuki tkwiło w sile palców u nóg i w doskonałości trudnych i zawiłych ruchów. Należało je wykonywać swobodnie i z uśmiechem. Vestris był ze swego kunsztu tak dumny, że bez fałszywej skromności uważał się, obok Fryderyka Wielkiego i Woltera, za trzeciego największego męża stulecia oświeconego.

U schyłku 19-go wieku w Petersburgu wyznawcą tych przedawnionych poglądów był Petipa, główny reżyser baletu cesarskiego. Już jednak zaczynały kielkować prądy rewolucyjne i na tym terenie. Diagilew założył w stolicy Rosji „Mir Iskustwa”, doskonały miesięcznik, poświęcony nowej Sztuce we wszystkich jej przejawach. Zyskał dla swych idei ks. Wołkońskiego, który po ustąpieniu starego Wsiewołodzkiego w r. 1899-ym objął zarząd cesarskich teatrów stolicy. Dwór Petersburski osobiście interesował się tymi teatrami. Mikołaj II z własnej szkatuły łożył na nie dwa miliony rubli rocznie, osobiście zatwierdzał repertuar tygodniowy. Nie znosił eksperymentów nowatorskich, i kiedy ks. Wołkoński zaangażował Diagilewa, jako jednego z reżyserów baletu, teatr Mariński stał się węzowiskiem nieustannych intryg. Matylda Krzesińska chętnie brała w nich udział. Cieszyła się wówczas

względami księcia Sergiusza Michajłowicza, fligiel — adiutanta cesarza.

Ks. Wołkoński chciał w balecie dać wyraz nowym prądom, jakie nurtowały sztukę taneczną. Miał z tego powodu ciągle kłopoty z Petipą. Krzesińska uparcie trzymała się przedawnionych tradycji, a korzystając z wysokich protekcji, sięgała po każdą efektowniejszą rolę. W r. 1901-ym wystawiano balet „Camargo”, tytułową rolę miała odtwarzać doskonała włoska tancerka, — Grimaldi. Krzesińska nacisnęła wszystkie sprężyny, by jej ta rola przypadła.

Artyści malarze, inspirowani przez Diagilewa, skomponowali dla owego widowiska dekoracje i przepiękne kostiumy stylowe z 18-go stulecia. Krzesińska ze zwykłą sumiennością odbywała próby, do projektowanych kostiumów odnosiła się wszakże krytycznie. Koleżanki utrzymywały, że nie sprzeniewierzy się klasycznym spódniczkom baletowym.

„Cały Petersburg” był poruszony. Sfery dworskie, przeciwnie inowacjom, popierały primaballerinę. „Młoda sztuka” — ks. Wołkońskiego. Ten nie przypuszczał, aby Krzesińska ośmieliła się sprzeciwić wyraźnym zarządzeniom dyrekcji.

Premiera „Camargo” stała się wielką sensacją stolicy. Widowienie wypełniło najwykwintniejsze towarzystwo petersburskie, sala dygotała z podniecenia. Oficerowie gwardyjscy czynili między sobą zakłady: jedni trzymali za Krzesińską, inni — za ks. Wołkońskim. Za Krzesińską płacono znacznie więcej.

Zasłona poszła w górę, gwar umilkł. Naprężenie ciekawości dochodziło zenitu...

I oto lekki motyw taneczny. Na scenę wpada Krzesińska. Jest w klasycznej spódniczce baletowej. Piękny kostium, z kunsztownymi *paniers*, pozostał w garderobie.

Posypały się rzęsiste oklaski, klaskali nawet wielcy książęta i ich panie, najwyżsi dygnitarze... W wykwintnych restauracjach stolicy szampan lał się tej nocy strugami.

Krzesińskiej należała się dymisja. Licząc się wszakże z jej stosunkami, ks. Wołkoński poprzestał na znaczniejszej karze pieniężnej. Odpowiednie zarządzenie ukazało się nazajutrz w „Dzienniku Teatrów”.

Przewidując burzę, ks. Wołkoński równocześnie złożył szczegółowy raport ministrowi dworu, br. Frederiksowi, do resortu którego należały Teatry Cesarskie. Ten przyznał, — że kara była słuszna, że tolerowanie jawnej niesubordynacji uniemożliwiłoby jakikolwiek ład w teatrach.

Lecz czupurna tancerka również nie zasypiała sprawy. Zmobilizowała w. księcia Sergiusza Michajłowicza, który zwrócił się wprost do cesarza. Mikołaj II, w zagadnieniach politycznych chwiejny i niezdecydowany, w dziedzinie baletu umiał zdobywać się na stanowczość, — na ten gatunek stanowczości, który jest właściwy ludziom słabym. Z jego rozkazu nazajutrz br. Frederiks zawiadomił Wołkońskiego, że kara, nałożona na Krzesińską, ma być niezwłocznie odwołana, — i to zarządzeniem, opublikowanym w „Dzienniku Teatrów”.

Rozkaz cesarski, opór niemożliwy. Br. Frederiks kiwał smętnie głową, ks. Wołkoński skłonił swoją jeszcze smętniej.

— *Słuszaj!*

Ale dodał:

— Oczywiście, wyciągnę z tego należne konsekwencje.

I nazajutrz zgłosił rezygnację. Cesarz nie próbował go zatrzymać. W nagrodę za posłuszeństwo, ks. Wołkoński otrzymał tytuł ochmistrza najwyższego dworu.

Łaska Mikołaja II na pstrym koniu jeździła. Każdy nowy dygnitarz witany był na dworze komplementami. Kuropatkin nazywał ów okres „miodowym miesiącem zaufania”. Lecz gdy wiatr poruszył chorągiewkę w inną stronę, cesarz bez skrupułów zapomniał o swej przychylności, odprawiał niedawnych faworytów nagle i bez komentarzy.

Mikołaj II zresztą kontynuował metody, praktykowane przez antenatów. Aleksander I w początkach swego panowania sprzyjał tendencjom nieśmiałego liberalizmu. Ster rządów powierzył ks. Sperańskiemu, którego nienawidziły sfery dworskie. Knuto przeciw niemu ustawicznie tyle intryg, że Sperański, gdy był wezwany do cesarza, stale spodziewał się dymisji.

I oto pewnego dnia ma znów stawić się w pałacu. Aleksander I przyjmuje go nad podziw serdecznie. Wychodząc z gabinetu cesarskiego, Sperański przeżegnał się z ulgą.

— Niepotrzebnie się niepokoiłem.

W domu zastał kuriera z odręcznym pismem cesarskim. Dymisja i zesłanie...

Niepoprawny utracjusz.

Najstarszy syn głównego, a wówczas już nie żyjącego założyciela fabryk Lilpop, Rau i Löwenstein, Karol Lilpop był jednym z najmiłszych i najuporczywszych utracjuszków, jakich Polska знаła, zaś od czasów Gozdzkiego¹⁾ znała ich nie mało i nie byle jakich. Z pokaźnym spadkiem, odziedziczonym po ojcu, załatwił się w trybie pospiesznym, mimo, że nie grywał w karty i był wolny od snobizmu towarzyskiego. Najchętniej przebywał w towarzystwie artystów i inteligentów wyższego pokroju. Gromadził kosztowne dzieła sztuki, dom jego był wzorem zachodnio-europejskiego komfortu, ekwipaże nieskazitelne. Przyjęcia u Karola Lilpopa słynęły z wyrafinowanego zbytku. Hr. August Potocki namówił go, by zgłosił kandydaturę do arystokratycznego Klubu Myśliwskiego. Przyjęto go znaczną większością głosów. Gdy jednak Lilpop dowiedział się, że dano także parę gałek czarnych, noga jego w Klubie nie powstała.

Żyjąc w ten sposób, i nic nie robiąc — gdy akcje Lilpop, Rau i Löwenstein spadły nieprawdopodobnie nisko, Karol Lilpop stracił wszystko, co odziedziczył, i żył przez szereg lat ze skromnej pensyjki, jaką wypłacała mu bogata rodzina. Jedynym jego luksusem stały się śniadania u „Wiktora” w towarzystwie garstki przyjaciół, którzy dotrzymali mu wiary. W tym czasie poznałem go. Był to czarujący sybaryta — angloman. Codziennymi kompanami jego bywali dr. Peszke, lekarz wszechstronnie wykształcony, wybitnie dowcipny (zostały po nim zbiory wierszy frywolnych, które jędrnością formy mogły współzawodniczyć z analogicznymi utworami Fredry) — Piotr Chmielowski, filar ówczesnej krytyki literackiej, Adolf Dygasiński, znakomity, a po dziś dzień nie doceniony powieściopisarz, Napoleon Milicer, słynny chemik, dr. Roman Jasiński, ceniony chirurg, Antoni Sygietyński, namiętny krytyk muzyczny i teatralny, Stanisław Kostrzewski, syn Franciszka, malarz zdolny, przedwcześnie zmarły. Pili wszyscy chętnie i dużo, gadali jeszcze więcej.

Stanisław Lenc, Mieczysław Frenkiel, Alfred Konar i ja przyłączaliśmy się niekiedy do tego dyskusyjnego stołu. Opodał siadywał często starszy pan, samotny, z długą brodą i bez humoru. Spożywał zazwyczaj „sztukamię” z ćwikłą. Tym oszczędnym sąsiadem był Ludwik Krasiński, jeden z najbogatszych magnatów w Polsce.

¹⁾ Druga połowa XVIII stulecia.

... Nastąpiła zwyżka papierów giełdowych. Okazało się, że Karol Lilpop posiadał jeszcze duży pakiet „Lilpopów”, zalombardowany według kursu kryzysowego w Banku Handlowym. Bank upominał się od czasu do czasu o procenty, Lilpop nie odpowiadał, i tak mijały lata.

I oto z dnia na dzień utracjusz stał się ponownie bogatym człowiekiem. — Przyjął ten zwrot fortuny bez zdziwienia, i zaczął wydawać pieniądze bez rachunku. Nowe meble sprowadzał od Maple'a, ubierał się u Pool'a, buty robił mu Thomas, aby nabyć świeży kapelusz, jechał do Locke'a. Wierzył tylko w Londyn. Opowiadał mi niegdyś z uznaniem aforyzm światowej powagi krawieckiej, londyńskiego Pool'a. Lilpop miał nadsyłać obstalunki według otrzymanych próbek materiałów, ubrania miały być mu przywożone do Warszawy przez specjalnych agentów.

— Ale co będzie, jeśli utyję albo schudnę?

Na to Pool z godnością.

— Sir! Gentleman nigdy nie zmienia figury!

Wskrzeszone zostały wystawne śniadania i obiady, znów nadchodziły ostrygi z Ostendy, homary z Helgolandu, pasztety ze Strassburga i Colmaru, najprzedniejsze wina i koniaki z Bordeaux. Na widowni kabaretowej w Warszawie pojawiły się w tym czasie piękne siostry Marteno. Najurodziwszą z nich była Aleksandryna. Petroniusz warszawski zatrzymał ją na stałe w Warszawie, by tańczyła tylko dla niego i jego przyjaciół.

Skończyło się smętnie. Rozrzutnik po raz wtóry znalazł się bez środków. Przez czas jakiś resztkami gonił w Zakopanem, potem przygarnęła go rodzina. Z dawnych przyjaciół pozostał mu wierny tylko ukochany Robak, jamnik nieprawdopodobnej zmyślności. Piesek ten biegał po gazety do kiosku, po serdelki do masarza, po bułki. Monetę trzymał w zębach, otrzymaną resztę uczciwie panu odnosił. W Zakopanem zdarzyło się, że Karol Lilpop w nocy poważnie zachorował. W silnej gorączce nie mógł ruszyć się z łóżka, drzwi i okna były zamknięte. Robak wyczuł, że coś źle się działo. Wspinał się do łóżka, skomlał pod drzwiami; gdy nie pomagało, nagle buch w okno, wyskoczył. W parę minut później szczeakał i wył pod balkonem lekarza, który stale odwiedzał Lilpopa. Zniecierpliwiony eskulap wylazł z pod pierzyny, wyjrzał przez lufcik. Widok Robaka, zadzierającego długi pysk do góry i skomlącego żałośnie, zaniepokoił go. Narzucił ubranie, poszedł do Lilpopa. Zastał go bez przytomności.

Słyszałem tę dziwną opowieść z ust Stanisława Lilpopa, najmłodszego z braci Karola.

Karol Lilpop twierdził, że Robak był jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego w życiu posiadał. Powtarzał nie bez lekkiej goryczy słowa Napoleona, wypowiedziane po Waterloo:

— Człowiek nie ma przyjaciół. Przyjaciół ma tylko powodzenie człowieka.

W świecie interesów.

Nagle fortuny w Polsce wogóle nie odznaczały się trwałością. Cóż zostało z „grubych” milionów finansjery warszawskiej z końca ubiegłego stulecia? Kronenbergi, Blochy, Epsteiny, Goldstandy, Wertheimy, Natansony... W drugim, najdalej w trzecim pokoleniu rozsypywał się majątek, zdobyty szczęśliwą konjunkturą, wysiłkiem pracy, zręcznością w interesach. Fortuny, oparte na ziemi, okazywały znacznie większą odporność. Aż przyszedł bicz Boży w roku 1945-ym...

Jednego z tych wyjątkowych *conquistadorów* finansowych znałem nieco bliżej: Jana Blocha. Dziad mego szwagra, pułkownik Łaszczyński, który posiadał majątek na Litwie, pamiętał go, jako „pisarza leśnego”, który przybywał lichym wózkiem, zaprzężonym w jedną szkapę i skromnie zatrzymywał się przed dworską kancelarią.

Był to właśnie późniejszy potentat finansowy, równorzędny z Poliakovym i Derwizem król kolejowy, — głośny w całym świecie rzecznik pokojowego rozwiązywania zatargów międzynarodowych.

Nie miał dwudziestu lat, gdy przemysłowością i energią zdobył niewielki fundusz. Jął nim sprytnie obracać? Nie. Młody pisarz leśny pojmował, że bez wyższego wykształcenia górnych ambicji nie ziści. Mozolnie uciulany kapitałik zużył na wyjazd za granicę, parę lat przebiegował w wytężonych studiach.

Wrócił bez grosza, ale z głową oświeconą i rozpoczął pracę od nowa. Parę razy tracił, co żmudnym wysiłkiem zyskał, — aż wreszcie kapryśną fortunę okiełznał, powolną swym zabiegom uczynił. Stanął w szrankach do współzawodnictwa z potężnym Leopoldem Kronenbergiem, i choć ożenił się z jego piękną bratanicą, przez wiele lat zaciekłe z nim o pierwszeństwo w dziedzinie

dróg żelaznych walczył. Wybudował kolej fabryczną Łódzką i Iwangrodzko-Dąbrowską, wysunął się na czoło kolei Zachodnio-Południowych, zgarniając mnogie miliony.

Były minister finansów i premier rosyjski, hr. Witte, który zaczął swoją karierę od stanowiska naczelnika eksploatacyjnego kolei Południowo-Zachodnich, w swych „Wspomnieniach” pisze, że Bloch był człowiekiem mądrym, że posiadał dużo wiadomości i bystro orientował się w wartościach ludzi, których powoływał do współpracy. W ten sposób zjednał sobie naprzód Wiszniegradzkiego, potem — Wittego, którzy jeden po drugim obejmowali ster finansów Imperii. Blochowi roił się również fotel ministerialny. Przeszkodziło mu pochodzenie i specyficzny u żydów brak taktu. Miał zwyczaj wszystkich pouczać. Pozwolił sobie na to z cesarową Aleksandrą Teodorówną — zraził ją do siebie raz na zawsze. A ona posiadała wpływ decydujący na cesarza.

Nie poprzestając na gromadzeniu milionów, Bloch chciał szerzej popisać się swoją wiedzą i przy pomocy liczego sekretariatu, spłodził po rosyjsku wielotomową „Historię Dróg Żelaznych w Rosji” i jeszcze obszerniejsze dzieło w języku francuskim o „Przyszłej Wojnie”, w którym dochodził do wniosku, że wielka wojna światowa stała się absurdem, że wstrząsnęłaby do posad całym ustrojem i łaodem Europy.

Europa nie usłuchała roztropnych rad, lubo przyznawała im w całej pełni słuszność. I tak zapewne będzie dziać się jeszcze długo.

Bloch nie uwzględniał dostatecznie czynników psychicznych, które w życiu narodów i państw przeważają szalę. W r. 1914-ym wybuchła pierwsza wielka wojna światowa, w r. 1939 najazd zhitleryzowanej Rzeszy Niemieckiej na Polskę wywołał drugą. Przewidywania Blocha w dziedzinie przewrotów rewolucyjnych oraz długotrwałych przesilen gospodarczych, jako nieuchronnych następstw wojennych, okazały się w całej pełni trafne.

... W pierwszym roku po moim ślubie spotkałem Jana Blocha u mego brata w Józefowie, pod Płochocinem. Po obiedzie wracaliśmy razem do Warszawy. Bloch przekomarzał się z moją młodszą żoną i — zawsze skłonny do pouczeń, — jął wyklądać swoje poglądy na rolę kobiety w małżeństwie.

— Żona może być mężowi bardzo pomocna, mówił. Może również w niemałym stopniu szkodzić jego planom i ambicjom. Sprawą męża jest pracować, zdobywać majątek i stanowisko. Rzeczą żony — stwarzać atmosferę, przychylną dla tych zamysłów.

Powodzenie budzi w otoczeniu zawiść i niechęć, zadaniem żony winno być jednanie życzliwości.

Mówiąc tak, Bloch w myśli oddawał zapewne sprawiedliwość własnej małżonce, która w ten sposób pojmowała i realizowała swoje zadania. Stworzyła w Warszawie salon o wysokim poziomie towarzyskim, nawiązywała przyjazne stosunki z wybitnymi osobistościami.

Dzieła książkowe Blocha były przezeń obmyślane i rozplanowane, wykonanie powierzał fachowym naukowcom, których hojnie wynagradzał. Ale tylko jego nazwisko figurowało na okładce.

Witte opowiadał, jak Bloch pewnego dnia ze swą „Historią Dróg Żelaznych w Rosji” zjawił się u inżyniera Kierbedzia, który w stolicy caratu wybudował wspinały most Mikołajewski na Newie, a w Warszawie — żelazny na Zjeździe Zamkowym, i który był twórcą kolei Rosyjsko-Chińskiej w Azji Wschodniej.

U Kierbedzia bawił akurat Witte. Kierbedź uśmiechał się do brodusznie, dziękował Blochowi za bogato oprawne książki i dydakcję, kiwał z podziwem głową.

— I pan to wszystko sam przeczytał?... — pytał z nieco dwuznacznym współczuciem.

Akcja pacyfistyczna pochłoneła sporą część fortuny, nagromadzonej przez Blocha. W trzecim pokoleniu już prawie nic z niej nie zostało.

Ten sam los zresztą spotkał olbrzymią fortunę Leopolda Kronenberga ojca.

... Bieg interesów zmuszał mnie do częstych wyjazdów do Moskwy; zbliżył do tamtejszego świata przemysłowego.

Bracia Popowy, odziedziczyli po ojcu ogromny majątek i rozległe interesy. Chcąc dowieść, że idą z postępem czasu, młodzi Popowy wybudowali na Moskworieczji pałac, w którym mieściła się wspinała sala balowa, na dwa piętra wysoka, a wykładana marmurem: równie kosztowna, jak szpetna. Otaczał tę salę labirynt komnat reprezentacyjnych: niektóre z nich były nawet umeblowane. Obaj dziedzice imponującej fortuny mieszkali w kilku małych pokoikach na drugim piętrze, skromnie i brudno. Tam się czuli u siebie. Wystarczała im świadomość, że posiadają miliony. Przed pałacem oczekiwały na nich eleganckie sanki lub powoziki

¹⁾ Sergiusz hr. Witte: „Wspomnienia”, Berlin, 1923.

zaprzężone w trójki rysaków. Na kozłach siedzieli stangreci o tak rozrosłych lędźwiach, że w Paryżu lub w Londynie można było pokazywać ich za pieniądze.

Bracia Popowy urządzili dla mnie raz kolację w „Ermitażu“, na którą zaprosili paru swoich znajomych i ich przyjaciółki. Jedzenie było wyborne, służba liczna i sprawna, wódki i szampana w bród. Przy kawie czarnej zjawiała się banda cyganów z „Jaru“. Przyjaciółki milionerów były rozrosłe, opiekłe i głupie. Pieśni cygańskie — tragiczne. Gdy śpiewacy wynieśli się, temperatura w obszernym gabinecie podskoczyła gwałtownie, wkrótce rozległ się brzęk tłuczonych kieliszków, potem talerzy. Służba przypatrywała się tej zabawie obojętnie. Nagle pusta butelka po szampanie trzasnęła w duże zwierciadło. Uciekłem wzburzony, nie bacząc, że gospodarze mogą się obrazić.

Moskiewska pierwszorządna restauracja „Strielnia“ posiadała cieplarnię, wypełnioną strzelistymi palmami. *Maitre d'hotel* pokazywał mi siekierę, którą rzekomo podawano pijanym bogaczom moskiewskim. Ścięcie dorodnej palmy kosztowało dziesięć tysięcy rubli. Zgromadzeni w cieplarni goście przyglądali się z zawiścią szczęśliwcowi, który mógł sobie pozwolić na taki kaprys.

Jeden z większych przemysłowców moskiewskich, A. J. A. prosił, bym przyjechał w niedzielę do jego posiadłości podmiejskiej. Obchodził imieniny.

Trafiłem na moment, kiedy przyjmował życzenia od delegacji urzędników i robotników. Raz wraz wybuchały radosne okrzyki, ceremoniał był nudny. Pani domu proponowała mi wycieczkę łódką. Zgodziłem się chętnie. W Moskwie pani A. uchodziła za piękność: była w rozkwicie bujnej kobiecości. W ciemnych oczach płonęły ognie, pełne wargi nie znały pomadki. Lecz baba była jak piec, na smak moskiewski. W mieszczaństwie moskiewskim urodę oceniano na wagę.

Za ogrodem, wśród łąk, olch i gajów brzozowych, płynęła leniwa rzeczka. Słońce majowe grzało rozkosznie, drobne ptactwo wabiło się, pod niebem uwijały się oszalałe kaczory. Od skoszonego opodal siana niosły się odurzające wonie.

Pani była w wyśmienitym humorze, śmiała się wesoło i głośno. Lecz zwolna ogarniał ją czar wiosennego popołudnia. Myśli przestały splatać się ze słowami, w rozmowie wywiązywały się niepokojące przerwy.

Gdym się zachwycił krasą brzoź w świeżej zieleni, kazała rybakowi przybić do brzegu. Poszliśmy wąską ścieżką w głąb gaju, podszytego soczystą murawą. Pani już nic nie mówiła, oczy jej zmętniały.

Aforyzm francuski utrzymuje, że czego chce kobieta, tego chce Bóg. Trudno o głupsze powiedzonko. Czułem się zawstydzony i śmieszny, byłem wściekły na siebie, babę i wiosnę. Przyjąć gościnę u życzliwego człowieka i bez żadnego uczucia, nawet bez gorętszej ochoty zmysłów, wyrządzić mu krzywdę? Wydawało mi się to grubiańskim brakiem lojalności.

Spojrzałem na zegarek.

— Mąż pani prosił, byśmy wrócili przed szóstą.

Zmierzyła mnie długim, nieufnym spojrzeniem. Głos jej stał się ostry.

— Ma pan słuszność. Trzeba wracać.

Już nie mieliśmy sobie nic więcej do powiedzenia.

Przy kolacji otrzymałem miejsce obok najstarszej w towarzystwie kupczychy, szpetnej jak grzech śmiertelny, i która nic nie rozumiała z tego, co do niej mówiłem. Za to nie przestawała uśmiechać się, odsłaniając niemiłosiernie złote zęby.

W rok później dowiedziałem się, że A. J. A. rozwiódł się z polną małżonką.

Spirytyzm.

Za przykładem stolic zachodnich i Petersburga, również i Warszawę nawiedziła psychoza spirytyzmu. Przyczynił się do niej w stopniu niemałym Julian Ochorowicz, który poświęcił wiele uśilności i cennego czasu na próby komunikowania się z zaświatem. Pod jego przewodem organizowano seanse z najsłynniejszymi mediami, niekiedy sprowadzonymi umyślnie z zagranicy. Gdy przybyła Eusapia Palladino, Warszawa wpadła w gorączkowe podniecenie, kręcono zawzięcie stoliki w kółkach bliższych znajomych i krewnych. Dzienniki poświęcały sporo miejsca tym zagadnieniom.

Mimo surowej kontroli, media przeważnie dopuszczały się szalbierstw. Niektóre — z wyrachowań materialnych, inne — pod wpływem podrażnionej ambicji lub rozstroju nerwów. Wśród schwytanych na oszustwie znalazł się słynny warszawski Guzik, którego wywieziono do Paryża. W Sorbonie, wobec aeropagu zna-

komitych uczonych, skompromitował siebie i tych, co go sprowadzili.

Nie zrażało to fanatyków wiedzy tajemnej ani u nas, ani gdzieindziej. Wiedli w dalszym ciągu rozhowy z duchami, spisywali długie protokoły z ich zwierzeń. Jeden z uczonych paryskich nazywał te dokumenty „arcydziełami nieścisłości”.

Działy się jednak niekiedy rzeczy dziwne. Jedna z moich siostrzenic uchodziła za medium. Mąż jej posiadał majątek ziemski. Pojechaliśmy tam wczesną jesienią na polowanie, zjazd sąsiadów był liczny. Gdy koło północy goście zaczęli się rozjeżdżać, przyjaciel, który z nami przybył, uprosił panią domu, by zorganizowała małe dla wtajemniczonych posiedzonko. W ustronnej salce po kracczego dworu, przebudowanego z dawnego zboru ariańskiego na siedzibę ziemiańską, zgromadziło się przy okrągłym stole pięć pań i mój przyjaciel. Nie wiedząc, co się stało z żoną, otworzyłem drzwi. W tej chwili właśnie rozległo się gwałtowne uderzenie, stół w zawrotnej lewitacji skoczył w górę i opadł na posadzkę. Dramatyczna cisza! Po chwili zapalono świece. Moja siostrzenica, bardzo wyczerpana, podeszła z pewnym wahaniem do staroświeckiego fortepianu, który w tym pokoju tkwił na wygnaniu, a oddalony był od stolika zaledwie o parę kroków..

Wzięła do ręki leżącą tam kartkę listowego papieru, zbliżyła do lichtarza, zachwiała się, jęknęła. Podtrzymaliśmy ją, ułożyliśmy na szeslongu, panie zaczęły cucić. Moja żona wyjęła ze ściśniętych kurczowo palców papier... Znów okrzyk przerażenia!

Na kartce papieru nakreślonych było kilka słów pod adresem mej siostrzenicy, a podpisanych imieniem młodego sąsiada, który się w niej beznadziejnie kochał, a przed rokiem zmarł.

Uczestnicy seansu zapewniali uroczyście, że arkusik papieru, przyniesiony wraz z ołówkiem przez panią domu, uważnie skontrolowali.

Był czysty. ¹⁾

¹⁾ Paul Brunton w swym dziele „Ścieżkami Jogów” (*A search in secret India*) stwierdza analogiczne fakty, jako niepodlegające żadnej wątpliwości i wykluczające współdziałanie hypnozy. Słynna teozofka, Helena Bławatska, przed pięćdziesięciu laty konstatowała te same zjawiska. Jej wtajemniczeni przyjaciele pisali pytania na kartkach papieru. Kartki te pozostawały w ich posiadaniu. Odpowiedź uzyskiwali na tych samych kartkach, mimo, że dzieliła ich często z Bławatską bardzo znaczna odległość. Te same fakty cytuje zresztą już Marco Polo w swych wspomnieniach z podróży na Daleki Wschód, odbytej w ostatnich latach 13-go wieku.

Czas goi rany. Jego działanie dopiero w późniejszych latach czyni się bezskutecznym.

Od dnia śmierci Wisnowskiej upłynęło dwa lata. Pewnego wieczora wpadłem do teatru Wielkiego na premierę „Wieszczki lalek”. Jedną z głównych ról odtwarzała Maria Rutkowska, prima-ballerina utalentowana i powabna.

W antrakcie zbliżył się do mnie Stanisław Lenc i, rozmawiając, jęliśmy szukać wśród zgromadzonej publiczności znajomych. Mój wzrok zatrzymał się na łoży I piętra, w której obok pani Folandowej, żony ówczesnego wiceprezesa Teatrów Rządowych, siedziała inna pani, dojrzalej, lecz imponującej piękności. Nie ona wszakże zwróciła moją uwagę, lecz towarzysząca starszym damom młodziutka, szczupła panienka o botticellovskim owalu twarzy i przedziwnych ciemnych oczach. Odczułem nagle, podświadome wzruszenie.

— Z kim siedzi pani Folandowa? spytałem Lenca, który znał całą Warszawę.

Spytał na lewo, na prawo i już miał wywiad dokładny.

— Ta druga pani, objaśnił, wskazując łożę, to pani Szczygiewska z domu Sbarbori, primo voto Barroffio Bruni, secundo voto Aleksandrowa Gudowska. Panienka jest jej córką z pierwszego małżeństwa.

— Panna Bruni? spytałem raz jeszcze Lenca.

— Tak. Ojciec jej był synem malarza florenckiego, Giulia Baroffio Bruniego, który wspaniałym portretem ks. Zenidy Wołkońskiej. Zaproszono go na stały pobyt do Petersburga. Znaczna ilość jego obrazów, przeważnie olbrzymich rozmiarów, tkwi w muzeum Aleksandra III.

Wzięłem Lenca pod ramię i rzekłem.

— Przyjrzyj się tej panience.

Lenc przesunął lornetkę po łoży.

— Bo co?

— Ta panienka będzie moją żoną.

Mój przyjaciel objął mnie drwiącym, lecz pobłażliwym spojrzeniem.

Lenc na moją prośbę poszedł nazajutrz do pani Folandowej i opowiedział jej o wrażeniach jakie na mnie wywarła panna Bruni. Któraż z kobiet zbliżająca się do czterdziestki, nie interesuje się sprawami miłosnymi bliźnich? Nie minął tydzień, otrzymałem zaproszenie na zebranie wieczorne. PP. Folandowie zajmowali piękny apartament w gmachu Teatru Wielkiego. Pierwszą osobą, którą spostrzegłem w salonie, była panienka z łoży, o owalu madonny Botticellego. Nie miała pełnych osiemnastu lat. Gospodyni przedstawiła mnie matce i córce, matkę na szczęście wkrótce odwołano do winta. Tyle miałem panience do powiedzenia, że zabrakło mi słów. Ona, jak gdyby przerażona tą obcesowością, odsunęła się do innych panien. Lecz ja już byłem pewny, że żadna siła ziemi i piekiel nie zdoła mi jej wydrzeć. Przy kolacji otrzymałem miejsce obok panienki.

Była to rozmyślna uprzejmość pani domu.

Gdyśmy wstawali od stołu, korzystając z zamieszania, rzekłem ciszej.

— Czy pani pozwoli powiedzieć sobie parę słów.

Panienka patrzyła na mnie zdziwiona i pomieszana.

— Pani będzie moją żoną.

Nic nie mówiąc, odeszła do matki. Tego wieczora nie zamieniła już ze mną słowa.

... Rok minął, zanim ziściło się moje postanowienie.

Ks. rektor Zygmunt Chełmicki zgodził się chętnie udzielić nam ślubu. W kancelarii kościoła Karmelitów zażądano ode mnie świadectwa z odbytej spowiedzi.

Poszedłem wczesnym rankiem do ks. Chełmickiego po owe świadectwo. Mieszkał przy ul. Freta, w kamienicy, przylegającej do kościoła.

... Należałem do rzędu dość licznych w Polsce katolików, którzy w sprawach religijnych rozróżniają dwa czynniki. Jeden, to wiara w całość swej czystości, bezpośredni stosunek jednostki do Boga. I drugi — kompleks obrzędowy. Pierwszy może obywać się bez drugiego, choć z punktu widzenia Kościoła nie jest wówczas pełny, drugi — sam w sobie nie zastąpi nigdy pierwszego, lubo niekiedy wznosi się do mistycznych wyżyn.

Trzeba rozróżniać, co jest symbolem, a co — istotną treścią. Nasz stosunek do Stwórcy wogóle jest osłonięty tajemnicą płomiennej wiary i tylko jednostkom wyjątkowo uduchowionym danem bywa w stanie ekstazy łączyć się z Bogiem.

Dusza, od Boga oderwana, schnie, jak liść. Lada powiew wiatru odrywa suchy liść od drzewa, strąca na ziemię.

Ja stronę obrzędową zaniedbywałem, ale z wiarą katolicką przyszedłem na świat, w tej wierze matka mnie wychowała, czułem się nierozzerwalnie z nią związany.

Katolicyzm sprzął się organicznie z życiem polskim.

Ks. Chełmickiego absorbowała polityka, brał chętnie udział w przyjęciach i zabawach towarzyskich, lecz w wykonywaniu obowiązków kościelnych nie był skłonny do ustępstw. Uściskał mnie i zwrócił się do starego służącego, Andrzeja.

— Komża!

Przyodział się i sprowadził mnie po schodach do kościoła.

Spowiedzi nadał charakter tak poważny, że gdym ukląkł przed wielkim ołtarzem do Komunji Św., byłem ogarnięty dawno nie odczuwanym wzruszeniem.

Ks. Zygmunt Chełmicki pochodził ze znanej rodziny ziemiańskiej. Studia uniwersyteckie odbył w Niemczech. Rozumny, energiczny, ludziom życzliwy, interesował się wszystkimi objawami życia. Była to indywidualność o rozmachu i polocie renesansowym. Znajomość duszy ludzkiej wyrobiła w nim pobłażliwość, zaprawioną łagodnym sceptycyzmem; w „Słowie” pisywał doskonale krytyki literackie, zajmował go teatr, sztuka, kochał myślistwo. Ale najsilniejszą skłonność odczuwał do polityki. Był jednym z najczynniejszych członków stronnictwa Realistów, z prezesem tego ugrupowania, Stanisławem hr. Łubieńskim, łączyły go węzły serdecznej przyjaźni.

Gdy zawrotna zmiana fortuny wyniosła ks. Chełmickiego na stanowisko kanclerza Regencji, był już w późnych latach. Nie mógł wydołać niebywałym trudnościom, wśród których przypadły mu tak ciężkie obowiązki.

W podróż poślubną udaliśmy się dopiero w końcu czerwca. Związałem ją z interesami, które wymagały mego wyjazdu na Kaukaz. Proponowano mi tam udział w eksploatacji pokładów bitumu, potrzebnego do produkcji asfaltu. Z Odessy, gdzie spędziliśmy tydzień, popłynęliśmy statkiem komfortowym wzdłuż Krymu, z Sewastopola już prosto do Batumu. Tereny bitumowe mieściły się w rozległych majątnościach ks. Nakaszidze. Wczesnym rankiem

wysiedliśmy na małej stacyjce Natanebi, wśród gór i lasów liściastych. Czekał na nas jeden z urzędników księcia z kilkoma usłużnymi autochtonami. Nie widząc pojazdów, pytam:

— Czy to blisko?

— Dwanaście wiorst.

— A jakże się dostaniemy?

— Tylko konno. Żaden wóz nie przejedzie.

Do kata! Moja młodziutka żona, wychowana w mieście, nigdy na koniu nie siedziała. Samej na obcym odludziu zostawić jej nie mogłem. Przyprawiono chabety.

Nie było rady: ulokowałem żonę na siodle, obok szedł piechotą zwinny i rozgarnięty góral. Ruszyliśmy kamienistą drożyną w las. Poprzez listowie wkrótce zaczęło przezierać morze. Drożyna stawała się chwilami zawrotnie stroma, lecz nawykłe do niej konie szły spokojnie i bez trwogi. Dokoła nie widać było żadnych ludzkich osiedli. Krzewy winogrodowe, porozpinane wśród gałęzi, świadczyły jednak, że człowiek ciągnął z tych pustkowi korzyść.

Dwór książęcy był drewnianym bungalow'em o obszernych werandach i gankach. Gospodarz, już w wieku podeszłym, był dymisjonowanym generałem rosyjskim. Przyjął nas bardzo gościnnie. Rodzina była liczna. Dwóch dobrze wyrosniętych synów, trzy panny dojrzałe i przyjemne.

Przy obiedzie zaznajomiliśmy się bliżej z produktami winnic książęcych. Wina, wytłaczane w sposób prymitywny, były gęste i mocne. Skóry kozie, w których je zwykle przechowywano, nadawały im swoisty smak i zapach.

Konferencja o bitumie trwała dość długo. Gdy słońce przestało prażyć, panny i młodzi książęta zaprowadzili nas do sioła, rozłożonego na skraju lasu nad morzem. Ludność była muzułmańska. Zamożność jej stanowił specyficzny handel eksportowy: ojcowie rodzin trudnili się sprzedażą młodocianych córek do haremów stambulskich. Władze rosyjskie daremnie usiłowały przeszkadzać tym transakcjom, które zresztą odbywały się z całkowitą aprobatą znuudzonych i zbiedzonych dziewcząt.

Na prośbę księżniczek, kilka młodych wieśniaczek zdecydowało się zdjąć z twarzy zasłony. Były to rosłe, ładne góralki, o długich nogach i wdzięcznych liniach. Pokornym oczom brakło wszelkiego wyrazu.

W powrotną drogę puściliśmy się o szybko gęstniejącym zmierzchu. Jakim cudem po tych wertepach w czarną, tępą noc dobrnęliśmy do stacji, tego nigdy nie umiałem pojąć.

Wyjazd zagranicę — (wrzesień 1897 r.).

Pewnego dnia, po przewlekłych rozważaniach, doszliśmy z żoną do wniosku: Po co męczyć się, jeśli z tej męki nie można spodziewać się większego pożytku! Dobrze wykonuje się tylko tę pracę, która interesuje. Praca, którą się lubi, cóż dopiero — kocha!, jest podstawowym warunkiem zadowolenia i szczęścia.

Niebezpieczeństwa hazardownego postanowienia? Roczny malec świegotał już w domu...

Jeśli siły i nadzieje zawiodą?

Bez ryzyka niema wygranej. Sens moralny bajki o ślimaku, który cierpliwie w swej skorupie całe życie siedział, wydawał mi się zawsze pociechą dla niemrawców. Żona namawiała gorąco, by rwać na szeroki świat.

Z Paryża wrócił Wincenty Kosiakiewicz, ażeby objąć w Warszawie kierownictwo filii redakcyjnej „Kraju”, Erazm Piltz z jego porady zaproponował mi korespondencje z Paryża. Kosiakiewicz nastawał, abym przyjął. Dowodził, iż lepszej praktyki dziennikarskiej, jak pod kierownictwem Piltza, nie znajde.

W końcu września 1897 r. wyjechałem z żoną do Paryża. I od-tąd poświęciłem się wyłącznie dziennikarstwu, literaturze i teatrowi.

Pierwsze wrażenia i spotkania.

W pogodny i ciepły poranek jesienny, spowity w różowe mgły, wylądowaliśmy w Paryżu na dworcu Północnym. Jednokonnny powóz, z woźnicą w białym cylindrze, wioził nas nieśpiesznym truchtem długą ulicą Lafayette'a. Już kościół i plac Trinité, wyloty tajemniczych ulic Montmartre'u... Opera Garnier'a, grupy tanczące Carpeaux! Wielkie Bulwary, wspaniała perspektywa Avenue de l'Opera! Czyż to możliwe, że oczy nasze pierwszy raz widzą to miasto! Staroświecki gmach Komedii Francuskiej, historyczna kawiarnia La Régence i już arcytwór francuskiego Renesansu, — Louvre, plac Karuzelu, ogród Tuilleries, marmury placu Zgody, smukły Obelisk, i w dali zjawia cudowna, szlachetne kontury Łuku Tryumfalnego!...

Zatrzymałem dorożkę. Woźnica uśmiechał się kpiąco, lecz życzliwie.

— *C'est plus beau ici que chez vous?* zapytał.

— *Chaque pays a ses beautés!* odpowiedziałem.

Wątpię, czy ten aforyzm automechona przekonał.

Przejechaliśmy Sekwanę, zatrzymaliśmy się na ulicy Jacob, przed bramą brzydkiej kamienicy. Hotel Jacob! Tę gospodę polecił nam Kosiakiewicz. Hotel był lichy, pokoje wilgotne i ciemne, umeblowanie odwieczne. Nowoczesny komfort w Paryżu owych lat był przywilejem kosztownych „Palaców”. Mieszkania prywatne w ogromnej większości domów pozbawione były wygód, które dziś stały się potrzebą powszechną. Ogień kominków z bliska przypiekał, ogrzewał słabo i na krótko.

W godzinę po przyjeździe już byliśmy na mieście. Bulwarem Saint Germain, obok kościoła Saint Germain de Prés, w którym spoczywają szczątki naszego króla tułacza, Jana Kazimierza, dotarliśmy do Boul-Mich'u, później do ogrodu Luksemburskiego. Upoił nas rwetes uliczny, bujny i wesoły. Śniadanie w krzykliwej,

zadymionej jadłodajni studenckiej... Dokoła gwar, śmiechy, ruch, radość życia... Rozhukane ambicje, upojne marzenia o powodzeniu, o tryumfach światowych... Paryż!

Polskie życie w Paryżu, o którym miałem głównie pisać, składało się z różnorodnych czynników. Na pierwszym miejscu — epigoni i progenitura wielkich emigracji 1831 i 1863 r.!...

Wychodźstwo polskie, zwłaszcza te zastępy, które po klęsce Rewolucji Listopadowej we Francji szukały schronienia, trawiła niezgoda i klótnie. Poziom etyczny i kulturalny tego wychodźstwa, poczucie godności narodowej i honoru, były bardzo wysokie. Nasi emigranci, wypędzeni z ojczyzny, nie postponowali swego ubóstwa na estradach restauracji kabaretów, jak to czynili arystokraci rosyjscy, dawni oficerowie gwardii. Polską dumą szlachecką przy dziurawych butach wywoływali czasem drwiący uśmiech, ale jednocześnie budzili szacunek.

Cherbuliez zostawił pod tym względem zabawny i wzruszający dokument w „*Aventures de Ladislas Bolski*”. Któż nie pamięta hardego szlachcica, rzuconego na bruk Genewy, który, by ratować się od głodu, godzi się na pospolity proceder sprzedawcy win. Stawia jednak warunek, że do klientów będzie jeździł konno i z szablą u boku?...

Czołowi przedstawiciele emigracji polskiej w Paryżu byli patriotami nieustępliwymi, lecz kraju i jego warunków bytowania przeważnie nie znali, lub znali niedostatecznie. Sądy ich bywały bezapelacyjne, acz nie zawsze sprawiedliwe.

Wysoka atmosfera panowała na zebraniach przy ul. *Guenégaud* u Władysława Mickiewicza, na uroczystościach w Szkole Battignolskiej, którą kierował prof. Wacław Gasztowtt, autor miernego przekładu „Pana Tadeusza” na język francuski, na zebraniach innych instytucji i organizacji emigracyjnych.

Równowagą umysłu odznaczał się Ludwik Gadon, jeden z wiernych adherentów rodziny ks. Czartoryskich, dziejopis wychodźstwa polskiego z r. 1831. Spotykałem go w Bibliotece Polskiej, odbywałem z nim przechadzki po cichych zaułkach wyspy św. Ludwika. Gadon tak zawsze prowadził, żeby przejść koło pałacu Lambert, siedziby niekoronowanych królów Polski, — Czartoryskich.

Z przeciwnego krańca — wyjątkowo sympatyczny był młody już wtedy „Pankracy”, — Bolesław Limanowski, firmowy szef Polskiej Partii Socjalistycznej. Jego radykalizm miał cechy głęboko ludzkie.

Delegatem krakowskiej Akademii w Bibliotece Polskiej, a zatem i kierownikiem tej instytucji, był Konstanty Górski, poeta i historyk sztuki. Gruntowne wykształcenie otrzymał w Niemczech, w Berlinie był ulubionym uczniem Hermana Grimma, kochał tak samo sztukę, jak literaturę, — jednej i drugiej był wnikliwym znawcą. Swoje „Wiersze” czytelował starannie: były kunsztowne, lecz chłodne. Z prozy została po nim piękna nowela: „Biblioman”, nagrodzona drugą nagrodą na konkursie krakowskiego „Czasu”. Pierwszą przyznano Każ. Tetmajerowi za „Księdza Piotra”, trzecią — Tadeuszowi Rittnerowi za „Sąsiadkę”. Takie bywały w owych czasach konkursy! Funkcje bibliotekarza pełnił czynny i sympatyczny Daniel Śliwicki.

Włóczyliśmy się często z Górskim po muzeach Luwru i Luksemburgu, wstępowaliśmy do Cluny lub Guimet’a. „Kociogórski” (tak go zwała cyganeria artystyczna Krakowa) mówił o sztuce czarująco. Sypał anegdotami z Vasarego, zapalał się, przeskakiwał z tematu na temat. Pamięć miał niewyczerpaną. Kończyliśmy wędrówki zwykle w małym barze Bols’a na bulwarze Montmartre, przy kieliszkach starego Schiedam’u.

Z polskich malarzy starszego pokolenia mieszkali w tym okresie w Paryżu Jan Rosen i Jan Chełmiński, dwaj uczeni bataliści. Rosen sprzedawał swe obrazy na wagę złota w Petersburgu, Chełmiński — w Nowym Yorku (żona jego była amerykanką i w Stanach Zjednoczonych posiadała wpływowe stosunki). Obaj poświęcili się głównie epoce Napoleońskiej. Rosen malował także sceny wojskowe z czasów Królestwa Kongresowego, Chełmiński — polowania *par force*. Ich sztuka była poprawna i cokolwiek martwa. Mundury i rynsztunek — pod względem ścisłości historycznej — nieodróżniane. Rosen i Chełmiński, gdy się spotykali, gotowi byli godzinami spierać się o kształt lub rozmiary jednej małej sprzączki. Dla historyków wojskowych obrazy ich będą dokumentem.

W Bellevue pod Paryżem mieszkał Wacław Szymanowski, w Bussy — Cyprian Godebski. Pierwszy porzucił już był malarstwo dla rzeźby, z większą dla malarstwa szkodą, niż dla rzeźby — pożytkiem. Był to artysta prawy i niespokojny, o górnych aspiracjach. Wysokie mniemanie o swojej wartości czyniło go wrażliwym, drażliwym i mało towarzyskim. Talent Godebskiego wspierała kultura artystyczna i doskonała technika. Pomnik Mickiewicza w Warszawie nie należał zapewne do arcydzieł sztuki monumentalnej, górował przecież nad większością pomników, jakimi w ostatnich dziesiątkach lat uraczono stolicę.

Na Montparnasse.

W tej dzielnicy osiadł Miriam-Przesmycki. Mieszkał w jednym domu ze Ślewińskim, artystą malarzem, który późno poświęciwszy się sztuce, do końca życia dręczył się w impasie poszukiwań, usiłowań i osiągnięć.

Miriam zbierał materiały do dzieła o Hoene-Wrońskim. Czynił to rozważnie, bez pośpiechu, z filozoficznym spokojem mędrca, który odgadł głębszy sens życia. Jego sybarytyzm był przede wszystkim intelektualny. Doceniał jednak również walory sztuki kulinarnej i powab win szlachejnych. Gdy mówił o smaku truskawek, świeżo z grządek zerwanych, a słońcem porannym nagrzanym, słuchacze mimowoli łykali ślinę.

Miriama ściągały od czasu do czasu „na drugą stronę” Sekwany studia w Bibliotece Narodowej. Ślewiński po kilka miesięcy nie ruszał się ze swego zakątka. W cichej dzielnicy między ogrodem Luksemburskim a bulwarem Montparnasse żył jak w prowincjonalnym miasteczku. W godzinach południowych obaj przyjaciele zjawiali się w strojach niedbałych, — Miriam w domowych pantoflach, Ślewiński — w drewnianych sabotach, wymoszczonych sianem, — w małej restauracyjce Szarloty, przy ul. Petite-Chaudière, zaledwie o parę kroków od ich siedziby odległej. Ślewiński jadł w roztargnieniu i szybko, po czym do roboty wracał. Miriama zatrzymywała często znajomi i przyjaciele, na krótszy czas do Paryża przybyli, — Reymont, Kasprowicz i inni. Gdy był w dobrym usposobieniu i rozgadał się, posiedzenie przedłużało się do wieczornego obiadu.

Na tych konwentyklach ujawniał się fascynujący urok, jakim Miriam promieniowała. Imponował wiedzą encyklopedyczną, nieodwołalną stanowczością sądów. Surowy dla innych, był nie mniej wymagający dla siebie: stąd żmudność pracy, nie kończące się sprawdzania, poprawki, uzupełnienia.

Miriam był zapalonym wielbicielem Ruskina i Morrisa. Wróciwszy w parę lat później do Warszawy, założył „Chimerę”. Drukarnia Orgelbrandów przechodziła z nim niewypowiedziane męki. Torturował dyrektorów, metrapaźów i zecerów bez miłosierdzia. W ten sposób stworzył pismo w Polsce wyjątkowe, tak pod względem treści, jak grafiki. Tylko terminów wychodzenia nie potrafił opanować. Uważał je za sprawę drugorzędną, a czytelnicy byli zdania odmiennego.

Dla współczesnej sztuki francuskiej Miriam był sędzią surowym. Entuzjazmował się Gustawem Moreau.

W małej salce Szarlotty toczyły się gorące, czasem hulaśliwe dyskusje. Nie było rozbieżności zdań na jednym punkcie: wszyscy odnosili się z jednakim szacunkiem do talentów kulinarnych gospodyni. Młode podniebienia nie grzeszyły wybrednością, Szarlota była dla polskich stołowników szczególnie uprzejmą. Chętnie prowadziła ich do swego prywatnego pokoju za kuchnią, w którym jedną ze ścian zdobił niewielki obrazek Podkowińskiego. Artysta, opuszczając Paryż, ofiarował jej to bardzo impresjonistyczne płócienco, pragnąc dać upust wdzięczności za smaczną kuchnię i kredyt.

W bliższe stosunki z Miriamem wszedłem nieco później, kiedy już przenieśliśmy się z żoną do własnego mieszkania przy ul. Garancière, za kościołem St. Sulpice. Szóste piętro, schody wąskie, jak drabina, ale dom był historyczny. Urodził się w nim najrzeczniejszy dyplomata XIX stulecia, ks. Tayllerand de Perigord, biskup z Autun. Właścicielem okazałego gmachu była jedna z najszanowniejszych paryskich firm wydawniczych, — Plon Nourrit et C-o.

...Przybył do Paryża na kilka tygodni Kosiakiewicz i wypadła mu niespodzianie sprawa honorowa. Zwrócił się do Reymonta i do mnie, byśmy mu byli świadkami. Ze strony przeciwnej sekundowali Miriam Przesmycki i Marian Kiniorski, który studiował podówczas w Szkole Nauk Politycznych.

Po kilkugodzinnych rozprawach i utarczkach, powiodło nam się zlikwidować zatarg. Mnie powierzono zredagowanie protokołu. Następnego dnia w moim mieszkaniu nastąpiło podpisanie cyrografu. Żona zatrzymała wszystkich świadków na śniadanie, które przeciągnęło się do wieczora. Mieliśmy sobie jeszcze tyle do powiedzenia, że postanowiliśmy iść razem na obiad. Po obiedzie Miriam pociągnął nas na butelkę wina „po drugiej stronie wody”, w *quartier de l'Europe*. Butelki pomnożyły się, nad ranem znaleźliśmy się w słynnej nocnej restauracji „Pod Dymiącym Psem” (*Au chien qui fume*) w Halach. Doczekaliśmy się zimowego późnego świtu, by podziwiać jeden z cudów Paryża: targ kwiatowy! Góry ciętych kwiatów, orgia barw i oszalamiających woni...

Reymont wtedy zabierał się do pisania „Chłopów”; jego umysł i wyobraźnia były tak pochłonięte rozpoczynaną pracą, że w rozmowach wciąż do niej powracał. Opowiadał autentyczne wydarzenia z życia chłopskiego, które miały stać się wątkiem powieści, na tak wysoką miarę zakrojonej.

Trudno było o większy kontrast indywidualności, jak tych dwóch przyjaciół: Miriama i Reymonta. Pierwszy — stuprocentowy intelektualista, umysł analityczny; drugi — temperament wybuchowy, mentalność spontaniczna. Talent Reymonta był większy od niego samego. Każdy temat podświadomie rozrastał się pod jego piórem, każdy obraz tętniał, konflikty olbrzymiały.

W twórczości, która nie jest przypadkową erupcją, tkwi pierwiastek metafizyczny, iskra Boża. W twórcach genialnych iskra ta rozżarza się w płomień, który oświeśla i rozgrzewa naród, niekiedy nawet — ludzkość.

Owa metafizyka sprawia, że dzieło niekiedy przerasta twórcę, i że irracjonalizm twórcy, poczytywany przez współczesną przeciętność za szaleństwo, bywa jasnowidztwem rodzących się prawd.

W dziesięć lat później Miriam z Reymontem bawili w Suchodębii, w Kutnowskim, — w pięknym, doskonale zagospodarowanym majątku Mariana Kiniorskiego. Gospodarz w tym czasie zajął już wybitne stanowisko w organizacjach ziemiańskich i w Stronnictwie Narodowo Demokratycznym. Roman Dmowski, który był tam częstym gościem, twierdził, że Suchodębie winno być nazywać się „Mokrogębem”. Przy butelkach tęgiego burgunda toczyły się tam, w dobranym towarzystwie, ożywione dyskusje na tematy literackie, społeczne i polityczne.

W toku jednego z takich sympozjonów, gospodarz i jego goście przypomnieli sobie o naszych wspólnych przeżyciach paryskich. Wysłali do mnie zbiorowy list, zaimprovizowany przez Miriama, a podpisany również przez Reymonta i Mariana Kiniorskiego:

Żłopiać z lubością Chambertina,
Bo weń bogate Suchodębie,
Więc pozdrowienie ślę-ć gołębie,
W piersi mi wzbiera natchnień wena
Żłopiać!

Taka rondowa Kantylena
Na rymy ena evan ěbie
Lepsza od pień Viellé-Griffin'a! ¹⁾
Nie dziw! Kiniorski dba, by w gębie
Wciąż się perliła ciecz i wena,
a ja, jak Godfryd-saracena
Wszystkich rymarzy trzeźwych gnębie,
Żłopiać!

¹⁾ Viellé-Griffin, słynny u schyłku XIX stulecia poeta-symbolista. Wyspiański uległ w pierwszych utworach jego wpływom („Protesilas i Laodamia”).

Z dala od kolonii polskiej trzymali się: sędziwy już Edmund Chojecki (Charles-Edmond) i młody jeszcze Théodore de Wyzewa (Wyzewski). Pierwszy brał udział w awanturniczych przygodach włoskich starszego syna królowej Hortensji. Gdy kaprys historii uczynił z niespokojnego księcia — cesarza Francuzów, Napoleon III nie zapomniał o towarzyszu lat niedoli. Dawny sekretarz został bibliotekarzem Senatu.

Chojecki za młodu pisał po polsku, potem — wyłącznie po francusku. Najlepszym polskim jego utworem był rozwlekły „Alk-hadar”. Z upoważnienia Chojeckiego skróciłem znacznie tę powieść. Wydało ją w tym skrócie Tow. S. Orgelbranda S-w.

Wyzewa był synem lekarza, który brał udział w powstaniu 1863 r. i musiał szukać schronienia we Francji. Młody chłopiec wychowywał się w środowisku francuskim, po polsku mówił słabo.¹⁾ Własnymi zabiegami i talentem zdobył sobie we francuskim świecie literackim uznanie i szacunek. Ceniono w nim gruntowną znajomość literatury nie tylko francuskiej, ale i obcej, śmiałość sądu, bezwzględność uczciwości, wysokie poczucie godności pisarskiej. Te cnoty nie ułatwiały mu stosunków z redakcjami pism francuskich („Le Temps”, „L’Illustration”), w których pracował, jako krytyk literacki. Prasę paryską już wtedy toczył rak złośliwy, noszący nazwę „publicité”, zaszczerpiony przez wielkiego reformatora prasy paryskiej, Emila de Girardin: frymarka tekstem pisma!

Wydawcy szukali nawet w krytyce artystycznej i literackiej źródła dochodów, ci zaś, którzy płacili, żądali wzamian przysług. Wyzewa nie potrafił dostosować się do tych obyczajów i stąd wynikały dlań kłopoty i rozterki. Spokoju zaznał dopiero w „Revue des deux Mondes”.

Daleki od hulaszczego Paryża, rozmiłowany w cichym zawarcu domowym, Wyzewa prowadził życie skromne i odosobnione. Gdym go odwiedzał, tematem naszych rozmów bywała zwykle nowa literatura polska. Wyzewa interesował się nią, lecz jej nie znał, po polsku czytał z trudnością. W Polsce nigdy nie był, o sprawach

¹⁾ To, co Wyzewa po polsku umiał, zawdzięczał wyłącznie ciotce, Wincetynie Bobowiczównie, która się nim opiekowała. Ojcu, pochłoniętemu nie rentowną praktyką lekarską w małym miasteczku, brakło czasu. Jak dalece Wyzewa oceniał tkliwą i mądrą miłość tej zacnej kobiety, świadczy piękna książka, którą w wieku dojrzałym jej poświęcił.

polskich, nawet literackich i kulturalnych, rzadko mógł pisać, bo wpływowa prasa paryska, subwencionowana przez ambasadę rosyjską, Polską w ogóle nie chciała się zajmować.

Z dorobku beletrystycznego Wyzewy trwalszą wartość posiadają: powieść „Valbert” i nadewszystko zbiór nowel p. t.: „Contes Chrétiens”.

Żonaty był z sympatyczną francuską, która przedwcześnie zmarła.

„Proszono mię z Warszawy o umieszczenie w „Temps” małej notatki o działalności Komisji Kolonizacyjnej w Wielkopolsce. Wyzewa zaprowadził mię do naczelnego dyrektora tego wielkiego wydawnictwa, Adrijana Hébrard’a. W redakcji — na Bulwarze Montmartre — panował zgiełkliwy zamęt. Kręcili się zatroskani współpracownicy, jedni wpadali, drudzy wybiegali, — snuli się woźni i pikolasy. Czekać trzeba było długo. Hébrard przyjął nas uprzejmie, moja prośba wszakże wprowadziła go w kłopot: przyczyny łatwo było się domyślić. Ambasada rosyjska niechętnym okiem patrzyła na wiadomości o objawach żywotności polskiej.

Wyzewa napierał, Hébrard w końcu uległ.

— Dobrze. Notatkę umieścimy.

— *Vous êtes un brave homme, patron!* stwierdził poważnie Wyzewa.

Wyszliśmy na ulicę. Już gęstniał mrok zimowego przedwieczera. Bulwary dygotały w febrycznej gorączce, huczały jak ocean, gnający wzburzone fale ku wybrzeżom. Szerokie chodniki płonęły jasnością latarni i wystaw sklepowych. Jezdnię wypełniały rzędy powozów i dorożek, olbrzymie omnibusy z galeryjką, każdy zaprzężony w trzy potężne normandy. Woźnice złorzeczyli sobie wzajem, wygrażali batami. Na chodnikach tłoczyła się ciżba przechodniów, spieszących się i zaaferowanych, — gapiowskie grupy cudzoziemskich turystów, rozglądających się ciekawie. Tarasy kawiarni zapchane. Godzina „aperytywu”, mdlący zapach absyntu, „trucizny narodowej”! Gwałtowne krzyki sprzedawców gazet popołudniowych... Wyniki wyścigów! Starsi panowie, ubrani zbyt elegancko, młodzi lalusie, uszminkowani, obleśnie uśmiechnięci, jaskrawo wystrojone kokoty, pałace lubieżnymi spojrzeniami!... Splot tajemniczych praktyk potwora, który dla jednych był nowoczesnym Babilonem, dla innych — Miastem Światłem. Nawet niebo, spowite w mgły i dymy, nie znało spokoju! Z niewidzialnych szczytów kamienic wyskakiwały dziwotwory drażniących reklam świetlnych.

Wyzewą wstrząsnął lekki dreszcz. Zacisnął pobladłe usta, oparł się na mym ramieniu. Gdyśmy skręcili w ulicę Richelieu, w przeciwieństwie do bulwaru — ciemną i cichą, szepnął.

— *Paris, tout de même, est un terrible bordel.* ¹⁾

Dwa pogrzeby.

Oba w pobliżu naszego hotelu Jacob, z dwóch przeciwnych stron. Jeden — wielkiego pisarza francuskiego, drugi — wielkiego pisarza angielskiego.

Jakże odmienne!

Pogrzeb Alfonsa Daudet'a wyruszał z arystokratycznej ulicy *de l'Université*. Wojsko, armaty, wozy kwiatów, najwyżsi dygnitarze Republiki, chluby literatury, sztuki — elita Paryża. Tłumy.

Pogrzeb Oskara Wilde'a... Nieszczęsny lord Paradox, skazany na więzienie przez sąd londyński za upodobania homoseksualne, po odsiedzeniu kary zamieszkał na dobrowolnym wygnaniu w skromniutkim mieszkanku, przy ul. *de Seine*, pod przybranym

¹⁾ Garść ludzi dobrej woli w Warszawie, z Henrykiem Sienkiewiczem na czele, zorganizowała w Paryżu wystawę nowoczesnej sztuki polskiej. Chciano przypomnieć światu, że Polska, pozbawiona niepodległego bytu, nie przestaje żyć własnym życiem duchowym. Wystawa, umieszczona w galerii Georges Petit, świadczyła chlubnie o polskiej twórczości artystycznej. Mimo to, dzienniki paryskie, uzależnione od swej *publicité* i od świadczeń ze strony ambasady rosyjskiej, albo ograniczały się do parowierszowych suchych wzmianek, albo całkowicie wystawę przemilczały. Redakcja „Kuriera Warszawskiego” zwróciła się do mnie z prośbą, by uzyskać chociaż w pewnych gazetach paryskich sprawozdania i wzmianki. Poszedłem do znakomitego ówczesnego krytyka artystycznego, Arsène'a Alexandre, którego felietony o sztuce w „Figarze” uchodziły za miarodajne.

Alexandre przyjął mnie życzliwie. Z całą szczerością oświadczył:

— Widziałem wystawę u Georges Petit, wywarła na mnie wrażenie dodatnie. Chętnie napisałbym o niej felieton. Oczywiście, nie ma mowy o jakimkolwiek z tej racji honorarium dla mnie. Wystarcza mi całkowicie to, jakie otrzymuję z redakcji. Lecz o zamieszczeniu felietonu decyduję nie ja, i nawet nie naczelny redaktor, lecz — *publicité*. Jeśli pan tam otrzyma *placet*, sprawa będzie załatwiona.

W administracji „Figara” przyjęto mnie również uprzejmie. Owszem, chętnie wydrukują felieton o wystawie polskiej, należy tylko załatwić małą formalność: wpłacić do kasy „*service de publicité*” 1500 franków...

Niestety! Warszawa tak się wyczerpała na koszty urządzenia wystawy, że na owe 1500 franków już nie mogła się zdobyć.

nazwiskiem Sebastiana Melmotte'a. W Anglii bojkutowali go księgarze, teatry, dawni przyjaciele, w Paryżu cierpiał niedostatek. Parę lat temu za jeden kwiat do butonierki płacił w Londynie więcej, niż w Paryżu wynosiło jego miesięczne komorne. Pogrzeb zgromadził zaledwie kilkanaście osób, które przypatrywały się sobie dość podejrzliwie...

...Pogrzeb bywa ostatnim rachunkiem, wystawionym człowiekowi przez życie. Później zostaje już tylko zasługa czynów i wartość dzieł.

Rogata dusza.

Kazimierz Waliszewski, historyk i publicysta, autor „Marysienki”, z dawien dawna osiadły w Paryżu, nie utrzymywał stosunków ani z cyganerią polską, ani z dawną emigracją. W Paryżu zatrzymał go przed wielu laty afekt do jednej z arystokratycznych dam polskich, która mieszkała nad Sekwaną. I tak się zrośł z wielką stolicą, że nie umiał się z nią rozstać, nawet gdy Egerii nie stało.

Wysokiego wzrostu, szczupły, z długą, starannie pielęgnowaną brodą, postać miał wielkopańską. Bywał w najpierwszych salonach przedmieścia St. Germain. Niezależny pod względem majątkowym, Waliszewski prowadził w Paryżu życie wykwintnego klubmena. Jego studia historyczne, (wydawała je firma Plon, Nourrit C-o) cieszyły się uznaniem krytyki i poczytnością. Pracował systematycznie w godzinach rannych, popołudnia spędzał w klubie, wieczory — na towarzyskich assamblach lub w teatrach.

Rogata dusza szlachecka odzywała się od czasu do czasu w tym kaliszaninie. Jego filipiki przeciw Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu w Warszawie wywołały oburzenie konserwatywnych kół ziemiańskich, do „Kraju” wysyłał czasem artykuły tak ryzykowne, że Piltz, mimo iż cenił wysoko temperament pisarski, odwagę cywilną i sarkazm autora, wahał się je drukować. Zmysł przekory przyczynił się zapewne, że w kilka lat później Waliszewski zgodził się pisać felietony do „Nowego Wremieni”, zamykając sobie w ten sposób szpalty pism polskich.

Z Waliszewskim miałem wspólnych powinowatych. Ściągał mię od czasu do czasu do swego klubu, stał się dla mnie niewyczerpanym źródłem informacji. W tym okresie żył już od kilkunastu lat w bliskiej przyjaźni z piękną wdową po głośnym graczu

Mniewskim. Pani była węgierką. Ulubioną grą Mniewskiego było „oko”, odwieczna gra polska, w którą grywał jeszcze Zygmunt Stary. Mniewski w „reszcie” zwykł był stawiać swoje Kutno. Sute resztki fortuny przegrawszy w drodze z Warszawy do Monte Carlo do ks. Demidowa, odebrał sobie życie. Urodziwą wdową zaopiekował się Waliszewski.

W dwa lata po moim osiedleniu się w Paryżu, Waliszewski oznajmił mi, że się z p. Mniewską żeni. Nazajutrz przyjechał do nas z narzeczoną. Stanowili razem parę wyjątkowo piękną. Pani Mniewska trzymała swe dojrzałe kształty w twardych ryzach gorsetu, nadając im linie wzorowe. Czarne oczy paliły gorącym ogniem, obfite, a na podziw złote włosy stanowiły kontrast niezrównany. Ubierała się świetnie, rozmawiała żywo i dowcipnie.

Odbył się ślub. Starsi państwo młodzi wyjechali do Wenecji, gdzie Waliszewski miał szukać w archiwach dokumentów historycznych do nowej książki. Upłynęło kilka miesięcy. Pewnego ranka otrzymuję od Waliszewskiego „*petit-bleu*”: „Wróciliśmy! Odwiedzimy państwa dzisiaj”. Jakoż w godzinach popołudniowych odzywa się dzwonek. Wchodzi dwoje pięknych starych ludzi. On pochylił się nieco, włosy i broda od zabiegów fryzjerskich zwolnione, nagle posiwiały. Ona, w ciemnej, wolnej sukni, bez gorsetu, już nie połyskiwała złotem wspaniałych włosów, lecz śnieżną ich bielą. Okazało się, że uprzykrzyła się im codzienna, męcząca walka o pozory młodości. Siebie oszukiwać nie potrzebowali, innych — nie chcieli, więc zdecydowali się odsłonić prawdę swych lat. Zdumiewająca rzecz, ile zyskali w tem przeobrażeniu na prostocie i cieple.

Polski satanista.

...W słoneczny ranek zimowy stałem przed bramą hotelu Jacob. Uwagę mą zwróciła młoda kobieta, która wyszła z bramy, zawahała się, i wolnym krokiem poszła ulicą Saints-Pères w stronę bulwaru St.-Germain. Strój jej raził rozmaitością barw. Spódniczka brązowa, żakiet i kapelusz czerwone, koło szyi bardzo żółty lis, pantofelki zielone. Wyglądała jak szczygieł. Postać zgrabna, ruchy miękkie, twarzyczka zmęczona, oczy jasne.

Że w tej chwili również wytknęła z bramy swą okazałą korpulencję pani konsierżowa, spytałem:

— Nowa lokatorka?

— Tak. Żona pańskiego rodaka.

Okazało się, że tym szczygielkiem była pani Dagny Przybyszewska, Norweżka, którą, po swych dramatycznych przeżyciach berlińskich, głośny już autor „Dzieci szatana” niedawno poślubił. Wracala wraz z mężem z Hiszpanii. Zaprosił młodą parę nad Ocean Wincenty Lutosławski, głośny podówczas filozof i eleuterzysta, żonaty ze znakomitą poetką hiszpańską Zofią Casanova.

Lutosławski był fanatycznym abstynentem, Przybyszewski — we wszelkiego rodzaju ekscesach szukał sensu życia.

Do Przybyszewskiego zbliżyłem się znacznie później, kiedy bieg lat i doświadczenia ostudziły jego demoniczny temperament. W owym czasie t. j. w pierwszych miesiącach 1898 r. wybierał się do Krakowa, by objąć po Ludwiku Szczepańskim redakcję „Życia” — i stać się jednym z naczelnych koryfeuszów „Młodej Polski”. Jak entuzjastycznego doznał przyjęcia, świadczy fakt, który przytacza Boy-Żeleński. Gdy Artur Górski, przyłączył się w Krakowie do grona towarzyszy broni Przybyszewskiego, w polemice ze Stanisławem Szczepanowskim, jako przedstawicielem starszego pokolenia, przyszedł autor „Monsalvatu” i redaktor „Marchołta”, pisał:

— „Macie wszystko w ręku i coście zrobili, kogoście takiego wydali? Sienkiewicza? Nie łudźmy się, kochamy go i czcimy wszyscy, ale dla literatury powszechnej więcej, niż Sienkiewicz, znaczy np. Przybyszewski”...

Przepowiednia ta, jak wiele innych, nie sprawdziła się. Świadczyła wszakże, jak dalece urok Przybyszewskiego był w tym okresie fascynujący. Zacztywano się w jego pismach, kobiety szalały za jego górną prozą. W teatrze święcił tryumfy niebywale. Publiczność przychodziła w nastawieniu psychicznym, które graniczyło z sugestią zbiorową. Wśród skupionej ciszy nieoczekiwanie wyrывały się histeryczne krzyki i spazmy. Musiano cucić i wyprowadzać z widowni nadwrażliwe wielbicielki.

Potem przyszło otrzeźwienie. Nowe sztuki Przybyszewskiego nie znajdowały dawniejszego rezonansu. Próbowano wznawiać poprzednie, czar prysł...

Przybyszewskiego spotkało to, czego doświadczało wielu innych polskich pisarzy scenicznych. Na starość błakał się z egzemplarzem swego dramatu po kancelariach teatrów, nieporadnie i nadaremnie...

W Polsce starość bywa nazbyt często dla pisarza źródłem gorczy. W teatrze zła dola pisarza nabiera szczególnej jaskrawości; w żadnej innej dziedzinie twórczości Kapitol nie jest równie bliskim skały Tarpejskiej. Wczorajszy ulubieniec z dnia na dzień staje się uciążliwym natrętem.

...Już po wojnie światowej Szczurkiewicz, dyrektor Teatru Polskiego w Poznaniu, ściągnął mnie na premierę jednej z mych sztuk. Przed rozpoczęciem próby generalnej poszliśmy do skromnej knajpki. Szczurkiewicz schodził się tam codziennie „na jednego” z Przybyszewskim, który niezbadanym wyrokiem przeznaczenia w stolicy Wielkopolski został przez sterników Rzeczypospolitej zaszczycony posadą podrzędnego funkcjonariusza pocztowego. Zestarzał się przedwcześnie. Że nas było trzech, trzeba było wychylić po trzy duże kieliszki bardzo mocnej mieszanki.

Otrzymał chudy „dar z łaski”, Przybyszewski zerwał z Poczta i powrócił do Warszawy. Zaczął pisać pamiętniki. Część ich drukowałem w „Świecie”. Przychodził wtedy do redakcji, sam lub z żoną (primo voto Kasprowiczową), i nieraz w mym gabinecie godzinami przesiadywał. Nie mógł strawić zwrotu fortuny w teatrze, dyrektorzy, którzy dawniej starali się o jego względy, odnosili się doń teraz poufale i z pobłażaniem.

Żona pilnowała, aby nie pił. Odbierając honorarium, prosił zawsze ukradkiem, bym pewną liczbę wierszy kazał zapisać na oddzielny rachunek. Pani Przybyszewska inkasowała należność, dla Przybyszewskiego pozostawał drobiazg, który cieszył go niepomniernie. Gdy go inkasował, jego twarz zabarwiała się rumieńcem, nogi nabierały wigoru. Ruszał żwawo „na jednego”...

Był u mnie w przeddzień ostatniego wyjazdu pod Inowrocław. W dwa czy trzy tygodnie później przyszła wiadomość o nagłej śmierci. Żona podążyła rychło za ukochanym mężem.

Frasunki dziennikarza polskiego w Paryżu.

Początki mej pracy dziennikarskiej w Paryżu były uciążliwe. Należało dokładnie zaznajomić się ze stosunkami kolonii polskiej; odłam emigracyjny odnosił się do politycznego programu „Kraju” niechętnie. Próbowałem wejść w bliższy kontakt z francuskim życiem politycznym i kulturalnym. Te zamiary spotkały się z większymi trudnościami. W szerszych warstwach francuskich, szczegól-

niej na prowincji, błąkały się jeszcze tu i ówdzie szczątki dawnych sympatii dla Polski i dla Polaków. W Paryżu odzywały się rzadziej, górował entuzjazm dla sojuszu z Rosją, i dla dobrze oprocentowanych pożyczek rosyjskich. Wielka stolica żyła przede wszystkim wielkimi interesami. Obywatelka, która sprzątała nasze mieszkanie i gotowała obiad, codziennie z goryczą skarżyła się na nikczemność Jerzego Clemenceau i Emila Loubet’a, jako rzekomych winowajców Panamy. Straciła na tym bankructwie oszczędności, ciułane przez 20 lat. Teraz lokowała je z radosną ufnością w papierach rosyjskich. W październiku 1917 r., jeśli dożyła tej daty, spotkał ją nowy zawód...

W urzędach policyjnych Paryża nie chciano uznawać narodowości polskiej. Musiałem stoczyć heroiczną walkę, by mnie nie zameldowano jako rosjanina. Skryba, który protokół kreślił, usiłował mnie przekonać, że przynależność państwowa decyduje o narodowości, bo naród bez własnej państwowości jest pojęciem nie-realnym.¹⁾

Koła literackie, teatralne i artystyczne nie interesowały się twórczością polską. Wydawcy polscy nie płacili honorariów za prawo przekładów z języków obcych, własność autorska nie była jeszcze w stosunkach międzynarodowych konwencją berneńską zabezpieczona. Literat, artysta czy dziennikarz polski wobec tego nie miał w Paryżu łatwego zadania. Chyba, że posiadał tak znaczny majątek, jak Stanisław hr. Rzewuski i jak on niedbale go trwoił. Wówczas przebaczano nawet ekstrawagancje.

Stanisława Rzewuskiego zrujnowały piękne aktorki paryskie i bakarat. Siadając w klubach przy zielonym stole, zwykł był z kieszeni wyjmować tom Schopenhauera. Czasem tak się podczas gry zaczytywał, że krupier musiał przypominać mu o obowiązkach partnera. Brat jego hr. Adam (za młodych lat oficer kawalergardów petersburskich, po wojnie światowej — pułkownik wojsk polskich), zapalony myśliwy, gospodarował w rodowej Wierchowni na Ukrainie. Umiarkowanym trybem życia pomnażał olbrzymią

¹⁾ Ludwik Leger, profesor języków i literatur słowiańskich w Collège de France, studia swe uzupełniał w Czechach i Rosji. Uważał się, jako specjalista od spraw słowiańskich, również za przyjaciela Polski. Z kilku dłuższych rozmów, jakie z nim odbyłem, doszedłem do wniosku, że ten przyjaciel życzył Polsce, aby nie czyniła wstrętów polityce rusyfikacyjnej, bo w jego mniemaniu idea słowiańska najpełniejszy swój wyraz najdywała w carskiej Rosji. Taką była tendencja wykładów, które w młodzieży francuskiej urabiały opinię o państwie Rosji („Russes et Slaves”, 1890—1899).

fortunę. Ale przyszła rewolucja bolszewicka, z godziny na godzinę musiał uciekać, by ratować życie. Nic więcej nie uratował. Stateczność osiągnęła ten sam wynik, co marnotrawstwo.

Polska kolonia literacko-artystyczna tak dalece była odsunięta od społeczeństwa francuskiego, że młody pisarz, lub artysta polski po kilkuletnim pobycie w Paryżu często nie umiał rozmówić się po francusku w restauracji.

...Studiowałem pilnie literaturę, teatr, prasę i sztukę francuską. Dorwałem się nareszcie w całość pełni do pracy, która była mi odtąd, na przekór Genesis, nie przekleństwem, lecz radością życia.

Nocne życie Paryża.

W lutym 1898 r., na powrotnej drodze z Jasnego Brzegu, przyjechał do Paryża Erazm Piltz. Oświadczył mi, że mój próbny termin dziennikarski wypadł pomyślnie. Uzyskałem lepsze warunki materialne.

Piltz umiał sobie jednać życzliwość współpracowników. Był redaktorem z powołania i zamiłowania, wiedział zawsze, czego chciał, a nie wszyscy redaktorzy polscy mogli to byli o sobie powiedzieć.

Poszliśmy na obiad do *Brasserie Universelle* na *Avenue de l'Opera*. Potym zawiozłem go na Montmartre do „Boite à Fursy”, gdzie Paweł Delmet resztkami głosu nucił swoje śliczne piosenki, a gospodarz w dowcipnych kupletach szydził ze wszystkich wielkości i świętości Trzeciej Republiki.

Gdyśmy wrócili po północy na plac Opery, Piltz zaproponował, byśmy zajrzeli na chwilę do Maksyma. W tym okresie był to najśłynniejszy, poniekąd „oficjalny” salon nocny Paryża. W „*Nouveautés*” karkołomne powodzenie święciła „Dama od Maksyma” Jerzego Feydeau, potęgując jeszcze popularność tego przybytku. Mimo względnie wczesnej pory, już było tam tłoczno. Kilkanaście par kręciło się pod takt straussowskiego walca. Przymilny nadkelner zaprowadził nas do małego stolika, doradził butelkę „Wdowy Clicquot” z owocami. Ledwie odszedł, zbliżyły się dwie nadmiernie uszminkowane i niemniej wydekoltowane panie, pytając uprzejmie, czy nie tęsknimy za ich towarzystwem. Odpowiedziałem, że nie śmielibyśmy pozbawiać innych, godniejszych gości tak bezcennego daru. Uśmiechnęły się kwaskowo i wyznały, że dokuczało im pra-

gnienie. Garson widocznie wcześniej to odgadł, bo już napelnił cztery szklanki. Panie wypily taktownie, bez pośpiechu i poszły szukać szczęścia gdzieindziej. Zaczęliśmy rozglądać się dokoła, Piltz nagle ucieszył się.

— Naczelnik miasta Petersburga! rzekł, wskazując starszego pana w smokingu.

Wkrótce okazało się, że dostojnych osobistości ze stolicy Wszechrosji było na sali znacznie więcej, Piltz wymienił parę głośnych nazwisk. Nagle przycisnął mocniej rękę do mego ramienia.

— Wielki książę Włodzimierz Aleksandrowicz!

Stryj panującego cara, mężczyzna podówczas około 60-ciu lat, siedział w liczniejszym towarzystwie przy dużym stole, umieszczonym w niegłębokiej wnęce. Na kolanach trzymał ładną i wesołą kokotę, która opowiadała pieprzną widocznie anegdotkę, bo towarzystwo rżało śmiechem.

W tym momencie weszło z przedsionka dwóch panów, w paltotach i cylindrach. Jednego z nich znałem osobiście. Był to Aleksander Luceński, brat pani Folandowej z Warszawy; zajmował w Paryżu lukratywne stanowisko szefa ogłoszeniowego w Agencji Havas'a. Jego towarzysz, był generalnym agentem firmy szampańskiej Montebello i nigdy sytym konsumentem tej firmy produktów.

Obaj nowi przybysze wracali zapewne z sutego obiadu. Byli obaj mocno zawiani, zwłaszcza agent szampański. Gdy dostrzegł księcia, nie mógł opanować radosnego wzruszenia.

— *Le grand duc Vladimir? Vive la Russie!*

Służba z szatni z trudem ściągnęła z niego paltot, odebrała laskę i cylinder. Wydzierał się i krzychał. Przyłączyło się z dalszych kątów parę rozweselonych i piskliwych głosów kobiecych.

Wksiążę nie bardzo wiedział, co zrobić z kokotką, która nie zdradzała zamiaru opuszczenia jego kolan. A pijany *bon vivant* zbliżał się roztkliwiony, serdeczny. Wyciągał ramiona i egzaltował się.

— *Ah, ce bon grand duc Vladimir! Toujours alerte! Vive la Russie.*

Już był o parę kroków od księcia. Gwar rozmów ucichł. Ale policja czuwała. Niespodziewanie, jak gdyby z pod posadzki, zjawiono się pięciu czy sześciu przyzwoicie ubranych panów. Dwóch z nich zaczęło się natarczywie witać z przedstawicielem firmy Montebello. Ten przysięgał, że ich nie poznaje. Wywiązała się żywa wymiana zdań, w toku której, nie wiadomo kiedy i jak, zarówno Luceński, jak jego towarzysz znaleźli się za drzwiami. Pa-

nienka zniknęła z kolan księcia, orkiestra huknęła przygrywkę do galopady z „Życia Paryskiego”. Na salę wpadły cztery słynne tancerki, chluby klasycznego kankana. Były wśród nich i Mimi-Patte-en-l'air, i Grille d'Egouts. Ze zwojów batystów i koronek wyłoniły się małe nóżki, dziewczyny tańczyły jak szalone. Rybie, mętne oczy Wksięcia świeciły żółtawymi ognikami, wstał z fotela, Tancerki zrobiły przed nim front, podniosły cztery pantofle pionowo do góry i padły na posadzkę „szpagatem”.

Wksiężę raczył własnoręcznym oklaskiem podziękować artystkom i ruszył ociężale ku wyjściu...

Wstąpiliśmy na czarną kawę do *Café de la Paix*, Piltz był pod wrażeniem tego, co widział. W autorytecie moralnym caratu i jego czołowych przedstawicieli dojrzał niepokojące rysy.

... Paryż pobłażliwie patrzył na ekscesy wielkich książąt, arystokratów i dygnitarzy rosyjskich. Rozrzucali pieniądze łatwo i hojnie. Paryż i Riwiera zarabiała na nich sownie... Ciulacz francuski nie podejrzewał, że ci figlarze trwonili jego własne oszczędności.

Gdy wykwintna kuchnia, wyborne wina i piękności z półświatka przestawały działać, kierowano chciwych wrażeń gości na Montmartre, do „Grand Guignol'u”, lub do kabaretów, których specjalnością było wywoływanie „dreszczu”. Po kolacji u Voisin'a, w *Café Anglais* lub w *Café de Paris*, wieziono ich w ciemne zaułki starego Paryża, do rzekomych gniazd rozpusty i zbrodni. Nazywało się to „wędrownką wielkich książąt” (*la oturnée des grands ducs*). Jedną z takich nor, w których jakoby zabawiali się apasze i bandyci paryscy ze swymi kochankami, dziewczynami z ulicy, ulokowała się w pobliżu starego kościoła St. Séverin, a niedaleko od placu Maubert, który zasłużenie cieszył się złą reputacją. Spelunka mieściła się w rozległych suterrenach. Urządzenie było rozmyślnie prostackie, kelnerzy ubrani, jak czeladnicy rzeźnicy, oświetlenie skąpe. Kilku obdartych muzykusów kwiliło melodie, popularne na bulwarach zewnętrznych. Autentyczne były prostytutki. Młodzieńcy, ucharakteryzowani na apaszów i złoczyńców, byli natomiast zwykłymi alfonsami. Po północy zaczynały się zjawiać grupy gości egzotycznych, panie świetnie wystrojone, w dekoltach do pępka, panowie we frakach lub smokingach. Wiodła ich ciekawość zbrodni, niezdrowa chęć bezpośredniego kontaktu z występkiem. Zdarzało się, że wytworni dżentelmeni zapraszali

do tańca dziewczyny z trotuaru, damy w balowych toaletach od Poiret'a powierzały swe wiotkie kształty wypróbowanym bicepsom alfonsów... Od czasu do czasu wybuchały po kątach hałaśliwe sprzeczki, bójki. Muzyka milkła, błyskały noże. Ciszę ulicy przerywały gwałtowne gwizdki policjantów. Gospodarz i jego pomocnicy zamykali spiesźnie drzwi i okiennice, wykwintne damy umierały ze strachu, dżentelmeni przeklinali swą nieostrożność. Lecz niebawem wracał spokój. Gospodarz likwidował konflikt. Egzotyczni goście oddychali lżej. Doznali wrażeń „niezapomnianych”.

Wszystko to było pieczołowicie wyreżyserowane. Nad bezpieczeństwem czuwali — na ulicy — rośli i silni *sergents de ville* w krótkich pelerynach, wewnątrz lokalu — tajni agenci policyjni.

Malaria polska.

Prawie równocześnie ze mną przybył do Paryża Stanisław Pstrokoński, młody malarz, rodem z kaliskiego, który parę lat spędził w Rzymie. Jego talent, kształcony na prymitywach włoskich z *quattrocento*, lubował się w nastrojach, które w dramacie usiłował realizować Maeterlinck. Pstrokoński w życiu był dość nieporadny. Zainteresował się nim Konstanty Górski, wprowadził do inż. Abakanowicza, przyjaciela Sienkiewicza, rzutkiego przemysłowca z *Parc-St. Maur*, który dorabiał się znacznego majątku. Pstrokoński zaczął dawać lekcje rysunków młodziutkiej pannie Abakanowiczównie. Skończyło się na tym, że uczennica posłubiła nauczyciela.

Pstrokoński urządzał parę razy w Warszawie własne wystawy. Zyskiwał pochwały krytyków, nie zdobył jednak w sztuce tego stanowiska, jakie zdawał się jego talent rokować. Brakło mu energii i życiowego hartu.

Te zalety posiadał Bolesław Szańkowski. Rodzice jego mieli majątek w sąsiedztwie naszego Drwalewa, ojciec przyjaźnił się z moim stryjem, więc i między nami prędko wytworzyła się zażyłość. Szańkowski po dłuższych studiach w Monachium spędził rok w Madrycie, siedział od rana do wieczora w Prado i kopiował Velasquez'a. Nauka w las nie poszła. Do Paryża przybył na czas dłuższy, by bliżej zaznajomić się z techniką sztuki francuskiej. Jego portrety, szczególnie kobiece, zyskały zasłużone uznanie. Bogate angelki, których podobizny utrzymywał na płótnie, rozgłosiły jego ta-

lent po drugiej stronie Kanału. W ciągu kilku lat Szańkowski stał się jednym z najmodniejszych portrecistów niewieścich na kontynencie. Zapraszano go na dwory cesarskie i królewskie, malował portrety niemieckiej następczyni tronu, królowej i księżniczek rumuńskich, bawarskich, wirtemberskich. W kraju pozostał stosunkowo mniej znany. Na wystawach, które organizował w Zachęcie, nie mógł nigdy zgromadzić swych najlepszych dzieł, rozproszonych po oddalonych zamkach i pałacach. Należał do nielicznej plejady najlepszych polskich portrecistów kobiecych, obok Czachórskiego, Simmlera, Horowitza, Axentowicza...

Szańkowski później osiedlił się na stałe w Monachium i tam się ożenił.

Olga Boznańska, wiecznie zatroskana i zapracowana, swą sztuką wyłącznie pochłonięta, rzadko ruszała się ze swej skromnej pracowni. Malowała przeważnie na tekturze. Nieraz łamaliśmy ręce, widząc, jak na zwiotczających, poobdzieranych arkuszach utrzymywała swoje tajemnicze wizje. Dla oszczędności malowała nieraz i na odwrotnej stronie. Małomówna, w stroju zaniedbana, budziła rzetelny szacunek: w tej cichej kobiecie tkwiła uparta nieustępliwość świadomego swych celów talentu.

Oryginalną, pozornie najdoskonalej niedobraną parę stanowili dwaj młodzi wtedy malarze: Kazimierz Dunin-Markiewicz i Andrzejewski. Pierwszy był nieodrodnym synem bujnej Ukrainy, — polskiej Gaskonii. Wysoki, przystojny, zawsze w wybornym humorze, nawet gdy kieszeń była pusta, — Markiewicz lubił kobiety, byle przystępne, trunki, byle w dużej ilości, i zabawę, byle do rana. Takiego drugiego cygana świat polski nie widział, jego pomysły i kawały bywały oszałamiające! W tym okresie zajmował się wyłącznie malarstwem, otrzymał był właśnie wzmiankę zaszczytną w Salonie Pól Elizejskich. Później, w Irlandii i w Warszawie — zaczął pisać. Nadmiar radości życia odrywał go zawsze i wszędzie od pracy, kompanem był niezrównanym.

Nieodstępnym jego towarzyszem w Paryżu był Andrzejewski, litwin niepokąźny, zamknięty w sobie, artysta nie bez talentu. Jego krajobrazy posiadały głębszy sentyment. O ile Markiewicz był hałaśliwy i rozrzutny, Andrzejewski był milczący i oszczędny. Tamten próżniak, ten — uparcie pracowity. Markiewicz czuł się dobrze tylko w knajpie, i to dopiero po północy, — Andrzejewski utrzymywał, że knajpy nienawidzi, i że pocziwy człowiek winien chodzić spać wcześniej. — Czemuż pan nie idzie spać? pytało go słodkie dziewczę z Boul'Mich'u. — Mogęż jego samego zostawić? od-

powiadał, zdziwiony, wskazując palcem przyjaciela. Taż on bezzemnie w ogóle nie wróciłby do domu!...

Polska cyganeria w Paryżu była liczna. Składali się na nią literaci, artyści i łaziki wszelkiego autoramentu i wieku. Wspólne cechy były: wilczy apetyt, niegasnące nigdy pragnienie, górne ambicje i stały brak gotówki. Schodziliśmy się wieczorami w Café Flore, na bulwarze St. Germain. Inne grupy spotykały się w Café Procope, w Régence, później w Rotundzie.

Moja żona przystosowała się wybornie do nowych warunków życia. Polubiła towarzystwo cyganerii artystyczno-literackiej, przejęła się jej troskami, zainteresowaniami i aspiracjami.

Większość młodzieży, i niemłodzieży — trwała w ciągłej pogoni za pięciu lub dwudziestu frankami. Mniejszość — w obronie swych franków. Z Andrzejewskim było tak: otrzymywał z kraju stałą pensję, pierwszego każdego miesiąca zjawiał się w jego pracowni listonosz z suto opieczętowaną kopertą. Wiedzieli o tym przyjaciele, szukali spotkania z Andrzejewskim. On zamykał się w pracowni, wieczorami nie pokazywał się na Boul'Mich'u.

Lecz raz, gdy właśnie otrzymał pieniądze, wpada na znajomego literata o głośnym już nazwisku. Ten zaprasza go na aperitif. Andrzejewski niebacznie przyjmuje inwit. Piją jeden vermouthe, potem drugi, gadu gadu, rozmowa staje się coraz poufniejszą. Literat zwierza się Andrzejewskiemu, że jest w chwilowym kłopotcie i że przyjaciel, któryby mógł pożyczyć mu na tydzień pięćdziesiąt franków, zyskałby jego dozgonną wdzięczność. W stosunku do zamożności cyganerii polskiej, kwota była poważna. Andrzejewskiego tak przeraziła, że zamilkł. Lecz literat był wymowny i tak godny, że opór był bezskuteczny. Wypili jeszcze po kieliszku vermouthu, z przymieszką cassis, Andrzejewski skapitulował. Z bólem serca podał banknot, nowy przyjaciel wsunął go ruchem niedbałym do kieszonki w kamizelce, podał serdecznie dłoń i nagle przypomniawszy sobie pilny interes, szybko opuścił kawiarnię. Okazało się, że w pośpiechu zapomniał za vermouth zapłacić.

Andrzejewskiego ogarnął nastrój ponury. Postanowił wieczorem pofolgować apetytowi, który w takich udrękach szczególnie mu dokuczał. Markiewicz był zajęty, więc sam wstąpił do Taverne du Panthéon. Zamówił najtańszą potrawę mięsną, szklanczkę piwa, gdy, o dziwo! spostrzega opodał literata. Przed nim na stole taca z ostrygami, w szklance złoci się Chablis. Andrzejewski podchodzi, wita się, i z zawistnym uśmiechem czyni kwaśną uwagę.

— Pan jest w takiej potrzebie, a tutaj ostrygi, wino!...

Na to literat, rozżalony nietaktem malarza:

— Do diabła, mój panie, jeśli nie mam pieniędzy, nie mogę jeść ostryg, jeśli mam pieniądze, też mi nie wolno? Więc kiedy? Powiedz pan, — kiedy będę jadł ostrygi?

Logika była nieodparta. Andrzejewski wrócił do swego stolika, rozgoryczony.

Paryż u schyłku stulecia.

Dziennikarz patrzy własnymi oczyma na kłębiące się przejawy życia, odczuwa, niczym sejsmograf, jego pomyślności, troski, katastrofy. Swoim rozumieniem, byle w dobrej wierze, wszystko co się dzieje, oświeśla, — co dobre, podnosi, co nagany godne, piętnuje. Własne sobie zdanie urabia, i wypowiada je tak, jak potrafi i może. Trzyma rękę na pulsie duchowym społeczeństwa.

Na ziemiach polskich życie w okresie niewoli sączyło się wąskim nurtem. Głębiny trzeba było kryć przed podejrzliwym wzrokiem zaborców.

Więc tym więcej porywał i odurzał Paryż rozmachem swojej wolności, tempem i radością życia. Wszystko się tam mieściło, złe i dobre, wielkość i upadek, światłość ducha i mroki ostatecznego zepsucia. Niedoścignione środowisko nauki i sztuki, wzlotów umysłowości ludzkiej i inwencji technicznej, centrum wyrafinowanego sybarytyzmu i najbardziej wytężonej pracy. Równocześnie Gomorha dla rzesz przyjezdnych, szukających wymyślnej rozpusty. Paryż obłądny, który kładł się spać o tej samej porze, kiedy Paryż pracujący stawał przy swym warsztacie...

Nagły zgon prez. Feliksa Faure'a podczas schadzki z piękną panią Steinlen, żoną znanego malarza, wywołał powszechny niesmak. Nowego prezydenta, Emila Loubet'a, Paryż witał nieprzychylną demonstracją uliczną. Sprawa Dreyfussa, wywołana wystąpieniem Emila Zoli (J'accuse) w „Aurore”, organie Jerzego Clemenceau, rozdzieliła umysły i serca, rozpałała zawzięte spory i walki. W Izbach Prawodawczych, na szpaltach dzienników, na zgromadzeniach publicznych, w kawiarniach... Komendant Marchand w tymże czasie zajął Faszodę, nad jeziorem Tchad. Groziła wojna z Anglią.

Byłem w Palais de Justice, podczas procesu Zoli, kiedy policja i gwardia narodowa oczyszczały rozległy plac z wielotysięcznej ciżby. Zdawało się, że krew popłynie rzeką. W ciągu kwadransa tłumy były wyparte do bocznych ulic. Słyszałem w Palais Bourbon pioruny wymowy Jaures'a: obawiano się, że lada moment wybuchnie wojna domowa. Giełda szalała. Gdy w południowych godzinach chodziłem do Biblioteki Narodowej, już koło ulicy Vivienne słyszać było głuchy tumult, niczym ryk przelewających się fal morskich.

Na udeptanej ziemi literackiej symbolizm ścierał się zapalczywie z realizmem. W teatrze Antoine wprowadzał na scenę Ibsena, Strindberga i Hauptmanna. W dziedzinie sztuk plastycznych triumfowali Manet, Renoir, Claude Monet, Sisley, Pissarro, Puvis de Chavannes, Curière, Gustaw Moreau. W rzeźbie heroiczne walki ze starą szkołą wiedli Rodin (pomnik Balzac'a) i Bourdelle, przyszły twórca pomnika Mickiewicza. W dzielnicy Uniwersyteckiej, na lewym brzegu Sekwany, świat nauki, zamknięty w pracowniach, oderwany od pospolitych wstrząśnień, podtrzymywał godnie tradycje i honor Miasta-Światła... Gdy znakomitemu chemikowi Bertholet'owi spekulanci amerykańscy ofiarowali bająnskie sumy za eksploatację przemysłową jego odkryć, odprawił ich krótko:

— Pracuję dla ludzkości, nie dla osobistych zysków...

Pierwsza naiwna Komedii Francuskiej, panna Reichenberg, z racji pięćdziesiątej wiosny, postanowiła ustąpić ze sceny. Grała rolę ośmnastoletniej Zuzanny w „Świecie Nudów” Pailleron'a. Przedstawienie robiło wrażenie nabożeństwa żałobnego po nieboszczyku, którego wszyscy obgadują. Schodzić ze sceny i umierać należy w porę. Sarah Bernhard przerzuciła się do ról męskich. Grała z powodzeniem „Orlątko” Rostanda, a bez powodzenia — „Hamleta”. Na pierwszy plan wysuwała się nowa gwiazda dramatyczna, pani Simone. Rozkoszne były przedstawienia „Paryżanki” Becque'a i „Rozkochanej” Porto-Riche'a. Réjane, Lucjan Guitry, Huguenet! Na „Sapho” Daudet'a, z Réjane w roli tytułowej, tak się spłakałem, że wzruszony sąsiad-francuz zaprosił mię na koniak do Café Americain!

Poznałem osobiście Réjane w dwa lata później, gdy już rozwiodła się z Porelem, dyrektorem teatru „Veuveville”. Zakochała się na zabój w przystojnym młodym włocho i lansowała jego komedie i dramaty w Paryżu. Nazwisko owego Celadona wkrótce znanym stało się i w Polsce: Nicodemi! („Świt, Dzień i Noc”)! Réjane założyła dla niego teatr, wpadła w zawile kłopoty finansowe; Nico-

demi zyskał światowy rozgłos. Sztuki jego zaczęto grać na obu półkulach. Wrócił do ojczyzny, Rêjane została ze swym teatrem i długami w Paryżu. Rozpoczął się beznadziejny dramat starzejącej się aktorki...

W podobny sposób i prawie w tym samym okresie kończyła wielki romans swego życia i swej artystycznej kariery największa aktorka włoska, Eleonora Duse. Tam nielitościwym kochankiem był Gabriele d'Annunzio...

W Varietés, obok bardzo już dojrzałej Jeanne Granier, rozkwitała czarująca Ewa Lavellière, — najpowabniejszy łobuz na scenie, — która w pełni sukcesów, w dziesięć lat później, zamknęła się w odosobnionym klasztorze. W Komedii Francuskiej zaczęła zdobywać względy krytyki i publiczności Wanda de Bończa. Była córką emigranta polskiego, nazywała się Rutkowska, w Konserwatorium paryskim otrzymała pierwszą nagrodę. Słusznego wzrostu, ciemnowłosa, niepospolitej urody, podbiła serce ówczesnego ministra oświaty, Raymunda Poincarégo, późniejszego prezydenta Republiki. Po polsku mówiła źle i niechętnie, o Polsce mało co wiedziała. Zmarła młodo.

Od iluż to stuleci piosenka paryska — i paryski dowcip — były i są wyrazem nastrojów, nurtujących ludność stolicy, — humoru dobrego i złego, niekiedy — dojmującej, gorzkiej prawdy! Z tą swywolną piosenką i zuchwałym, nie uznającym żadnych świętości dowcipem daremnie walczyli od wieków królowie, magnaci i najwyżsi dostojnicy państwowi. Nie oszczędziły Ludwika XIV-go, Króla-Słońca, nawet kiedy umierał. Wielka rewolucja nauczyła Beaumarchais'go i jego epigonów śmiać się, żeby nie płakać. Restauracja i Monarchia Lipcowa miały Beranger'a który nie dał się przekupić ani Bourbonom, ani Orleanom, a był tak skromny, że nie chciał być niczym — „nawet akademikiem”. Inaczej Jakub Offenbach. Ten pochodził z niemieckiej rodziny żydowskiej i choć od wczesnej młodości osiadł w Paryżu i tu swą sławę światową osiągnął, nie zdołał nigdy poprawnie mówić po francusku. Offenbach wyczuł najlepiej hasło II Cesarstwa: Evoe: Szalejemy dziś, by nie myśleć, co nas czeka jutro! Był twórcą tańca „rodem z piekła, który kankanem się zwał”, a który zastąpił pretensjonalnego lansiera i ożywił nudnego kontredansa. Był także inicjatorem nowoczesnego kabaretu, niezrównanym ilustratorem muzycznym świetnych libret operetkowych, które dlań pisali Ludwik Halevy i Meilhac. „Gargouillada” wyprzedziła rosyjską „Wampukę” o pół wieku z okładem. Ks. de Morny, przyrodni brat cesarza (był nieślubnym synem

królowej Hortensji i gen. Flahaut), wszechwładny minister, pisał na spółkę z niearyjskim Ludwikiem Halevy'm, późniejszym „nieśmiertelnym”, libretto operetkowe.¹⁾ Równocześnie Wagner nudził. „Tannhäusera” w Paryżu wygwizdano.

Trzecia Republika kabaretem i teatrom rewiovym dała pełną swobodę. U schyłku stulecia rej w nich wodzili: sentymentalny Paul Delmet, — zuchwały, drwiący ze wszystkiego i wszystkich Fursy, — Jehan Rictus, epigon Villon'a... W piosenkach Ivetty Guilbert (czarna suknia, czarne rękawiczki) w głębsze tony uderzał wiśliczy humor lub beznadziejna rezygnacja dusz zbłąkanych.

W dziennikach artykuły i felieton górowały nad informacją. Protagonistami publicystyki politycznej i felietonu byli Rochefort, Drummont, Cassagnac, Anatol France, Henri Fouquier, Okt. Mirbeau, Emanuel Arène, Catulle Mendès, Robert de Flers, Alfred Capus, Leon Daudet, Henryk Lavedan, Hervieu...

Lucerna i Florencja.

Początek lata 1898 r. spędziłem z żoną w Lucernie.

Drugi raz w życiu bawiłem dłużej w Szwajcarii. W 1897 r. — w Zurychu, teraz nad jeziorem Czterech Kantonów. Każdy pobyt sprawiał mi podwójną przyjemność: kiedy przyjeżdżałem i kiedy wyjeżdżałem. Nie znam drugiego kraju, w którym tkwiłoby tyle piękna przyrody, uczciwości ludzkiej i nudy. Joseph Conrad posuwał się dalej: twierdził, („W Oczach Zachodu”), że Szwajcaria to uroda bez wdzięku, zdeflorowana przez oleodruki, i gościnność bez ciepła. Możliwość dodać: kuchnia zdrowa i bez smaku.

W Lucernie zacząłem pisać pierwszą powieść. Piltz, któremu zwierzyłem się z tego zamiaru, zachęcał mnie i obiecywał przeczytać. Pisałem z zapałem, ale, niestety: zbyt łatwo. Wiele lat upłynęło, zanim nauczyłem się pisać z trudem, a tylko w trudzie zdobywa się wartość. I to nie zawsze.²⁾

Łatwizna i pośpiech, to niebezpieczne rafy, o które nieraz rozbijały się — i w dalszym ciągu rozbijają się — wielkie nawet talen-

¹⁾ „Monsieur Chouffery restera chez lui le... (S. Krakauer: „Offenbach ou le secret du Second Empire”).

²⁾ Artur Rimband zwierzał się na łożu śmierci: — „Chciałem zdobyć tyle ekspresji, żeby słowo pęczniało, rośło, świeciło nigdy nie widzianym blaskiem”.

ty twórcze. Klasycznym przykładem był Lope de Vega: dyrektorzy teatrów gwałtowali go wciąż o nowe komedie i dramaty, jemu stałe dokuczał brak pieniędzy. W trzy dni kończył wieloaktową sztukę, a w razach nagłych, gdy płacono cenę podwójną, i w dwie doby. Co miesiąc wydawał tom, w którym mieściło się dwanaście nowych utworów. Cervantes lata całe przygotowywał się do swego „Don Kiszota”, męczył się nad nim, i stworzył wiekopomne arcydzieło.

Pokusom ze strony dyrektorów teatralnych i wydawców o pośpiech ulegają często i w Polsce autorzy, którzy zjednali sobie u publiczności kredyt. Ja również później składałem teatrom egzemplarz, niedostatecznie skontrolowany, i zawsze potem żałowałem. Trzeba się od swego utworu na pewien czas oderwać, w toku tworzenia bowiem nie zawsze odróżnia się to, co się chciało wypowiedzieć, od tego, co zostało wysłowione... I druk — i jeszcze bezliotniej scena — wyjaskrawiają każdy błąd czy przeoczenie.

W końcu lipca żona opuściła Lucernę i wyjechała na wybrzeże belgijskie, gdzie bawiła jej matka z naszym synkiem. Ja drogą na Gotard pomknąłem do Florencji.

Pierwszy raz znalazłem się w Italii. I tak jak pragnąłem: w porze, kiedy przed skwarem letnim uciekają cudzoziemcy, kiedy miast włoskie żyją własnym specyficznym życiem.

Arno przypominało rynek na rozbrukowanej ulicy. Gdy padał mrok, powietrze roiło się od komarów. Trzeba było albo zamknąć szczelnie okno i wtedy dopiero zapalać lampę, albo — zostawić okno otwarte i siedzieć w ciemnościach. Decydowałem się zwykle na trzecie: uciekałem do Melliniego lub Gambinusa i tam oddawałem się lekturze.

Ranki bywały przerozkosne. Lazur nieba, aż przesadnie bezskazy, w Cascine pustki. Pisałem w małej kawiarence, łagodnie ocienionej. Zgiełk robiły tylko szpaki, uganiane się po trawnikach. Gdy upał poczynął dokuczać, wracałem do miasta, by szukać ochłody w Uffizi albo w Pitti, w Akademii, Bargello... Nareszcie zbliżając się do miasta, mogłem podziwiać arcydzieła Renesansu.

Wracałem do Paryża w pierwszych dniach września, na Genewę. Przybyłem do tego miasta dość późnym rankiem. Oporządkowawszy się, wyruszyłem nad Lemana. Na przystani tłum. Twarze osowiałe, rozmowy przyciszone.

Przed godziną cesarzowa Elżbieta, małżonka Franciszka Józefa, została zasztyletowana w tym miejscu przez anarchistę włoskiego, Luccheniego.

Cesarzowa Elżbieta.

W cesarzowej Elżbiecie pulsowała niespokojna krew Wittelsbachów. Umysł posiadała żywy i zapalny, choć niegłęboki, wyobraźnię pobudliwą, chciwą wciąż nowych wrażeń, wzruszeń i przeżyć. Psyche bawarska szukała przez całe życie Erosa, — spotykały ją stale zawody i rozczarowania. Uwielbiała Byrona, Heinego i Wagnera, a równocześnie zachwyt budził w niej cyrk i ku zgorszeniu czcigodnych arcyksiężn wiedeńskich nie tylko organizowała przy stajniach cesarskich cyrkowe widowiska, lecz brała w nich udział osobisty. Cesarzowa Austrii, królowa Węgier, Czech, Galicji i Lodomerii, kuso odziana, popisywała się przed zaproszoną publicznością wyższą szkołą jazdy, skakała na koniu przez obręcze, zaklejone cienką bibułką. Tkwił w niej przekorny element buntu, odziedziczony w znacznej mierze po ojcu, ks. Maksie Bawarskim; tryb życia tego księcia na zamku Possenhofen nad jeziorem Sternbachskim, był dla mieszczan monachijskich, przywiązanych do piwa i do dynastii, niewyczerpanym wątkiem uciesznych dykteryjek.

Z possenhofeńskiego zaścianka wyrwano nagle i nieoczekiwanie siedemnastoletnią panienkę (1853 r.) i z wielką pompą, przy uroczystym biciu w dzwony i huku armat, wprowadzono do wiedeńskiego Hofburgu, jako prawowitą małżonkę 23-letniego Franciszka Józefa.

Młody cesarz pozostawał wtedy całkowicie pod wpływem matki. Arcyksiężna Zofia, dumna, ambitna i swą misją dziejową przejęta, spodziewała się synowej skromnej i uległej. Elżbietę nazywano uszczypliwie „perłą z Possenhofen”. Nic błędniejszego!

Hiszpańska etykieta, normująca drobniutko i bezwzględnie życie na dworze Habsburgów, wydała się młodziutkiej cesarzowej niewolą. Wprędce powstały zatargi. Elżbieta nie chciała siadać do stołu w rękawiczkach, jak tego wymagał ceremoniał. Oburzenie. Podczas wielkiego obiadu oficjalnego młoda cesarzowa zwraca się do obsługującego ją lokaja z poleceniem, by jej podał szklankę piwa. Przeżalenie. Piwo w Hofburgu? Lokaj nie zrozumiał. Nadbiegł marszałek dworu. Pyta jakiego wina życzy sobie najjaśniejsza pani? Ona, bez uśmiechu powtarza: — Proszę o szklankę piwa! Nie było rady. Przyniesiono piwo. Cały dwór, cały Wiedeń arystokratyczny czuł się zgorszony. Lecz młody cesarz był pod urokiem pięknej małżonki. Może powiedział jej, bez gniewu, gdy zostali sami: Nawarzyłaś piwa...

W kołach dworskich krążyła legenda, jakoby cnotliwa i surowa arcyksiężna Zofia miała w swym życiu kwadrans słabości. Nie-szczęśliwa w pożyciu z głupawym mężem, nie umiała rzekomo obro-nić się gorętszemu uczuciu, które wzbudził w niej uroczy syn Bona-partego, ks. Reichstadzki. Elżbieta czepiała się z zapałem tej roman-tycznej plotki. Zestawiała daty. Tak, napewno! Franciszek Józef był synem „Orlęcia”, wnukiem wielkiego cesarza Francuzów. W je-go żyłach nie płynęła chłodna i wodnista krew Habsburgów... Pani Fleming, autorka książki o cesarzowej Elżbiecie ¹⁾ również uległa tej sugestii.

Gwałtowne porywy nieodrodnej córki Wittelsbachów budziły we Franciszku-Józefie z początku zdumienie. Do poważniejszej scy-sji doszło, gdy między świekrą a synową wynikł spór o naczelną opiekę nad wychowaniem syna. Elżbieta upomniała się o prawa matki. W Hofburgu uważano, że interes dynastii sięga wyżej. Dzie-ci cesarza musiały być wychowane według tradycyjnego rytuału, z tym zaś nie godziła się porywcza i buntownicza indywidualność młodej cesarzowej. Gdy cesarz ustąpił przełożeniom matki, Elżbieta postanowiła na dłuższy czas opuścić Wiedeń.

Podobno na to postanowienie wpłynęła jeszcze inna okolicz-ność. Elżbieta dowiedziała się, że cesarski małżonek dał się uwieść jakiejś Circe naddunajskiej. Wiedenki przepadały za młodym mo-narchą...

...W Trieście oczekiwał biały i lekki jacht cesarski, przez młodą cesarzową nazwany... „Fantazją”. Piękne, kosztowne cacko. Każdy szczegół był przez Elżbietę przemyślany. Obszerna sala kąpielowa z masy perłowej i słoniowej kości! A wśród przydzielonych do asy-sty osób — młody oficer, hr. Imry Hunyady, Antinous madziarski. Ujrzał raz i kochał już....

Niebo lazurowe, morze snuje tęskne melodie. Wiosenne słońce grzeje rozkosznie... Długie siesty w rozłożystych fotelach, rozmo-wy stają się ciche i poufne, zamieniają się w zwierzenia. Młody Węgier bywa stale zapraszany do stołu. Na Maderze czeka na mło-dą monarchinię antyczny pałacyk, skąpany w zieleni i kwiatach... Fale oceanu rozbijają się z szumem o kamienisty brzeg. Idylla trwa... O gioventu, primavera della vita!...

Depesza od cesarza. Huynady ma natychmiast wrócić do Pesztu i zgłosić się do komendy wojskowej. Cesarzowa raczy opuścić cza-rodziejską wyspę bez zbyteńnego pośpiechu...

¹⁾ Mareen Fleming: „Życie romantyczne Elżbiety Austriackiej”.

O rozwodzie w rodzinie Habsburgów nie mogło być mowy. Więc choć pożycie małżeńskie Franciszka-Józefa z Elżbietą doznało głę-bszych wstrząśnień, na zewnątrz zmieniło się mało. Tyle tylko, że podróże cesarzowej stały się częstsze i dłuższe. Gdy zachodziła potrzeba reprezentacyjna, towarzyszyła dostojnemu małżonkowi do Budapesztu, Pragi, Wenecji, Mediolanu. Spełniała wtedy obowiąz-ki monarchini. Najchętniej podróżowała dla własnej przyjemności, incognito, w szczupłej asyście. Czasem spotykała się z ojcem w Pa-ryżu. Ks. Maks zostawiał wtedy w Possenhofen cytrę i lodenową pelerynę, zamieniał się w wielkoświatowego lowelasa.

Stosunki małżeńskie nie uległy całkowitemu zerwaniu. Świad-czyły o tym narodziny arcyksiężnej Walerii.

Cesarzowa Elżbieta często wyjeżdżała do Gödöllo na Węgrzech. Zwłaszcza wczesną jesienią, kiedy nagrany słońcem dzień pod wieczór spowijał się w mgły opalowe. Na rozległych pastwiskach pasły się tabuny półdzikich koni, przy dymiących ogniskach cziko-sy warzyli gulasz, odzywały się namiętne skargi skrzypiec, jęczały cymbały...

Przy takim obozowisku Elżbieta zetknęła się z hr. Bathyanim, którego ojciec, podczas rewolucji węgierskiej, został z rozkazu cesa-rza Franciszka-Józefa rozstrzelany. Syn żywił śmiertelną niena-wiść do Habsburgów, lecz nie mógł oprzeć się urokowi młodej cesarzowej. Czyż zresztą ona sama nie była ofiarą zachłannej dy-nastii?...

Na powrotnej drodze do zamku ukorzony magnat towarzy-szył cesarzowej. Stajenni pozostali w tyle. Zabłyśły niedalekie światła, Elżbieta dała koniowi ostrogi. Bathyani poskoczył za nią, kopyta rumaków zastukały na bruku, wiodącym do bramy...

...W dwa lata później Elżbieta (miała wtedy 29 lat) bawi w Pos-senhofen. Zbliża się do swego kuzyna, Ludwika II. Dwudziesto-letni król bawarski ukończył właśnie budowę pałacu na Wyspie Róż. Tajemniczą siedzibę dzielą od Possenhofen i od całego świata — modre fale jeziora Sternbachskiego... Ludwik piękny jest, jak Cherubin. Lombrosowski mattoido, — źdźbło geniuszu, znacznie więcej — szaleństwa. Kocha się w poezji, w muzyce, sztuce... Ruj-nuje kraj fantazjami, jakich nie pozwalali sobie Medyceusze. Pierw-szy ocenia wielkość Wagnera, wznosi dlań teatry.

Ludwik II stronił od kobiet. Dla Elżbiety przecież otwiera na oścież podwoje zaczarowanego pałacu. Biała łódka z rzeźbionym łabędziem na dziobie czeka stale na uroczą kuzynkę. Tych dwoje Wittelsbachów rozumie się w stu procentach. Wszystkie ich pory-

wy, wzloty, pragnienia, gorycze, przygnębienia — czerpią wątek w mózgach bujnych, lecz nad miarę rozkołysanych. Nic nie potrafią odczuć i wykonać — z prosta. Stanowili parę Narcyzów, przeglądających się bez ustanku w niewidzialnym zwierciadle, podziwiających bez znużenia swą urodę, lotność umysłu, wrażliwość wyobraźni i zmysłów, napięcie wzruszeń... On — w stroju Lohengrina, ona — w lekkiej, białej tunice greckiej, krążyli po pustych alejach ogrodu, w którym kwitło piętnaście tysięcy krzaków różanych... Deklamowali z pamięci Byrona, Heinego, wiedli zawile dyskusje, analizowali swe uczucia, rozszczepiali każdy włos na czworo. Zamaskowany kamerdyner w teatralnej liberii, zapraszał na obiad. Żadnej obsługi. Za naciśnięciem ukrytej sprężyny rozstępowała się posadzka, wysuwały się cudownie zastawione stoły. Bajka! Potrawy wymyślne, wina najprzedniejszego pochodzenia. Kawa w wielkim buduarze, o haremowym urządzeniu. Przez wielkie szyby okien zagląda jezioro... Odzywają się ledwie dosłyszalne dźwięki niezrównanej orkiestry... Rosną... potężnieją... Wagner! Lohengrin! Róże ślą delikatne wonie... Niskie posłania, miękkie poduszki, których hafty są arcydziełami sztuki... Rozmarzone wyobraźnie już nie znajdują słów...

Taka sielanka nie mogła trwać długo!...

...W Paryżu Elżbieta spotyka Juliusza hr. Andrassy. Był wtedy już w pełni dojrzałego wieku męskiego. Magnat wytworny, oświecony, serce zapalne. Pani Fleming zapewnia, że on właśnie wzbudził w cesarzowej jedyne prawdziwe i głębokie uczucie. Andrassy, skazany podczas rewolucji 1848 r. na śmierć, ulaskawiony i przywrócony później do łask monarchy, stał się prawą ręką Deaka, znakomitego „realisty” węgierskiego.

Nadszedł wiek niebezpieczny, — szczególnie niebezpieczny dla kobiety, która była piękną i kochaną. Melancholia jesieni! Szelest zrudziałych liści, które lecą z drzew...

Cesarzowa Elżbieta zaczyna tyć, i — ażeby odzyskać klasyczną talię 45 cm, przestaje jeść. Grozi jej złośliwa anemia. Lekarze ledwo wytłumaczyli dostojnej pani, że głodowanie w jej wieku było szaleństwem. Wybrała się do Irlandii na polowania *par force*. Kierował nimi doskonały sportsmen p. Middleton. Trzydziestokilkoletni gentleman, przystojny, zdrowy, zawsze w dobrym humorze. Pijak i kobieciarz. Elżbieta przekroczyła pięćdziesiątkę. Wyobrażenia ukoronowanej miłośnicy zapala się po raz ostatni. Middleton staje się nieodstępnym towarzyszem cesarzowej. Wiedeń i Peszt gorszą się. Lecz plotki nie mają dostępu do Hofburgu, chociaż Midd-

leton, gdy sobie podchmielił, nie grzeszył dyskrecją. Cesarz Franciszek Józef zajęty jest Katarzyną Schratt. Elżbieta przyjaźni się z nią, zaprasza na obiady do Lainz. Zawsze i stale — wiedeńska *Gemüthlichkeit*! Na tych obiadach bywa nawet córka, arcyksiężna Waleria. Cesarzowa jednak, gdy tylko może, ucieka z Wiednia. Najchętniej przebywa teraz na Korfu, gdzie wzniesiono dla niej pałac w stylu starogreckim, tak brzydki, że wzbudził zachwyt w cesarzu Wilhelmie II, który go później odkupił. W tym pałacu kończy się ostatni romantyczny sen o szczęściu. Starzejąca się cesarzowa dowiaduje się, że Middleton spędza noc w szynkach portowych, w towarzystwie dziewczyn ulicznych, że wraca nad ranem nieprzytomnie pijany... Krótkie pożegnanie. Koniec.

Śmierć hula. Lohengrin bawarski, Ludwik II, rzuca się w modrą toń sternbachskiego jeziora. Dramat Mayerlingu. Rudolf, Vescera... Znika z widowni Juliusz Andrassy... W piękne popołudnie wczesnowiosenne wspaniały jacht zatrzymuje się przy *Cap St. Martin* koło Nizzy... Cesarzowa Elżbieta odwiedza b. cesarzową Eugenię, która tu zwykła spędzać zimę. Długa ożywiona rozmowa, wspomnienia, żale... Tyle świetności, blasku, radości! Wszystko minęło.

Obie starsze panie nie zdejmują już żałoby. Elżbietę, z powodu jej wyniosłej postaci, nazywają czarną lilią.

I epilog, jakby dostosowany do tego, bardzo kapryśnego życia. Elżbieta przebywała nad Lemanem. Wpółobłąkany anarchista, Luccheni, wbił jej nóż w piersi w chwili, kiedy wsiadała na pokład małego parowca. Chciał zamordować ks. Filipa Orleańskiego, lecz ten przyspieszył nieoczekiwanie wyjazd. Więc szalencie skorzystał z przypadkowej obecności Elżbiety, by popełnić zbrodnię, która, w jego mniemaniu, miała wstrząsnąć sumieniem ludzkości...

Finot.

Wpływowe stanowisko w prasie paryskiej zdobył sobie u schyłku stulecia szwagier mojego kolegi antwerpskiego, Bronisława Goldfedera — Jan Finot. W Warszawie nazwisko jego brzmiało: Finkelhaus, był adwokatem. Doznawszy od palestry warszawskiej przykrości, wyprowadził się do Paryża, założył tam dwutygodnik, który z początku nosił nazwę „*La Revue des Revues*”.¹⁾ W przedsięwzięciach

¹⁾ Później: „*La Revue*”.

prasowych ten zwycięża, kto wnosi na rynek coś nowego. Nowością dwutygodnika Finot'a był zasięg zainteresowań. Prasa francuska naogół mało była ciekawa tego, co się działo poza granicami Republiki, zamykała się w granicach własnych spraw, wydarzeń, myśli i twórczości. Finot otworzył zagranicy na oścież szpalty swego pisma, czerpiąc z autorytatywnych źródeł zrecznie przesiane wiadomości o życiu politycznym, społecznym i kulturalnym innych narodów. Pomysł okazał się się udatnym. „*La Revue des Revues*” zyskała w krótkim czasie światową poczytność, duży nakład i drogo opłacane reklamy.

Finot z kolonią polską mało się stykał. Bliskie stosunki utrzymywał z francuskimi kołami radykalnymi, Clemenceau i Briand bywali gośćmi w jego apartamentach przy *Avenue de l'Opera*. Przyjęcia wyróżniały się egzotyzmem. U Finot'ów spotkałem ówczesnego ambasadora chińskiego i jego dwie ładne córki, które na większych zebraniach występowały w kunsztownie haftowanych szatach narodowych. Mogły być podobać się wybrednemu nawet Europejczykowi, gdyby nie ostry zapach, który niosły. Ambasador, wysoki, silnie zbudowany i życzliwie uśmiechnięty mandaryn, wydał po powrocie do ojczyzny wspomnienia ze swego kilkuletniego pobytu w Paryżu. Zwierzał się w nich, że kultura francuska budziła w nim podziw, że polor towarzyski w Europie był wysoki, kobiety — zachwycające. Nie mógł tylko ukryć jednego „ale”: nie potrafił przyzwyczaić się do nieznosnej, mdlącej woni Europejczyków...

Finot wydał kilka prac z dziedziny socjologii. Tą, do której przywiązywał osobliwą wagę, było studium o „Przesądzie ras” („*Le préjugé des races*”). Można by sądzić, że już wtedy przewidywał zbliżającą się burzę antysemityzmu i dla przyszłych polemik i walk gromadził argumenty przeciw doktrynom rasizmu.

Gdym wyjeżdżał do Rzymu, Waliszewski i Konstanty Górski zaopatrzyli mnie w kilka listów rekomendacyjnych.

Pierwszy raz w Rzymie (zima 1899 r.).

Pobyt w mieście Wiecznym ułatwił mi życzliwymi wskazówkami delegat Akademii Krakowskiej, Stanisław Kętrzyński. Któżby się był wówczas spodziewał, że młodziutki, jasnowłosy historyk w niecałe trzy dziesiątki lat później będzie reprezentował Rzeczpospolitą Polską w stolicy Rosyjskiej Republiki Sowiecków!...

Zamieszkałem w pensjonacie, który mieścił się tuż przy *Piazza di Spagna*, naprzeciw monumentalnych schodów, wiodących na Pincio, a zapchanych przekupniami kwiatów i modelami płci obojga.

W przechadzkach po mieście Kętrzyński bywał towarzyszem nieznazanym. Znał stary i nowy Rzym, interesowała go zarówno przeszłość, jak teraźniejszość, nie tylko szanowne ruiny, połówki księgi i dokumenty, lecz i życie, bujnie przewalające się w starej Romie na rubieży dwóch wieków.

Wieczorami spotykaliśmy się w restauracji Fiorellego, gdzie zbierała się artystyczna kolonia polska. Prezydowali Aleksander Gierzyński i Antoni Madeyski, wysoko ceniony rzeźbiarz, od wielu lat w Rzymie osiadły.

Stałymi partnerami byli dwaj młodzi malarze, Wygrzywalski i Okuń.

Wygrzywalski, ożywiony i wesoły, żonaty był z ładną Niemeczką z Monachium, która koniecznie chciała robić z siebie prymityw prerafaelicki. Okuń, estetyczny i spokojny, nawet nieco hieratyczny, ożeniony był z jasnowłosą, hożą panną z polskiego dworu. Kontrast w obu parach był tak widoczny, że obcy zwykle panią Wygrzywalską brali za żonę Okunia, panią Okuniową — za żonę Wygrzywalskiego. Co wieczór prawie trafiał do Fiorellego jakiś przygodny gość z kraju, wino z *Castelli Romani*, smaczne i tanie, podniecało dyskusje. Madeyski był niewyczerpany w opowieściach o Rzymie, Gierzyński więcej się uśmiechał, niż mówił.

Rzym, jako Stolica Apostolska, górował wówczas nad Rzymem — stolicą Zjednoczonych Włoch. Pod względem liczby mieszkańców zajmował w Italii trzecie miejsce, po Neapolu i Mediolanie.

Na rozległym placu, przed świątynią Piotra i Pawła od rana bywało tłoczno. Z wąskich uliczek staromiejskich ciągnęły mniejsze i liczniejsze pielgrzymki. Wchłaniała je olbrzymia Bazylika, arcydzieło Bramanta i Buonarottiego.

Z racji przybycia kilku znacznych pielgrzymek z Niemiec i z Austrii odbyło się uroczyste nabożeństwo z osobistym udziałem Ojca Św. Liczbę zgromadzonych pątników określano na 50 tys... Mimo to w Bazylice było luźno. Orszak papieski w tradycyjnych strojach posuwał się wolno i swobodnie wśród rozmodlonych tłumów. Wrażenie było niezapomniane. Gdy „*Sedia*” zatrzymała się na dłuższą chwilę, Leon XIII, w szacie nieskazitelnie białej, z pod bukietów piór strusich lekkim ruchem dłoni błogosławił wiernym. Wąskie wargi poruszały się w bezgłośnie modlitwie. Oblicze Wiel-

kiego Papieża wydawało się przezroczyście. Tym mocniej gorzały ciemne oczy. Gdzie się zatrzymało jego mądre spojrzenie, kłoniły się setki i tysiące głów.

Leon XIII „jako posiadający władzę” głosił światu o zobowiązaniach prawach i powinnościach tych, którzy dają kapitał i tych, którzy niosą pracę. Encyklika „Rerum Novarum” była wielką kartą, na której powinna się opierać akcja chrześcijańska w sprawach społecznych.

Otrzymałem zaproszenie na obiad do hr. Lovatelli, wnuczki Emira Rzewuskiego. Pani ta należała do arystokracji „czarnej”, t. j. tej, która opowiedziała się za zjednoczeniem Włoch i za dynastią Sabaudzką. Hr. Lovatelli żywiła dla Polski szczere i gorące sympatie, lubo po polsku nie mówiła. W jej pięknym renesansowym pałacu gromadziło się wytworne towarzystwo rzymskie.

Przy stole, cudownie ukwieconym, miejsce przypadło mi obok córki pani domu, panny przystojnej i żywego usposobienia. Na przeciwko nas, przy hrabinie Lovatelli, siedział brunet niskiego wzrostu, szczupły i wąty, ciemnej cery. Wyglądał na niespełna czterdzieści lat, był bardzo łysy. Jego twarz nie wydała mi się obcą. Sąsiadka objaśniła mnie.

— Pewno spotykał pan jego fotografie. Gabriele d'Annunzio... Zamilkła na chwilę, niepewna, czy może mówić szczerze. Odważyła się.

— Cieszy się teraz dużym rozgłosem. Ale mnie nie podoba się ani jego literatura, ani jego życie.

Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju!

Agresywny krytycyzm młodziutkiej contessiny był wyrazem tych nastrojów, jakie wywoływały sensacyjne opowieści o prywatnym życiu d'Annunzia. Porzucił żonę i trzech synów dla Eleonory Duse, która była królową teatru, jak on — królem literatury.

Znalazłem się w dość paradoksalnej sytuacji... Ja, cudzoziemiec, musiałem stanąć w obronie wielkiego pisarza wobec jego rodaczki.

D'Annunzio wtedy sięgał po wawrzyny teatralne. Dopomagała mu do ich zdobycia Duse, genialna odtwórczyni głównych postaci w „*La Citta Morte*”, w „*Giocondzie*” nieco później — w „*La Nave*”... Przeżycia z Duse posłużyły poecie, jako temat jednego z najpłodniejszych jego romansów: „*Ognia*” (*Il Fuoco*), na tle tragicznego piękna Wenecji.

Mistrz słowa był w życiu porywisty, w uczuciach — niestały. Wierzył w swe nadczłowieczeństwo. Wydawało mu się, że wielki talent udziela wyjątkowych praw... Opuszczona przezeń Eleonora Duse obwoziła jeszcze jego dzieła sceniczne po świecie, gdy on już pisał scenariusz dla Idy Rubinstein, żydówki rosyjskiej, która zbławizowany Paryż wzburzyła zuchwałym efektem totalnej nagości...

Obiad się skończył, poprosiłem hr. Lovatelli, by mnie przedstawiła znakomitemu pisarzowi. Zamieniliśmy kilka szablonowych frazesów. On zapytał, jak się czuję w Rzymie, czy jestem zadowolony z pobytu. Ja mówiłem mu, że w Polsce posiada licznych wielbicieli, że jego dzieła są tłumaczone na nasz język. Nie wywarło to na nim silniejszego wrażenia. Nie było jeszcze konwencji berneńskiej, tłumacze i wydawcy nie płacili autorom cudzoziemskim i nawet nie pytali ich o upoważnienie do przekładu. Nic dziwnego, że uznanie dalekiej Polski wydawało się włoskiemu pisarzowi nieco platońskim.

W dwadzieścia lat później d'Annunzio stał się bohaterem narodowym. Włochy, przystępując w r. 1915 do wojny z Austrią i Niemcami, zawarły przezorny pakt z W. Brytanią i Francją, w którym wyszczególnione zostały ziemie i miasta, mające być przyłączone do Korony Sabaudzkiej.

Że w tym pakcie nie upomniano się o Fiume, W. Brytania i Francja przyrzekły owo miasto Jugosławii.

Opinia włoska domagała się gwałtownie przyznania Fiume Italii.

D'Annunzio, nie czekając na wynik targów, zgromadził garść ochotników, wtargnął do Fiume, na gmachach publicznych wywiesił chorągwie włoskie. We Włoszech wybuch radości i entuzjazmu!

Konferencja pokojowa w Wersalu zaniepokojona.

Pasiecz, znakomity serbski mąż stanu, bronił interesów Jugosławii. Gdy Lloyd George i Clemenceau namawiali go do ustępstw, powołując się na wielkie straty, jakie w wojnie poniosły Włochy, odpowiedział spokojnie:

— Zwykle ponoszą największe straty te wojska, które uciekają...

Fiume jednak pozostało w posiadaniu Włoch. Trzy największe podówczas potęgi świata, W. Brytania, Stany Zjednoczone i Francja musiały ustąpić utalentowanemu, lecz histerycznemu poecie.

Przygoda.

Nie posiadałem nigdy łatwości w nawiązywaniu dorywczych znajomości w podróży lub w hotelach. Od dwóch tygodni sąsiadowała ze mną przy obiedzie pensjonatowym wysoka, kształtna i nadobna pani, lat około trzydziestu. Ciemne jej włosy świeciły odbłaskami miedzi, w orzechowych oczach błąkały się uśmiechy drażniące. Spokojne stroje świadczyły o pochodzeniu z pierwszorzędných pracowni. Zagadnęła mnie kilkakrotnie po angielsku, ze zdecydowanym akcentem amerykańskim. Czytałem w tym języku dość swobodnie, w rozmowie gubiłem się beznadziejnie. Więc znajomość zredukowała się ostatecznie do wymiany powitań.

Zapusty przypadły w końcu lutego. W roziskrzonym wiosennym słońcem przedpołudnie stałem na Corso przed kawiarnią Aragno, gapiąc się na przebiegające grupy wrzaskliwych pajaców i arlekinów, oraz piskliwych kolombin. Przechodziła moja sąsiadka z pensjonatu, zatrzymała się. Przypatrywaliśmy się widowisku razem. Rzymskie uciechy karnawałowe wydawały się amerykańskiej pani „*very amusant*”. Zwierzyła się, że miałaby wielką ochotę pójść wieczorem na *veglione* do Constanzi, lecz samej trudno było się wybrać.

Zareagowałem na delikatną przymówkę, zwłaszcza, że ułożyłem się już na tę zabawę z młodym delegatem Akademii Krakowskiej. Ofiarowałem Amerykance opiekę. Pan delegat zdziwił się, gdy, wstąpiwszy wieczorem do pensjonatu, zastał mnie w towarzystwie efektownej damy w balowej toalecie, w perłach i brylantach. Że była powabna i ożywiona, nie skarżył się na swój los, a może nawet sobie go chwalił.

Dama włożyła na twarz maleńką czarną maskę, narzuciła wzorzysty płaszcz. Wsiadliśmy do karety. *Veglione* kipiał już wesołością, śmiechem i krzykiem. Tu i ówdzie tańczono, podniecenie było żywiołowe, żar podzwrotnikowy. Gasiliśmy go oziębionym *Asti Spumante*. Wino to posiada właściwość, że naprzód rzeźwi, a potem jeszcze lepiej rozgrzewa i pragnienie zaostrza. Amerykanka dotrzymywała placu. Wyjaśniła nam, że jest u kresu swej europejskiej wyprawy, że za dwa dni wsiądzie w Neapolu na statek, który ją powiezie z powrotem do Nowego Yorku, a stamtąd — kolej żelazna do bardzo nudnego miasta rodzinnego.

Późno było, gdy wracałem z nią już we dwójkę kareta do pensjonatu. Oparła głowę na mem ramieniu tak, że oddychałem mocnym zapachem jej włosów. W pewnej chwili usta moje znalazły się niespodziewanie na jej wargach. Te zaś były tak słodkie i so-

czyste, że oderwać się od nich było trudno. Na korytarzu szepnęła mi:

— *I'm coming*...

I rzeczywiście zjawiała się niebawem, i tyle miała do powiedzenia, że wyszła, gdy opieszały świt zimowy zaglądał poprzez zapuszczone firanki.

Umówiliśmy się, że się spotkamy o południowej porze na *Monte-Pincio*.

Obudziłem się nierychło. Śniadanie, przyniesione o zwykłej porze przez służącego, dawno wystygło. Ubierałem się tedy spiesźnie. Wzrok mój nagle zatrzymał się na pięknej, skórzanej torebce damskiej. Widomy znak, że moja przygoda nie była snem, lecz rzeczywistością. Wcisnąłem *corpus delicti* do kieszeni paltota, i w drogę na Pincio. Młody delegat Akademii fotografował właśnie Amerykankę, przed gmachem francuskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Wyglądała ślicznie. W oczach, w wyrazie jej twarzy świeciła radość słonecznego ranka. Powitała mnie swobodnie i poufale. Już na *veglione* ustaliliśmy zasadę, że ona będzie kaleczyć język francuski, a ja — angielski.

Gdy Kętrzyńskiego zatrzymał jakiś znajomy, pani amerykańska usta złożyła jak do pocałunku, i szepnęła:

— Czy pan nie przyniósł torebki? Zostawiłam na stole.

Wyjąłem torebkę z kieszeni, Pani ucieszyła się...

— Moje skarby!

— Skarby?

Otworzyła torebkę. Naszyjniki, pierścionki, kolczyki, bransolety, zapinki... Przykry chłód przebiegł mi po plecach. Jakże łatwo mógł być ktoś zwędzić te kosztowności, kiedy spałem!...

Ona nie zauważyła mego poruszenia i żaliła się, że nazajutrz wczesnym rankiem będzie musiała Rzym opuścić.

— Dlaczego pan tak długo zwlekał?...

Była jedną z tych obywaterek Nowego Świata, które, ulegając w ojczyźnie surowym klauzulom obyczajowym, szukają dla swej wyposzczonej kobiecości rekompensaty w starej Europie. Mówiła o udrękach swej „fizjologii” bez zakłopotania. Tkwiła w niej pierwotność instynktu i dość rażący brak subtelności. Prostota bez prostactwa jest cechą kultur dojrzałych.

Po kolacji pojechaliśmy do Coliseum, gdzie tego wieczora zapowiedziany był koncert z iluminacją. Powietrze było ciepłe i zgniłe. Gdy w godzinę potem wracaliśmy do pensjonatu, trząsłem się

w febrze. Nie pomogły doraźne środki, temperatura skoczyła do 39-u stopni.

Amerykańska pani wyjechała następnego ranka, nie zapytawszy o me zdrowie...

Znowu w Paryżu.

Po powrocie do Paryża, gdy żona bawiła jeszcze u matki w Warszawie, Markiewicz i Pstrokoński jęli mnie molestować, abym wybrał się z nimi na bal do Szkoły malarskiej Vittiego.

Markiewicz zachęcał, że na tych balach trafiają się „bycze” cudzoziemki, ćwiczące się na Montparnassie w kunszcie apellesowym.

Spotkaliśmy się na obiedzie u Thiriona, małej restauracyjce na bulwarze St. Germain, gdzie za 2 franki wiecznie rozradowany Marius przynosił olbrzymi „Chateaubriand” z sutym talerzem *pommes frites*. Markiewicz witał go dalekonośnym rzeniem. Na ten znak zała sala zaczynała rzeć, wszyscy bowiem podejrzewali, że był to gnat mięsa końskiego.

Koło dziesiątej stawiliśmy się na balu. Zbiegowisko było cudaczne, stroje różnorodne, młódź malarska wszelkich stanów i nacji. Markiewicz utknął odrazu przy bufecie. Czuwał nad nim Andrzejewski, ognisty *Marc de Bourgogne* krążył w ich żyłach. Pstrokoński przylgnął do jasnowłosej szwedki, ja przypatrywałem się tańczącym.

Stały koło mnie dwie Angielki. Starsza była jedną z tych postaci kobiecych, które można spotkać dziesięć i dwadzieścia razy, i w pięć minut po tym nie poznać. Druga, lat dwudziestu paru, odznaczała się niezwykłą strzelistością postaci. Wydawała się żywcem zdjęta z obrazów Burne-Jones'a lub Rossettiego. Profil twarzyczki był narysowany delikatnie, oczy — szaro niebieskie. Suknia balowa, nadto strojna, a niezbyt świeża, osłaniała chude łopatki i gładkie płaszczyzny w miejscach, gdzie oko męskie chętnie szuka wypukłości.

Że patrzyła na mnie życzliwie, ośmieliłem się zapytać po francusku.

— Pani nie tańczy?

Uśmiechnęła się.

— Nie mam z kim! A sama nie lubię.

Skłoniłem się, ona poniżyła się cokolwiek do mego ramienia, wcisnęliśmy się w gęsto walcujące pary. Krótka wymiana zdań zorientowała mnie, że nowa znajoma, mimo swobody obejścia, właściwej paryskim adeptom i adeptkom Sztuk Pięknych, była panną inteligentną i z lepszej sfery towarzyskiej. Skoro muzyka ponownie zaczęła kwilić, Angielka chciała w dalszym ciągu tańczyć. Przechodził podniecony zabawą Markiewicz. Zatrzymałem go.

— Niech pani z nim tańczy. Wzrostem będą państwo lepiej do siebie pasować.

Markiewicz już ją obejmował, popisując się swą niewyszukaną angielszczyzną. Stanowili parę wyjątkowo dobraną, głowy ich górowały nad roztańczonym tłumem. Pstrokoński pociągnął mnie do bufetu, gdzie oczekiwały nań skandynawskie piękności z Akademii Julien'a. Damy te były głodne i miały dosyć balu. Proponowały, żeby skończyć tak szczęśliwie poczęty wieczór w *Taverne du Pantbéon*. Andrzejewski, który snuł się samotny i ponury, przyrzekł wyrwać Markiewicza i z nami się połączyć.

Nie zjawili się jednak w Tawernie. Przez tydzień czy dwa nie widziałem ani jednego, ani drugiego. Aż pewnego popołudnia, gdym siedział na tarasie Flory, popijając przedobiedni vermouth, z krzykiem i śmiechem zatrzymało się koło mego stolika dwoje niebotycznych cyklistów. Markiewicz i Angielka z balu! Garson umieścił w bezpiecznym miejscu rowery, kolarska para zasiadła ochoczo do aperytywu. Zauważyłem, że znajomość, zawarta w Akademii Vittiego, rozwinęła się w tempie przyspieszonym: mówili do siebie ty, przekomarzali się i klócili, jak para dawnych przyjaciół. Wydawali się przy tym bardzo z siebie zadowoleni, i gadali tak dużo, że nic nie można było od nich się dowiedzieć. Jak niespodziewanie się zjawili, równie nagle porwali się od stolików, wskoczyli na rowery i tyle ich było.

Odtąd Markiewicza samopas już trudno było spotkać. Z goryczą skarżyły się na ten jego zwrot midinetki z Boul' Mich'u. Wysooka Angielka towarzyszyła mu nieodstępnie, za dnia w szarawarach cyklistowskich, wieczorem — w toaletach zbyt strojnych, lecz nigdy dość świeżych. Pannę pociągał nieokiełzany temperament i humor polskiego boheme'a, błyskotliwa bystrość jego umysłu, która obiecywała więcej, niż ziszczała.

Jej umysłowość była prostolinijna i logiczna: cechowała ją prawość, lojalność, poczucie godności, skłonność do entuzjazmu i zarazem upór w entuzjazmie. Markiewicz, kolega wyborczy, był najmilszym w świecie kpiarzem. Rozmach lotnej wyobraźni ukraiń-

skiej utrudniał mu odróżnianie tego, co było fikcją, a co — rzeczywistością. Wierzył w to, co opowiadał, a opowiadał rzeczy niestworzone.

Miss Constance Gore-Bouth pochodziła z rodziny irlandzkiej. Jej brat posiadał dziedziczny majorat nad Atlantykiem. Ona uważała się za stuprocentową Angielkę, przejęta była imperialistycznym patriotyzmem wielkiego Albionu. Jak na stosunki brytyjskie, nie była zamożna. Posiadała „zaledwie” 500 funtów szt. rocznej renty. W stosunku do waluty rosyjskiej wynosiło to 5000 rubli. Dla polskiej cyganerii paryskiej — fortuna!

Raz w rozmowie wspomniałem o sympatiach Polski dla irlandzkiego ruchu niepodległościowego. Było to, pamiętam, w kawiarni Vachette, na Boul-Milch'u. Zachnęła się na mnie tak gwałtownie, że sąsiadujący goście zwrócili się zadziwieni w naszą stronę.

— Irlandczycy, wołała, to wałkonie i niewdzięcznicy. Nie potrafią ocenić dobrodziejstw, jakimi obdarzyła ich Anglia.

— Nie są tych dobrodziejstw warci!

I już wprost pod moim adresem:

— Dżentelmen nie powinien zajmować się taką hałastrą!

Utkwiły mi te słowa w pamięci. Nie minęło 6—7 lat, jak w dumnej i nieustępliwej Angielce, gdy zamieszkała na stałe w Dublinie, obudziła się patriotka irlandzka. Znienawidziwszy Anglików, zmuszona była jednak w swej rewolucyjnej agitacji posługiwać się ich mową, bo celtyckiego języka swych przodków dostatecznie nie znała. Przejęła idee i hasła O'Counnel'a, Parnell'a i de Valery, życie poświęciła walce z najeźdźcą brytyjskim. Wtrącono ją do więzienia, groziła jej kara śmierci. Żadne niebezpieczeństwo nie było w stanie przygasić nieugiętej zawziętości. „Countess Markiewicz” stała się jedną z naczelných bohaterek ruchu feniańskiego.

Ślub miss Constance Gore-Bouth z Kazimierzem Markiewiczem odbył się w Londynie dość uroczystie. Oblubieniec, chcąc zaimponować rodzinie panny młodej, wystąpił w mundurze szlachty kijowskiej. Brukowa prasa londyńska, zachwycona egzotycznym strojem, mianowała go hrabią. Stąd miss Constance w dziejach odrodzenia Irlandii figuruje raz na zawsze, jako „Countess Markiewicz”. Z tym tytułem Pierre Benoit wprowadził ją do swej powieści „La Route d'Émeraude”.

Bezpośrednio po ślubie Markiewiczowie zamieszkali początkowo w Paryżu. Wynajęli obszerną pracownię, zaczęli urządzać przyjęcia na większą skalę. Wzorowo poprawne *ladies*, spokrewnione lub zaprzyjaźnione z panią domu, łączyły się w hałaśliwej i nieraz

swawolnej zabawie z bohème'ami wszystkich krajów i z ich przyjaciółkami wszelkich stanów i staników. *Whisky and soda* płynęły strugami, renta na taki tryb życia nie starczyła. Rodzina angielska ściągnęła młodą parę do Dublina, Markiewicz otrzymał zamówienia na oficjalne portrety, Constance porzuciła malarstwo dla konspiracji i agitacji. Z chwilą, kiedy ją wszechwładnie ogarnął zapał do akcji niepodległościowej, jej stosunek do męża był przesądzony. Rozbieżność charakterów i usposobień stała się zbyt dosadna. Markiewicz był nieopatrzny artystą — cyganem. Constance wpadła w stan ekstatycznego uniesienia, w którym dla życia na żart nie było miejsca.

Po kilku latach Markiewicz wrócił sam do Warszawy. Że jako malarz nie ziszczył swych aspiracji, jał się dziennikarstwa i literatury. Wszelka praca jednak wydawała mu się karą niebios za grzech pierworodny. Kompanem był zawsze niezrównanym.

W tym późniejszym okresie spotkałem Constance tylko jeden raz, na dworcu kolejowym w Warszawie. Wielka idea, która wypełniała jej serce i mózg, uduchowiła ją. Patrząc na tę młodą jeszcze i przystojną kobietę, uśmiechniętą i opanowaną, trudno było domyślić się, jaki płonął w niej ogień i jak twarda była siła jej woli. Lecz walka, którą podjęła, poderwała wąty z przyrodzenia organizm. Nie doczekała się ostatecznego zwycięstwa, Markiewicz przeżył ją o kilkanaście lat. Córka z tego małżeństwa, wychowana w Anglii, jest podobno patriotką angielską.

Koledzy „krajowi”.

Wiosną 1899 r. bawili kolejno w Paryżu Ludwik Straszewicz i Tadeusz Smarzewski, dwaj naczelnicy „Kraju”. Mieli oni jedną wspólną cechę: talent. Więzią, która ich łączyła, było wzajemne zaufanie, na szacunku oparte. Poza tym były to dwie indywidualności bardzo odrębne. Trzeba było taktu i umiejętności redaktorskiej Piltza, aby sprząć tak różne temperamenty przy jednym warsztacie.

Ludwik Straszewicz był czystej krwi demokratą i postępowcem, wychowanym na pozytywizmie. Ongiś w Paryżu tak się do doktryn Augusta Comte'a zapalił, że na nabożeństwa, urządzone przez jego zwolenników w wąskiej uliczce koło Odeonu, pilnie uczęszczał. Z usposobienia był radykałem. Ale jeśli w ferworze polemicznym

posunął się zbyt daleko, nie wahał się przed rycerską ekskuzą. Niebezpieczny był to przeciwnik, bo pisał tylko to, w co wierzył i swą wiarę w czytelnikach niecił. W tym czasie wraz z Kosiakiewiczem przygotowywał się do założenia „Kuriera Polskiego”, którego w dalszym następstwie miał zostać wyłącznym właścicielem i aż do śmierci — redaktorem naczelnym.

Tadeusz Smarzewski pochodził ze znanej szlacheckiej rodziny małopolskiej. Jego ojciec, pułkownik Smarzewski, posłował do wiedeńskiej Rady Państwa i w Kole Polskim miał znaczenie. Syn dziedzicznie należał do obozu zachowawczego: w istocie rzeczy był z tym obozem stale na bakier. Smarzewski był indywidualistą grymasnym, któremu duszno było w ciasnej dyscyplinie partyjnej. Widnokreśliem umysłowym i talentem przerastał większość krakowskich Machiavelów, mandatu poselskiego jednak nie mógł się dochrapać. Zawsze jakaś lokalna wielkość, która wyczuła w sobie Bożą wolę do wyższych przeznaczeń, zyskiwała pierwszeństwo. W tych rozterkach upłynęło życie Smarzewskiego; w późnych latach osiadł w majątku rodzinnym.

Zarówno Straszewicza jak Smarzewskiego z „Krajem” łączyła logika procesów myślowych i poczucie rzeczywistości. W zaborze rosyjskim rzeczywistością wydawała się potęga autokratycznego caratu. W Austrii — ustalony od wieków biurokratyczny aparat państwowy i autorytet osobisty cesarza Franciszka Józefa. Powtarzano chętnie, że siłę Austrii stanowi jej słabość. O Rosji, że gdy Mikołaj II pójdzie za przykładem swego pradziada, i jak tamten dekabrystom, on — tłumom robotniczym krzyknie: — Na kaleni, m i e r z a w c y !¹⁾ — wszelkie pomruki niezadowolnienia umilkną...

W czerwcu otrzymałem od Erazma Piltza list, w którym nastawał, abym przyjechał do Petersburga na letnie miesiące. Jego stan zdrowia wymagał dłuższego wypoczynku. Redakcji groziło zdekompletowanie z powodu urlopów. Dodawał, że taki pobyt w redakcji uważa dla mnie za wysoce pożyteczny.

Równocześnie Kazimierz Kelles-Krauz, korespondent „Kuriera Warszawskiego”, zwierzył mi się, że opuszcza Paryż. Radził, abym ubiegał się o spadek. Kelles-Krauz był pepeesowcem, współpracownikiem londyńskiego „Przedświtu” (Michał Luśnia). Różniliśmy się w przekonaniach politycznych, nie zakłócało to jednak naszych dobrych stosunków koleżeńskich. Napisałem do Piltza, że spędzę lipiec i sierpień w Petersburgu. Równocześnie prosiłem, aby pomógł mi w „Kurierze Warszawskim”.

¹⁾ Na kolana, łajdaki.

TRZY MIESIĄCE W PETERSBURGU (R. 1899)

„Kurier Warszawski”.

W Warszawie, w myśl instrukcji Piltza, złożyłem wizytę p. Lewentalowi, głównemu właścicielowi i wydawcy „Kuriera Warszawskiego”. Rozmowa była treściwa i zwięzła. Oświadczył mi bez ogródek, że kandydaturę moją na korespondenta paryskiego uważa za odpowiednią. Wyjaśnił, czego redakcja wymaga.

— Jakie byłyby pańskie warunki?

Nie byłem przygotowany na to pytanie. Zebrałem się na odwagę.

— Sądzę, że sto rubli na miesiąc?...

Lewental objął mnie doświadczonego, kupieckim spojrzeniem, zastanowił się.

— Zgoda.

Zaprowadził mnie do salonu, przedstawił żonie. Pani Hortensja, znacznie młodsza od męża, zatrzymała mnie na śniadanie. W ten sposób nawiązał się stosunek przyjaźni, który przetrwał aż do jej zgonu.

Gdym wracał do teściowej, u ramion miałem skrzydła. „Kurier Warszawski” i „Kraj”, to były dwie poważne placówki dziennikarskie. Zacząłem równocześnie pisywać do krakowskiego „Czasu”.

Redakcja „Kraju”.

Redakcja „Kraju” w Petersburgu stanowiła bardzo zgrany zespół. Wewnętrzna harmonia była w wysokim stopniu zasługą p. Heleny Piltzowej, — jej praktycznej mądrości życiowej. Nieziszczone tęsknoty macierzyńskie ulokowała w „Kraju”. Uczucie to było tak żywe i bezpośrednie, że udzielało się wszystkim współ-

pracownikom, zarówno redakcyjnym, jak administracyjnym, nawet — rosyjskiemu metrapaźowi, który, łamiąc „Kraj”, stał się przyjacielem Polaków. W redakcji „Kraju” wszyscy współpracownicy byli natchnieni niesłabnącą nigdy w stosunku do pisma ambicją. Własnych dróg szukał niekiedy tylko Czesław Jankowski, poeta utalentowany, dziennikarz o wysokiej kulturze literackiej, encyklopedycznie wykształcony, lecz duch niespokojny. Piltz oceniał należycie jego wartości, nigdy wszakże nie był pewien stałości jego zamysłów. Od czasu do czasu Czesław Jankowski, zrażony do Petersburga i „Kraju”, znikał z redakcji, zakopywał się w swym majątku w powiecie Oszmiańskim... Po kilku tygodniach lub miesiącach zjawiał się z powrotem na Jekateryńskim Kanale, wypoczęty i odświeżony. Czesław Jankowski, Tadeusz Żuk-Skarszewski i Józef Szyszło byli filarami stałego zespołu redakcyjnego; Bohdan Kutyłowski, Józef Gieysztor, Stanisław Hłasko, Zygmunt Rymowicz, prof. Łoś — tylko część swego czasu „Krajowi” oddawali; Władysław Żukowski od czasu do czasu przychodził z cennym artykułem. Erazm Piltz, wiecznie pochłonięty naradami, posiedzeniami i reprezentacją, trzymał w ręku ster, ustalał stanowisko pisma wobec ważniejszych zagadnień i wydarzeń, — podsuwał tematy, inicjował ankiety, wywiady, czuwał nad stosunkami z korespondentami. Olbrzymia większość materiału przychodziła z zewnątrz.

Piltz również wyciągał z pod ziemi potrzebne na prowadzenie pisma środki.

W codziennym trybie pracy redakcyjnej główną rolę spełniała pani Helena Piltzowa. W jej rękach koncentrował się faktyczny sekretariat, lubo nominalnie sprawował go Żuk-Skarszewski, wyborny dziennikarz i utalentowany publicysta, rodem z Krakowa, za którym uparcie tęsknił. Wrócił też po paru latach w rodzinne mury i sprawom ukochanego miasta resztę życia poświęcił. Pogodnym i łagodnym usposobieniem odznaczał się Józef Szyszło, prawy szlachcic ze święciańskiego powiatu, kochany człowiek. W potrzebie umiał być zadzierzystym, w dyskusji — pasjonatem. Zygmunt Rymowicz, brat pani Piltzowej, późniejszy w odrodzonym Państwie Polskim wiceminister sprawiedliwości, — już wtedy mocno zajęty był młodą i przystojną sekretarką administracji. Wzdychał do niej także brzuchaty Kosiakiewicz, gdy bawił w Petersburgu, znosił jej kwiaty bohunowaty Kutyłowski, — ożenił się z nią szczęśliwie Rymowicz. Stałym współpracownikiem i miłym kolegą był Stanisław

Hłasko, prawnik wytrawny i publicysta gruntowny. Prof. Łoś, znakomity gramatyk i Józef Gieysztor, dygnitarz Kolei Rosyjsko-Chińskiej, w „Kraju” kierownik działu gospodarczego, byli współpracownikami poniekąd eksterytorialnymi. Przychodzili do redakcji przeważnie z gotowymi rękopisami, oraz z obfitym materiałem do koleżeńskich dyssertacji. Gieysztora wszyscy lubili, bo niósł z sobą ujmujący uśmiech i beztruską wesołość zapalonego myśliwego.

Bardziej uroczyście witany był Włodzimierz Spasowicz, gdy redakcję odwiedzał. Wszyscy go szanowali i z jego zdaniem wysoce się liczyli. Posiadał charakter niezachwianej prawości, rozum, głębszą wiedzę ugruntowaną, wyśmienicie zrównoważony i przejrzysty. Z najzawilszymi zagadnieniami dawał sobie radę, — rozłupywał skorupę orzecha, — dobywał jądro prawdy. W dyskusjach literackich posługiwał się chętnie przesłankami i cytatami, zaczerpniętymi z Taine’a. Zdecydowany racjonalista, po pracy szukał wytchnienia w arcydziełach naszego romantyzmu. Był przyjacielem Sołowjewa, marzył o braterstwie duszy polskiej i rosyjskiej.

Jako obrońca, Spasowicz cieszył się w rosyjskich sferach sądowych niezwykle poważaniem, mimo że unikał łatwych efektów krasomówczych. Mówił z pewną trudnością, szukając właściwych słów, brzmienie jego głosu bywało chropowate. Zwyciężało niezbite przeświadczenie o słuszności sprawy, której bronił, znakomite oświecenie prawne, argumentacja jasna i nieodparta.

W dziedzinie literatury i sztuki zespół redakcyjny „Kraju” wykazywał skłonności dość reakcyjne. „Młoda Polska” nie znajdowała w tym gronie liczniejszych adeptów. Sprzyjał szczerze nowym prądom Żuk-Skarszewski, z przekory raczej, niż z upodobań — Bohdan Kutyłowski. Dyskusje bywały żarliwe. Umieściłem w dziale literackim felieton o „Protesilasie i Laodamii”, był to pierwszy w „Kraju” artykuł o Wyspiańskim. Recenzja miała ten skutek, że sztab redakcyjny zainteresował się utworem, poemat przechodził z rąk do rąk. Szyszło wystąpił z ostrą krytyką moich wywodów, wsparł go Kosiakiewicz. Po mojej stronie stanął Żuk-Starzewski, — Czesław Jankowski kluczył. Zjawił się niespodzianie Kutyłowski i szalę zwycięstwa na moją stronę przesunął.

Któregoś dnia poczta przyniosła list, adresowany z Monachium. Do listu dołączony był rękopis. Z nazwiskiem autora spotkałem się po raz pierwszy. Jego temperament i język, dziwaczny, lecz barwny, frapowały. Zakwalifikowałem artykuł do druku. Gdy w korekcie doszedł do Czesława Jankowskiego, ten zaczął rwać absalonowe włosy. — Toż trzeba cały ten elaborat przełożyć na

język polski! — wołał. Musiałem stoczyć walkę. Ostatecznie artykuł poszedł do numeru i w ten sposób zadebiutował w „Kraju” Adolf Neuwert-Nowaczyński.

Spory takie, nieraz hałaśliwe, raczej nas zbliżały, niż dzieliły.

Złożyłem manuskrypt mojej pierwszej powieści Piltzowi. Przejrzał go szybko, dał do przeczytania Czesławowi Jankowskiemu. Czekałem werdyktu z łatwo zrozumiałym niepokojem. Wypadł pomyślnie. Aeropag redakcyjny postanowił rozpocząć druk powieści natychmiast, Jankowski posłał pierwsze rozdziały do zecerni. Tymczasem autor nie mógł zdecydować się na tytuł. Szukała go dla mnie cała redakcja, — nie wyłączając metrapaży. Żadna z propozycji nie trafiała mi do przekonania. Nadszedł moment oddania numeru na maszynę. Mając miecz nad głową, zdecydowałem się na tytuł, który nic nie tłumaczył i do tysiący innych powieści mógł być stosowany: „Zmierzch”! Odbitkę książkową nabyła księgarnia polska Grendyszyńskiego w Petersburgu.

Pisarz widzi niedociągnięcia, braki i błędy swego pióra dopiero w druku, autor dramatyczny — na scenie. „Zmierzch” nie zadowolili moich aspiracji.

Praca dziennikarska, terminowa i pośpieszna, mało pożytecznym bywa współnikiem literatury. Literatura, to „alchemia słowa” (Artur Rimbaud), sztuka tajemna, w której kształt, barwa, woń i dźwięk stapiają się w nierozdzieloną całość.

Postanowiłem jak najrychlej napisać powieść lepszą...

Przyjaciele redakcji.

„Kraj” posiadał w polskiej kolonii petersburskiej licznych współpracowników dorywczych. Należeli do nich Boudouin de Courtenay, uczony językoznawca, umysł w stałej temperaturze wrzenia, i Leo Belmont, adwokat, który z zamiłowania był literatem. Belmont nie był pozbawiony talentu; nieopanowana łatwość pisarska czyniła go kulturalnym grafomanem. W sutym jego dorobku wyłowić można, jak na dnie morza, niejedną perełkę, zgubioną w mule gadulstwa. Prof. de Courtenay smarował bez końca sążniste artykuły, redakcje jednak nie kwapiły się do drukowania ich: wypracowania te były rozwlekłe i dość niezdarne, lubo tkwiła w nich zwykle myśl śmiała i wartościowy podkład naukowy. I Courtenay, i Belmont, nie zawsze mogąc swe manuskrypty w re-

dakcji umieścić, szukali cierpliwych, którym by mogli je odczytać. Spotkać się z nimi bywało niebezpiecznie. Prof. de Courtenay nosił rękopisy w kieszeni, Belmont z pamięci potrafił godzinami recytować wiersze własne i tłumaczone.

Raz Belmont zaprosił paru nas na kolację: Szyszłę, Żuka-Skarszewskiego, Kutylowskiego i mnie. Był także prof. de Courtenay i dwie nieznane panie. Ledwieśmy po kieliszku wódki wypili, Courtenay zaproponował, że odczyta mały artykuł, dla którego w żadnym piśmie polskim nie znalazł miejsca. Sądziliśmy, że z powodu treści. Okazało się niebawem, że przede wszystkim z przyczyny objętości.

Nie zważając na dyskretnie przełożenia pani Belmontowej, która niepokoiła się o los swoich wyczynów kulinarnych, profesor ją czytać szybko i monotennie. Czasem milkł na chwilę i wodził po nas wzrokiem krótkowidza, sprawdzając wrażenie. Myśmy nie reagowali w nadziei, że może to autora zniechęci. Silne zdenerwowanie markował Belmont. Aż wreszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, zażądał od profesora, by ograniczył się do ważniejszych ustępów artykułu. Courtenay uraził się, przerwał czytanie. Odetchnęliśmy. Szyszło sięgnął po butelkę z wódką, pocziwe jego oczy spoczęły pieszczotliwie na urozmaiconych zakąskach. Nie troska o kolację wszakże była źródłem zdenerwowania Belmonta. Już trzymał własny rękopis w ręku, już raczył nas parusetwierszowym przekładem z Lermontowa. Courtenay schował swój skrypt, ale wypchany papierami pugilares zostawił przezornie na obrusie...

Sterczeliśmy tak przy stole do trzeciej z rana, tracąc apetyt, nawet ochotę do kieliszka. Gdy Boudouin kończył, wnet Belmont zaczynał. A takie to było zaraźliwe, że — ku przerażeniu Szyszły — Kutylowski w końcu również jakieś kartki z kieszeni wytrząsnął i własne rymy zaprodukował...

Rzadziej odwiedzał redakcję prof. Petrażycki, znakomity badacz filozofii prawa, profesor uniwersytetu petersburskiego.

W niedzielę bywaliśmy zapraszani na obiady do rodziców pani Piltzowej. Ojciec jej, dr. Rymowicz, był naczelnym lekarzem w Zakładach Druków Państwowych. W domu pp. Rymowiczów panowała serdeczna atmosfera dworów polskich na Litwie. Tam zawarłem bliższą znajomość z kuzynem pani Piltzowej, dr. Januszkieviczem. Młody ten psychiatra, — nie liczył jeszcze czterdziestu lat, — był ordynatorem w największym petersburskim szpitalu dla obłąkanych, pod wezwaniem Mikołaja Cudotwórcy. Szpital, obliczony na bardzo znaczną liczbę chorych, mieścił się na krańcach

Jekateryńskiego Kanału, już na peryferiach miasta. Obejmował rozległy kompleks gmachów, otoczonych zaniedbanymi ogrodami.

Dr. Januszkiewicz, jak większość praktykujących psychiatrów, był samotnikiem i dziwakiem. Czas wolny od zajęć szpitalnych spędzał przeważnie w swoich dwóch ciasnych pokoikach. Jeden z nich stanowił pracownię mechaniczną. Januszkiewicz spędzał wieczory, a nierzadko i noce, pracując nad tajemniczym wynalazkiem: podejrzewałem, że jego zamierzenia sięgały w zwodnicze labirynty kwadratury koła i perpetuum mobile. Wysoki, szczupły, o twarzy bladej, okolonej długą brodą, Januszkiewicz posiadał ciemne, płonące oczy czarownika.

— Pomieszanie zmysłów, czyli obłąd — dowodził, — bywa skutkiem choroby lub nadwyrężenia mózgu. Wstrząśnienia psychiczne mogą wzmóc i przynaglić proces chorobowy. Ale tylko w wyjątkowych przypadkach stają się jego genetyczną przyczyną. Ofelii nie uratowałoby prawdopodobnie od obłądzenia szczęśliwe małżeństwo z Hamletem. Możeby tylko katastrofę odwlekło.¹⁾

Ten sam tok myśli znalazłem w wiele lat później w zajmującej książce o „Człowieku nieznanym” prof. Carrel’a. Uczony amerykański stwierdzał, że istota obłądzenia nie została dotąd wyjaśniona. Powodem była trudność dokładnych badań mózgu człowieka żyjącego. Nauka nie łączy dotąd zjawisk fizjologicznych z psychicznymi.²⁾

Szpital dla obłąkanych.

Zwierzylem się Januszkiewiczowi, że bardzo by mnie interesowało przyjrzenie się zbliska trybowi życia w wielkim domu dla obłąkanych. Pragnąłem sprawdzić, w jakiej mierze relacje Poe’go, Barbey d’Aurévilly i Maupassant’a były rzetelne... Januszkiewicz uzyskał pozwolenie od dr. Czeczota, znakomitego psychiatry polskiego, który był naczelnym lekarzem.

Zjawiłem się w szpitalu, kiedy Januszkiewicz wyruszał na ranną inspekcję.

¹⁾ Późniejsze badania ustaliły, że proces myślenia wyraża się w przejawach, jakie dokonują się w komórkach mózgowych pod wpływem drgań elektrofizycznych.

²⁾ Prof. Dryjski: „Dusza i mózg”. (Biblioteka Wiedzy).

Przeszliśmy naprzód oddziały, przeznaczone dla mężczyzn. Chorzy o usposobieniu łagodnym korzystali z dużej swobody, czuwali nad nimi dyskretni dozorczy. Segregowano chorych w pewnej mierze według warstw społecznych, — także według stopnia ich zamożności. Sale były czyste, przyzwoicie umeblowane, wśród snujących się mężczyzn uderzał brak towarzyskiej spójni. Wydawali się wzajem nieufni i podejrzliwi, każdy żył wyłącznie własnym, podnieconym życiem.

Januszkiewicza wszyscy witali wymówkami:

— Panie doktorze! Jestem zupełnie zdrow. Dlaczego panowie mnie nie wypisują?

Niektórzy dorzucali pogroźki o wpływowych krewnych, którzy pociągną dyрекcję szpitala i poszczególnych lekarzy do odpowiedzialności. Szpakowaty pan z bokobrodami zaskoczył mnie pytaniem krótkim i autorytatywnym:

— Czy pan jesteś wysłańcem sultana?

Wyrezył mnie w odpowiedzi Januszkiewicz, objaśniając, że jestem kandydatem na pielęgniarszą. Dygnitarz z bokobrodami odsunął się z wyraźnym obrzydzeniem. Inny chory, młody i głupkowato uśmiechnięty, proponował mi partię bilardu. Pomyślałem, że mógłby biłę z kości słoniowej posłać mi w głowę i grzecznie odmówiłem.

— W takim razie, odpowiedział wytwornie, pójdziemy zapoLOWać na tygrysa. Pozwoli pan tylko, że wdzieję żółte buty.

Większość rozmawiała spokojnie i z sensem. W oczach dygotał wszakże utajony niepokój, który podświadomie i mnie zaczął się udzielać.

Wysoki mężczyzna, lat koło sześćdziesięciu, trzymał się dostojnie z dala. Januszkiewicz szepnął mi, że się uważał za cesarza Aleksandra I.

— Ochrań ma na niego oko. Żandarmi są zdania, że nawet dla wariata takie koncepcje są megalomanią karygodną. Zwłaszcza, że ów chory był tylko farmaceutą.

W tymże samym czasie w Alpach bawarskich, na zamku Hohenschwanggen, przebywał prawdziwy król, któremu wydawało się, że był psem. Tym królem był Otto, brat i spadkobierca tronu po Ludwiku II, który utopił się w pobliskim jeziorze Sternbach. Infantka Eulalia hiszpańska w „Pamiętnikach” opisuje swe odwie-

dziny u królowej matki, która była rodzoną siostrą cesarza Wilhelma I. Król Otto był dla gości niewidzialny. Wieczorem, gdy już wszyscy mieszkańcy zamku kładli się spać, ozwało się rozgłośnie szczekanie, a po tym wycie tak ponure, że w ciszy nocnej przejmowało zgrozą. Zaalarmowana służba skupiła się przed zamkniętą sypialnią króla. Stamtąd wydierało się owo szczekanie i wycie. Naraz umilkło. Od strony wewnętrznej drzwi dało się słyszeć charakterystyczne drapanie psich pazurów. Ktoś otworzył drzwi, król Otto wypęłzył na czworakach, szczekając gwałtownie...

Okropny widok przedstawiały cele, przeznaczone dla furia-tów. Wchodziliśmy tam, poprzedzeni przez rośliwych i barczystych dozorców. W małych klatkach czaiły się potwory ludzkie, w których właściwie już nic ludzkiego nie zostało. Straszne, wygolone głowy, jeszcze straszniejsze oczy. Niektórzy byli doszczętnie obnażeni. Jedni trwali w bezruchu i milczeniu, wpatrując się w nas z dziką nienawiścią, inni witali doktora krzykiem, szlochem i złorzeczeniami. Zaczęły im odpowiadać dalsze głosy. Z początku dorywcze, rosły, aż w kilkudziesięciu celach rozszalał się okropny, szatański sabat. Bładość Januszkiewicza przypominała stearynę. Do koła nas grzmiała rozsadzająca mózgi melopea, niesamowita burza jęków, ryków i łkań. Szliśmy spieszenie przez długie korytarze, za nami — ponurzy dozorczy.

Podczas skromnego śniadania w mieszkaniu Januszkiewicza rozmowa nie kleiła się. Czekwały nas jeszcze oddziały kobiece. Byłbym się ich chętnie wyrzekł, lecz wstydziłem się takiej małoduszności.

Chore witały nas z ciekawością. Na ogół były to postacie wyniszczone przez chorobę, szpetne, — dolegliwie smutne, to znów podniecone i chichotliwe. Młoda i niebrzydka kobieta, widocznie z lepszej sfery, leżała w łóżku. Gdyśmy przechodzili, jęła zrywać z siebie bieliznę, mimo protestów dozorczyń i wabić wyuzdanymi ruchami i śmiechem. Zawiedziona, obsypała nas gradem wyzwisk.

Furiatek nie zastaliśmy w ich pawilonie. Wyprowadzono je właśnie w kilku partiach na południową przechadzkę do ogrodu. Poszliśmy ich szukać. Po drodze nadbiegł urzędnik, wzywając Januszkiewicza w pilnej sprawie do kancelarii. Zostałem na opiece asystenta i dwóch dozorców.

Widok furiatek był odrażający. Otchłań nędzy ludzkiej, beznadziejnego upadku. Otoczyła nas setka tych nieszczęśliwych istot;

towarzyszyły im dozorczyń. Znow rozpoczęły się skargi, uzalania, pogrożki. Zasluchałem się, nie bacząc, że asystent i dozorczy poszli dalej, nagle oddzielił mnie od nich zastęp wariatek. Usiłowałem przejść, one przekornie zastawiały drogę. Jakieś obnażone ramiona z tyłu pochwyciły mnie za szyję, zimny dreszcz zmroził szpik w kościach. Odwróciłem się i prosto w twarz zionął we mnie gorący oddech — bezzębne, spłowiałe usta parły się do moich warg. Dokoła piskliwe wrzaski radości! Asystent spostrzegł mą niedolę, dozorczy rzucili się na ratunek. Gdy mnie zwolnili z uścisku, napół przytomny popędziłem ku wyjściu, dopadłem bramy. Portier otworzył furtkę. Biegłem wzdłuż kanału bez tchu i bez kapelusza. Nieliczni przechodnie zatrzymywali się lękliwie: mniemali zapewne, że ze szpitala wymknął się szaleniec.

Wieczorem Januszkiewicz odniósł mi kapelusz. Mówiliśmy o wrażeniach tego dnia niewiele i półgłosem. On, zamyślony, sma-gał mnie uporczywym wzrokiem czarownika.

W rok później petersburski szpital Mikołaja Cudotwórcy stał się głośnym we wszystkich ośrodkach polskich. Do Petersburga przywieziony został Józef Piłsudski, miał być osadzony w beznadziejnej twierdzy Szlisselburskiej. Jedynym możliwym ratunkiem od tej okropnej turmy była symulacja obłąkania. Dr. Radziwiłłowicz, szwagier Żeromskiego, nadesłał z Warszawy szczegółową instrukcję, jak więzień powinien zachowywać się, aby zostać uznany za chorego umysłowo. Wskazówki doszły ręk przyszłego pierwszego marszałka Polski. Zastosował je tak umiejętnie, że odesłano go na obserwację do szpitala Mikołaja Błogosławionego, do oddziału, przeznaczonego dla najważniejszych przestępców stanu.

Dr. Januszkiewicz proszony był przez znajomych rodaków o przyjęcie do szpitala na poślednią choćby posadę młodego lekarza polskiego, dr. Mazurkiewicza. Januszkiewicz zwrócił się z tą prośbą do dr. Czeczotta. Ten zgodził się. Dr. Mazurkiewicz, meldując się dr. Czeczottowi, jako dodatkowy dokument rekomendacyjny przedstawił oficjalne polecenie ministra spraw wewnętrznych Plehwego. Dr. Czeczott rzucił okiem na pismo ministerialne, nic nie powiedział, lecz chłodniej pożegnał się z młodym lekarzem, który tak wysokie protekcje uzyskał. Na drugi dzień, spotykając Januszkiewicza, rzekł mu z wymówką:

— Ładnych ptaszków poleca mi pan, panie kolego! Ów pański Mazurkiewicz okazał się konfidentem Plehwego...

Januskiewicz był zdumiony, bo osoby, które wstawiały się za dr. Mazurkiewiczem, zasługiwały na zaufanie.

Dr. Mazurkiewicz zaczął w szpitalu ordynować...

Pewnego dnia dr. Januskiewicz asystował Piłsudskiemu, kiedy go pod strażą prowadzono na badanie do ambulatorium. W ambulatorium znajdował się dr. Mazurkiewicz. Januskiewicz pożegnał się z więźniem, poszedł dalej w swoją drogę. W godzinę potem wieść, jak piorun z jasnego nieba! Piłsudski i dr. Mazurkiewicz zniknęli. Przeszukiwano gorączkowo cały szpital. Ani śladu...¹⁾

...Józef Piłsudski i dr. Mazurkiewicz wynurzyli się dopiero po pewnym czasie w Galicji, bezpieczni od „syszczyków” petersburskich.

Januskiewicz milczał o tej sprawie jak grób... I jego i Czczotta bronił od odpowiedzialności list Plehwego.²⁾ Januskiewicz, nieszczęśliwy w życiu osobistym, zawiedzony przebiegiem rewolucji 1905-6 roku, pewnej nocy zastrzelił się.

W ten sam sposób pożegnał się z życiem inny członek redakcji „Kraju”, Józef Szyszło, — zmęczony chorobą, która wydawała mu się nieuleczalną. Januskiewicz był neurastenikiem i mistykiem, Józef Szyszło — uosabiał zdrowy rozsądek, umysłowość nawskroś racjonalistyczną. Zdawało się, dwie najdoskonalej przeciwne sobie indywidualności... I ten sam koniec.

¹⁾ Dzień obrany na ucieczkę, był świąteczny. Część służby szpitalnej korzystała z „wychodnego”, które tym razem zostało udzielone dość szczerze. Pracownicy dyżurujący byli tym więcej zatrudnieni. Na podwórcach kręciło się dużo osób obcych, przybyłych w odwiedziny do krewnych. Panował zamęt. Piłsudski znalazł się w ambulatorium, dr. Mazurkiewicz odesłał strażników, posługaczowi dał jakieś zlecenie. Piłsudski szybko się przebrał i wyszedł wraz z dr. Mazurkiewiczem. Kroczyli wolno, rozmawiając swobodnie. Ile woli musieli napiąć, aby nie przyspieszyć kroku, nie zdradzić niepokoju! Głównym wyjściem nie mogli się wydostać, trzeba było pójść do bramy bocznej. Dr. Mazurkiewicza wciąż zaczepiano po drodze. Odpowiadał, udzielał wskazówek. Każda sekunda groziła śmiercią. Nareszcie brama na ulicę! Zamknięta. Lecz odźwierny poznał lekarza, skłonił się z szacunkiem, otworzył. Przed szpitalem stała jednokonna, zbiedzona dorożka. Piłsudski i Mazurkiewicz, nie spiesząc się, wsiedli. Gdy dojechali do śródmieścia, zatrzymali swego dorożkarza, oczekiwał tutaj na nich rączy „lichacz”. Tym pomknęli „na Wyspy”, gdzie było przygotowane dla zbiega bezpieczne schronienie...

Wszelkie poszukiwania okazały się daremne.

²⁾ Rodzice dr. Mazurkiewicza posiadali sklep z nabiałem, do którego zachodziła niekiedy pani Plehwe, żona ministra. Ona to podobno wymogła na mężu owo zlecenie.

Petersburg.

Pięknem Petersburga była i będzie Newa. „Angielska Nadbrzeżna”, biegnąca wzdłuż rzeki, stała się ulubionym miejscem mych popołudniowych przechadzek. Gdym mijał Pałac Marmurowy, zawsze doznawałem bolesnego uczucia: w tym gmachu, o liniach wyjątkowo szlachetnych, zakończył życie ostatni król polski. Kitowicz opowiada w swych pamiętnikach, jak raz stary król, na przyjęciu w Pałacu Zimowym, znużony i niezdrowszy, usiadł w kątku i zdrzemnął się, Cesarz Paweł dostrzegł to, zmarszczył brwi i kazał śpiącego obudzić. Posłuszny król podniósł się skwapliwie z fotela...

Nie o takim kresie doczesnej wędrówki myślał, gdy jako ambasador Rzeczypospolitej w Petersburgu, z ówczesną następczynią tronu, a późniejszą Katarzyną II snuł swą idyllę miłosną...

Cesarzowa Elżbieta, dla własnych porywów erotycznych pobłażliwa, od synowej wymagała bezspornej cnoty, nie bacząc, że Piotr III zaniedbywał młodą małżonkę i afiszował ostentacyjnie swój stosunek z Elżbietą Woroncówną.

Lecz zakochani — od czasów zamierzchłych — nie znają lęku. Stanisław Poniatowski, lubo z przyrodzenia ostrożny, nie zważał na wywiadowców, którzy strzegli Katarzynę i śledzili każde jego poruszenie.

Z wizytą u następczyni tronu zameldował się raz hr. Hordt, poseł szwedzki przy dworze carskim. Katarzyna przyjęła gościa w salonie, z ulubionym pieskiem bolońskim na kolanach. Piesek rzucił się z wściekłym szczekaniem na szweda, ten bronił się oględnie, nie chcąc wyrządzić faworytowi krzywdy.

Drzwi znów się otwierają, wchodzi Stanisław Poniatowski, młody, urodziwy, doskonale ubrany. Bolończyk zeskoczył pospiesznie z kolan swej pani, biegnie do Poniatowskiego, łasi się, merda wesoło ogonem.

Gdy następczyni tronu na chwilę wyszła z salonu, zostawiając zadowolonego pieska na kolanach Poniatowskiego, dyplomata szwedzki pochylił się do ucha ambasadora Rzeczypospolitej i z lekkim uśmiechem szepnął.

— Ten piesek jest niedyskretny...

Petersburg był kaprysem wielkiego despoty, któremu podobało się stolicę Rosji przerzucić ze środka Imperii w ponurą tundrę północną, na bagniste wybrzeże zatoki. Klimat surowy, niebo sza-

re, częste wichry, krótkie a skwarne lato o chorobliwie bladych nocach... Czemu przypisać, że tylu ludzi, nawet Polaków, przywiązywało się do życia w tym mieście?

Ci, którzy w Petersburgu czuli się dobrze, należeli prawie wyłącznie do warstw uprzywilejowanych. Arystokracja rosyjska opierała się o dwór, biurokracja sprawowała rządy. W Petersburgu decydowały się olbrzymie interesy finansowe, rozwijały swą działalność najpotężniejsze banki. Tutaj, jak w każdym państwie absolutnym, karierowicze, spekulanci, obieżyświaty i wydrwigrosze mieli dogodne żerowisko. Koło nich kręciła się awanturnicza pleć nadobna. Wspaniałe apartamenty, liczna służba, wytworne pojazdy, kosztowne stroje, wyszukana kuchnia, najlepsze wina. A tuż za jarzyscie oświetloną dzielnicą ludzi bogatych, mroczne kwartały odrapanych i brudnych domostw, życie ciężkie i nędzne, nuda i nienawiść. Tam — najurodziwsze kurtyzany, lśniące blaskami klejnotów. W ciemnych, błotnistych zaułkach — lichy odziane prostytutki, żywiące swym procederem często całe rodziny. Chłopi rosyjscy z ubogich gubernii północnych w tym celu zwozili do Petersburga ponętniejsze dziewczęta. Głodującą inteligencję, żywioł w każdym państwie do przewrotowych zabiegów najskłonniejszy, trawił gniew i wzburzenie, Lenin i jego towarzysze organizowali kadry rewolucyjne. Ograniczony umysłowo, słaby i bezradny Mikołaj II tkwił w autokratycznym odosobnieniu. Nie rozumiał uczuć, potrzeb i aspiracji swych poddanych, ufał radom dworskiej kamaryli, opiece ochrony i wierności pułków gwardii. Jak zawodną była ta ufność, okazało się w marcu 1917 r.

W biurokracji rosyjskiej nie brakło jednostek, które nurtowała głębsza myśl państwowa i troska o przyszłość. Można było nie zgadzać się z ich ideologią i metodami, nie można było odmówić uczciwości. Ostatnim takim rosyjskim mężem stanu był Stołypin, i jemu właśnie Mikołaj II najmniej dowierzał. Podobno i słynny nadprokurator Najwyższego Synodu, Pobiedonoscew, przez rewolucjonistów za rosyjskiego Torquemadę głoszony i szczególnie znienawidzony, także wierzył w swoją misję. Z jego małżeńskich przeżyć Tołstoj zaczerpnął wątku do „Anny Karenin”.

Pobiedonoscew był niezachwianym wyznawcą i sługą kościoła prawosławnego. W religii widział jednak raczej czynnik państwowy, niż duchowy. Ułomna natura ludzka wydawała mu się przyczyną wszelkiego zła, Bóg, — w jego pojęciach, — darzył monarchę siłą do utrzymywania zbiorowości społecznej w karbach. Wolność groziła rozpętanem zgubnych namiętności. Konstytucję i sy-

stem parlamentarny uważał za najniebezpieczniejsze dla ludzkości nieszczęście. Ten człowiek właśnie kształtował umysłowość dwu ostatnich cesarzów rosyjskich.¹⁾

Mikołaj II więcej bał się go, niż lubił. Sam minął się całkowicie z powołaniem. Był stworzony na obowiązkowego, niższego urzędnika na poczcie lub w magistracie, wzorowego ojca rodziny. Odsiadywałby sumiennie swoje godziny biurowe, pod wieczór wychodziłby z żoną i dziećmi na przechadzkę, latem w niedzielę i święta łowiłby ryby na wędkę. Na tronie największej Imperii świata czuł się bezradny, ugiął się pod ciężarem dziejowej odpowiedzialności. Nikomu, prócz żonie, nie wierzył, wobec wszystkich był zdawkowo uprzejmy, skryty i nielojalny. Każdy świeżo mianowany minister był zachwycony jego przymilną grzecznością, każdy opuszczał swe stanowisko z goryczą. S. J. Witte, jako minister skarbu, położył wielkie zasługi: uporządkował zaniedbane finanse, doprowadził do skutku kolej transsyberyjską, znalazł źródło olbrzymich dochodów w dobrze zorganizowanym monopolu wódczanym. Jego wolnomyślność nie podobała się w książętom i młodej cesarzowej. W sierpniu 1903 r. Witte otrzymuje z Peterhofu wezwanie, by na zwykły, tygodniowy raport przywiózł ze sobą głównozarządzającego Bankiem Państwowym, Pleskego. Witte się zdziwił, życzeniu uczynił zadość. W Peterhofie Pleske został w poczekalni, Wittego wprowadzono do gabinetu cara. Ten był jak zwykle miłościwy, słuchał raportu życzliwie.

Witte skończył, żegna się. Mikołaj II pyta:

— Przywiózł pan Pleskego?

— Czekaj na rozkazy.

— Niech pan mu powie, żeby wszedł. Prawda, zapomniałem panu powiedzieć: mianowałem Pleskego ministrem skarbu...

Witte zdrętwiał. Cesarz ciągnął dalej uprzejmie.

— Panu wyznaczam przewodnictwo w Komitecie Ministrów.

Stanowisko to było wówczas pozbawione wszelkiej wagi, nie dawało pola do rozwinięcia jakiejkolwiek działalności.

Cesarz patrzył w okno, jak gdyby już myślał o czym innym. Witte wyszedł, w drzwiach zjawił się Pleske...

W parę lat później, po klęskach pod Mukdenem i Cuszimą, Mikołaj musiał prosić prez. Roosevelta o pośrednictwo celem zakoń-

¹⁾ W liberalizujących salonach petersburskich mówiono, że Pobiedonoscew był dla narodu — biadonoscem, dla cesarza — donoscem, dla siebie — rogonoscem.

czenia nieszczęśliwej wojny. Trzeba było wysłać delegata na konferencję pokojową w Portsmouth. Wydało się, że jedynym człowiekiem sposobnym do tej arcytrudnej misji był Witte...

Mentorami Mikołaja II byli starsi wielcy książęta, stryjowie. Jakiż przedstawiali autorytet duchowy?

W. książę Mikołaj Mikołajewicz wyobrażał sobie, że posiadał talent wodza. Jak dalece w tej mierze łudził siebie i innych, okazało się, gdy w roku 1914-tym wybuchła wojna z Mocarstwami Centralnymi i jemu powierzono dowództwo naczelne. Przeszedł go w nieudolności jedynie sam Mikołaj II, kiedy osobiście objął komendę. W. książę Aleksiej Aleksandrowicz, rozrzutny sybaryta, wikłający się w podejrzone spekulacje, jako najwyższy szef floty mniemał, że, niczym Neptun, może rozkazywać morzu. W. książę Sergiusz Aleksandrowicz, generał-gubernator moskiewski, rządził się w drugiej stolicy jak bezwzględny satrapa. Aleksander III musiał przywoływać go do porządku. Raz zatelegrafował mu: — Sergiuszu, nie baw się w cara! Mikołaj II tolerował cierpliwie ekscesy despoty, aż Katajew bombą położył kres tej samowoli.

W. książę Włodzimierz Aleksandrowicz uchodził w rodzinie za wykwintnego znawcę i amatora Sztuk Pięknych: kochał się w balecie i w dobrej kuchni...

Oto świadectwo, jakie wystawił tym północnym Agamemnom ich bratanek, a szwagier Mikołaja II, w. książę Aleksander Michajłowicz, w swoich „Wspomnieniach”.)

Tylko w takim klimacie mógł zdobyć niesamowite wpływy i znaczenie „cudowny starzec”, Rasputin, ordynarny intrygant, opó i porubczyk.

Przeważająca liczba carskich rosyjskich dostojników państwowych składała się od wieków z ludzi, których mało co obchodziło poza własną próżnością i chciwością. Książę Gorczakow, wróg Polaków, który za panowania Aleksandra II wszechwładnie kierował polityką zewnętrzną Rosji, był najdoskonalszym przedstawicielem owego cynicznego sybarytyzmu. Gdy obchodził 84-tą rocznicę urodzin, w godzinach przedpołudniowych zjawiała się w pałacu delegacja urzędników, by w uniżonych komplementach złożyć życzenia. Kanclerz przyjął dygnitarzy łaskawie i w szlafroku.

— Mam panom do zakomunikowania szczęśliwą wiadomość, rzekł z widocznym zadowoleniem.

¹⁾ W. książę Aleksander Michajłowicz: „Kniga Wospominanij”, Paryż, 1933

Ministerialne tuzy nastrożyły uszy. Jakiż to fakt historyczny zakomunikuje im wielki mąż stanu? On grał przez dłuższą chwilę na ich nerwach, aż wreszcie zwierzył się.

— Miałem dziś rano wyborczy stolec...

W rok później, a więc w 85-tym roku życia, bawiąc na kuracji w Baden-Baden, pojechał rozerwać się do Stuttgartu. Hulan-ka skończyła się tragicznie, bo nad ranem znaleziono go bez życia w domu publicznym. Gdy władze policyjne dowiedziały się, kim był rozpustny nieboszczyk, postawiono straż przy zwłokach i nocą pokryjomu przewieziono je do Baden-Baden.

Cnoty mieszczańskie, uczciwość, pracowitość, oszczędność, nie miały w Petersburgu powodzenia. Nauka, literatura, sztuka były przeważnie wrogo do caratu usposobione. Młodzież z wyższych uczelni szła w pierwszych szeregach rewolucji. W dalszych dzielnicach i na przedmieściach, mimo policji i ochrony, tworzyła się w mękach nowa Rosja.

W pałacach śródmieścia wysilały się przemysłne mózgi na wy-
rafinowany zbytek i na olbrzymie, potrzebne nań środki. Uznawa-
no tylko wielkie interesy, choćby kosztem wielkiego ryzyka. W Klubie Angielskim różnice hazardowej gry jednego wieczora sięgały setek tysięcy rubli. Przepadło tam niemało pieniędzy pol-
skich. W biurach ministerialnych praca zaczynała się koło po-
łudnia, kończyła się wcześniej, bo u Cubat'a, Donnant'a lub „Mie-
dwiedzia” czekało śniadanie. Po równie sutym obiedzie teatr, przy-
jęcia prywatne, wreszcie stół zielony... Dokoła rozległych intere-
sów krzątali się przemysłni pośrednicy, t. zw. „chodataje”, bez któ-
rych żadne znaczniejszej wagi porozumienie nie mogło dojść do
skutku. Ci umieli wszędzie dotrzeć i zawsze grubo zarobić.

Bywałem w Petersburgu w paru domach, należących do sfery
wielkich finansów. Przyjęcia olśniewały przepychem i zewnętrz-
nym blichtrzem. Interesy jednak bywały mętne. Czynny udział bra-
ły w nich panie w sukniach od Doucet'a lub Paquin'a, obwieszone
klejnotami od Boucheren'a, Lacloche'a lub Lalique'a. Ile tam było
„agentur obcych”, Bóg jeden wiedział. W spekulacjach finanso-
wych uczestniczyli chętnie wielcy książęta. Wszystko w tym mię-
dzynarodowym kotle petersburskim było do kupienia. Decydowała
cena.

Stefan Niewiarowski, kolega mój ze Szkoły Kronenberga, wdał
się w takie właśnie interesy. Pośredniczył przy zakupie armat

z fabryk angielskich, bawił od szeregu tygodni w Petersburgu, podejmując dygnitarzy wojskowych i cywilnych śniadaniami i obiadami. Pewnego popołudnia wpadł do mnie rozpromieniony.

— Dobijam do brzegu. Jutro próba naszych nowych dział w obecności cesarza i ministra wojny. Sprawa jest przesądzona. Armaty bez konkurencji. Pojutrze będę bogatym człowiekiem i zapraszam cię na obiad, jaki spożyć można tylko w Petersburgu. U Cubat'a.

Gdyśmy się na trzeci dzień zeszli, Niewiarowski oczy miał podkrążone ciemnymi obwódkami, zbiele usta drgały nerwowo.

Jedno z przedstawionych cesarzowi dział podczas próby pękło. Cesarz natychmiast opuścił plac ćwiczeń. Mało brakło, żeby nie aresztowano przedstawicieli fabryki zagranicznej, a wraz z nimi i Niewiarowskiego. Z działem prysły nadzieje na wielkie zamówienie. Niewiarowski zapewniał, że był to łotrowski podstęp zawiedzionego przy rozdawnictwie łapówek generała.

Pocieszałem, jak mogłem, przyjaciela, zaprosiłem na skromnego szyncla do restauracji wiedeńskiej. Pokropiliśmy go pilznerem. Dopiero w kilkanaście lat później, po wybuchu wojny, Niewiarowski ziścił swe plany, odegrał się. I wtedy zaskoczyła go przedwczesna śmierć.

.

W Ermitażu Petersburskim spotkałem się z kolekcją obrazów dziada mojej żony, Bruniego. Były to przeważnie olbrzymie płótna o charakterze dekoracyjnym, w rodzaju Tintoretta i Veroneza, świadczące o wielkim rozmachu, talencie kompozycyjnym i technice malarskiej. Mnie więcej podobały się jego portrety: były na wysokości najlepszej sztuki francuskiej z połowy 19-go stulecia.

Pobył w Petersburgu dłużył mi się. Z radosną ulgą znalazłem się z powrotem w Paryżu.

J E S Z C Z E D W A L A T A W P A R Y Ż U

Quo Vadis.

Francja, urzeknięta aliansem, poddawała się bez zastrzeżeń czadowi rusofilskiemu. Uczucia te bardzo zręcznie umiał podsycać i pogłębiać rosyjski agent finansowy w Paryżu, Artur Rafałowicz, który był bezpośrednio zależny od ministra skarbu Wittego. Już Wysznegradzki, poprzednik Wittego, zaczął pompować dla Rosji oszczędności francuskiego ciulacza. Witte ten zabieg znakomicie wzmocnił. Za pieniądze, ściągnięte z Francji, rozszerzał w Rosji europejskiej sieć dróg żelaznych, budował koleje azjatyckie, ustalał walutę, rozwijał przemysł.

Rafałowicz przyczynił się w wysokim stopniu do spopularyzowania we Francji literatury i muzyki rosyjskiej, rosyjskiego malarstwa i baletu. Zadanie miał ułatwione, bo obiekt był pierwszej klasy.

W tym czasie również stało się głośnym we Francji i w całym świecie nazwisko Henryka Sienkiewicza. Wydawcy miesięcznika „*La Revue Blanche*”, Aleksander i Tadeusz Natansonowie, pochodzący ze znanej warszawskiej rodziny bankierskiej, dali się nakłonić do wydania i lansowania przekładu powieści „*Quo Vadis*”. Wydawnictwa książkowe Natansonów paryskich cieszyły się dobrą opinią.

Przekładu „*Quo Vadis*” dokonał Bronisław Kozakiewicz, syn emigranta z 1863 r., który całe życie spędził w Paryżu i lepiej władał językiem francuskim niż polskim. Jego matka, mimo, iż mieszkała we Francji bez przerwy około trzydziestu lat, nigdy się po francusku nie nauczyła.

Dzieło Sienkiewicza zostało puszczane w obieg z odpowiednim sumptem. Tadeusz Natanson mówił, jakoby koszty wydawnictwa i reklamy sięgały 200 tys. franków. Powodzenie było fenomenalne. Francuskie, a potem i włoskie sfery katolickie, przyjęły „*Quo Vadis*” entuzjastycznie. W pismach wolnomyślnych i radykalnych

natomiast krytyka była uszczypliwa. Dał się wciągnąć do tej akcji nawet Anatol France.

Bardzo czynnym współpracownikiem „Revue Blanche” był wtedy młody, inteligentny dziennikarz, wielbiciel Marksa — Leon Blum, późniejszy szef rządu.

Wanda Landowska.

W tym mniej więcej czasie miałem zaszczyt być świadkiem obrzędu zaślubin młodej pianistki, Wandy Landowskiej z Henrykiem Lwem, początkującym dziennikarzem.

Kandydat do dwóch równocześnie stanów: małżeńskiego i dziennikarskiego pochodził z Lubelszczyzny. Pierwsze nauki pobierał w szkołach żydowskich; w Machabejskich Księgach był biegły. Rozgarnięty i ambitny, starał się, jak mógł, uzupełnić swoje nieco jednostronne wiadomości. Nauczył się pisać po polsku prawie poprawnie i zaraz jał niepokoić redakcje warszawskie próbami swej prozy. Minimalną pomoc otrzymywał od rodziny z kraju. Ale mimo że bieda dokuczała, humor miał wyśmienity, apetyt niezawodny, anegdoty żydowskie opowiadał wybornie.

Wanda Landowska posiadała talent wybitny i rzetelny, żarliwą chęć pracy, wolę zwycięstwa. Rodzina jej była niezamożna. Maurycy Moszkowski, znany wirtuoz i kompozytor niemiecki, który mieszkał podówczas w Paryżu, poznał się na jej talencie. Że był artystą wrażliwym i człowiekiem dobrym, pracował z nią bezinteresownie, polecał bogatym uczennicom, jako korepetytorkę.

W ten sposób Landowska — z trudem i biedą — dawała sobie radę, nie tracąc wiary w przyszłość i ochoty do życia. Spotykaliśmy się czasem wieczorami w kawiarniach na Boul-Mich'u, lub u Flory, na bulwarze St. Germain. Pewnego dnia Landowska i Lew — nie bez zobopólnego zdziwienia — zauważyli, że się kochają. Postanowili czym prędzej pobrać się.

Jak kiedyś śpiewano w „Pięknej Galatei”:

Ty nie masz nic, — ja drugie tyle,

Połączmy nasze majątki dwa!...

Kazimierz Dunin Markiewicz i ja zostaliśmy zaproszeni na świadków uroczystego aktu, który miał się odbyć w merostwie Panteonu. Stawiła się wcale liczna kompania zaprzyjaźnionych pędziwiatrów.

Panna młoda przybyła z matką i narzeczoną. Starsza pani, silnie wzruszona, z przerażeniem spoglądała na niesforne a hałaśliwe towarzystwo. Lwa roznosiło szczęście. Klócił się z woźnymi, biegał po obszernej i brzydkiej sali, robił zamęt nieopisany. Gdy mer spóźniał się, uczuł się dotkniętym i oświadczył, że zrzeka się ślubu. Markiewicz rzucił się za nim, dogonił.

— Nie zwiejesz, bratku! Jesteś Lwem, a tchórzysz? Nie wykręcisz się!

Skruszony Lew ukląkł przed rozżaloną oblubienicą. W tej chwili z bocznych drzwi weszli na podium mer, trójbarwną szarfą opasany i jego sekretarz.

Procedura była krótka. Na zakończenie dygnitarz zwrócił się do młodej pary ze zwyczajową oracją. Markiewicz przerwał mu swywołnym conceptem. Mer skarcił go. Lew stanął w obronie przyjaciela i wolności słowa. Wywiązała się lapidarna wymiana zdań. Dygnitarz zgubił tok swojej elokwencji, zaplątał się i tak rozłożył, że obu awanturnikom surowej admonicji udzielił. Poczym z zadartym nosem godnie wyszedł z sali.

My ruszyliśmy lekkim krokiem na *Boul-Mich*. Ślubne śniadanie odbyć się miało u Boulant'a.

Nowożeńcy, trzymając się za ręce, biegli rączo naprzód. Do mnie przylgnęła matka, dając upust usprawiedliwionym niepokojom.

— Proszę pana, z czego oni będą żyli?

Wanda odwróciła się ze śmiechem.

— Na pierwsze śniadanie będziemy się całowali, na drugie śniadanie będziemy się całowali, na obiad..

Lew przerwał jej z groźnym błyskiem w oczach.

— Na obiad będziemy się też całowali, ale już z przystawkami. I obejmując ramieniem dość opiekłą małżonkę, dodał rzeczowo.

— Ona musi schudnąć.

U Boulant'a czekał nas zarezerwowany stół. Sala huczała młodym, wesołym gwarem. Stali bywalcy powitali nas oklaskami. Markiewicz kłaniał się na wszystkie strony, przyjmując te dowody życzliwości na swój rachunek. I tak zaczął przepijać na wszystkie strony, że zanim podano rybę, już był wstawiony. Nieoczekiwanie zapiał jak kogut. Ze wszystkich kątów odpowiedziało namiętne gdakanie kokoszek. Andrzejewski, milczący i poważny, ryknął jak krowa, tęskniąc za cielęciem. Pstrokoński beczał, niczym owca, gwałcona przez wilka. Odpowiedziały szczekania psów, miauczenia kotów, gulgotanie indorów. Sala zamieniła się w domową me-

nażerię. Przed wejściem do restauracji, na bulwarze, zatrzymywali się przechodnie. Pani Landowska-matka straciła poczucie rzeczywistości. Próbowwała uśmiechać się, chwilami dobywała z siebie ciche kwilenie; trudno było odgadnąć, czy to był udział w zabawie, czy skarga na los.

Odwieźliśmy państwa młodych całą bandą do nowego mieszkania, które wynajęli na przedpieklu paryskim, w pobliżu *Porte Vincennes*. Apartament składał się z dwóch szczupłych pokoi-ków i schowanka, w którym dyskretnie tuliła się kuchenka. Fortepian zajmował lwia część pierwszego pokoju; szeroki, niski tapczan wypełniał drugi. Garderoba i sprzęty gospodarskie kryły się w ściennych plakardach.

Świeżo upieczona mężatka, niesłychanie przejęta nową rolą, zainaugurowała szatę domową, bajecznie kolorową i niewypowiedzianie sugestywną. Znów ozwały się ryki dzikich bestii. Lew z tajemniczych kryjówek wydołał kilka butelek bardzo słodkiego wina. Troski aprowizacyjne miały go w ustroju małżeńskim wyłącznie obciążać. Landowskiej obce były zainteresowania gospodarskie. Lew natomiast wykazał w następstwie dużą inwencję kulinarną, szczególne zamięłowanie objawiając do słodkich zup i nie mniej słodkich sosów. Nie można było sprawić mu większej przyjemności, jak pytając, z czego zupa lub doprawa były przyrządzone. Uradowany odpowiadał:

— Niech pan zgadnie!

Ale najbujniejsza wyobraźnia nie starczyła, by odróżnić ingredjencje, które mieszał, warzył, lub smażył. Wszystko zawsze było słodkie.

Po kłopotliwych pierwszych latach, fortuna uśmiechnęła się młodemu małżeństwu. Moszkowski, opuszczając Paryż, przekazał Landowskiej swoje dobrze płatne lekcje. Zaczęła koncertować. Pod tym względem Paryż bywa terenem opornym. Landowska zwyciężyła, albowiem wpadła na doskonały pomysł głębszej wartości: postanowiła produkować arcydzieła starej muzyki na instrumentach staroświeckich, dla których były stworzone.

Potwierdziła się jeszcze raz znana prawda, że w sztuce powodzenie osiąga nowa idea lub choćby — nowa forma. Zmysł dziennikarski Henryka Lwa zorientował się szybko w materiale propagandowym, jaki tkwił w pomysle żony. Dotarł we wpływowych redakcjach do wpływowych współwyznawców. Talent Landowskiej dokonał reszty. Jej koncerty na klawikordzie stały się szlachetną, światową sensacją. Powodzenie przyniosło rozgłos i dobrobyt.

Paderewski.

Polski świat muzyczny reprezentowali w Paryżu Władysław Górski, wybitny skrzypek, bliski przyjaciel Paderewskiego, — Zygmunt Stojowski, ceniony pianista, kompozytor i pedagog, — i August Radwan, czarujący pianista — salonowiec.

Paderewski rzadko przebywał w Paryżu, lubo u pp. Górskich posiadał stałą siedzibę. Był już wtedy w całym blasku światowej sławy. Jego wyprawy koncertowe po miastach amerykańskich przynosiły olbrzymie dochody. Lokował je w znacznej mierze w kraju, zawsze szlachetnie, ale nie zawsze szczęśliwie. W Londynie cieszył się większym powodzeniem, niż w Paryżu.

Pytano Paderewskiego, czemu przypisuje swoje fenomenalne sukcesy? Odpowiadał, że zawdzięcza je w jednym procencie talentowi, w dziewięciu procentach — szczęściu, a w dziewięćdziesięciu procentach — pracy.

W Stanach Zjednoczonych na praktycznych yankesach niezwykle silne wrażenie wywoływały słone ceny biletów na koncerty Paderewskiego. Zainteresowanie budził człowiek, który tak olbrzymie sumy na estradzie palcami w ciągu dwóch godzin zarabiał.

Autorytet i stosunki osobiste, jakie Paderewski utrwalił sobie w Ameryce, a zwłaszcza przyjaźń, jaką darzył go Wilson, odbiły się bezpośrednio i jakże dodatnio na losach Polski.

J. A. Kisielewski.

Jan August Kisielewski przybył do Paryża w blasku fenomenalnego powodzenia. Odniósł niemal równocześnie triumf w dwóch konkursach, rozślawił się w całej Polsce. Dwie jego sztuki, „Karykatury” i „W sieci”, święciły w teatrach sukces niepamiętny. Buchała z nich gorąca młodość, pęd do bujnego, nieskrępowanego życia, dumne pragnienie wielkości, wzdarda dla małomieszczańskiej meskinerii. Szalone Julki z zapalem obnażały dusze, rzucały spierniczałemu światu zuchwałe wyzwania, ze strony przeciwnej mało kto do walki się kwapił. Młodość w Polsce zawsze była żywiołem uprzywilejowanym, wolno jej było mierzyć siły na zamiary. Z ideologią Kisielewskiego, młodocianą, więc trochę naiwną, można było się spierać, z talentem teatralnym — nie: był niezaprzeczalny.

Kisielewski skończył był właśnie trzecią sztukę, „Sonatę”. Miał lat 23, zdawało się, że polska literatura i teatr zyskały niepospolitą siłę twórczą. On sam był odurzony swym powodzeniem. Jak kiedyś Byron, — obudził się pewnego ranka sławnym. Nosił się górnio, mówił o sobie tajemniczo, o zadaniach sztuki — uroczyście. Zamieszkał w Paryżu u znanej feministki i pisarki, Marii Szeligi, z którą wiązała go przyjaźń. Jej mąż, Edward Loevy był malarzem, środki na utrzymanie czerpał głównie z piórkowych ilustracji, które wykonywał dla Encyklopedii Larousse’a.

Kisielewski zabierał się wciąż do dalszej pracy, opowiadał o nowych pomysłach, nie precyzując ich bliżej. Pewnego dnia oznajmił, że wyjeżdża do Bretanii. Zdziwiłem się, bo koniec zimy słotny był i chłodny.

— Szukam samotności, żeby pisać. Mam dosyć wielkomiejskiego zgiełku. Wrócę, gdy skończę.

Wrócił po trzech dniach, jeszcze silniej rozstrojony.

Były to pierwsze objawy choroby, która powoli, z chwilowymi przejaśnieniami, miała go naprzód pozbawić zdolności do tworzenia, a później — świadomości.

Kilka lat wcześniej literaturę francuską dotknął wypadek analogiczny. Zaświecił olśniewający talent poetycki Artura Rimbaud. Od czasu Beaudelaire’a i Verlaine’a żaden z poetów nie wywarł tak piorunującego wrażenia. Potęgowała je okoliczność, że twórca miał 18 lat.

Rimbaud dał się pociągnąć złym wpływom i nieszczęsnym skłonnościom, — tym samym, które w Anglii złamały Oskara Wilde’a. By uniknąć przykrości i niesławy, Rimbaud wsiadł w Maryili na okręt i rozpoczął włóczęgę, która miała trwać kilkanaście lat. Miał tworzyć dalej tak piękne poematy, jak „Okręt Pijany”,¹⁾ jał wałęsać swój niepokój wewnętrzny po wybrzeżach Morza Czerwonego, przymierając głodem w Adenie, prowadząc w Harrarze przemytniczy handel bronią i niewolnikami. Pisywał już tylko listy kupieckie i memoriały do władz kolonialnych. Olśniewający meteor zgasł.

Kisielewski po pierwszych trzech sztukach nic już nie napisał, co by było godnym jego talentu.

Edward Loevy wymalował jego portret olejny, dziwacznie ujęty. Kisielewski, odświętnie ubrany, leży niedbale na niskiej

¹⁾ Przekładu polskiego dokonał Miriam-Przesmycki.

otomanie, jak odaliska. Na pierwszym planie świeciły ciemnym blaskiem nowiuteńkie lakierki.

Antypodem Kisielewskiego był Edward Wittig, stypendysta Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. Ten wiedział, czego chciał i nic nie było w stanie zatrzymać go w drodze. Do Paryża przybył, żeby uczyć się i pracować, na nic innego nie miał czasu, ochoty i środków. Bez żadnych stosunków i protekcji dostał się do pracowni Charpentier’a, później dotarł do Bourdelle’a i Rodin’a. Wittig był wzorowym przykładem, co może osiągnąć — nawet w trudnych warunkach — talent, gdy się oprze na twardej woli i pracy.

Wakacje w Paramé. Adieu Paris!

Rok 1900! Wielka Wystawa Powszechna! Dwa nowe Pałace Sztuki, na Sekwanie — wspaniały most Aleksandra III-go. Dobry przykład dla tego rodzaju przedsięwzięć: niech pozostanie miastu nagroda za wysiłek. Tłumy rodaków, ciągle odwiedziny. Do Parc-St. Maur przybył na kilka tygodni Henryk Sienkiewicz z córką i synem. Pierwszy raz zetknąłem się z wielkim pisarzem. Panna Sienkiewiczówna (późniejsza pułkownikowa Korniłowiczowa) i jej przyjaciółka, panna Abakanowiczówna, były wówczas podlotkami. Oprowadzałem je po zgiełkliwych zaułkach Wystawy. Sensacją były pantominy Charlotty Wiehe („Ręka”), japońska sztuka aktorska Saddy Iacco, cudowne gitany z Grenady i Cordoby w „La Feria”....

Na letni wypoczynek uciekłem z żoną i synem do Paramé, pod Saint-Malo, w Bretanii. Wróciłem do Paryża z rękopisem drugiej i ostatniej swojej powieści, — „Pani Juli”. Nabył tę powieść Jan Gadomski, autor „Larika” dla „Biblioteki Dzieł Wyborowych”, która wydawała co tydzień nową książkę w nakładzie kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy. Drugie wydanie „Pani Juli” ukazało się w r. 1910, nakładem Tow. S. Orgelbranda Synów.

Następne lato (1901) przebyłem również w Paramé. W początkach lipca otrzymałem od Erazma Piltza z Petersburga depezę z wiadomością, że przyjeżdża z żoną i Włodzimierzem Spasowiczem.

Erazm Piltz przechodził wówczas silną depresję psychiczną. Kampania, jaką prowadziły przeciw polityce ugodowej z jednej

strony — Narodowa Demokracja, z drugiej — Polska Partia Socjalistyczna, nabrała szczególnej ostrości.

Uniwersytet warszawski stał się terenem ustawicznych manifestacji i zaburzeń o charakterze radykalno-patriotycznym. Podnieciła je nikczemna prowokacja ze strony rektora Karskiego, który w imieniu Uniwersytetu Warszawskiego — z powodu położenia kamienia węgielnego pod pomnik Murawiewa-wieszatiela w Wilnie, — wysłał następujący telegram gratulacyjny:

— „Duszą łączymy się z uroczystością podjęcia budowy pomnika dla wielkiego męża Rosji, który wyzwolił kraj Północno-Zachodni z niewoli polsko-katolickiej i utwierdził przeświadczenie, że kraj ten był i jest czysto rosyjski”.

Demonstracje młodzieży uniwersyteckiej wywołały surowe represje ze strony władz administracyjnych. Młodzież podzieliła się na dwa główne odłamy: narodowo-demokratyczny i socjalistyczny. Oba zaciętą prowadziły walkę z ugodą. Piltz był wystawiony na nieustanne ataki, ponieważ uważano go za *animamovens* Stronnictwa Polityki Realnej, które zasadniczo sprzeciwiało się nadmiernej roli młodzieży w życiu politycznym.

Piltz pracował w tym okresie nad publikacjami większych rozmiarów, oświetlających z jego punktu widzenia działalność „Stronnictw Skrajnych”.

Warunki walki nie były równe, bo organy polityki realnej: „Kraj”, „Słowo” i świeżo założony przez Kosiakiewicza i Straszewicza „Kurier Polski” zachowywały w metodach polemicznych miarę, ich przeciwnicy natomiast nie wahali się przenosić porachunków na grunt osobistych oskarżeń, nieraz dotkliwie zelżywych. Jeden z organów narodowo-demokratycznych pomieścił wiadomość, że Erazm Piltz został przez studentów pobity na ulicy. Wiadomość była zmyślona, Piltz zażądał sprostowania. Najbliższy numer owego pisma podał je tak: — „Nasza wiadomość o pobiciu p. Erazma Piltza przez studentów okazała się *p r z e d w c z e s n ą*”.

Gdy w tym czasie powstała w Warszawie Kasa Literacka, Piltz ofiarował nowej instytucji pakiet cennych papierów publicznych. Komitet Kasy odmówił przyjęcia daru.

Nie trudno zrozumieć, jak oplakany musiał być w tych warunkach stan nerwów człowieka, który życie swe poświęcił sprawom publicznym. Spasowicz namówił go do wyjazdu zagranicę.

Znalazłem im przytulną siedzibę, i gdy przybyli, niemal codziennie popołudniu odwiedzałem. Z Piltzem trwały ciągle dyskusje polityczne, ze Spasowiczem — literackie.

Któregoś dnia p. Piltzowa zaprosiła żonę i mnie na śniadanie. Gdyśmy wstali od stołu, Spasowicz pociągnął Piltza i mnie do swoich pokojów. Obaj starsi panowie byli cokolwiek uroczyści.

Spasowicz zwrócił się po chwili do mnie z przemową, że pobyt w Paryżu dał mi już to, co potrzebne było polskiemu dziennikarzowi i literatowi, że należało wyrwać się z cyganerii. Nadeszła pora, bym przeniósł się na inną placówkę.

Zaniepokojony, spytałem:

— Gdzie?

— Do Berlina.

Ten projekt nie nęcił mnie wcale. Czułem się coraz lepiej w Paryżu, od jesieni mieliśmy się przeprowadzić do większego mieszkania, w redakcji „E c h o d e P a r i s” miałem przyrzeczony stały referat spraw słowiańskich.

Zabrał głos Piltz, wysunął szereg innych argumentów. Bronilem się jak mogłem, lecz w końcu dałem się przekonać.

Stosunki polsko-niemieckie stawały się coraz bardziej napięte. Komisja Kolonizacyjna wzmagala ofensywę. Walka o język polski w szkołach poznańskich, pomorskich i śląskich zaogniała się. Posterunek dziennikarski w Berlinie nabierał wagi.

...Jeden z tygodników warszawskich zamówił u mnie nowelę. Chodziłem rankami na pustynną plażę *R o t h e n e u f* i pisałem, leżąc na nadbrzeżnych skałach. Zdybał mnie Spasowicz, który przypadkiem tam zabłądził. Opowiedział o spotkaniu Piltzom, pani Helena zaproponowała, bym nowelę przeczytał.

Napisałem ją w formie dialogu. W Paryżu tę formę spopularyzowali Gyp i Lavedan.

Gdym skończył czytanie, Spasowicz rzekł:

— Pańska nowela powinna być wystawiona na scenie.

Piltz, wiedziony instynktem redaktora, zapytał:

— Ma pan tytuł?

— „Piękna Ogrodniczka”.

W miesiąc później bawiłem w Warszawie. Na niedzielnym zebraniu u Konara, zwierzyłem się przyjaciółom, że spłodziłem jednoaktówkę. Ferdynand Hoesick, zaprzyjaźniony z ówczesnym dyrektorem teatru Rozmaitości, Romanem Żelazowskim, podjął się pośrednictwa. Posłałem rękopis. Na drugi dzień Żelazowski odwiedził mnie w hotelu i oznajmił, że „Piękną Ogrodniczkę” wprowadzi na repertuar w sezonie zimowym. Taki był wtedy stosunek dyrektorów do początkujących autorów.

Pierwsze kroki.

Przy instalacji w Berlinie, najsukuteczniejszej pomocy udzielili mi przyjaciele z wczesnych lat, — Michał Wywiórski. Z Monachium, gdzie dłużej mieszkał, ścigał go Fałat do Berlina, do współpracy przy panoramie „Berezyńy”. Robota była żmudna i długa. W jej toku Wywiórski zakochał się w powabnej Niemce, poślubił ją i bez większego trudu dał się przekonać do pozostania w Berlinie na stałe.

Wojciech Kossak wciągnął go do „Samosierry”. Pojechali razem na dłuższe studia do Hiszpanii, zbadali dokładnie teren historyczny sławnej szarży. Kossak, w pełni męskiej urody i niepowściągliwej radości życia, swe studia i na ciemnookie hiszpanki rozszerzył. Wywiór badał sumiennie przedniejsze gatunki win andaluzyjskich.

W Berlinie jego krajobrazy, szczere i bezpośrednie, znajdowały chętnych nabywców. Schultze i inni handlarze sztuki ubiegali się o nie, w Wielkopolsce Wywiórski stał się ulubieńcem pałaców i dworów wiejskich. W bardziej zaprzyjaźnionych miał zarezerwowany pokój; w szafie czekały cierpliwie na miłego gościa butelki czerwonego Bordeaux i lekko gazującego Moselu.

Fałat już był z Berlina wyemigrował. Cesarz Wilhelm II, będąc następcą tronu, osobiście go wyróżniał. Ciągnął z sobą na polowania, zapraszał na rodzinne kolacje, przy wielkich kamiennych kuflach z najwyborniejszym piwem monachijskim wszczynał długie rozmowy o sztuce. Były to przeważnie monologi gadatliwego i zarozumiałego Hohenzollerna, który mniemał się nowoczesnym Medyceuszem. Berlińczycy mówili o nim nie bez ironii:

— Gott weiss alles, aber unser Kaiser weiss es besser!

Zamiast pierwszych słów hymnu cesarskiego „Heil Dir im Siegeskranz, nucono:

— „Heil Dir im Sonderzug”!
czyniąc aluzję do podróży monarchy.¹⁾

Fałat objął kierownictwo Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, cesarz Wilhelm II jął wyróżniać Wojciecha Kossaka. Stosunek ten ułatwiała okoliczność, że Kossak był oficerem armii cesarsko-królewskiej, akredytowanym przy ambasadzie austriackiej w Berlinie. Lecz Kossak również nie wytrzymał długo nad Szprewą. Gdy cesarz Wilhelm zaproponował mu, aby wyjechał ze sztabem gen. Waldersee do Chin, odmówił. Monarcha uczuł się dotknięty. Znakomity batalista przeniósł się do Wiednia, a ze swych czasów berlińskich spisał i wydał interesujące pamiętniki.

Pracę dziennikarską na nowym posterunku zainaugurowałem obszerną ankietą na temat, jak żyje, pracuje i zarabia robotnik polski na terenie Rzeszy. Zacząłem od Zagłębia Ruhry i Westfalii. Zwiedziłem Essen, Düsseldorf, Dortmund, Bochum i cały szereg mniejszych ośrodków przemysłowych. Głównym organem polskim w tym okręgu był „Wiarus Polski”, który wychodził w Bochum, a którego redaktorem był Brejski.

Potem udałem się na Górny Śląsk. W Katowicach zetknąłem się z Korfantym i Kowalczykiem, w Bytomiu — z Napieralskim. Ku jednemu celowi dążąc, ci bojownicy o polskość Śląska byli wzajem zaciętymi wrogami. Napieralski, — redaktor naczelny bytomskiego „Katolika”, podporządkowywał się wskazaniom duchowieństwa, zaś duchowieństwo katolickie na Śląsku, w znacznej większości niemieckie, podlegało dyrektywom katolickiej partii Centrum, która broniła wprawdzie interesów religijnych ludności polskiej, lecz nie uznawała jej interesów narodowych. Niektórzy

¹⁾ Księżna na Pszczynie (von Pless) rodem Angielka, zaprzyjaźniona w jednakiej mierze z królem Edwardem VII-ym, jak z cesarzem niemieckim a pozostająca w stałych stosunkach towarzyskich ze wszystkimi dworami Europy i z arystokracją wszystkich krajów, — w swych pamiętnikach „Taniec na wulkanie” pisze, że Wilhelm II (któremu historia nadała przydomek „Ostatni”) posiadał umysł żywotny i bardzo pobudliwy, o dużej rozpiętości zainteresowań. Jego próżność wszakże była nienasycona, brakło mu stałości charakteru, wyższego poczucia lojalności i taktu. Mniemał, że był przez współczesność niezrozumiany i niedoceniany. Król Edward VII, rodzony brat jego matki, nie znośił go. O cesarzowej niemieckiej księżna Daisy v. Pless wyraża się ostrzej. „Była to pocziwa, dobra i łagodna krowa. Rodziła cielęta, skubała trawę, potem kładła się i przeżuwała. Oczy jej nie wyrażały żadnych uczuć: były zawsze szklane. Uosabiała ideał, który jej małżonek ujmował w słynnym aforyzmie o najcenniejszych zaletach kobiety niemieckiej: Kinder, Kirche, Küche.

księża niemieccy na Śląsku, należący do Centrum, łączyli się jawnie z hakatą. Korfanty, założyciel i redaktor „Górnoślązaka”, rozumiał, że aby zjednać robotnika śląskiego dla postulatów narodowych, trzeba było także bronić go przed wyzyskiem ze strony pracodawców niemieckich.

Jeden i drugi, Korfanty i Napieralski, położyli dla sprawy narodowej wielkie zasługi. Korfanty nierównie wydatniejsze, niż Napieralski. Płonął w nim temperament bojowy. Walkę z klerem niemieckim prowadził w sposób bezwzględny.

W dwa lata później spotkałem się z nim ponownie w Krakowie. Bawił tam przez parę miesięcy z narzeczoną celem uzyskania ślubu kościelnego, którego na Śląsku odmawiało mu zawzięte duchowieństwo niemieckie.

.....
Nastrój sfer dworskich, politycznych i prasy w Berlinie był antypolski. Po krótkich rządach ks. Hohenlohego, kanclerzem został ks. Bülow, wytworny pięknoduch, mierny polityk. Ministerstwem Spraw Zagranicznych kierował głównie Holstein, dawny współpracownik Bismarka, „szara eminencja” berlińska. Ten, prawie ślepy, o wszystkim najlepiej wiedział, choć prawie nic nie widział. Nie wysuwał się nigdy na pierwszy plan, nie spotykano go w salonach ani na przyjęciach dworskich. Gdy cesarz objawił chęć poznania człowieka, który uchodził za najlepszego znawcę zagadnień polityki zagranicznej, okazało się, że Tayllerand pruski nie posiadał fraka. Wilhelm II pozwolił mu przyjść w czarnym surducie. Ale do zbliżenia nie doszło. Holstein, przy księciu Bülowie, jako kanclerzu Rzeszy, w dziedzinie spraw zagranicznych był instancją rozstrzygającą, chociaż ukrytą. W pałacu kanclerskim na Wilhelmstrasse równie go wszyscy nienawidzili, jak go się obawiali. O wszystkim zawsze najdokładniej wiedział, komunikował się jedynie z paroma głównymi współpracownikami, zresztą drzwi jego gabinetu były szczelnie zamknięte, niedostępne nawet dla ambasadorów największych mocarstw i dla książąt Rzeszy. Mogłi się z nim porozumiewać tylko listownie.

Holsteina można było jednak spotkać wieczorem, gdy wolnym krokiem przemyskał z Wilhelmstrasse do restauracji Borchardta. Tam opychał się smakołykami, które były specjalnością tej restauracji, wypijał butelkę wina, najczęściej szampańskiego, — i wracał do pałacu kanclerskiego, by większą część nocy spędzić przy pracy.

Ks. Bülow był wykształcony literacko i artystycznie, muzyczny, błyskotliwie wymowny. Umysłowość posiadał lotną i mało gruntowną. Łudził się, że kieruje polityką Niemiec: w istocie robił zazwyczaj to, do czego zniewalał go jawnie lub skrycie Holstein, albo co nakazywał cesarz.

W psychice niemieckiej, mimo haseł polakożerczych, nie wygasło wtedy jeszcze odziedziczone po przodkach poszanowanie prawa. Walka na tym terenie stawała się nierzadko dla rządu kłopotliwą, trybunał lipski bywał w interpretacji ustaw nieustępliwy.

Czołowi juryści poznańscy, — Wojciech Trąmpczyński, ks. prałat Sztychel, Roman Komierowski, Witold Skarżyński, Zygmunt Dziembowski, polemista cięty i niebezpieczny, Bernard Chrzanowski, — wywlekali na forum parlamentarne każde nadużycie władzy pruskiej, niepokoił opinię. Prezesem Koła Polskiego był Ferdynand ks. Radziwiłł, ordynat na Antoninie w W. Ks. Poznańskim, i na Ołyce — na Wołyniu rosyjskim. Starszy brat jego, ks. Antoni, ordynat na Nieświeżu, był generałem pruskim, ściśle z dworem berlińskim związanym. Ks. Ferdynand bywał nieraz w trudnym położeniu: nie łatwo było w tych czasach godzić lojalność wobec dynastii z patriotyzmem polskim. Wybitniejszego talentu krasomówczego nie posiadał, wywierał jednak niekiedy na trybunie żywsze wrażenie, niż lepiej uzdolnieni inni posłowie polscy.

Pamiętam jedno takie jego wystąpienie. Przemawiał w sprawie wrzesińskiej. Opowiadając o krzywdach, wyrządzanych przez nauczycieli pruskich diatwie polskiej, tak się w pewnym momencie wzruszył, że zabrakło mu słów. Zamilkł. Duże łzy potoczyły się z oczu. Obojętną i hałaśliwą salę obrad zaległa głęboka cisza. Wzruszenie białowłosego księcia udzieliło się całemu zgromadzeniu.

.....
Stefan Cegielski, szambelan papieski, poseł na oba sejmy, Rzeszy i pruski, wiceprezes Polskiego Koła Parlamentarnego w Berlinie, był mężem zaufania wielkopolskiego mieszczaństwa zachowawczego. Należał do patrycjuszowskiej rodziny poznańskiej; od wczesnych lat zajmował się niemal wyłącznie sprawami publicznymi. Stąd dużo przesiadywał w Berlinie.

Z przekonania był zdecydowanym konserwatystą. Wieloletnie stosunki przyjaźni łączyły go z ks. arcybiskupem Stablewskim, w starszym pokoleniu mieszczaństwa poznańskiego posiadał liczne

rzesze życzliwych. Młodszym żywiołom bliższy był Bernard Chrzanowski, który zasłużył się szczególnie na polu szkolnictwa polskiego i akcji oświatowej.

Cegielski, zaprzyjaźniony z całym ziemiaństwem Wielkopolski, lubił dobrze zjeść i wypić, a tak wybornym był znawcą win węgierskich, że Cichowicz, najpoważniejszy w Poznaniu tych win dostawca, na jego orzeczeniach bezapelacyjnie polegał. Bernard Chrzanowski, w życiu osobistym skromny i abnegat, był intelektualistą o niezawsze dostatecznym poczuciu rzeczywistości. Interesował się literaturą, utrzymywał stosunki z Młodą Polską, był entuzjastą Wyspiańskiego.

Kto nawiązał przyjaźń z Cegielskim, ten zbliżał się automatycznie do grona jego przyjaciół. Stanowili je w pierwszym rzędzie Zdzisław ks. Czartoryski, Józef Kościelski, Karol Szczaniecki, Zygmunt Dziembowski. Pod względem kultury umysłowej górował w tym towarzystwie Józef Kościelski. Jego żona, najstarsza córka Jana Blocha z Warszawy, odznaczała się w jednakiej mierze urodą, intelektem i wykwinnym obejściem salonowym. Słusznego wzrostu, kształtna, zawsze świetnie ubrana, w tym czasie miała niepokojący powab róży wrześnieowej. Kościelski był jednym z bardziej czarujących ludzi, jakich w ciągu mego życia spotkałem. Z polityki czynnej wówczas już się wycofał: pozostał mu jedynie wirylny fotel w pruskiej Izbie Panów.

Prezesem Koła Polskiego w Berlinie został w r. 1890, kiedy cesarz Wilhelm II, objąwszy tron, odwrócił się od Bismarka i po nieudalym eksperymencie z Hohenlohem, powierzył kanclerstwo Capriviemu. Zdawało się, że inny wiatr powiał. Caprivi okazywał niechęć do pruskiej polityki agrarnej, uchylał cła ochronne, wysuwał na pierwszy plan interesy wolnego handlu i ekspansji przemysłowej.

Kościelski wraz ze swymi przyjaciółmi mniemał, że nadeszła dla Polaków sposobność do uzyskania koncesji i ulg. Zainicjowana przezeń „ugoda parlamentarna”, wzamian za poparcie przez Koło Polskie rządowych projektów rozbudowy floty, miała przynieść Wielkopolsce złagodzenie warunków bytu.

Szersze warstwy polskie, wierne tradycjom Wolniewicza i Niegolewskiego, nie dały się pociągnąć optymizmowi, który głównie opierał się na osobistym stosunku cesarza do Kościelskiego. Stosunek ten w pierwszym momencie był tak zażyły, że Wilhelm II zaprosił Kościelskiego na roczną wycieczkę na fiordy norweskie. W kołach dworskich takie zaproszenie uważane było za akt szcze-

gólnego wyróżnienia. W apartamentach berlińskich pp. Kościelskich gromadziła się arystokracja niemiecka, sfery dyplomatyczne, elita stolicy nadszprewiańskiej. Ale nadzieje na zmianę kursu wobec ludności polskiej zawiodły. Kościelski dał wyraz swej goryczy w słynnym przemówieniu, wygłoszonym we Lwowie. Buńczuczny cesarz nie pozostał dłużnym w odpowiedzi. W Malborku rzucił rękawicę Polakom.¹⁾ Bańka ugody prysła, Caprivi otrzymał dymisję, do władzy doszedł Bülow. Ten uznał za słuszne podjąć walkę o duszę polskiego dziecka. Wprowadził w szkołach wielkopolskich język niemiecki do nauki religii. Działwa odpowiedziała strajkiem. Nauczyciele usiłowali przełamać opór dzieci głodem, pięścią i kijem. Sprawa wrzesińska wzburzyła opinię całego świata.

Jaką wartość przedstawiała owa przelotna, a z chwilowego interesu zrodzona życzliwość Wilhelma II do Polaków, objawia fakt, cytowany w „Listach” księżnej Antoniowej Radziwiłłowej, z domu Castellane.²⁾ W roku 1904-m, na uroczystościach berlińskich z racji ślubu kronprinca, cesarza Mikołaja II-go reprezentował jego młodszy brat, książę Michał Aleksandrowicz. Cesarz Wilhelm bardzo go wśród dostojnych gości wyróżniał, zaś w dłuższej poufnej rozmowie przestrzegał przed jakimikolwiek ustępstwami na rzecz Polaków. Niepokoiły go zwłaszcza pogłoski o zamiarze udzielenia Królestwu Polskiemu autonomii narodowej. Groził jakoby w tym wypadku wkroczeniem do Królestwa wojsk niemieckich.

Państwo Kościelscy zlikwidowali apartamenty berlińskie i wrócili do Miłosławia. Wspaniałe te dobra odziedziczył Kościelski po stryju, słynnym Seferze-paszy, który w Turcji osiągnął wielkie stanowisko i fortunę. Józef Kościelski odtąd już w życiu politycznym czynnego udziału nie brał. Za to z gościnnego pałacu miłosławskiego stworzył ośrodek polskiego życia kulturalnego o wysokim poziomie. Odślonięcie pomnika Słowackiego w parku miłosławskim ściągnęło niezwykle liczne grono wybitnych przedstawicieli myśli i kultury polskiej z trzech zaborów.

Okrom walki o polskość młodych pokoleń, społeczeństwo poznańskie musiało wytrzymać jeszcze inną, niemniej uporczywą, — na terenie gospodarczym. Napór niemczyzny na tym froncie był suto wspierany przez rząd. Wysiłki, podjęte przez Libelta, a zwłaszcza przez Marcinkowskiego, kontynuowali ks. Wawrzyniak, nie-

¹⁾ „Polska bezczelność znowu naciera na Niemców. Jestem zmuszony nawoływać mój lud do obrony naszych dóbr narodowych”.

²⁾ Lettres de la princesse Radziwill (1889—1914) Paris, Plon.

zmordowany organizator Spółek Zarobkowych, Maksymilian Jackowski, patron Kółek Rolniczych i liczni inni działacze wielkopolscy.

Z ks. Wawrzyniakiem nie jeden wieczór spędziłem w Berlinie i w Poznaniu. Był to niepospolity *businessman* w sutannie, człowiek wielkiej energii, wytrwałości i pracowitości. Tym się różnił od zwykłych groszorbów, że nie dla siebie o zysk zabiegał, lecz o dorobek społeczny. Osobiście był nader skromnych wymagań.

Nowy typ polskiego duchownego upowszechniał się w Wielkopolsce i na Pomorzu. Wzorem księży wiejskich w Bawarii, nasi kapłani w zaborze pruskim jeli opiekować się nie tylko duszami powierzonych im parafian, ale także pomyślnością ich gospodarki doczesnej. Spełniali równocześnie obowiązek religijny i narodowy, broniąc polską ludność wiejską i miejską od zniemczenia i od zubożenia, które zachęcało do wychodźstwa. Ks. arcybiskup Stablewski popierał te usiłowania, w otaczających go prałatach umiał dobierać sobie gorliwych pomocników.

Kółka Rolnicze, którym przewodniczył patron Maksymilian Jackowski,¹⁾ skutecznie spełniały swą rolę. Patron był wtedy już starcem osiemdziesięcioletnim, lecz trzymał się dziarsko. W południe rad dzielił się z gościem kieliszkiem wybornej nalewki, jaki codziennie o tej porze „dla konkokcji żołądka” wychylał.

W walce z hakatą polskie mieszczaństwo i polscy włościanie znaleźli w polskich duchownych troskliwych i wytrawnych opiekunów. Polski stan kupiecki wzmacniał swój stan posiadania, wypierając niepożądaną konkurencję. Gdy w 1867 r. polskie kupiectwo w Poznaniu obejmowało 16,5 proc. ogółu ludności, w 1882 r. już dosięgło 42,5 proc.

Akcja kolonizacyjna rządu pruskiego wywołała również przewrót w gospodarce większej własności polskiej. Szlachta wielkopolska wzięła do serca szyderstwa Bismarka, który panom polskim na pociechę po utracie ziemi radził szukać szczęścia w Monte Carlo.

¹⁾ Patron Maksymilian Jackowski pouczał rodaków, że „zbrojnego powstania chwycić się można tylko przy nader sprzyjających okolicznościach, pewniejszą zaś drogą wśród przeszkód do odzyskania niepodległości jest ciągle a spokojne rozwijanie się w cnotach obywatelskich i rodzinnych, pilne strzeżenie wiary ojczyznej, tak samo zachowanie języka, obyczajów, podnoszenie bytu gospodarczego, utrzymanie ziemi, nieustanny postęp w oświacie i przestrzeganie godności narodowej”.

Obywatele polscy stali się rolnikami zabiegliwymi i oszczędnymi. Zamożność wzrosła. Ustawy wyjątkowe w zaborze pruskim podniosły odporność polską. Zakusy rusyfikacyjne w Królestwie Kongresowym wzmogły i zaostrzyły patriotyzm polski. Takie bywają skutki ucisku.

Kolonia polska w Berlinie była liczna (rachowano ją wraz z przedmieściami na sto tysięcy głów). Składała się prawie wyłącznie z robotników, rzemieślników i drobnych kupców. Młodzież polska przeważnie omijała Berlin, kierowała się raczej do uniwersytetów w mniejszych miastach Rzeszy, gdzie życie było tańsze i spokojniejsze; malarze skupiali się w Monachium. Na Uniwersytecie berlińskim studiowała w tym czasie garstka Polaków, — szczuplejsza wszakże niż przed laty, kiedy wśród niej były tak wybitne jednostki, jak Wojciech Korfanty, Marian Seyda, Władysław Rabski, Karol Rzepecki... Literaturę polską reprezentował godnie w Berlinie prof. Aleksander Brückner. Zapracowany, słabego zdrowia, udzielał się mało. Spotykał się ze mną raz na tydzień, gdy stan zdrowia mu pozwalał, wczesnym wieczorem w kawiarni hotelu Victoria „Pod Lipami”. Znakomity badacz literatury zachował młodzieńczą wrażliwość, w wąłym ciele duch mieszkał pobudliwy i do entuzjazmu skłonny.

Jego rozległa wiedza i niesłychana pracowitość jednały mu szacunek i uznanie berlińskich sfer uniwersyteckich. Brückner, urodzony w Tarnopolu, pochodził z rodziny niemieckiej — jak Linde i Lelewel, nauce polskiej, jak oni, godnie się zasłużył. Badacz nieomylny, gdy chodziło o dalszą przeszłość, we współczesnej twórczości polskiej nie zawsze rozeznawał się trafnie.

Z wybitniejszych artystów polskich mieszkał w tym czasie w Berlinie, prócz Wywiórskiego, rzeźbiarz Marcinowski, rodem z Poznania. Był to artysta sumienny i pracowity, twórczość jego przecież nie mogła się rozwinąć na jałowym pod tym względem gruncie wielkopolskim. Kuł popiersia zasłużonych dygnitarzy z Poznania i z miast pośledniejszych; gdy umierali, budował im nagrobki.

Polskość naszych wychodźców podtrzymywały w stolicy Niemiec niezliczone stowarzyszenia, kilku kapłanów i „Dziennik Berliński”, zwłaszcza gdy go nabył Karol Rose, późniejszy konsul generalny Rzeczypospolitej. Duszą zorganizowanego nad Szprewą życia polskiego był skromny krawiec, Władysław Berkan. Wyszedł

z dobrej szkoły, mienił się uczniem ks. Wawrzyniaka. Mały człowieczek, niepozorny, rodaków ubierał dobrze, tanio i na kredyt, o sobie nie miał czasu myśleć, dni i noce wypełniała mu troska o harmonię i karność w niesfornych szeregach polskich. Z jego inicjatywy powstał „Komitet Stowarzyszeń Polskich w Berlinie i Okolicy”. Karol Rose nie bez słuszności uważał, że w tej mierze ma również coś do powiedzenia; dochodziło z Berkanem do nieporozumień. Taka to już była kolej losów naszego wychodźstwa.

Zabiegi tych dzielnych ludzi ratowały tysiące rodzin polskich od wynarodowienia. Że inne setki rodzin Niemczyły się, na to nie było rady. Trzeba bowiem pamiętać, że akcja prowadzona była nieomal wyłącznie własnymi li tylko środkami.

Redakcją „Dziennika Berlińskiego” kierował Franciszek Krysiak. Redaktorem odpowiedzialnym był Józef Goździewicz, który później, w latach okupacji Warszawy, nieszczególną zyskał sobie reputację, jako współpracownik niemieckiego biura prasowego i redaktor „Godziny Polskiej”.

Od czasu do czasu spotykałem się z Alfredem Nossigiem, który zaczął swą karierę, jako dziennikarz i literat polski, sekretarzował przez parę lat Paderewskiemu, napisał plan libretta do opery „Manru”. W Berlinie pracował, jako dziennikarz niemiecki, w redakcji „Lokal-Anzeigera” i „Tag'u”. Ale już wtedy gorliwie zajmował się zagadnieniem syjonizmu; w parę lat później, po zgonie Hercla, został jednym z przywódców tego ruchu. Nossig był człowiekiem kulturalnym, posiadał umysł żywy, władał w mowie i w piśmie znaczną liczbą języków obcych. Twórczego talentu nie posiadał.

Twórczość literacka, o ile tkwią w niej pierwiastki głębsze, bywa prawie zawsze emanacją duchowości narodowej, jej częścią integralną.

Jeśli zachodzi potrzeba, pisarz polski może posługiwać się językiem obcym. Nie traci przez to łączności ze swym narodem, zazwyczaj niesie mu nawet pożytek. Inna rzecz, jeśli rozmyślnie i celowo wyrzeka się mowy ojczystej, chcąc obcej społeczności swym talentem i wiedzą służyć. W każdym poszczególnym wypadku, nim się sąd wyda, trzeba badać i rozważyć okoliczności, które na taką decyzję wpłynęły.

W moim przekonaniu, nie należy upominać się o tego, który swoje miejsce w pisarstwie narodowym z własnej woli opuścił.

Wyzewa wychował się od małego dziecka we Francji, polską mowę znał niedostatecznie, z krajem związków rodzinnych nie utrzymywał. Czuł się Francuzem. Conrad w młodzieńczym wieku Polskę opuścił, postanowił stać się pisarzem angielskim. Ani pierwszy, ani drugi na dwóch stołkach siedzieć nie chcieli...

W drażliwszym położeniu znaleźli się pisarze, pochodzenia żydowskiego, pochodzący z warstw świeżo zasymilowanych. Gubili po drodze hebrajszczyznę i żargon, wzbudzali podziw mistrzowskim nieraz opanowaniem mowy przybranego narodu, ale przyrodzonych cech psychiki semickiej pozbyć się nie mogli, i nie chcieli. Zdarzało się, że sami nie wiedzieli, do jakiej należeli nacji.

Alfred Nossig, lubo pisał biegle po polsku i w paru innych językach europejskich, był szczerym i gorącym narodowcem żydowskim.

Na gruncie poznańskim.

W Paryżu polityką zajmowałem się mało. Jeśli wkraczałem w dziedzinę wydarzeń i zagadnień politycznych, były to z mej strony zawsze informacje obiektywne. Moje osobiste zainteresowania koncentrowały się w dziedzinach piśmiennictwa, sztuk plastycznych i teatru, obracałem się w sferze polskiej cyganerii artystycznej i literackiej. Na posterunku berlińskim zarówno moja praca dziennikarska jak otoczenie uległy zasadniczej zmianie. Tutaj dominowała polityka. Ośrodkiem towarzyskim była garść posłów polskich do Sejmu Rzeszy, do Sejmu Pruskiego i do Izby Panów. Aby pisać o stosunkach wielkopolskich, trzeba było poznać je w terenie. Stąd wynikała konieczność wyjazdów w Poznańskie i na Pomorze celem bezpośredniego zetknięcia się z ludźmi, którzy akcję obronną prowadzili.

W ówczesnym zaborze pruskim całe życie polskie podporządkowane było sprawom oświatowym, zagadnieniom gospodarczym i społecznym. Literatura, sztuka i teatr pozostawały na dalszym planie. Usprawiedliwiano się, że kiedy płoną lasy, nie ma czasu na hodowanie róż. Dzieła twórcze oceniano z punktu widzenia pożytku społecznego, w osądach górował praktyczny racjonalizm. Młodsze pokolenia inteligenckie jednak wsłuchiwały się uważnie w wezwania, nadbiegające od „Młodej Polski” krakowskiej.

Punktem zbornym obywatelstwa wielkopolskiego w Poznaniu był hotel Bazar, założony przez Marcinkowskiego, a będący własnością spółki ziemiańskiej.

Tutaj Niemiec bywał rzadkim i niechętnie widzianym gościem, stali polscy bywalcy tworzyli rodzaj klubu. Był to na ziemiach polskich jeden z najlepszych hoteli.

Dziennikarze i aktorzy spotykali się w skromniejszych lokalach. Teatrem Polskim kierował Edmund Rygier, borykając się energicznie z trudnościami. Między płaską farsą, a jaskrawym melodramatem przemycił od czasu do czasu arcydzieła poezji polskiej. Ten i ów zacny szewc, masarz lub drogista nudził się na Słowackim, nie wszystko rozumiał. Coś tam jednak w mózgu zostawało. Za to innym razem tak się ubawił na „Zoku, czyli małpie afrykańskiej”, że na imieniny dyrektorowi parę butów, szynkę, to znów butlę godnego trunku do kancelarii przysyłał.

Nie brakło wszakże dworów wiejskich i ośrodków życia miejskiego, w których zainteresowania literaturą i sztuką były żywsze i lepiej ugruntowane.

Słynęły pod tym względem rezydencje ks. Czartoryskich w Starym Sielcu i pp. Kościelskich w Miłosławiu.

Państwo Kościelscy byli oboje utalentowanymi dyletantami. On układał gładkie wiersze, tłumaczył zgrabnie drobne utwory Heinego. Ona pisała powieści według wzorów francuskich.¹⁾ Obfita biblioteka była stale odświeżana, w Miłosławiu czytano wszystko, co warte było czytania. Gospodarz znał się w jednakim stopniu na literaturze i sztuce, jak na kuchni i winach. Był smakoszem uniwersalnym.

Piwnice, odziedziczone po Seferze-paszy, zawierały skarby bezcenne. Wśród niezliczonych beczek i pólek z butelkami, urządzona była izba próbna w stylu staroniemieckim. Schodziło się do niej po stromych schodach. Łatwiej było zejść na dół, niż po pracowitej próbie wrócić na świat Boży.

Ale w atmosferze pałacu miłosławskiego wyczuwało się nieuchwytną gorę doznanych rozczarowań i niespełnionych nadziei. Czy Kościelski myślał na serio o dokonaniu w zaborze pruskim tego, co Wielopolskiemu nie udało się w latach 1862—63 w zaborze rosyjskim? Wielopolski opierał się na programie, z którym można było się spierać, ale któremu nie można było odmówić lo-

¹⁾ Jedną z tych powieści pt. „W Berlinie” drukowałem w r. 1910-tym w „Świecie”.

giki. Ugoda z rządem pruskim była manewrem politycznym, obliczonym jedynie na chwilową „pieredyszkę”.

Cisza wiejskiej rezydencji ciążyła pani Kościelskiej, która tak świetnie czuła się w zgiełku berlińskiego życia politycznego i towarzyskiego. W okresie Capriwego cesarz Wilhelm chętnie z nią dłuższe wiodł rozmowy, panie z arystokracji niemieckiej zazdrościły jej powodzenia. Wszystko to było już tylko bezpowrotnym wspomnieniem.

Władysław Kościelski, który miał dziedziczyć Miłosław, odbywał wtedy studia w Monachium.

Z rysów twarzy podobny do matki, aspiracje przejął od ojca. Cechował go wszakże od dzieciństwa niepokój i smutek. Władze niemieckie powołały go w czasie wojny do służby, odkomenderowano go do zarządu okupacyjnego w Warszawie. Później ożenił się z artystką teatrów Szyfmanowskich, p. Moniką Krystyńską i osiadł w Miłosławiu, lubo do pracy na roli nie zdawał się żywić upodobań. Zakończył życie przedwcześnie i tragicznie, zostawiając w puściźnie staranny przekład goethowskiego „Fausta”.

Debiut teatralny.

Żelazowski dotrzymał przyrzeczenia. W marcu 1902 r. odbył się w warszawskich Rozmaitościach mój debiut komediopisarski. W programie składanym znalazła się „Piękna ogrodniczka”. Obsada była pierwszorzędna. Rolę kobiecą grała Federowiczowa, główną rolę męską — Mieczysław Frenkiel, dwie pomniejsze — Edward Wolski i Marian Prażmowski.

W parę dni później nadeszły krytyki. Władysław Bogusławski napisał w „Kurierze Warszawskim”, że w „Pięknej Ogrodniczce” było więcej elementu życia, niż w dwuaktowej komedii Pawła Hervieu, która znalazła się równocześnie na afiszu. Kazimierz Zalewski, Edward Lubowski i Marian Gawalewicz uznali debiut za pomyślny, Frenkiel odniósł triumf.

Owo pierwsze powodzenie związało mnie na całe życie z teatrem, chociaż sam „Pięknej Ogrodniczki” nigdy na scenie nie zobaczyłem.

Zaraz począłem marzyć o komedii, wypełniającej całe przedstawienie.

Ks. Zdzisław Czartoryski, prawnuk księcia generała ziem podolskich, a wnuk ks. Konstantego, młodszego brata ks. Adama, był jednym z najpopularniejszych magnatów wielkopolskich. Okazywał się twardszy, rysy twarzy miał subtelne, uśmiech życzliwy. W Poznaniu nazywano go „czerwonym księciem”, że ze sferami inteligencji miejskiej chętnie przyjacielskie stosunki utrzymywał, a chłopów za mniej zamożnych sąsiadów uważał. Niekiedy zapraszał ich na gro madne narady i biesiady. Chłopi zachowywali się na tych zebraniach roztropnie i godnie.

Najbliżsi księciu byli wszakże literaci i artyści. Serdeczna przyjaźń łączyła go z Fałatem, Wyczółkowskim, Kossakiem, Laszczką i zwłaszcza z Wywiórskim.¹⁾ W parę lat później otoczył opieką młodziutkiego aktora, który wydał mu się utalentowanym: tym aktorem był Juliusz Osterwa.

Ks. Zdzisław przez jakiś czas posłował do Sejmu Pruskiego wycofał się wszakże rychło z polityki, nie chcąc brać udziału w eksperymentach ugodowych. Spokojny żywot landlorda urozmaicał częstymi wypadami do Berlina, Warszawy i Krakowa, — oraz dłuższymi podróżami do ukojanej Italii. Gdy bawił w Starym Sielcu, pałac, — aglomerat dziwacznej rozbudowy, — zapełniał się gośćmi.

...Lato 1902 r. spędziłem wraz z Wywiórskim w Starym Sielcu. Zacząłem pisać czteroaktową komedię „Małe dusze”. Teatry warszawskie objął Ludwik Śliwiński; zwrócił się do mnie z pytaniem, czy nie będę miał sztuki na sezon zimowy. Zobowiązałem się, że nadeślę egzemplarz przed 1 października.

W okolicy nie mało majątków dostało się już w ręce Niemców, obywatelstwo polskie jednak nie utrzymywało z Niemcami stosunków sąsiedzkich. Ks. Zdzisław Czartoryski wyjątek robił dla panny Wolert, która posiadała niedaleko od Sielca pięknie zagospodarowany majątek Dłonie. Panna Wolert była córką przemysłowca, który przed kilku dziesiątkami lat z małego miasteczka wielkopolskiego wywędrował do Saksonii i tam dorobił się wielkiej fortuny. Jedną córkę wydał za mąż za hr. Ziethena, druga sama swym gospodarstwem kierowała. Była to już panna doletnia, słusznego wzrostu i prawie męskiej postawy, dla Polaków przychylnie

¹⁾ Swym upodobaniem artystycznym ks. Zdzisław Czartoryski dał wyraz w „Listach z podróży” (Poznań, 1897), które doczekały się dwóch wydań, a poświęcone były dysertacjom na tematy sztuki włoskiej.

usposobiona. Mówiła po polsku nieźle. Księżna Zdzisławowa wpadła na nieoczekiwany pomysł: postanowiła wydać ją za mąż za ks. Ksawerego Lubeckiego, który w burzliwej młodości stracił swą habendę... Spotykałem go w Paryżu, — zwykł był wieczorami grywać w bilard w Grand Cafe, w hotelu Scribe. Mistrzem w tym kunszcie był nielada.

Ks. Zdzisław drwił z planów żony, — nie doceniał kobiecych talentów w sprawach matrymonialnych. Ks. Ksawery Lubecki przyjechał wkrótce do Sielca, łatwo dał się przekonać, małżeństwo doszło do skutku.¹⁾

Poznałem sporo wielkopolskich siedzib poznańskich: Golejów hr. Czarneckich, Pawłowice hr. Maksy Mielżyńskiego, Pakosław hr. Grudzińskiego. Popołudnie, które spędziłem u tego ostatniego, zostawiło mi wspomnienie melancholijne. Hrabia G. był pięknym mężczyzną w sile wieku, kulturalnym, wytwornym. Zamierzany myśliwy, odbył kilka większych wypraw łowieckich do środkowej Afryki. Pałac pakosławski pełen był egzotycznych trofeów i broni.

Gospodarz był alkoholikiem. Nie upijał się nigdy, lecz kropla po kropli sączył koniak bez przerwy, od rana do późnego wieczora.

¹⁾ W bliskim sąsiedztwie z Sielcem osiadła rodzina pruska, zwabiona zachętami i ułatwieniami urzędów kolonizacyjnych. Do ks. Zdzisława przybył pewnego dnia sąsiad, — ciężko rozrosły Niemiec, z gębą czerwoną i pochlastaną. Miał jakiś gospodarski interes. Kilkunastoletnia płowa Gretchen została na bryczce, pilnie trzymając w rękach powierzone lejce. Na trawniku przed pałacem pasła się spokojnie stara sarna ze sporą już sarenką. Gretchen z tklwym wzruszeniem przypatrywała się pięknym zwierzętom. Gdy ojciec, odprowadzany przez ks. Zdzisława, zjawił się na ganku, zawołała z zachwytem:

— *Schau, papa, wie wunderbar!*

Papa również się rozczulił, a ks. Zdzisław, tego dnia w dobrym humorze, a zawsze rycerski, ofiarował panience sarenkę. Radość nieproszonych gości była nad miarę krzykliwa. Zapewniali, że sarenka będzie ukochaniem całego domu.

I rzeczywiście, przez szereg miesięcy sarenka, z niebieską wstążką na szyi, tęskniła za Sielcem w ciasnym warzywnym ogrodzie prusaków.

Żywiono sarenkę oszczędnie, nie skąpiono za to karesów. Działwa za nią jakoby przepadała.

Minęło pół roku. Kamerdyner księcia, Stanisław, który tego aktu szczodrości nie pochwalał, składa przy rannej kawie raport:

Wczoraj u Niemców były imieniny. Zjechała się kupa hakatystów, ktoś nawet od Tiedemanna. Jedli, pili, wrzeszczeli... A książę pan wie, co było na pieczyście?

— ?...

— Nasza sarenka! Ta mała Niemeczka, co ją tak pokochała, dobierała podobno trzy razy...

Fatalny nałóg odosobnił hr. G. od ludzi, wyczerpał rychło siły fizyczne.

... Ksiądz arcybiskup Stablewski był jednym ze światlejszych ksiąząt Kościoła, jakimi duchowieństwo polskie ma prawo się szczycić. Jego jasny, zrównoważony rozum pogłębiony był gruntownym wykształceniem. Do każdej sprawy podchodził uważnie i po ludzku, lubił koło siebie twarze uśmiechnięte.

Raz szedłem na obiad do pałacu arcybiskupiego z ks. Zdzisławem Czartoryskim. Niedaleko katedry mija nas dorodny blondyn, z rozwianym włosiem, w malowniczej czarnej opończy, podbitej aksamitem niemilosierdzie szafirowym. Szerokoskrzydły kapelusz trzymał w ręku. Spostrzegł mnie, krzyknął radośnie, rzucił się w objęcia. Był to Wacław Gąsiorowski, utalentowany powieściopisarz, który wracał z Hiszpanii i w Saragossie tak egzotycznie się wyekwipował. Szedł również do arcybiskupa. Poczciwi mieszczańscy chwaliszewscy otwierali gęby, zdumieni wspaniałością jego stroju. Kilkoro żywiej zaciekawionych pacholąt biegło za nami, jakiś starszy pan zatrzymał dyskretnie księcia, by dowiedzieć się, kim był ów tajemniczy przybysz ze stron dalekich.

Wieczorem w Bazarze mówiono tylko o hiszpańskiej opończy Gąsiorowskiego.

Z okazji zaręczyn hr. Stanisława Henryka Badeniego z hr. Platerówną, siostrzenicą ks. Zdzisława Czartoryskiego, odbyło się w Starym Sielcu polowanie zimowe, na którym w dwu dniach padło z górą 2000 zajęcy. Największą ilość na rozkładzie miała niemłoda już wtedy ks. Ferdynandowa Radziwiłłowa. Jedyne to raz w moich praktykach łowieckich brałem udział w takiej rzezi. Kiedy pierwszy wielki kocioł ruszył z miejsca, po kilku minutach ciche, zaśnieżone pola ocknęły się gwałtownie ze snu: setki zajęcy zaczęły w bezradnym popłochu biegać na wszystkie strony, szukając wylotu z naciskającej żywej obręczy. Kilka okazałych rudli sarn cwałowało dokoła ostrym galopem. Chwilami miewałem na strzał jednocześnie po 5 — 6 zajęcy, a broń tak się rozgrzewała, że trudno było utrzymać ją w ręku. Mózg ogarniała gorączka strzelecka, — brakło myśliwskiego wzruszenia, — tego wzruszenia, które wywołuje jeden bielak w kniei litewskiej. Za mną szedł polowy z workiem i zbierał zabite koty. Położyłem ich w tym olbrzymim kotle, który trwał do śniadania, czterdzieści dwa, a byłem na szarym końcu, bo miałem tylko jedną broń...

Po raz ostatni znalazłem się w Sielcu na ślubie księżniczki Izabeli Czartoryskiej z hr. Janem Szoldrskim. Był to największy zjazd arystokracji polskiej, z trzech zaborów, jaki danym było mi widzieć. Adam ks. Czartoryski, ordynat na Sieniawie, wystąpił, jak zresztą wszyscy prawie panowie, w stroju polskim, w białym atłasowym żupanie, karmazynowym kontuszu, sobolowym kołpaku. Brylantowe guzy u żupana i egreta budziły podziw. W tych pysznych, historycznych strojach potomkowie hetmanów i wojewodów nie czuli się jednak swobodnie. Sprawiali wrażenie amatorów, grających sztukę kostiumową.

Jedyny syn ks. Zdzisławostwa Czartoryskich, ks. Olgierd, już po śmierci ojca, poślubił arcyksiężniczkę Matyldę, córkę arcyksięcia Karola Stefana z Żywca.

Los von Berlin.

Proces dziatwy wrzesińskiej odsłonił brutalność i okrucieństwo pruskich władz szkolnych i policyjnych, wywołał w całym świecie kulturalnym oburzenie. Berlin oficjalny pieniał się ze złości. Pycha niemiecka nie znosiła krytyki.

W prasie warszawskiej miarkowała wypowiedzi cenzura rosyjska, zawsze chętnie i skwapliwie wysługująca się Niemcom. Ostrzejszy ton mogłem przemycać w korespondencjach do „Kraju”. Powiodło mi się również umieścić kilka dłuższych notatek w sprawie wrzesińskiej w „Temps” i w „Echo de Paris”. Te znalazły szerszy oddźwięk. Zygmunt Dziembowski, leader Koła Polskiego przestrzegał, że berlińskie władze policyjne miały na mnie oko. W ostatnich dniach września 1903 r. kiedy wróciłem z Wielkopolski do Berlina, wpadł do mnie Stefan Cegielski.

— Arcybiskup Stablewski otrzymał wiadomość, że lada moment masz być wydalony z Berlina, jako uciążliwy cudzoziemiec.

Taki obrót był mi niedogodny. Obawiałem się, że będę miał na przyszłość uniemożliwiony dostęp do Wielkopolski i przejazd przez Rzeszę. W godzinę później siedziałem w pociągu pospiesznym do Warszawy. Żona na razie została w Berlinie. Następnego ranka zjawił się w naszym mieszkaniu urzędnik policyjny z żądaniem, bym stawiał się niezwłocznie w urzędzie. Stropił się, gdy się dowiedział, że wyjechałem. Piśmiennego wezwania nie chciał zostawić.

W wagonie ogarnął mnie niepokój. Co będzie dalej? Nagle przemknęła myśl: Wiedeń. Stolica wielkiego państwa, w której ważyły się interesy najpiękniejszych ziem polskich... Czarujące miasto nad modrym Dunajem, po Paryżu, na kontynencie europejskim, najgodniejsze siedlisko kultury.

Uzyskałem od moich redakcji zgodę na Wiedeń. Do Berlina „Kurier Warszawski” wydelegował nieco później Bolesława Koskowskiego.

K R A K Ó W I W I E D E Ń

W starym grodzie podwawelskim.

W drodze z Warszawy do Wiednia wstąpiłem na tydzień do Krakowa.

Kraków w tym okresie był stolicą duchową Polski. Akademia Umiejętności, Uniwersytet całkowicie polski, świetna pod względem talentów Akademia Sztuk Pięknych, znakomity rozwój teatru pod kierownictwem Pawlikowskiego i Kotarbińskiego, imigracja bujnej młodzieży zakordonowej, — wszystko to sprawiało, że w stosunkowo niewielkim mieście wytworzyła się atmosfera podniecona i ożywczą.

Redakcja „Czasu”, mieściła się w cichym pałacyku przy ul. św. Tomasza, tonącym w zieleni. Przyjęto mnie z koleżeńską serdecznością, wieczorem w Grand Hotelu zawarłem pakt przyjaźni z Rudolfem Starzewskim, naczelnym redaktorem i z Konradem Rakowskim, krytykiem teatralnym tego dziennika. Poznałem Tadeusza Żeleńskiego, który wkrótce miał swymi „Słówkami” zyskać rozległą popularność, a który wówczas, jako młody lekarz, żył „Kroplą Mleka”. Zbliżyłem się do Witolda Noskowskiego, doskonałego dziennikarza i publicysty, który pierwszy zainaugurował w polskich redakcjach maszynę do pisania, do „Stasinka” Sierosławskiego, który później w „Świecie” miał pracować.

Atmosfera redakcji „Czasu” była wyjątkowa. Inspiratorską duszą redakcji był Rudolf Starzewski. Liczył zaledwie trzydzieści lat. Odznaczał się bystrością umysłu i wszechstronnością kultury, orientował się szybko i trafnie. Za jego przewodem w starym organie starego stronnictwa rozgospodarowała się garść młodych ludzi, pulsujących życiem, chciwych wszystkiego, co zrywało z rutyną, szablonem i dniem wczorajszym. Starsi hrabiowie stańczykowscy, ze Stanisławem Tarnowskim na czele, niedostatecznie zda-

wali sobie sprawę z tego, co się działo w „Czasie”. Dziennik był konserwatywny, jeśli chodziło o kierunek polityczny. W sprawach, dotyczących literatury i sztuki sprzyjał zdecydowanie nowym prądom, nawet eksperymentom. W artykułach wstępnych przemawiała tradycyjna przezorność i lojalność. W odcinku pienił się światoburczy entuzjazm dla poczyną „Młodej Polski”. Starzewski, sceptyczny i układny, zawsze w dobrym humorze, w gruncie rzeczy nieustępliwy, zyskał dla swej taktyki życzliwych sojuszników w prof. Stanisławie Estreicherze i Ignacym Rosnerze. Taktyka była mądra, uczyniła bowiem z konserwatywnej mumii pismo żywotne.

Jeśli Stanisław Tarnowski lub inny mąż opatrnościowy wpadał do redakcji i zaczynał złorzeczyć modernizmowi „Czasu”, Rudolf Starzewski wprowadzał go uprzejmie do swego gabinetu. Poprzez zamknięte drzwi dawał się słyszeć wzburzony głos gościa i spokojne repliki Starzewskiego; w sali redakcyjnej Stasinek Sierosławski i Konrad Rakowski wyczyniali indiańskie harce. W łonie czołowego organu konserwy polskiej tworzył się zaczątek „Zielonego Balonika”, który — ku zgorszeniu filistrów i bigotek — miał wkrótce zainaugurować w Michalikowej Jamie swe swywolne misteria.¹⁾

Łącząc się z cyganerią literacką i artystyczną, wciągając ją do współpracy, Starzewski potrafił zawsze utrzymać autorytet szefa. Wszyscy go tykali, i wszyscy szanowali jego zdanie, wypełniali ściśle jego zlecenia.

Starzewski przyjaźnił się z inteligentną i ładną artystką teatru krakowskiego. Odwiedzał ją codziennie popołudniu, u niej często przyjaciółom wyznaczał spotkania. Artystka doszła do przekonania, że Starzewski powinien się z nią ożenić. Starzewski dziwnym trafem podczas długich jej przełożeń stale zasypiał. W drażliwych momentach nawet chrapał. Zdetonowana pani milkła, a Starzewski budził się i z niewinną miną konstatował.

— Zdaje się, że się zdrzemnąłem...

Opowiadano następującą anegdotę:

Wpada raz do redakcji „Czasu” późniejszy namiestnik Galicji, Andrzej hr. Potocki. Rozdrażnił go jakiś artykuł, w podnieceniu zapomniał zdjąć kapelusz, z przejściem wypowiada swe żale

¹⁾ Stanisław Tarnowski był wraz z rodziną na premierze „Wesela” w Teatrze Krakowskim. Gdy doszło do sceny, w której diabli na widłach wynoszą Branickiego (był to dziadek jego żony), oburzony Tarnowski porwał się z fotela i wybiegł z łoży, trzaskając drzwiami. Można sobie wyobrazić jego szal, gdy w „Czasie” ukazał się cykl felietonów, w których Starzewski dawał wyraz swemu entuzjazmowi dla „Wesela” i jego twórcy.

Starzewskiemu, nie zwracając uwagi na współpracowników, którzy siedzieli przy stołach. Starzewski dojrzał ich zmroczone oblicza. Woła na woźnego.

Hrabia, cokolwiek zdziwiony, ciągnie dalej swe wywody. Starzewski słucha w milczeniu. Woźny podaje mu kapelusz. Starzewski wkłada go na głowę i dopiero wówczas głos zabiera.

Potocki, wzorowo wychowany, spostrzegł swe roztargnienie, roześmiał się, zdjął kapelusz, Starzewski poszedł za jego przykładem i dalsza rozmowa toczyła się już w najprzyjaźniejszym tonie, przy uśmiechniętych obliczach członków redakcji.

Demokratyczną „Nową Reformę” nabył mój dobry znajomy, adwokat i poseł Adam Doboszyński. Krytykiem teatralnym tego dziennika był Władysław Prokesch, wysoki, chudy i poczciwy, którego w kołach „Młodej Polski”, później w „Zielonym Baloniku”, wydrwiwano stale i bez litości. Nie szczędzono również kostycznych docinków Ferdynandowi Hoesickowi. W oczach swywolnych żywiołów, przyczajonych w czcigodnym organie konserwatystów krakowskich, zarówno rozsądny Prokesch, jak zrównoważony autor obszernej monografii o Słowackim, byli mydlarzami pierwszej klasy. Obaj zresztą znosili niekrwawe ciosy z pobłażliwym uśmiechem.

W Krakowie zetknąłem się po raz pierwszy osobiście z Antonim Chołoniewskim, który był naczelnym korespondentem galicyjskim „Kraju”. Wątlej postaci i zdrowia, cichy i skromny, duszę miał gorącą. W obejściu uprzejmy, w sprawach zasadniczych wykazywał wolę hartowną. Z przekonań był narodowym lewicowcem.

Piltz potrafił skupiać tak rozbieżne elementy w tygodniku, który miał służyć interesom wielkiej własności i wielkiego przemysłu. Chołoniewski był lojalnym współpracownikiem „Kraju”, nie pisał jednak nigdy nic, co by nie zgadzało się z jego sumieniem. W całej pełni wypowiedział się w pięknym studium o „Duchu dziejów Polski”, wydanym w okresie wojny światowej. „Duch dziejów Polski” pisany był pod wpływem rozprawy prof. Balzera „Z zagadnień ustrojów Polski” (1915 r.), w której znakomity ten uczony dowodził, że „pogląd, jakoby w niedostatkach naszego ustroju tkwiła istotna przyczyna upadku Polski, okazał się błędny, że właściwą, rozstrzygającą jego przyczyną była pożądlivość złączonych, więc przemożnych, na zgubę Polski sprzysiężonych sąsiadów”. Chołoniewski z niepospolitym talentem pisarskim rozwinął tezę, która Polskę czyniła ofiarą raczej chciwości i przemocy Prus, Rosji i Austrii, niż własnych, Polski, win i przeoczeń.

Prof. Balzer później tłumaczył się z takiego rozumienia jego wywodów, Chołoniewski doczekał się ze strony „szkoły krakowskiej” surowych napomnień (Michał Bobrzyński, trzecie wydanie „Dziejów Polski w zarysie”).

Prawda, jak to najczęściej bywa, leżała pośrodku. W okresie pojagiellońskim możnowładcy i szlachta umieli dla Polski umierać, nie potrafili nic ze swej złotej wolności ustąpić na rzecz autorytetu króla i rządów. Odrzucali prawo większości do stanowienia o sprawach państwowych, kochali ojczyznę namiętnie, ale wzdrali się stale od płacenia na jej potrzeby podatków. Nadmierny indywidualizm wyradzał się nieraz w swawolę. Wartości, nagromadzone w mieszczaństwie, zostały ocenione dopiero przez Sejm Czteroletni. Chłopów wyzwoliły z poddaństwa nie Uniwersał Połaniecki Kościuszki, ani manifest Rządu Narodowego z r. 1863-go, lecz, niestety: rządy zaborcze.

Wszelako również prawdą jest, że wolność, z jakiej korzystała nasza demokracja szlachecka, nigdzie współcześnie nie świeciła większych tryumfów, jak w Polsce, że polak służył krajowi swemu nie z twardego przymusu, lecz z uczuciowego porywu, dobrej woli i fantazji. Szlachcic na zagrodzie nie zawsze był równy wojewodzie, — ale wojewoda musiał zabiegać o względy i głosy braci szlachty. Gdy wreszcie Konstytucja 3 Maja znalazła dla państwa skuteczne sposoby naprawy, naprawie oparli się źli sąsiedzi i, wyzyskując słabość odporną Polski, która to słabość była wynikiem jej ustroju, dokonali ostatecznego gwałtu.

Dzieje Polski dowodzą, że kraj może być wewnętrznie silnym, nie będąc wojowniczym, może być kwitnącym, choć niebogatym, może rozwijać się z postępem czasu, nie zrywając z przeszłością.

W Krakowie mieszkał już stale Tadeusz Żuk-Skarszewski, z którym zaprzyjaźniłem się w Petersburgu. Na nim okazało się również, jakim animatorem był Piltz — redaktor. Pozostawiony sam sobie, mając być zapewniony, Żuk-Skarszewski zaprzepaścił swój talent publicystyczny w beczynności.

Nad modrym Dunajem.

Rudolf Starzewski skierował mnie w Wiedniu do Ignacego Rosnera, zapewniając, że znajdzie życzliwe przyjęcie i pomoc. Tak też się stało.

Ojciec Rosnera wywodził się z Tarnowa. Osiadł w Krakowie, wyróżniając się, jako zdolny lekarz: przez długie lata był profesorem w tamtejszym Uniwersytecie. Ignacy Rosner, po ukończeniu wyższych studiów prawnych na Wszechnicy Jagiellońskiej, wstąpił do służby sądowej. Pociągała go wszakże nadewszystko polityka. Ożeniwszy się z p. Estreicherówną, córką znakomitego bibliografa, a siostrą prof. Stanisława Estreichera, zaczął pisywać artykuły polityczne do „Czasu”. Pomimo, że miał takich współzawodników jak Stanisława Koźmiana, Stanisława hr. Tarnowskiego, Leopolda Jaworskiego, Michała Bobrzyńskiego, Stanisława Estreichera, potrafił zwrócić na siebie uwagę. Ruchliwością umysłu zbliżał się do Juliana Klaczki, Szymona Askenazego i Anatola Mühlsteina. Kazimierz hr. Badeni, obejmując w Wiedniu ster rządów, powierzył mu kierownictwo biura prasowego przy prezydium Rady Ministrów.¹⁾

Wiedeńskie Biuro Prasowe posiadało dobre tradycje. Bismark przed laty skarżył się w parlamencie Rzeszy, że propaganda tego Biura przeciwstawiała się jego koncepcjom i urabiała dla nich zagranicą niekorzystną opinię. Aktywność Rosnera obudziła niepokój w politykach austriackich. Przeniesiono go w randze hofrata do sennego Ministerstwa dla Galicji. Przez szereg lat Rosner dokładał usiłowań, by ożywić tę ciężką „maszynę”. Reprezentował w Ministerstwie element inicjatywy. Ministrowie zmieniali się, kolejno obejmowali tekę galicyjską: Apolinary Jaworski, Kaz. Chłędowski, Dulęba, Wojciech Dzieduszycki, Piętak, Kniaziołucki, Zdzisław Morawski, Gałęcki. Zdolniejszy od nich Rosner uporczywie był pomijany. Nic dziwnego, że w uszczypliwym dowcipie dawał upust poczuciu doznawanej krzywdy.

Z Rosnerem spotkaliśmy się w Warszawie w okresie okupacji. Odgrywał wtedy rolę ważną i wpływową, lubo konkretnie nieokreśloną: był nieoficjalnym delegatem krakowskiego Naczelnego Komitetu Narodowego, pozostawał w bliskich bezpośrednich stosunkach z wiedeńskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Nazywano go „szarą eminencją”.

Prócz stałych artykułów politycznych, Rosner drukował niekiedy w „Czasie” dysertacje literackie. Studium o Wyspiańskim posiada wartość nieprzemijającą.

1) O ile pamiętam, Rosner sprawował to stanowisko także przy gabinecie hr. Thuna.

Rosner skomunikował mnie w Wiedniu z Tadeuszem Rittnerem, który wyrokiem przeznaczenia skazany był na ciężkie roboty w Ministerstwie Oświaty.

Mateusz Miseses, historiograf „Polskich chrześcijan pochodzenia żydowskiego”, opowiada następującą anegdotę:

W Bursztynie, w Małopolsce Wschodniej, mieszkał w pierwszej połowie zeszłego stulecia felczer wojskowy Rittner, starozakonny. Gdy jego młodzieńcki syn Edward począł ujawniać wybitną inteligencję, stary Rittner postanowił go ochrzcić. Zaprzyjaźnieni z felczerem współwyznawcy, zaskoczeni tą decyzją, jęli pytać, dlaczego to robi.

On odrzekł:

— Z przekonania.

Jeden z interpelantów wyraził zdziwienie.

— Odkąd to felczer Rittner nabrał przekonania o wyższości religii chrześcijańskiej?

— Wcale o to nie chodzi. Ja tylko nabrałem przekonania, że jeśli mój syn będzie chrześcijaninem, to jego wrodzone zdolności zapewnią mu pomyślniejszą karierę. Jeśli pozostanie żydem, czeka go conajwyżej adwokatura lub medycyna w pomniejszym mieście galicyjskim.

Rozumowanie mędrca bursztynskiego okazało się trafnym. Jego ochrzczony syn wspinał się szybko i wspaniale po stopniach drabiny społecznej, ziścił najśmielsze ambicje ojca. Został radcą tajnym i ministrem Oświaty wielkiej monarchii. Zmarł przedwcześnie w r. 1885. Majątku nie zebrał, pozostawił pamięć umysłu niepospolitego i charakteru bez skazy. Jego najstarszy syn, Tadeusz, po ukończeniu arystokratycznego Theresianum, wstąpił do ministerstwa Oświaty.

Tak zaczęło się nieporozumienie, które dręczyło Tadeusza Rittnera przez całe życie. Był on bowiem poetą, urzędniczej pracy nienawidził. Jednocześnie, nie posiadając dostatecznych środków, lękał się rzucić stanowisko, które zabezpieczało byt. Tym zmaganiom z losem dał wyraz w pierwszej większej swej sztuce, — „Maszynie”. Brakło mu, jak w Warszawie Alfredowi Konarowi (ten męczył się przez całe życie z tych samych powodów w biurze kolejowym) — wiary we własne siły. Tad. Rittner ożenił się młodo i szczęśliwie z p. Zofią Sławikowską, uroczą lwowianką, która stała się nieocenioną powiernicą jego ambicji i usiłowań. Całe życie spędzili w Wiedniu. Kraju i życia polskiego prawie że nie znał. Jego umysłowość, talent i wdzięk były nawkroś wiedeńskie. Obra-

cał się w kolonii polskiej, w znacznej mierze już oderwanej od pnia, przesiąkniętej atmosferą Wiednia. W ostatnich latach przed wojną, gdy sztuki jego weszły na repertuar Burgu, nawiązał bliższe stosunki z niemieckimi kołami literackimi stolicy.

Rittnera absorbował najsilniej stosunek mężczyzny do kobiety, (Weininger wywarł na nim duże wrażenie), — przeżycia twórcze, walka z przesądem, rutyną i miernotą. Duchowo spokrewniony był ze Schnitzlerem, Hermanem Bahrem, Auernheimerem, Saltenem, Altenbergiem. Pierwsze swe utwory („Sąsiadka”, „Maszyna”, „W małym domku”) pisał po polsku, po czym tłumaczył je sam na język niemiecki. Później, gdy zyskał w teatrach niemieckich mocniejszy grunt pod nogami, pisał po niemiecku, i z tekstu niemieckiego tłumaczył na język polski. Niekiedy pomagała mu w tych przekładach żona.

W ministerialnych salonach Bilińskich, Wojciech. Dzieduszyckich, Madeyskich, Abrahamowiczów, we wspaniałych apartamentach ks. Marii Lubomirskiej, bywało uroczyście i nudno. Po każdej takiej recepcji uciekaliśmy z Rittnerami, często w towarzystwie Rosnerów, Harajewiczów, Zygmunta Pilata, posła Struszkiewicza, odetchnąć hałaśliwym i ożywym klimatem winiarni wiedeńskich, w których kwiliła wdzięczna piosenka, a Gumpoldskirchner i Donauperle płynęły złocistą strugą. Obyczaj miejscowy zalecał w ciągu nocy parę razy zmienić lokal. Zabawa kończyła się niekiedy dopiero nad ranem na placu Św. Szczepana w kawiarni, która nigdy w ciągu doby nie zamykała gościnnych podwoi. Na powrotnej drodze w domowe pielesze zbaczaliśmy na Naschmarkt, który w Wiedniu odgrywał rolę paryskich Hal Targowych. Tam już szumiało przedporanne życie, we fiakerskich jadłodajniach pachniał gulasz, w grubych kuflach pieniał się niezrównany pilzner. W tych nocnych wędrówkach natykaliśmy się często na Piotra Altenberga, utalentowanego poetę, i Kraussa, złośliwego redaktora tygodnika „Die Fackel”, którzy stale z nocy robili dzień, a z dnia — noc. Kolację spożywali koło 6-ej z rana, pierwsze śniadanie — około 7 wieczorem, obiad jedli o północy. Ten tryb życia nie wpłynął dodatnio ani na ich twórczość, ani na zdrowie. W owych wyprawach towarzyszyli nam czasem Stanisław Fałat, brat Juliana, później sędziego N. T. A., Henryk Monat, adwokat i krytyk literacki, człowiek inteligentny i niezwykle dobroci, który później ożenił się z wdową po Ochorowiczu, Rauchinger, malarz ze Lwowa, stale w Wiedniu zamieszkały, Leopold Janikowski, niepoprawny cygan, wykształcony encyklopedycznie, który trwonił wyjątkowe

zdolności. Gdyśmy się w tej kompanii znaleźli, nocne rodaków i nierodaków rozmowy przeciągały się do białego dnia....

Premiery Rittnera w „Deutsches Volkstheater” bywały dość burzliwe. Zwłaszcza pierwsze przedstawienie „Unterwegs” („Don Juan”). „Lato” w „Burgtheater” było szczytowym sukcesem jego kariery scenicznej w Wiedniu.

Teatry wiedeńskie były naogół wyborne. Repertuar staranny i urozmaicony, artyści utalentowani. Twórczość niemiecka, a zwłaszcza wiedeńska, — na pierwszym planie; twórczość obca trafnie i szybko uwzględniana. Operetka niezrównana.

Niezapomniane wrażenia zostawiły mi gościnne przedstawienia berlińskiego teatru Reinhardta, który oparł się na repertuarze wyższej wartości, skupił wybitne indywidualności aktorskie, a w kunszcie inscenizacyjnym i w reżyserii objawił śmiałą i szczęśliwą pomysłowość. Przedstawienia „Na dnie” i „Małomieszczan” Gorkiego, „Pelleasa i Melizandy” Maeterlincka, stały się arcydziełami realizacji teatralnej. Basserman, Reicher, Wassman (krakowianin), mała Eysoldt...

Najsilniejsze wrażenie wywarła na mnie Eleonora Duse, która przez szereg tygodni gościła w Wiedniu. W miernym zespole wędrownym talent jej świecił, jak brylant najczystszej wody. Widziałem ją w kilku dramatach Ibsena i d'Annunzia. Wydaje mi się po dziś dzień, że to była największa artystka dramatyczna, jaką w moim długim życiu spotkałem w teatrze. Takiej głębi uczucia, takiego skupienia, takiej sugestii nie posiadała ani Sarah Bernhardt, ani Modrzejewska, nie mówiąc już o późniejszych gwiazdach jak Simone, Sorma, Komisarzewska.

Izadora Duncan, słynna gołonoga tancerka amerykańska, była sensacją pośledniejszego gatunku. Zerwała z szablonem choreografii klasycznej, nawróciła do szlachetnej prostoty, czerpiąc natchnienie ze starogreckich płaskorzeźb i rysunków, zdobiących wazony etruskie. Więc choć technika jej tańca budziła zastrzeżenia, przyczyniła się niemało do odrodzenia sztuki tanecznej. Diagilew, twórca „baletów rosyjskich” nie taił, że od Isadory Duncan nauczył się wiele. Skorzystała z jej koncepcji również Pawłowa, najwyśmienitsza tancerka, jaką w ostatnim półwieczu świat podziwiał.

Po przewrocie bolszewickim, wiosną 1921 r. Izadora Duncan przybyła do Moskwy. Była zrażona do starej Europy, która odniosła się nieco obojętnie do jej koncepcji choreograficznych, spodziewała się znaleźć większe uznanie tam, gdzie tworzyło się nowe życie.

I tak dalece przejęła się swoją misją, że dla pokrzepienia serc skomponowała nowy taniec pod rytm „Międzynarodówki”.

Proletariat moskiewski okazał się niewdzięczny. Golizny miał w ojczyźnie po dziurki od nosa, obnażona tancerka wydała się nieobyczajną. Rewolucyjny taniec Izadory wygwizdano.

Podczas gościnnych występów w Warszawie państwo Grossman zaprosili Izadorę Duncan na śniadanie. Ściągnęli przytym kilkanaście osób z towarzystwa warszawskiego.

Izadora spóźniła się o trzy kwadranse. Wpadła jak bomba, zdyszana, za nią — ku zdziwieniu gospodarstwa, jakiś pewny siebie, a zgoła nieproszony młody Amerykanin.

Tancerka prezentowała go z radosnym uśmiechem:

— Mój kochanek.

Cesarz.

Cesarza Franciszka Józefa oglądałem kilkakrotnie zbliska. Był to suchy staruszek niskiego wzrostu. Usilnie starał się trzymać prosto, a nogi cokolwiek się chwiały. Wiedeń był zakochany w starszym panu, — który w dość swoisty sposób rozdawał swą dostojną jaźń: w labiryntach Hofburgu był pomazańcem z Bożej łaski, w mieszczańskim saloniku Katarzyny Schratt, przy intymnej partyjce taroka, stawał się jowialnym partnerem drugorzędnego bankiera i jednego z semickich redaktorów. Na ranną kawę zwykł był przychodzić do swej przyjaciółki koło 5-ej z rana. Podczas letnich wakacji w Ischlu — jeszcze wcześniej. Historyczna rola, jaka przypadła drugorzędnej aktorce, miała pewne niedogodności.¹⁾

¹⁾ Cesarz Franciszek Józef często wyznaczał audiencje ministrom o bardzo wczesnej porze. Najdotkliwiej cierpiał z tego powodu Agenor hr. Gołuchowski, minister spraw zagranicznych, który miał zwyczaj pracować w nocy, a spać do południa. Jeden ze starszych adiutantów cesarza, gen. von Paar, wspomniał cesarzowi o tym nawyku ministra. Kiedy Gołuchowski zjawił się z następnym raportem, cesarz poklepał go po ramieniu.

— Kochany hrabio, słyszałem, że pan jest wielki śpioch. Więc postanowiłem zmienić panu godzinę audiencji.

Gołuchowskiemu rozjaśniła się twarz, obramowana bokobrodami.

Cesarz dodał:

— Odtąd niech pan nie przychodzi o 6-ej. Wystarczy, jeśli pan stawi się o 7-ej z rana.

Kiedy Gołuchowski opowiadał wieczorem w Jockey-Klubie o tym dowodzie łaski monarszej, hrabiowie austriaccy byli rozrzewnieni. Nawet stary Koźmian, który mi tę anegdotę powtórzył.

Katarzyna Schratt nie odznaczała się ani urodą, ani talentem. Posiadała natomiast osobliwy wdzięk wiedeński, który trafiał do mentalności i uczuciowości cesarza. Bawiła go swoim dialektem i pogodnym humorem, wierzył w jej przywiązanie i lojalność. Niezadowolony syn Franciszka Józefa, arcyksiążę Rudolf, z tych samych powodów nie mógł się obejść bez swego dorożkarza Bratfisch. Bardzo rzadko korzystał z pojazdów dworskich.

Cesarzowa Elżbieta była rada z przyjaźni, jaka zawiązała się między jej mężem, a aktorką. Zyskiwała większą swobodę. Raz zaprosiła panią Schratt do siebie. Obie panie miały sobie tyle do powiedzenia, że spotkania powtórzyły się kilkakrotnie. Obiektem wzajemnych zwierzeń był zawsze cesarz.

Cesarzowa potrzebowała wciąż od małżonka dużo, bardzo dużo pieniędzy. Katarzyna Schratt nie żądała od cesarza nic — lub prawie nic.

Franciszek Józef poznał się z nią przypadkowo. Schratt pokłóciła się z dyrektorem Burgu, teatr ten należał do kompleksu scen cesarskich. Nawykła do romantycznych perypetii teatralnych, wpadła na genialną myśl, że wyratować ją z zakulisowych opresji mógłby jedynie sam cesarz. Poszła więc do kancelarii dworskiej i prosiła o audiencję. Zapytano, w jakim celu. Gdy wyjaśniła, dygnitarze dworscy wpadli w taki szal wesołości, że wiadomość dotarła do uszu cesarza. Starszy pan uśmieł się — i polecił odpowiedzieć petentce, że przyjmie ją nazajutrz.

Można sobie wyobrazić zdumienie kamaryli ochmistrzów, szambelanów i generaładiutantów.

Schratt stanęła przed cesarzem tak wystraszona, że słowa uwięzły jej w krtani. Cesarz pyta, czym może być jej użyteczny? Cisza. Cesarz ponawia pytanie. Aktorka mimiką tłumaczy, że nie może mówić. Rozbawiony monarcha własnoręcznie nalewa jej z karafki wody. Wypiła, — odetchnęła i odzyskała gwarę z Naschmarktu. Tak opowiedziała swoje zmartwienia, że cesarz co chwila wybuchał śmiechem. Pakt przyjaźni został zawarty.

Katarzyna Schratt nigdy nie dała się wciągnąć do jakiegokolwiek intrygi politycznej.

Podeszłych lat monarcha nie unikał jednak zwykłej kolei zapóźnionych amatorów. Katarzyna Schratt była temperamentu porywistego: dworacy podejrzewali ją wprost o histerię. Nagle brzydły jej śniadania o świcie z dostojnym, ale starym panem, nudziły popołudniowe partie taroka, którym musiała asystować. Znikała z Wiednia, zawsze w towarzystwie młodego i przystojnego adonisa.

Niekiedy zapędzała się aż do Hiszpanii. W Wiedniu starszy pan tracił humor, cera twarzy szarzała, oczy gasły. Dworacy byli przerażeni. Tak mijały tygodnie. I równie nagle płocha Circe jawiła się z powrotem na scenie Burgteatru... Odbywały się tajemnicze konwentykle, „wszystko się wyjaśniało”, podeszłych lat Celadon odzyskiwał rumieńce i humor, wymykał się znów o świcie na poranną kawę do przyjaciółki, popołudniu — na partię taroka z pospolitymi partnerami... Ministrowie i dworacy oddychali z ulgą.

W lutym 1915 r., podczas pierwszej wojny światowej Włochy ультymatycznie domagały się od Austrii zwrotu Trydentu. Z Berlina wysłano do Katarzyny Schratt gen. Widla. Miał — nie bacząc na cenę, — wpłynąć na artystkę, by nakłoniła cesarza Franciszka-Józefa do ustępstwa. Artystka nie dała się skusić, stanowczo odmówiła ingerencji.¹⁾

Wobec swoich ministrów i tłumu, Franciszek Józef potrafił okazywać chłód i dumę dynasty. Wysokie poczucie godności uratowało mu raz życie. Jechał otwartym powozem przez Ringi. Nagle z ciżby wyskoczył jakiś opętaniec, podbiegł z tyłu do powozu i zaczął wołać. Cesarz nie raczył się odwrócić. Zapytał wyniośle towarzyszącego mu generała v. Paara, co ów krzyk miał oznaczać? Napastnik liczył, że uderzy monarchę nożem w piersi. Pchnął go z tyłu, nieszkodliwie.

Marian Zdziechowski tak pisał o zasługach Franciszka Józefa dla sprawy polskiej.

— „Cesarz Franciszek Józef spolszczył uniwersytety krakowski i lwowski, dał nauce polskiej, literaturze, sztuce, kulturze — możliwość rozkwitu. W pewnym okresie dziejów życie narodu polskiego jedynie w zaborze austriackim znajdowało schronienie i opiekę. To nasz dług wdzięczności wobec tego monarchy i — pamięci”.

Dygnitarze polscy.

Pośród polskich mężów stanu, którzy w tym czasie mieszkali w Wiedniu, b. minister Oświaty, Stanisław Madeyski, wyróżniał się rozległą wiedzą i jasnością myśli politycznej. Zawsze umiał w sedno sprawy trafić. Wojciecha hr. Dzieduszyckiego nazywano żarto-

¹⁾ Lettres de la princesse Radziwill au general de Robillant.

bliwie „Ateńczykiem podolskim”. Podziwiano jego wszechstronność. Hr. Wojciech był działaczem społecznym, parlamentarzystą, mężem stanu, ministrem, mówcą, profesorem, filozofem, historykiem sztuki, poetą, dramaturgiem, powieściopisarzem. Takie rozproszenie intelektu musiało osłabiać wyniki twórcze.

Czytał dużo, pamięć miał fenomenalną, umysłowość chaotyczną. Szanowano powszechnie szlachetność i niezależność jego charakteru, patriotyzm i oddanie się służbie publicznej; popularność jednały mu koncepty, zawsze dosadne, lecz nie zawsze w dobrym smaku. Była to postać poniekąd renesansowa, a może raczej — z rodu bałagulów kresowych.

Gdy zabierał głos w Radzie Państwa, początek przemówienia często bywał fascynujący. Pod koniec — nie wszyscy rozumieli, o co mówcy właściwie chodziło. W ostatnich latach życia uporczywa skłonność do mistycyzmu pchnęła Dzieduszyckiego na bezdroża spirytyzmu: obcował najchętniej z duchami wielkich mężów wszystkich czasów.

Spotykając go w Wiedniu na samotnych przechadzkach, nigdy nie było wiadomym, czy rozmyślał nad głębszym zagadnieniem filozoficznym lub politycznym, czy też układał nowy koncept. Witał się z uroczystą powagą, brał za guzik i tajemniczym głosem komunikował:

Siedzi wróbel, siedzi, o! na telegrafie!
Krowa mówi krowie: tego nie potrafię.

Milkł i patrzył uważnie w oczy. Surowa twarz rozjaśniała się dobrotliwie przekornym uśmiechem.

Swoje pożycie małżeńskie „hrabia Wojtek” tak scharakteryzował:

Przed Cezarem drżała Roma,
Innym Cezar bywał doma,
Gdyż jego żona Kalpurnia
Miała go za durnia.

Marszałek Stanisław Badeni zaprosił Dzieduszyckiego na obiad. Że służący domagał się odpowiedzi, Dzieduszycki nakreślił szybko cztery litery

D...u...p...a...

Badeni nie znał się na żartach, zażądał wyjaśnienia. Dzieduszycki wytłumaczył skrót:

— Dziękuję uprzejmie, przyjdę akuratnie.

Podczas uroczystego bankietu na cześć Franciszka Smolki, wieloletniego przewodniczącego Austriackiej Rady Państwa, Dzieduszycki tak zaczął swoje przemówienie: — „Starożytni Grecy wierzyli, że jeśli nowonarodzone dziecko Muza ucałuje w czoło, wyrośnie z niego mędrzec, jeśli w usta lub w oczy — będzie to słynny mówca lub znakomity malarz. Gdzież Ciebie, dostojny jubilate, całowała Muza, skoro od tylu lat zasiadasz na fotelu prezydenta Rady Państwa?...

O Dawidzie Abrahamowiczu, wybitnym parlamentarzyste polskim krążyła plotka, jakoby był hermafrodytą. Wnosząc toast za jego zdrowie, bez uwagi na obecność pani Abrahamowiczowej i innych pań, „hrabia Wojtek” tak rozpoczął swoje przemówienie:

— Łaskawe panie, szanowni panowie, i ty, kochany Dawidzie!...

Przeciwstawieniem lotnej, ale nie dość skoordynowanej umysłowości hr. Wojciecha Dzieduszyckiego była niepospolita, lubo w swej trzeźwości nieco sucha mentalność znakomitego historyka i męża stanu, Michała Bobrzyńskiego. Opatrzność poskąpiła mu poczucia humoru i uśmiechu.

Prezesem Koła Polskiego w parlamencie wiedeńskim był przez dłuższy czas Apolinary Jaworski. Szlachcic średniego wzrostu, krzepko związany, twarz czerstwa i rumiana, włosy i wąsy białe: wyglądał jak truskawka w śmietanie. Umysł jego chodził po ziemi, w zagadnieniach politycznych orientował się trafnie, mówił zwięźle i jasno.

Życie prowadził skromne i odosobnione. Popołudniową kawę zwykł był pijać w kawiarni dość oddalonej od centrum miasta. Witano stałego gościa z powszechną w Wiedniu poufałą serdecznością, choć nikt nie wiedział, jakie zajmował stanowisko. Usługujące dziewczęta przynosiły wieczorne dzienniki, szklanki świeżej wody, wdawały się ze starszym panem w rozmowę. Właściciel podchodził pytać, czy szanowny gość nie miał innych życzeń?

Jaworski zostaje pewnego dnia ministrem dla Galicji. Trybu życia nie zmienia. O zwykłej porze zjawia się w swej ustronnej kawiarni, przekonany, iż niczyjej uwagi nie zwróci.

Lecz i gospodarz, i usługujące dziewczęta rozpoznały jego portret w „Extrablacie”, jako nowego ministra, przeczytały pochlebny życiorys. Wrażenie było olbrzymie. Co za zaszczyt dla kawiarni! Na progu czekał gościa zgięty w kabłąk właściciel zakładu, z bukietem w ręku, tłoczyły się wzruszone słodkie dziewczęta. Mało brakowało, żeby nie zaśpiewały „Gott erhalte”... Stali bywalcy

ustawili się w szpaler aż do stolika, który w oczach pocziwych ludzi nabierał wartości historycznej. Jaworski dziękował, ruszał groźnie białą sumiastych wąsów, wysuszył prędko codziennego „kapucyna” i co rychlej opuścił lokal. Już go tam więcej nie oglądano.

Leon Biliński, wytrawny znawca polityki skarbowej, był z pewnością dobrym Polakiem. Ale nadewszystko i w całej pełni — austriackim mężem stanu. Zajmował najwyższe stanowiska w państwie: był kolejno dyrektorem generalnym kolei austriackich, długoletnim gubernatorem Banku Austro-Węgierskiego, ministrem wspólnym obu krajów koronnych. Po matce (bar. Bronstein-Brunickiej) odziedziczył kroplę krwi semickiej. Ułatwiało mu to stosunki z wpływowymi potentatami finansowymi stolicy.

W toku wojny światowej Biliński wcześniej od wielu innych zrozumiał, jakiej politycznej wagi nabierało zagadnienie polskie.

Kazimierz Chłędowski, b. minister dla Galicji rzadko opuszczał piękne mieszkanie, wypełnione dziełami sztuki. Każdy mebel i każdy drobiazg posiadały wartość artystyczną. W łagodnych oczach Chłędowskiego czaiło się znużenie. Mimo to wciąż pracował. Parę miesięcy w roku spędzał we Włoszech, wchłaniając „klimat” ukochanej epoki Odrodzenia.

Jeden z późniejszych następców Chłędowskiego w galicyjskim ministerstwie na Rennwegu, Zdzisław Morawski, pokrewny był mu duchem, lubo talentem narracyjnym nie dorównywał. Wydał interesujące studium „Sacco di Roma”.

.

Wyżsi urzędnicy i posłowie polscy schodzili się w godzinach popołudniowych przeważnie w kawiarni Puchera na Kohlmarkt. Stary nadkelner Joseph witał ekscelencje, hofratów i zwykłych parlamentarzystów życzliwym uśmiechem, przynosił stosy gazet polskich. Dziennikarze polscy spotykali się raczej w Central-Café, że bliżej stamtąd było do urzędu telegraficznego.

Sędziwy już Stanisław Koźmian, jeden z dawnych przywódców krakowskiego obozu zachowawczego, mieszkał stale w Wiedniu. Opiekował się nim syn głośnej niegdyś artystki krakowskiej, Antoniny Hoffmanowej, z którą Koźmiana aż do jej śmierci łączyła wieloletnia przyjaźń. Młody Hoffman żonaty był z córką popularnego w Wiedniu komika kabaretowego, Guschelbauera. Wielkopañski Koźmian i stary kabotyn z gębą jak znoszony kalosz, a przytym posługujący się zawsze i tylko dialektem Bratfisch, stanowili

kontrast, który był niewyczerpanym źródłem dowcipów w arystokratycznym Jockey-Clubie, Koźmian grywał tam w pikietę, a gdy mu się powiodło, wracał do domu w świetnym humorze, obładowany smakołykami. Raz na tydzień posyłał dłuższy artykuł do „Czasu”, omawiający problemy polityki zagranicznej, zawsze wyśmienitą polszczyzną napisany, lecz często niedwuznacznymi powiedzonkami przypieprzony. Nabożne hrabiny krakowskie, cnoty warowne, gorszyły się i skarżyły przed prałatami na Rudolfa Starzewskiego, że rozpustę w czcigodnym organie tolerował.¹⁾

Koźmian dowiedział się, że próbuje teatru, nabrał dla mnie sympatii. Godzinami przy kieliszku opowiadał swoje przeżycia z krakowskim elementem aktorskim. W teatrze stracił sporo pieniędzy i wszystkie złudzenia.

Ignacego Daszyńskiego, lidera socjalistycznego, znałem tylko z Rady Państwa. Podziwiałem jego talent oratorski, tym bardziej, że w obcym musiał przemawiać języku. Z treścią przemówień nie zawsze mogłem się godzić, szczególnie, gdy przed obcymi wywlekał na widok publiczny galicyjskie skandale rodzinne.

Wypad do Belgradu (1903 r.).

Zabójstwo królowej Dragi i króla Aleksandra wywołało w Wiedniu wrażenie olbrzymie. Serbia od czasu Kongresu Berlińskiego była przedmiotem nieustających rozgrywek między Wiedniem a Petersburgiem. Petersburg zjednał dla swych planów chytrego księcia Mikołaja Czarnogórskiego. Wiedeń popierał króla Milana i nawet po abdykacji wspomagał tego utracjusza, w którym nic królewskiego nie było. Aleksander, młodzieniaszek myśli leniwej i charakteru słabego, dał się uwikłać Dradze Maszyn, damie honorowej królowej Natalii. Wbrew woli matki poślubił intrygantkę bez skrupułów, ta zaś, dla wzmocnienia swego stanowiska, wkrótce całemu światu obwieściła, że spodziewa się dziecka. W Serbii zapanowała radość. Tym silniejsze było oburzenie, skoro okazało się, że była to tzw. ciąża histeryczna. Oficerowie uknuli

¹⁾ Po jednym z takich wybryków, w redakcji rozlega się dzwonek telefonu. — Halo, tu hrabina X. — Chciałam się zapytać, czy „Czas” jest jeszcze pismem katolickim? Na to współpracownik redakcyjny odpowiada uprzejmie. — Nie wiem, pani hrabino, naczelny redaktor wyszedł i nie zostawił w tej mierze żadnych informacji. (Boy-Żeleński, „Znaszli ten kraj”).

spisek, wpadli nocą do konaku, zamordowali parę królewską i nie-licznych dworaków, którzy dochowali jej wierności.¹⁾

Zatelegrafowałem do redakcji „Kuriera Warszawskiego”, że udaję się do Belgradu i tegoż wieczora wyjechałem.

W Belgradzie ogłoszony był stan oblężenia. Ruch zamarł, na ulicach — przy płonących ogniskach obozowało wojsko. Trochę życia przyczaiło się w Grand-Hotelu, i to głównie z racji dziennikarskich obieżyświatów, którzy sypali się wszystkimi pociągami z różnych stron Europy.

Zjawiło się paru redaktorów miejscowych, zaofiarowali się z pomocą. Zwiedziliśmy miasto i konak, w którym na posadzkach czerniały jeszcze ślady niezmytej krwi. Uzyskaliśmy kontakt z wybitnymi osobistościami politycznymi. Ja dodatkowo odszukałem Markusfelda, z którym przed laty prowadziłem interesy w Warszawie, a o którym wiedziałem, że osiadł w stolicy Serbii. Okazało się, że jako Marski, zajmował w Belgradzie stanowisko dyrektora filii wiedeńskiego Laenderbanku, która to filia pełniła rolę serbskiego banku państwowego.

Marski wyluszczył mi genezę tragedii Obrenowiczów i Serbii. Ilustracją do jego opowieści było wewnętrzne urządzenie Konaku: świadczyło o poziomie upodobań Milana i Aleksandra. Stylowe Ludwiki francuskie sąsiadowały bez sensu z tandetną secesją wiedeńską: dynastia praktykowała mezalianse nie tylko w związkach małżeńskich, lecz nawet i w umeblowaniu. Na ścianach, obok portretów rodzinnych, wisiały w bogatych ramach pornograficzne akwarele Alberta Guillaume, znane z paryskiego „Journal Amusant”.

Zaprosiliśmy belgradzkich kolegów na kolację. O wpół do dziesiątej wieczorem dyrektor hotelu przyszedł nas przestrzec, że stosownie do klauzul stanu wojennego, musi lokal zamknąć. Dziennikarze, przybyli z dalekich stron, zaprotestowali.

— Nie po to przyjechaliśmy na koniec Europy, żeby z kurami chodzić spać!

I zwracając się do redaktorów belgradzkich, pytali:

— Co zrobimy z resztą wieczoru?

Ci uśmiechali się zagadkowo i między sobą szeptali. Poprowadzili nas przez mroczne, puste i źle zabrukowane ulice, zastukali

¹⁾ Na szafce nocnej przy łóżu królewskim znaleziono książkę, którą młody monarcha widocznie czytał przed zaśnięciem. Był to opis zamachu na Napoleona III.

w szczelnie zamknięte okiennice. Drzwi się uchyliły. Znaleźliśmy się w reprezentacyjnym domu publicznym ówczesnej stolicy Serbii.

Sala była obszerna, bardzo zadymiona, lichy oświetlona; w kącie rzępoliło paru zobojętniałych na wszystko cyganów. Przy stolikach — goście różnego wieku i autoramentu, przeważnie w kapeluszach na głowach, — i piękności miejscowe, nader szczebiotliwe. Sprawiały wrażenie pokojówek, które wystroiły się w podniszczone neglige swoich pań. Od czasu do czasu któraś z nich wstawała i kroczyła godnie w drzwi za bufetem. Śladem jej spieszył cokolwiek zażenowany gość.

W tym lokalu podobno spędzali wieczory bracia królowej Dragi w towarzystwie dygnitarzy dworskich.

.....

Elekcyjne posiedzenie Skupczyny odbyło się w Konaku. Nastrój był uroczysty, zwycięstwo ks. Piotra Karageorgiewicza z góry przesądzone. Posłowie — w połowie przynajmniej, — w strojach włościańskich, — wywoływani z listy, wstawali kolejno i mocnym, zdecydowanym głosem odpowiadali: — Żywio Kral Peter.

Wybór zapadł jednomyślnie. Był pięknym objawem samochowawczego instynktu narodu.

Teatr.

Zimą 1903 r. teatr Rozmaitości w Warszawie wystawił moją pierwszą komedię — „Małe dusze”. Tematem sztuki były związki małżeńskie między finansjerą semicką, a rodzinami szlacheckimi. Zagadnienie to poruszył przedemną Kazimierz Zalewski w „Naszyc zięciach”. Ja ująłem je z innego punktu widzenia.

W tydzień po premierze „Małych Duszy” przybyłem do Warszawy. Wyszedłem z przedstawienia głęboko rozczarowany. Sztuka wydała mi się słabą. W realizacji scenicznej odbiegała od tego, co chciałem wyrazić, co snuła wyobraźnia.

Autor dramatyczny, nie może się wyrzekać hazardu utworów niedociągniętych. Stwierdzone błędy wzbogacają doświadczenie. Autor powinien bywać na ostatnich próbach. Nieraz uda mu się wprowadzić poprawki i uzupełnienia.

Autor winien również, choćby kilka razy, pójść na przedstawienia swej sztuki. Nie dla tego, aby podziwiać swój talent lub

zbierać powinszowania, lecz — aby obserwować i studiować reakcję publiczności.

„*Grau ist alle Theorie und grün — des Lebens goldner Baum*“¹⁾

„Małe Dusze“, wyreżyserowane bez polotu, w poszczególnych rolach grane były wyśmienicie. Frenkiel stworzył niezrównaną postać bankiera, Lüdowa, Bolesław Leszczyński i Bednarczyk dali kreacje doskonałe. Krytyki były naogół zachęcające. Władysław Rabski poświęcił „Małym Duszom“ błyskotliwy „List z Krakowskiego Przedmieścia“.

...Nowy pałac wiedeński Karola hr. Lanckorońskiego przy Fasanengasse, — a przede wszystkim zawarte w nim dzieła sztuki, — stanowiły jedną z osobliwości Wiednia. Hr. Lanckoroński posiadał wielkie dobra w Galicji (Rozdół), piękne majątki w b. Kongresówce, koło Wodzisławia. Mieszkał stale w Wiedniu. Żonaty z księżniczką Lichnowską, siostrą ambasadora niemieckiego w Londynie, należał do wiedeńskiej arystokracji dworskiej; z kolonią polską utrzymywał stosunki dość luźne. Duża broda rudawej barwy i mocno rozrosła postać czyniły zeń raczej komtura krzyżackiego, niż magnata polskiego. Po polsku mówił z twardym akcentem, a jeśli się zapalał, krzyczał. Wzbogacając nieustannie swą kolekcję dawnych mistrzów pędzla, z namiętą pasją szukał po taniej cenie sławnych nazwisk. Sceptycy — należał do nich Wojciech hr. Dzieduszycki — podejrzewali, że nie wszystkie owe skarby były bezspornymi autentykami. Galeria posiadała jednak wartość poważną. Nie dostała się Polsce.

Wenecja (1903 r.).

Lato spędziłem z żoną w Wenecji. Wynajęliśmy dwa pokoje w odrapanym pałacu renesansowym na *Canale Grande*. U drzwi wchodowych, od strony Kanału, kołysały się czarne gondole, przymocowane do wystających z brudnej wody równie czarnych słupów. Koronki marmurów, nieskazitelny błękit nieba, leniwy plusk fal, nocie ciepłe, upajające! Pierwiastek tragiczny, który tkwi w tym pięknie, — porywy uczuć zamienia w szal, namiętność czyni okrut-

¹⁾ „Bezbarwną jest każda teoria, wiecznie żywym jest złote drzewo życia“ (Goethe).

ną. Szekspir Shylocka i Otella w Wenecji osadził. D'Annunzio swe płomienne przeżycia z Eleonorą Duse z perłą Adriatyku w nierozzerwalną całość związał.¹⁾

Ranki spędzałem samotnie w Giardini lub na Lido. Pisałem nową sztukę, lecz pisanie szło — opornie. W dzień wabiło *dolce far niente*, wieczorem — mieszkanie było okupowane przez ko-mary. Trzeba było zamykać szczelnie okna, — wtedy brakło powietrza, lub też gasić lampy...

Nie znam miasta mniej nadającego się do pracy, jak Wenecja! Upał był obojętny. Powietrze wydawało się zastygłe, trudno było oddychać. Leżałem na kanapie w mym pokoju, z okien roztaczał się szeroki widok na *Canale Grande* i *Giudecchę*. Nagle od strony Santa Maria Novella zajączał dzwon kościelny. Jeszcze chwila, — wszystkie dzwony Wenecji jęczały ponuro. Wielki Kanał zaszumiał, dzioby gondol, przymocowanych u portalu, szczękały złowrogo. Lazur widnokręgu zasnuł się mętym żółtawym światłem. Dzwony były bez przerwy.

W drzwiach pojawił się gospodarz silnie wzruszony.

— *Il papa e morto!*²⁾

Następcą Leona XIII, jednego z najbardziej niepospolitych sterników Kościoła Katolickiego miał zostać patriarcha wenecki, skromny kardynał Sarto.

Lato w Zakopanem.

Wakacje w r. 1904-ym spędziłem wraz z rodziną w Zakopanem, które było letnim punktem zbornym inteligencji polskiej ze wszystkich trzech zaborów.

Roilo się od literatów i artystów. W poronińskiej Harendzie gospodarzył Jan Kasprowicz; mieszkał u niego Leopold Staff. Stefan Żeromski błąkał się po odludnych ścieżkach i drożynach, samotny i chmurny. Ukochany syn gasł mu w oczach.

Z wielkich mistrzów pędzla i dłuta — Fałat, Wyczółkowski, Axentowicz, Wojciech Kossak, Augustynowicz, Laszczka oraz ich animator — Feliks Jasieński. Można było zamalować Giewont. Tadeusz Pawlikowski, otoczony chmarą aktorów i aktorek. Rittne-

¹⁾ „Il fuoco“.

²⁾ — Papież umarł!

rowie osiedli w Bukowinie, ale przybywali do Zakopanego na każde wezwanie. Z Wiednia zjechali także Rosnerowie; Adolf Nowaczyński odprawiał miodowe miesiące. Z Krakowa często wpadał Rudolf Starzewski, nieco rzadziej z Miłosławia — Józef Kościelski i Zdzisław ks. Czartoryski — ze Starego Sielca. Kazimierz Tetmajer był stałym mieszkańcem Zakopanego. Zjawili się Reymontowie.

Byliśmy młodzi, rozpierała nas radość życia. Każdy snuł swoje marzenia, ambicje, plany, każdy nad czymś pracował. Gdyśmy zbierali się przy wspólnym stole, humory zakwitały jak maki. Rozplatały się dyskusje, rakiety dowcipów strzelały gradem kolorowych światła. Wzgarda dla rzeczy małych sprawiała, że „dziecinne” kieliszki do wódki, jakie zwykł był proponować Kasprowicz, posiadały rozmiary wcale sporych szklanek.

Często schodziliśmy się w małej restauracyjce Karpowicza na Krupówkach, tuż za strumieniem, który w dni dżdżyste wzbierał, burzył się i hałaśliwie bełkotał. Nam — po paru „dziecinnych” — w głowach szumiało jeszcze głośnie. Kasprowicz odwalał niezliczone kurdesze, współbiednicy obojga płci wtórowali ochotczo.

Pamiętam raz — po takim sympozjone — odprowadzaliśmy Kasprowicza i Staffa do Poronina. Letnia noc była rozkoszna, szafirowe niebo utkane gwiazdami, pełnia księżyca. Kasprowicz porwał moją żonę i szorował ostro na przedzie. Reymont uparcie nie odstępował swojej blondyneczki, której turkusowe oczy i czerwone usta śmiały się radośnie. Był wściekle zazdrosny o każde jej spojrzenie. Tą uroczą blondyneczką była pani Lila, którą niedawno poślubił. Rittnerowie, Staff i ja zamykaliśmy bezładny pochód. W Harendzie Kasprowicz błagał, by krzykiem nie obudzić córek. Gdy w Poroninie poczynął się ranny ruch, szliśmy szturmować do pobliskiej gospody: dokuczał nam głód i pragnienie.

Kasprowicz, poeta-żywiol, wyładowywał swój wybuchowy temperament w olbrzymim wysiłku pracy. Z pochodzenia — chłop wielkopolski, zdobywał serca szczerością, zapalem, ochotą do wiedzy i czynu. Zrósł się organicznie ze Lwowem, i na tamtejsze młode pokolenie pisarskie wywierał wpływ fascynujący. W dziedzinie literatury nadobnej „Kacper” był we Lwowie umiłowaną wyrocznią. Leopold Staff był umysłowcem, lubującym się w głębiach zawitych problemów duchowych i cyzelował każdy wiersz z precyzją Celliniego. Obaj jednakowo lubili długie dyskusje. Kasprowicz gadał pięknie i bez końca, Staff uśmiechał się z wdziękiem i niekiedy tylko dorzucał słowa ważne lub dowcipne.

Któregoś dnia wybraliśmy się z żoną i z Leonem Wyczółkowskim we trójkę na Czerwone Wierchy. Na jednej z wysoko położonych przełęczy lśniło srebrem lustrzanym małe jeziorko. Było tam tak pięknie, że oniemieliśmy. Wyczół walczył przez jakiś czas ze wzruszeniem. Nagle rzucił się na aksamit bujnej murawy i głosem nabrzmiałym od tamowanych łez, wołał:

— Panie Boże! Dziękuję Ci za to piękno! Panie Boże! Dziękuję!

Byłem niemniej wzruszony. Żona przypatrywała się nam z uśmiechem.

— Stare dzieciaki!

...Tadeusz Pawlikowski! Od czasów Stanisława Koźmiana — najznakomitszy w Polsce dyrektor teatru! Skromnej scenie lwowskiej nadał blask niebywałej świetności. Znaczny majątek pozwalał mu puszczać wodze wielkopańskiej fantazji. Zgromadził zespół znakomity z Solskim, Kazimierzem Kamińskim, Romanem, Siemaszkową i Bednarzewską na czele, podniósł poziom repertuaru na wspaniałe wyżyny, budził podziw wnikliwością reżyserii, bogactwem wystawy. Cała Polska kulturalna zjeżdżała do Lwowa, by zachwycić się widowiskami, które były arcydziełami sztuki teatralnego.

Pawlikowski pochodził z bogatej szlachty galicyjskiej. Wydzielił swą schedę z rodowej Medyki i ulokował w nieopanowanej pasji, która go nurtowała, — w namiętnym umiłowaniu sceny. Wrażliwy i kapryśny jak kobieta, fantasta aż do perwersji, intelektualista, wciąż szukający najczystszych wzruszeń artystycznych, w teatrze był zjawiskiem niezwykłym. Różnił się zasadniczo od dyrektorów zawodowych, którzy przeważnie rekrutowali się z pośród bardziej przedsiębiorczych aktorów. Tak samo jak Koźmian, w pewnym stopniu był dyletantem, w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Nie kalał się sprawami administracji, teatr interesował go tylko od strony sztuki. Wszedł do teatru, by swoim górnym upodobaniem i skłonnościami zadość uczynić. Wprowadził na repertuar dzieła takich pisarzy, jak Ibsen, Björnson, Strindberg, Hauptmann, de Curel, Oskar Wilde, Courteline, Becque, Czechow, Gorkij, Maeterlinck... Ciągłość pracy nużyła go, od czasu do czasu zniknął. Tygodniami nie było go widać. W teatrze wówczas łątano repertuar, jak się dało. Stąd niespodzianki: obok widowisk o niezrównanym polocie artystycznym, zdarzały się przedstawienia „puszczone”, nawet tandetne. Subtelne umiłowania pięknoducha z Medyki zresztą nie zawsze znajdowały oddźwięk w szerszych kołach publiczności, szukającej w teatrze łatwej rozrywki.

W toku kilkoletnich zmagania, Pawlikowski stracił całą fortunę. Doświadczenia nie nabrał, magnackiego gestu wyzbyć się nie potrafił.

Gdyśmy się zaprzyjaźnili, powtarzał mi nieraz: — Pamiętaj, co mi mówił stary Koźmian, gdym obejmował teatr. „Publiczność, to kurwa”. Nie znosi ślubów, bywa niekiedy wierną kochanką, — wiary małżeńskiej nie dotrzymuje nigdy.

Niesłusznym byłoby jednak mniemać, że Pawlikowskiego zrujnował wyłącznie teatr. Bez teatru byłby również potrafił tego dokonać. Nie umiał się rządzić ani oszczędzać, prowadził życie wystawne, otaczał się licznym gronem darmozjadów.

O dezynwolturze wielkopańskiej Pawlikowskiego świadczyły objawy złego humoru, gdy przezeń wybrana i reżyserowana sztuka nie zyskiwała powodzenia. Nic z tego, że widownia świeciła pustkami! Pawlikowski, jakby chcąc zemścić się na gruboskórnej publiczności, trzymał sztukę na afiszu tygodniami. Kosztowało go to dziesiątki tysięcy guldenów, administracja płakała. Pan z Medyki był niewzruszony. Natomiast, gdy jakaś głupia farsa zagraniczna zdobywała spragnioną zabawy publiczność i zapełniała salę, Pawlikowski zrzucił nagle „szlagiera” z afisza. Administracja rozpaczła...

Umysłowość Pawlikowskiego była, według wyrażenia Stendhala, w nieustającym stanie buntu...

Realną spuściznę zostawił po sobie inny niemniej znakomity dyktant, również z zamożnych sfer pochodzący — Feliks Jasieński. Ten interesował się sztukami plastycznymi, głównie malarstwem. Że osobliwe upodobanie żywił do sztuki japońskiej, nazywano go w kołach przyjaciół Japończykiem, — albo Manghą, — od tytułu książki, którą wydał naprzód w Paryżu po francusku, potem — w Krakowie po polsku. Książka ta była właściwie diariuszem jego pobytu zagranicą, wypowiadał się w niej o aktualnych zagadnieniach i wydarzeniach.

Feliks Jasieński kochał sztukę, ale wyłącznie tego kierunku, który sobie upodobał i który bezsprzecznie tego umiłowania był godzien. Do wszelkiej innej odnosił się z niezawsze usprawiedliwioną wzdargą. Najbliższą Jasieńskiemu była grupa artystów, którzy zrzeszyli się w stowarzyszeniu krakowskim „Sztuka”. Przewodzili w tej grupie Wyczółkowski, Stanisławski, Fałat, Jacek Malczewski, Mehoffer.

Jasieński tak samo przepuścił majątek na sztukę, jak Pawlikowski na teatr. Lecz cenne zbiory Jasieńskiego, — w które wło-

żył duszę i spadek po ojcu — zostały dla ogółu uratowane: dzięki fundacji Szolayskich znalazły pomieszczenie w narożnej kamienicy przy ul. Szczepańskiej w Krakowie, jako oddział Muzeum Narodowego. W ostatnich latach swego życia Jasieński utracił wzrok.

Nowaczyński w tym czasie pisał swoje „Facecje Sowizdralskie”, szydliwe *burle e buffe*, oraz pierwsze jednoaktówki. Rozpoczął wydawnictwo „Liberum Veto”. We wszystkim, co wychodziło z pod jego pióra, pienił się talent niepospolity. Kąśliwy dowcip i nieouzdany animusz pociągały go często na takie same trzęsawiska, jak przed 500 laty jego mistrza Aretina. Przyparty do muru, musiał nieraz przeproszać. Sam wobec ostrzejszej odprawy ujawniał nadmierną wrażliwość.

Wacław Grubiński przez długie lata przyjaźnią z nim związany, pisał:

„Nowaczyński, ten kochanek pamfletu, posiada w zakresie przeczenia samemu sobie łatwość zachwycającą”.

Wincenty Rzymowski, publicysta wysokiej rangi, późniejszy minister Kultury i Sztuki, a następnie — Spraw Zagranicznych, proponował dla Nowaczyńskiego epitafium:

„Księżom i hrabiom dogryzał,
Gdzie napluł, potem wylizał”.¹⁾

„Rzadziej towarzyszył nam Kazimierz Tetmajer, tajemniczy i nieufny, własnymi przeżyciami i sprawami pochłonięty. Uważał nas za ceprów miejskich; z cyganerią naogół mało miał wspólnego.

Kiedy później w „Świecie” drukowałem jego powieści i inne utwory, zbliżył się do mnie i częstym bywał w naszym domu gościem.

Teatr.

Jesienią 1904 r. wystawiłem w Rozmaitościach trzecią moją sztukę, — trzyaktową „Tęczę”.

Główne role przypadły Frenklowi i Siemaszkowej. Trzy inne — Irenie Trapszowej, Nowickiemu i Bol. Ładnowskiemu.

Frenkiel, przeczytawszy egzemplarz, był bardzo zaniepokojony.

¹⁾ „Cztery wieki fraszki polskiej” Juljana Tuwima z przedmową Al. Brücknera. Warszawa 1937.

— Podoba mi się sztuka i rola, tylko że ja amantów grać nie mogę! mówił. Popatrz na mój nos! Czy chcesz, żeby w dramatycznych scenach publiczność ryczała ze śmiechu?

Odpowiedziałem:

— Ty jeden potrafisz zespalać humor z uczuciem, a nic silniej nie wzrusza, jak taki aliaż. Stworzysz żywego człowieka!

Targi trwały długo. Jedno z niedzielnych zebrań u Konara było całkowicie tej sprawie poświęcone. Frenkiel dał się przekonać.

— Dobrze, będę grał, — skarżył się żałośnie, lecz jeśli wyniknie skandal, ty jeden będziesz winien.

Nie tylko nie było skandalu, ale przeciwnie, — Frenkiel odniósł wielki sukces. Był jednocześnie śmieszny i wzruszający. Cała obsada była wyśmienita.

Pierwszy raz w życiu przeszedłem za kulisami autorskie tortury premiery. Po drugim akcie rozległy się hałaśliwe wywołania (podejrzewałem Śliwińskiego, że „organizował widownię“). Wyciągnięto mnie, półprzytomnego z wrażenia, na scenę. Za światłami rampy ciemny, wielogłowy potwór klaskał, bawił się moim zawstydzeniem. W naiwności ducha sądziłem, że to triumf. Jan Brzeziński, wtedy — naczelnny redaktor „Kuriera Warszawskiego“, wyprawił po przedstawieniu kolację, na którą zaprosił wszystkich grających w sztuce artystów, Rabskiego i mnie.

Nazajutrz obudziłem się późno. Pierwsze wzmianki i krytyki tchnęły życzliwością. Były jednak nieporównanie chłodniejsze, niż przyjęcie, jakiego doznałem od publiczności.

Pozegnanie z Wiedniem.

Przebieg wojny japońskiej wywoływał w Rosji coraz gwałtowniejsze wrzenie rewolucyjne. Mnożyły się zamachy, strajki, manifestacje. Próby rządów twardej ręki skończyły się zabójstwem Plehwego. Ulegając coraz śmielszym i powszechniejszym żądaniom, cesarz Mikołaj powierzył władzę ks. Światopełk-Mirskiemu, który uchodził za liberała. W grudniu 1904 r. Witte został powołany do opracowania projektu reform. W kilka tygodni potem nastąpiła rzeź tłumów, prowadzonego bez złych jakoby zamiarów przez Hapona do Pałacu Zimowego. Spowodował ją w. ks. Włodzimierz Aleksandrowicz, stary wesołek, któregośmy przed kilku laty spot-

kali w Paryżu u Maxim'a. Rewolucjoniści odpowiedzieli zabójstwem w. ks. Sergiusza w Moskwie. W marcu 1905 r. odgrzebano po 25 latach liberalne pomysły Loris-Melikowa i Wałujewa, projekt Dumy o charakterze doradczym.

„Żółtolice makaki“, których na lądzie „cud-bohaterzy“ rosyjscy mieli czapkami zarzucić, prały tymczasem bez miłosierdzia olbrzymie armie Kuropatkina, Liniewicza, Aleksiejewa. Pod Cuszimą zniszczone zostały wielkie floty rosyjskie...

Stawało się jasnym, że w następstwie tych klęsk carat musi utracić dotychczasowy autorytet i w Rosji zajdą wielkie zmiany wewnętrzne, że i w Królestwie nie będzie mogła utrzymać się dalej polityka, której celem miało być: „dogłupit polaków do urownia Rosiiji“ (dogłupić polaków do poziomu Rosji). Odsetek analfabetów wynosił w b. Królestwie 61%. W polskich miastach fabrycznych szerzyły się w sposób zastraszający alkoholizm i przestępczość, w osiedlach wiejskich panowały ciemnota i nędza. Wszelka akcja ratownicza ze strony inteligencji polskiej poczytywana była za propagandę przeciwpaństwową.

W pobudliwszych umysłach polskich ruch rewolucyjno-społeczny najdował żywy oddźwięk. W Warszawie, Łodzi, Radomiu, Skarżysku, Zagłębiu Dąbrowskim mnożyły się strajki, walki z policją i wojskiem, zamachy, napady. Kierowała tą akcją Polska Partia Socjalistyczna. Narodowa Demokracja prowadziła tajną oświatę, organizowała strajki młodzieży szkolnej. Pod jej wpływem w pewnej liczbie gmin zebrania chłopskie wystąpiły z żądaniem usunięcia języka rosyjskiego z urzędów i szkół wiejskich. Zalecano bojkot wódki i tytoniu, jako monopolów państwowych.

Gromadziły się ciężkie chmury, zbliżała się burza. Dla nas światała jutrznia lepszych czasów.

Możnaż było w takim momencie dziejowym pozostawać z dala od kraju?

Od dłuższego czasu nurtowała mnie myśl, że Warszawa nie posiadała nowoczesnego tygodnika literackiego, — uwzględniającego zarówno w treści, jak w ilustracjach, wszystkie ważniejsze przejawy życia, a dostosowanego do potrzeb umysłowych szerszych warstw inteligencji polskiej. Zwierzyłem się Piltzowi, że chętnieby taki tygodnik redagował. Przyrzekł czynne poparcie. Zgłosił akces do tego projektu również mój przyjaciel, Jan Skiński, w imieniu Zakładów Drukarskich S. Orgelbranda Synów.

Nie bez żalu decydowałem się na opuszczenie Wiednia. Miasto było urocze, okolice powabne, ludzie przyjemni, atmosfera życzliwa dla nauki, literatury i sztuki. Wino, kobieta i śpiew! Wino było lekkie, — słodkie dziewczęta, idealizowane przez Schnitzlera — czułe, zmysłowe i niemądre, muzykalność wypowiadała się głównie w piosence. Naddunajskiej Kapui brakowało głębszej, twardej wiary we własne przeznaczenie. Gdy piętrzyły się wewnętrzne trudności, biurokracja wiedeńska pocieszała się aforyzmem Metternicha, że gdyby Austrii w Europie nie stało, trzeba by ją stworzyć...

Z ust polityków polskich natomiast słyszałem nieraz zatroskane pytanie:

— Dobrze, póki żyje stary cesarz! Lecz co będzie później?...

...Realizację moich planów opóźniło ciężkie zapalenie płuc i dłuższa rekonwalescencja w Abbazji. Skracałem ją, pisząc w zacisznych winiarniach Lovrany „Edukację Bronki”.

Gdy w czerwcu 1905 r. przybyłem do Warszawy, w Sewastopolu rozgrywał się dramat „Patiomkina” i jego komendanta, kpt. Szmida. Tadeusz Miciński skorzystał na gorąco z fantastycznego tematu.

W Warszawie życie na pozór płynęło zwykłym trybem. Na polu Mokotowskim odbywały się wyścigi; „karnawał zielony” ściągnął zamożniejsze ziemiaństwo. Jednak ochoty do zabawy brakło, w teatrach bywało pusto, więzienia były przepełnione. Od ucha do ucha biegły zatrważające wiadomości o strajkach, zamachach, napadach, sądach wojennych, egzekucjach. Rewolucyjny ferment wyładowywał się w ten sam sposób, co w Rosji, z tą głęboką wszakże różnicą, że walka prowadzona przez Polską Partię Socjalistyczną miała charakter nie tylko klasowo rewindykacyjny i przeciwrządowy, ale nabierała cech wojny podjazdowej z zaborcą. Wielka własność ziemska, wielki przemysł i finanse przerażone były tym „szaleństwem”. W owych sferach trudno było znaleźć entuzjastów, którzyby jak Goethe „miłowali ludzi, domagających się niemożliwości”. Lecz i tam głosy ściszały się i twarze bladły, gdy opowiadano o kaźni Okrzei¹⁾ lub Montwiłła. W miejskiej inteligencji postępowej nie brakło dusz gorących, które ukrywały rewolucjonistów, organizowały ich obronę, pomagały w ucieczce, w rozpowszechnianiu bibuły. Wyrabiały się charaktery i umysły, które miały w kilkanaście lat później odegrać tak ważką rolę w dziejach Odrodzenia Polski.

Tymczasem publicznymi ogniskami wiadomości złego i dobrego były cukiernie i nieliczne jeszcze kawiarnie. Prym trzymał Lourse, najruchliwszy magiel plotkarski stolicy. Tu przy różnych stolikach spotykali się przedstawiciele wszystkich ideologii politycznych.

¹⁾ Dwudziestoletni Okrzeja odmówił podpisania prośby o łaskę. Umierał jak bohater.

W cukierni „Pod Filarami” brać dziennikarsko-teatralna wykulała codziennie nowe anegdoty i koncepty aktualne, często złośliwe i nawet dowcipne. Chuda fara inteligentka schodziła się w Udziałowej i Nadświdrzańskiej.

...Ledwie się rozstawił w Bristolu, zjawia się Tadeusz Smarzewski, podniecony, tajemniczy.

— Czy umowę na „Świat” podpisałeś?

— Jeszcze nie. Ale w tym celu przyjechałem.

— Chciałbym z tobą dłużej pomówić.

Sprawa była istotnie poważna. Czterech młodych podówczas magnatów, Adam hr. Krasiński, Zdzisław ks. Lubomirski, Juliusz hr. Tarnowski i Seweryn ks. Czetyrtyński odsunęli się od Partii Polityki Realnej, w obszernym memoriale motywując swoje odstąpienie. Nie chcieli się solidaryzować z nadto wiernopoddanymi tendencjami tego odłamu konserwy, któremu przodowali hr. Władysław i Zygmunt Wielopolscy. Secesjoniści nie zamierzali jednak wycofywać się z polityki. Nosili się z zamiarem utworzenia samodzielnej grupy. Plany ich i nadzieje były nacechowane najlepszą wolą, górnymi ambicjami i niedostatecznym skonkretyzowaniem. W toku narad ze zgłaszającymi się adherentami ustalono, że dla prowadzenia żywszej akcji polityczno-społecznej nieodzownym będzie własny, poczytny organ. Nowe stronnictwo miało nazywać się „Spójnią”.

Przypadło to akurat w chwili, kiedy niedawno owdowiała główna właścicielka „Kurier Warszawski”, pani Hortensja Lewentalowa, zaniepokojona sytuacją polityczną i trudnościami wydawniczymi, ujawniła chęć odstąpienia swoich udziałów. Stawiły one 1/4 całości.

Smarzewski w dalszym ciągu mówił:

— Adam Krasiński proponował mi, w razie gdyby transakcja z „Kurierem” doszła do skutku, stanowisko naczelnego redaktora. Odmówiłem. Gdy prosił mnie o wskazanie odpowiedniego kandydata, wymieniłem ciebie.

Smarzewski upoważnił mnie, abym wtajemniczył w tę sprawę Piltza. Ten radził pertraktować, lubo nie wierzył, aby właściciele „Kurier Warszawski” zechcieli pozbyć się swego pisma, nawet za wysoką sumę.¹⁾

W pałacu Adama hr. Krasińskiego na Krakowskim Przedmieściu odbywały się narady i zebrania. Z przebiegu ich łatwo

¹⁾ Cena sprzedaży wynosiła jakoby 600 tys. rubli.

było się zorientować, że młodzi panowie chcieli szlachetnie i gorąco, lecz niezupełnie dokładnie wiedzieli, czego chcieli. Wnuk twórcy „Nieboskiej” wywierał wrażenie wysoce sympatyczne. Postaci był wyniosłej, jego prostota w obejściu była nieco afektowana. Stan zdrowia trzymał go z dala od sportu i zabaw, interesowały tym więcej zagadnienia polityczne i literatura. Podejrzewano, że pisał wiersze. Ale spadek wielkiego w piśmiennictwie imienia bywa uciążliwy!...²⁾

Oczywiście, jak zwykle u nas, na tak szeroko zakreślone przedsięwzięcie nie łatwo było zgromadzić środki. Gdy ściągnięto wreszcie deklaracje, pani Lewentalowa rozmyśliła się. Był to z jej strony niewątpliwie akt głębszej rozważliwości. Mimo czasów niespokojnych, rewolucji, wojny i kryzysów gospodarczych, „Kurier Warszawski”, dzięki oględnemu i zrównoważonemu kierownictwu, nie tylko utrzymał swoją popularność, znaczenie i dochody, ale zapewne jeszcze je podniósł.

Powróciliśmy tedy do naszych projektów, ja tym chętniej, że tygodnik literacki zapewniał mi niezależność³⁾ i lepiej moim aspiracjom i umiłowaniom odpowiadał. Trzeba było jak najspieszniej jechać do Petersburga, by wziąć czynny udział w zabiegach o koncesję. Towarzyszyła mi tym razem żona, która chciała poznać rodzinę ojca. Jej stryj, Giulio Bruni był jednym z najwybitniejszych architektów petersburskich. Jemu to niebawem powierzono przebudowę Pałacu Taurydzkiego na siedzibę Dumy Państwowej.

Korzystając ze sposobności, zrobiliśmy wycieczkę do Finlandii. Pierwszym etapem był Helsingfors. Gdyśmy wysiedli na ląd, zwróciłem się po rosyjsku do jednego z licznych tragarzy portowych, by zaniósł nasze walizy do dorożki. Tragarz obrzucił mnie niedbałym spojrzeniem i odszedł. To samo zrobił drugi i trzeci. W Finlandii bojkotowano rosyjczyków i mowę rosyjską.

Włóczęga po Scherach, aż do Hangö, przepojona była ciszą, martwym spokojem i melancholią. Szary błękit nieba, stalowe odbłaski sennych wód, ciemna zieleń lasów i rude skały... Tu i owdzie — czerwony domek, jak gdyby przez ludzi opuszczony...

W końcu września powróciłem do Warszawy z uzyskaną koncesją na „Świat”.

¹⁾ Adam hr. Krasiński wspólnie z Kazimierzem Tetmajerem miał napisać „Eleonorę”, dowcipną parodię poetycką, wymierzoną przeciw rozczochranej ekstrawagancji dekadencej.

²⁾ „Większym szczęściem jest — nie potrzebować nikogo słuchać, niż całemu światu rozkazywać” — pisała szwedzka królowa Krystyna.

Z Cesarstwa nadbiegały wiadomości coraz groźniejsze. Zaburzenia, zamachy, walki uliczne! W Finlandii jawna rewolucja.

W dniu 20 października całe państwo ogarnął strajk kolejowy, który wprędce przeobraził się w strajk powszechny. W Warszawie ulicami przeciągały na zmianę grupy manifestantów i oddziały wojska. Sklepy i lokale publiczne pozamykano. Jedyne teatry rządowe nie przerywały przedstawień, które odbywały się przy puściuteńkich salach. Aktorzy recytowali swe role pospiesznie i w skrótach. W Bristolu restauracja była zamknięta. P. Jentys, dyrektor hotelu, dokazywał cudów energii, by jaki taki ład utrzymać i gości wyżywić. Pantoflowa poczta niosła najpotworniejsze plotki, obszerny hall zamieniał się w ich giełdę. Zadziwiająca rzecz: w tych chwilach zmagania dramatycznych Warszawa nie traciła humoru. Każdy dzień nowe improwizował dowcipy i kalambusy.

...W dniu 30 października z szarego nieba olśniewająca błyskawica: Manifest cesarski! Konstytucja! Wolność wyznań, słowa, zebrań i zrzeczeń. Parlament!

W ciągu kilkunastu minut miasto zakipiało życiem. Ogólne wzruszenie, podniecenie! Na chodnikach coraz gęstsza ciżba. Na rogach ulic — konwentykle, tu i owdzie — agitacyjne przemówienia. Wojska i policji ani śladu.

Wczesnym wieczorem przyszedłem z żoną do Bristolu. W hall'u spotkaliśmy Miriama i Reymonta, wkrótce przyłączył się do nas Rabski. Przeszliśmy do jednego z boksów za salą restauracyjną, gdzie nam przyniesiono zimnego mięsiwa.

W drzwiach stanął Aleksander Lednicki. Poznałem go u Włodzimierza Spasowicza, który już od paru lat na stałe osiadł w Warszawie. Lednicki poczytywany był za wyborczego znawcę stosunków i spraw rosyjskich. Zasypaliśmy go pytaniami. Co nam, Polakom, niósł manifest cesarski?

Lednicki twierdził, że pod autokratycznym samodzierżawiem wstrząsnęły się fundamenty, i że już nie było siły, która mogłaby powstrzymać dalszy proces, choćby nawet nastąpiły próby reakcji. Wierzył w zwycięstwo ideologii radykalnej kadetów, z którymi w pierwszej Dumie miał zasiąść na wspólnych ławach. Jego zapal i wymowa wywierały wrażenie, lubo nie rozpraszały wszystkich wątpliwości.

Już było po północy, kiedy odprowadzałem żonę do mieszkania teściowej. Towarzyszył nam Rabski. Jesienny wieczór był

wilgotny, pochmurny i chłodny. Niebo bez gwiazd, ulice bez światła.

Jakiś śpiew daleki... Złudzenie?

Przyspieszyliśmy kroku. Śpiew stawał się coraz wyraźniejszy. Przed kościołem św. Krzyża klęczało na bruku kilkadziesiąt osób, śpiewając „Boże coś Polskę”. Surowo zakazana, prześladowana pieśń płynęła w samorzutnej modlitwie, dając najistotniejszy wyraz uczuciom.

Uklękliśmy, głęboko wzruszeni.

...Pochód w dniu 5 listopada 1905 r. był jednym z najpiękniejszych, jakie widziały ulice Warszawy. Zaimprovizowany odruchowo, zgromadził niezliczone tłumy. Umilkły rozdźwięki, ład był wzorowy, na wszystkich twarzach powaga.

Manifest cesarski, wieszczący Rosji nadanie konstytucji, wyszedł z pod pióra S. J. Wittego, który w ostatniej chwili, kiedy Imperia dygotała w rewolucyjnych dreszczach i bezładzie, uzyskał dla swego projektu orędownictwo W. Księcia Mikołaja Mikołajewicza, naczelnego wodza rosyjskich sił zbrojnych. Cesarz wciąż się wahał i zwlekał, młoda cesarzowa była reformie wręcz przeciwna. Ale koleje żelazne, poczty i telegrafy zawiesiły ruch, wszystkie fabryki stanęły. W organizmie państwowym krew przestała krążyć.

W Peterhofie doszło do sceny kulminacyjnej! W. Księżę Mikołaj Mikołajewicz zagroził, że jeśli edykt nie będzie podpisany, on palnie sobie w łeb. Wyjął rewolwer, przykładając go do skroni. Cesarz, znając gwałtowny charakter wielkiego księcia, wierzył, że gotów pogroźki dotrzymać.

Ukaz konstytucyjny został podpisany.

Ten sam W. Księżę Mikołaj Mikołajewicz w kilka miesięcy później tak dalece zmienił zdanie, że swą dostojną życzliwość przeniósł na Dubrowina i innych przywódców reakcyjnego Związku Prawdziwych Rosjan, nieprzejeżdżanych wrogów Konstytucji, — t. zw. „czarnej sotni”.

S. J. Witte w swoich „Wspomnieniach”, wydanych w roku 1926-ym w Berlinie, pisze:

„W tym samym czasie w Kraju Przywiślańskim patriotyzm narodowo-polski, który opierał się na tradycjach historycznych, a który swe wpływy czerpał z samowoli panoszącej się biurokracji rosyjskiej, brał górę nad wszystkimi kierunkami myśli polityczno-społecznej, dzielącymi główne warstwy ludności. Patriotyzm zjednoczył masy narodu polskiego w dążeniu do zdobycia większej

lub choćby mniejszej wolności. Na tej platformie politycznej łączyli się prawie wszyscy Polacy.

Różnice polegały jedynie na skali i zasięgu żądanych swobód."

Komentarz ministerialny do władz lokalnych w „Kraju Przywiślańskim” polecał nie przeszkadzać ujawnianiu uczuć („nie mieszać” projawleniu czuwstw”). Władze lokalne były w nielada kłopotcie, bo uczucia ludności wyładowywały się nader różnie, oczekiwane uspokojenie umysłów nie następowało. Krajowe ugrupowania socjalistyczne naogół solidaryzowały się z rosyjskim ruchem rewolucyjnym, Polska Partia Socjalistyczna umiała jednak swej akcji nadać charakter samodzielny. Narodowa Demokracja, na razie przeciwna walce czynnej, prowadziła tym gorętszą agitację wśród młodzieży i wśród włościanstwa na rzecz języka polskiego w szkole i w urzędach. Józef Piłsudski pojechał z Tytusem Filipowiczem do Japonii, by zabiegać o poparcie dla polskiego ruchu niepodległościowego. Natknął się tam na Romana Dmowskiego, który przybył do Tokio, aby rząd nipponski przed taką polityką przestrzec.¹⁾

Anatol Mühlstein w swojej książce „Le Maréchal Pilsudski” (Płon, 1939) pisze: „Pod niebem Tokio zdarzyły się gwałtownie dwie wielkie indywidualności polskie, reprezentujące dwa przeciwne kierunki polskiej myśli politycznej. Antagonizm tych dwóch przywódców opinii polskiej nie ustanie aż do śmierci.”

Idealiści radzili bez przerwy, łamiąc ręce nad lekkomyślnością „stronnictw skrajnych”. Nie mieściła się w ich mózgach stara prawda, że narody giną tylko z gnuśności i zepsucia. „Żaden naród nie umiera z powodu rewolucji”, (Keyserling).

Rząd rosyjski ze swej strony pamiętał o roku 1792-im, o rewolucji listopadowej, o powstaniu Styczniowym i tak samo w Królestwie nie ufał białym, jak czerwonym.

Charakterystycznym objawem rozstroju był wiec aktorski, który odbył się w Teatrze Wielkim (12 listopada). Dużą salę wypełnili po brzegi aktorzy, aktorki, pracownicy teatralni i wszelkich stanów i autoramentów teatromani, nie wykluczając kelnerów z cukierni Semadeniego i z restauracji Millera. Na scenie ustawiono mównicę. Popis samorzutnych talentów krasomówczych był niezwykle obfity. W roli gwałtownego obrońcy polskich praw do własnego teatru wystąpiła Estera Golde, znana socjalistka. W dłu-

¹⁾ Michał Bobrzyński: „Dzieje Polski” (tom III, str. 320).

gim, gorąco oklaskiwanym przemówieniu pouczała literatów i aktorów polskich, jak na terenie kulturalnym mają prowadzić walkę z absolutyzmem carskim.

Momentem kulminacyjnym było pojawienie się na trybunie „ojca komedii polskiej”, Kazimierza Zalewskiego.

— Teatry są wasze! zwrócił się do grupy starszych aktorów, na co czekacie? Bierzcie je! To wasza własność.

Huknęły oklaski, okrzyki. Starsi aktorzy bili brawo, ale spoglądali jeden na drugiego z zakłopotaniem.

W parę dni później teatry zostały zamknięte...

Aktorzy znaleźli się w przykrym położeniu, bo dyrekcja przerwała wypłatę pensji i zaliczek. Wznowiono przedstawienia dopiero 25 listopada, na skutek interwencji Jaczewskiego, dyrektora kancelarii generała-gubernatora. Postulaty i uchwały wiecowe poszły w niepamięć.

Otwierano sklepy i wnet barykadowano je ponownie. Ulicami przeciągały mniejsze i większe pochody. Jedne śpiewały „Boże coś Polskę”, inne — „Czerwony Sztandar”. Przygodni mówcy wdrapywali się na latarnie.¹⁾

...Koło 9-ej wieczorem (1 listopada) powracałem do Bristolu. Grupy przechodniów sunęły w kierunku placu Teatralnego. Słychać było oddalone krzyki i rumor liczniejszego zbiegowiska. Tłum próbował opanować Ratusz, walił kamieniami i drągami w bramy.

W pobliżu pałacu Kronenberga zatrzymał mię wzmożony wybuch wrzasków — i raptowna cisza. Wśród przechodniów poszedł szept:

— Wojsko!

I huknęły salwy karabinowe. Jedna, druga! Przerażliwe krzyki, zawodzenia kobiet. Kto żyw, uciekał w stronę placu Wareckiego i Marszałkowskiej.

— Kozacy!

¹⁾ Na placu Saskim, naprzeciw soboru, tłum przechodniów otoczył agitatora, który uczepił się latarni i wołał:

— Towarzysze! Walkę musimy prowadzić do ostatecznego zwycięstwa. A ostateczne zwycięstwo nastąpi wówczas, kiedy z czaszki jednego Romanowa będziemy pili krew wszystkich innych Romanowych.

Brzuchaty facecjonista, odziany z waszecia, tubalnym głosem wyraził swoje uznanie.

— Towarzysz — jest amatorem czerniny!

Wybuchły śmiechy, czar wymowy przysł.

Dopadłem redakcji „Kuriera Polskiego” na Św. Krzyskiej. W saloniku pp. Straszewiczów było pełno. Erazm Piltz, milczący i chmurny, Ludwik Straszewicz, Ludomir Grendyszyński, Antoni Donimirski, Adam Zakrzewski, Wincenty Kosiakiewicz, Kazimierz Puffke, kilka innych osób. Zasypano mię pytaniami. Nie skończyłem opowiadać, gdy w drzwiach pojawił się ks. rektor Chelmiński z nowymi szczegółami. Wszyscy byli silnie poruszeni.

...Nazajutrz wczesną porą wybiegłem na miasto. Przechodnie ciągnęli w stronę Marszałkowskiej, gdzie jakoby miał odbywać się wiec. Z daleka słysząc było okrzyki, wtem zabrzmiała pobudka wojskowa. Wpadłem w ulicę Złotą, schroniłem się do bramy domu pod Nr 5. W tym samym momencie trzasnęły bliskie strzały, rozległy się przeraźliwe krzyki, jęki.

Padły dwie służące.

Policja, żandarmeria i ochrana rozwijały gorączkową gorliwość w tropieniu i chwytności rewolucjonistów.

Na ulicach w dzień i w nocy rewidowano przechodniów. Więzienia zapelniały się, sądy wojenne pracowały bez wytchnienia. W Radomiu, w związku z zamachem na szefa tamtejszej żandarmerii, uwięziono mego siostrzeńca, Henryka Mierzejewskiego. Miał 18 lat, groziła mu kara śmierci. Matka moja umierała z rozpacz, był to jej najukochańszy wnuk. Przez cały rok walczyłem o życie tego chłopca.

Jakież było szczęście, gdy udało mi się zwolnić go i uzyskać pozwolenie na wyjazd za granicę! Technika polska zyskała z czasem w Henryku Mierzejewskim tęgą siłę. Stał się jednym z wybitnych profesorów Politechniki Warszawskiej, cieszył się powszechnym uznaniem. Przeżycia młodości wszakże poderwały jego zdrowie.

„Świat”.

...Atmosfera do rozpoczynania nowego wydawnictwa była zarazem przychylna i najeżona trudnościami. Przychylna, bo skala zainteresowań czytelniczych pogłębiała się i w oczach rosła, zaostrzał się głód wiadomości. Prasa zyskała na swobodzie wypowiedzenia się, choć kary administracyjne sypały się jak grad i nigdy nie było pewności, o czym i jak można było pisać. Stąd niektóre pisma przesadzały w ostrożności, a czytelnicy spragnieni byli śmiel-

szych wystąpień. Strajki w drukarniach przerywały pracę. Narodowa demokracja, usiłując walczyć z bezładem, którego nie potrafiły opanować władze rosyjskie, organizowała własne bojówki. Wynikały krwawe starcia między czołówkami socjalistycznymi i narodowymi. Ale po długich latach prostracji, w polskiej duszy zbiorowej budziły się nadzieje lepszej doli.

Ostatnie dni przed wydaniem pierwszego zeszytu „Świata” były urwanem głowy. Dwie noce z rzędu nie spałem.

Wreszcie maszyny drukarskie ruszyły... Było dobrze po północy, kiedy wróciłem do domu. Trawiło mię wielkie znużenie i gorączka, dręczył natarczywy niepokój. Przedsięwzięcia wydawnicze i sztuka teatralna bywają takim hazardem!

Żona odgadywała mój stan psychiczny. Nie potrzebowaliśmy słów, by się rozumieć, nasze myśli zbiegały się samorzutnie.

Zasnąłem jak kamień. Obudziłem się nazajutrz dość późno, zdrów i wypoczęty. Na głównych ulicach Warszawy zorganizowane zastępy starszych i młodszych drapichrustów wykrzykiwały siarczyście:

— Pierwszy numer „Świata”! Nowy tygodnik „Świat”!...

W „powitaniu” wstępny wyjaśnialiśmy nasze zamiary:

...„Żywych chwyta w wir życie nowe. Wir ten porywa czytelników i piszących”...

...„Naród patrzy rzeczywistości coraz śmielej w oczy. Uczy się znosić blask prawdy. Coraz natarczywiej docierać chce do treści tych zagadnień, które go męczą i niepokoją”.

...„Obraz życia polskiego, obraz tych zjawisk w życiu narodów innych, które z rozwojem naszego społeczeństwa są w związku: ponętne to zaiste zadanie. Gdy przyjdzie kiedyś pora wydania o pracy naszej wyroku, to znajdzie się może ktoś, co ważąc na szali nasze usiłowania i ich plon, nasze usterki i zasługi, powie na naszą obronę, żeśmy z brzaskiem stanęli do apelu, a widząc, że praca dokonana być musi, jęli się jej szczerze i ochotnie”...

Krwawa środa (15 sierpnia 1906 r.).

Redakcję „Świata” zdekompletowały urlopy letnie. Moja żona z synem wyjechała. Warszawę nurtował wciąż niepokój: strzelania uliczna, wybuchy bomb, rewizje przechodniów. Gdym raz szedł ulicą Marszałkowską w stronę Ogrodu Saskiego, o paręset kroków

przede mną rzucono pocisk w komisarza policji Aleksandrowa. Porwała mię fala uciekającego tłumu, huknęła salwa karabinowa.

Innego dnia zmówili się do mnie na kolację ks. redaktor Chel-micki, Erazm Piltz, Ludwik Straszewicz i Wład. Rabski. Wieczór był ciepły, graliśmy w karty w ogródku, który przylegał do naszego mieszkania, a który później objęła cukiernia Lardellego. Nagle trzasnęły strzały, zdawało się, o kilkanaście kroków. W sąsiednim domu żandarmeria dokonywała aresztowań.

Puls życia osłabł, rozzuchwalał się bandytyzm.

Jednym z ostatnich, na większą skalę, wyczynów Organizacji Bojowej P. P. S. było kilkadziesiąt zamachów, zorganizowanych w różnych miastach Królestwa w środę dn. 15 Sierpnia 1906 r. Padło tego dnia trupem około 80-u szczególnie znienawidzonych żandarmów i policjantów. Najwięcej w Warszawie. Po stronie atakującej ofiar było stosunkowo nie wiele.

Miasto tego dnia gorzało od spieki. Pod oknami redakcji, na-przeciwko dworca, obozowało wojsko, uwijała się policja. Po po-ludniu wzmogła się duszność powietrza. Niebo chmurzyło się, wiatr zamiętał bruki. Ruch na ulicach zmniejszył się.

Ozwały się dalekie grzmoty, burza, prawie bez deszczu, przebiegła bokiem, nie przynosząc ulgi. Gdy nadszedł zmierzch, nie mogłem wytrzymać w domu. Pojechałem do Doliny Szwajcarskiej, gdzie odbywał się codzienny koncert. Przed estradą siedziało za-ledwie kilkanaście osób, paru desperatów błąkało się po górnych alejach. Nastrój był pogrzebowy.

Już chciałem zmykać, gdy zagadnęła mię radośnie młoda as-pirantka sceniczna, która ukończyła niedawno wyższe studia w Ge-newie, a była mi polecona przez wspólnych znajomych. Umówiła się w Dolinie z koleżanką, koleżanka skrewiła. Niebieskie oczy pro-siły nieśmiało o opiekę.

Usiedliśmy razem. Rozmowa nie bardzo się kleiła, muzyka ra-czej drażniła. Minęła godzina, młoda pani zdecydowała się, że dłu-żej czekać nie będzie. Przed Doliną stała jedna jedyna dorożka. Zaproponowałem niebacznie.

— Pozwoli pani się odwieźć?

Niebieskie oczy odpowiedziały wdzięcznym spojrzeniem.

— Zamieszkałam u krewnych na Lesznie.

Miasto, mimo wczesnej pory, było obumarłe, na Placu Trzech Krzyży kwaterował oddział wołyńców. Patrol policyjny zatrzymał dorożkę.

— Ruki w wierch!

Trzeba było poddać się rewizji, — zresztą powierzchownej. To-warzyszki mej nie tknięto. Powtórzyła się ta ceremonia jeszcze dwa razy, zanim z Rymarskiej skręciliśmy w szerokie Leszno. Tutaj wy-glądało gorzej, wojsko zajmowało jezdnię. Karabiny były ustawio-ne w kozły, żołnierze rozpalili ogniska, grzali wodę w kociołkach. Wielu było podpitych. Oficerowie przechadzali się nerwowo po chodnikach. Długo goniły nas echa beznadziejnie posępnej pieśni soldackiej. Od kościoła — doszczętna pustka. Aspirantka mieszka-ła w pobliżu cmentarza ewangelickiego!...

Uspokojenie.

Z końcem 1906 r. wrzenie rewolucyjne w Królestwie poczęło wygasać. Warsztaty pracy wracały zwolna do stanu normalnego, lubo nie obyło się bez tak tragicznych wydarzeń, jak zabójstwo Henryka Hantkego. Ogół polski był znużony i przeświadczony o beznadziejności walki. Piłsudski, który kierował Organizacją Bo-jową P. P. S., wyczuwał ten nastrój i rozumiał jego racje. Wierny programowi niepodległości, nie widział pożytku w dalszym współ-działaniu z rosyjskim ruchem rewolucyjnym. Dał wyraz tym poglą-dom na zakonspirowanym zjeździe w Falenicy. Na Kongresie Wie-deńskim P. P. S. (Listopad 1906 r.) nastąpił na tym tle rozłam: zwolennicy Piłsudskiego wystąpili z partii i utworzyli niezależną Frakcję Rewolucyjną.

Rząd carski odnosił się do Polaków, bez względu na ich kie-runki polityczne i społeczne, nieufnie i niechętnie. Liczba manda-tów polskich z 37-u została w drugiej Dumie zredukowana do czter-nastu, a właściwie — do dwunastu, bo dwa mandaty zastrzeżono dla rosjan. Carat nie chciał, aby „inorodcy“ byli w Dumie języcz-kiem u wagi.

Reakcja położyła kres świeżo założonym Szkołom i Macierzy Szkolnej, która w ciągu paru zaledwie lat umieściła 63 tys. dzieci polskich w swych szkołach. Zamykano polskie szkoły prywatne, nadzieje na edukację narodową zawiodły. Długotrwały strajk mło-dzieży w szkołach średnich i w uniwersytecie nie tylko nie odniósł skutku, ale wzmógł jeszcze usilność rusyfikacyjną. Antoni Doni-mirski i Ludwik Straszewicz, redaktorzy dzienników rzekomo ugo-dowych („Słowa“ i „Kuriera Polskiego“), zostali skazani na wię-zienie.

Realizacja Konstytucji Październikowej przyniosła pod względem politycznym rozczarowanie, w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej rozszerzyła jednak ramy dla żywotności indywidualnej i zbiorowej. Przemysł polski umiejętnie wyzyskiwał rynki zbytu zarówno w Rosji Europejskiej, jak Azjatyckiej.

Mimo prześladowań, płynęły sute ofiary na Kasę Mianowskiego, która skupiła naukowców polskich w zaborze rosyjskim. Witold Zglenicki, dorobiwszy się w Baku znacznej fortuny, wyposażył Kasę w doskonale rentujące udziały naftowe. Jerzmanowski, bogacz amerykański, zapisał Akademii Krakowskiej wielkie kapitały. Czaban, rzemieślnik, duże oszczędności, zebrane w Czechach, podzielił między Akademię Krakowską a Kasę Mianowskiego, Antoni Osuchowski, jałmużnik narodowy, zdobywał fundusze na obronę Kresów Zachodnich. Kierbedziowa łożyła na Bibliotekę Publiczną i na Szkołę Sztuk Pięknych. Józef hr. Potocki ofiarował 200 tys. rubli na Warszawskie Towarzystwo Naukowe. Dzięki zabiegom Aleksandra Rajchmana, a szczodrości Maurycego hr. Zamoyckiego, Leopolda Kronenberga i innych miłośników muzyki powstała Filharmonia. Budował się teatr Polski. Lepsza część społeczeństwa wykazywała należne zrozumienie obowiązków i odpowiedzialności. Inicjatywa prywatna musiała zastępować czynniki państwowe, wręcz przeciwnie poczynaniom o polskim charakterze narodowym. Powstawały liczne instytucje i zrzeszenia naukowe, społeczne, rolnicze, przemysłowe, kupieckie, zawodowe, artystyczne, sportowe. Ostatecznym ich celem było zawsze pogłębianie wiary we własne siły i rozwój kultury narodowej.

Trzeba było pokonać wiele trudności, nimeśmy uzyskali pozwolenie na założenie Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy. W redakcji „Świata” odbył się szereg zebrań organizacyjnych; uczestniczyli w nich najwybitniejsi przedstawiciele piśmiennictwa i prasy.

Najwięcej mieli do powiedzenia bracia Kempnerowie, Stanisław i Gabryel, natarczywi rzecznicy postępu. W godzinach południowych codziennie dawali upust swej wyższości intelektualnej w cukierni Lourse’a.

Pierwszym prezesem Tow. Literatów i Dziennikarzy został Władysław Bogusławski, były sybirak. Po nim tę godność objął Bolesław Prus. Mnie przypadły obowiązki sekretarza.

Realisci, z inicjatywy Erazma Piltza, powołali do życia Towarzystwo Popierania Pracy Społecznej. Skupiły się tam żywioły za-

chowawcze i umiarkowane. Piltz porzucił „Kraj”, przeniósł się z Petersburga na stałe do Warszawy i został owej nowej placówki dyrektorem.

Życie towarzyskie było w Warszawie bardzo rozwinięte, salony jednak nie miały już dawnego wpływu na kształtowanie się opinii. Słusznie zresztą, bo „każda żywsza myśl w salonach uchodzi za nieprzyzwoitość, panuje w nich wszechwładnie szarzyzna pojęć i poglądów. Biada tym, którzy swe życie lokują w tej pustce!”¹⁾

Centralą kół arystokratycznych był w dalszym ciągu Klub Myśliwski. Opierał się na wielkich rodach, uchylał wszakże podwoje dla bogatej, a lubiącej się wspinać szlachty i dla milionerów bankowych, choćby nawet żydowskiego pochodzenia. Zasługi obywatelskie, wiedza i talent nie były brane w rachubę.

Klub Myśliwski mieścił się naprzód w odosobnionym domku, który przez wiele lat szpecił plac Saski, a był własnością Miecysława Epsteina. Później przeniósł się do niefortunnie rozplanowanej, własnej ale ciasnej siedziby przy ul. Erywańskiej (w następstwie — Kredytowej). Klub Myśliwski utrzymywał stosunki z dygnitarzami rosyjskimi, wyprawiał uroczyste obiady dla generał-gubernatorów, na liście jego członków figurowali oficerowie rosyjscy z rodzin bojarskich.

W tych warunkach Klub nie mógł sobie zdobyć w społeczeństwie autorytetu moralnego i fakt, że na poczynania Partii Polityki Realnej silny wpływ wywierali jego członkowie, wzmacniał niepopularność tego stronnictwa.

Panowie z Klubu Myśliwskiego nie chcieli zrozumieć, że rola zachowawców polega nie na hamowaniu rozwoju i postępu szerokich warstw społecznych, lecz przeciwnie, na współdziałaniu i kierowaniu tym rozwojem i postępem. Tak pojmował zadania konserwatyzmu Disraeli, i, z tych założeń wychodząc, odmłodził i unowocześnił angielską partię torysów. André Maurois w swej znakomitej „Historii Anglii” pisze o nim:

— „Wierzył w rządy ludowe, szukał natchnienia od ludu, nawet gdy wydawały się one zamachem na najdawniejsze tradycje angielskie. Strzegł równocześnie ram ustrojowych kraju, dopuszczał

¹⁾ Louvet de Couvrey: „Les amours de chevalier de Faublas”.

reformy o tyle, o ile szanowały instytucje zasadnicze, związane ze stałymi cechami przyrodzenia ludzkiego".¹⁾

Nasi dziedzice wielkich rodów i fortun przeważnie nie umieli się rządzić nawet we własnych majątnościach, a zasklepieni w sybaryckiej sferze, tracili kontakt ze społeczeństwem.

Zamożniejsze sfery miejskie, — przemysł, finanse, kupiectwo, zawody wolne, — posiadały swój ośrodek towarzyski w Resursie Kupieckiej. Siedzibą jej był historyczny pałac Mniszchów przy ul. Senatorskiej, z którego ongiś, na rozkaz Repnina, Kozacy porwali biskupa Krasińskiego. W okresie powstania 1863 r. pospół warszawski nauczył się szanować patriotyzm Resursy. Wtedy nietylko grywano tam w karty: Resursa Kupiecka była kuźnicą patriotycznej myśli stołecznej.

Inteligencja przeniosła się do zrzeszeń zawodowych (Stowarzyszenie Techników, Koło Adwokatów, Tow. Lekarzy Polskich, etc.). Resursa Kupiecka utraciła znaczenie społeczne. Stała się towarzyską ekspozyturą Banku Handlowego.

W Resursie Obywatelskiej na Krakowskim Przedmieściu koncentrowały się żywioły mieszczańskie, ściślej z Narodową Demokracją zrośnięte.

¹⁾ Trzeba przyznać, że i socjalizm angielski posiadał charakter niemal ojcowski (Robert Owen), niekiedy — wprost ewangeliczny (Stowarzyszenia Fabiańskie, Ramsay Mac Donald). Naogół, nie pchał do walki klas, atakował raczej rentę i wielką własność ziemską, niż kapitał przemysłowy i pozostał wierny zasadom rządu parlamentarnego.

Organizacja redakcji „Świata”.

Sztab redakcyjny „Świata” stanowili Antoni Chołoniewski, Wincenty Kosiakiewicz, Antoni Miecznik, Józef Jankowski, Adam Breza, później — Eustachy Czekalski. Głównymi podporami pisma byli Chołoniewski i Kosiakiewicz.

Chołoniewskiego cechowała szczerść, zapał, głębokie poczucie odpowiedzialności. Jego lotny umysł wyczuwał doskonale aktualność tematów, sięgał zawsze głębiej. Wybór jego artykułów i studiów czeka na wydawcę, wartość ich nie przeminęła.¹⁾

Kosiakiewicz wysiłkiem samouka zdobył wiedzę, może nie dość uporządkowaną, lecz wszechstronną. Celował w wywiady, pisał łatwo i szybko. Od czasu do czasu nawiedzała go depresja: wtedy jego materiał tracił na żywotności. Z tą właściwością spotkałem się u wielu rasowych dziennikarzy. (Tadeusz Smarzewski, Ludwik Straszewicz).

Kosiakiewicz szukał równowagi duchowej i oparcia w wierze. Dążenie to było w początkach raczej objawem woli, niż wyrazem spontanicznego uczucia. Zdawał sobie z tego sprawę i nurtował go niepokój. Bawiąc w Paryżu, pewnego ranka wstąpił do kościoła Saint-Sulpice. Nawy były puste i mroczne, przy jednym z bocznych ołtarzy ksiądz odprawiał cichą Mszę Św., Kosiakiewicz ukląkł i zaczął się modlić. Nagle ogarnęło go silne wzruszenie. Doznał radosnego podniecenia, serce biło przyśpieszonym rytmem, ciepłe łzy wilżyły oczy. Stał się gorliwym wierzącym katolikiem, odzyskał spokój duchowy.

Antoniego Miecznika, z zawodu — pedagoga, — cechowała wiedza encyklopedyczna. Józef Jankowski był większym poetą w życiu, niż w swych utworach, — jednym z tych uduchowionych

¹⁾ Wymienię choćby parę: „Powstanie polskie w r. 1877”, „Sprawa Ukraińska”, „Miliard margr. Gerona”, „Nieobecni”.

lunatyków, co snują się po stromych szczytach dachów: nikt nie ma odwagi ich budzić, bo mogliby spać na bruk. Niezwykle urodziwej postaci i wytwornych obyczajów, duszę posiadał tak szlachetną i czystą, że niekiedy — aż pięknie naiwną. Adam Breza był jego antytezą. Choć na świat przyszedł we dworze wielkoszlacheckim (był wnukiem ministra z okresu Księstwa Warszawskiego), a ożenił się z bogatą bankierówną, najlepiej czuł się w towarzystwie rozhukanej cyganerii.¹⁾ W redakcji był pożyteczny, bo posiadał wiedzę, w szkołach niemieckich ugruntowaną, znał języki obce. Wpadł biedak, gdy dał się skusić firmie Gebethner i Wolff do opracowania podręcznika literatury polskiej. Piotr Chmielowski, nieubłagany dla dyletantów, wytknął mu złośliwie taką ilość niedokładności, opuszczeń i błędów, że książkę trzeba było wycofać z obiegu.

Humor Brezy, mimo zawodów życiowych, był niewyczerpany, dosadne dowcipy i powiedzonka nieciły w braci dziennikarskiej i artystycznej wesołość. Od polityki stronił; chełpił się, że był namiętnie bezpartyjny.

Spółka Akcyjna „Świata” niebawem przejęła wydawnictwa „Tygodnika Mód i powieści” i „Przyjaciela Dzieci”. Redakcję „Tygodnika” powierzyłem Lucynie Kotarbińskiej, „Przyjaciela” — Jadwidze Chrząszczewskiej i Janinie Porazińskiej.

Prasa a czynniki rządowe.

Rewolucja 1905—1906 r. uwydatniła przeobrażenia, które od dłuższego czasu dokonywały się w zbiorowej umysłowości polskiej na skutek rozwoju oświaty i uprzemysłowienia kraju. Ziemianstwo traciło prymat wpływów. Do decydującego głosu dochodziła inteligencja, reprezentująca zawody wolne, oraz warstwy mieszczańskie, robotnicze i ludowe. Był to jednak proces równania wzwyż.

W Królestwie podniecenie strajkowe i rewolucyjne trwało do początków 1907 r. Realisci potępiali je, daremnie szukając porozumienia z rządem. Narodowa Demokracja prowadziła walkę na dwa fronty, z zaborcą i z socjalizmem. Wkrótce rozwinęła front trzeci, przeciwdydowski, który zjednał jej licznych zwolenników w drob-

¹⁾ O tytule hrabiowskim Brezy przypomniał dopiero oficjalny nekrolog.

nym mieszczaństwie. Polska Partia Socjalistyczna nie ustawała w zamachach i napadach, które posiadały cechy wojny podjazdowej z caratem. Na czele Organizacji Bojowej stał Józef Piłsudski, sztab jego tworzyli Prystor, Sławek, Sosnkowski, Tytus Filipowicz. Zamach na gen. Skąllona, napad na pociąg pod Bezdanami, uwolnienie przez Jura Gorzechowskiego dziesięciu więźniów z Pawiaka!... Wyobraźnia poetów z trudem dorówna bohaterskiej fantazji tych, którzy te imprezy podejmowali.¹⁾

W Petersburgu wzięła górę bezwzględna reakcja. Miejsce Loris-Melikowa zajął Goremykin. Krew lała się od Bałtyku do Morza Czarnego. Gotowano się do wyborów do Dumy, powszechne zainteresowanie sprawami politycznymi rosło.

Prasa warszawska rzekomo wychodziła bez cenzury. Lecz władze administracyjne stosowały represje coraz surowsze. Na „Świat” zaraz w pierwszych miesiącach posypały się kary pieniężne, zapłaciliśmy kilka razy po trzysta i po pięćset rubli. Gdy nowa kara skoczyła na dwa tysiące, za poradą Piltza zaapelowałem do Jaczewskiego, dyrektora kancelarii generałgubernatorskiej.

Biuro Jaczewskiego mieściło się w prawym skrzydle pałacu Radziwiłłowskiego, późniejszej siedziby Rady Ministrów; audjencję wyznaczono mi o dość późnej porze wieczornej. Gabinet, do którego zostałem wprowadzony, był słabo oświetlony.

Zaczęliśmy rozmowę po rosyjsku, niebawem jednak Jaczewski tak się zraził do mojego „udarenja”, że pierwszy zaczął mówić po polsku. Ojciec jego pochodził z Królestwa, syn był wiary prawosławnej. Jaczewski sprawiał wrażenie urzędnika, służącego lojalnie rządowi, lecz chcącego uczciwie wypełniać swe obowiązki. Wdał się ze mną w dłuższą dyskusję, punktów stycznych nie mogliśmy znaleźć. Ostatecznie oświadczył, że sprawę „Świata” podda rewizji. Kara została obniżona do 400 rubli.

Inny typ dygnitarza reprezentował von Essen, pomocnik Skąllona w zarządzie cywilnym.

Redaktorzy warszawscy wydelegowali Konrada Olchowicza

¹⁾ W liście do Feliksa Perla Józef Piłsudski, który w sprawach natury materialnej był niesłychanie drażliwy, zwierzał się, jak przykrą mu była twarda konieczność „ekspropriacji”. Partia, a szczególnie — jej organizacja bojowa — potrzebowały środków. Członkowie partii, robotnicy albo niezamożni inteligenci, nie mogli ich dostarczyć. Na kimże miano je zdobywać, jeśli nie na wrogu? „Dla wielkiej sprawy, — pisał Piłsudski, — ludzie muszą nieść w ofierze życie nawet wtedy, gdy to, o co w danej chwili walczą, nie jest ani wielkie, ani piękne”.

(ojca), redaktora „Kuriera Warszawskiego”, Antoniego Donimirskiego, redaktora „Słowa” i mnie do Essena w sprawie dzienników zakordonowych. Nie miały one w zaborze rosyjskim debitu. Wyjątek czyniono jedynie na użytek redakcji warszawskich. Teraz i to ustępstwo cofnięto. Naszym zadaniem było domagać się reasumcji owej decyzji.

Kancelaria Essena mieściła się we frontowych apartamentach pałacu Radziwiłłowskiego. Okna gabinetu, do którego zostaliśmy wprowadzeni, dawały widok na ogrody, zbiegające skarpą ku Wiśle. Essen, chudy i rudawy baron bałtycki o nieprzyjemnym wyrazie twarzy, podniósł się wolno z fotela i nie prosząc, byśmy usiedli, zapytał, w jakiej sprawie przychodzimy, lubo był o celu naszych odwiedzin dokładnie poinformowany. Konrad Olchowicz wyłuszczył naszą misję, że zaś był tak samo, jak Donimirski i ja obruszony mało uprzejmym przyjęciem, kaleczył mowę Puszkina tym nielitościwiej. Essen widocznie to podrażniło. Odpowiedział sucho, że polska prasa zakordonowa jest stale czynnikiem podburzającym, i że jej dostęp do kraju przywiślańskiego musi być do szczerńnie wzbroniony.

Konrad Olchowicz spojrzał na nas pytającym wzrokiem. Donimirski sapał ponuro. Skłoniliśmy się lekko i ruszyliśmy bez słowa ku drzwiom.

Essen nie spodziewał się takiego obrotu.

— Skoro panowie przyszli, możemy pomówić. Proszę usiąść.

Rozmowa, w której dygnitarz niemiecko-rosyjski nie szczędził upomnień i pogrózek, a my musieliśmy ważyć każde słowo, była szermierką nierówną. Gdyśmy odchodzili, Essen każdemu z nas podał rękę. Był niezadowolony; nas żał bezsilny gniew.

W kilkanaście lat później w tym samym gabinecie miałem audiencję u p. Antoniego Ponikowskiego, prezesa Rady Ministrów Wolnej Rzeczypospolitej... Fortuna variabilis, Deus mirabilis!

Trzecim kacykiem moskiewskim, z którym zetknąłem się parę razy na polowaniach, był bar. Korff, gubernator warszawski. Niskiego wzrostu, mocno zbudowany, dodawał sobie powagi siwiejącą brodą, którą rozczesywał w wachlarz, jak paw. Ten najchętniej rozmawiał po niemiecku, tylko że nie było o czym z tym bałwanem gadać.

Polowanie w dobrach Młochowskich pod Grodziskiem, należących do hr. Ludwikowej Krasieńskiej, późniejszej ks. Mikołajowej Radziwiłłowej, dzierżawiło kółko bogatych przemysłowców warszawskich. Sprowadzili oni z Cesarstwa kilkadziesiąt białych

zajęcy, t. zw. „bielaków”. Dowiedział się o tym Korff, bardzo się zainteresował. Stanisław Brun musiał mu przyrzec, że będzie zaproszony na polowanie w rewirach, do których bielaki wpuszczono.

Nastał ów dzień, Korff przyjechał. Kanonada była gęsta. Okazało się wszakże, iż zajęce rosyjskie na podorywach mazowieckich i w kniei polskiej utraciły śnieżną biel tużycy, przystosowały się do szarych barw naszej gleby. Korff zirytował się.

— Zajęce były białe, kiedy przybyły do Warszawy?

— Jak śnieg.

— Więc jakim cudem stały się po roku szare?

Aleksander Szwede, kpiarz zawołany, wytłomaczył:

— Wasze prewoschoditielstwo! *Oni opolacziliś!*

Korff zaniechał dalszych badań i przed końcem polowania odjechał. My daliśmy wtedy upust z trudem powstrzymywanej wesołości.

Warszawa w najcięższych chwilach nie traciła humoru. W „Kurierze Świątecznym” Franciszek Kostrzewski umieścił rysunek, na którym szewc walił pociągłem terminatora, wrzeszcząc:

— Dlaczego nie całujesz mię w rękę, nicponiu?

— Na to terminator:

— Kiedy nie wiem w którą, bo pan majster jedną ręką trzyma mnie za włosy, a drugą bije!

Władysław Buchner w „Musze” tak opisywał swoje wrażenia „konstytucyjne”:

Widziałem wolność w Warszawie,
(Co mówię, to nie jest bajką)
Pędziła przez Marszałkowską
I wywijała nahajką.
Wołano: to Konstytucja,
Jaśniejsza od wielkiej świecy,
Chciałem się przyjrzeć jej zbliska,
I dotąd bolą mię plecy...

c

W gronie kolegów i przyjaciół redakcyjnych.

Autor „Sobola i Panny”.

Józefa Weyssenhoffa znałem z czasów, kiedy przyjeżdżał ze swych Samokłesk do Warszawy. Należał do złotej młodzieży, która grupowała się w Klubie Myśliwskim, wyróżniał się męską uro-

dą i kulturą umysłową, promieniował ochotą do życia. Zabawiał się już wtedy gładkimi przekładami drobniejszych utworów Heinego, lecz nierównie więcej czasu poświęcał pięknym paniom, lubił podróże, polowania na grubego zwierza i hazard. By mógł sprostać kosztownym upodobaniom, szukano dlań bogatej dziedziczki. Wybór padł na jedną z córek wielomilionowego finansisty, J. G. Blocha.

Małżeństwo zapowiadało się doskonale. Weysenhoff mógł teraz włączyć się po świecie, wydawać wspólnie z Dionizym Henkielalem „Bibliotekę Warszawską”, uzupełniać swój księgozbiór białymi krukami, gromadzić rzadkie numizmaty, wieść żywot Petroniusza. Bujnego temperamentu, w hazardzie pohamować się nie umiał. Stąd scysje z żoną i jej rodziną. Po kilku latach — separacja.

Nie mógł już dalej łożyć na „Bibliotekę Warszawską”, sprzedał Samokłeski, — zabrał się do pisania „Podfilipskiego”. Rękopis przedłożył Henkielowi. Ten był zachwycony.

— Panie baronie, wołał, to wspaniała satyra na snobizm klubowo-arystokratyczny! Dzieło wielkiego talentu! Godziłoby się tylko jeszcze mocniej podkreślić sarkazm!

Weyssenhoffa jakoby zaskoczyły te komplementy, zaczynając bowiem pisać „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego”, miał na myśli postać europejczyka o wyższej kulturze zachodniej w przeciwstawieniu do pospolitej kołtunerii.

W naszych paryskich dysertacjach z Konstantym Górskim, bratem ciotecznym i bliskim przyjacielem Weyssenhoffa, doszliśmy do wniosku, że gdyby nawet tak było, nie ujęłoby to zgoła wartości tej wybornej powieści, jako dzieła literackiego i dokumentu obyczajowemu epoki.¹⁾

Zerwawszy z finansjerą i z Klubem Myśliwskim, Weyssenhoff zbliżył się do świata literackiego. Z wiekopąńskich narowów nie potrafił się otrząsnąć, nie nauczył się uzgadniać wydatków z dochodami. Zwłaszcza, że dochody pisarza polskiego, nawet tak poczytnego, bywały kapryśne. Złote numizmaty topniały, z pięknych szaf bibliotecznych w stylu J a c o b wyfruwały białe kruki.

¹⁾ Weyssenhoff w swoim „Pamiętniku Literackim (wydanie księgarni Św. Wojciecha w Poznaniu) przyznaje, że materiały do książki o Zigmuncie Podfilipskim, czerpał głównie z Klubu Myśliwskiego. Nieporozumienie, — jakie książka mogła niecić w umysłach czytelników, tłumaczy założeniem twórczym: jego powieść opierała się na wątku wspomnień Ligęzy, szlachcica poczytnego, lecz naiwnego, któremu imponował nonszalancki hedonizm i polor towarzyski Podfilipskiego. Sam Weyssenhoff jednak niepokoił się, czy zastosowany przezeń

Dawna moja znajomość z Weyssenhoffem przeobraziła się w zażyłą przyjaźń. Bywał u nas częstym gościem, „Świat” drukował jego powieści, robiliśmy wspólne wyprawy łowieckie. Towarzystwem był niezrównanym.

W Weyssenhoffie podziwiać należało pietyzm, z jakim odnosił się do kunsztu pisarskiego. Nieskazitelną czystość jego prozy była osiągnięciem artysty, który czuwał niestrudzenie nad każdym słowem i zdaniem.

Gdy do Warszawy podchodzili w sierpniu 1915 r. Niemcy, Weyssenhoff wyjechał do Cesarstwa. Powrócił dopiero pod sam koniec wojny i wtedy stosunek nasz nieco ochłódł z powodu nieszczęsnych orientacji. Weyssenhoff nie brał czynnego udziału w życiu politycznym, żywił wszakże gorące sympatie dla Demokracji Narodowej, osobliwie odkąd to stronnictwo ustosunkowało się wrogo do Żydów. Kłopoty pieniężne trapiły go coraz dotkliwiej. Rozmach wydarzeń politycznych i przeobrażeń społecznych wspinał się wyżej, niż jego twórczość sięgała. Dokuczał mu stan zdrowia. Ostatnie lata Weyssenhoffa, który przypadkiem stał się literatem zawodowym, były zatrute goryczą.

Perzyński, Bartkiewicz.

Dwa talenty, dwie wybitne indywidualności pisarskie. Dla „Świata” — dwóch nieocenionych współpracowników. Perzyński zdobył rozgłos „Połowem gwiazd” (tom poezji) i „Lekkomyślną siostrą”. Tadeusz Pawlikowski poznał się odrazu na wartości tej świetnej komedii i pierwszy wystawił ją we Lwowie. Bartkiewicz miał za sobą tom nowel pt. „Słabe serca”. W tych nowelach wykazał sentyment, humor i swoisty dar słowa.

Bartkiewicz był uczuciowcem, Perzyński — sceptykiem. Obaj byli zdecydowanymi cyganami.

sposób literacki nie był ryzykowny? Powieść udawała panegiryk, a zarazem podawała nieustannie w wątpliwość cnotę i rozum bohatera. Weyssenhoff konkludował z goryczą:

— „Póki niepojętymi czytelnikami byli intelektualni sklepikarze albo ztwardziali sybaryci, nie dziwiłem się. Ale i paru krytyków okazało zupełną nieprzenikliwość w stosunku do mego zamiaru satyrycznego, a jeden profesor uniwersytetu dał mi nawet admonicję za szerzenie fałszywej filozofii”.

Chcąc ustrzec Perzyńskiego, żeby nie rozpraszał talentu w drobnych nowelach i felietonach, zamówiłem u niego dla „Świata” powieść. W ten sposób narodził się „Sławny Człowiek”, później — „Michalik z P. P. S.”. Gdy okazało się, że płuca Perzyńskiego potrzebowały klimatu łagodniejszego, umożliwiłem mu dłuższy pobyt na Riwierze.

Perzyński pisał łatwo i szybko. Jego powieści wyróżniały się śmiałością obserwacji; ostrość sarkazmu łagodził melancholijny uśmiech poety. Szwankowała niekiedy konstrukcja: Perzyński ledwie parę pierwszych rozdziałów napisał, już rozpoczynał druk. Ta metoda nie sprzyjała głębszej wartości dzieła. Niestety, w Polsce trzymała się jej większość powieściopisarzy, nawet Sienkiewicz. Nie mogli cackać się ze swem dziełem, musieli żyć.

Bartkiewicz, pisarz wysokiej wagi, lecz krótkiego tchu, rodził swoją prozę wolno, z trudem i w bólach. Naogół wykręcał się od pisanja — wobec redakcji i przed sobą samym. Bronił się nonszalanckim argumentem, że honoraria w Polsce były zbyt niskie, aby warto było pisać. Zdaje się przecież, że trawiła go raczej *improductivité slave*, czyli wałkoństwo polskie. Zmaganie się z tą złośliwą anemją było tragizmem jego twórczości.

Pochodził z Łodzi, był synem tamtejszego lekarza. Początkowo roiło mu się malarstwo i w Paryżu studia odbywał. Lecz malarstwo wymagało większego jeszcze wysiłku pracy, niż literatura. Wrócił w domowe pielesze, zakochał się w jasnowłosej, początkującej aktoreczce, ze znanej rodziny teatralnej. Panienkę zainteresował. Opór zresztą był niemożliwy, bo młody zabijaka przysięgał, że każdemu współzawodnikowi w łeb palnie. Nadszedł dzień ślubu, w uroczystości weselnej wzięli udział przyjaciele pana młodego, towarzysze hulaneek. Błagali, żeby żonę odwiózł do domu, a sam poszedł z nimi na ostatnią pożegnalną wypitkę. Bartkiewicz dał się w końcu namówić. Wrócił do domu, gdy robotnicy szli do fabryk...

Ile jest prawdy w tej anegdocie, nie ręczę. Współżycie młodej pary nie trwało długo. Gdy Bartkiewicza pytano, dlaczego rozszedł się z małżonką, uśmiechał się.

— Obrzucała mnie kwiatami.

— I pan się o to gniewał?

— Kwiaty były w doniczkach!

Oczywiście, był to tylko dowcip, bo jasnowłosa aktoreczka otrzymała w domu wychowanie staranne. W ten sposób Bartkiewicz utracił żonę, a teatr odzyskał artystkę, która miała stać się jedną z najświetniejszych polskich gwiazd komediowych.

Mieczysława z Trapszów Ćwiklińska!...

Rozwój jej talentu utknął w pewnym momencie.

Wmówiono w nią, że posiadała głos fenomenalny. Ambitnej artystce zapachniały światowe sukcesy Sembrich-Kochańskiej. Dzięki rekomendacji bar. Leopolda Kronenberga dostała się w Paryżu do Jana Reszkiego, który jej przez dłuższy czas lekcji udzielał. Tak minęło, zdala od sceny, parę lat. Lat najpiękniejszych. Ćwiklińska jednak w czas spostrzegła bezowocność wysiłków, i wróciła do komedii.

Nie była ona jedyną, której talent tak długo dojrzewał, nim rozkwitł pełnym blaskiem barw i dowcipu. Tak samo było z niezrównaną Lüdową i z Pichorówną.

Rabski — Ehrenberg.

Rabski był rodem z Poznania, Ehrenberg — z Krakowa. Pierwszy był wychowancem uniwersytetu berlińskiego, drugi — wszechnicy Jagiellońskiej, obaj byli doświadczonymi dziennikarzami. Ehrenberg więcej niż Rabski, bo miał za sobą współpracownictwo w „Czasie” i naczelne redaktorstwo „Głosu Narodu”. Temperamenty pisarskie antypodowo różne: Rabski był stale wrzącym Achillesem, Ehrenberg — chłodnym i przebiegłym Agamemnonem. Rabski kochał lub nienawidził, przyjacielem był niezrównanym, w walce z przeciwnikiem zapamiętywał się bez miary, rąbał piórem jak szablą. Ehrenberg, powściągliwy w uczuciach, niebezpieczny w polemice, piórem władał jak fechtmistrz szpada, krytym sztychem potrafił klóć boleśnie.

Obaj posiadali pierwszorzędne talenty publicystyczne, obu interesowała nade wszystko polityka i teatr. Rabski zaczął od radykalizmu, skończył w pierwszych szeregach Nar. Demokracji. Ehrenberg ząbkował w konserwatywnym „Czasie”, dojrzewał w klerykalnym „Głosie Narodu”, w warszawskim „Kurierze Porannym” w latach 1905-6 stał się sympatykiem rewolucji. Po wojnie światowej — gorącym adherentem marsz. Piłsudskiego. Zmieniał skórę stosownie do klimatu. Rabski był stale impulsywny. Ehrenberg — nigdy.

Z Rabskim łączyła mnie wspólna namiętność: myślistwo. Ileż to nawłóczyliśmy się razem za kuropatwami i zającami po polach, za kaczkami — po mokradłach, za grubszą zwierzyną — w gąszczach lasów!

W pamięci zostało mi polowanie ostatnie, jakie z nim odbyłem. Było to w Skłótach, pod Kutnem, u miłych i gościnnych państwa Miecz. Fijałkowskich. Wczesnym wrześnieowym rankiem wyszliśmy z Rabskim we dwóch, z dziesiątkiem chłopaków na rżyska i koniczyny. Rabski już od dłuższego czasu na zdrowiu szwankował. Tego dnia jego oczy świeciły niezdrowym blaskiem. Kuropatw było dużo, raz wraz rwały się stada i pojedynki. Rabski strzelał gęsto, — lecz gdyśmy się spotkali na szosie, nie bez zdziwienia stwierdziłem, że zabił zaledwie trzy kuropatwy. On sam zresztą wyznał:

— Strzelam dziś potwornie. Pudło za pudłem.

Zapalił papierosa, pociągnął, rzucił. W sekundę potem zapalał nowego.

— Trzeba się pożegnać z polowaniem. Koniec!

— Żartujesz! Dziś jesteś poprostu nieusposobiony...

Ruszyliśmy ławą przez wielki łąn kartofli. Kuropatwy, jeszcze w tym sezonie nie płoszone, rwały się z pod nóg. Rabski wciąż strzelał, i wciąż chybiał. Nagle cisnął fuzję, rzucił się na ziemię. Podbiegłem.

— Co ci jest?

On ukrył twarz w naci i łkał.

— Koniec!

Nadjechał powóz, wróciliśmy do dworu. Więcej już z nim nie polowałem.

Zachorował obłożnie, długo walczył z okrutną chorobą, w końcu — uległ.

Z życia cyganerii warszawskiej.

Kazimierz Laskowski (El) był raczej poetą, niż dziennikarzem. Natchnienie jego nie szykowało wysoko, lecz piosenki i wierszyki, którymi sypał na zawołanie, posiadały swojski sentyment, dostępny humor i zgrabną formę.

Smakowały, jak limoniada w skwarny dzień letni. Laskowski posiadał warunki na polskiego Beranger'a: nie dostawało mu wyższych ambicji, woli i skrupułów.

W redakcjach opowiadano liczne anegdoty o „kawałach”, przez Laskowskiego płatanych.

Przybywa raz do redakcji jednego z największych dzienników warszawskich, w którym umieszczał swoje rymy aktualne. Zwierza się, że nawiedził go świetny pomysł. Wydawca i redaktor naczelny instynktownie chowają ręce w kieszeniach. Milczenie.

Laskowski urażony jest brakiem zainteresowania. Zaczyna mówić o pogodzie. Redaktor po dłuższej chwili pyta od niechcienia.

— I cóż to za pomysł, który pana sprowadził?...

Laskowski wpada w zapał krasomówczy. „Kurier” powinien być czytany w każdym dworze ziemiańskim. Przyszłość dziennika, to solidna prenumerata.

Wydawca był sceptyczny.

— Jak pan do tych dworów dotrze?

— Konno. Gdy zajadę wierzchem przed ganek szlachecki, wszędzie przyjmą mnie jak brata.

Wydawca wciąż nieufny:

— Pan umiesz jeździć konno?

— Dzieciństwo spędziłem na derce bez strzemion, młodość — na siodle!

Pomysł konnej ankiety znanego w całej Polsce piosenkarza poruszył leniwe wyobraźnię „miarodajnych czynników” wydawniczych. Po dłuższych debatach ustalono, że wydawnictwo postawi do dyspozycji Laskowskiego odpowiednio wyekwipowanego wierzchowca. Przewlekłejsze były targi o wysokość zaliczki. Poeta zaklinał wydawcę i redaktora, że musi rodzinie zapewnić „chlebusia”.

Nadeszła uroczysta godzina odjazdu. Osiodłany rumak czekał na podwórze. Podziwiała go liczna gromada chłopców redakcyjnych, drukarnianych, roznosicieli. Laskowski zjawił się w nowiu-tenkich, bardzo żółtych sztylpach skórzanych, w zadzierzystej maciejówce na głowie, w ręku trzymał autentyczną angielską szpicrutę. Zjawiły się butelki z ciekim redakcyjnym węgrzynem, redaktor wygłosił ciepłą mowę. Laskowski fachowo sprawdził popręgi i mundsztuk, po czym, przy pomocy kolegów, wspiął się na siodło. Zaśpiewano mu: — A kiedy odjeżdżasz, bywaj zdrów!...

Laskowski dostojnym stępem ruszył w stronę mostu Kierbedzia.

...Tegoż wieczora, po zamknięciu numeru, redaktor wielkiego dziennika wstał „Pod gwiazdę” na szklanę piwa. Osłupiał. Przy jednym ze stołów siedział Laskowski, wciąż w żółtych sztylpach i z angielską szpicrutą w ręku, w towarzystwie kilku kolegów. Opróżnione butelki świadczyły, że meeting musiał trwać już co najmniej parę godzin. Biesiadnicy zapraszali serdecznie redaktora.

Laskowski wyjaśnił, że koń był do niczego, wobec czego sprzedał go na Pradze, ankietę przeprowadzi bryczką. Jeden z kolegów obiecał mu nawet pożyczyć na drogę burkę sławucką...

Redaktor westchnął boleśnie, ale przysiadł się do stołu. W parę dni później Laskowski puścił się w objazd bryczką. Drugą zaliczkę wypłacono mu dopiero przy rogatce.

Pierwszy większy sukces teatralny.

W r. 1906, przed Bożym Narodzeniem, teatr Rozmaitości wystawił moją trzyaktową komedię p. t.: „Edukacja Bronki”. Był to mój pierwszy większy sukces teatralny. „Edukacja Bronki” uczyniła mnie znanym autorem dramatycznym.

Rolę tytułową grała Maria Federowiczowa.

Jej uroda była olśniewająca, wdzięk niewysłowiony. Kochali się w niej książęta i hrabiowie, potentaci finansowi i głośni literaci. Ona tę daninę uczuć i pożądań przyjmowała tym wdzięczniej, że sama również stale się kochała, lubo nie stale w tym samym. Wielka miłośnica — przy tym najlepsza matka — promieniowała przez dziesiątki lat radością dnia dzisiejszego, nie myśląc o jutrze. Wielkopańskie fortuny topniały w jej rękach, jak śnieg w słońcu wiosennym. Talent aktorski Federowiczowej polegał głównie na nieodpartym uroku jej kobiecości.

Postać Bronki w mej komedii nabrała istotniejszych rumieńców życia i blasku, gdy objęła tę rolę przy pierwszym wznowieniu Maria Przybyłko-Potocka. Rabski pisał o niej w „Kurierze Warszawskim”: — „Bronka p. Przybyłko Potockiej miała szczerłość, prawdę i urok poezji. Z tej ślicznie przez autora pomyślanej postaci artystka wydobyla na jaw całą duszę, a tam, gdzie sytuacja wznosi się na wyżyny tragizmu, żywy ból miotał się po scenie i brzmiała muzyka strun pękających... Była w tym wszystkim potęgą kataklizmu moralnego i była indywidualność prostej dziewczyny z ludu, którą etyka klubowego panicza spycha w błoto prostytucji”.

Krytyka wymawia niekiedy autorom, że do swych dzieł czerpią tematy i postacie bezpośrednio z życia. Ma to dowodzić ubóstwa

wyobraźni twórczej. Takie mozolne szukanie dziur w całym wydaje mi się bez sensu. Utwór bywa dobry, lub zły, postacie tchną życiem, albo są martwe. Czytelnika czy widza teatralnego obchodzi nie zawile meandry genetyczne procesów twórczych, lecz ostateczne wyniki. Szekspir z cudzych lichych noweli, nieudolnych dramatów i komedii tworzył arcydzieła. „Wesele” Wyspiańskiego było poniekąd rymowanym reportażem z uroczystości ślubnych Lucjana Rydla w Bronowicach. Poetycki reportaż stał się klejnotem polskiej literatury dramatycznej. Oktawiusz Mirbeau w doskonałej komedii „*Les affaires sont les affaires*” sfotografował Eug. Lotellier, założyciela i wydawcę paryskiego „Journal’a”. We Francji oddawna zapomniano o tym rekinie prasowym, a w roli Lechat’a popisują się wciąż najznakomitsi aktorzy.

Zdarza się również, że wyobraźnia autora stwarza konflikty i sytuacje, które później dopiero powtarza — życie. W rok, czy dwa po wystawieniu „Edukacji Bronki” Federowiczowa zwierzyła mi się, że jej nagły wyjazd z Warszawy w toku przedstawień mej sztuki spowodowany był osobistym zawodem miłosnym.

Federowiczowa kochała się wówczas w hr. T. Z. Mieszkała w Alejach Ujazdowskich; na tym samym piętrze, o ścianę, sąsiadowała z nią młoda tancerka z baletu. Nie była tak piękną, jak Federowiczowa, ale była od niej o dziesięć lat młodsza. Hrabia Z. coraz częściej mylił się w drzwiach.

W szare popołudnie zimowe, kiedy przedwczesny zmierzch kładzie się smętkiem na duszy, Federowiczowa czekała na kochanka. Minęła godzina, dwie, — nie przychodził, choć solennie przyrzekł. Wielką miłośnicę ogarnął żrący niepokój. W tym za ścianą odezwały się przyciszone tony pieśni włoskiej, — jej ulubionej pieśni. Fortepian łkał żarem namiętności i rozpacznej tęsknoty. Tak grać potrafił tylko on...

Porwała się z fotela, wybiegła na schody, zadzwoniła do sąsiednich drzwi. Między dwiema rywalkami rozegrała się burzliwa scena. Zwyciężyła — jak zwykle — młodość. Hr. Z. wyjechał z tancerką na dłuższy pobyt zagranicę, w końcu ją poślubił.

Prawie identyczną scenę, ale znacznie wcześniej umieściłem w „Edukacji Bronki”.

Inny splot okoliczności miałem ze sztuką „Historia nie z prawdziwego zdarzenia”... Zelwerowicz trafił w swej roli na konflikt, który przeżył osobiście, i to właśnie z artystką, z którą przypadło mu grać... Ani jemu, ani jej role się nie udały.

„Edukacja Bronki” była moją pierwszą sztuką, która weszła na sceny zagraniczne. Była grana z powodzeniem w teatrach czeskich i rosyjskich, wystawił ją teatr wiedeński „Die Kammerspiele”.¹⁾

Zielony balonik w Krakowie.

Jedyny to był w swoim rodzaju kabaret artystyczny! Miał na celu w jednakiej mierze bezinteresowną uciechę tych, którzy każdorazowy program tworzyli i wykonywali i zabawę widzów, którzy dostawali się na salę jedynie za osobistymi zaproszeniami. Nikt niepożądany nie mógł się tam wcisnąć, kontakt między estradą a stolikami na widowni był doskonały.

Buda, w której odbywały się przedstawienia, na wzór tego rodzaju kawiarni paryskich („*Le Chat Noir*” na Montmartre i „*Les Noctambules*” koło Boul’Mich’u) odznaczała się brakiem wszelkiego komfortu. Natomiast publiczność była pierwszej klasy; elita artystyczna Krakowa, godniejsi przedstawiciele literatury i sztuki z innych większych miast polskich. Listę zaproszonych przesiewano przez gęste sito. Panie przychodziły w strojach wieczorowych, panowie — w smokingach, — i jak Bóg dał. Widowiska zaczynały się koło północy. W cichym Krakowie, gdzie szanujący się obywatel przed dziesiątą wieczorem zasypiał w rodzinnych piernatach!...

W mrocznej i brudnawej „Jamie Michalikowej” wyladowywał się nieskażony żadną spekulacją humor najdowcipniejszych w Polsce awangardzistów i wesołków literatury i sztuki.

¹⁾ Gdym siedł na premierę „Edukacji Bronki”, w Warszawie na Saskim Placu zaczęła mnie stara żebraczka. Sięgnąłem po drobne do kieszeni, miałem w niej tylko srebrnego rubla. Samolubna myśl przebiegła mi mózg. A nuż hojniejsza jałmużna przyniesie premierze szczęście? Babina, gdym jej dał srebrnego rubla, w szale radości przypadła mi do kolan, chciała całować po rękach. Ledwie się oswobodził, bo przechodnie poczęli się już tą sceną interesować.

Od owego wieczora, ile razy przechodziłem tamtędy, spotykałem babinę. Już nie dawałem jej po rublu, lecz — że przyniosła mi szczęście, — obdarzałem dość suto. A gdy w dwa lata później siedłem na premierę „Aktorek”, serce mi biło niespokojnie. Czy na placu Saskim spotkam moją starą Maskotę? Nie było jej, lecz pod bramą pałacu Brühlowskiego babina powitała mnie, mamrocząc pokornie. Dostała znów rubla, „Aktorki” zyskały powodzenie.

Ile to lat trwało!... Babina miała zdrowie żelazne

...Przybyłem do Krakowa z żoną, wieczór spędziliśmy w teatrze. Zaprowadził nas do Michalika po kolacji Rudolf Starzewski, wnet przysiadł się już lekko zawiany Konrad Rakowski. Obok sapał olbrzymi i rozrosły Stanisławski, pejzażysta znakomity, inteligencja subtelna, dusza wykwintna w ciele zaniedbanym. Towarzyszył mu Laszczka, pogodny i milczący. Nieco dalej — Nowaczyński z Sulimą, opodał — długi i brodaty Prokesch, krytyk „Nowej Reformy”. Wykonawcy kręcili się między stolikami. Stasinek Sierosławski, doszczętnie wstawiony i tak blady, że aż zielony, witał nas z tragicznym uśmiechem. Figurował w programie jako prowadzący i trawiła go trema: gasił ją usilnie koniakiem. Nikt z publiczności nie zwracał na to uwagi, bo abstynentów w tym towarzystwie nie było.

Z za firanek, osłaniających estradę, dochodziła soczysta wymiana zdań i gorączkowy stuk młotków. Witold Noskowski z goryczą upominał Karola Frycza i Teofila Trzcińskiego, że swym tępym uporem skompromitują przedstawienie. Oni odpowiadali mu nie przystojnymi propozycjami, które na sali wzniecały wybuchy wesołości.

Nareszcie wszystko było gotowe... Zjawił się Boy-Żeleński z małżonką, usiedli przy nas, Witold Noskowski odnalazł w jakimś kącie Sierosławskiego, wciągnął go przemocą na estradę. Z za firanek podano kaduceusz. Gdy na sali rumor nie ustawał, podniósł się Stanisławski i ryknął:

— Mak!

Uciszyło się. Stasinek zaczął swą wstępną orację, łącząc obecnych. Taki był obyczaj kabaretowy. Daremnie wzywano go, by przestał; Sierosławski, gdy raz zaczął gadać, nie umiał skończyć. Więc ktoś go ściągnął z estrady.

Firanki rozwarły się, rozpoczęła się szopka. Lalki były wybornie utrafiene, dialogi naszpikowane ciętym sarkazmem, piosenki i wierszyki przeważnie znakomite. Sala współżyła ze sceną, publiczność odgrywała swoją rolę niegorzej od wykonawców estradowych. Lapidarnością treści, świetnym dowcipem i kunsztownością formy górowały utwory Boya-Żeleńskiego, — arcydzieła nowoczesnej fraszki polskiej. Gdy insynuacje i aluzje odnosiły się do kogoś obecnego na sali, publiczność darła się:

— Pokazać! Pokazać!

Ofiara musiała wstawać i dziękować za wyróżnienie.

Temperatura na sali wciąż się podnosiła. Raz wraz wybuchały śmiechy, oklaski, krzyki. Pod koniec jeden ze znanych polityków lwowskich tańczył na estradzie kołomyjkę...

Polacy zawsze lubili włóczyć się po krajach obcych. Wyjeżdżali dla uzupełnienia wiedzy, dla zdrowia, w interesach i najczęściej — dla przyjemności. W miesiącach zimowych osobliwie wabiła Riwiiera francuska, sienkiewiczowski „Jasny Brzeg”. Ież możliwości wrażeń, wygod i przygód oczekiwało w tym bardzo ziemskim raj! Słońce, błękit morza, orgia kwiatów, wyrafinowany zbytek, i *last not least* — potworny wymysł szatana, — ruleta, wybornie zorganizowany hazard karciany.

W „Casino Municipal” w Nizy, lub w „Sporting’u” w Monte Carlo przy jednym stole obok wielkiego księcia z Petersburga zasiadał spekulant zbożowy z Buenos Aires, posiadacz kopalni z Uralu, właściciel niezliczonych cukrowni z Ukrainy, hrabia polski, grand hiszpański, który ze swym królem rozmawiał, nie zdejmując kapelusza, handlarz żywym towarem z Rio de Janeiro lub San Paolo. Dokoła stołu świetnie ubrane, — raczej przez Paquin’a i Poirét’a rozebrane damy i nie damy, elita międzynarodowego świata i półświatka. Przy stołach pomniejszych — chaotyczna zbieranina wszystkich nacji i stanów. Krupierzy obleśni i czujni, inspektorzy w uroczystych surdutach, ściszone dźwięki kapeli cygańskiej, nie milknący brzęk złota, zgarnianego grabkami, szelest banknotów...

Niekiedy ktoś wstawał od stołu z pustymi rękami i oczami. Wychodził, przeprowadzany podejrzliwym wzrokiem krupierów. Dzienniki lokalne nie podawały wiadomości o samobójstwach.

W kasynie p. Blanc’a, w Monte Carlo, ściany kapiące złotem, olbrzymie zwierciadła, kryształowe kinkietów, atmosfera duszna. Stoły z ruletą obleżone, przy stołach z trente-et-quarante — solenna cisza.

— *Mesdames, messieurs, faites vos jeux! Les jeux sont faits? Rien ne va plus!*

...Tutaj wzbogacony fabrykant platerów z Warszawy potrafił wygrać trzy czy pięć milionów franków. Kapryśne szczęście odwróciło się nagle, zdobyte miliony błyskawicznie stopniały, nie szczęśliwiec musiał zebrać o wiatyk na drogę. Wrócił do jaskini gry z resztkami fortuny, wznowił walkę. Przegrał wszystko.

..Wspólny przyjaciel zaprosił na obiad do Casino Municipal bawiących w Nizy Fałatów i mnie. Śliczna pani Fałatowa była w odmętach Riwiery jasnym wyjątkiem: nie miała żadnego pociągu do hazardu. A ileż to kobiet wszelkiego wieku i pozycji, z wypiekami na spoconych twarzach, trawiło dni i noce przy zielonych stołach!

Ile haniebných targów, kompromisów i upadków powodowała ta nieszczęsna namiętność! Fałat zbyt ciężką nędzę przecierpiał w młodości, by w hazardzie szukać szczęścia.

Ja łaskom kapryśnej fortuny nie ufałem, wszystko zawdzięczałem pracy. Gorączką gry natomiast ogarnięty był nasz amfitrion, nawykły i w interesach do ryzyka. Po obiedzie, godnym Brillat’a Savarin, wyprosił sobie, że na pół godziny usiądzie przy „wielkim stole” (maximum stawki wynosiło 10 tys. franków).

Stół był już obsadzony, szła ostra walka. Ugrzeczniejsi krupierzy znaleźli jednak dla grubego gracza miejsce obok Wincentego Koziell-Poklewskiego, któremu ogromny majątek pozwalał na kosztowne fantazje.

Nasz przyjaciel w ciągu pół godziny wygrał kilkanaście tysięcy franków. Pani Fałatowa namówiła go do odwrotu. Byliśmy w doskonałych humorach, pora nie była późna. Postanowiono wstąpić na butelkę do pobliskiego dancingu, w którym koncentrowało się nicejskie życie nocne.

Lokal był wykwinny, ściany i sufit wyłożone taflami lustrzanymi. Równocześnie z nami weszło towarzystwo niemieckie, składające się z dwóch par, starszej i młodszej. Młoda pani była ładna, wieczorowa toaleta odsłaniała ponętne kształty. Chabrowe oczy zdawały się szukać kogoś na sali, — znalazły, zapłonęły radością. Gdy po kilku chwilach ozwały się skrzypki cygańskie, do stołu niemieckiego zbliżył się fordanser miejscowy, — rasowy efeb. Na przedwcześnie zmęczonej twarzy błakał się uśmiech niedbały i cyniczny: młodemu rozbitkowi żadna rozpusta i żaden grzech nie mogły być obce. Ukłonił się, prosił ładną panią do tańca. Mąż przyglądał się intruzowi z nieukrywaną odrazą; półgłosem usiłował zatrzymać żonę. Lecz ona nie zwróciła na jego przełożenia uwagi, wychyliła z determinacją szklaneczkę szampana i już tkwiła w ramionach efeba.

Odtąd przy stole nie ustawały między małżonkami spory, które starszy pan usiłował łagodzić zachętami do wina. Mąż w podnieceniu golił szklanekę za szklanką, młoda pani wydawała się bardzo podnieconą.

Tymczasem sala wypełniła się doszczętnie, zrobiło się gwaro i gorąco. Efeb parokrotnie wracał, pobudliwa niemka nie dawała się mężowi zatrzymać. On pił i burzył się coraz gorzej, niemeczka stawiała się zuchwalsza. Gdy efeb odprowadzał ją po przegubach tanga do stołu wśród oklasków całej sali, wskazała mu miejsce obok siebie. Mąż wpadł w szal. Musiał rzucić natrętowi jakieś obel-

żywe słowo, bo ten poruszył się gwałtownie, jak gdyby chciał go spoliczkować. Niemiec chwycił otwartą butelkę szampana za szyjkę i cisnął w głowę efeba. Ów uchylił się, butelka śmignęła mu tuż nad czaszką, huknęła w tafłę lustrzaną. Muzyka zamilkła, sala zamarła w śmiertelnej ciszy. Z dużej wyrwy w ścianie lustrzanej spadały z głuchym brzękiem odłamy grubego szkła.

Maitre d'hotel pierwszy odzyskał przytomność. Dał znak muzykantom, zagrzmiał marsz Rakoczego. Z jakiegoś kąta wysunął się ciężko zbudowany wyszybało, wziął poufale rozwścieczonego Niemca pod ramię, i zanim ten zorientował się, o co chodziło, wyprowadził go do szatni. Starszy pan płacił nerwowo rachunek. Garsoni skrętnie zbierali szkło, wyrwę w ścianie zasłonięto. Efeb ulotnił się niewiadomo kiedy i gdzie. Wśród podnieconego gwaru kilka par zaczęło krążyć w takt strausowskiego walca... Szampan znów śmiał się w szklankach, świeżo przybyli goście zajmowali miejsca przy opróżnionym stole.

...W gorączkowej atmosferze Riwiery wyzwały się wszystkie złe instynkty. Eksploatowali je bez obrzydzenia chciwi zysku przedsiębiorcy, zbiegowisko gobsecków i gangsterów z całego świata. Za złoto wszystko było dostępne. Wzburzone zmysły rozpałały wyobraźnię. W upajających promieniach słońca, w sennym szumie morza, w odurzającej woni kwiatów i pachnideł czaiły się grzech i zbrodnia. Riwiiera w ostatnich latach przed wojną była Gomorą oszalałego świata kapitalistycznego. Wszechmożni potentaci giełdy, przemysłu i fortun rodowych nie dostrzegali zbliżających się katastrof. Doktrynierzy przygotowywali mozolnie w ubogich izdebkach paryskiego Montsouris i w zaułkach Genewy olbrzymie przewroty społeczne.

...Czekałem w barze Kasyna Miejskiego na znajomego, który usiłował bezskutecznie odegrać się w bakarata. Zbliżała się północ. Stała przy mnie ciemno ubrana pani, ani młoda ani stara, ani brzydka ani ładna. Jedna z tych postaci, których się nigdy nie pamięta.

— Pan jest sam?

— Chwilowo.

Obejrzała się, ściszyła głos.

— Pan pali?

Wskazałem cygaro, które trzymałem w ręku. Potrząsnęła głową.

— Nie o tym myślałam.

Spojrzała mi uważniej w oczy.

— Pan nie palił nigdy opium?

Istotnie, nigdy nie przyszło mi to na myśl. Na dalszy Wschód nie dotarłem.

Ciekawość wzięła górę. Zdradziłem przyjaciela, za chwilę z nową znajomą jechałem ulicą de France w kierunku Kalifornii. Dama opowiadała, że dwanaście lat spędziła ze swym przyjacielem w Sargonie. Gdy przyjaciel umarł, wróciła do ojczyzny. W Nizy założyła potajemną palarnię opium.

Mieszkanie, do którego weszliśmy, było pospolite. Z saloniku kilkoro drzwi prowadziło do poszczególnych pokojów. Ten, do którego weszliśmy, był prawie pusty, tonął w półmroku. Na ścianach tkwiło parę tandetnych makat chińskich, na podłodze — maty. Wzdłuż jednej ze ścian materac, przysłonięty wzorzystą tkaniną, kilka poduszek. Obok — niski stolik inkrustowany. Otwarta lampka sączyła wątlą płomyk. Okno było zasłonięte. W stęchłym powietrzu uwydatniał się mdły zapach olejku kameliowego. Wogóle coś pośredniego między gabinetem dentysty, a sypialnią w domu publicznym.

Gościnną damą uśmiechała się obleśnie, zapewniając tajemniczo:

— Zaraz pan będzie obsłużony.

Weszła drobna anamitka w luźnej szacie ciemnoniebieskiej. Oczy skośne, wydatne kości policzkowe, krucze włosy wysoko związane, wargi sownie uczerwienione. Machinalnie wsunąłem ręce w szerokie rękawy szlafroka, który mi podała. Gospodyni kiwnęła znacząco głową i wyszła.

Malajskie stworzonko wskazało posłanie.

— *Monsieur coucher?*

Przeklinałem lekkomyślną ciekawość. Uciec? Tchórzostwo. Pomacałem rewolwer w tylnej kieszeni spodni. Uspokoilem się, ległem. Anamitka podłożyła mi troskliwie pod głowę poduszkę. Z lakowego pudełeczka wyjęła mały słoik i cienką pałeczkę, zakończoną igłą. Tą igłą sięgnęła do słoika, przytknęła ją do płomienia lampy. Coś skwierczało, pryskało. Odjęła pałeczkę, sprawdziła zbliska, i z wielką ostrożnością przeniosła to, co ostało się na koniuszczku igły, do cybuszka fajki, która na stoliku oczekiwała na specyfik.

Daremnie chciałem bronić się sugestii. Ogarnął mię bezwład. Dziewczyna przyklękała, wsunęła mi delikatnie ustnik fajki między wargi. Podniosła się, już jej nie było. Lampka na stoliku zgasła,

byłem sam w ciszy i ciemności. Mimowoli pociągnąłem z fajeczki. Zakręciło mi się w głowie. Do diabła! Co się dzieje?

Odrzuciłem precz fajkę, porwałem się z posłania, zdarłem chałat. Odnalazłem drzwi do salonu. Paltot, kapelusz, laska...

W drzwiach stała kwaśno uśmiechnięta pani domu, ani młoda, ani stara, ani brzydka ani ładna. Wsunąłem jej w rękę banknot, i pędziłem po schodach. Odetchnąłem pełną piersią na pustej ulicy. Niedaleko szemrało morze.

Przez resztę nocy borykałem się z mdłościami. Nie poznałem czarów narkotyku, w którym Daleki Wschód szuka ucieczki od udręk ziemskiego życia.

Trudności polskiego autora dramatycznego w okresie nieroli.

W zaborze rosyjskim tematy, które narzucały się autorowi polskiemu, bywały najczęściej niecenzuralne. Wszystko, co najgłębiej obchodziło umysłowość polską, co podniecało, oburzało lub zapalało uczucia, — było muzyką zakazaną. Pisarze, którzy chcieli się wypowiedzieć pełniej i jaśniej, musieli drukować swe dzieła za kordonem i pod pseudonimami (Kraszewski, Zapolska, Żeromski). Twórczość dramatyczna, zasilająca teatry polskie na terenach zaboru rosyjskiego, obracała się z musu w ciasnym kręgu zagadnień obyczajowych.

Możnaż było w latach 1906-9 oprzeć się pokusie tematów, które narzucał krwawy ferment rozgrywającej się w naszych oczach rewolucji?

Pisałem „Przywódcę” podczas wczesnowiosennego pobytu na Południu, — pisałem szybko i w gorącym napięciu. Dramat ujmował obiektywnie walkę dwu zasadniczych światopoglądów, jakie zmagaly się w okresie rewolucyjnym. Dyrekcja teatru Rozmaitości przyjęła egzemplarz bardzo życzliwie, od razu jednak powstały wątpliwości, czy cenzura udzieli przyzwolenia. Cenzorem teatralnym był Iwanowski — tym niebezpieczniejszym, że posiadał wyższe wykształcenie i nie przyjmował łapówek. Po polsku mówił bez zarzutu.

Przez rok z górą prowadziłem z nim bezskuteczne i zdawało się beznadziejne targi. Gdy wreszcie prawie wszystkie drażliwości były uzgodnione, egzemplarza zażądała przyboczna kancelaria ge-

nerał-gubernatora. Skafion podobno przeczytał sztukę i poczynił dodatkowe, własne uwagi...

„Przywódca” stał się jednym z moich największych sukcesów teatralnych. Mnie sztuka ta obrzydła z racji zmian, do których zmusiła mnie cenzura. Nie mogłem sobie darować kompromisów i nigdy później nie zgodziłem się na wznowienie tego dramatu.

Na polowaniach z Sienkiewiczem.

Dobra sokolnickie pod Ozorkowem były własnością p. Boettchera.¹⁾ Prawo polowania na terenach tego majątku dzierżawił mój przyjaciel Juliusz Herman, prezes Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. Kochał się on w malarstwie, w muzyce, w zabawie łowieckiej i w dobrych trunkach. Posiadał wyjątkowo piękną galerię nowoczesnej sztuki polskiej.

Wczesną jesienią spędzałem co rok kilka dni z Hermanem w leśniczówce sokolnickiej. O świcie i o zmierzchu podjeżdżaliśmy kozły, (sarn było dużo), w dzień włóczyliśmy się po polach za kuropatwami i bażantami. Na zimowe polowania Herman sprowadzał liczniejsze towarzystwo. Uczestniczyli w nich zwykle ks. rektor Chełmicki, Józef Weyssenhoff, Wład. Rabski, Zygmunt Bartkiewicz, Franciszek Ejsmond, Michał Wywiórski, Miłosz Kotarbiński, Adam Breza, Stanisław Lilpop, Wacław Paszkowski, pp. Boettcherowie.

Raz wziął udział Henryk Sienkiewicz. Kwaterowaliśmy w jednym z hoteli w Ozorkowie. Sienkiewicz czuł się w naszej beztróskiej i zgranej kompanii doskonale. Wieloletnią przyjaźnią z ks. Chełmickim zbliżony, przekomarzał się z nim po każdym miocie. Strzelał celnie, mniej pewnych strzałów unikał.

Rabski przedrzeźniał się z Ejsmondem, Weyssenhoff z Rabskim. Bartkiewicz tak solił swoje powiedzonka, że ciągle wybuchy śmiechu niecił. Piękna i mądra twarz Sienkiewicza jaśniała pogodnym uśmiechem.

Nie dowierzając ozorkowskim talentom kulinarnym, Herman kucharza i służbę sprowadził z Warszawy. Gdyśmy pod wieczór zeszli się na obiad, w sąsiednim pokoju nagle huknął marsz powi-

¹⁾ Po wojnie światowej nabył je Aleks. bar. Rostocki.

talny. Mury zadrżały. Breza zbladł, bo ość sigi utknęła mu w krtani. Ks. Chelmiński zatykał uszy, Rabski klął w niebogłosość.

W drzwiach kłaniał się wdzięcznie właściciel hotelu, rad z wrażenia. Z jego inicjatywy, ozorkowska orkiestra strażacka oddawała cześć twórcy „Trylogii”.

...Po obiedzie, przy kawie czarnej i koniaku, zaczęły się gawędy i dysertacje myśliwskie. Rozpoczął je ks. Chelmiński opowiadaniem, jakoby autentycznym. Na polowaniu, w którym uczestniczył, postrzelono chłopaka z naganki. Czy chłopak omdlał, czy omdlenie udawał, trudno było stwierdzić, leżał pod krzakiem bez ruchu. Dopadł go ojciec, szczerwany wyga, i zaczął wydzierać się żałością.

— Zabili mi dziecko! Zabili dziecko!

Chłopak ani drgnął, twarz chował w murawie. Niefortunny myśliwy trząsł się z przerażenia. Ks. Chelmiński zbliżył się do chłopaka i jął przytakiwać bolejącemu ojcu.

— Biedny chłopak! Nic z niego nie będzie! Tylko męczy się daremnie.

I litościwą myślą tknięty, dodaje głośnie.

— Ma cierpieć, to lepiej odrazu go dostrzelić!

Nie zdążył włożyć do fuzji naboju, a chłopak już smyglał jak zając między krzakami. Ojciec za nim.

Miłosz Kotarbiński zagadnął Sienkiewicza o jego wrażenia łowieckie z Czarnego Łądu, — z wyprawy do Afryki, która dostarczyła znakomitemu pisarzowi materiału do powieści „W pustyni i puszcy”. Sienkiewicz z początku odpowiadał tylko na pytania, zwolna jednak poniósł go temperament narracyjny. Mówił głosem niskim, cicho, a z taką plastyką, że zapomnieliśmy o znużeniu i o koniaku.

...Przygoda bardziej dramatyczna!

Polowaliśmy w Pawłowicach, pod Sochaczewem. Właściciel, dr. Jan Brzeziński, b. redaktor „Kurier Warszawski”, dotknięty paraliżem, mieszkał w Warszawie, i z fotela się nie ruszał.

Gdyśmy wyszli w pole, kawki darły się, wieszcząc słońce. Od południa mżył deszcz, szara płachta nieba wisiała nisko nad rozmokłymi oziminami i podorywami. Zmierzch, nasiąknięty deszczem, nadchodził w mgłach.

Ostatnie zakłady na bażanty odbyły się w parku. Koguty podnosiły się niechętnie, postanowiliśmy przerwać polowanie.

Wracaliśmy do dworu hurmą, przez ogród, myśliwi i naganiacze. Z drugiej strony rozległego trawnika majaczyła w gęstej

mgłę aleja równoległa. Nie wiedzieliśmy, że Sienkiewicz z ks. Chelmińskim odłączyli się i poszli tamtędy.

Z krzewów, zdobiących środek murawy, porywa się stary kogut. Rabski woła do mnie: — Strzelaj! Ejsmond już się zmierzał. Rzuciłem dubeltówkę do ramienia, dwa nasze strzały stopiły się w jeden. Bażant zwałił się, lecz równocześnie z drugiej strony trawnika, o 100—120 kroków od nas, rozległy się gwałtowne krzyki:

— Nie strzelać! Nie strzelać!

Zgiełk, wołania, trwoga. Biegniemy przez trawnik. Cóż za widok! Sienkiewicz chustką ociera skrwawioną twarz. Służący ks. Chelmińskiego, stary Andrzej, zraniony w głowę, trzęsie się ze strachu, że już wybiła ostatnia jego doczesnej wędrówki godzina. Ks. Chelmiński wzburzony. Zimną krew zachował jeden Sienkiewicz. Spieszymy do dworu, podają światło. W twarzy wielkiego pisarza sterczało pod skórą kilka śrócin. Jedna przy dotknięciu wypadła na podłogę. Sienkiewicz położył przyjaźnie rękę na moim ramieniu.

— Nic się nie stało. Niech się pan nie przejmie.

Ks. Chelmiński wznosił do góry ramiona.

— On jeszcze gotów przepraszać, że dał się postrzelić.

Przyspieszyliśmy powrót do Warszawy, Sienkiewicza i Andrzeja odstawiliśmy do Omegi, gdzie ich starannie opatrzone. Nazajutrz rano udałem się na ulicę Szopena pytać o zdrowie. Sienkiewicz leżał w swym gabinecie na kanapie z głową obwiązaną, w rękę trzymał stare wydanie łacińskie Horacjusza. Zyskałem blisko dwugodzinną, intymną gawędę, dla „Świata” — przekład jednej z ód.

Postrzały na polowaniach bywają wynikiem nieokiełzanego temperamentu i niedostatecznej ostrożności myśliwych, powoduje je również gnuśność i niedbalstwo naganiaczy. Przyczyną niezależną tak od myśliwych jak i od naganiaczy bywa kapryśność, osobliwie podczas silnych mrozów, odbijanie się kul i śrócin od kamieni, sęków drzew i zamarzłej gleby, czyli t. zw. rykoszety.

Byłem świadkiem wielu postrzałów, lżejszych i cięższych. Samemu przytrafiło mi się parę razy skaleczyć powierzchownie naganiacza, dostać od sąsiadów śrutem po butach. Pamiętam jeden wypadek, który długo był wątkiem opowiadań podczas myśliwskich konwentyklów.

Polowaliśmy przez dwa dni w Skałacie, na Podolu małopolskim, u Aleksandra br. Rostockiego. W lasach roiło się od zajęcy,

organizacja była wyborna, gospodarz gościnny. Uczestniczył w zabawie łowieckiej wojewoda lwowski Garapich z małżonką, zapaloną nemrodką. Drugiego dnia mróz ścisnął siarczysty. Przy śniadaniu w lesie wszyscy pilnie rozgrzewali się wyśmienitą starką. Strzelano potem na wszelkie dystanse, pani wojewodzina grzmiała bezustannie. Ostatni miot obejmował wielką sztrafę leśną, zawsze niebezpieczną, cóż dopiero po sutym posiłku i przy wczesnym zmierzchu zimowym.

Zające pomykały gęsto, pani wojewodzina tak szafowała nabojami, że w końcu ich zabrakło. Pani była w rozpacz. Nadbiegli dwaj sąsiadujący z nią myśliwi, litwin i królewski, ofiarując swoje zasoby. Lecz okazało się, że wojewodzina strzelała z szesnastki, obaj galanci posiadali dwunastki i naboje przystosowane do tego kalibru broni. Litwin oddał do rozporządzenia porywistej sąsiadki jedną ze swych pierwszorzędnych dubeltówek, królewski prosił o przyjęcie jego naboju. Pani ujęta ich uprzejmością, dziękowała radośnie. I zaraz szparko ruszyła naprzód, bo już tworzył się w sztrafie worek. Posunęła się kilkanaście kroków, wystartowały dwa koty, jeden na prawo, drugi na lewo. Wojewodzina wygarnęła do każdego z jednej lufy. Dublet się powiódł — wszakże nie do zajęcy, bo uszły zdrowe, lecz do grzecznych sąsiadów: obaj przysiedli. Dostali mocne śróciny w łydki. Że szedłem w pobliżu, przywołałem spiesźnie gospodarza, ten zaordynował najwygodniejsze sanie dla poszkodowanych, samochód wysłał po lekarza do miasteczka.

Postrzały nie były niebezpieczne, ale bolesne.

Wojewodzina szła dalej w sztrafie, o niczym nie wiedząc, i w dalszym ciągu grzmiała z użyczonego jej Purdey'a.

Chcieliśmy utrzymać wypadek w tajemnicy, jednak gdyśmy się zebrali po skończonym miocie w leśnej rezydencji, wszyscy już o nim mówili. Wszyscy, prócz wojewodziny i wojewody. Ona może wolała nie wiedzieć; małżonek orientował się, że coś zaszło, pytał, lecz bez natarczywości. Nieobecność dwu myśliwych przy stole obiadowym wytłumaczono zmęczeniem. Para wojewódzka zaraz po kawie czarnej odjechała.

...Właściwość mężów, że potknięcia się własnych żon, mniejsze i większe, uchodzą ich spostrzegawczości, jeden z moich przyjaciół, wielki cynik, nazywał błogosławieństwem Sakramentu.

Szyfman, Momus, Teatr Polski.

Antoni Chołoniewski nadsyłał mi do „Świata“ od czasu do czasu felietony treści teatralnej dr. Arnolda Szyfmana. Autor ich dał się poznać w Krakowie jako pisarz sceniczny („Fifi“) i jako dyrektor artystycznego kabaretu „Figliki“. Teatrzyk ten miał być ustabilizowaną i zmerkantylizowaną kontynuacją „Zielonego Balonika“.

Późnym latem 1908 r. zjawił się Szyfman w redakcji „Świata“ z listem polecającym od Chołoniewskiego. Był wtedy szczupłym młodzieńcem, ciemne oczy latały mu niespokojnie i wesoło, na ustach błąkał się uśmiech nieśmiały i ufny. Wylądował w Warszawie, bo w Krakowie było mu ciasno. Szukał szerszej areny dla swych „Figlików“.

By ziszczyć te plany, potrzebny był lokal, zespół artystów, repertuar. Groźną była cenzura, która w Warszawie nie znała się na żartach. Krakowianin zapewniał, że byle znalazł pomieszczenie, wszystko pójdzie jak z płatka.

Przypadek chciał, że taki odpowiedni i wolny lokal mogłem wskazać. Właściciel okazał się skłonny do porozumienia, Szyfman promieniał radością. Gdy jadł u mnie śniadanie i ujrzał taras, łączący mieszkanie z ogródkiem, wpadł w szal.

— Tutaj musimy urządzić uroczystą próbę generalną! Pan zaprosi elitę towarzyską (wówczas nazywała się „całą Warszawą“), na trawniku rozstawi się fotele i krzesła, taras posłuży jako estrada. Co to będzie za reklama! (teraz mówi się: propaganda!)

Ochłodziłem rozgrzaną wyobraźnię gościa. Program kabaretowy bywa ostry w satyrze, swywolny w dowcipie. Wszelkie osobiste urazy i zastrzeżenia obróciłyby się przeciw „Światu“, który już miał zawistnych.

Młodociany doktor filozofii miał łzy w oczach. Dał się wszakże pocieszyć, i na odmowie nie stracił, bo premiera „Momusa“ (taką nazwę otrzymał kabaret) ściągnęła wyborową publiczność. Program był zręcznie ułożony, artyści trafnie dobrani, kilka piosenek i paru wykonawców odniosło rzetelny sukces.

W „Momusie“ spotykały się zamożne sfery towarzyskie wspólnie z cyganerią artystyczno-literacką. Niejeden świszczypała, należący do tego wesołego bractwa, niespodzianie wstawał od stolika, wstępował na estradę i popisывał się „własnym repertuarem“. Z estrady biegły gorzkie skargi na „życie, psiakrew, takie złe!“ przy stolikach strzelały butelki z szampanem. Nadobne panie, zwłaszcza bar-

dziej w wiek zapędzone, z wypiekami na umalowanych twarzach słuchały filozoficznej opowieści Boya, w wybornej interpretacji Mery Mrozińskiej, o malarzu, który zakochał się w Stefanii. Niejedną damę zapewne potem dręczyła wątpliwość, czy celowym jest nadto przewlekłe upierać się przy atakowanej cnocie. Niepokoiła konkluzja: „potym jednak mu wychłódło, bo już była stare pudło”...

„Momus” zbliżył Szyfmana do warszawskiej publiczności teatralnej, stał się odskocznią dla jego dalszych, górniejszych poczynań. Już w dziesięć miesięcy później dyrektor „Momusa” wystąpił z projektem założenia w Warszawie prywatnego teatru dramatycznego, o wyższej skali artystycznej.

Zaczęły się konwentykle i narady. Żarliwym orędownikiem zamierzeń Szyfmana stał się Władysław Rabski. Zabiegom dopomogły pogłoski, jakoby wpływowe czynniki petersburskie zamierzały wprowadzić do Warszawskich Teatrów Rządowych stałe widowiska dramatyczne w języku rosyjskim, na zmianę z polskimi.

Późną jesienią 1910 r. w pałacu Błękitnym odbyło się zebranie, na które ordynat Maurycy hr. Zamoyski, każdej dobrej inicjatywie życzliwy, zaprosił kilkadziesiąt osób z inteligencji zawodowej, literatury, prasy, arystokracji i ze sfer gospodarczych. Szyfman referował projekt, Rabski poparł gorąco jego wywody. Potentaci finansowi zachowywali się powściągliwie. Ostatecznie wybrano komisję, która miała projekt bliżej rozpatrzyć z punktu widzenia możliwości pieniężnych.

Sporo wody w Wiśle upłynęło, zanim te zamysły przyoblekły się w kształty realne. Szczęściem Szyfmana było, że pozyskał dla swych planów Tomasza hr. Potockiego, oświeconego dyletanta, który namiętnie bawił się w pisanie dramatów. Jeden z jego utworów, „Ścibor” (wydany w odbitce książkowej) nie był nawet pozabawiony wartości.

Tomasz hr. Potocki rozwinał energiczną działalność. Zdobywał zapisy na akcje, pośredniczył u władz, usuwał trudności. Doczekał się otwarcia upragnionego teatru. Jego zasługi zostały uczczone wewnątrz gmachu tablicą pamiątkową, najgorętsze pragnienie hr. Potockiego jednak nie ziściło się: „Ścibor” nie był nigdy wystawiony w Teatrze Polskim.

Po przedwczesnym zgonie hr. Tomasza Potockiego, na czele spółki akcyjnej Tow. Budowy Teatrów stanął Edward hr. Krasński, ordynat opinogórski, jeden z niewielu przedstawicieli polskich rodów historycznych, który ze spraw, związanych z kulturą naro-

dową, uczynił cel i treść swego życia. ...Gdy budowa Teatru Polskiego zbliżała się do końca, Szyfman zajął się organizacją zespołu. Szczęście dopisało mu i w tej mierze. Teatr krakowski przechodził w tym okresie silne wstrząsy wewnętrzne. Najprzedniejsze młode talenty aktorskie, które stanowiły trzon tej sceny, dały się bez trudu pociągnąć do Warszawy. Lwów dodał parę cennych sił. Na liście Teatru Polskiego znaleźli się tacy, podówczas młodzi artyści, jak Kazimierz Junosza-Stępowski, Józef Węgrzyn, Weychert, Jerzy Leszczyński, Zelwerowicz, Maks. Węgrzyn, Sosnowski... Z pań, okrom Marii Przybyłko-Potockiej, znakomitej artystki i dobrej wróżki Teatru Polskiego, później — małżonki dyrektora, — Stanisława Wysocka, Maria Dulębianka, Laura Duninówna, Janina Zarzycka... Nadzór nad inscenizacją, dekoracjami i kostiumami objął Karol Frycz.

Zespół Teatrów Rządowych był w tym czasie liczniejszy w talenty dojrzałe, górował zwłaszcza obfitością i bogactwem talentów kobiecych. Należeli do tego zespołu, między innymi, Kazimierz Kamiński, Mieczysław Frenkiel, Jul. Osterwa, Winc. Rapacki, Wojdałowicz, Wostrowski, Edw. Wolski, Roland, Nowicki, Wilczyński, Bednarczyk, Józef Śliwicki, Ant. Fertner, Gasiński, Rufin Morozowicz... Z pań: Lüdowa, Federowiczowa, Marcellówna, Irena i Stanisława Trapszówny, Siennicka, Honorata Leszczyńska, Ćwiklińska, Pichorówna, Ordon-Sosnowska, Renardówna, Micińska i dwie nowe gwiazdy: nieporównana jako talent, Szylinzanka i promieniejąca wdziękiem Stanisława Lubicz-Sarnowska.¹⁾

Przewaga sił była niewątpliwie po stronie Teatrów Rządowych. Prezesem ich był Jerzy Małyszew, wiceprezesem — Kazimierz Hulewicz. Małyszew był Rosjaninem, uniwersytet wszakże kończył w Warszawie, do teatru żywił szczere upodobanie, autorom polskim okazywał życzliwość. Hulewicz był sympatycznym dyletantem, zabawiał się chętnie piórem. Nad Teatrami Rządowymi ciążyła przecież atmosfera biurokratyczna, uniemożliwiająca lotność i rozmach inicjatywy. Rutyna urzędnicza i umysłowość belferska jednakowo bywają nieprzychylne sztuce teatralnej.

Teatr Polski w pierwszej fazie swego istnienia posiadał drużynę, składającą się przeważnie z sił młodych, ale rozgrzaną zapałem, i ochotą zwycięstwa. Szyfman wyczuwał, że w każdej dziedzinie sztuki, a zatym i w teatrze, zwycięża ten, kto wydeptanych

¹⁾ Cytuję nazwiska z pamięci, mogą być tedy w podanym spisie pewne opuszczenia i niedokładności.

ścieżek unika, nowych — a przynajmniej i n n y c h — szuka, świeże wartości niesie. Publiczność znudzona martwym szablonem reżyserii i inscenizacji w Teatrach Rządowych, olśniona była świeżą bujnością teatru Polskiego. „Irydion” zdobył wielkie powodzenie, „Krakowiacy i Górale” święciły tryumf.

Po premierze „Krakowiaków”, entuzjastycznie przez publiczność przyjętych, jakiś szpicel doniósł władzom, że w kupletach, śpiewanych na scenie, znalazły się dwa surowo zakazane wyrazy: Orzeł Biały. Wieść o tym przestępstwie doszła do Skallona. Nowemu teatrowi groziły represje.

Edward hr. Krasiński wyzyskał zręcznie antagonizm, jaki panował między bar. Essenem, cywilnym zastępcą generał-gubernatora warszawskiego, a Małyszewem, dyrektorem Warszawskich Teatrów Rządowych. Wy tłumaczono Essenowi, że denuncjacja była aktem nielojalnej konkurencji: Małyszew chciał w ten sposób pozbyć się niebezpiecznego współzawodnika. Essen poszedł do Teatru Polskiego, żeby sprawdzić słuszność oskarżeń. Lecz „Orzeł Biały” już wyfrunął z tekstu piosenki. Dygnitarz rosyjski nie dopatrzył się w przedstawieniu nic zdrożnego, Małyszew dostał po nosie.

Przypomina mi się jeden zabawny z nieco późniejszych czasów epizod.

Któregoś wieczora, nie pamiętam już z jakiej okazji, zebrała się u nas garstka najbliższych przyjaciół. Sami współpracownicy „Świata” z żonami: Władysław Reymont, Kornel Makuszyński i Władysław Rabski, a prócz tego Kazimierz Tetmajer, Józef Weyssenhoff, Zygmunt Bartkiewicz, Włodzimierz Perzyński, Ignacy Grabowski, Mieczysław Frenkiel, Józef Jankowski, Adam Breza, — zdaje mi się, że i Wacław Grubiński.

Już mieliśmy siadać do stołu, gdy w przedpokoju zabrzączał dzwonek. Po chwili weszła nasza poczciwa Antosia i zameldowała nieco tajemniczo:

— Jakaś młoda pani pyta o pana Rabskiego...

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Rabskiego. Ten nigdy nie miał całkiem czystego sumienia wobec młodej i ładnej żony. Stropił się, ruszył niepewnym krokiem w stronę drzwi, żegnany złośliwymi apostrofami Bartkiewicza i Kornela.

W saloniku wszystkie lampy osłonięte były wielkimi abażurami. Stąd półmrok.

Cisza.

Zdawało się, że lada chwila wybuchnie dramat.

Zanim Rabski doszedł do drzwi, pojawiła się w nich sylweta ciemno ubranej i zawoalowanej pani. Twarzy nie można było rozpoznać.

Ogólny niepokój. Tylko moja żona uśmiechała się...

Nagle radosne krzyki.

— Szyfman! Arnold!

Wybuchy śmiechu, niesłychany harmider. Wydało się, że Szyfman, w porozumieniu z moją żoną, wypłatał tego figla Rabskiemu. — i rzeczywiście nie mało go nastraszył.

Wieczór, tak wesoło zaczęty, przeciągnął się do rana.

Uroczystości grunwaldzkie w Krakowie.

Czym był Kraków dla Polaków z innych zaborów i z emigracji, świadczyły uroczystości, związane z 500-letnią rocznicą bitwy grunwaldzkiej. Ignacy Paderewski, wrażliwy na uczucia i psychikę zbiorową, zainicjował i ufundował pomnik Jagiełły. Wykonanie powierzono artyście rzeźbiarzowi Wiwulskiemu. Inaugurację (lipiec 1910 r.) połączono z pierwszym na wielką skalę zlotem wszechpolskich Sokolów. Delegacje sokolskie z zaborów rosyjskiego i niemieckiego były szczupłe i bezimienne: uczestnicy narażali się na surowe represje.

Kraków, przybrany odświętnie, wrzał podnieconym zgielkiem. Mimo późnego wieczora i „szpery”¹⁾, liczne wycieczki regionalne przebiegały miasto, dążąc do wyznaczonych kwater. Folklor polski prezentował się w całej krasie. Najwięcej spotykało się białych kierzni i czerwonych rogatywek z pawimi piórami. Ład panował wzorowy.

Zajechałem do „Grandu”, gdzie miałem zamówiony pokój, i zaraz zeszedłem do sali restauracyjnej. Była nabita. Od stołów biegły powitania, życzliwe uśmiechy. Znajomi i przyjaciele z Poznania, Pomorza, Lwowa, Wilna, Petersburga, Moskwy, Kijowa. Wszyscy byli sobie radzi, głębszą wspólnotą uczuć rozgrzani. Boże! Jak wielką była — mimo rozdarcia i niewoli — nasza Polska.

W rogu sali czekali na mnie z kolacją Rudolf Starzewski i Konrad Rakowski. Co chwila ktoś się przysiadł, odchodził, wracał.

¹⁾ Godzina zamykania bram. Potem trzeba było płacić dozorczy 20 halerzy. Oszczędni krakowianie uważali tę opłatę za kosztowny haracz.

Wciąż znoszono nowe wiadomości. Ten przyjechał, tamten musiał zostać w domu. — A Paderewski? — Kiedy przyjeżdża Paderewski? To pytanie obiegało wszystkie stoliki. Dyrektor hotelu, namiętny miłośnik nowoczesnej sztuki polskiej, potrząsał świeżo otrzymaną depeszą.

— Państwo Paderewscy przybędą jutro z rana.

Telegram był podpisany przez panią Helenę Paderewską. Donosiła o porze przyjazdu i wyrażała życzenie, aby dyrekcja i służba hotelowa witała kwiatami u podjazdu.

Pani Paderewska, towarzysząc stale mężowi w jego wędrówkach koncertowych, rozumiała wagę reprezentacji i propagandy.

...Odsłonięcie pomnika odbyło się przy udziale niezliczonych tłumów. Przemawiali marszałek Stanisław Badeni, prezydent m. Krakowa Leo i Paderewski. Oczywiście, najpiękniej mówił znakomity artysta.

Po inaguracji odbyła się uroczysta biesiada, podczas której temperatura duchowa tak skoczyła, że umysły najtrzeźwiejsze zapomniały o zwykłej ostrożności. Władysław Żukowski, niedawno jeden z czołowych publicystów ugodowego „Kraju”, — palnął mówkę, w której domagał się, ni mniej ni więcej, zjednoczonej i niepodległej Polski. A przy stole siedzieli i słuchali przybyli na odsłonięcie przedstawiciele narodu rosyjskiego.

Księżna Antoniowa Radziwiłłowa w swych „Listach do generała de Robilant” pisze pod datą 27 lipca 1910 r., że rząd berliński zwrócił się do Wiednia z żądaniem, aby obchód grunwaldzki w Krakowie został wzbroniony. Rząd wiedeński odpowiedział, że nie ma możliwości wydania takiego zakazu.

Stanisław Badeni i Paderewski w swych przemówieniach, natchnionych gorącym patriotyzmem, unikali akcentów, jątrzących przeciw Niemcom.

Najsilniejsze wrażenie wywarły popisy i ćwiczenia sokolskie. Na boisku zgromadziło się 5000 druhow, reprezentujących większość drużyn ze wszystkich zaborów. Spore były zastępy sokolic. Gdy wszystkie oddziały uroczystym marszem, przy dźwięku orkiestr, paradowały przed wypełnionymi po brzegi trybunami, witano je entuzjastycznie okrzykami i okłaskami. Pierwszy raz w życiu patrzyliśmy na początek zorganizowanej siły polskiej. W oczach szklily się łzy, serca waliły młotem, dusze rwały się do lotu. Błagalna pieśń o przywrócenie ojczyzny niosła się do nieba.

Kraków był Mekką polską.

Mało z nas kto wiedział, że w tej Mekce już w r. 1905 Józef Piłsudski założył potajemne kursy bojowe, na których wykładowcami byli Prystor, Rożen, Dąbkowski, Hempel. W sierpniu 1914 r. z tych embrionów miały wyłonić się pierwsze kadry legionów.

Dookoła „Świata” (1908 — 1914).

Nie zapędzając się w szranki sporów i walk partyjnych, „Świat” otwierał swe łamy pisarzom wszelkich koncepcji politycznych.

W pierwszych latach swego istnienia „Świat” drukował większe utwory Bartkiewicza Zygmunta, Daniłowskiego Gustawa, Gąsiorowskiego Wacława, Hajoty, Konara Alfreda, Kosiakiewicza Wincen-tego, Langego Antoniego, Makuszyńskiego Kornela, Nalepińskiego Tadeusza, Nałkowskiej Zofii, Nowaczyńskiego Adolfa, Perzyńskiego Włodzimierza, Reymonta Wł. St., Rittnera Tadeusza, Sieroszewskie-go Wacława, Srokowskiego Mieczysława, Struga Andrzeja, Szymańskiego Adama, Tetmajera Kazimierza, Weyssenhoffa Józefa, Zapolskiej Gabryeli.

Studia, poezje, artykuły, korespondencje i felietony w tym okresie umieszczali w „Świecie”: Askenazy Szymon, Baliński Ign., Baranowski Wojciech, Bartoszewicz Kazm., prof. Baudouin de Courtenay, Breza Adam, Buchner Wład., Casanowa Zofia, Chołoniewski Ant., prof. Chrzanowski Ign., Czekalski Eustachy, Dębicki Zdzisław, Długoszewski-Wieniawa, Donimirski Antoni, Dzikowski Stanisław, Ehrenberg Kazimierz, Fałat Julian, Feldman Wilhelm, Frenkiel Mieczysław, Golińska-Daszyńska Zofia, Gorczyński Bolesław, Grabowski Tadeusz, Hajota, Iłakowiczówna, Irzykowski Karol, Jankowski Czesław, Jankowski Józef, Jasieński Feliks, Kaden-Bandrowski Juliusz, Kawecki Zygmunt, Kędzierski Czesław, Kempner Stanisław, Kisielewski Zygmunt, Kłyszewski Władysław, Korczak Janusz, Koskowski Bolesław, Kossak Wojciech, Kościelski Józef, Kotarbiński Józef, Kozłowski Stanisław, Kraushar Aleksander, Krechowiecki Adam, Kutylowski Bohdan, Kwiatkowski Remig., Laskowski Kazimierz, Lemański Jan, Lieder Wacław, Lorentowicz Jan, Lutomski Bolesław, prof. Lutosławski Wincenty, Łuniński Ernest, Łuska Ewa, Marcinkowska Jadwiga, Miciński Tadeusz, prof. Mierzejewski Henryk, Morawski Franciszek, Morawski K. M., Morstin Ludwik, Moszczeńska Iza, Noskowski Witold, Nossig Alfred, Olechowski Gustaw, Orkan, Orłowski Antoni, Or-Ot,

Ostrowska Bronisława, Patek Stanisław, Pawłowski Bronisław, Piltz Erazm, Potocki Antoni, Przybyszewski Stanisław, Rabski Władysław, Rabska Zuzanna, Rogowicz Wacław, Rose Karol, Rosner Ignacy, Rydel Lucjan, Siedlecki-Grzymała Adam, Sienkiewicz Henryk, Sierosławski Stanisław, Skarszewski-Żuk Tadeusz, Smarzewski Tadeusz, Srokowski Konstanty, Staff Leopold, Stołyhwo Kazimierz, Straszewicz Ludwik, Studnicki Władysław, Szyfman Arnold, Szyller Stefan, prof. Tatarkiewicz Władysław, Wankie Władysław, Wasylewski Stanisław, Wierzbński Maciej, Wysocki Alfred, Wyzewa Teodor, Zakrzewski Adam...

Władysław Rabski zaprosił żonę i mnie na śniadanie do winiarni Krzemińskiego.

— Poznacie młodego poetę lwowskiego, który żeni się z ładną żmudzinką.

W ten sposób namknąłem się na Kornela Makuszyńskiego. Uroczą żmudzinką była Emma Bażeńska, która przybyła na śniadanie w towarzystwie siostry.

Makuszyński, poeta, powieściopisarz i felietonista, był już wtedy benjaminkiem Lwowa. Niebawem miał stać się ulubieńcem całej Polski. Zygmunt Wasilewski, redaktor naczelny Lwowskiego „Słowa polskiego”, powierzył mu sekretariat redakcji i felieton teatralny. Lwowskiego Murger’a w stosunkach koleżeńskich cechował błyskotliwy humor, łatwa serdeczność i nigdy nie zawodzące pragnienie. Narzeczona uosabiała nieodparty powab Żmudzi. Dwa rozbieżne, lecz równie śpiewne akcenty, lwowski i litewski, szarmalizowały się wybornie.

W piękne popołudnie czerwcowe wybraliśmy się z Reymontami na pieszą wycieczkę do Wilanowa.¹⁾ Poszli z nami Weyssenhoff, — Konar, Ignacy Grabowski, Breza, Rabski i Bartkiewicz. Reymont narzekał w ostatnich miesiącach na stan zdrowia. Wyglądał jednak nieźle, humor miał dobry, nie uchylał się od przyjacielskiej kompanii i kieliszka.

Wyprawa zapowiadała się pomyślnie. Breza groził, że zmoże pół kopy raków, Weyssenhoff dał pouczający wykład, jak należy jeść raki nożem i widelcem. Bartkiewicz przedrzeźniał „pana ba-

¹⁾ Kolejki jeszcze nie było.

rona”. Dla skrócenia drogi, za Sielanką, poszliśmy na przełaj polem.

Reymont nagle przysiadł na miedzy. Zatrzymałem się, sądząc, że chciał odsapnąć. Lecz on przymknął zmęczone powieki i osunął się na ziemię.

— Co ci jest?

Nie odpowiadał. Podbiegła pani Lila. Reymont leżał zemdlony. Breza i Bartkiewicz pospieszyli szukać wody. Rabski — dorożki.

Minęło kilkanaście minut, zanim Reymont otworzył oczy. Wydawał się zaleknęty, daremnie silił się na uśmiech.

Od tego czasu stan zdrowia Reymonta począł szwankować. Czuła opieka, jaką był w domowym zawarcu otoczony, sprawiła, że przeżył jeszcze, pracując, kilkanaście lat. Czekala go nagroda Nobla, wysokie odznaczenia, honory. Bujny temperament pisarski zatrzymywał się w dalszym rozwoju twórczym.

W godzinach popołudniowych w redakcji „Świata” bywało pełno i głośno, gości miewaliśmy co niemiara. Literaci, dziennikarze, brać Apellesowa, aktorki i aktorzy, interesanci wszelkiego rodzaju i coraz liczniejsi przyjaciele pisma...

Rej wodził Adam Breza, sekundował mu Bartkiewicz.

Filozoficzne dyskusje lubił wszczynać Ignacy Grabowski, autor „Pamiętników Rupiecia” i nagrodzonego na konkursie „Sokoła”, — utalentowany tuman, rozlubowany w paradoksach i w mętnych koncepcjach socjologicznych hrabiego Gobineau. Józef Jankowski uśmiechał się pobłażliwie, Kosiakiewiczowi najkrzykliwsza rozprawa nie przeszkadzała w pisaniu. Nowy nabytek redakcji, Eustachy Czekalski, więcej słuchał niż mówił, zawsze i pilnie swą pracą zajęty. Był to najbardziej nienasycony pożeracz książek, jakiego znałem. Czytał wszystko, — filozofię, literaturę, historię, — w kilku językach i z zawrotną szybkością. Niebawem miał w sekretariacie „Świata” zastąpić Józefa Jankowskiego, któremu zdrowie coraz bardziej nie dopisywało. Mieczysław Srokowski przynosił wielkopańską dezynwoluturę i szpicrutę ze złotą skówką: zwierzał się chętnie, że z rozległych włości na Ukrainie i z wspaniałej rasowej stadniny pozostała mu jedynie szpicruta. Jego powieść „Kult ciała”, uchodziła za gorszący objaw grzesznej perwersji erotycznej. Nie jestem pewny, czy dziś nie raziłaby naiwną pretensjonalnością. W Srokowskim łączył się indyferentyzm moralny z wymuszonym narcyzyzmem. Jego antytezą był Józef Jankowski, promieniejący

jasną pogodą ducha i wiarą w sprawiedliwość wiekuiastą, Jankowski w życiu był większym poetą, niż w swych wierszach. Nadała się doń definicja Eschylesa: nie chciał wydawać się dobrym, — chciał być dobrym. Stanisława Dzikowskiego wprowadził do redakcji „Świata” Antoni Chołoniewski. Z czasem przyhołubił się z „Czasu” do nas Stasinek Sierosławski: w Warszawie pozostał takim samym krakowianinem, jak wówczas, kiedy z Witoldem Noskowskim, Boyem-Żeleńskim i Teofilem Trzcińskim organizował „Zielony Balonik”.

Coraz żywiej zaczynał garnąć się do „Świata” młodziutki Wacław Grubiński. Była to typowa latorośl wielkowiejska, wyhodowana w atmosferze kulis teatralnych i redakcji „Kuriera Porannego”. Przewodnikami duchowymi byli mu Przybyszewski i Ehrenberg. Grubiński w kołach literackich „Waciem” zwany, szukał tematów zuchwałych.

Często przychodzili do redakcji na gawędę, stary Aleksander Kraushar i Antoni Lange, poeta — intelektualista, wiecznie zafrasowany i borykający się z kłopotami dnia codziennego, bo grosz grosza u niego nigdy nie dopędzał, a myśl i zainteresowania krążyły stale w atmosferze.¹⁾

Jak burza wpadał do redakcji Stanisław Kozłowski, zawsze czymś zachwycony lub zirytowany. Jako autor dramatyczny, posiadał lotne wyczucie efektów scenicznych, temperament pisarski większy, niż talent. Budował swe sztuki trafnie, lecz postaciom, które wprowadzał na scenę, brakło rumieńców życia. Dzięki wartościom teatralnym, sztuki Kozłowskiego przez szereg lat cieszyły się w Warszawie dużym powodzeniem. Później krytyka „młodych” zaczęła je wyszydzać. Kozłowski próbował wałczyć, ale stracił pewność siebie i dawną pogodę ducha.

Beztróski humor reprezentował Mieczysław Frenkiel, w redakcji „Świata” gość częsty i zawsze pożądaný. Przynosił świeżą lub świetnie odegrzaną anegdotę, złośliwą plotkę zakulisową, nowy dowcip, zasłyszany u Lourse’a lub „pod Filarami”. W interpretacji Frenkla najtrywialniejsze powiedzonko nabierało radosnej tężyzny.

¹⁾ Antoni Lange przychodzi raz do fryzjera, każe się ostrzyć. Usiadł w fotelu, sięgnął po gazetę, zatopił się w czytaniu. Fryzjer skończył swe zabiegi, pyta, czy klient zadowolony? — Lange nie skończył artykułu, który go zainteresował, odpowiada: — jeszcze! Fryzjer strzyże, znów pyta, i znów otrzymuje tę samą odpowiedź: — jeszcze! W ostatecznym rezultacie roztargniony poeta wyszedł tak wygolony, że go w Ziemiańskiej przyjaciele i kelnerzy nie poznali.

Pola Negri.

Wychowała ją warszawska Szkoła Baletowa, dokończyła edukacji — Szkoła Aplikacyjna, którą przy Teatrze Rozmaitości założył i prowadził Kazimierz Zalewski. Panienska było wiotka, jak trzcina wiosenna; w ściągłej, bladej twarzyczce paliły się ciemne oczy. Zaopiekował się nią gorąco Kazimierz Hulewicz, postanowił zrobić z niej wielką artystkę dramatyczną. Trafniej zorientował się Aleksander Hertz, jeden z pionierów kinematografii warszawskiej: ten w pannie Paulinie Chałupiec dostrzegł idealne warunki na aktorkę filmową.

Hulewicz pochodził z Wołynia. Służył w marynarce rosyjskiej, był kolegą okrętowym w. ks. Cyryla Włodzimierzowicza, późniejszego pretendenta do tronu. Drukował w czasopiśmie francuskich artykuły o Sienkiewiczu. Dzięki stosunkom petersburskim, mimo że był Polakiem, uzyskał stanowisko wiceprezesa Teatrów Rządowych w Warszawie. Jedyną córkę wychowywał w Paryżu.¹⁾

Gdy miał się odbyć w Rozmaitościach pierwszy występ wychowanki Szkoły Baletowej i Szkoły Aplikacyjnej, otrzymałem od Hulewicza zaproszenie na obiad. Do stołu zasiadło kilku przyjaciół gospodarza, wśród nich Rabski i ja, oraz złotowłosa choć czarnobrewa panna Chałupiec. Przy lodach ujawniło się, że obiad związany był z problemem wysokiej wagi. Rodowe nazwisko debutantki budziło wątpliwości afiszowe. Hulewicz, ze zwykłym mu, lekko zakłopotanym uśmiechem, zgłosił doraźny konkurs na pseudonim teatralny dla uroczej debutantki. Nie wiem skąd przyszło mi na myśl nazwisko poetki włoskiej — Negri (Ady). Może dla tego, że kandydatka na artystkę z przyrodzenia była brunetką, połyskliwe złoto jej włosów było skutkiem zabiegów fryzjerskich. Znałem ją jeszcze, jako „szczura baletowego”. Proponowany przeze mnie pseudonim zyskał ogólne uznanie i w ten sposób zostałem ojcem chrzestnym jednej z najsławniejszych artystek filmowych.

Debiut teatralny nie ziścił oczekiwań. Większe powodzenie osiągnęła Pola Negri dopiero w pantominie „Sumurum”, w której razem z nią wystąpiła pierwszy raz w Warszawie Wanda Osterwina.

Hulewicz zdawał sobie sprawę, że początkującej artystce brakowało oglądy towarzyskiej. Zajął się gorliwie jej dokształcaniem.

¹⁾ Panna Hulewiczówna ukończyła paryskie Konserwatorium, przez pewien czas występowała na scenie pod nazwiskiem Halki d’Ukraine.

Talent, uroda i niepospolite zasoby energii życiowej, sprawiły, że kariera filmowa Poli Negri, zainicjowana przez Aleksandra Hertza, a utrwalona tryumfalnym sukcesem „Madame Dubarry”, potoczyła się fenomenalnie szybko.

...W dziesięć czy dwanaście lat po owych szampańskich chrzcinach, po Odrodzeniu Rzeczypospolitej, w drodze do Paryża zatrzymałem się na parę dni w Berlinie. Byłem przewodniczącym rady zarządzającej Warsz. Spółki Kinematograficznej, która posiadała przedstawicielstwo „Ufy” na Polskę.¹⁾ Ufa wtedy współzawodniczyła z Hollywood pod względem produkcji filmowej, rzucała na rynki wszechświatowe monumentalne obrazy, które reżyserowali tacy mistrzowie, jak May i Lubitsch. Na terenach Tempelhofu kręcono „Safo”, dramat filmowy, którego scenariusz zaczerpnięty został ze znanej powieści Alfonsa Daudet’a. Rolę tytułową odtwarzała Pola Negri. Wybudowano z dykty i z tektury wspaniałą salę teatralną: przypominała wnętrze paryskiego Wodewilu, w którym przed laty podziwiałam w roli Sapho niezapomnianą Rejanę. Kilku set aktorów i statystów poruszało się według megafonowych rozkazów i nawoływań reżyserów; niektórzy z nich pochodzili z ghetta białoruskiego lub wschodniogalicyskiego i chętnie kaleczyli mowę polską. Pola Negri, w pełni sławy światowej, doprowadzała swymi kaprysami dyrekcję i reżyserów „Ufy” do szału. Już była dwukrotnie zamężna: zaczęła od skromnej korony hrabiowskiej, (hr. Dąbski), wspięła się do kaukaskiej mitry książąt Mdivani. Ilustracje niemieckie umieszczały jej fotografie z najslawniejszym bokserem niemieckim; opowiadano przytem, że kochał się w niej brytyjski król gazetowy, lord Beaverbrook. Posiadała wielkie kapitały, pałac z pięknym parkiem w okolicach Paryża, cenne posiadłości w Hollywood. Według przyjętego podczas zdjęć kinematograficznych rytuału, obiad spożywaliśmy razem w kantynie. Przy kawie czarnej królowa ekranu zwierzyła się, że pragnęłaby jeszcze nabyć „zamek” w Polsce z rozległymi polami i lasami.

Zdaje się, że tego zamiaru nie urzeczywistniła, do Polski wogóle od swego wyjazdu zagranicę nie zajrzała.

Hulewicz wskutek rewolucji bolszewickiej stracił majątek. Ukochana córka wyszła za mąż, opuściła Paryż, przedwcześnie zmarła. Kilka razy, między 1922 a 1930 rokiem, spotykałem go w Paryżu. Wiodło mu się źle, był skłopotany i osamotniony. Rozja-

¹⁾ Universum — Film — Aktiengesellschaft, największa wytwórnia filmowa w Europie.

śniała mu się ziemistej cery twarz, gdy mówił o powodzeniach „Poli”.

— Wie pan, ile Paramount płaci jej, kiedy kręci? Tysiąc dolarów dziennie! A jeśli wypoczywa, każdego tygodnia, wolnego od zajęć, otrzymuje 2500 dolarów.

Oczy świeciły mu radością, gdy opowiadał o tych cudach. Sam cierpiał niedostatek i w niedostatku żywota dokonał.

W końcu i na Polę Negri przyszły gorsze czasy. Zatriumfował film mówiony, skończyła się pantomina ekranowa. Pierwszeństwo zyskały artystki dramatyczne. I biegły niemiłosiernie lata... Szybko zgromadzona fortuna jej!a tajeć. Zwykle losu koleje...

Bardziej oszałamiającej kariery, niż ta, jaką zrobił warszawski „szczur” baletowy, — wąła, anemiczna córka dość prostackiej pani Chałupiec, trudno sobie wyobrazić.

Hiszpania przed upadkiem monarchii.

Z wycieczki samochodowej do Hiszpanii, którą odbyłem z Maurycym Spokornym wczesną wiosną 1913 r., utkwily mi w pamięci: w Katalonii romantyczny nocleg w oberży przydrożnej, w Walencji — wielkopiątkowe procesje uliczne zakapturzonych mnichów z Chrystusem w trumnie, — geniusz Velasqueza i Goyi w madryckim Prado, Escorial i Toledo. W Seville nie byłem.

W Barcelonie i Madrycie widziałem kilka razy walki byków. Najgorętsze moje sympatie były zawsze po stronie nieszczęsnych czworonogów. Ponury fanatyzm religijny Hiszpanii — to Escorial. Siedziba monarchów, w których państwie słońce nigdy nie zachodziło, umieszczona w posępnych murach klasztornych, z grobowcami rodziny królewskiej w podziemiach. Sypialnia Filipa II, łączna z kaplicą, łożo jak katafalk. Modlono się tam do syta, dbano o zbawienie duszy, ale brak wszelkiego śladu, aby myślano o czystości ciała. Cudowny rapsod średniowiecza, Toledo! Odwieczny gród, wzniesiony przez zuchwałych i dumnych ludzi na szczycie olbrzymiej skały, opasanej szeroką wstęgą leniwych wód Tagu. Na stromych zboczach ogrody zbiegające do rzeki. *Cigarrales* Jeden z takich ogrodów należał do letniej rezydencji kardynała San-deval y Rojas: *Buene Vista!*

W cieniu kasztanów i topoli zbierało się tam przed czterystu laty jedyne w swoim rodzaju towarzystwo: najpiękniejsze panie

toledańskie, a wśród panów — Lope de Vega, El Greco, Tirso de Molina, autor pierwszego wielkiego dramatu o Don Juanie, O. Ribadaneira, zaufany Ignacego Loyoli, — i Cervantes. Taka była wtedy w Hiszpanii „elita”.

Wspaniała, jedna z największych w świecie, katedra toledańska, której Ibanez poświęcił piękną powieść, — skromny, w cichym zaułku, mieszczański domek trzeciego genialnego malarza hiszpańskiego, El Greco...

Teofil Gauthier napisał kiedyś, że Toledo, to przedziwna mieszanina namiętnej miłości, honoru, wiary i grzechu.

Śródmieście Madrytu było ruchliwe, kawiarnie wrzały zgiełkiem i gwarem do późnej nocy. (Teatry zaczynały przedstawienia koło 10-tej wieczorem), na *Puerta del Sol* popołudniu trudno było się przecisnąć. Dokoła pałacu królewskiego pustka...

Pierwsze niesnaski z krytyką teatralną.

W r. 1909 wystawiłem w Rozmaitościach „Aktorki”. Piękny sukces w głównych rolach odnieśli Maria Przybyłko-Potocka i Mieczysław Frenkiel. Krytyka naogół przyjęła sztukę życzliwie. „Aktorki” były kilkakrotnie wznawiane w różnej obsadzie. Grano je z powodzeniem na wszystkich scenach polskich i czeskich. „Rusalka”, (1911), którą Wilhelm Feldman uznał za najlepszą z moich dotychczasowych sztuk, wzbudziła pewne zastrzeżenia. Satyra na arystokrację była ostra, „Klub Myśliwski” uczuł się dotknięty. Zniosłem ten cios bez bólu. W 1912-tym roku wreszcie odbyła się — zawsze w Rozmaitościach — premiera mojej komedii „Diabeł i Karczmarka”. Role naczelne odtwarzali: wiośniana wówczas Stanisława Lubicz-Sarnowska, Felicja Pichorówna, Kazimierz Kamiński (później Juliusz Osterwa) i Mieczysław Frenkiel.

Pomysł nasunęła mi książka Weininger’a „*Geschlecht und Charakter*”. Pisałem tę komedię w Palermo, w czarownych ogrodach Villa Giulia.

Komedia „Diabeł i Karczmarka” poza Polską była grywana przez dłuższy czas na wszystkich prawie scenach czeskich, w Rydze wystawił ją łotewski Teatr Narodowy, w Niemczech posłużyła Waghalterowi, jako libretto do Opery „Sataniel”, którą wystawił Charlottenburski Teatr Operowy w Berlinie. W roku 1945-m ko

media ta podobno doznała powodzenia w Ukraińskim Teatrze Narodowym w Kijowie.

...U schyłku 1913 r. „Świat” wydrukował ankietę p. t. „Nasi komediopisarze o sobie”. Niektórzy autorzy skorzystali ze sposobności, by wypowiedzieć swoje uwagi o ustosunkowaniu się polskiej krytyki teatralnej do twórczości rodzimej.

W ankiecie „Świata” wzięli udział wszyscy wybitniejsi polscy pisarze sceniczni. Najsilniej uderzał na krytyków Adolf Nowaczyński, który — lubo sam bywał zjadliwy, — odczuwał boleśnie każde dla siebie przykrzejsze słowo. Jego odpowiedź na ankietę była aktem oskarżenia, sformułowanym z wielką swadą i dowcipem.¹⁾ Z wielkim trudem zdołałem nakłonić go do usunięcia zwrotów nadto osobistych.

Gniew obrażonych Zoilów obrócił się nietylko przeciw Nowaczyńskiemu, jak przeciwko mnie, żem do wydrukowania tych enuncjacji dopuścił. Sposobności do porachunku dostarczyła premiera mojej nowej komedii p. t. „Rozstaje”, — którą teatr Rozmaitości wystawił w marcu 1914 r. Większość krytyków zbojkotowała przedstawienie. Nawet mój przyjaciel Rabski nie śmiał przeciwstawić się decyzjom wielkiego synhedrionu, któremu przewodniczył Lorentowicz. Z poważniejszych krytyków nie dał się skusić namowom jedynie Kazimierz Ehrenberg.²⁾

¹⁾ Między innymi Nowaczyński pisał: „Gdyby wszyscy recenzenci mogli mieć jedną głowę (tak, jak wśród wszystkich dziś niema ani jednej), ściąłbym ją własnoręcznie mocno wyostrzoną brzytwą, a w odciętej głowie przekłuwałbym oczy i uszy szpilką od pierwszego lepszego piękniejszego kapelusza”... „Recenzent odstręcza publiczność od sztuki dramatycznej”. „Wskutek recenzji, na drugi dzień rano ci sami, co wczoraj wieczorem dali się wstrząsnąć aż do szpiku kości, współczuli całym sercem, współżyli całym jestestwem, dowiadują się, że asystowali formalnej defiladzie bzdur i niedorzeczności, niedołęstwa i łotrostwa.”

²⁾ W recenzji z „Rozstajów” w „Kurierze Porannym” Ehrenberg tak pisał: „Nigdy jeszcze Krzywoszewski z taką swobodą nie panował nad tajemnicami teatralnego efektu. Akcja żywa, zajmująca, zawiązuje się łatwo i naturalnie, rozwiązuje się szybko, zręcznie i jasno. Niema nic niepotrzebnego w dialogach, charakterystyka jest prosta, jasna... Przewijają się girlandy uczucia, płaczą łzy serdeczne istnień złamanych, roztaczają się pytania o prawo do szczęścia i spokoju, i o obowiązkach poświęceń dla bliźnich i publicznej sprawy. A nad tym wszystkim góruje stara piosenka innych czasów, kiedy także rzucano ścieżki szczęścia i spokoju, łamano się z sobą i ciskano w wertepy, w których czekała zguba, — dla wielkiej wspólnej miłości i przez poczucie narodowego honoru”.

Wybuch wojny światowej.

W drugiej połowie czerwca arcyksiążę Franciszek Ferdynand, austriacki następca tronu i jego małżonka zostali zamordowani w Serajewie przez dwóch fanatyków wielkoserbskich, Gabrynowicza i Princica. Ten ostatni miał zaledwie 17 lat.

Zabójstwo pary arcyksiążęcej stało się prologiem wielkiego dramatu.

W Wiedniu parła do wojny obrażona duma, w Berlinie — wyrachowanie. Strategów pruskich pociągała nadzieja zlikwidowania aliansu francusko-rosyjskiego i hegemonji W. Brytanii na morzach. Rzesza była do boju świetnie przygotowana. Francja, Rosja i Anglia — nie.

Ludzie rozsądni mimo to nie chcieli wierzyć, aby doszło do wojny, która musiałaby ogarnąć Europę, kto wie, może cały świat. Z punktu widzenia interesów dynastycznych Habsburgów, Hohenzollernów i Romanowych, wojna wydawała się szaleństwem.

Lecz losami świata kierują siły tajemnicze, mało lub nic nie mające wspólnego z rozsądkiem. Austria postawiła Serbii ultimatum, domagając się potępienia zamachu, ukarania winnych i wyrzeczenia się w przyszłości propagandy wielkoserbskiej. Serbia ultimatum odrzuciła. Niemcy obwieścili, że w razie wojny staną po stronie Austrii. Francja uznała żądania austriackie za niemożliwe dla Serbii do przyjęcia, Rosja wypowiedziała się za Serbią. Od czasu wojny rosyjsko-tureckiej i Kongresu Berlińskiego przeciwieństwa interesów Austrii i Rosji na Bałkanach ścierały się najdrażliwiej w Belgradzie. Gdy sympatie serbskie przechylały się na stronę Petersburga, Wiedeń brzękał szablą. Aneksji Bośni i Hercegowiny nie mógł darować Wiedniowi Petersburg.

Umysłem zrównoważonym wojna nie wydawała się jednak prawdopodobną. Nie przypuszczano, aby poważił się na nią doświadczony, 83-letni Franciszek Józef, który — nawet gdy jego armie odnosiły sukcesy wojenne — w ostatecznym wyniku tracił najpiękniejsze kraje koronne. J. G. Bloch pouczał w swym wielotomowym dziele, że wojna, choćby zwycięska, będzie grozić nieuchronnie przewrotami wewnętrznymi i upadkiem monarchii.

Polacy innym okiem spoglądali na te sprawy. Problem niepodległej Polski mógł wyłonić się tylko z wojny między państwami zaborczymi. Powtarzano anegdotę o trzech lwach na pustyni, które tak się między sobą pożarły, — że zostały z nich na piasku tylko ogony. Choć mędrkujący politycy, do wyższych przeznaczeń po-

wołani, litośnie wzruszali ramionami, wyobraźnia szerokich warstw polskich łączyła widoki wojenne z coraz śmielszymi marzeniami, zwłaszcza, że od Błoni krakowskich przedostawały się przez kordon tajemnicze echa. Uczucia, od pół wieku powściągane, wzbierały gwałtownie. Z którą ze stron, szykujących się do boju, sprząc interesy i uczucia polskie? Dowcip żydowski znalazł wyjście:

— Nasze wojska zwyciężą!

— Nasze, to jest które?

— Te, które zwyciężą...

Niemiecki Sztab Główny ufał, że połączone armie — niemiecka i austrowęgierska — dadzą sobie radę z Francją i Rosją.

W berlińskim urzędzie kanclerskim do ostatniej chwili nie spodziewano się, że dojdzie do wojny. Mniemano, że Serbia ukończy się. Większość opinii publicznej w Rzeszy była przeciwną, aby Niemcy wyjmowały dla Austro Węgier gorące kasztany z serbskiego ognia. Cesarz Wilhelm odbywał doroczną wędrowkę po fiordach norweskich w towarzystwie swych przysięgłych pięknych. Admirał v. Tirpitz bawił na urlopie.

Do wojny pchał niemiecki Sztab Główny i generalicja.

...Lato tego pamiętnego roku było pogodne i ciepłe. Warszawa pustoszała. Obawy wojenne mało kogo wstrzymały od wyjazdów kuracyjnych lub wypoczynkowych. Jan Lemański tak kwilił w „Świecie” na temat, co będzie w najbliższych tygodniach przeżywał:

„słodko się cieszyć w mgle zakwitłą tęczą,
słuchać jak jęczą dzwony krowich trzód...

...
niech i mnie słowik, w noc miesięczną, błada,
poseraficzni swą ptasią balladą,
żebym nie z bólu, lecz z radości lkał!

Wtem ozwały się gwałtowne grzmoty nadbiegającej burzy. Błyskawice rozdarły ciemniejący widnokrąg. Ultimatum Austrii, odmowa Serbii. Z wałów Zemunia biją w mury Belgradu ciężkie działa austriackie. Ulicami Warszawy przewijają się gromady poborowych. Podniecenie rośnie z godziny na godzinę. Co chwila ukazują się nowe dodatki nadzwyczajne dzienników. Telefony dzwonią bezustannie.

Żona moja z synem bawiła w Marienbadzie. Zatelegrafowałem, by wracała. Niestety, decyzję powziąłem zbyt późno. Gdy przy-

jechała do Berlina, ostatni pociąg do Warszawy odszedł był już właśnie przed godziną.

W dniu 3-cim sierpnia wieczorem, jak zwykle, wpadłem do Resursy Kupieckiej, która znów stała się ruchliwą giełdą informacji i plotek. Salony były przepełnione, twarze poważne, o kartach nikt nie myślał.

W drzwiach ukazuje się stary Andrzej.

— Redakcja „Kuriera Warszawskiego” prosi pana Rabskiego do telefonu.

Gwar nagle umilkł. Wszystkie spojrzenia skierowały się w stronę Rabskiego, który szybkim krokiem wyszedł do kabiny telefonicznej.

Po chwili zjawiał się z powrotem. Twarz mu pobladła, kąty ust drżały.

— Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji!

PIERWSZA WOJNA ŚWIATOWA

Sprawa Polski na wokandzie.

„O roku ów! Kto cię widział w naszym kraju!...” Trzy mocarstwa zaborcze w wojnie, bez mała cały kontynent europejski w ogniu!

Sprawa Polski stała się nagle zagadnieniem wysokiej wagi polityki światowej.

Serca polskie zakolały gwałtownym rytmem, ożywiły się najleniwsze mózgi. Budziły się nadzieje, u małych ludzi — male, u gorętszych — zuchwałe.

Zjednoczenia Ojczyzny „rozćwiartowanej na trzy nierówne połowy” domagali się wszyscy.

Piłsudski, z wiary w nieunikniony wybuch wojny, wyciągnął wniosek realny:

Polacy winni byli zawczasu szykować się do czynnego, a samodzielnego w niej udziału.

Pchnął do przygotowywanej akcji garść wypróbowanych towarzyszków z Organizacji Bojowej P. P. S. W Krakowie, Lwowie, i na emigracji ćwiczył młodzież w sztuce wojennej. Austriackie koła wojskowe początkowo odnosiły się do owych poczynąń przychylnie, upatrując w nich na wypadek wojny z Caratem zaawansowane formacje ochotniczych na tyłach armii nieprzyjacielskiej. W r. 1911-m doszło między Sztabem a Piłsudskim do pewnego porozumienia. ¹⁾ Lecz gdy się ujawnił niepodległościowy program Piłsudskiego, Sztab austriacki ochłodził. Stał się nieufny.

Wiedeń nie chciał jednak zrażać Polaków, zwłaszcza młodzieży polskiej, która wychowywała się w neoromantycznej atmosferze „Młodej Polski”.

Galicyskie żywioły zachowawcze natomiast odnosiły się do zabiegów Piłsudskiego powściągliwie. W zaborze rosyjskim wie-

¹⁾ Anatol Mühlstein: „Le marechal Pilsudski”.

dziano o nich mało i mglisto. Nazwisko przyszłego marszałka znany było jedynie w kołach, należących, lub zbliżonych do Polskiej Partii Socjalistycznej.

Tam akcję Piłsudskiego podtrzymywano wywodami konserwatysty Askenazego, że dla narodu, który chce wskrzesić swój byt państwowy, decydującym organem jest wojsko.

W Petrogradzkiej Dumie i Radzie Państwa posłowie polscy w dniu 8 sierpnia 1914 roku złożyli deklarację, która zapewniała, że Polacy, będący poddanymi rosyjskimi, wykonają w całej pełni swe obowiązki wobec cesarza i państwa.

Warszawę i całą Polskę poruszyło do głębi orędzie do Polaków Zwierzchniego Wodza armii rosyjskiej, wks. Mikołaja Mikołajewicza.

Brzmiało ono jak następuje:

„Polacy! Przed półtora wiekiem żywe ciało Polski rozszarpano na kawały. Lecz dusza jej nie umarła. Żyła nadzieją, że dla narodu polskiego nadejdzie godzina zmartwychwstania i braterskiego pojednania się z Wielką Rosją..

„Armia rosyjska niesie wam błogą wieść owego pojednania. Niech się zatrą granice, rozcinające na części naród polski! Niech naród polski połączy się w jedno pod berłem cesarza rosyjskiego! Pod berłem tym odrodzi się Polska wolna w swej wierze, mowie i samorządności“.

„Kiedy zwycięska armia Hindenburga szła z Prus Wschodnich na Warszawę, wpadł do mnie Ludomir Grendyszyński z tekstem odpowiedzi polskiej. Figurowało pod nią już dwadzieścia parę podpisów, — Realistów, Narodowych i Postępowych Demokratów, Bezpartyjnych. Grendyszyński gorąco nalegał, bym i ja swój podpis położył. Trudno było odżegnywać się od ludzi, z którymi łączyły mnie wieloletnie stosunki i zaufanie. Więc uczyniłem zadość, lubo demonstracja wydawała mi się zbyt zbyteczną. Grendyszyński tłumaczył, że odpowiedź nie była niczym innym, jak pokwitowaniem z odbioru orędzia.

Odezwa WKsięcia wywołała na ziemiach polskich silne wrażenie, bo od takich enuncjacji nasza powszechność odwykła. Petrogradzkie sfery rządzące przyjęły ją wprost krytycznie. W kilka miesięcy później minister rolnictwa i dóbr państwowych, Kriwošein, zwierzył się poufnie przed Hipolitem Korwin-Milewskim, członkiem Rady Państwa:

— Nasz stosunek do sprawy polskiej będzie wahał się w miarę przebiegu działań wojennych. Każda klęska wojsk rosyjskich

będzie poprawiać szanse polskie, każde ich powodzenie — będzie te szanse osłabiać.

Uznano jednak potrzebę utworzenia mieszanej Komisji do Spraw Polskich. Przewodnictwo objął prezes Rady Ministrów Goremykin. Jako przedstawiciele polscy powołani zostali Eustachy Dobiecki, Ignacy Szebeko i Zygmunt hr. Wielopolski.

Carscy członkowie Komisji byli usposobieni do rewindykacji polskich nieprzychylnie. W toku jałowych obrad Ignacy Szebeko zwrócił się do przewodniczącego z zapytaniem.

— Czy pan może nas objaśnić, jakie konsekwencje miałyby odezwa księcia, jeśliby wojna, — co nie daj Boże — zakończyła się kompromisem na podstawie *status quo ante bellum*? Czego moglibyśmy się spodziewać w takim wypadku?

Goremykin odpowiedział sucho.

— Niczego. Orędzie księcia opiera się na hipotezie przyłączenia zaborów austriackiego i pruskiego. Nie będzie zaborów, upada zapowiedź.

W tym samym mniej więcej czasie prezydium Koła Polskiego w Wiedniu obwieściło, że Polacy w Galicji gotowi byli w obronie monarchii Habsburgów do największych ofiar, wierząc, że w toku wojny naród polski wróci do swoich praw, wiecznie żywych.

Leon Biliński, zaufany cesarza Franciszka Józefa, zabiegał, żeby cesarz wydał manifest, zapowiadający przyłączenie Królestwa Polskiego do Galicji i utworzenie z dwóch zaborów samodzielnego kraju koronnego.¹⁾

Projekt zyskał aprobatę monarchy i ministra spraw zagranicznych hr. Berchtolda. Oparł mu się stanowczo premier węgierski, hr. Tisza, w imię interesów swojego kraju. Węgry nie godziły się na trializm.

Cesarz Wilhelm II, nie omieszkał również zająć się sprawą polską. Wspomina o tym w swych pamiętnikach („60 lat życia politycznego i towarzyskiego“) hr. Hutten Czapski, ziemczony szlachcic wielkopolski, który cieszył się względami ostatniego Hohenzollerna. Używany był niekiedy do mniej ważnych posług dyplomatycznych.

Na trzy miesiące przed wybuchem wojny, hr. Hutten Czapski wysłany został do Bukaresztu, ażeby pokrzepić na duchu króla Karola.

¹⁾ Leon Biliński: „Wspomnienia i dokumenty“.

Hohenzollern rumuński czuł się Niemcem, sprzyjał Państwu Centralnym. Natomiast rumuńska opinia publiczna była zdecydowanie pro-koalicyjna. Królowi groziło, że albo będzie musiał sprzeniewierzyć się swoim uczuciom, albo swemu narodowi, który w jego ręce złożył swoje aspiracje i wolę.

W Sofii interesów austriacko-węgierskich bronił Polak, Adam hr. Tarnowski, który pełnił tam funkcję posła monarchii Rakuskiej. W Bukareszcie austrowęgierskim posłem był hr. Czernin. Ten wciąż spotykał na swej drodze tamtejszego posła rosyjskiego, którym był Polak, Stanisław Koziell-Poklewski...

Zwyciężył w Bukareszcie Koziell-Poklewski: Rumunia przystąpiła do koalicji.

W Sofii triumfował hr. Tarnowski: Bułgaria przystąpiła do Państw Centralnych.

Cesarz Wilhelm wezwał do siebie hr. Hutten-Czapskiego w dniu 31 lipca 1914 roku, — na parę dni przed wypowiedzeniem wojny. Monarcha niemiecki był w nastroju podniosłym. Zwierzył się wzruszonemu tym dowodem zaufania dworakowi, że wojna z Rosją była nieunikniona.

Jednym z jej skutków, mówił cesarz, będzie odbudowa państwa polskiego w związku (im Bunde) z Rzeszą. W ten sposób Rzesza będzie zabezpieczona od Rosji.

Wzruszenie hr. Bogdana Hutten-Czapskiego wzrosło, gdy dowiedział się, że monarcha liczy na jego i biskupa Likowskiego współdziałanie w zjednaniu dla tych planów umysłów i serc polskich.

Jeśli relacja ta jest ścisła, świadczyłaby o zdumiewającej ze strony cesarza Wilhelma nieznajomości nastrojów polskich. Złożył jej dowód również hr. Czapski, gdy z zapalem przyrzekał swą pomoc.

Osiągnął to, że sędziwy infułat poznański dał się namówić do ogłoszenia listu pasterskiego do katolików polskich w Poznańskim i na Pomorzu, w którym to liście zachęcał do lojalnego wobec monarchii wypełnienia powinności wojennej.

List, podpisany przez biskupa Likowskiego i prałata Drozdowskiego, opublikowany został po niemiecku i po polsku. W tekście niemieckim wyrazy „wierność wobec monarchii” zastąpione zostały „wiernością wobec ojczyzny niemieckiej”.

Wkrótce potem ksiądz biskup Likowski został mianowany przez Ojca św. arcybiskupem poznańskim i otrzymał niezwłocznie zatwierdzenie rządu pruskiego.

Ksiądz Likowski działał niechybnie w dobrej wierze. Tym niemniej jego postępowanie wywołało w Wielkopolsce gorycz i wzburzenie. Dostojnik kościelny odczuł boleśnie tę reakcję społeczeństwa, zapadł na zdrowiu i w parę miesięcy później zmarł.

Odpowiedzialny kierownik polityki Rzeszy, kanclerz Bethmann-Hollweg, zapytany w tym samym czasie o zamiary Niemiec wobec Polaków, odpowiedział:

— Sprawa polska w moim przekonaniu może stać się aktualną dopiero w dalszym przebiegu wojny.

Kiedy był dyskutowany plan działań wojennych celem zdobycia Warszawy, szef niemieckiego Sztabu Generalnego, Moltke, sprzeciwił się dowództwu austriackiemu, które pretendowało do zajęcia stolicy Polski. Zastrzegł ten honor dla armii niemieckiej.

„Na wszelki wypadek” w Berlinie toczyły się ożywione pertraktacje między nieoficjalnymi delegatami rządu (v. Cleinowem, Teodorem Schiemannem i Ludwikiem Bernhardtem), a przedstawicielami Ukraińców (dr Lewicki), Żydów (dr Nathan) i nawet Białorusinów.

Warszawa w pierwszych tygodniach wojny.

Odrzu zaczęły się kłopoty.

Z obiegu pieniężnego znikło złoto, srebro, drobne banknoty. Posiadacz sturubłówki był w położeniu bogacza na pustyni. Mógł umrzeć z głodu, bo nigdzie nie wydano by mu reszty. Bank Państwa zamknął kredyty bankom prywatnym, te wstrzymały wypłaty.

W apartamentach Włodzimierza ks. Czetwertyńskiego zawiązał się samorządnie Komitet Obywatelski. Do Komitetu powołano: Drzewieckiego Piotra, Dziewulskiego Stefana, Górskiego Pawła, Konica Henryka, ks. Lubomirskiego Zdzisława, Lutosławskiego Mariana, ks. Światopełk-Mirskiego Czesława, Natansona Józefa, Nowodworskiego Franciszka, Pfeiffra Mieczysława, Rudnickiego Jana, Wielowieyskiego Józefa, Życkiego Kazimierza. Prezesem został obrany Zdzisław ks. Lubomirski. Później weszli jeszcze do Komitetu Brun Stanisław, Kociatkiewicz F., Kronenberg Leopold i hr. Plater Konstanty.

Zaczęła się pospieszna ewakuacja do Cesarstwa rodzin urzędników i oficerów rosyjskich.

W Warszawie dawał wyczuwać się niepokój. Od ucha do ucha biegły zatrważające pogłoski o niepowodzeniach wojsk rosyjskich. Każdy magiel i sklepik wiktuałów były agencją sensacyjnych wiadomości. Prym dzierżyła cukiernia Lourse'a.

Osobiście odczułem dreszcz wojenny w ostatnich dniach sierpnia. Wracalem o północy samochodem szosą od Sękocina na Raszyn. Natknęliśmy się na pułk piechoty, który ciągnął w pełnym rynsztunku bojowym na front już niedaleki, — gdzieś nad Bzurę, lub Rawkę.

Żołnierze szli bez ochoty, — jak się idzie w mglistą dal swego przeznaczenia. Gardlany tenor intonował śpiewkę prostą i smętną, przypominającą żalosne skargi nadwołańskich burłaków. Żołnierze podchwytywali refren, pieśń niosła w mrok beznadziejną melancholię.

Śpiew urywał się, słychać było tylko głuchy tupot butów i chrzęst powózek.

...W Warszawie pierwsze samochody Czerwonego Krzyża z rannymi! Liczba ich z każdym dniem rosła. We wszystkich dzielnicach miasta improwizowano lazarety. Na czele miejscowego oddziału Czerwonego Krzyża stanęli Zdzisław ks. Lubomirski, Michał ks. Woroniecki i Andrzej Wierzbicki.

Aby ulżyć warstwom niezamożnym, którym doskwierało zerujące już paskarstwo, Komitet Obywatelski m. Warszawy powołał do życia okręgową organizację opiekuńczą.

Mnie przypadł komisariat Staromiejski. Zarząd Tow. Opieki nad Zabytkami Przeszłości ofiarował lokal w kamienicy Baryczków. Uprosiłem do pomocy Stanisława Lilpota, Stanisława Ocetkiewicza, Kazimierza Pawłowicza i Stefana Fukiera, jako pomocników. Komitet Obywatelski dostarczał nam pakiety żywnościowe w ilości bardzo dostatniej. Środki na ten cel czerpano głównie z Funduszu księżnej Tatiany.

W innych komisariatach i Centrali wzięli udział Franciszek i Stanisław Nowodworscy, generał Stanisław Jasiński, inż. Kühn (późniejszy minister Komunikacji), Zygmunt Chmielewski, Leon Kobyłecki, Nakonieczny, Henryk Strasburger, Doleżał, Konstanty hr. Plater, Stanisław Hirszel, Władysław hr. Sobański, ks. Marceli Godlewski, Kazimierz Życki, Roman Lubowiecki, J. Franaszek, Artur Machlejd, Zygmunt Kiltynowicz...

Ostateczne wyniki tej akcji przekonały mnie o trafności opinii Balzac'a: filantropia jeśli nie kosztuje dobroczyńcy, demoralizuje obdarowanych...

Centralny Komitet Obywatelski organizowali i stanęli na jego czele Seweryn ks. Czetwertyński i Władysław Grabski. Zadaniem tego Komitetu była piecza nad sprawami gospodarczymi całego kraju. Gdy wojska niemieckie i austriackie zajęły większą część Królestwa, Centralny Komitet Obywatelski zmuszony był ewakuować się do Cesarstwa. Tam „zdołał odgradzić liczne rzesze wygnańcze od otoczenia, skupić je i przygotować do powrotu do ojczyzny, chroniąc je od wpływu destrukcyjnych czynników obcych“¹⁾

Wyjątkową popularność zyskał sobie Zdzisław ks. Lubomirski, prezes Komitetu Obywatelskiego m. Warszawy. Był on synem Jana Tadeusza ks. Lubomirskiego, jednego z nielicznych przedstawicieli wielkich rodów, którzy wzięli udział w powstaniu 1863 roku i opłacili je dłuższym pobytem na Syberii. Należał do nich również Włodzimierz ks. Czetwertyński, ojciec ks. Seweryna.

Jan Tadeusz ks. Lubomirski, po powrocie z zesłania, poświęcił resztę życia sprawom naukowym, gospodarczym i społecznym. Wiódł życie skromne, w jego salonach przeważały sfery inteligentkie i finansowo-przemysłowe. Związany był węzłami bliskiej przyjaźni z Julianem Wieniawskim (Jordanem).

Zdzisław ks. Lubomirski wychował się w atmosferze patriotycznej, natchnął się w domu rodzicielskim głębszym zrozumieniem obowiązków społecznych. Posiadał najlepszą wolę, niezawodne poczucie honoru i wielkopańską fantazję. Uroku dodawała mu męska, rycerska uroda.

Z przekonań był umiarkowanym konserwatystą, nie dał się jednak nigdy pociągnąć na bezdroża ugody.

Sytuację majątkową ks. Zdzisława wzmocniło małżeństwo z córką arcybogatego Władysława hr. Branickiego.

Erazm Piltz nakłonił ks. Zdzisława do przyjęcia prezesury w Towarzystwie Popierania Pracy Społecznej. Lecz porywisty magnat mniej nadawał się do tego rodzaju trudów. Ponosił go bujny temperament, ochota do życia. Gdy miał wybierać między długim posiedzeniem z nudnymi, choć uczonymi i zacnymi piernikami, a polowaniem na grubego zwierza, lub rozkosznym spotkaniem, zapominał o terminie obrad, którym miał przewodniczyć.

Teraz, w chwili osobiwej, duszą i ciałem oddał się sprawie publicznej. Na najwydatniejszym stanowisku w stolicy, zaletami jednał sobie ludzi poważnych, słabostkami — sympatię warstw

¹⁾ Władysław Grabski: „Dwa lata pracy u podstaw państwowości naszej“.

szerszych. Gdy przejeżdżał otwartym samochodem przez miasto, ścigały go życzliwe uśmiechy, nieraz i powitalne okrzyki. On zawsze miał uśmiech na ustach, choć kłopotów co niemiara. W obejściu — pańską swobodę, jeśli było trzeba — autorytet.

...Niebawem nad Warszawą jęły krążyć „gołąbki” niemieckie, ich pociski wszakże nie wyrządzały większych szkód. Pewnego ranka ukazała się w chmurach potworna kielbasa Zeppelina. Od rogatek Wolskich, Jerozolimskich i Mokotowskich sunęły ulicami wozy i bryki z uchodźcami i ich dobytkiem. Huk dział stawał się z każdym dniem głośniejszy, nocami od zachodu i od południa jawiły się na niebie czerwone łuny. Rosyjskie lotnictwo słabo niemieckiemu dotrzymywało placu. Gawrosze sprzedający „dodatki nadzwyczajne” gazet, zaczepiali zuchwale wałęsających się oficerów.

— Panie lotnik! Czemu pęta się gość po asfalcie? Na powietrze! Fru!...

W szary dzień jesienny wyruszyłem z Michałem ks. Woronieckim samochodem, pod banderą Czerwonego Krzyża, w stronę Piaseczna.

Przy rogatce Mokotowskiej gęste tłumy wsłuchiwały się trwożnie w nieustający huk dział. Szosą w stronę Służewca pędziły dwukołowe jaszczyki z amunicją. Za Wierzbem znaleźliśmy się w gorączkowym rejuwaku wojennym. Wysoko pod niebem śmigały samoloty niemieckie wśród białych obłoczków, znaczących ścigające je szrapnele rosyjskie.

Nie bez trudu dobrnęliśmy do najdalej wysuniętej stacji opatrunkowej. O kilkaset kroków od nas, w kępach drzew i krzaków, kryły się baterie rosyjskie. Walily bez przerwy w stronę Pyr, gdzie już tkwiły przednie linie Niemców. Niedaleko nas co chwila pękały „czemodany”, wznosząc olbrzymie, ciemne pióropusze z ziemi, kamieni i dymu.

Oficerowie w milczeniu ćmili papierosy... Twarze były pobladłe i skupione. Od czasu do czasu z szybko nadjeżdżającego samochodu wyskakiwał adiutant sztabowy, komunikował rozkaz. Żołnierze wstawali bez pośpiechu, brali do rąk karabiny... Niewielkie oddziały ruszały w stronę lasu kabackiego, rozsypywały się w podorywach.

Przybył transport rannych. Późniejszych lat pułkownik szedł piechotą, opierając się na dwóch żołnierzach. Wsadzono go do samochodu, który nas przywiózł, zabraliśmy go do lazaretu.

Z pobliskiego wzgórka można było ogarnąć wzrokiem duży szmat równiny. Wszędzie widać było grupy żołnierzy, jaszczyki, nosze z rannymi.

... I raptem niespodzianka.

Żelazny pierścień wojsk niemieckich pękł pod naporem dywizji syberyjskich. Spod nieba zniknęły siwe „gołąbki”, ustały „chwilowe hałasy” i „przypadkowe wybuchy”.¹⁾ Na ulice wyległy tłumy rozradowanych przechodniów. Telimieny warszawskie, miast grzybów w lesie, szukały na polach raszyńskich i pod Pyrami pikielhaub niemieckich...

Zajęcie Warszawy jesienią 1914 roku przez Niemców wydawało się tak pewnym, że Piłsudski wydelegował do Głównej Kwatery niemieckiej w Kielcach Michała Sokolnickiego i Witolda Narkiewicza-Jodko, celem zapewnienia Legionom udziału w uroczystym wkroczeniu zwycięskich wojsk do stolicy.

Udział został Legionom przyrzeczony. Ustalono jakoby nawet, że formacje polskie miały na przemian z niemieckimi wystawiać warty przy Zamku...

Guczkow w Warszawie.

W pierwszych miesiącach wojny przybył do Warszawy Aleksander Guczkow, przywódca październikowców moskiewskich, jeden z najpoważniejszych ówczesnych mężów stanu w Rosji. Przepowiadano, że po wojnie odegra rolę wybitną. Wyrwał mu ją Lenin, wyczekawszy swej godziny w ubogim mieszkanku genewskim.

Guczkow udzielił mi dłuższej rozmowy, którą opublikowałem w „Świecie”. Wyraził przekonanie, że, po przyłączeniu do Rosji Galicji, Wielkopolski i Pomorza, w rosyjskim ustroju państwowym muszą nastąpić zmiany zasadnicze.

Spytałem:

— Jak pan sobie wyobraża te zmiany w stosunku do Polski?

Guczkow przez dłuższą chwilę namyślał się. Potym, ważąc każde słowo, powiedział:

— Polska powinna otrzymać pełną autonomię, z własnym sejmem prawodawczym. Z Imperią będzie związana personalną unią

¹⁾ Tak cenzura wojenna określała huk armat i wybuchy bomb, zrzuconych przez samoloty.

dynastyczną. Armie, polityka zagraniczna, moneta, poczty i system celny — wspólne.

Mniej niż otrzymało w 1815 roku Królestwo Kongresowe...

Guczkow wywierał wrażenie człowieka, kierującego się wyłącznie chłodnym intelektem.

Ku zgodzie i jedności — trudno było drogę znaleźć.

Warszawskie koła inteligenckie i mniejsze ziemiaństwo były przeważnie poczynaniom ugodowym przeciwne. Hasła niepodległościowe, wysuwane przez Polską Partię Socjalistyczną, wśród młodszych pokoleń budziły entuzjazm.

Kiedy wybuchła wojna, radykalizm stołeczny zacieśnił swoje kontakty z komendą Legionów. Z jej ramienia przedostawali się do Warszawy zakonspirowani emisariusze (Sosnkowski, Sikorski, Stanisław Downarowicz) i na tajnych zebraniach wyjaśniali zadania Legionów, oraz dążenia i decyzje ich komendanta, Józefa Piłsudskiego.

W Polskiej Partii Socjalistycznej „towarzysz Wiktor” posiadał żarliwych zwolenników. Podnoszono jego śmiałość, nieugięty charakter, wytrwałość. Od powrotu z Syberii t. j. od roku 1893 pracował bez przerwy w organizacji partyjnej, prawie zawsze na stanowiskach naczelnych i najostrzej eksponowanych. Cieszył się opinią „bojownika wolności i ludu”.

Gdy wydawał i redagował „Robotnika”, najbliższym pomocnikiem był mu Stanisław Wojciechowski, późniejszy prezydent Rzeczypospolitej.

Piłsudski w najtrudniejszych warunkach urabiał kadry przyszłych Legionów.

W zaborze rosyjskim realiści i demokraci narodowi byli tworzącym w Galicji Legionom przeciwni.

Obawiali się, aby akcja czynna po stronie Mocarstw Centralnych nie zraziła Koalicji do Polaków i Polski.

Wksiążę Mikołaj Mikołajewicz wprost groził, że wobec wziętych do niewoli legionistów nie będą stosowane klauzule prawa wojennego, — że będą traktowani jako buntownicy...

Wyszły na jaw istotne uczucia naczelnego wodza armii carskich, który tak niedawno do Polaków z gorącym apelem wystąpił.

W papierach, znalezionych po rewolucji w pałacu carskosielskim, trafiono na list odręczny w. księcia Mikołaja Mikołajewicza, pisany do cesarza Mikołaja II, a wręczony Adamowi hr. Zamoyskiemu, celem łatwiejszego uzyskania dlań audiencji. Hr. Zamoyski wysługiwał się w. księciu i głosił, że zdobył sobie jego szczerą życzliwość.

List zaczynał się od słów:

„Pieredatiel siewo pisma, graf Adam Zamoyski, takaja-że samaja swołocz, kak wsie Polaki...”¹⁾

Piłsudski, optymista i entuzjasta, przeliczył się w nastrojach szerszych warstw ludności w Królestwie. Wyruszając z Oleandrów Krakowskich na Miechów i Kielce, wydał reskrypt, w którym wzywał pospół polski do skupienia się w jednym obozie pod kierownictwem rządu narodowego. Pospół polski nie był przygotowany do takiego wezwania, orędzie nie znalazło żywszego odzewu. Że zaś Legiony, wciskając się w głąb Królestwa, musiały rekwirować żywność dla żołnierzy i paszę dla koni, wśród ludności wzniciły niezadowolenie. Projektowana „tymczasowa organizacja narodowa” zawiodła.

W Królestwie Kongresowym najsilniejsze wpływy w społeczeństwie polskim posiadała Demokracja Narodowa. Z jej inicjatywy powstał Komitet Narodowy Polski, do którego przystąpili także Realiści i pewna liczba wybitniejszych osobistości bezpartyjnych. Komitet ów miał być dla powszechności polskiej najwyższą i decydującą instancją polityczną.

Pierwszymi członkami Komitetu Narodowego byli:

Balicki Zygmunt, Bądryński Stefan, ks. Czetwertyński Seweryn, Czekanowski Stanisław, Dembiński Henryk, Dymsha Lubomir, Dmowski Roman, Glezmer Stanisław, ksiądz Godlewski Marcei, Gościcki Jerzy, Grabski Władysław, Naruszewicz Jan, Jaroński Wiktor, Kamocki Walenty, Karpiński Czesław, Leśniewski Stanisław, ks. Lubomirski Zdzisław, Lutosławski Marian, Nakonieczny Józef, Nowodworski Franciszek, ks. Radziwiłł Maciej, hr. Plater Konstanty, Rudnicki Jan, Stecki Jan, Szebeko Ignacy, hr. Wielopolski Zygmunt, Wielowieyski Józef, Wojciechowski Stanisław, hr. Zamoyski Maurycy.

Z biegiem czasu w składzie Komitetu Narodowego, nastąpiły uzupełnienia i zmiany.

¹⁾ „Oddawca niniejszego listu, hr. Adam Zamoyski, taki sam łajdak, jak wszyscy polacy...”

Trudno było dociec, w czyich głowach wylągl się projekt tworzenia polskich legionów ochotniczych przy armii w. księcia. Kręcił się koło tego niewczesnego pomysłu niejaki Snarski, usiłował wprowadzić go w czyn Witold Gorczyński. Orędowni owym mrzonkom Zygmunt Balicki, Konstanty Plater, Antoni Sadzewicz, zdaje się, że poniekąd i Seweryn ks. Czetwertyński.

Gorczyński zwołał w celach werbunkowych zebranie, na które udzielono skwapliwie uroczystej sali ratuszowej. Gdy niepokąźny inicjator zjawił się na trybunie z szablą antenatów u boku i zaczął pleść swoje androny, przerwano mu występ krasomówczy krzykami i takim tumultem, że czym prędzej zrejterował. Na sali roilo się od szpiclów ochrany. Aresztowań jednak zaniechano.

... Przy organizowaniu galicyjskiego Legionu uwidoczniło się tameczne rozdzielenie opinii publicznej. Lwowscy Demokraci Narodowi ulegali natchnieniom przywódców tego stronnictwa z Królestwa...

Legion Wschodni doszedł jednak do skutku. Przewiezienie go do Krakowa powierzono hr. Skarbkowi.

W tym czasie wojska carskie zbliżały się do Lwowa. W jaki sposób hr. Skarbek większą część zaciągniętych legionistów zgubił po drodze, pozostało zagadką. Dojechało ich do Krakowa tylko półtora tysiąca. Tym przewodniczył płk. Józef Haller, późniejszy główny generał.

Na posiedzeniu Naczelnego Komitetu Narodowego w Krakowie (NKN) Ignacy Daszyński w piorunującej mowie nazwał postępowanie hr. Skarbka i jego przyjaciół zdradą. Domagał się dla nich stryczka. Przedstawiciele Demokracji Narodowej wystąpili z krakowskiego Naczelnego Komitetu Narodowego.

„Kurier Polski” i „Grupa Pracy Narodowej”.

Kierownictwo „Kuriera Polskiego” w Warszawie po śmierci Ludwika Straszewicza objął jego starszy syn, Bogdan.

Odkąd zaczęła się wojna, redakcja „Kuriera Polskiego”, mieszcząca się w tej samej kamienicy przy ul. Szpitalnej, co redakcja „Świata”, stała się punktem zbornym młodszych, postępowych kół inteligenckich. Najstarszymi w tym gronie byli Ludomir Grendyszyński, Leon Błaszowski, Stanisław Staniszewski, Stefan Perzyński, ja — jeszcze kilku innych.

Z młodych, w luźnych początkowo zebraniach uczestniczyli chętnie: Bogdan i Leszek Straszewicze, Witold Giełżyński, Jan Rogowicz, prof. Władysław Tatarkiewicz, Leon Chrzanowski, Ludwik Ptaszyński, Michał Kleinadel, Czesław Poznański, Stanisław Ocetkiewicz, Józef Wittenberg, Edward Wittig, Zygmunt Wójcicki, Jerzy Rogoziński, Feliks Młynarski, Adam Czartkowski, Henryk Tennenbaum, — sporo innych, — adwokatów, inżynierów, lekarzy, kupców, pedagogów, dziennikarzy... Gdy na zebrania wpraszało się coraz więcej osób, wyłoniła się myśl zawiązania ściślejszej organizacji, — pod skromną nazwą „Grupy Pracy Narodowej”.

Zebrania, oczywiście tajne, odbywały się w obszernej, brudnej i mrocznej sali redakcyjnej „Kuriera”, nikt wszakże na te braki nie zwracał uwagi. Omawiano możliwości przyszłych losów Polski, programy polityczne, społeczne i kulturalne, to znów aktualne wskazania na dobę najbliższą.

Ludomir Grendyszyński, polityk doświadczony, którego obraliśmy prezesem, twierdził, że taka „szkółka” miała swój pożytek. I istotnie, z tej *ad hoc* zawiązanej grupy wyszła spora drużyna znanych później działaczy na niwie publicznej.

Na wiceprezesów Grupy powołano Staniszewskiego i mnie. Gdy Staniszewskiego pochłonęły inne obowiązki, zastąpił go Błaszowski.

Grupa Pracy Narodowej zbliżała się do Bloku Stronnictw Niepodległościowych, które były życzliwe Legionom, a przeciwnie ugodowej polityce petrogradzkiego Komitetu Narodowego.

Do Bloku należały:

Zjednoczenie Narodowe (Antoni Ponikowski, Stanisław Bukowiecki, Gustaw Simon, Józef Mikułowski-Pomorski, Stefan Dziewulski i wielu innych).

Polska Partia Postępowa (Henryk Konic, Józef Budkiewicz, Aleksander Rosset).

Zjednoczenie Postępowe (Aleksander Świętochowski, Wacław Łypacewicz, inż. Potemski, Kazimierz Życki).

Narodowi Radykali (Eugeniusz Śmiarowski).

Ludowcy (Malinowski).

Wszystkie te grupy trwały w nieustającym procesie przeobrażeń.

Blok był właściwie stałą konferencją dyskusyjną. Wspólną platformę stanowiło hasło niepodległości.

Różne grupy różnie to hasło interpretowały.

Gdy Blok postanowił wyłonić Radę Naczelną, Zjednoczenie Postępowe i Polska Partia Postępowa wysunęły kandydaturę Aleksandra Świętochowskiego na prezesa. Propozycja ta natknęła się na opozycję, Świętochowski obraził się, obie grupy wystąpiły z Bloku.

Patriarcha polskiego postępu od tego czasu jął kłonić się ku Demokracji Narodowej, którą potąd przez wiele lat zwalczał.

Wznorzenie „Edukacji Bronki”, Janina Szylinzanka.

Wiosną 1915 roku Warszawie groziła ponowna ofensywa niemiecka.

Hindenburg zniszczył armię Samsonowa w Prusach Wschodnich, zrozpaczony Samsonow popełnił samobójstwo. Austriacy, po zwycięskiej bitwie pod Limanową, odrzucili Rosjan na linię Dunajca i Nidy.

Gen. Beseler zbliżał się do Modlina.

W Warszawie bawiła spora garść dziennikarzy rosyjskich. Zjeżdżali z Petersburga i Moskwy zaniepokojeni dygnitarze wojskowi i cywilni.

Do mnie zgłosili się dwaj znani literaci: Bielajew, słynny krytyk teatralny i felietonista „Nowego Wremieni”, oraz Niemirowicz — Danczenko, pisarz w całej Rosji głośny, redaktor naczelny „Ruskawo Słowa”.

W tym samym czasie teatr Rozmaitości wznowił moją „Edukację Bronki”. Wznowienie doznało wielkiego powodzenia.

W znacznej mierze zawdzięczałem ów sukces młodej, pięknej i niezwykle utalentowanej artystce, Janinie Szylinzance, która objęła tytułową rolę po Federowiczowej i Przybyłko-Potockiej. Bielajew wydrukował w „Now. Wremieni” olbrzymi felieton o mojej komedii i o przedstawieniu, — tak pochlebny, że w prasie polskiej mało podobnych doznałem. Znana aktorka rosyjska, Myszurina, która niewiadomo dlaczego, czy dla kogo w Warszawie bawiła, wzięła ode mnie upoważnienie do kreowania roli „Bronki” na scenach rosyjskich.

Szylinzanka była jednym z największych talentów kobiecych, jakie zjawiały się na scenach polskich od czasów Modrzejewskiej. Jej kreacje pulsowały szczerością i głębią życia, jej intuicja artystyczna była niezawodna. Można było do niej śmiało stosować sentencję Woltera:

— Ażeby aktor mógł wzruszyć publiczność, musi sam płakać na scenie prawdziwymi łzami.

W ostatnich latach przed wojną nawiązałem bliższą znajomość z Augustem Popławskim. Był on wśród arystokratyzującej, bogatej szlachty lubelskiej zjawiskiem wyjątkowym: przeszedł dwa fakultety, w Warszawie — prawny, w Heidelbergu — filozoficzny, odbył dłuższe studia w Anglii. Wybornie administrował dużą fortuną, żywił upodobania literackie.

Dał im upust, nabywając od Bukowińskiego miesięcznik „Sfinks”. Równocześnie, jak nieomal całą Polskę, pochłaniały go polityka i sprawy społeczne. W konserwatywnym Stronnictwie Polityki Realnej ceniono jego wiedzę i charakter.

W wyzwolonej Rzeczypospolitej, — w gabinecie Aleksandra hr. Skrzyńskiego — sprawował obowiązki wiceministra Skarbu. Po przewrocie majowym Popławski wszedł do Senatu, został prezesem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Wolne chwile poświęcał literaturze nadobnej. W roku 1927 wydał pod pseudonimem Jana Rogali powieść p. t. „Zarzewie”, w roku 1928 drugą jej część p. t. „Płomień”. Obie powieści świadczyły o intelekcie wnikliwym i wysokiej kulturze. Formą przypominały delikatny sarkazm Weyssenhoffa.

Tłem ich było życie polityczne i społeczne odbudowywujące się Polski, jej uciążliwe wysiłki celem znalezienia właściwych dróg.

Te wszystkie wartości i zalety Popławski łączył z umownym snobizmem towarzyskim, któremu podlegali wszyscy członkowie Klubu Myśliwskiego.

...Popławski poszedł na przedstawienie „Edukacji Bronki”. Zwierając się ze swych wrażeń, od niechcienia napomknął:

— Jestem zachwycony grą Szylinzanki. Bardzo chętnie — bym ją poznał.

Minął tydzień, wybrałem się z moją uroczą prymadonną po przedstawieniu na kolację do hotelu Angielskiego. Zawczasu powiadomiłem telefonicznie Popławskiego. Gdyśmy przyszli, już był na sali.

Kolację spożywaliśmy w doskonałych humorach, piękna artystka była kompanią niezrównaną. Promieniowała z niej radość młodego, bujnego życia, beztraska wiara w przyszłość.

Już dniało, gdyśmy odprowadzili ją na Niecałą, gdzie naten czas mieszkała.

Wracaliśmy z Popławskim na piechotę. Budził się słoneczny dzień wiosenny, w naszych skroniach szumiało wino.

— Jak się panu podobała prymadonna? spytałem.

Popławski ogarnął mnie uważnym spojrzeniem, zastanowił się.

— Bardzo piękna i miła, odrzekł. Lecz jej talent na scenie wydał mi się bardziej interesujący, niż ona sama.

W dwa tygodnie później spotkaliśmy się znowu na kolacji w tym samym miejscu i towarzystwie. Postrzegłem bez trudu, że znajomość Popławskiego z czarującą artystką robiła postępy w siedmio-milowych butach.

I widocznym było, że zmienił pierwotną opinię...

Popławski był mężczyzną jednej kobiety, tę jedną za to chciał posiadać w pełnej mierze. Że zaś aktorka należy przede wszystkim do teatru, na tym tle musiały wyłonić się trudności. Popławski przebrnął je zwycięsko, jego nieustępliwy charakter wygrał proces o szczęście.

Poślubiając Szylinżankę, wymógł od niej, że opuści bezpowrotnie scenę. W ten sposób pozbawił teatru nasze artystki, która wzbo-gaciwszy swój wyjątkowy talent kunsztem głębszej świadomości scenicznej, byłaby niechybnie stała się ich chlubą, może gwiazdą tego blasku, jaką była kiedyś Modrzejewska.

Salonom przybyła tylko jedna z wielu pani wytworna.

...Zanim jednak małżeństwo doszło do skutku, walka o teatr trwała między obojgiem zakochanych blisko pięć lat.

Szylinżanka zeszła ze sceny, kiedy jej talent rozkwitał naj-świetniej. Grała jeszcze w dwóch moich komediach: stworzyła zna-komity epizod w „Zmartwieniach pana Hammelbeina” i kapitalną rolę tytułową w „Kolombinie”.

Berlińska „Ufa” (Universum-Film-Aktiengesellschaft), najwięk-sza europejska wytwórnia filmowa, ofiarowywała jej za pośrednic-twem Aleksandra Hertza kontrakt na pięć lat, rokujący fantastycz-ne widoki.

Spodziewano się, że Szylinżanka mogłaby zastąpić kapryśną Polę Negri...

Odmówiła.¹⁾

W Warszawie — Niemcy (5 sierpnia 1915 r.).

W lipcu 1915 r. armia niemiecka, prowadzona przez Hinden-burga, ruszyła żelaznym półkolem ku Warszawie.

¹⁾ August Popławski padł ofiarą bomb niemieckich podczas powstania we wrześniu 1944 r.

Nad miastem fruwały z powrotem siwe „gołąbki”, nie czyniąc zresztą większych szkód. W dniu 17 lipca wojska rosyjskie zaczęły wycofywać się znad Bzury i Rawki. Zmusił je do odwrotu kata-strofalny brak amunicji.

Losy Warszawy były przesądzone.

Huk armat zbliżał się z każdym dniem. Nocami niebo od stro-ny Raszyńa i Błonia płonęło złowieszczą czerwienią pożarów.

Przez miasto ciągnęły bez przerwy ku mostom pułki piechoty, konnicy, artylerii. Ale teraz już nie śpiewano dziarskiej piosenki:

Po ulicam prochoił
preogromnyj krokodil
Ua, Ua, Ua, a...

Żołnierze maszerowali w milczeniu, z opuszczonymi głowami.

Na Warszawę padł strach. Ewakuacja odbywała się w bez-ładnym harmidrze.

Władze zachęcały wybitniejszych obywateli polskich do wy-jazdu. Następcą Skąllona, gen. Engałyczew, usiłował przekonać ks. Zdzisława Lubomirskiego.

— *Quand nous serons partis*, — mówił, — *il ne restera dans la ville que la canaille.*

Prezes Komitetu Obywatelskiego odpowiedział z godnością:

— *Et moi.*

W. książę Mikołaj Mikołajewicz, wbrew przestrogom gen. Ruz-skiego, zbyt długo obstawał przy obronie stolicy. Uległ w końcu twardej konieczności. W „Stawce” (kwaterze głównej) zapadła decyzja odwrotu. W. książę przysłał do Warszawy Adama hr. Za-moyskiego, pełniącego przy nim funkcje adiutanta, z pouczeniem, aby stateczni przedstawiciele społeczeństwa polskiego, gdy do kra-ju i stolicy wkroczą Niemcy, powstrzymywali zapaleńców od wy-stąpień nierozważnych.

Hr. Zamoyski w imieniu swego mocodawcy podkreślił, że takie wystąpienia mogłyby bardzo zaszkodzić sprawie polskiej, skoro nadejdzie pora jej rozwiązania.

Hr. Adam Zamoyski należał do tej garstki arystokracji pol-skiej, która zabiegała o kontakt z dworem i o stosunki z władzami zaborczymi. On sam dzięki wpływom, jakie w ten sposób zdobył, uzyskał statut ordynacyjny dla rozległych dóbr w lubelskim (Koz-łówka), odziedziczonych po stryju, Konstantym hr. Zamoyskim.

Kiedy polski adiutant carskiego wodza naczelnego powtarzał owe przestrogi wobec członków Centralnego Komitetu Obywatel-skiego, odpowiadał mu pytaniem:

— Czemu to władze administracyjne w Królestwie nie uczyniły nic, coby świadczyło, że chcą stosować swe postępowanie do ducha i treści orędzia w.księcia?...

O niepopularności zapędów ugodowych świadczyła anegdota, być może zmyślona, która jednak najdywała wiarę, a odzwierciedlała dosadnie nastrój społeczeństwa.

General-gubernator Skallon bywał parę razy do roku w Klubie Myśliwskim na obiadach czwartkowych, zawsze w towarzystwie swoich adiutantów. Gdy pewnego takiego czwartku żegnał się w sieniach z gospodarzami, podbiegł jakoby Adam hr. Zamoyski i odebrał z rąk służby płaszcz, by go osobiście podać general-gubernatorowi.

Adiutant Skallona, Żerebkow, dobrze podпиты, miał się do gorliwca odezwać:

— Adam, podaj i mnie szubu, Wied' ja toż moskal!...

Czwartego sierpnia 1915 r. wieczór spędziłem w Resursie Ku-pieckiej.

Rosyjska piechota i artyleria zajmowały pozycje na prawym wybrzeżu Wisły. Miały osłaniać odwrót.

Śródmieście Warszawy lada godzina mogło się znaleźć pod ostrzałem z dwu stron.

Nastrój w Resursie był ponury, sale puste. Spora część członków wyjechała.

Wróciłem do domu wcześniej.

Z balkonu miałem widok na plac u zbiegu ulic Chmielnej, Zgody i Szpitalnej. Dorożkarskie chabety galopowały, uwożąc na Pragę zapóźnionych oficerów. Niekiedy słyhać było urywane krzyki, szlochy kobiet.

Pojedyńczo i w małych grupach przebiegali żołnierze, odbici od swoich oddziałów. Pędzili ku Wiśle. Okna mieszkań były pozasłaniane, ciemne.

Miasto ogarnęła trwoga. Kanonada słabła.

Obudziłem się o świcie, znów wyszedłem na balkon. Nagle rozpaczliwe wołanie.

— Dorożka! Dorożka!

Na pusty plac wypadł z Chmielnej oficer rosyjski. Mundur miał niezapięty, szablę trzymał w jednym ręku, w drugim płaszcz

i małą walizkę. Zaspał widocznie, może w objęciach przygodnej kochanki, teraz żarła go obawa niewoli.

Traf chciał, że ze Szpitalnej wywlokła się jednokonka. Oficer rzucił się do niej, zaklinał woźnicę, by pospieszył. Dorożkarz sma-gał batem wychudłą szkapę.

Nie minęło dziesięciu minut, rozległ się wstrząsający huk. Mury kamienic zadrżały.

Środkowe przęsła mostu Poniatowskiego runęły w rzekę. Wkrótce huk, bardziej oddalony, zwiastował o takim samym losie mostu Kierbedzia.

O wpół do siódmej z rana ulicą Zgoda przemaszerował maleńki oddział uzbrojonej w karabiny Straży Obywatelskiej. Niedługo potem zjawił się na placu, jak spod ziemi, pierwszy otwarty samochód niemiecki. Siedziało w nim kilku oficerów. Jeden trzymał w ręku plan miasta i wskazywał szoferującemu żołnierzowi kierunek. Samochód zniknął w Szpitalnej.

Nim zdążyłem się przydziać, ulicami przeciągały już niemieckie patrole konne i oddziały piechoty w pełnym rynsztunku bojowym.

Pobiegłem na plac Teatralny. Ratusz był obstawiony wojskiem niemieckim różnej broni. Od strony Wisły turkotały karabiny maszynowe, trzaskały salwy karabinów zwykłych.

Z bramy ratuszowej wyszło dwóch oficerów niemieckich: major v. Arnim, rosły i rozrosły komtur krzyżacki z wachlarzową, ryżą brodą, oraz mały, szczupły hr. Hutten Czapski, opięty i wy-pięty w niebieskim mundurze huzarów pruskich. Miny mieli urozyste, dostosowane do chwili historycznej.

Przybyli do Ratusza, żeby oficjalnie powiadomić prezydium Komitetu Obywatelskiego o zajęciu Warszawy przez armię niemiecką.

Podjechał wielki samochód. Wsiedli, odjechali.

W mieście niebawem otwarto sklepy. Na jezdniach pokazały się dorożki, na chodnikach — tłumy ciekawych. Posterunki debiutującej w swych czynnościach Straży Obywatelskiej utrzymywały ład.

Opowiadano, że polskie drużyny strzeleckie, które brały czynny udział w walkach pod Warszawą, poniosły znaczne straty pod Piasiecznem. Komendant Piłsudski miał znajdować się w Opypach.

Do stolicy strzelców polskich nie dopuszczono. Umowę, zawartą przed dziesięciu miesiącami w Kielcach przez Sokolnickiego i Narkiewicza-Jodko uznano widocznie za przedawnioną.

Zdzisław ks. Lubomirski zatwierdzony został na stanowisku prezydenta miasta. Ks. Leopold bawarski odprawił nazajutrz przegląd zwycięskich wojsk.

Na czele władz okupacyjnych początkowo miał stanąć hr. Hatfeld. Wprędce jednak wypłynęła kandydatura Beselera, zdobywcy Antwerpii, a który teraz właśnie zajął Modlin.

Kurier Polski.

Od pierwszych tygodni wojny prasa warszawska wpadła w kłopotliwe tarapaty. Znaczna część terytorium Królestwa ogarnięta została przez armie Mocarstw Centralnych, dzienniki i czasopisma stołeczne straciły dostęp na owe terytoria. Na terenach, jeszcze przez nieprzyjaciela nie zajętych, poczty były zdeorganizowane. Cenzura warszawska, trzymana w ryzach przez rosyjskie władze wojskowe, utrudniała pracę redakcyjną, ile mogła. I przytem ogłoszenia, stanowiące dla prasy niezmiernie ważne źródło dochodów, niemal całkowicie utknęły.

W pierwszych miesiącach wojny deską ratunkową były „dodatki nadzwyczajne”. Nadużywano ich nazbyt często, treść nie odpowiadała sensacyjnym nagłówkom. Publiczność przestała im do wierzać. Dokuczał brak papieru.

Redakcję „Kuriera Polskiego”, po przedwczesnym zgonie Ludwika Straszewicza, objął jego starszy syn, Bogdan. Posiadał zalety cenne: charakter prawy, umysł lotny, serce gorące. Brakło mu doświadczenia administracyjnego. Interesy wydawnictwa wylały się, dziennikowi, który zdobył szacunek i poczytność, groził upadek.

Bogdan Straszewicz zwrócił się do mnie o pomoc. Zebrałem paru bogatszych przyjaciół, zgodzili się wnieść do spółki potrzebne fundusze, ja przystąpiłem również z wkładem. Na wniosek Bogdana Straszewicza mnie powierzono kierownictwo naczelne, ja go uprosiłem, aby był moim zastępcą.

W ten sposób ocaliliśmy dziennik, który godziwie spełniał swoje posłannictwo.

...Czasopismo periodyczne nie wyczerpuje temperamentu i ambicji dziennikarza z powołania. Czyni zadość temu powołaniu w całej pełni dziennik, chwytający na gorąco znamienne przejawy życia, — zewnętrznego i duchowego — niosący wyścigowym pędem w świat rzetelne informacje i ważne opinie.

Moi główni współtowarzysze w redakcji i administracji „Świata”, Wincenty Kosiakiewicz, Eustachy Czekalski, Wacław Podwiński, — wzięli się rażno i z ochotą do nowej pracy. Sekundowali im niektórzy dawni współpracownicy „Kuriera”, — Władysław Kopczewski, Jan Topolski. Sprawy gospodarki miejskiej i akcji społecznej objął Stanisław Jarkowski, późniejszy założyciel pierwszej w Warszawie „Polskiej Informacji Prasowej”, profesor i wicedyrektor Wyższej Szkoły Dziennikarskiej, — oraz Aleksander Morozewicz, referent działu giełdowego i handlowego.

Dawny sekretarz „Kuriera Polskiego”, Michał Roman ze zgrozą patrzył na pośpiech i zgiełk, jaki zapanował w sennym przedtym lokalu. Nam spokój wydawał się martwotą. Przeobraziłem układ pisma, wprowadziliśmy niepraktykowane w nim dotąd działy i rubryki, uruchomiliśmy własny, nowoczesny reportaż.

Wkrótce zespół redakcyjny powiększyli Henryk Butkiewicz i Jerzy Plewiński, administracją dziennika zajął się Antoni Lewandowski. Wszyscy trzej zasłynęli w parę lat później, jako założyciele „Prasy Czerwonej”.

Wyteżyliśmy usiłowania, aby w dzienniku, względnie szczupłych rozmiarów i tanim, zmieścić wszystkie inteligentowi polskiemu potrzebne wiadomości. W szybkości ich podawania nie pozwalaliśmy się nikomu wyprzedzić.

I mimo, że w pętach okupacji zasięg możliwości prasy warszawskiej niesłychanie się skurczył, a wojenna cenzura niemiecka utrudniała na każdym kroku zadanie, „Kurier Polski” wezbranym nurtem rozszerzył swą poczytność. Skuteczne poparcie znalazłem w „Grupie Pracy Narodowej”, radej, że zyskała własny organ. Zaczęli częściej pisywać do „Kuriera” Ludomir Grendyszyński, Adam Zakrzewski, Leon Chrzanowski, Henryk Tennenbaum, Czesław Poznański.

W ciągu czterech miesięcy powiodło się wielokrotnie powiększyć nakład i zjednać „Kurierowi Polskiemu” uznanie i życzliwość czytelników.

Pierwszy przyjazd do Warszawy komendanta Piłsudskiego.

Do redakcji „Świata” i „Kuriera Polskiego” przyniesiono sensacyjną wiadomość: Komendant Piłsudski przybył jawnie do Warszawy i zamieszkał w Hotelu Francuskim.

Wydelegowałem Eustachego Czekalskiego, który z czasów swej Sturm- und Drangperiode lat 1905-6 znał osobiście „towarzysza Wiktora”.

Przed Hotelem Francuskim gromadziły się zastępy młodzieży.

Piłsudski zajmował pokój na trzecim piętrze. Leżał na łóżku ubrany, w legendarnej już siwej kurtce. W kącie gwarzyło kilku oficerów legionowych i cywilów.

Komendant przyjął Czekalskiego przyjaźnie, o wywiadzie jednak, zważywszy na cenzurę niemiecką, nie mogło być mowy. Co chwila ktoś wchodził, zdawał krótki raport, wychodził. Wciąż nowi goście, powitania, objawy wzruszonej radości...

Wpadł sążnisty dryblas, bardzo zdyszany.

— Panie komendancie! Idą!...

Piłsudski podniósł się na łóżku, zmarszczył krzaczaste brwi.

— A dużo ich?

— Gęsto. I niosą czerwone chorągwie.

Komendant uśmiechnął się pod wąsem.

— I do tego jeszcze czerwone chorągwie!

Istotnie na plac Dąbrowskiego walił tłum. Dawni towarzysze broni z P. P. S. chcieli witać wodza. Piłsudski, wierny przyrzeczeniom, jakie wymogły na nim władze niemieckie, nie pokazał się nawet w oknie. Posłał zaufanych, by tłumaczyli zgromadzonym, że komendant czuje się niezdrów, — że nie może opuścić łóżka.

Nikt przed hotelem nie dał się przekonać tym argumentem. Rozlegały się okrzyki, tłum rósł. Komendant wydelegował starszego oficera, by nakłonił manifestantów do rozejścia się.

Władze niemieckie zażądały nazajutrz, by komendant Piłsudski opuścił Warszawę.

On zastosował się do zlecenia, zatrzymał się na pewien czas w Otwocku. Tworzył „Polską Organizację Wojskową” (P. O. W.), która z czasem miała odegrać niemałą rolę.

General Beseler.

General-Gubernatorem zajętych przez wojska niemieckie terytoriów polskich został mianowany generał Beseler. Wyposażono go w najwyższą władzę, zarówno wojskową jak cywilną. Rządził wielką połacią kraju w bezpośrednim porozumieniu z kanclerzem Rzeszy i naczelnym dowództwem armii.

Gen. Beseler był synem znakomitego jurysty, profesora uniwersytetu berlińskiego. Wychował się w środowisku o wysokim poziomie intelektualnym, posiadał wykształcenie staranne, umysł zrównoważony. Nie brakło mu nawet dobrej woli, — przede wszystkim był sumiennym i lojalnym sługą cesarskim.

Spółeczeństwa polskiego i stosunków polskich nie znał, ulegał sugestiom Ostmarkenvereinu.

Wskutek tego zdarzało się, że wydawał niekiedy rozporządzenia bez potrzeby niepokojące i drażniące społeczeństwo polskie. Do takich niewczesnych posunięć należało zaliczyć zniesienie sądów obywatelskich, wysmienie zorganizowanych przez palestrę warszawską, uwięzienie i zesłanie do Niemiec ich głównego twórcy, adw. Henryka Konica, rozwiązanie Komitetu Obywatelskiego.

W fabrykach rekwirowano maszyny i surowce, po dworach wiejskich i zagrodach chłopskich — zboże, kartofle, inwentarz i paszę. Jednocześnie głoszone uroczyscie, że dla Polski nadeszła chwila odrodzenia...

Półoficjalny organ władz okupacyjnych, wydawany w języku polskim, nazywał się „Godzina Polski”.

Vox populi przemianował ten tytuł na „Gadzinę Polski”...

Dodatkowym rysem działalności gen. Beselera było jego zainteresowanie dla zagadnień oświatowych; pomagał mu w tym Kries, szef administracji cywilnej. Beseler aprobował zabiegi, zapoczątkowane przez Komitet Obywatelski (a raczej przez Wydział Oświecenia Publicznego tegoż Komitetu) celem ustalenia zasad obowiązkowego nauczania powszechnego.

Jeszcze żywiej zajął go problem uruchomienia wyższych uczelni.

W kilka tygodni po objęciu w Warszawie swego stanowiska, sprowadził z Berlina doświadczonych fachowców, profesorów Blatera i Wilhelma Paszkowskiego. Do prac przygotowawczych wciągnął ze strony polskiej dra Brudzińskiego, człowieka wyjątkowej wartości moralnej i energii.

Podejrzliwość społeczeństwa polskiego wobec poczynąń niemieckich była tak silna, że gdy dr. Brudziński został powołany na stanowisko rektora wskrzeszonego Uniwersytetu Warszawskiego, sympatie dlań ochłodziły. Rektorem wskrzeszonej politechniki został inż. Zygmunt Straszewicz, stryj Bogdana.

Przy zatwierdzaniu pierwszych profesorów, gen. Beseler zwracał czujną uwagę, by nie dopuścić do przewagi uczonych polskich

z Krakowa i Lwowa. W uroczystości inauguracyjnej uczestniczyli trzej epigoni b. Szkoły Głównej, profesorowie Walenty Miklaszewski, Stanisław Holewiński i dr. Ignacy Baranowski.

Orientacje i pierwsze poczynania polityczne.

Po wybuchu wojny w Polsce dominowały trzy kierunki myśli politycznej.

Jeden opierał swe nadzieje na zwycięstwie Koalicji i przewidywał, że sprawę polską będzie rozwiązywała Rosja, przyczem jednak opinie sojuszników, tj. Francji i W. Brytanii będą brane w rachubę.

Drugi liczył się z możliwością zwycięstwa Mocarstw Centralnych, a jeszcze bardziej — z ewentualnością pokoju kompromisowego.

Ten uczuciowo przesiąknięty był niechęcią niemal w jednakiej mierze do Caratu i do Rzeszy Niemieckiej. Budował swe plany na życzliwej Polakom dynastii Habsburgów.

Trzeci wreszcie kierunek, którego wykładnią były Legiony, obstawiał uparcie przy pełnej niepodległości Zjednoczonej Polski. Był to polski maksymalizm, przewodził mu Piłsudski.

Orientacja proniemiecka posiadała tak szczupłą garstkę zwolenników, że znaczenia nie miała.

Orientacja prokoalicyjna tym się różniła od innych, że sprzeciwiała się wszelkiej współpracy w kraju z władzami okupacyjnymi. Zalecała społeczeństwu niezmaconą bierność, czyli tzw. pasywizm.

Innym orientacjom zarzucano natomiast w tym obozie — aktywizm.

Aktywiści, zdecydowani antagoniści „Realistów”, tj. konserwatystów, przejęli jedną z ich zasadniczych formuł: niema tak złych warunków bytowania, w których nie możnaby pracować dla kraju z pożytkiem.

Każde z tych ugrupowań posiadało własny, odrębny program działań na dobę bieżącą.

Ogniskiem orientacji prokoalicyjnej był Komitet Narodowy, któremu przewodniczył Roman Dmowski, zaś członkami byli wybitni działacze narodowo-demokratyczni, przywódcy Partii Polityki

Realnej i znane w kraju osobistości, nie należące do żadnego stronnictwa.

Przed zajęciem Warszawy przez Niemców Komitet Narodowy przeniósł się do Petrogradu; odnogę miał w Lozannie, gdzie przebywali sympatyzujący z nim Ignacy Paderewski i Henryk Sienkiewicz, a także *anima movens* Realistów — Erazm Piltz. Nie brak było wszakże w Lozannie również Polaków sprawom ojczyzny gorąco oddanych (jak np. Jan Kucharzewski), którzy nie solidaryzowali się z programem pasywistycznym.

W Warszawie program Komitetu Narodowego znalazł wyznawców w większości Koła Międzypartyjnego.

Organizację tę, w założeniu swym dość luźną, o charakterze dyskusyjnym i opiniodawczym, wytworzyły jesienią 1915 r. — oczywiście konspiracyjnie — bardziej umiarkowane stronnictwa i grupy polityczne stolicy.

W obradach Koła uczestniczyli delegaci owych zrzeszeń, ewent. ich zastępcy. Ze owych stronnictw i grup namnożyło się sporo, zebrania Koła bywały dość liczne.

Porządek dzienny posiedzeń obejmował aktualne zagadnienia polityczne i społeczne oraz wymianę wiadomości.

Radia jeszcze nie było.

Jakkolwiek rozłam opinii nie pozwalał ludzić się nadzieją ogólnego pojednania i zgody, powołanie do życia Koła Międzypartyjnego odpowiadało potrzebom chwili.

Tego samego zdania widocznie były władze okupacyjne, niechcynie przez swych wywiadowców informowane. Nie przeszkadzały.

Przewodniczącego obradom obierano doraźnie na każdym poszczególnym zebraniu. Rej wodzili przedstawiciele Demokracji Narodowej i Realistów, więcej politycznie wyrobieni i wygadani. Rywalizował z nimi zawsze skory do słowa i apodyktyczny delegat Demokracji Postępowej, Henryk Konic.

Grupa Pracy Narodowej przystąpiła do Koła Międzypartyjnego, mimo niechęci i zastrzeżeń swoich *exaltados*. Delegatami wyznaczeni zostali Grendyszyński i ja, zastępcami — Stanisław Staniszewski (późniejszy minister Opieki Społecznej) i Leon Błaszowski (późniejszy sędzia Sądu Najwyższego). Sporadycznie brali udział w posiedzeniach Bogdan Straszewicz, Jan Rogowicz i Leon Chrzanowski.

Zebrania Koła odbywały się najczęściej w redakcji „Świata”, w moim olbrzymim gabinecie, w którym mogło się swobodnie po-

mieścić kilkadziesiąt osób. Dyskusje bywały zażarte. Gdy decydowano się uchwalić jakąś wspólną, najczęściej platoniczną rezolucję, spierano się bez końca o każdy wyraz, bo każda grupa chciała zachować „czystość swojej linii politycznej”. Na ogół były to tylko Hamletowskie słowa... słowa..

Wczesną wiosną 1916 r. przeciwności zrzeszeń politycznych tak się zaostriły, że grupy niepodległościowe, a w tej liczbie Grupa Pracy Narodowej, z Koła Międzypartyjnego ustąpiły. Skojarzyły się z innymi, społecznie radykalniejszymi organizacjami niepodległościowymi w „Radzie Narodowej”.

Zebranie konstytucyjne tej nowej koncentracji, odbyło się w obszernym mieszkaniu dra Jerzego Rogozińskiego.

W Radzie Narodowej ważyły się i ścierały dwie główne koncepcje: społecznie umiarkowana, a politycznie związana z krakowskim Naczelnym Komitetem Narodowym (NKN) Liga Państwowości Polskiej (LPP) i koncepcja niepodległościowo-legionowa, społecznie radykalna, a całkowicie Piłsudskiemu oddana.

Zebrania Rady Narodowej odbywały się przeważnie również u mnie. Sekretariat był powierzony Stanisławowi Thuguttowi i mnie.

W składzie Rady znalazł się komendant Józef Piłsudski, który na skutek zasadniczych nieporozumień z najwyższym dowództwem austro-węgierskim usunął się ze służby czynnej w Legionach i osiadł czasowo w Warszawie. Obradom zwykle przewodniczył Stanisław Bukowiecki. Nie była to synekura, bo krasomówczy impet elementów radykalnych (osobliwie Medarda Downarowicza) bywał gwałtowny, a nieufność wobec żywiołów umiarkowańszych — stale napięta.

Jeśli Piłsudski obecny był na posiedzeniu, jego autorytet górował nad przebiegiem obrad.

On głos zabierał, jeśli w dyskusji poruszono sprawę wojska. Polska siła zbrojna była dlań zagadnieniem najważniejszym.

Koło Międzypartyjne odtąd stało się ekspozyturą petrogradzkiego Komitetu Narodowego.

Ten w pierwszych dwóch latach wojny zadawał się perspektywą zjednoczenia ziem polskich w ramach państwowości rosyjskiej i sperandą szerokiej autonomii narodowej.

Po akcie 5 listopada 1916 r. Komitet Narodowy nacisnął pedał i przesunął się ostrożnie na szlaki osobistej unii z Imperium Romanowów. Na program niepodległościowy nawrócił się dopiero po marcowej rewolucji rosyjskiej 1917 roku.

Wnet po zajęciu Warszawy przez wojska niemieckie zjawiał się w mieście Ignacy Rosner, radca dworu w austriackim ministerstwie dla Galicji, a dobry mój znajomy z czasów wiedeńskich.

Rozeznał się w stosunkach i ludziach stolicy ze zdumiewającą szybkością. Krąg jego znajomości rozszerzał się z każdym dniem, wszędzie podziwiano bystrość jego umysłu, układne maniere i dowcip. Oparcie urzędowe miał w konsulu austro-węgierskim, baronie Andrianie.

Wobec świeżo powstałej, a dość wyraźnie austrofilskiej Ligi Państwowości Polskiej, Rosner odgrywał rolę pokątnego inspiratora i animatora. Wszystko robił dyskretnie, świadczonymi przysługami jednał sobie znaczenie, nazywano go „szarą eminencją”. Zawsze miał przyjemny uśmiech na twarzy, przynosił nową, a zabawną anegdotę, najświeższe wiadomości.

Jedni powiadali, że był nieoficjalnym przedstawicielem Ballplatz'u (austro-węgierskiego ministerstwa spraw zagranicznych), inni, że reprezentował krakowski Naczelnny Komitet Narodowy, w którym połączyły się wszystkie polskie stronnictwa galicyjskie.

Powtórzyłem mu raz te głosy i zapytałem, co o nich sądzi. Odpowiedział z lekko drwiącym uśmiechem:

— Rząd austro-węgierski i Naczelnny Komitet Narodowy — czyż nie do tych samych celów zmierzają?

...Jesienią 1915 r. przybyli do Warszawy celem nawiązania kontaktu z polskimi sferami politycznymi Agenor hr. Gołuchowski, b. austro-węgierski minister spraw zagranicznych, dr. Juliusz Leo, prezes krakowskiego Naczelnego Komitetu Narodowego i Andrzej ks. Lubomirski z Przeworska.

W kołach należących lub zbliżonych do Ligi Państwowości Polskiej przyjęto ich uroczystie. W innych — gościnnie i powściągliwie.

Hr. Gołuchowski był typem dygnitarza i dyplomaty wiedeńskiego. Nosił bokobrody na wzór Franciszka Józefa, przy wielkopańskiej nonszalancji, skąpy był w wynurzeniach, raczej słuchał, niż mówił.

Dr. Leo natomiast gadał za dwóch.

Ks. Andrzej Lubomirski był jednym z popularniejszych magnatów małopolskich. Pięknej postaci, swobodnego obycia, interesował się więcej sprawami społecznymi i gospodarczymi, niż polityką.

Nic konkretnego z owych rozmów nie wyszło.

Liga Państwowości Polskiej, jak Ewa z żebra Adamowego, narodziła się z Secesji Narodowo-Demokratycznej. Matką chrze-

stną była jej nienawiść do Rosji. W stosunku do Niemiec była nieufną. Politykę założonych rąk, tj. pasywizm, — potępiała.

Liga w zespole swych członków posiadała poważny kontyngent osobistości wybitnych. Należeli do niej Stanisław Bukowiecki, prof. Mikułowski-Pomorski, prof. Antoni Ponikowski, Stefan Dziewulski, Gustaw Simon, prof. Siemieński, Witold Giełżyński, adw. Krzesimowski. Także, gdy powrócił do Warszawy, Jan Kucharzewski.

Cenne przysługi Lidze oddawał salon państwa Stef. Dziewulskich. Ogromna fortuna pani domu umożliwiała przyjęcia, na których gromadziło się mnóstwo osób, znanych z działalności publicznej. Na indeksie byli dawni ugodowcy.

Wbrew młodszemu moim towarzyszom z Grupy Pracy Narodowej, koncepcja trializmu austro-węgropolskiego wydawała mi się godną uwagi, — gdyby ziszczenie naszych aspiracji do pełnej niepodległości okazało się niemożliwym.

Koncepcji tej sprzyjał sędziwy cesarz Franciszek Józef, wierząc obietnicom niemieckim. Podczas audiencji w Hofburgu biskupom Teodorowiczowi, Bilczewskiemu i Pelczarowi zwierzał się добродusznie.

— Jawohl, der Deutsche Kaiser erklärte mir, dass ganz Polen mir angehören soll.

Między Piłsudskim, a krakowskim Naczelny Komitetem Narodowym piętrzyły się przeciwieństwa.

Ekspozyturą Komitetu był Departament Wojskowy w Piotrkowie, którym kierował płk. Władysław Sikorski. Piłsudski był indywidualnością buntowniczą, Sikorski — żołnierzem, lojalnym wobec swej władzy zwierzchniej.

Stąd ciągle starcia. Od tego czasu Piłsudski powziął do Sikorskiego upartą niechęć; przejęła tę niechęć drużyna jego zaufańców.

Departament Wojskowy w Piotrkowie, stosownie do zleceń Naczelnego Komitetu Narodowego, prowadził w dalszym ciągu, mimo ustąpienia Piłsudskiego, werbunek ochotników do Legionów. Cesarz Franciszek Józef we wrześniu 1916 r. nadał Legionom miano „Polskiego Korpusu Posiłkowego”.

Gdy komendant Piłsudski w lipcu 1916 r. podał się do dymisji, dowództwo poszczególnych brygad sprawowali pułkownicy Józef Haller, Zieliński i Januszajtis.

Komendę Legionów, które uznane zostały, jako kadry armii polskiej, objął gen. Szeptycki.

Austriacka Komenda Główna była ogólnie niecierpiana. Na jej

czele stał arcyksiążę Fryderyk, jeden z najprzykrzejszych Habsburgów. Przewyższał go w niepopularności jedynie arcyksiążę Józef.

Arcyksiążę Fryderyk Polaków nie lubił, Legionom był wprost przeciwny. Sympatią darzył Ukraińców, Ich herszt Wasylko miał doń przystęp, kiedy chciał, zaś Leon Biliński, pragnąc uzyskać od arcyksięcia audiencję, musiał wypraszać u cesarza telegram, polecający arcyksięciu przyjąć prezesa Koła Polskiego i Naczelnego Komitetu Narodowego...

Cesarz Franciszek Józef dopiero jesienią 1916 r. dowiedział się, że jego sojusznik niemiecki zmienił swoje wobec Polski zamiary. Do Wiednia przybył kanclerz Bethmann-Hollweg z podsekretarzem stanu v. Jagowem i przedstawił nowy projekt rozwiązania sprawy polskiej: utworzenie Królestwa Kongresowego, — państewka buforowego, uzależnionego politycznie i gospodarczo od Rzeszy Niemieckiej i od Austro-Węgier.

Według tego planu Rzesza Niemiecka zatrzymałaby w dalszym ciągu Wielkopolskę, Prusy Królewskie, Śląsk Górny, Austria — obie Małopolski i Śląsk Cieszyński. Dogasający Franciszek Józef na wszysiko się godził.

Jego następca, młodociany cesarz Karol nie miał w ogóle zrozumienia dla sprawy polskiej. Jego małżonka, cesarzowa Zyta, darzyła względami metropolitę Szeptyckiego i ulegała jego sugestiom. Zwierzała się wszakże hrabinie Zdzisławowej Tarnowskiej, że niekiedy snuje z mężem marzenia o posiadaniu całej Polski.¹⁾

Polacy galicyjscy byli tą zmianą frontu wiedeńskich czynników decydujących niesłychanie wzburzeni. Daszyński i Witos piętnowali ją dobitnie, poseł German nazywał poprostu szwindlem.

Próbowali interweniować: Michał Bobrzyński, Zdzisław Morawski, Juliusz Twardowski...

Nadaremnie.

W grudniu 1917 r., z inicjatywy Karola II, podjęte zostały poufne rozmowy między przedstawicielami W. Brytanii i Austro-Węgier celem przerwania działań wojennych. Ówczesny premier brytyjski, Lloyd George, skłonny był do zawarcia odrębnego pokoju z monarchią Habsburgów, nie chciał jednak słyszeć o pokoju z Cesarstwem Niemieckim.

W toku dyskusji delegat austro-węgierski, hr. Wensdorff poruszył sprawę polską. Delegat brytyjski — był nim gen. Smuts — owiadczył, iż jego rząd opiera się stanowczo, aby przyszłe państwo

¹⁾ Leon Biliński: „Wspomnienia i dokumenty”.

polskie mogło znaleźć się w sferze wpływów niemieckich. Natomiast nie byłby przeciwny przyłączeniu Polski drogą unii personalnej do Monarchii Rakuskiej.

Pertraktacje te spełzły na niczym, bo cesarz Karol nie chciał oderwać się od swego sojusznika.

...Teoretykiem i głównym propagatorem orientacji proniemieckiej był Władysław Studnicki, publicysta wykształcony i utalentowany, bojowego temperamentu i rzadkiej w Polsce odwagi cywilnej.

W przedmowie do znacznie później wydanej książki „Ludzie, idee i czyny” Studnicki pisał:

„Jestem germanofilem polskim. Czy znajdzie się polityk polski, który będąc moskalofilem, powie to sam o sobie? Moskalofilstwo bowiem, to przystosowanie się do niewoli, do jarzma rosyjskiego”.

Germanofilstwo u Polaka, pochodzącego z zaboru rosyjskiego, było według Studnickiego dążnością do wyzwolenia politycznego Polski, do bytu samodzielnego.

Studnicki był przeświadczony, że najniebezpieczniejszym wrogiem Polski była Rosja i że tylko opancerzona pięść niemiecka zdolna była potęgę rosyjską rozbić.

Ideologia ta nie znajdowała na ziemiach polskich oddźwięku. Najbardziej przeciwni jej byli nasi rodacy z zaboru pruskiego, którzy z opancerzoną pięścią niemiecką na własnej poznali się skórze. Instynkt narodu widział w Niemcach wroga nieprzejednanego, śmiertelnego.

Wskazania polityczne Studnickiego próbowali realizować Adam hr. Ronikier, inż. Michał Łempicki i Zygmunt Makowiecki, redaktor „Gońca”. Liczba adherentów była znikoma. Ronikier, wówczas młody, niepoprawnie ochoczy do lekkomyślnego optymizmu, był szczególnie groźny, bo naiwnych i niedoświadczonych w błąd wprowadzał. Że wykazywał przy tym ruchliwość i potrafił zdobyć względy pewnych dygnitarzy niemieckich, powiodło mu się uzyskać zatwierdzenie Rad Opiekuńczych, które miały zastąpić Centralny Komitet Obywatelski.

Michał Łempicki był człowiekiem gorliwej woli obywatelskiej, lecz umysłu nieco mętnego. Kursował o nim czterowiersz:

Pięknie, żeś carom odwrócił się tyłkiem,
Lecz czemuż Szwabom wchodzisz w tyłek chyłkiem?
Panie Łempicki, gdyby ożył cny Kant
Rzekłby: człek z waści dobry, ale zły muzykant.

...Wielkopolska zachowywała ostrożną rozwagę, aczkolwiek nastroje jej były zdecydowanie antyniemieckie. Żywsze temperamenty budziły tamtejsze społeczeństwo z odrętwienia. Korfanty w Sejmie Pruskim potykał się z ministrem Loebellem, piętnował surowo postępowanie rządu pruskiego w Wielkopolsce, na Pomorzu i na Śląsku. Książę Ksawery Lubecki, podmówiony przez hr. Hutten-Czapskiego, nakłonił Ferdynanda ks. Radziwiłła, aby w Pruskiej Izbie Panów złożył akt lojalności wobec cesarza i rządu.

Wszystkie poszczególne orientacje były raczej kierunkami taktyki, niż ideologii.

Bo dla każdego szczerego Polaka jeden tylko istniał ostateczny, najwyższy ideał.

Polska Zjednoczona, niezawisła i silna!

Podział orientacyjny uwzględniał wszystkie drogi, wiodące do ziszczenia tego ideału. Była to samorzutna, instynktowna obrona rozdartego i gnębionego narodu, który tyle zawodów doznał, — przed hazardami niespodzianek wojennych. Naród polski zabezpieczał sobie wszystkie możliwości. W każdym przypadku znajdowały się skupienia patriotów, mogących zyskać zaufanie ewentualnego tryumfatora i tym łatwiej strzec interesów ojczyzny.

Niezrozumiałą tylko była złość wzajemna, rozbieżnością orientacyjną podżegana. Byliśmy, jak nieopanowani aktorzy, których na scenie tak ponosi zapal, że miast dokładnie udawać, że się biją, zadają sobie zobopólnie bolesne ciosy.

Jaki w powszechności polskiej utrzymywał się duch, świadczył obchód Święta Narodowego 3 Maja 1916 r.

Od tegoż samego dnia w roku 1791 nigdy zapewne dusze polskie nie zespoliły się w równie silnym napięciu patriotycznego wzruszenia.

Kiedy ruszyły tysiące chorągwi, a ku błękitowi nieba popłynęła pieśń „Boże coś Polskę”, wszystkich chwycił za gardła entuzjazm, w oczach szklily się łzy. Parusettyśięczny pochód był potężną modlitwą dziękczynną za radosne nadzieje, błagalną — o nadziei tych spełnienie.

Pochód odbył się i rozwiązał w porządku wzorowym. Do Belwederu, rezydencji gen. Beselera, udała się delegacja, by podziękować wielkorządcy, że tej ekspansji uczuć narodowych nie wzbro-

nił. Przemówił ks. rektor Zygmunt Chelmicki, że niemieckim językiem wybornie władał.

Gen. Beseler w odpowiedzi poruszył głębsze problemy polityczne.

— Wiedźcie, panowie, że polityka jest sztuką możliwości. Trzeba umieć ponosić ofiary, żeby osiągnąć chociaż część upragnionych celów.

Gen. Beseler znał historię. Pamiętna mu była taktyka Cavoura, któremu w znacznej mierze Włochy swoje zjednoczenie zawdzięczały, Węgier, które Deak po klęsce 1848 r. z upadku podźwignął.

Jednego i drugiego, że konieczne, doraźne ustępstwa musieli czynić, rodacy o zdradę pomawiali.

Później wznosili im pomniki.

Legiony a literatura i sztuka.

Spora garść ludzi piszących, a gorętszą wyobraźnią obdarzonych, dała się pociągnąć wezwaniom i wzięła czynny udział w Legionach.

Przykład dali starsi: Wacław Sieroszewski, Andrzej Strug, Gustaw Daniłowski. Za nimi poszli młodszy: Piotr Choynowski, Bieder, Orkan, Juliusz Kaden Bandrowski, Merwin, Józef Relidzyński i inni.

Jako dzielny oficer bojowy wysunął się Wieniawa-Długoszewski, późniejszy generał kawalerii i nawet niefortunny kandydat na emigracyjnego w r. 1939 prezydenta Rzeczypospolitej. Ten przed wojną w Paryżu studiował medycynę, a próbował jednocześnie pióra. Przez pewien czas zasilał „Świat” swymi felietonami. Kaden-Bandrowski pisał o nim, że posiadał wszystkie niecnoty szalawili i wszystkie zalety kawalerzysty. Miało to znaczyć, że Wieniawa równie skory był do szabli, jak do szklanki i kochanki.

Do służby wojskowej zaciągnęli się później, pełniąc ją w redakcjach czasopism, przeznaczonych dla wojska, Artur Oppman (Or-Ot) i Remigiusz Kwiatkowski.

W Legionach znaleźli się także i aktorzy: Siemaszko, Bończa, Felsztyński, Zelwerowicz.

Jako mężny oficer odznaczył się artysta rzeźbiarz Włodzimierz Konieczny.

Mój serdeczny przyjaciel, Julian Fałat, spędził pierwszy rok wojny w swej zacisznej siedzibie w Bystrej, na Śląsku Cieszyńskim.

Wiosną 1915 r. wysłał żonę z czternastoletnią córką do Marienbadu.

Po zajęciu Warszawy przez armię niemiecką, pani Fałatowa nadesłała mi swoją ostatnią fotografię i dłuższy list, w którym opisywała swe przeżycia w okresie wojennym. Nim zdążyłem odpisać, nadeszła wiadomość o jej tragicznym zgonie.

A było tak:

W Czechach władze wojskowe wprowadziły drakońskie przepisy wobec chorób zakaźnych. Obawiano się epidemii, zwłaszcza tyfusu plamistego. W każdym podejrzanym wypadku izolowano chorych w specjalnie do tego przeznaczonych barakach.

Pewnego wieczora ukochana córka Fałatowej, Kuka, skarżyła się na ból głowy. Oczy miała szkliste. Fałatowa zmierzyła temperaturę.

Przerażenie! 39 stopni. Wezwano natychmiast lekarza. Ten na razie nie mógł nic stanowczego orzec. Można było spodziewać się wszystkiego i niczego.

Właścicielka willi, pamiętna surowych rozporządzeń władz wojskowych, zameldowała chorobę telefonicznie w policji. W kwadrans później zajechała karetka szpitalna. Sanitariusze oświadczyli, że chora musi być przewieziona do baraków.

Daremne były błaganie i opór. W barakach oznajmiono, że matka winna wrócić do domu, córka pozostanie na obserwacji.

Fałatowa wpadła w rozpacz. Przywarła do córki, szamotała się ze służbą szpitalną. Odgarnięto ją przemocą.

Za łkającą nieprzytomnie dziewczyną zawarły się drzwi, Fałatowa padła na korytarzu zemdlona.

Gorączka Kuki na drugi dzień minęła, serce matki nie wytrzymało gwałtownej próby...

Wezwany depeszą Fałat przyjechał, żonę pogrzebał, córkę zabrał do Bystrej.

5 listopada 1916 r.

Gdy w Petrogradzie ogłoszono projekt autonomii dla b. Królestwa Polskiego z własnym Sejmem, — w Berlinie uznano, że dla Rzeszy również nadeszła pora wypowiedzenia się w sprawie polskiej.

Wpłynął na tę zmianę mniej pomyślny obrót wydarzeń wojennych. W maju 1916 r. armia austriacka została doszczętnie rozbita przez Brusilowa pod Łuckiem. Wojska niemieckie napotkały żelazny opór pod Verdun. Francuzi i Anglicy przeszli nad Sommą do ofensywy.

Bethmann-Hollweg, w porozumieniu z nowym austriackim ministrem spraw zagranicznych, hr. Burianem, zausznikiem hr. Tiszy, wystąpił w imieniu Mocarstw Centralnych z następującym, zasadniczym projektem rozwiązania:

1). B. Królestwo Polskie t. j. dawny zabór rosyjski, pod żadnym pozorem nie wróci pod panowanie rosyjskie.

2). B. Królestwo Polskie winno zostać niepodzielną jednostką państwową.

3). B. Królestwo Polskie, tak czy owak, winno uzyskać niepodległość.

Celem wyjaśnienia mglistych „tak czy owak”, władze okupacyjne zaproponowały wysłanie do Berlina i Wiednia delegacji polskiej.

...O zjednoczeniu trzech zaborów nie było mowy!...

Do delegacji zaproszeni zostali hr. Ronikier, Michał Łempicki, Franciszek ks. Radziwiłł, Józef Brudziński, Stanisław Dzierzbicki, Zygmunt Chmielewski, prof. Samuel Dickstein.

Dowcip brukowy przyczepił do nich etykietę: „siedmiu poległych”...

Rzesza niemiecka i Austro — Węgry ze swych posiadłości polskich nie chciały na rzecz tego nowotworu ani piędzi ziemi ustąpić.

Niezadowolenie w Warszawie przeobraziło się w oburzenie, kiedy nadeszła wiadomość o przemówieniu, wygłoszonym w Berlinie przez Franciszka ks. Radziwiłła. Stwierdził w nim, że Wielkopolska i Prusy Królewskie pozostaną integralną częścią Królestwa Pruskiego, Małopolska Zachodnia i Wschodnia oraz Śląsk Cieszyński w dalszym ciągu należeć będą do Austrii, i że Polakom nie należy nawet myśleć o odebraniu tych dzielnic swoim „dobroczyńcom”.

Franciszek ks. Radziwiłł był Polakiem poczciwym, w polityce — dyletantem porywistym. Rwał się do działalności publicznej, nie będąc do niej przygotowany. Zwodniczym sugestiom łatwo się poddawał.

Że należał do składu warszawskiej Rady Miejskiej, w tym ratuszowym *quorum* zainterpelował go Stanisław Karpiński z racji owego przemówienia. Ks. Radziwiłł w replice nie zaprzeczył, — że to, co w Berlinie powiedział „było zbrodnią narodową”.

— Ale, tłumaczył się, powiedzieć to musiałem, bo od tego oświadczenia zależało wskrzeszenie państwa polskiego w ramach Królestwa Kongresowego.

W dwa dni po owej utarczce, 5 listopada 1916 r. nastąpił pamiętny akt.

Pierwszy raz w życiu znalazłem się we wspaniałej Sali Kolumnowej Zamku. Ustawiono nas według z góry przygotowanego porządku.

W środku półkola, na podwyższeniu, zajęli miejsca ks. arcybiskup Kakowski, Zdzisław ks. Lubomirski, dr. Józef Brudziński, gen. Szeptycki. Opodał przedstawiciele duchowieństwa i ziemiaństwa, Legionów, Weteranów 1863 r., Zarządu Miasta, delegacje grup: politycznych, redaktorów...

Demokracja narodowa nie przysłała swoich delegatów.

Niemieccy oficerowie i urzędnicy trzymali się osobno.

... Rozwarły się szeroko wysokie podwoje, na salę wszedł gen. Beseler w asyście wyższych niemieckich dygnitarzy wojskowych i cywilnych. Postacią przypominał raczej uczonego profesora, niż żołnierza.

Adiutant podał mu zwitek papieru. Gen. Beseler odczytał niemiecki tekst orędzia dwóch cesarzów. Na sali panowała taka cisza, że każde słowo dochodziło wyraźnie do uszu.

— „Przejęci niezłomną ufnością w ostateczne zwycięstwo ich broni i powodowani życzeniem, ażeby ziemie polskie, przez waleczne ich wojska ciężkimi ofiarami rosyjskiemu panowaniu wydarte, do szczęśliwej przywieść przyszłości, jego cesarska mość cesarz niemiecki, oraz jego cesarska i królewska mość cesarz Austrii i apostolski król Węgier, postanowili z ziem tych utworzyć państwo samodzielne, z dziedziczną monarchią i ustrojem konstytucyjnym. Dokładniejsze oznaczenie granic Królestwa Polskiego nastąpi później”.

„Nowe Królestwo znajdzie w łączności z obu sprzymierzonymi mocarstwami rękojmię, potrzebną do swobodnego rozwoju swych sił. We własnej armii żyć będą pełne sławy tradycje wojsk polskich dawniejszych czasów i pamięć walecznych polskich towarzyszy broni z wielkiej wojny obecnej. Jej organizacja, wykształcenie i kierownictwo uregulowane zostaną przez wspólne porozumienie”.

„Sprzymierzeni monarchowie, biorąc należny wzgląd na ogólne warunki polityczne Europy, jako też na dobro i bezpieczeństwo własnych krajów i ludów, żywią niezłomną nadzieję, że obecnie spełnią się pragnienia państwowego i narodowego rozwoju Królestwa Polskiego.

„Wielkie Mocarstwa, sąsiadujące z Królestwem Polskim od zachodu, z radością ujrzą u swych granic wschodnich wskrzeszenie i rozrost wolnego, szczęśliwego i własnym życiem narodowym cieszącego się państwa”.

Gen. Beseler czytał bez afektacji, z prostotą żołnierską. Gdy skończył, na podwyższenie wspięła się drobna figurka hr. Hutten-Czapskiego, zawsze w niebieskim mundurze huzarskim. Wyglądał, jak żołnierz blaszany. Głosem, ze wzruszenia cokolwiek skrzeczącym, hr. Hutten obwieścił orędzie dwóch monarchów w przekładzie polskim.

Niemiecka orkiestra wojskowa, niewidoczna w kącie sali, zagrała „Boże, coś Polskę” i „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Nas, Polaków, ścisnęło za gardło dziwne uczucie. Byliśmy świadkami aktu wielkiej wagi, pierwszego etapu ku wolności. Zwracano nam część ojcowizny, — jakże skromną! — a i to pod kuratelą, która mogła stać się niebezpieczniejszą od dotychczasowego jarzma.

Wszystko razem, — owa historyczna sala, tłum polskich notablów, krzyżackie, butne postacie najeźdźców, ukochane pieśni narodowe, trąbione przez żołdaków niemieckich, czy to nie był koszmarny sen, krwawe szyderstwo z naszych marzeń o wolnej, zjednoczonej Polsce?...

Nastąpiła niesamowita cisza.

Wtem z grup polskich wyrwał się okrzyk.

— Niech żyje Polska.

Ciążba poruszyła się, zafalowała, oczy błysły uniesieniem, okrzyk rósł, potężniał, rozpierał stare, grube mury. Niemcy ścisnęli się, bezwiednie zaniepokojeni.

W sali huczał niepowściągnięty entuzjazm.

— Niech żyje niepodległa Polska.

Gdy wreszcie okrzyki zaczęły ściszać się, ozwał się pojedynczy, wstydliwie nieśmiały głos.

— Niech żyje cesarz Wilhelm.¹⁾

Okrzyk ten powtórzyły zajakliwe dwa, czy trzy inne głosy.

¹⁾ Mówiono, że okrzyk ten wzniósł Makowiecki, redaktor „Gońca”.

Wszystkie oczy polskie ponuro szukały w tłumie straceńców. Niemcy odrazu zrozumieli, o co chodziło, ryknęli:

— *Hoch! Hoch!*

I znów nastała kłopotliwa cisza. Na podniesieniu pojawił się dr. Brudziński. Składał gen. Beselerowi, jako pełnomocnikowi sprzymierzonych cesarzy, podziękowanie w imieniu społeczeństwa polskiego. Ważył słowa, które więzły w krtani. Słuchano go z roz-targnieniem. Doznawałem wrażenia, że wszyscy obecni, zarówno Polacy jak Niemcy, jednakowo pragnęli znaleźć się na powietrzu. Gen. Beseler odpowiedział dr. Brudzińskiemu paroma zdawkowymi słowy.

*Opuściliśmy Zamek w milczeniu, ze zwieszonymi głowami. Nikt nie miał ochoty do rozmowy. Wieczorem odbyło się uroczyste przedstawienie „Halki” w teatrze Wie’kim, na które przybył z liczną świtą gen. Beseler.

Dosłownie ta sama proklamacja została tegoż dnia ogłoszona w Lublinie przez austriackiego generała-gubernatora Kuka.

W Berlinie spodziewano się, że wdzięczność Polaków wypowie się żywiołowym werbunkiem do armii ochotniczej. Rachuby całkowicie zawiodły.

Kom. Piłsudski już w lipcu 1916 r. Legiony opuścił. Ich dowództwo oddane zostało gen. Szeptyckiemu, zawodowemu oficerowi armii austriackiej. Szeptycki, dobry polak, był wybornym generałem; pierwsza brygada jednak tęskniła za swym komendantem.

Legiony w Warszawie.

Ranek był chłodny i wilgotny, niebo szare. W błotnistych Alejach Jerozolimskich panował ruch więcej ożywiony, niż zwykle. Z kilku balkonów powiewały chorągwie o barwach narodowych. Naprzeciw Dworca Głównego wybudowano skromną bramę powitalną z gałęzi świerkowych.

Warszawa poraz pierwszy miała ujrzeć w swych murach Legiony.

Pierwsza Brygada, jako duszą i ciałem oddana Komendantowi Piłsudskiemu, została z tej uroczystości wykluczona. Zaszczyt wkroczenia do stolicy przyznano Brygadzie drugiej.

Wysadzono ją na Dworcu Kaliskim. Tam witał gen. Szeptycki w otoczeniu pułkowników Berbeckiego, Januszajtisa, Zielińskiego i Hallera, oraz rotmistrzów Beliny i Ostoi.

Żołnierze byli zwarzeni, oficerowie — chmurni, publiczność — zdeorientowana. Wszystkich trawiła gorycz. Legiony wchodziły do Warszawy, a ich twórca zamknął się gdzieś pod miastem w czterech ścianach, by na to widowisko nie patrzeć.

U zbiegu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich zjawił się konno, w towarzystwie kilku oficerów niemieckich, gen. Etzdorf, warszawski gubernator wojenny. Na Plac Saski, w asyście liczniejszej świty, przybył gen. Beseler. Orkiestry grały „Jeszcze Polska nie zginęła”. Z chodników odzywały się nieśmiało okrzyki.

...Innym, w dwa tygodnie później, było powitanie Piłsudskiego, kiedy oficjalnie wrócił do Warszawy. Pora była wieczorna, przed Dworcem Głównym zgromadziły się gęste tłumy, w nich dużo Legionistów. Plac zahuczał od entuzjastycznych wybuchów radości, gdy w drzwiach dworca ukazał się Komendant.

Teatr i frasunki życia powszedniego.

Władze rosyjskie, opuszczając Warszawę, opiekę nad teatrami Rządowymi zwierzyły Kazimierzowi Zalewskiemu, dyrektorowi Szkoły Aplikacyjnej. Arnold Szyfman, dyrektor teatrów Polskiego i Małego, zniewolony był do wyjazdu, jako obywatel austriacki. Pieczę nad swymi scenami zdał Bolesławowi Gorczyńskiemu. Nad gmachami i majątkiem Teatrów Rządowych rozciągnął nadzór Komitet Obywatelski, powołując specjalną komisję, do której weszli Henryk Konic, adwokat i redaktor „Gazety Sądowej”, Weychert, wyższy urzędnik kolejowy i Kazimierz Życki znany producent kina. Frekwencja w teatrach była słaba, przedstawienia naogół nie-szczególne. Dawni bywalcy pochłonięci byli kłopotami finansowymi, troskami aprowizacyjnymi i polityką.

Obiad inteligenta warszawskiego składał się w tych czasach przeważnie z kartoflanki, lub żuru. O śniadaniu i kolacji, o smaku chleba kartkowego, lepiej nie wspominać. Dochody utknęły, drożyzna szalała, najpotrzebniejszych produktów brakło. Tuczyło się paskarstwo.

Cóż to były za apetyty, gdy nadarzyła się uczciwa wyżerka. W pamięci utkwilo mi przyjęcie u Józefa Ostrowskiego, późniejsze-

go członka Regencji. W pałacu Raczyńskich zebrało się liczne grono notablów. Dyskutowano z wielką powagą o sprawach politycznych. W pewnej chwili rozwarły się drzwi do jadalni, uprzejmy gospodarz zapraszał na przekąskę. Wielki stół zastawiony był sowskim zimnym mięsiwem, rybami, salata, kompotami, służba roznosiła na tacach wódkę i wino.

Ojcowie narodu ruszyli żwawo do ataku. Gwar ustał, słychać tylko było brzęk noży. Biesiadnicy ocierali pot z czoła, wzdychali, i sięgali po świeże porcje. Wyznaję, że nigdy przedtym ani potym nie zjadłem takiej ilości zimnej sztufady i cielęciny. Życzliwy służący stawiał przedemną pełne kieliszki czerwonego Bordeaux. Opróżniałem je sumiennie.

Przysiadł się do mnie Grendyszyński, ufając, że nie będę mu przeszkadzał rozmową. Niebawem na półmiskach nic nie zostało. Oblicza gości były błogo rozpogodzone, a przy czarnej kawie opowiadano anegdoty. Oczywiście polityczne.

W teatrach znękana publiczność szukała zapomnienia o troskach powszednich.

Tymi względami kierowany, a po trochu i sam chcąc się rozzerwać, napisałem farsę p. t. „Zmartwienia pana Hammelbeina”. W Rozmaitościach krotoczwila znalazła obsadę wyśmienitą: główne role objęli: Szylinżanka, Sarnowska, Pichorówna, Mieczysław Frenkiel, Junosza Stępowski, Owerło.

W dziesięć lat później wznowiono tę farsę w Teatrze Letnim, z Ćwiklińską, Brydzińską i Fertnerem. Powodzenie było jeszcze większe. Liczba przedstawień wyniosła ogółem blisko półtora setki. Świadczyło to oczywiście nietyle o wartości utworu, jak o jego aktualności repertuarowej.

Zachęcony sukcesem, w lecie 1917 r. popełniłem znów lekką komedię pt. „Głuszec”. Doznała niemniejszego powodzenia. Obsadę jej tworzyli Sarnowska, Pichorówna, Mieczysław Frenkiel, Węgrzyn, Owerło.

I tej komedii późniejsze wznowienie w Teatrze Małym, z Brydzińską, Fertnerem i Jerzym Leszczyńskim było wyjątkowe.

Dalszy rozwój sytuacji politycznej.

Pierwszym etapem organizacyjnym nowego tworu państwowego była Tymczasowa Rada Stanu, składająca się z 25-u członków: Weszli do niej:

Stanisław Bukowiecki, Stanisław Dzierzbicki, Stefan Dziewulski, Ludomir Grendyszyński, Ludwik Górski, Stanisław Janicki, S. Jankowski, A. Kaczorowski, J. Kozłowski, W. Kunowski, Michał Łempicki, Antoni Łuniewski, A. Maj, Józef Mikułowski-Pomorski, Kazimierz Natanson, W. Niemojowski, Józef Piłsudski, ks. biskup Przeździecki, Franciszek ks. Radziwiłł, Wojciech Rostworowski, W. Sokołowski, B. Stolarski, Władysław Studnicki, ks. Stobryn, Artur Śliwiński.

Wciągnięto przedstawicieli różnych odcieni politycznych i społecznych, ale wyłącznie aktywistów. Cechowała ich wspólna niechęć do carskiej Rosji oraz wzajemna nieufność.

Uroczyste otwarcie Rady odbyło się na Zamku w dniu 14 stycznia 1917 r. Marszałkiem został Wacław Niemojowski, bogaty, rządny i oszczędny ziemianin z kaliskiego. Był to człowiek światły i rozsądny, ale bez politycznego wyrobienia. Nie dorastał do misji, która przypadkiem nań spadła. O jego wyborze zadecydowała okoliczność, że jako *homo novus* do żadnej grupy politycznej nie należał i żadnej się nie naraził.

Tymczasowa Rada Stanu wypowiedziała się za ustrojem monarchicznym. Domagała się rychłego zwołania Sejmu Ustawodawczego, który miał wypracować konstytucję na zasadach demokratycznych. Żądała przesunięcia granic dalej na wschód i utworzenia armii w drodze zaciągu ochotniczego. Legiony miały służyć, jako kadry.

Komisarzem władz okupacyjnych przy Radzie był hr. Lerchenfeld. Jego zadaniem było baczyć, aby ta wylęgarnia podstawowych organów odbudowywującego się państwa nie przekraczała swoich kompetencji. Aktywność Rady miała wyladowywać się w Departamentach i w Wydziale Wykonawczym, siedzibą stał się posepny pałac Kronenberga.

Departament Spraw Wewnętrznych objął Michał Łempicki. Departament Polityczny — Wojciech Rostworowski, szwagier Adama Ronikiera, Sprawiedliwość — Stanisław Bukowiecki, Komisję Wojskową — Józef Piłsudski, Departament Oświaty — prof. Mikułowski, Pracy — Włodzimierz Kunowski.

Szczególnie ważnym, acz zagadkowym, był Departament Polityczny, załączek przyszłego ministerstwa spraw zagranicznych. Wojciech Rostworowski, arystokratyzujący dyletant o upodobaniach salonowo-literackich, do pracy nie nawykł, giął się pod ciężkim brzemieniem.

... Sejm Pruski usiłował przykrócić zbytnią, w jego mniemaniu, ustępliwość rządu Rzeszy wobec Polaków. W nowo powstającym Królestwie Polskim domagał się gruntownego zabezpieczenia interesów niemieckich pod względem wojskowym, politycznym i gospodarczym.

Cesarz Mikołaj II, w którego zachodnie rubieże coraz głębiej wciśkały się wojska niemieckie, a w którego własnej armii szerzyły się rozprężenie i bunt, zapowiadał teraz wskrzeszenie Polski z połączonych trzech zaborów.

Polski Komitet Narodowy w Petrogradzie uzyskał w Paryżu sankcje, jako oficjalne przedstawicielstwo narodu polskiego wobec koalicji.¹⁾

Ignacy Daszyński, Włodzimierz Tetmajer i Stanisław Głabiński przeprowadzili w Kole Wiedeńskim, a później w Galicyjskim Kole Sejmowym, — w obu wszystkich głosami, — uchwałę, że jedynym dążeniem narodu polskiego było odzyskanie zjednoczonej, niepodległej Polski z dostępem do morza.

Polska aktywność wykazywała na wszystkich frontach sprężystość.

¹⁾ Lloyd George w wydanych znacznie później „Wspomnieniach z wojny” (*Wars' Memoires*) przewidywał, że Niemcy mogą powrócić do swego *Drang nach Osten*. Obawiał się, że W. Brytania i Francja mogłyby być ponownie zmuszone do wojny. Z tego powodu przywódca *Labour Party* mniemał, że w interesie W. Brytanii leżało, aby połączona i wskrzeszona Polska, zdobyła jaknajszerszą samodzielność, lecz w organicznej łączności z Imperią Rosyjską.

Uchwała kończyła się wyrażeniem nadziei, że młody cesarz Karol, który objął tron po świeżo zmarłym Franciszku Józefie, stanie się sprawą polskiej życzliwym orędownikiem, a przez to zjedna sobie w przyszłej Polsce trwałego sprzymierzeńca.

Kandydaci do tronu polskiego.

Powszechność polska nie dopuszczała myśli, abyśmy mogli zadowolić się tym okrucieństwem państwowości, jaki ofiarowywał nam akt 5 Listopada. Pasywiści o tym projekcie nie chcieli słyszeć, aktywiści uważali go za pierwszy etap w drodze do zjednoczonej i niepodległej Polski. Zamiar Mocarstw Centralnych utworzenia w Polsce monarchii traktowany był naogół sceptycznie. Nie posiadaliśmy własnej dynastii, bo Piasty i Jagiellony dawno wymarli. Podstawą trwałego ustroju monarchicznego zazwyczaj bywa organiczne życie się dynastii z narodem poprzez wieki wspólnej doli i niedoli. Niekiedy decyduje wyjątkowy geniusz zdobywcy (Napoleon we Francji), lub wyjątkowe szczęście (Bernadotte w Szwecji).

Tych węzłów nie mogła zastąpić kombinacja sztuczna, związek dorywczy narodu z człowiekiem obcym, doprowadzony do skutku przez intrygi niebezinteresownych swatów.

W Berlinie i Wiedniu nie liczone było z możliwością, aby na tronie polskim mógł zasiąść Polak. W planach berlińskich tkwił jakoby zamiar wyposażenia koroną polską jednego z synów cesarza Wilhelma II-go, Augusta Wilhelma, lub Joachima. W Wiedniu myślane o Habsburgu. Młody cesarz Karol byłby chętnie sam jeszcze jedną koronę na słabą głowę włożył. Kandydatem rakuskim był także arcyksiążę Karol Stefan z Żywca, który przez małżeństwa dwóch córek związał się już z rodami Czartoryskich i Radziwiłłów.

W Polsce sądzono, wbrew uchwale Tymczasowej Rady Stanu, że z ostatecznym ustaleniem przyszłego ustroju państwowego nie należało się kwapić.

... Był jednak w Warszawie człowiek, któremu to zagadnienie odbierało sen. Mężem tym był Bogdan hr. Hutten Czapski. Przewidując współzawodnictwo Hohenzollernów i Habsburgów, wnioskował, że może wyłonić się konieczność szukania kandydata do korony w innych rodzinach panujących. Zainteresował się drugim synem króla bułgarskiego, ks. Cyrylem.

Rodzina Koburgów była spokrewniona ze wszystkimi prawie dworami europejskimi, nawet z Orleanami, król Ferdynand posiadał olbrzymi majątek osobisty. W swych „60 latach życia politycznego i towarzyskiego” hr. Hutten Czapski utrzymuje, jakoby z jego namowy Olgierd ks. Czartoryski udał się do Sofii celem zbadania gruntu. Memorial, sporządzony na podstawie tej przejażdżki, miał za pośrednictwem Erzbergera dotrzeć do kanclerza Bethmana-Hollwega; spoczął w archiwach urzędu kanclerskiego. Należało mu się epitafium, analogiczne do tego, jakie ongiś lud rzymski ułożył na nagrobku papieża Leona XII:

Qui della Ganga giace
Per suo e nostro pace

(Tutaj spoczywa della Ganga,
dla swego i naszego spokoju).

Jako innych kandydatów na tron polski wymieniano księcia Leopolda Bawarskiego, Saskiego i Parmy, oraz bardzo sympatycznego włoskiego księcia Aosty.¹⁾

... Aspiracje monarchiczne tułały się w pewnych kołach i później, po przewrocie majowym. Gdy w Listopadzie 1931 roku odbył się w Warszawie proces przeciwko przywódcom opozycji sejmowej, w listownym zeznaniu dr. Bolesława Motza z Paryża znalazły się w związku z tą sprawą interesujące informacje. Dr. Motz powoływał się na parogodzinną rozmowę z płk. Sławkiem, w toku której ten ostatni miał zwierzyć się, że marsz. Piłsudski nie byłby przeciwny monarchii. Zrażony do sejmowładztwa, marszałek jakoby szukał formy państwowej, któraby kładła kres wichrzycielstwu stronnictw.

Było to po słynnym zjeździe w Dzikowie, u hr. Zdzisława Tarnowskiego, na którym marszałek Piłsudski podejmowany był przez elitę arystokracji polskiej.

Napomykano o możliwości małżeństwa jednego z napoleonidów ze starszą córką marszałka...

Mało kto brał te rojenia na serio.

¹⁾ Księżna Pszczyńska (von Pless) w swych pamiętnikach „Tanz auf dem Vulkan” utrzymuje, jakoby cesarz Wilhelm II proponował koronę polską jej mężowi. Księżę v. Pless (Pszczyński) adiutant cesarza podczas wojny, do korony polskiej nie kwapił się. Lubo jego ród wywodził się od Piastów, on kropli krwi polskiej nie posiadał. Jego najstarszy syn również jakoby się wymówił.

Sprawa wojskowa na ostrzu noża.

Wiosną 1917 r. sprawa wojska stała się ogniskiem gorączki. Naglił Berlin, upominał się Wiedeń. Domagano się pokrycia za akt 5 listopada.

Zabiegi werbunkowe zawiodły. Ogół polski był instynktownie przeciwny tworzeniu armii ochotniczej dla Mocarstw Centralnych.

Zdając sobie z tego sprawę, Tymczasowa Rada Stanu powierzyła Departament Wojskowy Józefowi Piłsudskiemu. Wiedzano, że nie było takiej mocy, któraby go zniewoliła do ustępstw.

Z jego inicjatywy Rada zwróciła się do władz okupacyjnych z prośbą o przyspieszenie decyzji przekazania Polskiego Korpusu Posiłkowego, t. j. Legionów, nowemu Państwu Polskiemu.

Ludendorf wściekał się. Liczył na setki tysięcy polskiego mięsa armatniego, a chciano mu odebrać nawet ten drobiazg, którym właściwie od początku wojny władał. Molestował wciąż Beselera: — Gdzie są dywizje polskie?

Przy sztabie generał-gubernatorstwa funkcjonował wydział „Polskiej Siły Zbrojnej” (*Polnische Wehrmacht*), ale góra zrodziła mysz: zamiast dać żołnierzy, wysuwano żądania. Gen. Beseler skarżył się z goryczą, że Polacy byli histerycznymi fantastami o mętnych głowach, że chcieli wszystko zagarnąć w swe ręce, choć nie posiadali po temu sił. Zuchwalstwo posuwali jakoby tak daleko, że ośmielali się głośno sarkać na rekwizycje niemieckie.

Wybuch gniewu był gwałtowny, Tymczasowa Rada Stanu zachwiała się. Nie uląkł się jednak, ani zachwiał, Piłsudski. Wobec kategorycznych żądań Beselera, zgłosił wystąpienie z Komisji Wojskowej i z Tymczasowej Rady Stanu. Wraz z nim opuścili Radę Artur Śliwiński, Paweł Jankowski i Błażej Stolarski.

Śliwiński pisał w swym liście rezygnacyjnym do marszałka:

— „Mieliśmy reprezentować Państwo Polskie, a reprezentowaliśmy niemoc polską”.

Komisję Wojskową przejął Ludwik Górski.

Przyszły pierwszy marszałek polski miał za sobą tym razem olbrzymią większość opinii narodowej.

Złego razu nie uszedł. W lipcu 1917 r. został uwięziony. Internowano go naprzód w Wesel nad Renem, później w Magdeburgu. Los jego podzielił ppłk. Sosnkowski. Władze niemieckie motywowały swe zarządzenie odpowiedzialnością obu uwięzionych za „machinacje tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej”.

Znaczna liczba legionistów zareagowała odmową przysięgi. Internowano ich w obozach koncentracyjnych, głównie w Szczypiornie.

Rząd Kiereńskiego w dniu 4 lipca 1917 r. wydał rozporządzenie, aby na terenie Imperium Rosyjskiego tworzone odrębną polską siłą zbrojną.

Organizacją korpusu polskiego zajął się gen. Dowbor Muśnicki.

Gen. Józef Haller przedarł się z garstką swoich legionistów do Murmańska i dotarł szczęśliwie do Francji.

Dowództwo niemieckie, ulegając naciskom adm. Tirpitz, zdecydowało się rzucić na szalę wojny łodzie podwodne. Chciano odgrodzić i ogłodzić Anglię oraz przeszkodzić transportom wojsk.

Na zasadzie porozumienia między dowództwem austriackim, a niemieckim, Polski Korpus Posiłkowy, składający się z oficerów i żołnierzy, którzy przysięgę złożyli, miał być oddany pod rozkazy dowództwa niemieckiego i wysłany na front.

W Tymczasowej Radzie Stanu zawrzało. Dziesięciu członków zgłosiło wystąpienie. Podniecenie było tak zapalczywe, że Władysław Studnickiego za obrazę marszałka z Rady wykluczono. Przedstawiciel Rady Tymczasowej w Berlinie, Adam hr. Ronikier został odwołany, dowódca Korpusu Posiłkowego, gen. Szeptycki podał się do dymisji.

Była to jedna z ciężkich prób siły duchowej i wytrzymałości fizycznej, jakie przechodził w swych burzliwych dziejach naród polski.

Rada regencyjna.

Sprzymierzeńcy doszli do przekonania, iż panujące w Polsce nastroje nie stwarzały atmosfery przychylniej dla rozstrzygnięcia, komu miał być ofiarowany tron polski. Niepodległe państwo nie mogło jednak być pozbawione własnej władzy zwierzchniej. Postanowiono powołać do życia Regencję, złożoną z trzech członków. Rada Stanu wysunęła kandydatury ks. arcybiskupa Kakowskiego, Zdzisława ks. Lubomirskiego i Wacława Niemojowskiego. Narodowa Demokracja sprzeciwiła się kandydaturze Niemojowskiego. Ambitny kaliszczanin oznajmił, że w szrankach nie stanie. Trzecie

miejsce w Regencji ofiarowano Józefowi Ostrowskiemu, b. prezesowi Partii Polityki Realnej.

Niemojowski złożył łaskę marszałkowską i powrócił do swej wygodnej rezydencji wiejskiej.

Uroczyste ogłoszenie Regencji nastąpiło w dniu 15 września 1917 r. Patent dwóch cesarzów podkreślił, iż Regencja i nowa Rada Stanu zastępują doraźnie przyszłego monarchę i Sejm Ustawodawczy. Akt wrześniowy miał stanowić dowód, że władza państwowa w istotnej jej części przechodziła w ręce polskie.

W trzy dni później t. j. 18 września 1917 r. ks. arcybiskup Kakowski, Zdzisław ks. Lubomirski i Józef Ostrowski przyjęli ofiarowane im godności.¹⁾

Sekretarzem generalnym Regencji został mianowany ks. Zygmunt Chelmski.

Polska była krajem niespodzianek. Obóz konserwatywny w byłym zaborze rosyjskim był przeciwny aktywizmowi. Trzej członkowie Regencji i sekretarz generalny, należeli do tego właśnie obozu. Politykę aktywistyczną ujmowali w swe dłonie pasywiści.

Zupełnie jak w 1830 r., kiedy na czele rządu rewolucyjnego stawali przeciwnicy rewolucji, — Adam ks. Czartoryski, Ksawery ks. Lubecki, gen. Chłopicki, jak w latach 1862-3 „biali” łączyli się z „czerwonymi” we wspólnej akcji przeciw Wielopolskiemu...

Regencja zamierzała powierzyć utworzenie pierwszego gabinetu Adamowi hr. Tarnowskiemu, wytrawnemu dyplomacie austriackiemu. Władze okupacyjne zaoponowały.

Regencja wysunęła kandydaturę Jana Kucharzewskiego.

Kucharzewski należał kiedyś do Demokracji Narodowej. Opuścił ją, gdy w Drugiej Dumie Petersburskiej Koło Polskie oddało głosy za kontyngentem rekruta. Kucharzewski wystąpił wówczas ostro przeciw obłudzie politycznej. Z zawodu prawnik, poświęcił się, jak Szymon Askenazy, studiom historycznym. Napisał wyborną książkę o Mochnackim, — dowodził w niej, że odbudowa Państwa Polskiego może urzeczywistnić się tylko przez wojnę z Caratem. Kandydował do Czwartej Dumy w Warszawie przeciw Romanowi Dmowskiemu. Wynikiem tego współzawodnictwa był

¹⁾ W wiele lat później Zdzisław ks. Lubomirski mówił mi: — Przyjmując mandat na Regenta, zdawałem sobie jasno sprawę, że się żegnam z popularnością i z ewentualną dalszą karierą polityczną. Poczucie odpowiedzialności nie pozwalało mi jednak dla względów osobistych odmówić spełnienia obowiązku obywatelskiego, a tak rozumiałem mój udział w Radzie.

wybór Jagiełły, kandydata socjalistycznego. Akt 5 listopada skłonił Kucharzewskiego do opuszczenia Szwajcarii, gdzie zaskoczyła go wojna i gdzie z pożytkiem dla Agencji Lozańskiej pracował.¹⁾ W Warszawie objął Departament wyższych uczelni przy Tymczasowej Radzie Stanu.

Posiadał kulturę zachodnią, wyższe wykształcenie, charakter nieskazitelny. Do walk politycznych skórę miał ze zbyt cienkiej wełny tkaną, usposobienie nadto wrażliwe.

Skład gabinetu Kucharzewskiego dobrany był starannie. Ministrem Spraw Wewnętrznych został Jan Stecki, Sprawiedliwości — Stan. Bukowiecki, Skarbu — Jan Kanty Steczkowski, Oświaty — Antoni Ponikowski, Rolnictwa — Józef Mikułowski-Pomorski, Przemysłu i Handlu — Jan Zaglenczyński, Opieki Społecznej i Pracy — Stan. Staniszewski, Aprowizacji — Stefan Przanowski.

Sprawy zagraniczne zachował Kucharzewski dla siebie.

Gabinet składał się przeważnie z członków Ligi Państwowości Polskiej. Liga wyzyskiwała koniunkturę, pchając na ważniejsze i intratniejsze stanowiska swoich adherentów. Okazywała w tej akcji taką ochoczość, że skrót jej L. P. P. objaśniano słowami: „Leć po posadę”.

W trzyosobowej Regencji najistotniejszą żywotnością odznaczał się Zdzisław ks. Lubomirski, chociaż czuł się już trudami okresu wojennego cokolwiek znudzony. Szarpały go wątpliwości i niepokoje, wynikające z wysokiego poczucia odpowiedzialności. Józef Ostrowski był konserwatystą oświeconym, rozumnym i bardzo bogatym, ale trapiła go śpiączka. Gdy go nawiedzała, kładł się do łóżka i przez dłuższy czas nie wstawał. Ks. arcybiskup Kakowski budził szacunek, jako dostojnik kościelny. Teren polityczny był mu obcy.

Patrzac nań, zwłaszcza kiedy uzyskał purpurę kardynalską, mimowoli przypominały się słowa Marii Stuart w liście do królowej Elżbiety angielskiej o słynnym Johnie Knox, przywódcy purytań, a „niekoronowanym królu szkockim”.

... „Nosił się on tak górną, jak gdyby był członkiem przybocznej Rady Pana Boga”.²⁾

¹⁾ Agencję Polską w Lozannie założył Erazm Piltz, który również w Szwajcarii większą część wojny przebył. Z początku Piltz sam Agencję prowadził, później zdał ją Janowi Perłowskiemu. Piltz w Lozannie podjął także wydawnictwo Encyklopedii Polskiej w języku francuskim i zainicjował Komitet Sienkiewiczowski.

²⁾ André Maurois „Historia Anglii”.

Poczuciem rzeczywistości i wyrobieniem politycznym odznaczał się ks. Zygmunt Chełmicki, zaufany przyjaciel Regenta Ostrowskiego, ceniony przez ks. Lubomirskiego.

Ks. arcybiskupa Kakowskiego raziła świeckość obyczajów księdza rektora.

Kucharzewski ks. Chełmickiemu jako „realiście” nie ufał. Ten mu tym samym odpłacał. Obaj wzajemnie się nie znosili.

Ks. Chełmicki nie gardził przyjemnym towarzystwem, umiarkowanymi wygodami. W służbie publicznej był wzorowo bezinteresowny, nie tylko dla siebie, lecz i dla swoich. Gdy w parę lat później, po dłuższej chorobie, dokonał żywota, okazało się, że sprawując reprezentacyjne stanowisko, poświęcił wszystko, co osobiście posiadał.

Zabrakło pieniędzy na pogrzeb i trzeba było, z upoważnienia ks. dziekana Puchalskiego, sprzedać złoty łańcuch prałacki...

Ks. Chełmicki prowadził zwięzły raptularz, w którym notował ważniejsze wydarzenia, konferencje i rozmowy, związane z działalnością Regencji. Raptularz ów, sygnowany przez wszystkich trzech Regentów, znajduje się w posiadaniu rodziny. Gdzie się podziały poufne aneksy, na które raptularz wielokrotnie się powołuje, nie wiadomo.¹⁾

...Z jednej strony — brutalna przemoc i zachłanność niemiecka, z drugiej — żywiołowy entuzjazm — i brak jedności. Można-ż powstrzymać pęd wiosny, gdy słońce złotym blaskiem niebo zaleje?

Ważyły się zasadnicze problemy mającej się odbudować państwowości polskiej; zagadnienie granic wschodnich, sprawy wojskowe, organizacja i kompetencje rządu. Regencja zabrała się od pierwszej chwili do tworzenia całokształtu maszyny państwowej, mimo, że decydujące sprężyny pozostały w rękach okupantów. Ogół nie zawsze dostatecznie rozumiał, że była to praca przygotowawcza, że ostateczne rozstrzygnięcia mogły nastąpić dopiero z końcem wojny.

W stosunku do gen. Beselera Regencja zajęła stanowisko, nacechowane godnością i powagą. Każdy objaw buty niemieckiej najdywał odprawę, protest, należną ocenę. Pod tym względem ks. Zdzisław Lubomirski nie dał się nikomu wyprzedzić. Podpisywał repliki, jeździł do Belwederu. Regencja zaopiekowała się Legio-

¹⁾ Podobno ks. arcybiskup Kakowski przez cały okres Regencji również swoje i kraju przeżycia spisywał.

nistami, więzionymi w obozach koncentracyjnych, korpusami polskimi, którym, na terenach Rosji przywodzili generałowie Dowbor-Muśnicki, Michaelis i Haller.

Mimo tych zasług, Regencja nie mogła zdobyć szerszej popularności. Regenci nie poddawali się złudzeniom. Los postawił ich na posterunku straconym.

Na ławie oskarżonych.

Małgorzata Starzyńska, działaczka społeczna, — sympatyczka Władysława Studnickiego i Michała Łempickiego, wytoczyła adw. Wacł. Łypacewiczowi i mnie proces o zniesławienie. Ja miałem skrzywdzić panią Starzyńską wzmianką, umieszczoną w „Kurierze Polskim”, jakoby pani Starzyńska oraz dwie jej przyjaciółki polityczne, panie Moszczeńska i Łopuszańska, zostały przez władze miejskie skreślane z listy prelegentów, zaproszonych do wykładów publicznych.

Wzmianka odpowiadała prawdzie, lecz prawdy nie można było w całej pełni ujawnić. Trzy owe panie naraziły się opinii listem do Tymczasowej Rady Stanu, w którym atakowały gwałtownie Piłsudskiego z powodu stanowiska, jakie zajął w sprawie wojska.

Władze miejskie obawiały się, aby ukazanie się ich na mównicy, nie wywołało zajść burzliwych.

Autorki listu, — „*au banquet de la vie infortunées convives*”, należały do kategorii kobiet politykujących, które Czechów nazywał „wściekłymi kanarkami”. W pani Starzyńskiej tkwił materiał na polską Theroigue de Méricourt. Wyróżniała się z tej trójcy wybitnym talentem publicystycznym Iza Moszczeńska.

Bronił nas Franciszek Paschalski, przewodniczył rozprawie prezes sądu Benisławski. Panie Starzyńska i Łopuszańska sadyły się w swych przemówieniach na złośliwości, publiczność bawiła się naszym kosztem wybornie, my — oskarżeni i nasz obrońca — musieliśmy udawać, że się również bawimy.

Paschalski w ognistej mowie obronnej nie ustrzegł się od akcentów politycznych. Gdy zapadł wyrok uniewinniający, publiczność zgotowała nam owację.

...Inny politykujący adwokat, Stanisław Patek, w jednej osobie sympatyk P. P. S., dyplomata i kolekcjoner, zaatakowany został

w germanofilskim „Gońcu” artykułem, który godził w jego cześć. Zwrócił się do Bogdana Straszewicza i do mnie z gorącą prośbą, byśmy umieścili w „Kurierze Polskim” jego replikę.

Patek mówił językiem tak pieszczonym, że niepodobna było mu odmówić. „Goniec” szarpał mię odtąd do końca wojny.

Komisja teatralna.

Zarząd Miasta po długich namysłach doszedł do przekonania, że skoro w jego teatrach działo się wciąż źle, należało szukać sposobów naprawy. Powołał w tym celu komisję, złożoną z trzech osób: Antoniego Gintowtta, Jana Lorentowicza i mnie.

Zadaniem naszym miało być wypracowanie racjonalnego statutu teatrów Miejskich.

Udział w komisji Gintowtta usprawiedliwiony był okolicznością, że ów specjalista bankowy za czasów prezydentury ks. Zdzisława Lubomirskiego próbował już, zresztą bez powodzenia, opanować flukty miejskiej gospodarki teatralnej.

Lorentowicz pracował w komisji najwięcej, ja — w miarę możliwości, Gintowtt wcale. Trwała ta robota trzy miesiące. Wynikiem jej był obszerny memoriał, obejmujący całokształt zagadnień teatralnych w Polsce, oraz szczegółowy projekt pożądanej nowej organizacji Warszawskich Teatrów Miejskich.

Projekt został starannie wydrukowany i rozesłany wszystkim radcom i działaczom municypalnym.

Dla Lorentowicza stał się odskocznią w jego karierze dyrektora Teatrów Miejskich.

Niedole regencji.

Koszmarne pogłoski sprawdziły się. Delegaci niemieccy i austriaccy z Kuhlmannem i Czerninem na czele, zjechali się w Brześciu Litewskim z przedstawicielami Z. S. R. R. — z Joffem, Kamieniem i ich asystą. Układy przeciągały się. W Warszawie ludzono się nadzieją, że nie osiągną skutku.

Nadzieje te miały podstawy.

W dniu 6 lutego 1918 r. odwiedził Kucharzewskiego br. Ugron, delegat hr. Czernina, austro-węgierskiego ministra spraw zagranicznych. W toku rozmowy oświadczył, że jego mocodawca gotów jest rozpocząć z rządem polskim i Regencją rozmowy celem doprowadzenia do skutku unii personalnej z monarchią Habsburgów, — z cesarzem Karolem, jako królem polskim. Kucharzewski niezwłocznie powiadomił Regencję o misji br. Ugrona. W tymże samym czasie hr. Czernin w Brześciu, chcąc przynaglić Joffego i Kamieniewa do ustępstw, wszczynał pokątne rozmowy z przedstawicielami Radzieckiej Republiki Ukraińskiej.

Proponował im pokój odrębny za plecami Moskwy. Ceną tej machlojki miała być Małopolska Wschodnia.

Kuhlmann, w imieniu Rzeszy, gotów był dorzucić Chełmszczyznę. Przebiegła intryga zaniepokoiła dyplomatów radzieckich, skłoniła do ustępstw.

W dniu 10 lutego 1918 r. „pokój chlebowy” został w Brześciu przez Joffego i Kamieniewa podpisany.

Warszawa zawrzała oburzeniem. Takie były obietnice rakuskie?

Kucharzewski zgłosił dymisję gabinetu. Rada Regencyjna postanowiła wydać odezwę, protestującą przeciw rozporządzaniu ziemiami polskimi na rzecz obcego państwa bez wiedzy i woli narodu polskiego, tudzież wysłać pisma do obu cesarzy, wykazujące rozmiary krzywdy, i domagające się nieuznania tego bezprawia.

Na ręce austro-węgierskiego przedstawiciela w Warszawie, bar. Lago, Rada Regencyjna złożyła oświadczenie, że pokąd hr. Czernin będzie pozostawał u steru austro-węgierskiej polityki zagranicznej, Rada w żadne stosunki z rządem austro-węgierskim nie wejdzie.

Na znak protestu w dniu 15 lutego stanęły w Warszawie wszystkie warsztaty pracy. Tramwaje i dorożki pozostały w remizach, sklepy były zamknięte, tak samo kawiarnie i cukiernie. Gazety wyszły bez cenzury.

Władze okupacyjne groziły surowymi represjami.

... Jan Kucharzewski ustępując, zaznał starej prawdy: w życiu męża stanu bywają dwa momenty zadowolenia: jeden, kiedy władzę obejmuje i drugi, kiedy ją składa... Dla przewodnictwa w Radzie Ministrów poświęcił katedrę uniwersytecką, którą mu proponowano. Przeciwstawić się zdradzieckim intrygom Kuhlmana i Czernina nie mógł.

Rada Regencyjna poruciła utworzenie gabinetu „przejściowego” prof. Antoniemu Ponikowskiemu. Poszczególni członkowie tego rządu nie przyjęli nawet tytułu ministrów. Stefan Dziewulski był kierownikiem min. Spraw Wewnętrznych, Antoni Wieniawski — Skarbu, Wacław Makowski — Sprawiedliwości, Antoni Ponikowski — Oświaty, Stanisław Janicki — Rolnictwa, Antoni Koczorowski — Przemysłu i Handlu, Departament Polityczny objął Władysław Wróblewski.

Właściwy gabinet utworzył dopiero w początkach kwietnia Jan Kanty Steczkowski, konserwatywny polityk i finansista mało-polski. Posiadał wyższe wykształcenie, rozum praktyczny, wrodzony takt. Cnoty te czyniły go zrównoważonym i ostrożnym. Do gabinetu weszli, jako ministrowie: Jan Stecki, Józef Higersberger, Stanisław Dzierzbicki, Witold Chodźko, Bohdan Broniewski, Janusz i Franciszek ks. ks. Radziwiłłowie.

Kucharzewski i Steczkowski przedstawiali wysokie wartości duchowe i umysłowe. Na burzliwe czasy, w których przyszło obu inaugurować odbudowę państwowości polskiej, brakło im wytrzymałości fizycznej, twardej skóry i impetu do śmielszych posunięć.

Nadzieje i tęsknoty szerszych warstw zwracały się ku Magdeburgowi, gdzie uwięziony był Piłsudski. Popularność komentanta szybko rosła. Niemcy zlekceważyli przestrogę Taylleranda.

— *Et surtout ne faites pas des martyrs.*¹⁾

¹⁾ — I przede wszystkim nie twórzcie męczenników.

...Stosunki z władzami okupacyjnymi po pokoju brzeskim stały się jeszcze więcej napięte.

Główna kwatera niemiecka domagała się coraz natarczywiej spodziewanej armii polskiej. Ludendorff pieniał się na „niewdzięcznych Polaków”.

Z Rosji przybyli do Warszawy Władysław Grabski, Aleksander Lednicki i Władysław Raczkiewicz. Pierwszego Niemcy wnet uwięzili i osadzili w Modlinie. Lednicki z ramienia Rady Regencyjnej objął opiekę nad uchodźcami polskimi w Republice Sowieków i przewodnictwo w Komisji Likwidacyjnej. Podporucznik Raczkiewicz, *homo novus*, wyjaśnił przed Radą Regencyjną sytuację wojsk polskich w Rosji. Dużo zamętu było z gen. Dowbór-Muśnickim.

Rada Regencyjna zwolniła go w końcu ze złożonej przysięgi, polecając tylko, aby w dalszym swoim postępowaniu kierował się względami na honor żołnierza polskiego i na interes kraju.

W czerwcu 1918 r. nastąpiło uroczyste otwarcie nowej Rady Stanu. Rada składała się z 12-tu wirylistów, 53 członków z wyboru i 45 z nominacji. Kompromisowość Regencji sprawiała, że wobec 44 aktywistów w Radzie znalazło się 43 pasywistów. Językiem u wagi stało się kilku Polaków o tendencjach bliżej nieokreślonych, 7 żydów i 1 Niemiec. Łaskę marszałkowską otrzymał młody wówczas historyk, przybyły z Kijowszczyzny — Franciszek Pułaski. W Warszawie mało znany, nie miał jeszcze niechętnych. Rada Stanu odbyła 13 posiedzeń plenarnych. Wypadki wojenne we Francji zmieniały postać rzeczy. Rada Regencyjna odroczyła Radę Stanu, a w dniu 7 października — rozwiązała. Zastąpić ją miał Sejm.

„*Duszo moja, nie lękaj się, Bóg na niebie żywie*”...¹⁾

Ozwał się głos człowieka sprawiedliwego!...

W orędziu do Kongresu Waszyngtońskiego, prezydent Wilson określił cele i zasady przyszłego pokoju. Paragraf 13-ty, poświęcony Polsce, brzmiał:

„Ma być utworzone państwo polskie, które winno objąć wszystkie ziemie, zamieszkałe przez ludność niewątpliwie polską

¹⁾ Jan Kochanowski.

i które posiadać będzie zabezpieczoną wolność i niezawodny dostęp do morza. Polityczna i gospodarcza niezależność Polski winna być zagwarantowana traktatem międzynarodowym."

Tak jasno, stanowczo i bezinteresownie nie wypowiedział się w sprawie Polski żaden z odpowiedzialnych potentatów świata! Wszystkie dotychczasowe wezwania, obietnice i zarządzenia były dyktowane doraźnym interesem własnym. W orędziu Wilsona przemówiło sumienie ludzkości, tak rzadko dochodzące do głosu.

Inspiratorem Wilsona w stosunku do Polski w znacznym stopniu był Ignacy Paderewski, wielki artysta i patriota polski.

Trzeba pamiętać o każdej zasłudze, bo takie zasługi, to skarbiec narodowy dla przyszłych pokoleń.

Koniec wojny. — Powrót Piłsudskiego.

Niemiecka ofensywa wiosenna 1918 r. we Francji miała rozstrzygnąć o losach wojny na korzyść Mocarstw Centralnych. Armia niemiecka podsuwała się znów pod Paryż. Niemieckie łodzie podwodne zdwajały niszczącą napastliwość.

Na czele rządu francuskiego stanął Clemenceau. Gorzała w nim nieugięta wola zwycięstwa. Flota brytyjska dopomogła do przewiezienia 42-ch dywizji amerykańskich, tj. blisko miliona żołnierzy z pełnym rynsztunkiem.

W dniu 9 marca 1918 r., Clemenceau, liczący 75 lat, tak mówił w paryskiej Izbie Deputowanych.

— „Trzeba chcieć zwyciężyć! Trzeba nam woli do zwycięstwa! Woli do zwycięstwa należy podporządkować wszystkie inne sprawy. Gdy wojna, — nie ma innych spraw. Istnieje tylko i jedynie niezłomna wola zwycięstwa! Wiara w zwycięstwo. Wszystko inne nie ma znaczenia. Dla zwycięstwa poświęca się wszystko. Nie pora na jakąkolwiek politykę wewnętrzną czy zagraniczną. Jest tylko wojna. Ponad wszystko — moja ojczyzna! Jej istnienie, jej ocalenie!

I zwycięstwo.

Wojna aż do pełnego zwycięstwa! Wszystko inne nie ma znaczenia..."

W lipcu 1918 r. naczelne dowództwo wszystkich armii Sprzymierzonych objął marszałek Foch. Wnet przeszedł do śmiałej kontrofensywy. Petain ruszył na wroga w Szampanii, Mangin

i Gouraud poszli na Villiers-Cotterets. Wojska angielskie, kanadyjskie i australijskie parły naprzód.

Armie niemieckie nie wytrzymały natarcia. Odwrót zmienił się w klęskę.

W pierwszych dniach października rząd austro-węgierski zwrócił się do króla szwedzkiego z prośbą o inicjatywę pokojową...

Janusz ks. Radziwiłł i Adam hr. Ronikier w połowie sierpnia 1918 r. znaleźli się w niemieckiej Kwaterze Głównej, gdzie zjechali się zaniepokojeni cesarze Wilhelm i Karol. Omawiano jakoby kandydaturę na tron polski arcyksięcia Karola Stefana z Żywca.

W dniu 2 września wrócił do Warszawy hr. Ronikier i oznajmił, że sekretarz do spraw zagranicznych v. Hintze, w następstwie rokowań w niemieckiej Kwaterze Głównej, pragnie wiedzieć, jakie są ostateczne postulaty Polaków. Osobliwie interesowały go życzenia polskie, dotyczące granic wschodnich.

W Radzie Stanu, w stronnictwach politycznych, w zrzeszeniach zawodowych i we wszystkich lokalach zawrzało. W powietrzu tkwiło tyle elektryczności, że budzili się nawet zaspani rycerze. Steczkowski zorjentował się, że nie zdoła sprostać zbliżającym się wydarzeniom. Zaangażował się nieopatrnie w dyskursy z władzami okupacyjnymi na tematy werbunkowe.¹⁾

Prosił o zwolnienie. Regencja zwróciła się z propozycją utworzenia gabinetu do Koła Międzypartyjnego, z którego usunęły się już dość dawno wszystkie ugrupowania aktywistyczne. Prezesem Koła był Józef Świeżyński. Proszony o wypowiedzenie swej opinii, *urbi et orbi* zagroził opozycją.

Liga Państwowości Polskiej miała apetyt na spadek po Steczkowskim, musiała jednak obywać się smakiem. Opinia publiczna po Brześciu ogłosiła orientacji austriackiej upadłość.

Rada Regencyjna zaproponowała utworzenie gabinetu ponownie Kucharzewskiemu. Ten zażądał tygodnia czasu do rozejrzenia się w sytuacji. Konwersacje Kucharzewskiego przeciągnęły się, bo gadatliwość w tych przełomowych czasach świeciła tryumfy. Steczkowski pielęgnował się w domowych pieleszach, w wątlej jeszcze maszynie rządowej wyczuwać się dawało rozprężenie. Przyszli na Zamek stwierdzić ten fakt ministrowie Dzierzbicki i Stecki.

¹⁾ Francesco Tomassini „Odrodzenie Polski”.

Kucharzewski uzgodnił wreszcie swoje poglądy z poglądami Rady Regencyjnej i w dniu 25 września 1918 r. misję utworzenia gabinetu przyjął. W dniu 2 października oba rządy okupacyjne wyraziły swą zgodę, Rada Regencyjna podpisała nominację. W trzy dni później skład rządu został ustalony. Weszli doń Janusz ks. Radziwiłł, Stanisław Dzierzbicki, prof. Mikułowski-Pomorski, Bogdan Broniewski, dr. Witold Chodźko, Antoni Humnicki. Steczkowski, jako minister skarbu, na razie tylko dawał swoją firmę. Zastępować go miał, pokaż nie wróci do zdrowia, Antoni Wieniawski.

Wobec wielkich wydarzeń, jakie w tym czasie wstrząsnęły światem, Mocarstwa Centralne zwróciły się do prez. Wilsona z prośbą o zainicjowanie rokowań pokojowych na podstawie ogłoszonych przezeń zasad.

Orientacja niepodległościowa w Polsce odnosiła na całej linii zwycięstwo.

Ale zgody nie było. Rząd Kucharzewskiego nie mógł dojść do porozumienia ze stronnictwami politycznymi i już w dniu 9 października musiał podać się do dymisji.

Wówczas niczym nie usprawiedliwiona pomyłka. Rada Regencyjna, wbrew wszelkim oczekiwaniom, poruciła utworzenie nowego rządu dr. Józefowi Świeżyńskiemu, lekarzowi z zawodu, ziemianinowi z upodobania, z przekonania — ludowcowi, z przynależności partyjnej — narodowemu demokracie. Dr Świeżyński był postaci przyjemnej, w obejściu grzeczny, w dobie rozpętanego gadulstwa — więcej słuchał, niż mówił. To jednaś mu opinię umysłu głębszego. Gdy przyjeżdżał do Warszawy, wieczory zwykł był spędzać w Resursie Kupieckiej przy stoliku bridżowym.

Gabinet Świeżyńskiego miał być koalicyjnym.

Sprawy wewnętrzne przypadły Zygmuntowi Chrzanowskiemu, Zagraniczne — St. Głębińskiemu, Sprawiedliwość — J. Higersbergerowi, Oświata — A. Ponikowskiemu, Praca — Józefowi Walczyńskiemu, Komunikacje — Wacławowi Paszkowskiemu, Apropozycja — Antoniemu Minkiewiczowi, Skarb — Józefowi Englichowi, Przemysł i Handel — Andrzejowi Wierzbickiemu.

Nazwiska ministrów świadczyły, że koalicyjność nowego rządu była starannie przesiana przez narodowo-demokratyczne sito.

Ale na liście ministrów znalazło się jeszcze nazwisko, które budziło największe zdumienie. Józef Piłsudski, od wielu miesięcy zamknięty w odosobnionej celi więzienia magdeburskiego, wymieniony był, jako minister Spraw Wojskowych.

Regencja wystąpiła do władz okupacyjnych z żądaniem jak-najrychlejszego zwolnienia Komendanta Legionów.

Dr Świeżyński w dniu 3 listopada, nie porozumiewając się z Regencją, ogłosił, że zamierza nadać rządowi charakter ludowy. Regencja odpowiedziała dymisją gabinetu i zapowiedzią zwołania Konstytuanty jeszcze w grudniu 1918 r.

Chaos doszedł do szczytu, gdy w parę dni później w Lublinie powstał „rząd tymczasowy” i *ante pedest* ogłosił Republikę Ludową. Na czele tego rządu stanął Ignacy Daszyński, a udział w nim wzięli: Thugutt, Arciszewski, Malinowski, Medard Downarowicz, Poniatowski i Rydz Śmigły, oraz jako ministrowie bez teki: Wacław Sieroszewski, Błażej Stolarski i Jędrzej Moraczewski.

Witos odrzekł się uczestnictwa w tej imprezie.

Komendant Piłsudski wciąż przebywał w więzieniu magdeburskim.

Więzienie było okrutne. W obszernym liście, pisanym do ks. Zdzisława Lubomirskiego, a który to list przywiózł do Warszawy Skąpski, Piłsudski pisał, że trzymany był w zupełnym odosobnieniu, z nikim słowa zamienić nie mógł. Nie dochodziły doń żadne wiadomości ze świata.

Komendant Piłsudski wyrażał zdziwienie, że te nadzwyczajne środki zastosowane były do człowieka, który przez dwa długie lata walczył bok w bok z wojskami Państw Centralnych przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, i któremu, gdy zachodziła po temu potrzeba, nie wahano się oddawać pod komendę własne oddziały wojskowe. „Gdy biorę pod uwagę wysoko rozwiniętą kulturę wojskową Niemiec, z daleko posuniętym poczuciem koleżeństwa broni, — pisał — czego sam byłem świadkiem i obiektem podczas wojny, nie mogę nie przyjsć do przekonania, że tylko nadzwyczajne powody i przyczyny skłonić mogły do podobnego traktowania kolegi wojennego”.

Powołując się na załącznik nr 1 do swego listu, Piłsudski przypominał, co w nim napisał:

„...przez cały czas wojny będąc przekonany, że interesy mojej ojczyzny wymagają czynnego występowania Polski po stronie Mocarstw Centralnych w ich wojnie z Rosją, dawałem wyraz temu w swej pracy nawet wtedy, gdy byłem pozostawiony własnym siłom i gdy siedłem wbrew opinii ogromnej większości swego na-

rodu — jak to było na początku wojny. Dalej, służąc mojej ojczyźnie, jako żołnierz, gdy warunki ograniczyły wojsko do kompletowania jedynie za pomocą ochotników, wszystkie swe siły, plany i prace przystosowałem nie do czego innego, jak do możliwego wzrostu sił wojskowych. Nie przypuszczałem ani na chwilę, żeby ta praca stać mogła w sprzeczności z interesami Państw Centralnych, które zresztą w akcie 5 listopada wyznaczyły, jako główny cel dla stworzonej przez nie Rady Stanu, — sformowanie ochotniczego wojska narodowego.“

W zakończeniu więzień magdeburski prosił ks. Lubomirskiego o współdziałanie, aby jaknajprędzej dano mu to, czego nie odmawia się najcięższemu zbrodniarzom, — aby stawiono go przed sąd. Wszystko jedno jaki, polski, austriacki czy niemiecki, cywilny, wojskowy czy polowy. „Niech się raz dowiem, co popełniłem takiego, że już od roku nie mogę przemówić do nikogo słowa.“

Oryginał tego listu, który jest dokumentem historycznym, znajdował się w posiadaniu rodziny ks. Zdzisława Lubomirskiego.)

Bramy więzienia magdeburskiego rozwarły się w pierwszych dniach listopada 1918 r. Piłsudski wrócił do Warszawy. Rada Regencyjna przelała na niego swą władzę. W piśmie odręcznym wzywała mianowanego przez siebie Naczelnika Państwa do legalnego powołania rządu i jak najszybszego zwołania Sejmu.

Naczelnik Państwa przyjęcie tych zleceń swoim podpisem usankcjonował.

10—11 listopada 1918 r. — dni historyczne.

Gen. Beseler opuścił Warszawę dyskretnie i może z utajonym żalem.¹⁾ Stanowisko, jakie w Polsce zajmował, pochlebiało mu. Był sumiennym wykonawcą twardych rygorów wojennych, nie był człowiekiem złym.

¹⁾ Dokonaną z upoważnienia ks. Lubomirskiego kopię przechowywałem w biurku. Spłonęła wraz z biurkiem, gdy w dniu 2 sierpnia 1944 r. żołnierze niemieccy podpalili moje mieszkanie.

²⁾ Ucieczkę ułatwił mu Piłsudski.

Personel urzędniczy władz okupacyjnych ulotnił się w porę. Nie wszędzie jednak zdołano ściągnąć na czas mniejsze posterunki wojskowe.

Listopadowe dni, szare i chłodne, nasiąknięte były wilgocią. W duszach polskich jarzyło się słońce. Po całym mieście uwijały się gromadki młodzieży, ochoczo, lecz dobrodusznie rozbrajając zbłąkanych żołnierzy niemieckich.

Z oczu patrzyły radość i uspokojenie. „Dziadek“ wrócił, będzie porządek.

Piłsudski peowiaaków na powitanie skrzyczał:

— „Pamiętajcie, że jak byłem nieprzejednany wobec okupantów, — gdy będzie chodziło o Polskę — niemniej będę nieustępliwy wobec swoich“.

„Dziadek“ zdawał sobie sprawę, iż rząd lewicowy najłatwiej mógł uporać się z fermentem rewolucyjnym. Z Daszyńskim, raczej „demonem buntu, niż aniołem naprawy“, do ładu nie doszedł. Na czele gabinetu postawił Jędrzeja Moraczewskiego, pepeesowca stuprocentowego, który niestety! do tak odpowiedzialnej misji nie dorastał. Moraczewski w Małopolsce przed wojną pełnił funkcję inżyniera powiatowego.

Ministrem Spraw Wewnętrznych został Thugutt, Spraw Zagranicznych — Leon Wasilewski (z Tytusem Filipowiczem jako wice-ministrem), Oświaty — Ksawery Prauss, Sprawiedliwości — Leon Supiński, Skarbu — Leon Byrka, Rolnictwa — Franciszek Wojda, Aprowizacji — Antoni Minkiewicz, Pracy — Bronisław Ziemięcki, Sztuki — Medard Downarowicz, Poczty i Telegrafów — A. Arciszewski, Przemysłu i Handlu — I. Iwanowski.

Witos uchylił się i tym razem od udziału. Jego trzeźwy rozum chłopski nie dowierzał zaradności inteligentów radykalnych w praktycznym rozwiązywaniu zagadnień państwowych.

Do tworzących się kadrów administracji płynęła wezbrana fala drobnego urzędnictwa małopolskiego, wyszkolonego w rutynie biurokracji austriackiej. Rutyna polegała w dużym stopniu na umiejętności najdywania wpływowych protektorów, wkupywania się w łaski zwierzchników i unikania odpowiedzialności osobistej. Nierównie lepszym materiałem, zwłaszcza do wyższych stanowisk, była małopolska elita, która przeszła dłuższą szkołę w ministerstwach i urzędach wiedeńskich.

Piłsudski dla siebie zatrzymał Sprawy Wojskowe. Do pomocy przybrał gen. Szeptyckiego.

Paryski Komitet Narodowy, któremu przewodniczył Roman Dmowski, odnosił się do pierwszych poczynań państwowych Polski krytycznie.

Rada Regencyjna rozwiązała się ostatecznie.

W ostatnich dniach listopada żywioły rewolucyjne stały się śmielsze. Na ulicach i placach publicznych urządzano zbiegowiska, agitatorzy wspinali się na latarnie i wykrzykiwali piorunujące filipiki przeciw burżujom. Andrzej Niemojewski spróbował zorganizować wiec o charakterze narodowym. Strzelano doń z rewolwerów, kiedy siadał do dorożki, ażeby udać się na zgromadzenie.

Komunikacje były utrudnione: tory kolejowe uszkodzone, dworce spalone. Brakowało lokomotyw i wagonów. Fabryki zdemontowane, wieś bez inwentarza i sprzętu, skarb bez złota, ludność — zbiedzona. Na prowincji mnożyły się napady bandyckie, ścierały się bojówki partyjne. W Pińczowie znalazł się cwaniak, nazwiskiem Lissowski, który — ni mniej ni więcej — republikę pińczowską obwieścił, a siebie — jej prezydentem. W Tarnobrzegu ks. Okoń i Dąbał ustanowili rząd ludowy. W Lubelszczyźnie tworzą w różnych miejscowościach rządy robotniczo-chłopskie.

Moraczewskiemu wydało się, że skutecznym środkiem na przeciwdziałanie anarchii będzie powiększenie liczby ministrów. Do składu rządu dobrani zostali, jako podsekretarze stanu — Zenon Przesmycki (Sztuka), Błażej Stolarski (Rolnictwo), Jan Próchnik (Roboty Publiczne), Stanisław Stączek (Komunikacje) i Franciszek Wójcik (bez ściślej określonego resortu).

...Ktoś kiedyś pisał, iż rządy sprawują ludzie, którym władza dostaje się do rąk, a nie koniecznie tacy, którychby ludność pragnęła...

W Belwederze, — gdzie mieszkał Naczelnik Państwa, późno w noc świeciło się w oknach.

Ukraińcom małopolskim chwila wydała się sposobną do akcji przeciw Polsce. Lwów został zajęty przez oddziały ukraińskie. Potrzebna była co rychlejsza odsiecz.

Odradzające się państwo, poza rozdartymi wewnątrz Legionami, posiadało w onym momencie, jako siłę zbrojną, zaledwie trzecztyśięczny „polski zastęp zbrojny” (*Polnische Wehrmacht*), który przeszedł szkołę niemiecką.

Piłsudski szykował gorączkowo poważniejszą obronę. Młodzież akademicka w Warszawie chciała iść pierwsza w pole. Tworzyła się Legia Akademicka.

Syn nasz przybiegł do domu i z roziskrzonymi oczami tłumaczył, że musi wstąpić do Legii. Żona pobladła, chwyciła go w ramiona... Mieliśmy tylko jego — jedyne.

Nazajutrz chłopak przebywał już w koszarach przy ul. Nowowiejskiej. Gdyśmy go pod wieczór odwiedzili, wracał właśnie z pierwszych ćwiczeń.

Obszerne podwórce roily się od młodzieży.

Po dziesięciu dniach rozkaz: Legia ma niezwłocznie wyruszyć pod Lwów. Żegnaliśmy naszego chłopca na Dworcu Głównym. Pociąg, naładowany był umundurowaną młodzieżą w pełnym rynsztunku bojowym, peron — natłoczony odprowadzającymi. Wśród podnieconego gwaru, krzyków i szlochów zaskrzypiały sprzęgła wagonów, drgnęły koła.

Zrobiła się cisza. Wszystkie oczy wpiły się w coraz chyżej oddalający się pociąg...

Z tak ciężkim sercem nie wracaliśmy jeszcze nigdy do domu — i jak pustym się nam wydał.

Już pod Rawą Ruską Legia wyszła z wagonów i w krwawym boju zaatakowała formacje ukraińskie.

Przyjazd Paderewskiego. Zamach stanu.

Ze wszystkich stron piętrzyły się niebezpieczeństwa. Sztab niemiecki usiłował wywołać na terenach Wielkopolski walkę, która łatwo mogła dać przewagę lepiej uzbrojonym jego oddziałom. Na granicy wschodniej gromadziły się wojska radzieckie. Ukraińcy zgłaszali pretensje do Lwowa, Czesi zajęli część Śląska.

Zaczątek armii polskiej stanowiło 5 batalionów piechoty i 3 szwadrony jazdy!

Uzbrojenie? Broń, porzucona przez niemieckie rady żołnierskie...

A po dwóch miesiącach liczba batalionów piechoty wzrosła do 110-u, baterii artyleryjskich — do 85-u, szwadronów jazdy — do 70-u. Wraz z formacjami lotniczymi i formacjami technicznymi, armia polska, ożywiona gorącym zapalem, przedstawiała już pewną siłę.

Był to cud polskiej energii i polskiego entuzjazmu. Piłsudski rozumiał, że w tym przełomowym momencie wszystko inne było sprawą drugorzędą.

Niezależność państwa opiera się na własnej mocy obronnej.

Komitet Narodowy, rezydujący w Paryżu, zdawał sobie również sprawę z niebezpieczeństw, jakie nękały budzącą się z wiekowego letargu Polskę.

Marszałek Hindenburg głosił, że „niema dla Prus większego niebezpieczeństwa, niż istnienie państwa polskiego”. W dniu 24 listopada wydany został w Niemczech tajny rozkaz tworzenia wojsk ochotniczych celem obrony Marchii Wschodniej. Wielkopolanie przeprowadzili wybory do własnego Sejmu tak chyżo i sprawnie, iż rząd berliński dowiedział się dopiero po fakcie dokonanym. Rząd poznański objął w całej dzielnicy władzę prowizoryczną, wydawał ustawy, wprowadzał podatek narodowy, przystąpił samorzutnie do formowania własnego wojska.

Lecz zjednoczenie ziem polskich nie mogło nastąpić bez jedności w narodzie. Rząd Moraczewskiego coraz większe budził niezadowolenie. Koniecznym stawał się rząd koalicyjny.

Kto mógłby stanąć na jego czele?

O trudnościach, z jakimi wówczas borykał się Naczelnik Państwa, świadczy opowieść następująca.¹⁾

Piłsudski po powrocie z Magdeburga zainstalował się przy ul. Mokotowskiej nr 50. Wszystkie sprawy opierały się o jego decyzję. Szturmowano doń bez liku, w dzień i w nocy.

On, nie znając bliżej stosunków warszawskich, chętnie się informował u tych, co je znali. Szczególnym zaufaniem w tej mierze darzył Artura Śliwińskiego.

W końcu grudnia 1918 r. Piłsudski w rozmowie ze Śliwińskim zapytał znienacka.

— Co mówią w mieście o rządach Moraczewskiego?

— Że mozoli się z wielkimi trudnościami...

— Więc uważacie, że wszystko idzie dobrze?

— Przeciwnie! sądzą, że wszystko idzie źle. Ale idzie!..

Minęło parę dni. Artur Śliwiński został ponownie wezwany do Piłsudskiego.

Tym razem już do Belwederu.

Naczelnik Państwa doszedł do przekonania, że należało rząd zmienić i żądał wskazania kandydata, który mógłby przejąć spadek po Moraczewskim.

Śliwiński długo mocował się z narzuconym mu zadaniem. Nagle strzeliło mu do głowy nazwisko.

— Smoleński.

— Historyk?

— Tak. Ani endek, ani pepeesowiec. Nie zdarł się dotąd w życiu politycznym, a w polityce, jako historyk, powinien się orientować. Człowiek w wieku poważnym, prawy, zasłużony, znany z odwagi cywilnej... Gdy trzeba, potrafi rąbać prawdę w oczy.

Komendant namyślał się, machnął ręką i zdecydował.

— Niech będzie Smoleński.

Śliwiński nazajutrz odwiedził profesora.

— Komendant Piłsudski pragnąłby z profesorem pomówić!

— O czym?

— Tyle ważnych rzeczy się dzieje! Jest o czym mówić.

¹⁾ „Droga” Nr 11.

Smoleński, zwolennik akcji legionowej, był rad.

— No tak, rzekł, dobrze się składa, bo i ja niejedno mam Komendantowi do powiedzenia.

Spotkanie nastąpiło tegoż popołudnia w mieszkaniu Artura Śliwińskiego. Smoleński stawiał się punktualnie, — w długim uroczystym surducie. Bujna broda miękką falą spadała na piersi, szeroki czarny sznurek od binokli przeciągnięty z fantazją nad uchem.

Wnet po nim zjawił się Piłsudski. Był w doskonałym humorze. Początkowa sztywność profesora znikła, niczym mgła w słońcu.

Jak większość pedagogów, Smoleński miał skłonność do wielomówstwa i teoretycznego mentorstwa. Piłsudski raczej słuchał. Rozmowa, poczęta od wymiany uwag o sytuacji ogólnej, wprędce zmieniała się w monolog profesora, który na wszystko, co się w Odrodzonej Polsce działo, zapatrywał się ujemnie. Poniósł go ferwor oratorski, krytyka stawiała się miazdząca. Widocznym było, że intelektualista, oderwany od czynnego życia, nie zdawał sobie sprawy ze szkopułów, z jakimi szamotało się nieokrzepłe jeszcze państwo.

Piłsudski słuchał z niezmaconym spokojem.

Rozgalopowany dziejopis utrzymywał, iż rząd Moraczewskiego nie miał charakteru polskiego, że Komendant nie powinien był powierzać mu władzy.

Piłsudski uśmiechał się pod wąsem.

— Cóż więc, zdaniem profesora, powinienem uczynić?

Smoleński zawołał:

— Trzeba ogłosić dyktaturę!

Zrobiła się cisza. Piłsudski spochmurniał, nasrożył się. Uderzył w stół dłonią tak mocno, że szklanki z herbatą zadzwoniły.

— Co? Dyktatura? Powtarzać tragifarsę Mierosławskiego, czy Langiewicza? Żebyście wy, historycy, mieli o czym pisać? A gdzie zorganizowana siła, która może jedynie z dyktatury uczynić narzędzie władzy?

Profesor zamilkł. Teraz Piłsudski w urywanych zdaniach kreślił sytuację. Społeczeństwo polskie określał, jako górę piasku. Każde ziarnko chciało na swój sposób budować państwo. Trzeba było jednomyślności i zgody, a partie i partyjki żarły się z sobą bez pamięci. Nie było nic, a żądano wszystkiego...

Słowa padały mocne i dosadne, tchnęły prawdą i logiką, rozbijały w proch wywody profesora. Były oskarżeniem i rozkazem. Profesor, zaskoczony huraganem, który sam wywołał, szarpał swą

wspaniałą brodę. Widział przed sobą żywą historię, słyszał jej potężny głos.

Piłsudski konkludował.

— Moraczewski, zdaniem profesora, rządzi nie po polsku? Od jutra mogą być rządy polskie, jak je profesor rozumiesz.

Smoleński wytrzeszczył oczy.

— Proponuję profesorowi, byś został premierem i przystąpił do utworzenia nowego, polskiego rządu!

Ośłupienie.

— Ja?

Piłsudski mierzył go surowym z pod nastroszonych brwi spojrzeniem.

— Przyjmuje profesor propozycję?

— Nie!

— Nie? huknął komendant. A to dlaczego? Któż lepiej wie, co trzeba czynić i jak rządzić? Powiada pan, że Polsce trzeba dyktatora? Bardzo proszę. Niech profesor rządzi po dyktatorsku!

Zaczęła się walka na ostre. Smoleński dowodził, że nie był politykiem praktycznym, że brakło mu odpowiedniego doświadczenia.

Komendant słuchał, twarz miał wciąż zasępioną, ale w oczach już jarzyły się błyski przekory. Żądał, by Smoleński namyślił się i by nazajutrz, za pośrednictwem Artura Śliwińskiego, dał mu ostateczną odpowiedź.

Pożegnał się, wyszedł.

Smoleński, bardzo poruszony, głaskał brodę.

— Ależ srogi człowiek!

Spojrzał w stronę drzwi, którymi wyszedł Piłsudski.

— To jest wódz!

Kandydatura Smoleńskiego upadła, wyłoniła się natomiast inna, niemniej absurdalna: biskupa Bandurskiego.

Szukano ludzi, którzy mieliby do rządzenia należne kwalifikacje, a równocześnie cieszyli się zaufaniem szerszych warstw narodu.

Opozycja sejmowa wysunęła kandydata.

— Paderewski!

Ten w całym świecie cieszył się uznaniem i wpływami. Wilson darzył go przyjaźnią.

...Paderewski w dniu 19 grudnia 1918 r. wsiadł na pokład angielskiego krążownika „Concord” i w parę dni później wylądował w Gdańsku, mimo protestu niemieckich władz portowych. Z Gdań-

ska przedostał się do Poznania. Ludność polska przyjęła go radośnie. W Poznaniu trwały ciągle starcia z wojskiem niemieckim. Naprzeciw Bazaru, gdzie zamieszkał Paderewski, obwarowali się żołnierze niemieccy, i ostrzeliwali hotel. Pospół polski opanował jednak magazyny broni, rozproszył szwabów. Delegaci rządu berlińskiego zrozumieli, że postępowanie władz wojskowych było nieopatrzone. Garnizon poznański został ewakuowany.

Paderewski wyjechał z Poznania do Warszawy w dniu 1 stycznia 1919 r. W stolicy powitały go olbrzymie tłumy. Na ulicach, którymi przejeżdżał, panował taki ścisk, że jeden z balkonów na Nowym Świecie nie wytrzymał naporu i runął na chodnik. Kwaternę Paderewski obrał sobie w Bristolu, którego był głównym akcjonariuszem.

W dniu 3 stycznia złożył wizytę marszałkowi Piłsudskiemu. Pierwsze spotkanie nie doprowadziło do porozumienia. Piłsudski, samotnik skoncentrowany, w obejściu szorstki i uparty, — żołnierz w każdym calu, — i Paderewski, — w każdym calu artysta, — nawykły do hołdów i oklasków, nie łatwo mogli znaleźć wspólny język.

...Paderewski dowiedział się, że w Warszawie szykowało się sprzysiężenie. Tegoż samego dnia wieczorem pospieszył do Krakowa. Nie chciał być świadkiem wojny domowej.

Warszawę nazajutrz obudziły sensacyjne wieści. W nocy dokonany został zamach na rząd. Organizatorami spisku byli Eustachy ks. Sapieha, dr. Dynowski, płk. Januszajtis, Jerzy Zdziechowski oraz inicjator niedonoszonych legionów przy armii carskiej, — Gorczyński.

Premier Moraczewski, oraz ministrowie Stanisław Thugutt i Leon Wasilewski zostali przez rokoszan aresztowani. Ale wierni Naczelnikowi Państwa oficerowie, z generałem Szeptyckim na czele, zlikwidowali szybko wybryk rewolucyjnych dyletantów. Ministrów uwolniono, Sapieha i Januszajtis zostali aresztowani, ich współnicy zbiegli. Nikt szwanku nie poniósł.

Paderewski po kilku dniach wrócił do uspokojonej Warszawy. Piłsudski cywilowi Sapiesze po ojcowsku przebaczył, Januszajtisowi — żołnierzowi nie darował. Nieporadność ministrów okazała się wszakże tak oczywista, że los gabinetu został ostatecznie przesądzony. Naczelnik Państwa zdecydował się powierzyć utworzenie rządu Paderewskiemu, który wnosił, jako posag, zapowiedź niezwłocznego powrotu z Francji do kraju 100-u tysięcznej armii gen. Hallera. Niebezpieczeństwo grożącego rozłamu zostało uchylone.

Paderewski pragnął, by jego rząd stał się symbolem zgody narodowej. *Mixtum compositum*, jakie wskutek tego złożył, było dość nieskładne. Sprawy Wewnętrzne objął Stanisław Wojciechowski (późniejszy prezydent Rzeczypospolitej) Skarb — kolejno Englich, Stanisław Karpiński i Leon Biliński, Sprawiedliwość — Leon Supiński, a po jego ustąpieniu Bronisław Sobolewski, Przemysł i Handel — Hącia, Rolnictwo — Stanisław Janicki, Pracę — Jerzy Iwanowski, Poczty — Hubert Linde, Sztukę — Miriam Przesmycki, Roboty Publiczne — Próchnik, Komunikacje — Eberhardt, Apropozycję — Antoni Minkiewicz, Zdrowie — Tomasz Janiszewski. Kierownictwo Spraw Wojskowych powierzono płk. Wroczyńskiemu, Oświatę — prof. Łukasiewiczowi. Sprawy Zagraniczne Paderewski zatrzymał w swym ręku.

W tym samym czasie powalone Niemcy pławiły się w strumieniach krwi. W bratobójczej walce socjalistów pod władzą Eberta i Scheidemana ze spartakowcami, którymi kierował Haase i Ledebaur, sztab niemiecki stanął po stronie socjalistów. Liebknecht i Róża Luxemburg zostali bestialsko zamordowani. Noske i gen. Maercker odbili Berlin, kładąc trupem tysiące spartakowców.

W Monachium Kurt Eisner, publicysta rodem z Galicji, kąśliwy krytyk teatralny, detronizował Wittelsbachów.

Mały, wąty, w binoklach, „Shylock w wytartym surducie”, w pałacu królewskim, przy dźwiękach Beethovenowskiej „Lenory”, obwieszczał dyktatorską władzę nad katolicką Bawarią. Skomponował na tę uroczystość hymn, który kończył się słowami:

— „O Welt. Werde froh“.)

Jego rapsod trwał zaledwie parę tygodni. Wojska pruskie położyły kres mrzonkom uszczęśliwienia świata. W dniu 21 stycznia 1919 r. porucznik gwardyjskiego pułku piechoty, hr. Ares Valley zabił go na ulicy wystrzałem z rewolweru.

Na Węgrzech szalał Bela Kuhn.

.) O świecie! Raduj się!

Paderewski u władzy.

Bismark mawiał, że w Polsce poeci są politykami, a politycy — poetami. Realizm polityczny Ksawerego ks. Lubeckiego i Aleksandra margr. Wielopolskiego spotkał się z powszechną nieufnością. Wyobrazicielami utajonych tęsknot byli Maurycy Moch-nacki, Mierosławski, Langiewicz.

W Polsce szefem rządu w niezwykle trudnej chwili dziejowej został genialny wirtuoz. Należy jednak dodać, że wielki artysta — w kraju i w całym świecie, — znany był ze swego patriotyzmu, że posiadał umysł lotny, wysoką kulturę i dar jednania wpływowych przyjaciół. Kto go poznał bliżej, nie mógł oprzeć się urokowi jego szlachetności i talentu. Przysługi, jakie dzięki tym zaletom świadczył krajowi, były bezcenne.

Było to jednak dużym nieporozumieniem, że znakomitego artystę odciągano z sal koncertowych, gdzie dokonywał cudów, do sprawowania rządów w kraju, znękanym przez długą niewolę, zniszczonym przez wojnę, wzburzonym przez ferment rewolucyjny.

Nowy premier zagospodarował się w Bristolu. Jego małżonka zorganizowała mu tryb życia, do jakiego nawykł podczas *tour-nées* na obu półkulach. Do pomocy przybrała sobie dwie przyjaciółki, pp. Jentysową, żonę dyrektora hotelu i Lucynę Kotarbińską. Paderewski, w którym Weininger nie byłby z pewnością dorachował się 50 proc. pierwiastku męskiego, poddawał się chętnie troskliwej i nieustającej opiece „*triufeminatu*”. Gdy posiedzenie Rady Ministrów przedłużało się nadmiernie, pani Helena Paderewska wchodziła do sali i ubolewała, że panowie ministrowie nie mieli względów dla zdrowia jej małżonka. Panowie ministrowie zrywali się z foteli, chwyтали czym prędzej za ministerialne teki, wdzielali futra, lub paltoty i uchodzili do swych resortów.

Paderewski, jak większość artystów, zwykł był późno kłaść się do łóżka i późno wstawać. Często dopiero o północy siadał do wypoczynkowego bridża. Pracę rozpoczynał w godzinach popołudniowych.

Otwarcie Sejmu Ustawodawczego nastąpiło w dniu 10 lutego 1919 r. Na trybunach panował ścisł niesamowity, nastrój był uroczysty. Przewodnictwo honorowe objął Ferdynand ks. Radziwiłł, jako wiekiem najstarszy, sekretarzowali dwaj beniaminkowie sej-

mowi — Mieczysław Niedziałkowski, późniejszy redaktor naczelny „Robotnika” i przywódca PPS oraz ks. Zygmunt Kaczyński, późniejszy założyciel i dyrektor Katolickiej Agencji Prasowej (K. A. P.) i minister Oświaty w londyńskim rządzie emigracyjnym w r. 1943.

Sejm Ustawodawczy rozpoczął swe trudy od ustalenia kompetencji zwierzchniej władzy państwowej, którą *de facto* sprawował już trzeci miesiąc Piłsudski, jako Naczelnik Państwa, mocując się zwycięsko z przeciwnościami. Nie bacząc na te zasługi, usiłowano mu władzę ukrócić, uczynić go odpowiedzialnym wobec Sejmu, skrepowanym wobec rządu. Naczelnik Państwa mógł powoływać rząd jedynie na podstawie porozumienia z Sejmem, każdy akt państwowy wymagał podpisu odnośnego ministra.

Wspólny front w tej akcji tworzyli ludowcy, socjaliści, demokraci narodowi i chrześcijańscy.

Rozpoczynała się tragiczna walka stronnictw politycznych z Piłsudskim o władzę.

Próbowano wyzyskać popularność Paderewskiego przeciw rosnącemu autorytetowi twórcy Legionów.

Wiosna r. 1919/20, Polsce życzliwa.

Operacje wojenne w Małopolsce Wschodniej przyjęły obrót pomyślny. Bohaterska obrona Lwowa zmogła butę Ukraińców. Nasze wojska oczyszczały teren, dotarły do Zbrucza. Nawiazały kontakt z dywizją gen. Żeligowskiego, która stacjonowała w Odessie.

...Wczesnym rankiem ktoś mocno zadzwonił do naszych drzwi. Że byłem blisko, otworzyłem. U progu stał wymizerowany żołnierz z tornistrem na plecach i karabinem w ręku.

Jeszcze był w moich objęciach, razem z karabinem, gdy wpadła do przedpokoju żona, służba. Cóż to było za święto! Po tylu nieprzespanych z frasunku nocach!

Warunki pokoju z Ukraińcami, narzucone Polsce w Paryżu przez Radę Pięciu, mimo protestów Władysława Grabskiego i Stanisława Patka, nie odpowiadały wynikom zwycięstwa, ani bezpieczeństwu państwa. Na razie jednak ustalił się spokój.

Wielkopolska łączyła się z Rzeczpospolitą. Niewielkie nasze siły na Białorusi zajęły Pińszczyznę. Wreszcie piorunująca wiadomość:

Wilno odzyskane!

Gen. Szeptycki zapędził się aż do Mińska. Korfanty organizował powstanie na Śląsku Górnym. Śląsk Cieszyński wyciągał ramiona do Macierzy. Wszędzie entuzjazm, radość. Boże! Jakież to wtedy przeżywaliśmy czasy!

Piłsudski w dniu swoich imienin przyjął tytuł marszałka wojsk polskich.

Los fortunny obdarzył nas w owej dobie przyjacielem niepospolitej wagi. Stolica Apostolska mianowała nuncjuszem w Warszawie monsignora Rattiego, arcybiskupa Lepantu.

Ks. Ratti od pierwszego dnia pobytu w Polsce zainteresował się szczerze i gorliwie sprawami naszego narodu. Między nuncjuszem, a Naczelnikiem Państwa nawiązał się stosunek wzajemnego zaufania i przyjaźni.

Pokój świątomy.

Traktat pokojowy, likwidujący Wojnę Światową, został podpisany w Wersalu 28 czerwca 1919 r. Na wiekopomnym akcie w imieniu Polski położyli podpisy Ignacy Paderewski, jako szef rządu Rzeczypospolitej i Roman Dmowski, jako delegat.

Niemcy stwierdziły w tym akcie zupełną niepodległość Polski i zrzekły się na jej korzyść wszystkich praw i tytułów do Wielkopolski i Prus Królewskich.

Traktat Wersalski, uznając zjednoczoną, niepodległą Polskę, naprawiał krzywdę dziejową. Nie zapewniał wszakże warunków, nieodzownych dla rozwoju i bezpieczeństwa. W Wersalu więcej niepokojono się, aby przyjaciele nie wzmacniać, niż myślano o tem, ażeby wrogów uczynić nieszkodliwymi.

„Pod pretekstem szanowania prawa ludów do stanowienia o swoich losach, Wysoka Rada Pięciu pokrajała Europę, nie licząc się z tradycjami i historią, ani z jej życiem gospodarczym”.¹⁾ Polskę obciążono plebiscytami, dwuznacznym stosunkiem do Gdańska.

¹⁾ André Maurois.

Włochom nie dotrzymano przyrzeczeń, Francja nie otrzymała linii Renu. W Niemczech już kielkowała żądza odwetu.

Traktat Wersalski nie był godzien zwycięstw Joffre'a i Foch'a. Był zbyt łagodny w tym, co było w nim surowego, i zbyt surowy w tym, co było w nim łagodnego. Tkwiły w nim pierwiastki niezadowoleń, zatargów, wojen.

Po Paderewskim — Skulski.

W pierwszych etapach wznowionego życia państwowego Polska musiała ciężko borykać się z losem. Odskok między ogromem potrzeb, a ubóstwem środków był potworny. Kraj był przez wojnę zniszczony, naród — zbiedniały, a niecierpliwy. Ziściły się długo piastowane sny, rzeczywistość była dolegliwą.

Odbudowa wymagała olbrzymich wysiłków i poświęceń, nie wszystkie zarządzenia okazywały się szczęśliwe. Ci, którym przypadła władza, musieli się uczyć i wyrabiać, koszty nauki spadały na społeczeństwo. Zaś w społeczeństwie, obok najszlachetniejszych wzlotów ofiarności i zapалу, leżało się, jak wszędzie i zawsze, również samolubstwo. Prawiono górne frazesy o obowiązkach wobec ojczyzny, lecz nie wszyscy zamieniali słowa w czyny. Podatki wpływały niedostatecznie. Niedobory trzeba było pokrywać wzmożonym drukiem banknotów. Zaczynała się inflacja. W ostatnich miesiącach 1919 r. za 10 rubli złotych płacono już 210 marek polskich.

Mnożyły się strajki, chwiały się kredyty, dokuczała drożyzna.

Paderewski widział się bezradnym, czuł jednak więcej żalu do społeczeństwa, niż do siebie. W dniu 5 grudnia 1919 r. zgłosił dymisję gabinetu, wkrótce potem, zrażony i rozgoryczony, wyjechał z całym swym dworem do Morges. Więcej do kraju nie wrócił.

Następca Paderewskiego, Leopold Skulski przez jakiś czas sprawował obowiązki prezydenta m. Łodzi. Jego zręczność polityczna uwydatniała się nietylko na trybunie, co na poufnych konwentylach partyjnych. W stolicy był mało znany. Nie wyróżniał się ani indywidualnością, ani talentem, mniej budził zawiści. W Sejmie reprezentował grupę tak układową, że mogła Ignąć równie dobrze do prawicy, jak do lewicy. Cechowały ją umiarkowanie i ochocza pojednawczość.

Sprawy Zagraniczne objął Stanisław Patek, Sprawy Wewnętrzne — Stanisław Wojciechowski, Oświatę — Tadeusz Łopuszański, Koleje Żelazne — prof. Kazimierz Bartel, Roboty Publiczne — Andrzej Kędzior. Najwybitniejszą siłą w nowym gabinecie był Władysław Grabski, minister Skarbu, który odrazu zabrał się gorliwie do pracy.

Był jej fanatykiem przez całe życie. Czy bawił w Warszawie, czy na wsi, wstawał o siódmej rano, kładł się spać o 11 wieczorem, cały dzień harował. Nie znał wypoczynku ani wakacji. Przed wojną spotykałem go u Erazma Piltza, który wysoko cenił jego wiedzę, wytrwałość i poczucie obywatelskie. Zarzucał mu skłonność do doktrynerii i uporu.

Przyjmując tekę ministra w gabinecie Skulskiego, Władysław Grabski złożył dowód wysokiego zrozumienia obowiązków obywatelskich. Przy Paderewskim kolejno załamali się w tym resorcie Englich, Stanisław Karpiński, Leon Biliński.

ROK WIELKICH WYSIŁKÓW, KLĘSK I CUDÓW. 1920.

W tym roku pamiętnym, roku fantastycznym, czekały Polskę przeżycia, jakich nie przewidywała najbujniejsza wyobraźnia. Ważyły się losy Śląska Górnego i Cieszyńskiego, Pomorza, Małopolski Wschodniej, Wołynia, Polesia, dawnej polskiej Litwy...

Z sąsiedzkim Związkiem Radzieckim naprzemian pertraktacje pokojowe i utarczki na froncie. Na rubieżach Ukrainy buszował Petlura, na Białorusi — Bałachowicz. W kraju — mozolna odbudowa własnej państwowości, ujednastajnianie administracji, rosnące troski materialne, bandytyzm.

Potencje, które wygrały wojnę, nie umiały wygrać należnego pokoju. Stany Zjednoczone prędko ponownie oddaliły się od spraw Europy, W. Brytania zaczęła się troszczyć o przyszłość Niemiec, we Francji Clemenceau nie mógł dojść do ładu z Foch'em. We Włoszech, po postach wojennych, obudził się nadmierny apetyt.

Wszędzie rozgrywka o nowe, pomyślniejsze granice. Pomyślność jednych zdobywa się zwykle kosztem utraty innych.

Przedstawiciel W. Brytanii, b. ambasador w carskim Piotrogradzie, lord Curzon, proponował wschodnie granice Rzeczypospolitej, oparte na podstawach etnograficznych. Piłsudski, maksymalista, obstawał przy historycznych. Korzystając z zamieszek, chciał zaskoczyć wielkie mocarstwa faktami dokonanymi.

Społeczeństwo polskie na ogół nie zdawało sobie sprawy z rozgrywki, jaka szynowała się na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej.

W dniu 17 grudnia 1919 r. rząd polski otrzymał z Moskwy notę, domagającą się wyjaśnień. Nota spoczęła w tajnych archiwach M. S. Z. Żadnej odpowiedzi. Ignacy Daszyński powziął niejakie wiadomości, ale dopiero w końcu stycznia 1920 r. W parę tygodni później interpelował w Sejmie. Rząd zachował milczenie.

Wojska polskie posuwały się śladem cofającej się armii Denikina dalej na wschód. Obsadziły Dynaburg, Płoskirów, Kamieniec Podolski, Żmerynkę. Wcześniej pułki generałów Hallera i Dowbora

Muśnickiego zajęły Pomorze. Znany poeta, Edward Słoiński towarzyszył tym pułkom, jako korespondent „Świata”. W dniu 10 lutego gen. Haller dotarł do Pucka.

Polska odzyskała dostęp do morza!

Posłem w Berlinie został mianowany Ignacy Szebeko, w Pradze Czeskiej — Erazm Piltz, w Paryżu — Maurycy hr. Zamoyski. Niełatwe mieli zadania.

W Warszawie francuska misja wojskowa, z gen. Henrys'em na czele, czuwała nad dalszą organizacją tworzonej w tempie błyskawicznym armii polskiej.

Piłsudski, jako Naczelnik Państwa, łudził się, że Polska swymi siłami może złamać potęgę radziecką. Snuł jakoby mgliste plany o federacji Rzeczypospolitej z Białorusią i Ukrainą, może pragnął wciągnąć do niej i Litwę.

Michał Bobrzyński w swym „Zarysie Dziejów Polski” (tom trzeci) dał się porwać tym mrzonkom:

„Był to cud wielki, z dziejów Polski wysnuty, zapewniający jej naprawdę spokój wewnętrzny i bezpieczeństwo od Wschodu. Polska wszakże mogła go osiągnąć tylko ogromnym wysiłkiem patriotyzmu i postawienia wszystkiego na kartę”.

Do takiego hazardu brakło w narodzie nietylko jedności, ale i powszechniejszego zapалу.

W Sejmie ścierały się dwie ideologie. Jedna, licząca się z możliwością wskrzeszenia caratu, dążyła do stworzenia państwa polskiego choćby najmniejszego, lecz o zdecydowanym charakterze narodowym. Druga przewidywała możliwość rozszerzenia granic na Wschodzie, już to przez związki federacyjne, już na zasadzie ścisłego porozumienia. Do pierwszej skłaniali się demokraci narodowi i chrześcijańscy wraz z konserwatystami, do drugiej ugrupowania, sprzyjające Piłsudskiemu.

Romantyzm polski, liczący siły na zamiary...

Piłsudski stronił od dyskusji, lustrował wojska na froncie. Gdy został zajęty Żytomierz, wydał odezwę do mieszkańców Ukrainy. Głosił w niej, że Polacy usuną z ziem ukraińskich najeźdźców, a naród ukraiński, odzyskawszy wolność, sam o swoich losach będzie stanowił.

Było to złudzenie, które miało w niedalekiej przyszłości fatalnie zaważyć na naszych stosunkach z szybko odradzającą się i rosnącą potęgą naszego wschodniego sąsiada.

Wojna.

W dniu 8 maja pułki polskie wkroczyły do Kijowa. Jak ongi, kiedy Chrobry szczybił zwycięski miecz o bramy stolicy ruskiej! Polskę szarpnął dreszcz niepokoju.

Niepokój był usprawiedliwiony. Olbrzym rosyjski otrząsał się z odrętwienia. Brusilow, rosyjski wódz naczelny, wzywał naród rosyjski do świętej wojny z Polską. Białogwardyjskie formacje Denikina zostały ostatecznie rozbite, Budiennyj kierował na Polaków swą niezliczoną konnicę. Jednocześnie Niemcy gromadzili świetnie wyćwiczone i uzbrojone wojska na pograniczu Górnego Śląska.

Chmury zgęszczały się nad Polską. Szła burza.

Armia polska nie wytrzymała natarcia przeważających sił radzieckich. Trzeba było opuścić Kijów, cofać się na Wołyń, i dalej, aż pod Lwów. Szeptycki nad Dźwiną i Berezyną bronił się póki mógł, przemocy ulec musiał. 14 lipca wojska radzieckie zajęły Wilno, w tydzień później — Grodno. Żołnierz polski tracił ducha. Była to wojna szczególna, bo nie było jasno wiadomym, dlaczego się zaczęła i do jakich celów zmierzała.

W Warszawie wzburzenie. Przeciętność gabinetu Skulskiego nie odpowiadała powadze sytuacji. Ogół wyczuwał potrzebę rządu, któryby mocniej wyrażał wolę narodu, jego ukochania, troski i nadzieje.

W Anglii początkowe zwycięstwa polskie obudziły więcej zdziwienia, niż wiary. We Francji ujawniały się sympatie probolszewickie. Tamtejsze warstwy robotnicze prowadziły już rozgrywkę z kapitalizmem. We Włoszech, rozczarowanych Traktatem Wersalskim, budziły się tendencje proniemieckie. Giolitti, którego w roku 1914 chciano wieszać, odzyskiwał popularność. W Belgii i Czechach żywiły radykalne nie kryły przyjaznych uczuć dla Sowietów.

Nieprzyjacieli zbliżał się teraz do Bugu, Polska była w niebezpieczeństwie. Transporty sprzętu wojennego, idące z Francji i Belgii, zatrzymywano po drodze.

W ostatnich dniach maja (1920) przybył do Warszawy Roman Dmowski. Ludzie, nie zatruci fanatyzmem partyjnym, mniemali, że w przełomowej chwili, gdy państwu groziła zagłada, współpraca dwóch najwybitniejszych indywidualności polskich stawała się koniecznością dziejową.

Piłsudski posiadał genialną intuicję i śmiałość czynu, Dmowskiego cechowała tężyzna myśli. Obu — siła charakterów.

Obaj mieli dusze rogate.

Dmowski zrobił pierwszy krok. Zwrócił się do Belwederu z prośbą o audiencję. Gdy nie otrzymał wiadomości, w jego imieniu telefonował do adiutantury belwederskiej Mieczysław Niklewicz, domagając się odpowiedzi.

Ustalony został dzień spotkania. Dmowski, według relacji, udzielonej Niklewiczowi, po wstępnych słowach powitalnych oznajmił, że misję swą w Paryżu uważa za skończoną, a pragnąc wszystkie swe siły poświęcić służbie dla kraju, oddaje się pod rozkazy Naczelnika Państwa.

Piłsudski przyjął tę deklarację życzliwie, rozmowę jednak w tonie przyjacielskim skierował na inne tematy, od polityki oderwane. Nadto trudno było tym dwu mężom znaleźć drogę do współdziałania. Dmowski w książce, wydanej w 1908 r. („Niemcy, Rosja, a kwestia Polski”) dowodził, że głównym wrogiem Polski były i będą Niemcy i że jeśli przyjdzie do wojny między Rosją a Niemcami, Polacy winni stanąć po stronie Rosji, bo w ten sposób mogą zyskać zjednoczenie trzech zaborów i szeroką autonomię w ramach państwowości rosyjskiej. Piłsudski obstawał przy hasle pełnej niepodległości, hasła tego nie uważał za romantyczną mrzonkę, lecz za niewzruszony cel, do którego Polacy winni w walce dążyć.

Dmowski i Piłsudski znali się od wielu lat, więc gawęda przybrała ton poufały, trwała blisko dwie godziny. Przy pożegnaniu ustalono, że gdy nadejdzie chwila sposobna, Naczelnik Państwa nie omieszką zwrócić się do Dmowskiego.

Mimo że Polska potrzebowała wszystkich sił, by sprostać niebezpieczeństwu, Piłsudski nie uczynił w tej mierze nic. Owa rozmowa była pierwszą i ostatnią. Piłsudski nie zapominał uraz. Nie pożył również obok siebie indywidualności mocnych i niezależnych.

Dmowski, odsunięty od bezpośredniej pracy państwowej, zajął się sprawami organizacyjnymi swego stronnictwa. Drukował serie artykułów politycznych głębszej wartości w „Gazecie Warszawskiej”, wydał parę cennych dzieł, poświęconych zasadniczemu sprawom polskim. Ułatwiono mu nabycie maleńkiej posiadłości pod Poznaniem, i w tym swoim ulubionym Chludowie, który obejmował dom mieszkalny i dwudziestomorgowy ogród, większą część roku spędzał. Gdy przybywał do Warszawy, mieszkał u Miecz. Niklewiczów. Spotykałem go na przechadzkach, niekiedy w Re-

sursie Kupieckiej, gdzie zjawiał się ze swymi najbliższymi przyjaciółmi. Stale należeli do tego grona Władysław Jabłonowski, Zygmunt Wasilewski, Stanisław Kozicki, Marian Kiniorski i Mieczysław Niklewicz.

Skulski zgłosił rezygnację. Królewęta sejmowe nie kwapiły się do objęcia spadku. Naczelnik Państwa po dwutygodniowych, daremnych zabiegach, zwrócił się do Władysława Grabskiego. Ten nie odmówił, zastrzegając się jednak, iż każdego czasu ustąpi miejsca gabinetowi koalicyjnemu, który wydawał mu się potrzebą chwili. Ministrem Spraw Zagranicznych został w tym gabinecie Eustachy ks. Sapieha, na widowni politycznej pojawił się po raz pierwszy Gabriel Narutowicz, jako minister Robót Publicznych.

Sejm wyłonił Radę Obrony Państwa, Piłsudski objął w niej przewodnictwo.

Na pierwszym jej posiedzeniu Roman Dmowski wystąpił z ostrą krytyką poczynań wojennych Naczelnego Wodza i w konkluzji domagał się jego ustąpienia.

Piłsudski zwrócił się do zebranych z zapytaniem, czy podzielają opinię przedmówcy.

— Jeśli tak, — ciągnął Piłsudski, — gotów jestem niezwłocznie odejść. Jeśliby jednak Rada Obrony wyraziła mi zaufanie, w dalszym ciągu będę służył ojczyźnie w miarę sił i zdolności.

Poczym, tłómacząc się, że nie chce swą obecnością krępować wymiany zdań, wyszedł do przyległego pokoju.

Zarzuty Dmowskiego nie znalazły w Radzie podtrzymania. Gdy Piłsudski wrócił, Dmowski swe wnioski wycofał. Ale odtąd w posiedzeniach Rady Obrony Państwa nie uczestniczył.

Ogłoszony został zaciąg do armii ochotniczej. Dowództwo jej powierzono gen. Józefowi Hallerowi. Piękny przykład dali nie młodzi już Zdzisław ks. Lubomirski, Stanisław Thugutt, Andrzej Strug...

Syn nasz po raz wtóry wziął karabin do ręki.

Witos wysunął w Sejmie projekt reformy rolnej, jako zarządzenie niezbędne dla nagminnego pozyskania ludności wiejskiej.

Sejm jednogłośnie reformę uchwalił.

Zapisy na pożyczkę Odrodzenia popłynęły bystrym nurtem.

Zdzisław hr. Tarnowski zadeklarował 7 milionów marek, August Popławski — 1.200.000 marek. Wielkopolska ofiarowała dla wojska wielkie ilości koni.

Władysław Grabski pomknął do Spa, gdzie obradowali przedstawiciele Koalicji. Błagał o pomoc.

Sprzymierzeńcy pomocy w sprzeczce wojennym nie odmawiali, stawiali wszakże warunki.

Domagali się od Polski oddania Litwie Wilna, — granic etnograficznych z Rosją. Narzucali swoje koncepcje w sprawach Małopolski Wschodniej, układu z Gdańskiem i podziału Śląska Cieszyńskiego. Rokowanie z Sowietami odbyło się pod skrzydłami opiekuńczymi dyplomatów koalicyjnych w Londynie.

Warunki były twarde. Zrozpaczony Grabski musiał godzić się na wszystko.

W Warszawie 26 lipca powstał gabinet koalicyjny, reprezentujący wszystkie kierunki polskiej myśli politycznej. Na jego czele stanął Witos, zastępcą premiera był Ignacy Daszyński, ministrami: Poniatowski, Zygmunt Chrzanowski, Narutowicz, Rataj, Stesłowicz, Skulski, Stanisław Nowodworski, Eustachy ks. Sapiecha, gen. Leśniewski, Steczkowski, Sobolewski, Bartel, Przanowski, W. Chrzanowski, Edm. Popławski.

Początek sierpnia był skwarny. Zlikwidowaliśmy mieszkanie letnie w Skolimowie, syn wyruszył na front. Mnie wciągnięto do akcji propagandowej, powierzono przewodnictwo w sekcji literackiej.

Warszawę trawiła gorączka.

Nawała radziecka zbliżała się do Radzymina. Już słyszeć było huk armat. Nocami niebo płonęło od łun.

Upały raptem dokuczyły dyplomatom zagranicznym. Szukali ochłody w Poznaniu...

Oparł się opuszczeniu stolicy nuncjusz Ratti, oświadczając, że pragnie dzielić jej losy. Pozostali również na swych posterunkach: poseł włoski Tomassini, *chargé d'affaires* Stanów Zjednoczonych A. P. i poseł duński.

A Warszawa?

Nowym Światem chodziły procesje z chorągwiami Bractw i z obrazami świętymi. Śpiewały „Boże coś Polskę”... Przechodnie odsłaniali głowy, klękali. W Alejach Jerozolimskich gromadził się tłum robociarzy, przeważnie lat późniejszych, kobiety ubogo odziane, chorągwie jednej barwy. Brzmiał „Czerwony Sztandar”, tym razem nie do walki klasowej wzywał, lecz do obrony ojczyzny.

...Opodal ozwała się porywająca tężyzną pieśń — „Jeszcze Polska nie zginęła”! Maszerował w kierunku Pragi oddział ochotników w rysztunku bojowym. Żegnały wzruszone oczy i okrzyki.

Wieczorem w Resurcie Kupieckiej sale były puste, nastrój ponury.

Przy jednym ze stolików ustosunkowany adwokat zwierzał się głosem zbolalym, że oficerowie francuscy z misji gen. Henrys'a zapowiadali upadek Warszawy w ciągu dni najbliższych.

Porwała mnie pasja.

— Rozszerzanie takich bredni, gdy walka wre, to defetyzm!

Narrator spoglądał na mnie z politowaniem.

...Na Piłsudskiego wywierano podobno nacisk, by swą kontr-ofensywę przyspieszył.

Odmówił. Nie godził się na żadne ustępstwa z planu, który powziął.

Józef Haller zapewniał, że w naszych żołnierzy już wstąpił duch zwycięstwa.

W nocy z dnia 6 na 7 sierpnia odbyła się pod przewodnictwem Piłsudskiego narada wojenna. Wziął w niej udział gen. Weygand, którego marszałek Foch przysłał z Paryża. Uczestniczyli generałowie Rozwadowski, szef Sztabu i Sosnkowski, minister Spraw Wojskowych.

Piłsudski dowodził, — że sedno sprawy nie tyle leżało w obronie Warszawy, ile — w zniszczeniu potęgi nieprzyjacielskiej. Należało wyzyskać zaciętrzewienie Tuchaczewskiego, którego fascynowała żądza zdobycia stolicy Rzeczypospolitej. Niech zapędzi się jak najdalej, niech się odetnie od armii Budiennego, operującej na Południu. Skupić przez ten czas siły, dokonać nieodzownych przegrupowań, i we właściwym momencie runąć nań z nad linii Wieprza.

W koncepcji Piłsudskiego tkwiła wielkość i hazard. Rozwadowski gorąco ją popierał.

Zyskała aprobatę jednomyślną.

Przy takim obrocie działań, szczególnie ważna rola przypadła armii V-tej, którą gen. Sikorski wywiódł z Kobrynia i Brześcia, i rozmieścił nad Wisłą.

Armia ta swym męstwem i wytrzymałością miała umożliwić Piłsudskiemu przeorganizowanie armii IV-tej, dać mu czas do przygotowania przeciwnatarcia.

W ręku gen. Sikorskiego ważyły się losy stolicy.

On zdawał sobie sprawę z tej odpowiedzialności. Zajęcie Warszawy przez armię Tuchaczewskiego groziło katastrofą. Za słabą była jeszcze Rzeczpospolita, by mogła być znieść ten cios.

Więc nic z tego, że pod stolicą wojska nieprzyjacielskie były trzykrotnie liczniejsze, że własny żołnierz był niehumanitarnie wyczerpany, bo w nieprzerwanych walkach odwrotowych przebył 500 kilometrów. Że potrzebował gwałtownie wypoczynku! Nie pora była na wywczasy. Należało za wszelką cenę związać armie, zagrażające Warszawie.

Do swych żołnierzy w rozkazie dziennym gen. Sikorski krótkimi słowami przemawiał.

„Naprzód żołnierze”!

Śmiało popatrzcie w oczy śmierci. Śmierć to sława! Zwycięstwo, to przyszłość nasza!

Naprzód, aż do zupełnego zniszczenia wroga!”¹⁾

Armia Tuchaczewskiego podchodziła do przyczółka warszawskiego. Jej patrole sięgały Pragi.

... Gen. Sikorski rzucił swoje wojska do walki nocą z 13 na 14 sierpnia. Czterodniowa bitwa o stolicę Polski z każdym dniem nabierała gwałtownej zawziętości. Męstwo hufców ochotniczych zagrzewał młody ksiądz Skorupka, idąc na przedzie z krzyżem w ręku. Legł śmiercią walecznych.

Thugutt i Strug ranni, Bogdan Straszewicz otrzymał śmiertelny postrzał w głowę. Wszelki ślad po nim zaginął, zwłok nie można było odnaleźć.

Już tchu brakło, gdy 16 sierpnia wieść:

— Piłsudski ruszył od Wieprza!

Jego wojska, nie napotykając silniejszego oporu, dotarły tegoż dnia do Garwolina. O zmierzchu do Radzyna.

Piłsudski w swojej polemicznej książce „Rok 1920” opowiada, że kiedy wieczorem, po całodziennym szukaniu przeciwnika, przyjechał na nocleg do Garwolina, i obok posłanego łóżka pił herbatę, dręczyła go obawa, że stał się igrzyskiem zaczarowanej bajki. Jakim sposobem pięć dywizji polskich teraz całkiem swobodnie zajmowały te same przestrzenie, jakie zaledwie przed paru tygodniami oddawały w śmiertelnym popłochu nieprzyjacielowi?...

Wtem usłyszał głuchy, oddalony grzmot dział, dolatujący od Warszawy. Zerwał się na równe nogi, odetchnął głęboko. Nieprzyjacieli nie było. Miarowy odgłos armat świadczył o bitwie, prowadzonej rozważnie, bez nerwów.

Koło Kołbieli walczyła 14 dywizja.

¹⁾ Gen. Władysław Sikorski: „Nad Wisłą i Wkrą”.

Tym oddziałom, co zapędziły się na Płock i Lipno, Sikorski przecinał drogi odwrotu.

„Cudem nad Wisłą” nazwano ten zwrot frontu, tryumf polskiego geniuszu i męstwa.

Gadzinowa zawiść już sączyła od ucha do ucha insynuacje, jakoby plan kontrofensywy od linii Wieprza obmyślił gen. Weygand. Byle odrzeć z zasługi rodaka.

— *Passato il pericolo, gobatto il santo!*...

Skoro mija niebezpieczeństwo, zapomina się o świętym.

...Nieprzyjacieli zostali odparty. Do dawnych niepokojonych trosk przybyło okrutne zniszczenie dużej połaci państwa.

Pierwsze próby układów z ZSRR w Mińsku Litewskim zawiodły. Postanowiono przenieść je na teren neutralny, wybrano Rygę. Przewodnictwo delegacji polskiej przypadło wiceministrowi spraw zagranicznych, Janowi Dąbskiemu.

Wilno zajął na własną rękę gen. Żeligowski. Gdy przedtym pytał Piłsudskiego, czy może to uczynić, marszałek uśmiechnął się pod wąsem i odpowiedział:

— Takie pytanie zadaje stara dupa, a nie generał polski.

Gen. Żeligowski wziął do serca żołnierskie upomnienie. Wnet Wilno zajął.

Z gen. Żeligowskim polowałem raz na wilki w lasach pińskich. Przez trzy dni jeździliśmy na jednej bryczce, spaliśmy pokotem na słomie i jednakowego mieliśmy pecha. Gospodarz, Wł. Czechowicz, chciał nas specjalnie uraczyć. Stawiał generała i mnie u wylotu fladrów, kędy prawie zawsze wilki próbują wydostać się z matni. Na mnie szedł wspaniały basior, z czarną pręgą na grzbiecie. Serce biło mi jak dzwon, ręce ścisnęły fuzję. Nagle na 150 kroków, w czystym niepodszytym lesie, skręcił w bok na sąsiada. Ten go blisko dopuścił i jednym strzałem położył. Taki sam los spotkał gen. Żeligowskiego. Przebierały się na niego przez gąszcz dwa wilki. Już podnosił broń do ramienia, gdy zboczyły na adiutanta, który zajmował następne stanowisko. Ów jednego zabił, drugiego chybił.

W drodze i każdego dnia po polowaniu, wiedliśmy długie gawędy. Gen. Żeligowski wydał mi się wzorem polskiego oficera. Serce gorące, umysł otwarty, zapalny, spartańska skromność potrzeb, cywilna odwaga, równa rycerskiej. Był jednym z tych wyjątkowych ludzi, jakich w Rosji nazywano „dusza — człowiek”.

Jan Dąbski karierę swą zawdzięczał nie osobliwej wiedzy, lub talentom, lecz zręczności, która mu zjednała życzliwość Witosy i zaufanie ludowców. Pochodził z niezamożnej rodziny chłopskiej dobrnął z wielkim trudem do uniwersytetu, studiował chemię. Wybuchła wojna, wstąpił do Legionów. W okresie Regencji pracował w Departamencie Politycznym. Posiadał umysł ruchliwy, lecz ciasny, temperament bojowy, charakter twardy. Do pierwszego Sejmu wszedł z listy Piastowców, stał się żarliwym rzecznikiem reformy rolnej. Wspinał się na coraz wyższe szczeble, w gabinecie Witosy uzyskał podsekretariat w M. S. Z. Zastępował Sapiechę.

W czasie, kiedy urzędował w Departamencie Politycznym Regencji, referował w „Kurierze Polskim” sprawy włościańskie. Upowiedział go, że „Kurier” odnosił się do Regencji lojalnie, jako do pierwszej, od bardzo dawna, zwierzchniej władzy polskiej. Przyrzekł pamiętać, lecz gdy Departament opuścił, przyrzeczenia nie dotrzymał.

Ks. Chełmicki i Zdzisław ks. Lubomirski czynili mi z powodu jego artykułów wymówki.

Współpracownictwo wkrótce się urwało.

...Rokowania pokojowe nie przerwały walk na froncie. Budienno atakował nieustannie, dopóki pod Zamościem nie rozproszył go gen. Stanisław Haller. Pozostałe wojska Tuchaczewskiego rozbił marszałek Piłsudski pod Lidą.

Preliminaria pokojowe zostały podpisane w Rydze w dniu 12 października 1920 r.

Na najdalszym odcinku frontu.

Od dłuższego czasu nie mieliśmy wiadomości od syna. Dręczył nas wielki niepokój. Żona w nocy udawała, że śpi, ja robiłem to samo. Rankiem czekaliśmy z bijącym sercem na listonosza... Czekaliśmy daremnie.

Wreszcie wiadomość nadeszła. Tadeusz Bajkowski, jeden z najbliższych przyjaciół syna, doniósł nam z frontu wołyńskiego, że nasz chłopiec leży poważnie chory w szpitalu polowym w Zasławiu.

Pojechałem niezwłocznie po przepustkę do Sztabu Głównego. Obiecano mi ją wydać nazajutrz.

Lecz gdy wróciłem do domu, żona w milczeniu podała mi nową kartę pocztową: ta była od syna, nakreślona w łóżku ołówkiem.

Z bezładu słów, nabrzmiałych tęsknotą i czułością, tchnęła gorączka.

Tyfus plamisty!

Wróciłem do Sztabu i nie wyszedłem, póki przepustki i polecenia od władz wojskowych nie otrzymałem. Wieczorem siedzieliśmy z żoną w pociągu, który biegł w stronę Kowla. Po 36 godzinach, w znacznej części przebytych w „ciepłuszcze”, dobrnęliśmy do Równego.

W kwaterze generała Jędrzejewskiego przyjął nas jego adiutant, major Bochenek. Gdym wyjaśnił powód naszego przybycia i obawy, jakie nas dręczyły, zaofiarował się, że zaraz nam udzieli bliższych wiadomości. Od czegoż telefon polowy?

Z twarzy mej żony uciekła krew. Mieliśmy się dowiedzieć, czy jedyny nasz syn żyje, czy — nie żyje.

Major trzymał przy uchu słuchawkę telefonu. Żądał połączenia ze szpitalem polowym w Zasławiu.

Po dłuższej chwili ozwał się przyciszony dzwonek.

— Czy szpital polowy w Zasławiu? Tak... Tutaj major Bochenek.

— Pragnę mówić z lekarzem naczelnym.

Długa chwila oczekiwania. Wziąłem rękę żony. Była prawie przezroczysta i zimna, jak sopel lodu.

Major mówił do aparatu:

— Dzień dobry, panie doktorze... Czy u pana w szpitalu znajduje się sierżant Stanisław Krzywoszewski.

Tego momentu nie zapomnę nigdy!

Oczy oficera, któremu udzieliło się nasze wruszenie, ożywiły się. Rozmarszczył czoło.

— Jest? Chwała Bogu! Przybyli z Warszawy rodzice, udają się do Zasławia...

Moja żona szepnęła błagalnie.

— Niech pan zapyta, jak się miewa...

Bochenek powtórzył zapytanie.

— Bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło. Gorączka jeszcze wysoka...

Tego dnia nie mogliśmy otrzymać samochodu. Wyjechaliśmy o wschodzie słońca nazajutrz. Mimo, że był to już schyłek października, dzień był jasny i słoneczny. Żołnierzowi, który prowadził maszynę, dodano drugiego żołnierza z karabinem. W okolicy włończyły się szczątki oddziałów Wrangla, Petlury, Bredowa, Jakowlewa. Za Zdołbunowem spotkaliśmy parę małych oddziałów konnych. Bóg

jeden wiedział, do jakich należały formacji. Nasze wojska wycofywały się, zbliżali się bolszewicy.

Mundury szofera i asystenta z karabinem budziły respekt.

W środku niekończącego się sioła ukraińskiego, przy studni, stał na warcie młody żołnierz polski, w szarym szynelu, z karabinem, lekko rzuconym na ramię. Miał może dwadzieścia lat.

Zatrzymałem samochód.

— Dużo was we wsi?

Chłopak stuknął zamasyście w obcasy, oddał cześć.

— Jest nas dwóch. Drugi poszedł na obiad.

— A skąd jesteście?

— Ze Śleszyna pod Pniewem.

— Pana Froelicha?

Żołnierzowi zaśmiały się ślepia, spłonął rumieńcem.

— Pan może bywał u nas na polowaniach?

Znałem Froelicha i Śleszyn, wywiązała się gawęda, — krótka, bo szofer pił. Na pożegnanie chłopak westchnął.

— Ale zajęcy u nas było... I kuropatw!

Ostróg. Po tym cudne lasy sławuckie. Sławuta, w której niedawno został zamordowany ks. Sanguszek, pałac zrabowany. Zdezelowany samochód zagrzewał się, stękał. Przy trakcie brakło wody, trzeba było szukać jej daleko. Przywlekliśmy się do Szepietówki późnym wieczorem. Noc spędziliśmy w pustych biurach cukrowni, na wiązkach siana.

Do Zasławia wyruszyliśmy nazajutrz bryczką. Słońce chyliło się nad fioletową wstęgą Horynia, wśród łąk jeszcze zielonych, gdy w dali ukazały się stare mury klasztoru Bernardynów, górujące nad miasteczkiem. Szpital polowy mieścił się przy szosie. Wśród pożółkłych jabłoni przechadzał się ksiądz kapelan, odmawiał pacierze wieczorne. Wyskoczyłem z bryczki, przedstawiłem się.

— Spodziewaliśmy się państwa wcześniej, mówił ksiądz kapelan, sierżant nie może się doczekać. W nocy ciągle się budził i pytał, czy państwo nie przyjechali.

Popędziłem do głównego pawilonu, wpadłem do mrocznego już korytarza.

Zatrzymał mnie pielęgniarz.

— Tutaj oddział dla zakaźno chorych. Wstęp wzbroniony.

Lecz ja już byłem w obszernej sali, wypełnionej łózkami. Z jednego z nich podniosła się postać bardzo wychudzona, owinięta w koc żołnierski.

Boże! ta chwila, gdym nareszcie trzymał chłopca w ramionach.

On spalonymi ustami pytał.

— A matka?

Matka w drzwiach przedzierała się przez pielęgniarzy, którzy usiłowali ją zatrzymać. Dorwała się do syna, ze wszystkich łóżek ozwał się pomruk zadowolenia. Któryś z tych chłopaków, żartych gorączką, nie myślał w tej minucie o własnych rodzicach!

Zjawił się młody lekarz, uprzejmie, lecz stanowczo wyprosił nas z sali.

Gościnę uzyskaliśmy w jednym z mniejszych pawilonów. Syna przeniesiono do naszego pokoju dopiero w parę dni później.

Był całkiem wyczerpany z sił, ale niewysłowienie szczęśliwy. Miał nas przy sobie.

Początek listopada był suchy, słoneczny i zimny. Mróz szczyptał uszy i palce u rąk, gdy co dzień zrana udawałem się do miasteczka po zakupy. Przynosiłem mleko, masło, tłusty twaróg, białe pieczywo, dorodne jabłka wołyńskie, smaczne i pachnące. Z racji uprzejmości, jaką okazywały nam władze wojskowe, zasławscy obywatele starozakonni uznali mnie za dygnitarza i molestowali pytaniami, co będzie dalej. Obawiali się rizunów ukraińskich. Tym samym niepokojem przejęty był sędziwy ksiądz polski, pozostawiony samopas na straży klasztoru i zdecydowany, cokolwiek nastąpi, swej placówki nie opuścić.

Wtem nagły rozkaz: natychmiast szpital ewakuować.

Wynająłem dwie fury chłopskie, wymościłem je suto słomą. W jednej urządziliśmy posłanie dla syna, w drugiej umieściliśmy się sami. Tak wlekliśmy się cały dzień do Lachowic, stamtąd „ciepluszką“ do Tarnopola, gdzie już pochwyciliśmy zwykły pociąg.

Jakże wspaniałym i zbyt kownym wydał nam się we Lwowie bardzo przez wojnę wyniszczony hotel Żorża!

Blaski i nędze odzyskanej niepodległości.

Na pograniczach wschodnich trwał długo jeszcze stan pogorączkowy. Bałachowicz, pod naporem oddziałów radzieckich, schronił się na terytorium polskie i złożył broń. Rząd Petlury osiadł w Częstochowie.

Nasze wojsko było znużone, na zimę niedostatecznie wyekwipowane, co nieco zdemoralizowane. Wojna nie tworzy świętych.

W zbiorowej duszy polskiej czały się wciąż jeszcze miazma-

ty niewoli. Wówczas stosunek ludności polskiej do zaborczych organów państwowych był wrogi. Wolną Polskę wyobrażano sobie, jako Ziemię Obiecaną, mlekiem i miodem płynącą. A tu polscy urzędnicy poczynali gorzej, niż dawni, dusić o podatki i nadomiar o podatki znacznie podwyższone. Siaki taki zżymał się i skarżył:

— Czy na to odzyskaliśmy Polskę, żeby nam było gorzej?

W porywie zapału Polak zawsze był gotów nieść ojczyźnie w ofierze życie i ostatnią koszulę. Gdy ochłódł, a życie ocalił, chował rękę do kieszeni.

Cóż miał robić nieszczęsny minister Skarbu?

Przynaglał druk banknotów. Z końcem roku 1920 emisje dosięgały zawrotnej sumy 53 miliardów marek. Za dolara płacono 950 marek. Kursy akcji przemysłowych podnosiły się gwałtownie, giełda szalała. Każda zabiegliwsza pokojówka odróżniała wybornie Starachowice od Lilpopów i Żyrardowa.

I każdy nowy milioner był nędzarzem!

Władysław Grabski zrezygnował ze swej teki w listopadzie 1920 r. Spadek po nim objął Steczkowski. Jako finansista stateczny i dorzecznym chciał wydatki ustosunkować do dochodów, dziury — wypełnić pożyczkami zagranicznymi i wewnętrznymi. Aby takie plany przeprowadzić, nieodzowna była dyktatura finansowa. Stateczny i dorzecznym finansista na dyktatora się nie nadawał.

Jeden z najwyborniejszych kronikarzy tych czasów, Francesco Tomassini, poseł włoski w Warszawie, pisał: „kłamia ci, którzy prawią bezmyślne, lub złośliwe bzdury o niezdarności polskiej, o polskiej niezdolności do samodzielnego bytu. Odwiecznego analfabetyzmu, nieróbstwa, i narzuconej przez zaborców demoralizacji nie można było wymieść jednym zamachem miotły. Materiał ludzki był doskonały, lecz trzeba było go oczyścić, oświecić, wygładzić i dać mu dobrych przewodników. Należało wzbudzić szacunek i zaufanie dla własnego rządu, wzmocnić poczucie odpowiedzialności obywatelskiej”.

Dymitr Mereżkowski w Warszawie.

Z Leningradu zdołał wymknąć się Mereżkowski, autor „Śmierci bogów” („Juliana Odstępcy”, „Leonarda da Vinci” i „Antychrysta”) oraz „Cara Pawła” — i w drodze na Zachód zatrzymał się przez pewien czas w Warszawie. Towarzyszyli mu: żona, Zenaida

Hippius, znana w Rosji poetka, młody wierszopis Złobin i wykształcony publicysta Fiłosofow.

Mereżkowski należał do nielicznego w Rosji klanu pisarzy, którzy, jak przed półwiekiem Turgeniew, byli zwolennikami kultury zachodniej. Z goryczą wyrażał się o kolegach tej miary, co Briusow, Gorkij i Andrejew, że się do rewolucji przyłączyli. Czynił ich współwinnymi nieszczęść, jakie dotknęły burżuazyjną inteligencję rosyjską.

Autor „Cara Pawła” mógł mieć w tym czasie pięćdziesiąt parę lat. Wątlej budowy i słabowitego zdrowia, stanowił typ intelektualisty, zgaszonego przez burzliwe wydarzenia i przeżycia. Pani Hippius — Mereżkowska, rozmiłowana w symbolizmie i mistycyzmie, była piękną spłowiałą i nawet nieco pretensjonalną. Złobin wydawał się zdrowym, tęgim i nieco ospałym byczkiem moskiewskim. Fiłosofow reprezentował trzeźwość umysłu i pesymizm.

Mereżkowski nie wierzył w zwycięstwo „białych”, lubo resztki armii Denikina jeszcze błąkały się na południu rosyjskim. Musiał przejść wielkie cierpienia, zanim zdecydował się opuścić ojczyznę. W powrót nie wierzył, smutek usiłował zagłuszyć pracą. Kończył dramat p. t. „Carewicz Aleksiej”, zaczynał pisać powieść o Dekabrytach.

U mnie zetknął się parę razy z pisarzami polskimi. W rozmowach wyczuwaliśmy wzajemnie brak idei łącznych. Dla Mereżkowskiego i jego otoczenia upadek dawnej Rosji był katastrofą, dla nas — wyzwoleniem.

Literatura i prasa.

Wszystkie dziedziny życia ogarniał zapał organizacyjny. Polska chciała jak najspieszniej podciągnąć się do poziomu kulturalnego Zachodu. Stąd ta energia nie zawsze osiągała realne wyniki: silono się raczej na zewnętrzne formy, niż na wewnętrzną treść.

Parudniowy rząd lubelski w porywie entuzjazmu powołał do życia Ministerstwo Sztuki. Powierzył je Medardowi Downarowiczowi, który ze sztuką niewiele miał wspólnego. Moraczewski nie chciał być gorszym: nietylko — że Ministerstwo i Medarda utrzymał, lecz Medardowi dodał Miriama Przesmyckiego, jako wiceministra. Na tym wyczerpała się jego hojność.

Nagminny zapal organizacyjny wyladowywal sie w tworzeniu zrzeszen i zwiazkow. Liczba prezesow, wiceprezesow i dyrektorow rosła w Polsce, jak na drozdzach. Rzadkoscia stawal sie obywatel, któryby sie choc jednym z tych tytulow nie chlubil.

Mnie przypadła prezesura Polskiego Związku Autorów Dramatycznych. Poświęciłem mu sporo czasu, a dzięki pomocy kilku kolegów doprowadziłem do pewnej zamożności i znaczenia.

W Warszawie zjechali się przedstawiciele literatury z Żeromskim, Kasprowiczem i Kazimierzem Tetmajerem na czele. Projekt Akademii, z którym wystąpił Stefan Żeromski, różnił się znacznie od tego tworzywa, jakie w dziesiątki lat później wykombinowała spółka z nieograniczoną poręką braci Jędrzejewiczów i Zawistowskiego z Sieroszewskim i Kadenem Bandrowskim.

Zrażony ustawicznymi dąsami Stefana Dziewulskiego, podsyconymi przez Rosnera, odstąpiłem moje udziały w „Kurierze Polskim” i zrzekłem się redaktorstwa. Wystarczał mi „Świat” i teatr. Rosner zajął moje miejsce. W ciągu kilku lat doprowadził „Kurier Polski” do upadku.

Konstytucja.

W lutym 1921-go r. wywiązał się ostry zatarg między socjalistycznym Związkiem Zawodowym Kolejarzy, a ministrem Komunikacji, inż. Zygmuntom Jasińskim.

Z. Z. K. chciał wobec ministra utrzymać rolę instancji zwierzchniej. Minister uznał, że należało złamać opór. Witos, jako szef rządu, solidaryzował się z poglądem ministra.

Stronnictwa radykalne (P. P. S., Wyzwolenie, N. P. R.) orędownymi żądaniom Związku. Że zaś równocześnie ich posłowie w Sejmie należeli do większości rządowej, w konflikcie czaili się groźne niebezpieczeństwa. Jakie stanowisko zajął Naczelnik Państwa, wyjaśnił w swych „Wspomnieniach” minister Jasiński.

Zameldował się w Belwederze, by przedłożyć Naczelnikowi Państwa swój projekt rozwiązania zatargu i uzyskać dlań sankcję. Jasiński zreferował przebieg konfliktu, przedstawił plan nieodzownych dla autorytetu Państwa zarządzeń. Należało za wszelką cenę nie dopuścić do przerwania ruchu kolejowego, osiągnąć zaś to było można jedynie przez zmilitaryzowanie personelu kolejowego i wprowadzenie sądów doraźnych.

Marszałek Piłsudski słuchał z uwagą.

— Czy pan minister może mi ręczyć za powodzenie zamierzonej przez niego akcji i przyjmuje za nią odpowiedzialność?

Jasiński odrzekł.

— Tak. Strajk zgniotę w zarodku i tuszę sobie, że dokonam tego bez rozlewu krwi.

— Ma pan minister gotowe projekty rozporządzeń?

Jasiński podał czystopis.

Marszałek przeczytał, podniósł się z fotela. W milczeniu podszedł do biurka i podpisał.

W przeddzień imienin Piłsudskiego naród polski otrzymał dwa upominki. Od Sejmu Ustawodawczego, — Konstytucję, od delega-

cji ryskiej — traktat pokojowy ze Związkiem Socj. Republik Radzieckich.

Konstytucja, uchwalona w dniu 17 marca 1921 r., była dokumentem ówczesnego napięcia sytuacji. Tak długo i bezskutecznie tęskniliśmy za wolnością, że gdyśmy ją odzyskali, zapomnieliśmy o smutnych doświadczeniach przeszłości, — i wynikającej z nich nauki, iż wolność, niemiarkowana należnymi państwu obowiązkami, łatwo zniekształca się w swawolę.

Radość i duma, że Polska wyszła z wojny z honorem, rozgrzewały serca i mózgi. Wzmagala się ambitna chęć popisania się przed światem rozmachem polskich pojęć i zamierzeń.

Twórców Marcowej Konstytucji trawił lęk przed dyktaturą i despotyzmem. Konstytucja zlecała tedy władzę Sejmowi, jako przedstawicielstwu narodu, — 444 „suwerenom“, których mandaty niekoniecznie świadczyły o ich kwalifikacjach umysłowych, — nawet nie zawsze i moralnych, — ani o zasługach społecznych, bo mandaty bywały nieraz plodem targów partyjnych i demagogii.

Zagadnienia narodowościowe podsycaly ogniska gorączki. W Wielkopolsce i na Pomorzu Niemcy występowali coraz bardziej. Wzbraniał się ustąpić ze Śląska, buntowali Gdańsk.

Działo się to w chwili, kiedy we Włoszech i Niemczech, wyłaniały się ustroje, na żelaznej karności społecznej oparte.

W walce z przecironościami.

Rok 1921 nie przyniósł Polsce upragnionego spokoju. Granice państwa pozostawały nie ustalone.

Łatwiej żywe ciało rozerwać, niż je tak złożyć, by zrosło się bez szwów.

Witos utrzymał się u władzy, lecz Eustachy ks. Sapieha musiał pałac Brühlowski opuścić. Jego stosunek do Naczelnika Państwa, od czasu nieopatrzego zamachu stuprocentowo lojalny, nie podobał się opozycji sejmowej.

Ks. Sapieha żonaty był z ks. Teresą Lubomirską, córką Andrzeja ks. Lubomirskiego z Przeworska. Ks. Eustachowa posiadała inteligencję wrażliwą, energię pobudliwą. W upodobaniach literackich i artystycznych ustrzegła się szczęśliwie snobizmu, który pociąga dyletantów. Interesowała się wszystkim, co było godnym

uwagi, — polityką, sprawami społecznymi, literaturą, sztuką, sportem. Drukowałem ładne jej nowele w „Świecie“.

Wydała powieść p. t. „Wilczyca“, w której odsłoniła tajemniczy czar i piękno puszczy litewskiej.

Księcia Eustachego Sapiehę zastąpił w M. S. Z. Konstanty Skirmunt, Petroniusz piński, dyplomata światły i zrównoważony, ze stosunkami europejskimi dobrze obznajmiony. Tomassini przyznawał mu zasługę, że starał się przywrócić zagranicą zaufanie do rozwoju i umiarkowania polityki polskiej.

Korfanty wzniecił na Górnym Śląsku powstanie. Na czele ochotniczych zastępów stanął Maciej hr. Mielżyński z Chobienic, pan dużej fantazji. Ostateczne rozstrzygnięcie granic nastąpiło w Paryżu dopiero w końcu października. Katowice, Rybnik i Pszczyna zostały przyznane Polsce, Bytom i Gliwice — Rzeszy.

Namiętne dyskusje w Sejmie wywołała sprawa litewska. Opozycja korzystała ze sposobności, by dokuczyć Naczelnikowi Państwa, a po trochu i rządowi. Walczono na słowa. Jeśli nie wystarczały, na pięście.

Na lewicy śpiewano: „Cześć wam, panowie magnaci“...

Prawica nie mogła przebaczyć Witosowi reformy rolnej, ofiarowanej ludowi polskiemu w chwili, kiedy wojska nieprzyjacielskie podchodziły do Warszawy. Wystraszony Sejm wówczas gotów był dać chłopom wszystko, byle bronili kraju. Teraz zapomniano o honorowej zasadzie *pactum serva*. Próbowano wymigać się z przyrzeczenia. Dał się wciągnąć do tej brzydkiej akcji Steczkowski, podmówiony przez zachowawców małopolskich i nieostrożność opłacił teką. Ale jego dymisja wywołała ustąpienie całego gabinetu.

Trąmpczyński, jako marszałek Sejmu, wysuwał kandydaturę Głabińskiego i Stanisława Grabskiego. Marszałek Piłsudski potraktował tę propozycję jako objaw złośliwości.

Postanowiono powołać gabinet pozaparlamentarny, specyfik podobny do tytoniu bez nikotyny, kawy bez kofeiny, piwa bez alkoholu. Dogodnym premierem wydał się prof. Antoni Ponikowski, zacny ojciec licznej rodziny, spokojny i układny.

Skład nowego gabinetu był bezbarwny. Ministrem Spraw Zagranicznych pozostał Skirmunt, Sprawy wewnętrzne dostały się Stanisł. Downarowiczowi, Skarb — Jerzemu Michalskiemu.

Zroyciństwo kobiet.

Konstytucja Marcowa wyposażała każdą obywatelkę polską bez względu na to, czy umiała czytać lub nie umiała, w te same prawa polityczne, co najbardziej wykształconych i doświadczonych obywateli państwa. Pod względem równouprawnienia politycznego kobiet Polska prześcigała państwa o najwyższej kulturze.¹⁾

Zarządzenie to nie tyle było wynikiem istotnej potrzeby społecznej, ile — skutkiem niezupełnie usprawiedliwionej ambicji przodowania innym narodom w dziedzinie postępu.

Tym ambicjom dała się pociągnąć nawet Komisja Kodyfikacyjna, składająca się z najpoważniejszych prawników, a której powierzono opracowanie jednolitych dla wszystkich dzielnic ustaw sądowych.

Lata wojenne podkopały dobrobyt dawnych warstw posiadających, — arystokracji, ziemiaństwa, zamożnej burżuazji. Nowobogacy nie potrafili utrzymać fortun. *Male parta*, do czarta! Odbudowa państwa wymagała ogromnych poświęceń i wysiłków, życie musiało przystosowywać się do warunków.

Ustały prywatne większe przyjęcia, rauty, bale. Przyrodzona ochota do rozrywki wyładowywała się w lokalach publicznych.

Starych i młodych ogarniała nienasycona obsesja tańca. Tańczono rano, w dzień i w nocy, — w kąpieliskach, w kawiarniach i restauracjach. Najwięcej w dancingach, najmniej — w salonach prywatnych.

Ogólne zubożenie utrudniało zawieranie małżeństw. Dawało się to odczuć najbardziej w stolicy i w większych miastach, gdzie zarówno kandydat jak i kandydatka do stanu małżeńskiego zazwyczaj obciążeni bywali wytężoną pracą zarobkową.

Jakież mogło być ognisko rodzinne?

W jednym odnajętym pokoju, najwyżej w dwóch, bez dziecka, bo dziecko stawało się balastem, często bez wspólnych posiłków, — nawet bez domowego psiaka.

Weininger, zdecydowany feministą, domagał się dla kobiet dostępu do wszelkich profesji i zajęć, ale z zastrzeżeniem, o ile będą do tych profesji i zajęć umysłowo uzdolnione, a fizycznie dość silne. Zalecał, aby nie wciągać na tę drogę wszystkich kobiet, ponieważ naogół kobiety nużą się łatwiej i rychlej, niż mężczyźni.

¹⁾ W Anglii kobiety otrzymały prawa polityczne, znacznie szczuplejsze niż w Polsce, dopiero w roku 1926, we Francji — po drugiej wojnie światowej

Członek Akademii Hiszpańskiej, dr. Gregorio Marañon w swym „Zagadnieniu płci” wyszczególniał zasadnicze różnice, dzielące obie płci. Różnice, sięgające do podstaw organicznych! „W ciele ludzkim niema ani jednego atomu, który nie byłby wyraźnie nacechowany swoją płcią”.

... „Organizm kobiety jest nade wszystko przystosowany do funkcji macierzyńskich”.

Bernard Shaw, uchodzący za feministę, głosił: „Kobieta jest gatunkiem, biologicznie odrębnym, wyposażonym w osobliwe wdzięki i także w dość głupie przywary”.

Żadna z obu płci nie posiada wyższości nad drugą. Są po prostu odmienne. Rozwój fizjologiczny człowieka — kobiety i mężczyzny — polega na dalszym procesie zróżniczkowania. Mężczyźni winni stawać się bardziej męscy, kobiety — bardziej niewieście.

W kobiecie nie osłabł instynkt biologiczny. Freudowski „libido” bywa zachłanniejczy, niż uczucie głodu, lub niebezpieczeństwa. Pod jego wpływem kształtuje się obyczajowość.

Kobieta samodzielna poczęła upominać się o wolność seksualną, zbliżoną do tej, z jakiej korzysta mężczyzna.¹⁾

W Polsce owe przeobrażenia znalazły wyraz w namiętnych dyskusjach i polemikach na temat swobodnego przerywania ciąży.

Jedno z zebrań w tej sprawie odbyło się w naszym mieszkaniu. Zorganizował je nasz syn w porozumieniu z grupą chrześcijańskiej młodzieży uniwersyteckiej. Przybył ks. Kornilowicz i paru innych młodych duchownych, wzięli udział w dyskusji profesorowie uniwersytetu, działacze społeczni, literaci, przedstawiciele młodzieży. Zgromadziła się blisko setka osób. Znaczna większość obecnych podzieliła tezę ks. Kornilowicza, że rozmyślne przerywanie ciąży jest zabójstwem żyjącej istoty ludzkiej.

Ksiądz Kornilowicz w naszym duchowieństwie był indywidualnością niezwykle pokroju. Wyróżniał się rozległą wiedzą religijną i filozoficzną, wiarą namiętną. Życie wiódł surowe i bardzo czynne.

Jego powołanie apostołskie wyrażało się w krzeszeniu i pogłębianiu uczuć religijnych wśród młodzieży uniwersyteckiej i w nawracaniu inteligencji żydowskiej. Dbając o szczęście wieczne,

¹⁾ Jak dalece rewindykacje te były odwieczne, świadczy bystra spostrzegawczość Henryka Rzewuskiego. Sto lat temu, kiedy nikomu w Polsce nie śniło się o Weiningerze i Freudzie, charakteryzował w „Listopadzie” panią cześnikową Gintowttową, jedną z bardziej płochych dam dworu króla Stanisława Augusta, że „była, jak Nina de l'Enclos, mężczyzną płci kobiecej”.

mniej wagi przywiązywał do doczesnej szczęśliwości, zarówno dla siebie, jak i dla innych. Stąd jego moc sugestywna, płynąca z duszy gorącej i wzburzonej, stawiała się niekiedy dla adeptów źródłem przeżyć tragicznych.

Gdy w roku 1935 marszałek Piłsudski dokonywał żywota, do ostatniej posługi religijnej wezwany został ks. Kornilowicz.

Zmiany, zachodzące w uczuciach religijnych i obyczajowych, podważyły autorytet rodziny. Syn czy córka, którzy wyzwalali się z pod autorytetu rodziców, nie mogli stawać się dodatnim czynnikiem państwowym. Bunt młodzieży nieraz poprzedzały rewolucje społeczne.

Rodzina była i pozostanie podwaliną trwałego ładu społecznego. W Polsce była przytym kaplicą, w której płonął niegasnący ogień miłości ojczyzny.

Na ratuszu warszawskim.

Pierwszym prezydentem miasta st. Warszawy w odradzającej się Polsce był ks. Lubomirski. Gdy został Regentem, spadek po nim na Ratuszu odziedziczył inż. Piotr Drzewiecki, przemysłowiec i działacz społeczny rzetelnej zacności i najlepszych chęci.

Gospodarkę miejską, zaniedbaną przez zaborców, dręczyły wielkie potrzeby i małe środki. Utrudniała skoordynowaną pracę, ile mogła, Rada Miejska, karykatura parlamentu. Zapędy tego niespokojnego ciała zwiększały niedobory, utrwały protekcjonizm, pomnażały liczbę urzędników i pracowników miejskich do absurdu.

Piotr Drzewiecki zwrócił się do mnie z propozycją, by wspólnym wysiłkiem ujednolicić w Warszawie godziny pracy i posiłków. Reforma przyniosłaby pokaźny zysk w czasie. Kraje o wyższej kulturze z dawien dawna ustaliły godziny posiłków, jednakowe dla wszystkich mieszkańców. Huxley, z powodu nieuregulowanych w tej dziedzinie stosunków w państwach Ameryki Środkowej, pisał, że uzgodnione godziny obiadów i kolacji są nieodzownym warunkiem rozwoju cywilizacji i życia rodzinnego.

Nasze próby udowodniły, że Polska jest krajem zbyt ubogim, aby mogła wprowadzić, na wzór krajów zachodnich, dwa zasadni-

cze posiłkiienne, jeden w godzinach południowych, drugi w porze wieczornej. Polski świat pracy mógł sobie pozwolić na jeden tylko obfity posiłek, po ukończonych zajęciach. Dłuższą wypoczynkową przerwę w pracy, z powrotem do domu, utrudniał brak szybkiej komunikacji miejskiej i koszty przejazdu.

Trzeba było wycofać się z podjętej akcji. Warszawa, pod względem rozbieżności godzin posiłków, pozostała w Europie unikatem. Niema takiej pory dnia, w której nie możnaby u nas zastać ludzi przy obiedzie.

Zaranie kinematografii polskiej.

Aleksander Hertz, współwłaściciel firmy „Sfinks”, był w Polsce pionierem sztuki kinematograficznej. Pochodził z rodziny żydowskiej, całkowicie zasymilowanej, nurtowały w nim szlachetniejsze aspiracje. W wytwórni „Sfinks” jego współnik, Henryk Finkelstein, reprezentował trzeźwość kupiecką. Hertza ponosiła ambicja zapoczątkowania filmu polskiego. Rozpierała wrażliwość na talenty i wdzięki „gwiazd”, które, niczym biegły astronom, umiał na firmamencie teatralnym odnajdywać. W początkującej aktorce dramatycznej, Poli Negri, odgadł materiał na primadonnę filmową światowej sławy, ułatwił jej żmudne początki. Jadwigę Smosarską wypromował na pierwsze miejsce wśród artystek filmowych w Polsce.

Moja współpraca z Hertzem zaczęła się od obrazu „Tajemnica Przystanku Tramwajowego”, osnutego na noweli Józefa Relidzińskiego. Wzięłem udział w opracowaniu scenariusza i tzw. „Drehbuch'u” tj. bardzo szczegółowego raptularza dla reżyserii, objąłem literacki nadzór nad wykonaniem. Film doznał nadspodziewanego powodzenia.

Po „Przystanku” nastąpiła „Niewolnica miłości”. Scenariusz sporządził Stefan Kiedrzyński. Jego bujny temperament doskonale nadawał się do filmu.

Jeden z fragmentów tego obrazu wykonaliśmy w Lesznie, pięknym majątku pod Błoniem, należącym do moich przyjaciół, Michałostwa Bersonów. Wpadliśmy tam samochodami wczesnym rankiem lipcowym, — dyrekcja, artyści, technicy, służba pomocnicza, — niczym horda zmotoryzowanych najeźdźców. Autochtoni byli podnieceni najazdem, zaciekawieni techniką zdjęć. Zacnego pro-

boszcza miejscowego, ks. Skomorowskiego tak porwała nasza robota, że odwiódł mnie na stronę i zagadnął, czyby przy tej okazji nie można było i osoby duchownej na ekran wprowadzić, ku zbudowaniu wiernych owieczek. Zaimprovizowałem naprędce dodatkową scenę w ochronie wiejskiej. Ksiądz proboszcz odegrał ją z rzetelnym namaszczeniem, partnerką była mu urocza Maria Brydzińska, późniejsza Maurycowa Potocka.

Niestety, gdy obraz był skończony, Michał Berson błagał mnie, żeby tej scenki na ekran nie puszczać. Obawiał się, jako kolator, by porywistego proboszcza nie spotkały admonicje ze strony surowej Kurii Arcybiskupiej.

Trzecim naszym obrazem była „Iwonka”, której scenariusz zaczerpnięty został z popularnej powieści Juliusza Germana. W filmowaniu „Trędowatej” już nie uczestniczyłem. Również przystąpiłem do Warszawskiej Spółki Kinematograficznej, która była ekspozyturą na Polskę potężnej „Ufy” (*Universum-Film A. G.*) berlińskiej. Po pewnym czasie ofiarowano mi w radzie nadzorczej tej spółki przewodnictwo.

U schyłku zimy 1921 r. zmuszony byłem wyjechać do Berlina w interesach Spółki Warszawskiej.

Stolica Rzeszy po wojnie bardzo się odmieniła. Z chodników i kawiarni zniknęli wyniośli oficerowie, pobrzękujący szablami. Rozprężenie wewnętrzne, choć było to już po stłumieniu rewolucji spartakowskiej — dawało się odczuwać we wszystkich dziedzinach życia. W teatrach grano „Puszkę Pandory” Wedekinda, — sztuka rozgrywała się w domu publicznym, — i „Krag” Artura Schnitzlera „*Reigen*”, kompleks obrazów pornograficznych, lubo nie pozbawionych polotu poetyckiego. Powodzeniem cieszył się również teatr, który naśladował pomysły inscenizacyjne moskiewskiego Meyerholda. Kabaretów namnożyło się w ówczesnym Berlinie bez liku.

Olbrzymie pracownie „Ufy” pochłonięte były „kręceniem” monumentalnego filmu staroegipskiego. Pod ostrą komendą słynnego reżysera Lubicza, ośmiu czy dziesięciu pociesznych pomocników sygnalizowało przez megafony jego rozkazy i upomnienia.

Artyści grymasili, lecz ulegali autorytetowi kierowników. Dwa tysiące ukostiumowanych głodomorów berlińskich udawało pobożnych fellahów, oraz srogich wojowników z nad Nilu. Lubicz podobno pochodził z Grodzieńszczyzny. Większość jego pomocników kaleczyła język polski.

Banki, handel, prasę, teatr i film w Berlinie opanowała inteligencja pochodzenia semickiego. Zachłanność ta wywoływała

w społeczeństwie niemieckim niechęć, którą miał niebawem wyzyskać Hitler dla swej zwierzęcej polityki „rasistowskiej”.

Stanowisko prezesa Warszawskiej Spółki Kinematograficznej sprawowałem przez dziesięć lat. Stosunki z „Ufą” zaczęły się psuć w miarę, jak Niemcy odzyskiwali siły i jak dojrzewały ich przygotowania do odwetu. Owładnął tym największym w Europie przedsiębiorstwem filmowym Hugenberg, berliński potentat ciężkiego przemysłu.

Sztuka kinematograficzna, mimo, że uczczono ją pretensjonalnym tytułem „dziesiątej muzy” i mimo olbrzymich postępów technicznych, w części zaledwie ziszczała pokładane w niej nadzieje.

Przyczyn było sporo. Jedną z główniejszych — że ta sztuka stosowana wpadła niemal całkowicie w ręce nieodpowiednie i przez to samo pozbawiona została elementów twórczych. Produkcja filmowa poszła po najłżejszej linii oporu. Aby zdobyć względy szerokich warstw, czerpała natchnienie już — to z sensacyjnych romansów kryminalnych i egzotycznych, już przenosiła teatr i music-hall żywcem na ekran.

„Dziesiątą muzę” pochwycili w arendę jarmarczni handlarze.

Film mówiony, miał naprawić, zagmatwał sprawę. Obawy, że stanie się groźnym współzawodnikiem w stosunku do teatru, okazały się płonne. Tego fluidu, jaki wiąże żywą scenę z widownią, martwy ekran nie posiedzie nigdy.

„Dziesiąta Muza”, dotychczas nie stworzyła sztuki samodzielnej, wynikającej z jej szczególnych możliwości. Sztukę mogą tworzyć tylko poeci i artyści.

Przedwczesny zgon Aleksandra Hertza wyłobił w warszawskim światku filmowym lukę, mimo że wytwórnice zaczęły się szybko mnożyć. Nie zastąpił go nawet frant nad franty, szpakami karmiony, — Ryszard Ordyński. Czepiał się dziennikarstwa, teatru i filmu, spełniał bliżej niewyjaśnione misje dyplomatyczne, wciąż podróżował, zawsze wygodnie, w salonach pani Beckowej był za-domowiony. Na żadnym polu większego talentu nie ujawnił, prócz sprytu, który mu dobrobyt zapewniał.

Małżonki dygnitarzy, towarzyszące mężom do Genewy na sesje Ligi Narodów, posiłkowały się nim, jako doradcą w zawiłych problemach salonowo-dyplomatycznych...

Próby filmowe, podjęte przez Chamca, założyciela „Polskiego Radia”, zawiodły.

Zarząd miasta zdobył się na krok heroiczny: powierzył kierownictwo Teatrów Miejskich literatowi. Prezesem został mianowany Jan Lorentowicz, krytyk literacki i recenzent teatralny.

Lorentowicza od wczesnych lat ciągnęła literatura. Że twórczego talentu nie posiadał, poświęcił się krytyce.

Interesowała go raczej teraźniejszość i przyszłość, niż okresy minione. Tym właśnie różnił się od Boya-Żeleńskiego. Podczas dłuższego pobytu na studiach w Paryżu zetknął się z „młodą Francją”. Zapoznawał z nią polskich miłośników literatury nadobnej. Gdy powrócił do Warszawy, stał się piewcą „Młodej Polski”.

Nad Sekwaną należał do grupy młodzieży socjalizującej. W Warszawie od polityki stronił, lecz sympatie jego trzymały się wiernie „lewego brzegu”.

Już w Paryżu zaczął drukować w „*Mercure de France*” „Listy Polskie” („*Lettres Polonaises*”) informując czytelników francuskich o ostatnich osiągnięciach naszego piśmiennictwa. Kontynuował je, wróciwszy do kraju, gdzie z początku pracował w redakcji „*Kuriera Codziennego*”, a później objął kierownictwo dodatku literackiego przy „*Nowej Gazecie*”. Zdobył autorytet, dla młodszych pokoleń pisarskich był zwiastunem i orędownikiem nowych prądów, które nurtowały twórczość francuską, a już przyjmowały się w Polsce. Imponował przy tym pewnością siebie, łaskawą uprzejmością, dostojeństwem postaci. Trzpiotowały potenczas, młodziutki Wacław Grubiński, twierdził, że Lorentowicz nie chodzi, lecz kroczy i zawsze sam siebie prowadzi pod rękę...

Lorentowicz właściwie minął się z powołaniem. Stworzony był na profesora. Był uspołeczniiony, lubił pouczać, czuł się doskonale wśród młodych. Podejrzewałem, że w głębi duszy marzył o katedrze uniwersyteckiej.

Jako wielkorządca teatralny stał się biurokratą, rozmiłowanym w niezliczonych kontrolach, raportach i komisjach. Jego sugestią wszakże była tak silna, że nawet gdy w Ratuszu zdecydowano się rozwiązać z nim kontrakt, wypłacając znaczne odszkodowanie, w rok czy dwa potem, za dykcji Artura Śliwińskiego, postawiono go ponownie na czele Teatru Narodowego.

I znów, po krótkim czasie, wolano powtórnie wypłacić mu odszkodowanie.

We Lwowie zmarła Gabriela Zapolska, największa zapewne autorka dramatyczna nie tylko Polski, ale całego świata.

Był to talent samorzutny, rwący, jak gejzer, strugą ukropną, niechłodzony analizą. Zapolska urodziła się i wychowała w zamkniętym, kresowym dworze szlacheckim, marzyła o światowych tryumfach aktorskich Modrzejewskiej. Te rojenia zawiodły. Czekwały ją za to w teatrze sukcesy trwalsze.

Gwałtowny, wojujący temperament Zapolskiej nie znosił obłudy mieszczańskiej. Bezlitosny dla „Pań Dulskich” i „Żabuś”, wobec samolubnych i wyrachowanych „Ahaswerów”, gdy szło o obronę „Kasiek Karjatyd”, lub „Panien Maliczewskich”, nie znał miary.

Drukowałem parę jej powieści w „*Świecie*”, znaliśmy się od dawna, lecz z daleka: ona nie przyjeżdżała do Warszawy, ja — rzadko bywałem we Lwowie. Pisywała do mnie dość często, zwłaszcza jeśli wystawiano jej nową sztukę w Warszawie. W długich listach, kreślonych ołówkiem, burzyła się stale na krytykę.

...Fredro, nasz ukochany Fredro, tak boleśnie odczuwał napastliwe dysertacje Seweryna Goszczyńskiego i paru innych lwowskich recenzentów, że na wieś uciekł, przestał nowe komedie wystawiać. Dla Bałuckiego, polskiego Labiche’a, każda premiera stawała się z tego samego powodu męką nie do zniesienia. Ernest Łuniński pisał, że „w dzień premiery podstarzały Bałucki snuł się, niby cień wyklęty, w mrokach krakowskiego placu Św. Krzyża, dokoła murów teatru, pomykał w zakątek plantacji, chował się za węgiel prastarego kościoła. Od czasu do czasu starał się przebieć osłupiałym wzrokiem rozjarzone okna teatru, jakby chciał przeniknąć, co dzieje się we wnętrzu. Czy sykają i gwizdzą, czy może zanoszą się od śmiechu, jak za dobrych lat”...

W końcu Bałucki tych udręk nie wytrzymał. Powlókł się na Błonia, wieczorną ciszę zakłócił wystrzał z rewolweru. Polski Labiche leżał bez życia.

Stanisław Kozłowski, zasłużony autor teatralny z okresu niewoli, wydawał się uosobieniem równowagi duchowej i praktycznego rozumu. Teatr i krytyka doprowadziły go do takiego rozstroju nerwowego, że poszedł za przykładem Bałuckiego...

W analizach krytycznych najdosadniej objawia się dobre wychowanie i kultura umysłowa, tradycja i szkoła. Również ich nieobecność...

„Kolombina“ i „Szał“.

„Kolombinę“ wystawiłem w roku 1920-tym w Teatrze Letnim, „Szał“ w roku następnym w Teatrze Polskim. „Kolombina“ otrzymała wyjątkową obsadę. Grali w niej Szylinżanka, Ordon-Sosnowska, Gromnicka, Osterwa, Gasiński, Józef Węgrzyn. Gromnicką kolejno zastępowały: prześliczna Majdrowiczówna i Smosarska.

Tytułowa rola przypadła Szylinżance. Była to jej rola przedostatnia, bo w kilka miesięcy później August Popławski wyrwał ją z teatru i poślubił.

W „Szale“ główne role odtwarzali Alina Gryficz-Mielewska, Jerzy Leszczyński, Brydziński i Jaracz. Tak się złożyło, że i Gryficz-Mielewska wkrótce opuściła scenę. Poślubiła wielkiego przemysłowca łódzkiego, Leona Grohmana.

Obie sztuki doznały powodzenia, większego u publiczności, niż u recenzentów.

R O K I 9 2 2

Na terenie sejmowym ciągle rozterki.

Niesnaski między Naczelnikiem Państwa a Sejmem zaostrzyły się. Usiłowania Ponikowskiego, aby doprowadzić do *Treuga Dei* nie odniosły skutku. Ponikowski zresztą i jego ministrowie sympatyzowali raczej z Sejmem, niż z Belwederem.

Ponikowski dwukrotnie składał rezygnację. Za każdym razem Naczelnik Państwa obarczał go misją ponownego tworzenia gabinetu.

W składzie rządu następowały zmiany nieistotne.

Stałe niezadowolenie w Belwederze budził minister Spraw Zagranicznych. Piłsudski chciał, żeby ten resort podporządkowywał się ściśle jego woli i natchnieniom. Skirmunt, w obejściu gładki, miał twardy kark szlachecki. Nie był stworzony na posłusznego wykonawcę zleceń.

Jawny konflikt wynikł z powodu Ignacego Szebeki, posła Rzeczypospolitej w Berlinie.

Piłsudski Skirmunta nie lubił, Szebeki nie znosił. Szebeko, żonaty z arcybogatą córką Stanisława Rotwanda, zaczął swą karierę w sądownictwie rosyjskim, jako pomocnik prokuratora. Należał do zdecydowanych ugodowców. Był człowiekiem rozumnym i w swą mądrość ufny, — do służby dyplomatycznej istotnie mało się nadawał. Z usposobienia samotnik, w stosunkach z ludźmi brakło mu giętkości. Zyskiwał przy bliższym poznaniu, dzięki czytaniu i wszechstronności zainteresowań. Jego majątek ziemski pod Kutnem, w którym później znaczną część roku spędzał, graniczył ze Skłótami Mieczysława Fijałkowskiego. Gdyśmy z Rabskim polowali w Skłótach na kuropatwy, Szebeko zapraszał nas na swoje tereny, zatrzymywał na podwieczorek lub obiad. Rozmowa z nim była wysoce zajmująca.

Skirmunt nie chciał odwołać Szebeki, Piłsudski rozjadł się gniewem. W dniu 2-gim czerwca 1922 r., na posiedzeniu Rady Ministrów w Belwederze, poddał działalność rządu i zwłaszcza Skirmunta krytyce tak ostrej i w tonie tak dosadnym, że Ponikowski *stante pede* zareagował dymisją gabinetu. Tym razem dymisja została przyjęta.

Skończyło się na kompromisie, który nikogo nie zadowolił. Na czele rządu stanął prof. Julian Nowak, rektor Uniwersytetu Krakowskiego, naukowiec i miłośnik sztuki rodzimej, oraz łowienia ryb na wędkę. Dobry człowiek, który postrachem jedynie był dla pstrągów i łososi w rzekach podhalańskich.

Ministrem Spraw Zagranicznych został Gabriel Narutowicz. Pochodził z Litwy, nauki pobierał w Libawie i Petersburgu, skończył studia w Politechnice Zurychskiej. Zasłynął w całej Europie, jako znakomity inżynier wodny. Wszędzie szanowano jego charakter, inteligencję i wiedzę. Rzucił zaszczytne i intratne stanowisko u obcych, by służyć wolnej ojczyźnie.

Ministerstwo Skarbu objął Zygmunt Jastrzębski, doświadczony finansista, ceniony w sferach bankowych.

.....

Polska zmagala się z trudnościami, ale Polska nie była wyjątkiem. Na całym Kontynencie dawały się odczuwać skutki okrutnej i przewlekłej wojny. Wszystkie niemal europejskie ustroje państwowe przechodziły słabsze, lub silniejsze wstrząsy. Zło nie może rodzić dobra, a jest - że zło gorsze, niż wojna?

Polska zdana była na własne siły i środki.

...Zygmunt Jastrzębski zajmował przez dwa dziesiątki lat stanowisko dyrektora Banku Rosyjsko-Chińskiego w Szanghaju. Mój bratanek, Tadeusz Krzywoszewski, zajmował także stanowisko w Tsien-Tsinie. Tam ożenił się z amerykanką.

Jastrzębski i Tadeusz Krzywoszewski opuścili Chiny, by zdobyte doświadczenie, stosunki i fortuny spożytkować w kraju. Jastrzębski został ministrem Skarbu, mój bratanek założył z Gordowskim Warszawski Bank Zjednoczony, którego zadaniem miało być ściąganie do Polski angielskich i amerykańskich kapitałów dla inicjatyw państwowych i prywatnych. Tadeusz Krzywoszewski poświęcił na ten cel blisko pół miliona dolarów, sam objął oddział nowego banku w Londynie, jako placówkę najważniejszą. W podmieściu Londynu nabył willę z ogrodem, wypełnił ją cennymi zbiorami sztuki starochińskiej.

Bank Zjednoczony zawalił się po kilka latach walki z inflacją i kryzysem. Mój bratanek stracił wszystko, co długoletnim wysiłkiem zebrał. Zmarnował i zdrowie, — przedwcześnie zmarł. Jego żona wróciła do Stanów Zjednoczonych.

Nie wiele lepszy los spotkał Zygmunta Jastrzębskiego. Nie spełniwszy pokładanych w nim nadziei, ustąpił z ministerstwa Skarbu. Zdrowia nadszarpnął, wkrótce również na tamten świat podążył.

Odbudowa państwowości polskiej pożerała ludzi i ich majątki, jak Baal swe ofiary.

Kardynał Ratti — Ojcem Świętym.

Była to łaska i błogosławieństwo Niebios, że Stolica Apostolska pierwszym nuncjuszem w Odrodzonej Polsce mianowała mons. Rattiego, i że Odrodzona Polska umiała pozyskać w tym mężu wyjątkowej mądrości i serca — przyjaciela, który miał niebawem zasiąść na tronie Piotrowym.

Monsignor Ratti poznał Polskę gruntownie i pokochał uczuciem ojcowskim. Był naocznym świadkiem wydarzeń i okoliczności, które towarzyszyły wyzwoleniu naszej ojczyzny i jej wstępnych zmagani z losem. Reprezentując interesy Kościoła Katolickiego w jego całości, spotykał się nieraz z zawiłymi problemami, n. p. w sprawie Śląska. W stosunku do Polski kierował się stale szczerą życzliwością, katolikom polskim na Litwie niemałe przyśługi świadczył.

Tron papieski, spowity w mgły oddalenia, dla powszechności polskiej był raczej symbolem, niż rzeczywistością. Nieliczni rodacy, którzy docierali do Watykanu, widywali Ojców Świętych jedynie w przepychu i glorii nadziemskiego prawie ceremoniału.

A oto konklawe, zwołane po śmierci Benedykta XV, powierza najwyższą władzę nad światem katolickim kardynałowi Rattiemu, którego Polska przez cztery lata u siebie gościła, i który w ciągu tego okresu utrzymywał stały i bezpośredni kontakt ze społeczeństwem polskim i nawet trudnej naszej mowy cokolwiek się poduczył.

W iluż to domach warszawskich wspominano teraz z przejęciem, że ten, który jako Pius XI objął władzę duchową nad całym Kościołem Katolickim, zasiadał niekiedy do wspólnego stołu, spędzał godziny na intymnej rozmowie. ... Stangret jednego z naszych

ziemian, szambelana papieskiego, który parokrotnie woził mons. Rattiego ze stacji do pałacu, opowiadał z dumą:

— Człowiek nie przeczuwał wcale swego honoru i szczęścia! Jego Świątobliwość raczył zwrócić uwagę na naszą czwórkę i kiedy zajechaliśmy przed pałac, podszedł do koni, poklepał po karku lejcową kobylę.

— Ladna! powiedział. Bardzo ładna.

— Głupie bydlę nie wiedziało, jaka go ręka dotknęła. A teraz kiedy jedziemy z panem szambelanem do kościoła, ludzie palcami ją wskazują i wzdychają.

— To ta, co ją Ojciec Święty wyróżnił!

W kniei literowskiej.

Rabski i ja otrzymaliśmy telegraficzne zaproszenie na polowanie, które wyprawiał wojewoda nowogródzki, Władysław Raczkiewicz.

W nocnym pociągu spotkaliśmy kilku innych myśliwych: ministra Narutowicza, Skulskiego, Dunikowskiego (wiceministra Spraw Wewnętrznych, bardzo kulturalnego małopolanina). Rabski, jako endek nieugięty, boczył się nieco. Uległ urokowi Narutowicza.

Rankiem wysiedliśmy w Nowojelni. Białą wstęgą szosy, rozpiętą wśród lasów jodłowych i płaskowyżów, śniegiem zaspanych, wyruszyliśmy samochodami do Nowogródka, pradowej siedziby Mendoga.

Podejmowali nas gościnnie państwo Raczkiewiczowie, przy współudziale urzędników województwa. Zwiedziliśmy szczątki ruin zamkowych, kościół farny, w którym jakoby Władysław Jagiełło brał ślub z Sonką — i skromny, niski domek, w którym Miczkiewicz spędził lata dzieciinne. Następnego dnia, przed świtem, dobrnęliśmy samochodami do Szczorów, wspaniałej ongiś rezydencji Chreptowiczów. Stąd długim sznurem sań pomknęliśmy do rzeczem Niemna do puszczy Nalibockiej.

Mróz szczypał siarczysty. Na Wschodzie wychynęła się czerwona bania słońca. Rosła w oczach. Droga wiła się wśród zamrzniętych trzęsawisk. Tu zapewne, na szlaku 1812 r., Napoleon przekonał się, że w Polsce istniało nie cztery, lecz 5 elementów: ziemia, powietrze, woda, ogień i błoto...

Słońce oderwało się od widnokręgu i rozplynęło w blaskach. Śnieżna biel rozłogów i nieskazitelny błękit nieba stanowiły *wedgewood* niewysłowionej piękności.

Zbliżyła się wreszcie ciemno szafirowa linia puszczy, w której ksiądz Robak celnym strzałem życie ostatniego Horeszki ratował, a stary Wojski chwycił, na taśmie przypięty, swój róg bawoli, centkowany, kręty i łowów historię krótką tryumfalnym rapsodem dźwięków obwieszczał.

...Byliśmy już w głębi borów i podszytej kniei, obronnej trzęsawicą, tysiącem strumieni, — i siecią zielsk zarosłych...

Gajowi pochylali się od czasu do czasu i nabożnym gestem wskazywali świeże tropy wilcze.

— Jeszcze ciepłe!

Doszliśmy do szerokiego kanału. Co sto kroków nadleśny dawał ręką znak: jeden z myśliwych zostawał na stanowisku. Mnie miejsce przypadło na długiej haliźnie, obramowanej gęstymi haszczami. Tu i ówdzie sterczały samotne sosny, srebrzystą sadzią obleczone. Na takich mokrzach wczesną wiosną głuszcze swe pieśni miłosne szlifują, cietrzewie z sykiem i chichotem wyszarpują sobie pióra, w mgłach porannych majaczy niekiedy potworna sylweta łosia.

Zostałem sam. Mróz ścisnął coraz ostrzej. Wzmagał się diabelski pochwist wichury. Drzewa gięły się z głuchym trzaskiem i łoskotem, puszcza wyła złowrogo, to znów buchała gwałtownym rykiem. Na haliźnie kurzyła się zadymka, w oczy wiał sypki śnieg. Narzuciłem na kozuch dachę, usiadłem na myśliwskim trójnogu. Po dwóch niedospanych nocach ogarniała natrętna senliwość. Lecz gdy zapadał w drzemkę, budziły nagle podejrzaną szelesty i stąpania. W krzaczach mignął jakiś cień. Porwałem się z krzeselka, chwyciłem za broń. Złudzenie!

Wreszcie ozwały się dalekie, zajękliwe krzyki naganki. Polana była wciąż martwa i pusta. Wołania zbliżającej się naganki zlewały się ze skowytem wichru, z trzaskiem gałęzi. Nagle przeźliwy wrzask. — Nie daj! Nie daj!

Krew uderzyła do skroni. Wilki?...

Tak, wilki. Było ich sześć. Lecz oczy moje, ani innych myśliwych, nie dojrzały żadnego. Zatrzymały się w gąszczach, uderzyły na naganke i tyle ich było. Spłoszonego wilka nie powstrzyma w ucieczce żadna siła.

Zły los prześladował nas i nazajutrz, po myśliwskiej kolacji i noclegu w Szczorach. Wilki wynosiły się chyłkiem z ostępów

flankami, lub śmiałym natarciem przerywały się przez naganę. Przypadkowość tego rodzaju łowów usuwają jedynie sznury z chorągiewkami, tzn. fladry.

Drugiego dnia po południu mróz zelżał. Stałem w wysokopiennym lesie sosnowym, skąpo podszytym, obok Narutowicza. I na niego i na mnie wypadło parę bielaków. Zabiliśmy je. Później przebiegł po kniei piękny kozioł. Narutowicz zmierzył się, lecz strzał wydał się mu się nie dość pewnym. Wstrzymał się.

...Zastygłem w bezruchu. Między mną a Narutowiczem siedł lekkim truchtem stary lis, o futrze szarawym, z olbrzymią, puszystą kitą. Gdy był na 80—90 kroków, podniosłem wolno fuzję do ramienia. W tymże momencie strzelił Narutowicz.

Lis wywrócił kozła.

Później wydało się, że, spodziewając się strzału do kozła, Narutowicz trzymał w ręku sztucer i lisa kulą sprzątnął.

Tak się złożyło, że na owym polowaniu zetknąłem się z dwoma przyszłymi prezydentami Rzeczypospolitej. Dla jednego — Narutowicza — prezydentura stała się tragedią, dla drugiego — Raczkiewicza — Golgotą emigracyjną.

Narutowicza już nigdy potem nie widziałem. Z Raczkiewiczem, gdy został marszałkiem Senatu, spotykałem się wielokrotnie, już to na zebraniach towarzyskich, już — na polowaniach u Antoniego Wieniawskiego w Chlewni i u Aleksandra br. Rostockiego w Sokolnikach. Jakoby przewidując swe dalsze przeznaczenia, Raczkiewicz ważył słowa, unikał rozmów politycznych. Nikomu nie chciał się narazić. Z tych samych zapewne powodów nie był skory i do przysług, bo przysługa, wyświadczona jednemu, może być dla innego solą w oku. Chłód, jaki od niego wiał, wynikał, być może, z doświadczeń, na jakie niewygody narażała nieostrożnie zawarta przyjaźń.

Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej i jego zabójca.

Wybory do Sejmu i Senatu, według świeżo ustalonej ordynacji, odbyły się w listopadzie 1922 r. Prawica i lewica prawie że zrównały się w siłach. Językiem u wagi, arbitrem rozstrzygającym, stawały się mniejszości narodowe.

Pierwszym naczelnym zadaniem obu Izb był wybór Prezydenta Rzeczypospolitej. Prawica gotowa była do ustępstw, prócz jednego: za żadną cenę nie chciała pozostawić zwierzchniej władzy w ręku marsz. Piłsudskiego, mimo że interes państwa i logika rzeczy takie właśnie wskazywały rozwiązanie.

Walka toczyła się nie o idee, lecz o osobę marszałka.

Marsz. Piłsudski był jedynym człowiekiem, który zdolny był władzy zwierzchniej należyty autorytet zapewnić i utrwalić. Całe życie poświęcił Ojczyźnie, kochał ją tak, że niekiedy swoich rodaków prawie nienawidził.

Współzawodnikiem, którego wysuwała przeciw Piłsudskiemu prawica, był ordynat Maurycy hr. Zamoyski, magnat szlachezny, na cele publiczne szczodry, ale nawykły do życia rozpieszczonego. Zdolnościami, wiedzą i doświadczeniem do przewodnictwa w narodzie nie dorastał.

Za kulisami sejmowymi panował nieopisany zamęt. Witos na marszałka Sejmu promował zacnego Rataja.

Piłsudskiego zdjął wstręt do kuchni międzypartyjnej, w której warzono losy Polski. Zapowiedział, aby jego kandydatury nie stawiano, bo wyboru nie przyjmie.

W dniu 9 grudnia 1922 r. ustalono ostatecznie 5 kandydatur: Maurycego hr. Zamoyskiego (prawica), Stanisława Wojciechowskiego (Ludowcy), Gabriela Narutowicza (Wyzwolenie), Ignacego Daszyńskiego (P.P.S.), i prof. Baudouin'a de Courtenay (mniejszości narodowe). Dwie ostatnie kandydatury miały charakter demonstracyjny.

W mieście panowało wzburzenie, kursowały niepokojące plotki. Gmach Sejmowy ogarnęła gorączka, na trybunach istny dzień sądny. W korytarzach i sali bufetowej bieganina, podniecona wrzawa.

Cztery pierwsze głosowania nie dały żadnej z kandydatur większości absolutnej. Do piątego głosowania przystąpiono w dramatycznej ciszy: Piastowcy nie wrócili na salę. Poślano po nich. Wkroczyli po paru minutach dużą gromadą, Witos siedł na czele, chmurny i tajemniczy.

On tego dnia miał decydować, kto będzie pierwszym prezydentem Rzeczypospolitej.

Rozstrzygnął na rzecz Narutowicza, który wskutek tego otrzymał 289 głosów. Zamoyski uzyskał 227. Oddano 29 kartek białych.

Pierwsza depesza gratulacyjna, jaką otrzymał Narutowicz, pochodziła od Maurycego hr. Zamoyskiego.

Przed Sejmem garstka napędzonych zelantów wykrzykiwała przeciw elektowi. W mieście gromadziły się grupy demonstrantów. Policja rozpraszała je z łatwością, wprędce wrócił spokój i ład.

Narutowicz, gdy mu ambasador brytyjski Max-Müller winshawał wyboru, odpowiedział z melancholijnym uśmiechem.

— Nie powinszowania mi się należą, lecz kondolencje.

W południe, dn. 16 grudnia t. j. w tydzień po wyborach, miało odbyć się uroczyste otwarcie Salonu Jesiennego w Zachęcie. Spóźniłem się o pół godziny. Przy skwerze, otaczającym Pałac Sztuki, zatrzymał mnie posterunkowy. Pokazałem zaproszenie. Posterunkowy nie chciał czytać, ręce mu się trzęsły.

— Dostęp jest wstrzymany.

— Jakto, wstrzymany?

Posterunkowy obejrzał się, ściszył głos.

— Pan prezydent został zamordowany.

W tym momencie od strony pałacu nadszedł Gustaw br. Taube, podtrzymując ledwie przytomną małżonkę.

Taube zatrzymał się i zmienionym głosem objaśnił:

— Strzelono do prezydenta z tyłu, kiedy rozmawiał z dyplomatami cudzoziemskimi. Prezydent padł tuż koło nas i zaraz skonał.

Pani Taubowa przyłożyła chusteczkę do ust. Jej mąż dodał:

— Ten co strzelał, nazywa się podobno Niewiadomski.

Wskoczyłem do przejeżdżającej pustej dorożki i wróciłem do redakcji. Doznawałem niepamiętnego uczucia wstydu i bólu. Zamknąłem się w gabinecie, rozłączyłem telefon. W głowie szumiało.

Przez tyle wieków chlubiłiśmy się, że naród polski nie splamił się nigdy królobójstwem. I teraz, kiedy cudem odzyskaliśmy niepodległość, złość i kłótnia doprowadziły do takiej sromoty!...

Eligiusz Niewiadomski był z przekonania demokratą narodowym, z przyrodzenia fanatykiem. Uwielbiał, albo nienawidził ¹⁾

¹⁾ Dowodem może służyć jego książka: „Malarstwo Polskie XIX i XX w., wydana przez księgarnię M. Arcta.

Lecz nierównie więcej nienawidził, niż uwielbiał. Niezdarny w życiu praktycznym, stale porał się z niedostatkiem. Gdziekolwiek się oparł, zaraz czuł się źle. Wszędzie dopatrywał się nikczemności, samolubstwa i zdrady.

Od czasu do czasu przynosił mi artykuły do „Świata“. Najczęściej zmuszony byłem mu je zwracać, bo w treści bywały chaotyczne, w tonie — namiętne. Nieraz zawierały niebezpieczne oskarżenia osobiste.

Odkąd otrzymał posadę w Departamencie Sztuki, odwiedziny jego stały się rzadsze. Rychło jednak i tam dojrzał godne piętnowania niedołęstwo i nieuczciwości. W wielkiej tajemnicy, dygotający z podniecenia, przyniósł mi serię artykułów, odsłaniających „skandale“.

Dyrektorem Departamentu Sztuki był wówczas architekt Heinrich, człowiek prawy i rozsądny, cieszący się najlepszą opinią.

Zapytałem Niewiadomskiego, czy byłby skłonny podpisywać swoim imieniem i nazwiskiem proponowane artykuły. Po chwili namysłu odrzekł, że jako urzędnik Departamentu Sztuki nie mógłby tego uczynić. Artykułów nie przyjąłem.

W ostatnim słowie przed sądem Niewiadomski mówił:

„...Kiedym strzelał do człowieka nieznanego mi, bezbronnego, odwróconego tyłem, moją siłą moralną było przeświadczenie, że za jego życie daję swoje. Nie potrafiłbym żyć z myślą, że trybunał polski, symbol sprawiedliwości najwyższej, mógłby odebrać mi to, co było i jest do tej chwili moim dobrem moralnym. Wystawiłem weksel, chcę go spłacić uczciwie“.

Odmówił podpisaniu prośby o łaskę. Podczas egzekucji zachował się mężnie. Był ofiarą ciemnego ognia, który trawił serca i mózgi polskie.

Na cmentarzu Powązkowskim, przy trumnie rozstrzelanego Niewiadomskiego zgromadziło się kilka tysięcy osób. Oczy płonęły złym ogniem. Wznoszono okrzyki.

Żegnano zabójcę pierwszego prezydenta Odrodzonej Rzeczypospolitej.

Któż to solidaryzował się z mordem?

Ową antypaństwową demonstrację urządzili obywatele, którzy poczytywali się za obóz narodowy i chrześcijański.

Gen. Władysław Sikorski szefem rządu.

Wybór Prezydenta Rzeczypospolitej.

W tym czasie Polsce osobliwie potrzebny był rząd, świadomy swych celów i odpowiedzialności.

Oczy zwracały się ku marsz. Piłsudskiemu. On doradzał gen. Sikorskiego, który pełnił funkcje szefa Sztabu Głównego.

Marsz. Piłsudski musiał wysoko cenić talenty wojskowe i polityczne gen. Sikorskiego, jeśli go w tak trudnej chwili polecał: żywił do gen. Sikorskiego zadawnione z czasów legionowych urazy, a uraz nie zwykł był zapominać. Żeby dowieść swej gotowości służenia krajowi, ofiarowywał się zastąpić gen. Sikorskiego w Sztabie.

Adiutantem gen. Sikorskiego był płk. Kukowski. Któż z naszej paryskiej cyganerii artystycznej mógł spodziewać się, że usłużny, zawsze uśmiechnięty grubasek będzie nosił szlify pułkownika wojsk polskich!

Gen. Sikorski dowiódł swych wartości militarnych w kampanii przeciw Ukraińcom, i jeszcze lepiej — w wojnie 1920 r. Posiadał talent organizacyjny, umysł ruchliwy, energię niespożytą. Praca paliła mu się w rękach. Po pracy rad szukał rozrywki, tym wszakże różnił się od większości oficerów belwederskich, że po nocach nie hulał, nie pił i w karty nie grał.

Był doskonałym mówcą, biegle władał piórem. Później, że w zamachu majowym udziału nie wziął, odsunięty został od czynnej służby w wojsku.

Błąkał się odtąd, do września 1939 r., między Warszawą, Paryżem i swą maleńką resztówką wielkopolską, „Parchanami”, przyciśnięty troskami materialnymi, gdy inni, bez większych zasług, opływali w dostatki. Gen. Sikorski napisał w tym okresie kilka doskonałych książek treści wojskowo-politycznej, umieszczał fachowe artykuły w „Kurierze Warszawskim”.

...Pamiętam w tym okresie jedną moją z gen. Sikorskim rozmowę w jego willi przy ul. Belwederskiej. Było to w r. 1929-m. General wyrażał się tego dnia rozgoryczony i zniechęcony. Wyrzekał, że marnuje w bezczynności najlepsze lata, że przyszłość rysuje się przed nim beznadziejnie.

Mówiłem na to, że w życiu mężów politycznych podobne przerwy bywały na porządku dziennym. Powołałem się na dołę i nie-dolę Jerzego Clemenceau. U schyłku ubiegłego stulecia okrzyczany został przez swoich rodaków za niegodnego zaufania panamistę,

odsunięty od rządu i parlamentu. A w dwadzieścia lat później on właśnie ratował Francję od klęski, i ci sami potwarcy składali mu hołdy, jako zbawcy ojczyzny. Gdy zmarł, wznosili mu pomniki.

— *N i l d e s p e r a n d u m*, panie generale.

Sikorski słuchał, potem uściskał mię w milczeniu.

Skład gabinetu gen. Sikorskiego był dobrany trafnie. Sprawy wojskowe objął gen. Sosnkowski, sprawy zagraniczne — Aleksander hr. Skrzyński, skarb — Wład. Grabski, sprawiedliwość Wacław Makowski, oświatę — prof. Mikułowski-Pomorski, rolnictwo — Józef Raczyński, przemysł i handel — Henryk Strassburger. Inne resorty — Zagórny — Marynowski, Ludwik Darowski, dr Chodźko, Jan Moszczyński.

Gen. Sikorski zachował dla siebie sprawy wewnętrzne. Nowym nabytkiem był Aleks. hr. Skrzyński, dyplomata, w służbie austriackiej doświadczony. Kulturę umysłową, wielkopańskim gestem i upodobaniami przypominał Józefa Kościelskiego. Wczytywał się w Nietschego, miłował klasyków rzymskich, był znamienitym jeźdźcem i śmiałym kierowcą samochodu.

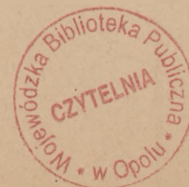
Skrzyński zamieszkał w pałacu Potockich na Krakowskim Przedmieściu, w dawnych apartamentach „hr. Gucia”. Wyprawiał czasem epikurejskie sympozjony w szczupłym gronie męskim; rozmowa bywała tam równie wyszukana, jak potrawy i wina.

Ponowny wybór prezydenta Rzeczypospolitej nastąpił szybko. Odbył się w nastroju poważnym. Ludowcy wysunęli Stanisława Wojciechowskiego, demokraci narodowi prof. Kazimierza Morawskiego.

Ta druga kandydatura była demonstracją bez szans powodzenia. Prof. Morawski cieszył się szacunkiem krakowskiego świata naukowego. W korytarzach sejmowych uważano, że nawet wyśmienita znajomość dziejów i obyczajów starożytnego Rzymu nie wystarczała do sprawowania władzy zwierzchniej w państwie nowoczesnym.

Wojciechowski przeszedł w pierwszym głosowaniu 298 głosami przeciw 221, które padły na prof. Morawskiego.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO



SPIS ROZDZIAŁÓW:

WCZESNA MŁODOŚĆ I NAUKA	10
ANTWERPIA I GDAŃSK	23
O Gioventu, Primavera Della Vita!	
VIVAT SEMPER WOLNY STAN	28
WIELKI DRAMAT MOJEJ MŁODOŚCI	44
WARSZAWA W OSTATNIM DZIESIĄTKU LAT UBIEGŁEGO WIEKU	64
Polka — pierwszą kochanką Mikołaja II-go. — Niepoprawny utracjusz. — W świecie interesów. — Spirytyzm.	
MAŁŻEŃSTWO	79
Wyjazd za granicę (wrzesień 1897 r.).	
LATA CYGANERII — PARYŻ (1897—1900)	84
Pierwsze wrażenia i spotkania. — Na Montparnasse. — Chojecki i Wyzewa. — Dwa pogrzeby. — Rogata dusza. — Polski satanista. — Frasunki dziennikarza polskiego w Paryżu. — Nocne życie Paryża. — Malaria polska. — Paryż u schyłku stulecia. — Lucerna i Florencja. — Cesarzowa Elżbieta. — Finot. — Pierwszy raz w Rzymie (zima 1899 r.). — Przygoda. — Znowu w Paryżu. — Koledzy „krajowi”.	
TRZY MIESIĄCE W PETERSBURGU	125
Kurier Warszawski. — Redakcja „Kraju”. — Przyjaciele redakcji — Szpital dla obłąkanych. — Petersburg.	
JESZCZE DWA LATA W PARYŻU	141
Quo Vadis. — Wanda Landowska. — Paderewski. — J. A. Kisielewski. — Wakacje w Paramé. Adieu Paris!	
ROK W BERLINIE 1. X. 1901—1902	150
Pierwsze kroki. — Na gruncie poznańskim. — Debiut teatralny. — Stary Sielec. — Los von Berlin.	

KRAKÓW I WIEDEŃ	167
W starym grodzie podwawelskim. — Nad modrym Dunajem. — Cesarz. — Dygnitarze polscy. — Wypad do Belgradu (R. 1903). — Teatr. — Wenecja (R. 1903). — Lato w Zakopanem. — Teatr. — Pożegnanie z Wiedniem.	
WARSZAWA W R. 1905	193
Październik 1905 r. — „Świat”. — „Krwawa Środa” (15 sierpnia 1906 r.). — Uspokojenie.	
OD STYCZNIA 1907 R. DO CZERWCA R. 1914	207
Organizacja redakcji „Świata”. — Prasa o czynniki rządowe. — W gronie kolegów i przyjaciół redakcyjnych. — Autor „Sobola i panny”. — Perzyński, Bartkiewicz, Rabski, Ehrenberg. — Z życia cyganerii warszawskiej. — Pierwszy większy sukces teatralny. — Zielony Balonik w Krakowie. — Riwiera francuska przed wojną. — Trudności polskiego autora dramatycznego w okresie niewoli. — Na polowaniach z Sienkiewiczem. — Szyfman, Momus, — Teatr polski. — Uroczystości grunwaldzkie w Krakowie. — Dookoła „Świata” (1908—1914). — Pola Negri. — Hiszpania przed upadkiem monarchii. — Pierwsze niesnaski z krytyką teatralną. — Wybuch wojny światowej.	
PIERWSZA WOJNA ŚWIATOWA	249
Sprawa Polski na wokandzie. — Warszawa w pierwszych tygodniach wojny. — Guczkow w Warszawie. — Ku zgodzie i jedności — trudno było drogę znaleźć. — „Kurier Polski” i „Grupa pracy narodowej”. — Wznowienie „Edukacji Bronki” — Janina Szylinzanka. — W Warszawie — Niemcy! (5 sierpnia 1915 r.). — „Kurier Polski”. — Pierwszy przyjazd do Warszawy komendanta Piłsudskiego. — Generał Beseler. — Orientacje i pierwsze poczynania polityczne. — Legiony a literatura i sztuka. — 5 listopada 1916 r. — Legiony w Warszawie. — Teatr i fraszki życia powszedniego.	
ROK 1917	288
Dalszy rozwój sytuacji politycznej. — Kandydaci do tronu polskiego. — Sprawa wojskowa na ostrzu noża. — Rada Regencyjna. — Na ławie oskarżonych. — Komisja teatralna.	
ROK 1918	299
Niedole Regencji. — „Duszo moja, nie lękaj się, Bóg na niebie żywie”... — Koniec wojny. Powrót Piłsudskiego. — 10—11 listopada 1918 r., — dni historyczne.	
ROK 1919	310
Przyjazd Paderewskiego. Zamach stanu. — Paderewski u władzy. — Wiosna 1919—1920, Polsce życzliwa. — Pokój światowy. — Po Paderewskim — Skulski.	

ROK WIELKICH WYSIŁKÓW, KLĘSK I CUDÓW. 1920	321
Wojna. — Na najdalszym odcinku frontu. — Blaski i nędze odzyskanej niepodległości. — Dymitr Mereżkowski w Warszawie. — Literatura i prasa.	
ROK 1921	337
Konstytucja. — W walce z przeciwnościami. — Zwycięstwo kobiet. — Na ratuszu warszawskim. — Zaranie kinematografii polskiej. — Lorentowicz — prezesem teatrów miejskich. — Autorzy i recenzanci teatralni. Gabriela Zapolska. — „Kolombina” i „Szał”.	
ROK 1922	349
Na terenie sejmowym ciągle rozterki. — Kardynał Ratti — Ojcem Świętym. — W kniei litewskiej. — Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej i jego zabójca. — Gen. Władysław Sikorski szefem Rządu. Wybór Prezydenta Rzeczypospolitej.	

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 317063/I



000-317063-00-0